

MIĘDZYNARODOWY
BESTSELLER

GRZESZNICA

PETRA HAMMESFAHR



SERIAL
OPARTY NA FABULE
POWIEŚCI
DOSTĘPNY W

CANAL+



PETRA HAMMESFAHR

GRZESZNICA

TEUMACZENIE BARBARA TARNAS


OTWARTE
KRAKÓW 2018

Rozdział 1

Był gorący dzień na początku lipca, gdy Cora Bender zdecydowała się umrzeć. Tej nocy uprawiała seks z Gereonem. Sypiała z nim regularnie w piątkowe i sobotnie wieczory. Nie potrafiła mu odmówić, zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo tego potrzebował. A poza tym kochała go. To było coś więcej niż miłość. Wdzięczność, bezwarunkowe oddanie, coś absolutnego.

Gereon sprawił, że mogła być taka jak wszyscy – normalna młoda kobieta. Dlatego chciała, by czuł się szczęśliwy i spełniony. Dawniej jego pieczyoty sprawiały jej przyjemność, ale pół roku temu przestały.

W Wigilię Gereon wpadł na pomysł, by włączyć w sypialni radio. To miała być wyjątkowo piękna noc. Dwa i pół roku wcześniej wzięli ślub, a przed osiemnastoma miesiącami urodził im się syn.

Gereon skończył dwadzieścia siedem lat, Cora Bender dwadzieścia cztery. Gereon był szczupły, miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu i wysportowaną sylwetkę, choć niczego nie trenował, bo brakowało mu na to czasu. Jego włosy, po urodzeniu tak jasne, że niemal białe, z wiekiem lekko ściemniały. Twarz miał ani przystojną, ani brzydką, po prostu przeciętną, właściwie ogólnie był dość przeciętnym człowiekiem.

W wyglądzie Cory Bender także nie zauważało się niczego szczególnego, pomijając blizny na czole i w zgięciach ramion. Znamię na głowie było skutkiem wypadku, brzydkie ślady na rękach zostały po stanie zapalnym wywołanym przez igły używane do zastrzyków w szpitalu – tak wyjaśniła Gereonowi. Dodała, że nie przypomina sobie szczegółów. To ostatnie akurat było prawdą. Lekarz powiedział wtedy, że przy poważnych urazach czaszki często dochodzi do zaników pamięci.

W jej życiu istniała dziura. Skrywała brudny, ciemny rozdział. Cora wiedziała o tym, choć nie miała wspomnień. Przed kilkoma laty każdej nocy wciąż wpadała w tę przepaść. Ostatni raz cztery lata temu. Wtedy jeszcze nie знаła Gereona. I w jakiś sposób udało się jej wówczas ją zakopać. Odkąd wyszła za mąż, nie sądziła, że może znowu tam spaść. A potem stało się to – właśnie w Wigilię.

Początkowo wszystko było w porządku, cicha muzyka i czułości Gereona, które stopniowo stawały się coraz bardziej intensywne i natarczywe. Powoli przesunął się po niej w dół, wtedy zaczęło być niemiło. A gdy zanurzył głowę między jej nogami i poczuła jego język, muzyka zabrzmiała głośniejsz. Usłyszała szybkie uderzenia perkusji, gitarę basową i wysokie, ostre dźwięki organów – tylko przez ułamek sekundy – w następnej chwili wszystko minęło. Ale ten krótki moment wystarczył.

Coś w niej pękło lub rozpadło się niczym szczelnie zamknięte drzwi skarbca pod wpływem palnika. To było nierzeczywiste uczucie. Jak gdyby nie leżała już we własnym łóżku. Poczowała twarde podłoże pod plecami i coś w ustach, jakby niezwykle gruby kciuk miażdżył jej język i brutalnie pozbawiał ją tchu.

Sprzeciw był odruchowy. Objęła kolanami plecy Gereona i zacisnęła uda na jego szyi. Niewiele brakowało, a złamałaby mu kark lub go udusiła. Początkowo nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, tak bardzo odpłynęła. Dopiero gdy Gereon, krztusząc się

i dysząc, uszczypnął ją i wbił paznokcie głęboko w jej miękką talię, ból przywołał Corę do świadomości.

Mężczyzna z trudem chwycił oddech.

– Zwariowałaś? Co cię napadło? – Potarł kark, kaszlnął, obmacał szyję i popatrzył na nią, potrząsając głową.

Nie rozumiał, co się z nią stało. Ona także nie wiedziała, dlaczego nagle zrobiło się to aż tak wstrętne i odpychające. Tak straszne, że przez chwilę sądziła, iż czuje na sobie oddech śmierci.

– Po prostu tego nie lubię – odparła i zaczęła się przysłuchiwać dźwiękom radia.

Muzyka wciąż brzmiała cicho i łagodnie. Dziecięcy chór śpiewał: „Cicha noc, święta noc. Pokój niesie ludziom wszem”. Czego chcieć więcej w taki wieczór?

Niespodziewany atak odebrał Gereonowi całą ochotę na seks. Wyłączył radio, zgasił światło i naciągnął kołdrę na ramiona. Nie życzył jej dobrej nocy, tylko burknął:

– Nie, to nie!

Zasnął szybko. Później nie umiała powiedzieć, czy ona też. W pewnym momencie okazało się, że siedzi wyprostowana na łóżku, wymachując pięściami i krzycząc:

– Przestańcie! Zostawcie! Dajcie spokój! Przestańcie, świnię!

A w głowie huczały jej wstrętne uderzenia perkusji, gitara basowa i ostre dźwięki organów.

Gereon obudził się, złapał ją za rękę, potrząsnął i także krzyknął:

– Cora! Przestań! Co się dzieje?

Nie umiała przestać ani się obudzić. Siedziała w ciemnościach i bezskutecznie walczyła z czymś, co powoli zbliżało się do niej, z czymś, o czym wiedziała tylko, że odbiera jej rozum.

Dopiero gdy Gereon kilkakrotnie uderzył ją lekko w twarz, oprzytomniała. Spytał, co się z nią dzieje. Czy czegoś jej nie zrobił. Nie myślała dość jasno, by mu od razu odpowiedzieć. Tylko na niego popatrzyła. Po kilku sekundach znowu się położył. Zrobiła to samo, obróciła się na bok i próbowała sobie wmówić, że to był tylko zły sen.

Następnej nocy jednak, gdy Gereon próbował nadrobić straty, sytuacja się powtórzyła, choć tym razem w sypialni nie było radia, a on nie zmierzał do tego, co uważał za najlepszy dowód miłości. Na początku zabrzmiała muzyka, nieco głośniejsze i dłużej, na tyle długo, by Cora mogła stwierdzić, że nigdy nie słyszała tej melodii. Potem wpadła w czarną dziurę, z której wydostała się, krzycząc i bijąc pięściami wokół siebie. Obudziła się dopiero, gdy Gereon potrząsnął nią i spoliczkował, wykrzykując jej imię.

W pierwszym tygodniu stycznia zdarzyło się to dwa razy, w drugim raz, bo Gereon w piątek był zbyt zmęczony. A przynajmniej tak twierdził. W sobotę powiedział jednak:

– Zaczynam mieć dość tego cyrku.

Może już w piątek o to mu chodziło.

W marcu Gereon zaczął nalegać, by poszła do lekarza.

– To nie jest normalne, sama przyznaj. Trzeba wreszcie coś z tym zrobić. A może już zawsze ma tak być? Jeśli tak, to będę spał na kanapie.

Nie poszła do lekarza. Na pewno spytałby, czy może wytłumaczyć ten dziwny koszmar lub czy przynajmniej wie, dlaczego pojawiał się zawsze wtedy, gdy Gereon

chciał się z nią kochać. Lekarz zacząłby pewnie rozdrapywać tę ranę, wmawiałby jej, że należy sobie uświadamiać takie sprawy. Nie zrozumiałby, że istnieją rzeczy zbyt potworne, by je sobie uświadomić. Spróbowała więc szukać pomocy w aptece. Doradzono jej łagodny środek nasenny. Dzięki temu ustały krzyki i wymachiwanie pięściami, a Gereon założył, że wszystko znowu jest w porządku. Nie było.

Z każdym końcem tygodnia było gorzej. Już w maju przed piątkowym wieczorem odczuwała niemal zwierzęcy strach, który powoli zżerał ją od środka. Piątkowe popołudnie na początku lipca okazało się piekłem.

Siedziała w biurze, które było niczym innym jak kącikiem oddzielnym od reszty magazynu. Na biurku świeciła się lampa, w kręgu światła leżał faks wskazujący datę i godzinę.

4 lipca, 16.50! Jeszcze dziesięć minut do końca pracy. Około pięciu godzin, zanim Gereon zacznie się do niej dobierać. Najchętniej zostałaaby tu do poniedziałku rano. Dopóki siedziała za biurkiem, była pracowita i bystra, stanowiła siłę napędową w firmie teścia.

Rodziny interes, tylko ona, teść, Gereon i jeden pracownik, Manni Weber. Przedsiębiorstwo instalacyjne, ogrzewanie i hydraulika, a bez niej nic nie działało. Była dumna z zajmowanego stanowiska, o swoje miejsce w hierarchii musiała ciężko walczyć.

W dzień po weselu teść zażądał, by zajęła się pracą w biurze. I nie pozwolił sobie nic powiedzieć.

– Co to znaczy: nie umiem? Masz przecież oczy! Zajrzyj do księgowości, to się nauczysz. A może myślałaś, że będziesz tu siedzieć na czterech literach i się objać?

Nigdy nie siedziała na czterech literach ani się nie objała. Tak też mu odpowiedziała. Stary skinął głową.

– No to ustalone.

Do tej pory to on musiał wieczorami porządkować papiery. Teściowa potrafiła zaledwie obsługiwać telefon. Ona sama początkowo umiała niewiele więcej.

Stary nigdy niczego jej nie doradził, nigdy nie udzielił żadnej wskazówki, jak do tej pory załatwiał sprawy. A żeby jeszcze ktokolwiek mógł się zorientować w rachunkach, powinny być porządnie prowadzone. Czasami zdawało się, że stary czerpie dziką satysfakcję z jej bezradności. Wkrótce jednak przestała być bezradna.

Szybko złapała, o co chodzi, i zaczęła się wdrażać w pracę. Nic nie przychodziło jej łatwo, musiała walczyć nawet o wydzielenie od reszty magazynu biurowego kącika dla siebie.

W ciągu pierwszego roku siedziała w rogu, mając przed oczami wielkie pomieszczenie, wiecznie brudne i nigdy nieogrzewane. Siedziała przy starym stole kuchennym sprawiającym, że czuła się jak u matki. Nie miała odwagi się sprzeciwić, choć stary nawet nie płacił jej pensji. Gereon także dostawał tylko kieszonkowe. Mieszkali i jedli za darmo, samochód Gereona należał do firmy. Gdy potrzebowali pieniędzy na inne potrzeby, Gereon musiał prosić.

Ciąża także nie poprawiła sytuacji i nie zapewniła Corze żadnych dodatkowych udogodnień. Dosłownie do ostatniej chwili siedziała w kącie magazynu. Gdy nadeszły bóle, pracowała właśnie nad wstępnym kosztorysem instalacji centralnego ogrzewania

gazowego; stała nad stołem, bo nie mogła dłużej siedzieć z bólem pleców. Teściowa wpadła w histerię, że wszystko dzieje się tak szybko. Kilka silnych skurczów, wody płodowe odeszły, a Cora poczuła niewyobrażalny ucisk w podbrzuszu.

Wcześniej nie chciała iść do szpitala, teraz zawołała jednak:

– Niech przyjedzie karetka! Zadzwoń po pogotowie!

Teściowa tylko stała, wskazując na stół.

– Jeszcze nie skończyłaś. Lepiej najpierw skończ. Nie może być tak źle. Dziecka nie rodzi się w dziesięć minut. Z Gereonem męczyłam się cały dzień. Ojciec będzie zły, jeśli to nie będzie gotowe na dziś wieczór. Wiesz przecież, jaki jest.

Wiedziała aż za dobrze. Od ślubu mieszkali przecież pod jednym dachem. Stary był tyranem i wyzyskiwaczem. Teściowa, uległa kobieta, podlizywała się górze, deptała dół. Gereon wypełniał tylko rozkazy, a ona odgrywała rolę służącej, tanio kupionej na wielkim rynku pracy w zamian za iluzję porządnego życia, czyli praktycznie za nic.

Stała tak zgięta nad starym kuchennym stołem, wśród brudu, patrząc na kałużę rosnącą u jej stóp, przyciskając dłoń między nogami i czując rosnące tam wybrzuszenie, i nagle było tego za wiele. Lepiej najpierw skończ? Nie!

W szpitalu miała czas, by spokojnie zastanowić się nad własnym życiem. Zrozumiała, że przestrzeganie dobrych obyczajów miało swoje wady, że w tym otoczeniu żadne marzenie nie spełniało się samo z siebie. Pytanie brzmiało, ile mogła zaryzykować. Ale z dzieckiem na ręku było łatwiej, dodatkowe trzy kilogramy wspierały każde żądanie.

Kilka dni później wróciła do domu i zaczęła realizować swoje postanowienia. Zyskała wtedy opinię bezczelnej i wyrachowanej istoty. Babochłop, mawiał często stary. Z pewnością nie była taka, ale w razie potrzeby umiała udawać. A bycie potulną i tak nic by nie dało.

Urządziła sobie biuro, wyposażyła je w biurko, szafkę na dokumenty i grzejnik. Przyznała sobie prawo także do innych rzeczy, zaczęła wypłacać sobie i Gereonowi pensję. Stary wpadł w szał, mówił o bezwstydnosci i pazerności.

– Gdzie się nauczyłaś sięgać do portfela innych ludzi?

Serce podeszło jej do gardła, ale odpowiedziała mu:

– Albo będziemy opłacani tak jak inni, albo zaczniemy pracować u kogo innego. Wybieraj. Możesz też dowiedzieć się, ile płacą w pozostałych firmach. Zobacysz, że i tak dobrze na tym wychodzisz. I nigdy nie mów, że sięgam do twojej kasy! Pracuję na swoje pieniądze!

Trudno było się sprzeciwić staremu. Jednak udało się, a przed ponad rokiem wywalczyła nawet własny dom. Mimo że mieli dziecko, kilkakrotnie obawiała się, że teść pokaże jej drzwi. „Idź tam, skąd przyszłaś”. A Gereon tylko by stał z zakłopotaną miną. Ani razu jej nie poparł, nigdy nie otworzył ust w jej obronie.

Wkrótce po narodzinach dziecka z gorzkim rozczarowaniem stwierdziła, że nie może liczyć na pomoc męża. Teraz nie miało to już znaczenia. Taki po prostu był, wykonywał swoją pracę, a poza tym chciał spokoju – a w piątki i soboty trochę miłości! Nie potrafiła z tym walczyć, bo przecież miłość była czymś dobrym, pięknym, zupełnie naturalnym i normalnym.

4 lipca, 16.52! Musiała jeszcze wypisać rachunek. Czekala z nim do teraz, by

w ostatnich minutach odciągnął ją od innych myśli. Nowy kocioł grzewczy. Gereon zamontował go w środę razem z Mannim Weberem. Na przyszły tydzień zaplanowane były dwa następne. Nowe rozporządzenie o zanieczyszczeniach zmusiło ludzi do wymiany urządzeń. Weszło w życie już przed paroma laty, ale wiele osób obawiało się kosztów i zwlekało z tym, dopóki okręgowy kominiarz nie zaczął grozić, że odłączy stary piec.

Takie zachowanie było dość śmieszne. Człowiek wiedział dokładnie, co nastąpi. I nie robił nic! Chciał przeczekać. Jak gdyby stary kocioł z dnia na dzień, i to całkiem samodzielnie, mógł dostosować wypuszczane zanieczyszczenia do surowszych norm, jak gdyby dziura w twoim wnętrzu mogła się z minuty na minutę ponownie zamknąć.

Cztery lata temu tak się stało. Nie z minuty na minutę, trwało to kilka miesięcy. I nie było wtedy Gereona, który jednym ruchem ręki niszczył misterną konstrukcję budowaną przez parę dni.

4 lipca, 16.57! Oprócz rachunku nie zostało jej już nic do zrobienia. W zeszły piątek mogła się jeszcze przez chwilę zająć wyliczaniem pensji. To była tylko gra na zwłokę, ale tak czy siak pozwalała opanować panikę. Nie czuła wyłącznie strachu czy zwykłego niepokoju. Jej umysł wypełniała szaroczerwona mgła, wciskała się w każdy zakamarek i blokowała każdy nerw.

Koniec pracy! Zesztywniałymi palcami wyjęła papier z maszyny i starannie sprawdziła poszczególne dane. Nie było czego poprawiać, musiała jeszcze tylko nieco ogarnąć biurko. Na koniec przerzuciła kartkę kalendarza na następny tydzień. Poniedziałek! Dzieliły ją od niego dwie wieczności – to jakby dwa razy umrzeć. A ona już była na wpół martwa.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jak na szczytach przeszła przez malutkie biuro i magazyn na podwórze. Na zewnątrz było bardzo ciepło. Słońce niczym twarz dziecka śmiało się z bezchmurnego nieba. Raziło tak mocno, że oczy zaczęły jej łzawić. Niewiele miało to jednak wspólnego z ostrym światłem.

Stała na ulicy tuż przed domem teściów. Jej własny znajdował się na miejscu dawnego ogrodu. Był to duży budynek z nowoczesnym wyposażeniem, a w nim wymarzona kuchnia z jasnego dębu. Zazwyczaj Cora szczyliła się tym wszystkim. Chwilowo nie istniały jednak uczucia takie jak duma czy pewność siebie. Tylko strach, ten szaleńczy strach, że zwariuje. A to oznaczało dla niej coś gorszego niż śmierć.

Prawie do siódmej krzątała się po domu. Gereon jeszcze nie przyszedł. W każdy piątek szedł z Mannim Weberem do baru i wypijał jedno lub dwa piwa, nigdy więcej niż dwa, a jeśli już, to bezalkoholowe. Punktualnie o siódmej spotykali się wtedy w domu teściów na kolacji.

O ósmej wrócili do domu. Synka zabrała ze sobą i od razu położyła go spać. Musiała go tylko zanieść do łóżeczka, teściowa już wcześniej założyła mu pieluchę i piżamkę.

Gereon usiadł przed telewizorem, obejrzał najpierw wiadomości, potem film. O dziesiątej przybrał charakterystyczny niespokojny wyraz twarzy. Zapalił jeszcze papierosa. Przedtem powiedział:

– Zapalę jeszcze jednego.

Był spięty i niepewny. Od tygodni nie wiedział, jak ma się zachowywać. Po kilku minutach zgasił papierosa i oznajmił:

– Pójdę już na górę.

Równie dobrze mógłby trzasnąć batem lub zrobić jakąś inną straszną rzecz.

Ledwo zdążyła się podnieść z fotela, zawołał:

– Cora, idziesz? Jestem gotowy.

Wziął prysznic i umył zęby. Jeszcze raz przejechał golarką po policzkach i szyi, wklepał w skórę nieco płynu po goleniu. Czysty, pachnący i przystojny stał teraz w drzwiach łazienki. Na sobie miał tylko slipy. Pod cienkim materiałem wyraźnie widać było jego erekcję. Uśmiechnął się zakłopotany i przeciągnął dłonią po karku, po mokrych po prysznicu włosach. Potem spytał niepewnie:

– A może nie masz ochoty?

Łatwo byłoby powiedzieć, że nie. Myślała o tym przez chwilę. Ale to nie rozwiązało problemu. Odłożone nie oznaczało załatwione.

Szybko skończyła się myć. Na półce nad umywalką leżało opakowanie środków nasennych, silniejszych niż na początku, a paczka była jeszcze prawie pełna. Wzięła dwie tabletki i popiła wodą z kubka. Potem, po chwili wahania, połknęła pozostałych szesnaście z nadzieją, że wystarczy ich, by ze sobą skończyć. Poszła do sypialni, ułożyła się obok Gereona i zmusiła się do uśmiechu.

Nie robił wiele zamieszania, starał się jak najszybciej skończyć. Położył rękę na celu i wsunął palec, sprawdzając możliwości. Nie było żadnych. Odkąd spróbował ją tam pocałować, nigdy ich nie było. Przyzwyczał się już do tego, przygotował krem nawilżający, delikatnie go wmasował, po czym wsunął się na Corę i wszedł w nią.

W tym momencie zaczęło się szaleństwo. W pokoju było zupełnie cicho, pomijając oddech Gereona, najpierw wstrzymywany, potem silniejszy i głośniejszy. Poza oddechem nie było nic. A mimo to usłyszała dźwięki płynące z niewidzialnego radia. Po pół roku rytm był jej tak dobrze znany jak bicie własnego serca: galopujące uderzenia perkusji, którym towarzyszyły akordy gitary basowej i wysokie piski organów. Gdy Gereon przyspieszył, nasiliły się, aż pomyślała, że pęknie jej serce. Potem wszystko minęło, jakby ucięte dokładnie w chwili, gdy Gereon ułożył się obok niej.

Przekręcił się na bok i szybko zasnął. Patrzyła w ciemność i czekała, aż szesnaście tabletek zacznie działać.

Jej żołądek zdawał się wypełniony płynnym ołowiem, palił i burczał, jakby piekł go ogień. Potem zrobiło jej się gorąco i sucho w gardle. Z trudem dotarła do łazienki i wymiotowała. Później płakała przez sen, płakała w trakcie koszmaru, który rozrywał noc na tysiąc części, płakała wciąż, gdy Gereon potrząsał ją za ramiona i patrzył, nic nie rozumiejąc.

– Co ci się stało?

– Już nie mogę – odparła. – Po prostu już nie mogę.

Przy śniadaniu wciąż było jej niedobrze i czuła silny ból głowy. Często tak się działo pod koniec tygodnia. Gereon ani słowem nie wspominał o nocnych wydarzeniach, tylko spoglądał na nią z nieufnością i powątpiewaniem.

Zaparzył kawę. Wyszła mu za mocna i jeszcze raz podrażniła jej obolały żołądek.

Gereon wyjął syna z łóżeczka, posadził go sobie na kolanach i karmił kromką chleba grubo posmarowaną masłem i konfiturą. Był dobrym ojcem, troszczył się o dziecko, gdy tylko znajdował na to czas.

W ciągu tygodnia mały był pod opieką babci, spał także u teściów, w pokoju, który niegdyś należał do Gereona. Na weekend Cora zabierała syna do siebie. A gdy tak siedział u Gereona na kolanach, wydawał się najlepszą rzeczą, jaka jej się przydarzyła w życiu.

Gereon otarł mu konfiturę z brody i kącików ust.

– Ubiorę go – powiedział. – Na pewno chcesz go zabrać ze sobą na zakupy.

– Pojadę dziś później – odparła. – A w taki upał lepiej go zostawię.

Była dopiero dziewiąta, a termometr wskazywał już dwadzieścia pięć stopni. Ból głowy niemal wyciskał jej oczy z czaszki. Nie mogła myśleć, a musiała wszystko to zaplanować i wykonać starannie. Spontaniczna próba, taka jak w nocy, okazała się nieudolna, zbyt wielu rzeczy nie wzięła pod uwagę. Gdy Gereon kosił trawnik, przyniosła od teściowej jedną z silnych tabletek przeciwbólowych dostępnych tylko na receptę. Potem wysprzątała kuchnię, łazienkę, schody i przedpokój tak dokładnie jak nigdy przedtem. Wszystko musiało być w idealnym porządku.

O jedenastej zabrała syna do teściowej i z dwiema pustymi torbami na zakupy poszła do samochodu. Auto zdawało się najprostszym rozwiązaniem. Jednak gdy ruszyła, zrezygnowała z tego pomysłu. Samochód był potrzebny Gereonowi. Jak inaczej dojechałby w poniedziałek do klientów? Poza tym nigdy nie zniszczyłaby czegoś tak drogiego jak nowe auto.

Z przyzwyczajenia pojechała do supermarketu. Napełniając koszyk, rozważała inne możliwości. Nic nie przychodziło jej do głowy. Przy stoisku z wędlinami stało kilkanaście kobiet. Zastanawiała się, ile z nich z tęsknotą wyczekiwało wieczoru, a ile czuło się tak samo jak ona. Żadna! Tego była pewna.

Stanowiła wyjątek. Zawsze była wyjątkiem, samotniczką z blizną na czole. Cora Bender, niespełna dwudziestopięcioletnia, delikatna, szczupła, od trzech lat zamężna, matka prawie dwuletniego synka, którego urodziła w zasadzie na stojąco, zaraz po wejściu do karetki.

Nagły poród, tak powiedzieli lekarze. Teściowa uważała inaczej.

– Musiała taka długo się puszczać, wtedy na dole zrobiła się dość szeroka, żeby wyrzucić z siebie dziecko w ten sposób. Kto wie, co wcześniej robiła! Na pewno nic dobrego, skoro rodzice nie chcą jej znać. Nie przyszli nawet na wesele. Człowiek się zastanawia dlaczego.

Cora Bender, rudawobrązowe długie do ramion włosy opadające na czoło w ten sposób, że zasłaniały krzywą bliznę przy uszkodzonej kości. Ładna, pociągła twarz o niepewnym, bezradnym wyrazie, jak gdyby zapomniała włożyć do koszyka jakiś produkt. Małe dłonie, które tak mocno zaciskały się na uchwycie koszyka, że aż bieleły jej knykcie. Brązowe oczy niespokojnie spoglądające na towary w koszyku, liczące opakowania jogurtu, zatrzymujące się na tacce z jabłkami. Sześć jabłek, dużych i soczystych, o złotej skórce. Golden delicious. Uwielbiała tę odmianę. Uwielbiała także życie. Ale jego już nie było. Dokładnie rzecz biorąc, nie było go nigdy. I wtedy przyszło jej do głowy, jak może doprowadzić rzecz do końca.

Po południu, gdy minął najgorszy upał, pojechali nad Otto-Maigler-See. Gereon prowadził. Nie był zachwycony jej pomysłem, ale nie protestował. Okazał swój zły humor w inny sposób, nie mając pojęcia, że przez to umacnia ją w podjętej decyzji. Przez kwadrans krążył po zakurzonej parkingowej drodze położonej najbliżej wejścia.

Dalej było dużo wolnych miejsc. Kilkakrotnie zwróciła mu na to uwagę.

– Nie mam ochoty dźwigać tych wszystkich klamotów taki kawał – odparł.

W samochodzie panował upał. Podczas podróży nie mogli opuścić szyb. W przeciagu dziecko łatwo by się zaziębiło. Gdy wyjeżdżali, była spokojna. Kręcenie się po parkingowej drodze zdenerwowało ją.

– Zdecyduj się wreszcie – powiedziała ostro. – Inaczej w ogóle przestanie się opłacać.

– Gdzie ci się tak spieszy? Te kilka minut nie ma znaczenia. Może któryś odjedzie.

– Co za bezsens. O tej porze nikt nie jedzie do domu. Albo wreszcie zaparkujesz, albo mnie wysadź, to pójdę pieszo. Jak dla mnie możesz się tu kręcić do samego wieczora.

Była czwarta. Gereon się skrzywił, ale nic nie powiedział. Kawałek wycofał auto, choć wiedział, że ona tego nie znosi. W końcu zaparkował tak blisko innego samochodu, że drzwi po jej stronie nie dawały się otworzyć.

Wydostała się na zewnątrz, lekki powiew musnął jej czoło, przynosząc ulgę. Potem schyliła się znowu do dusznego samochodu, sięgnęła po torbę, zawiesiła ją sobie na ramieniu i wyjęła dziecko z fotelika na tylnym siedzeniu. Postawiła synka obok auta i przeszła na tył, by pomóc Gereonowi w rozpakowywaniu.

Wzięli wszystko, co może być potrzebne do spędzenia popołudnia nad jeziorem. Później nikt nie powinien niczego podejrzewać. Koc i parasol przeciwsłoneczny wcisnęła pod ramię, na którym wisiała już torba. Obydwa leżaki chwyciła w drugą rękę, dla Gereona zostały tylko ręczniki, lodówka turystyczna i dziecko.

Zamrugała oczami w rażącym świetle. Na wielkim placu nie było odrobiny cienia. Na skraju rosło zaledwie kilka krzaków, raczej zakurzonych niż zielonych. Okulary leżały głęboko schowane w torbie. Nie założyła ich w samochodzie, tylko opuściła klapkę. Gdy szła, leżaki uderzały ją w nogę. Wystający kawałek metalu drapał niemiło gołą skórę i zostawiał czerwony ślad.

Gereon dotarł do bramki przy wejściu i czekał na nią. Ręką wskazywał na drucianą siatkę, tłumacząc coś dziecku. Był ubrany tylko w szorty i sandały. Nagi tors, śniada, gładka skóra. Miał dobrą sylwetkę, szerokie plecy, umięśnione ramiona i wąskie biodra. Gdy tak stał, nabrała pewności, że szybko znalazłby sobie inną. Podeszła, a on nie ruszył się z miejsca i nie pomógł jej z rzeczami.

Przed wejściem należało pokazać dowód opłaty za parking. Wcześniej go schowała, odstawiła więc leżaki i zaczęła szukać karteczki w torbie. Przepięła rękę przez pieluchy i świeżą bieliznę obok dwóch jabłek, banana i kawałka keksu, poczuła między palcami plastikową łyżeczkę do jogurtu, a potem ostrze małego nożyka do obierania. Prawie się zacięła. W końcu natrafiła na skórzany portfel, otworzyła go, wyjęła bilet i pokazała go kobiecie przy bramce. Następnie wzięła do ręki leżaki i w ślad za Gereonem ruszyła do wejścia.

Musieli przejść daleko po wydeptanym trawniku, przepychać się między

niezliczonymi kocami, siedzącymi ludźmi i bawiącymi się dziećmi. Pasek torby wrzynał jej się w ciało. Przyciskająca koc i parasol ręka zdrętwiała. Noga bolała w miejscu, gdzie metalowa część leżaka drapała skórę. Były to czysto zewnętrzne doznania, które już jej nie przeszkadzały. Skończyła z życiem, starała się tylko zachowywać normalnie i nie robić nic, co mogłoby zaniepokoić Gereona. Chociaż nie wierzyła, że właściwie zinterpretowałby zdradziecki gest albo słowo.

W końcu zatrzymali się w miejscu dającym przynajmniej złudzenie cienia – rosło tam wątłe drzewko z rzadką koroną, liście zwisały w dół niczym uspione. Pień nie był grubszy niż ramię.

Położyła rzeczy na trawie, rozłożyła parasol i wbiła go ostrym końcem w ziemię. Pod nim położyła koc, a leżaki ustawiła obok. Gereon posadził synka na kocu i przesunął lodówkę pod parasol. Potem usiadł, zdjął dziecku buty i skarpetki, ściągnął mu przez głowę cienką koszulkę i zsunął kolorowe spodenki.

Mały siedział w białych majteczkach nad paczką pieluch. Z włosami miękko okalającymi mu buzię wyglądał prawie jak dziewczynka. Spojrzała na niego i zastanowiła się, czy brakowałoby mu jej, gdyby odeszła. Pewnie nie, skoro i tak większość czasu spędzał u teściowej.

To było dziwne uczucie stać wśród wszystkich tych ludzi. Za nimi na kilku kocach rozłożyła się liczna rodzina. Ojciec, matka, dziadek, babcia, dwie dziewczynki, cztero- i pięcioletnia, w bikini z falbankami. Niemowlę w pieluszcze raczkowało pod parasolem.

Tak jak wcześniej w supermarkecie zastanawiała się teraz, co się dzieje w głowach innych ludzi. Babcia za drzewkiem bawiła się z niemowlęciem. Obaj mężczyźni wylegiwali się na słońcu. Dziadek położył gazetę na twarzy, ojciec nasunął czapkę na oczy. Matka wyglądała na zmęczoną. Kazała jednej z dziewczynek wytrzeć nos i równocześnie szukała w koszu chusteczek. Na prawo od nich siedziała na leżakach starsza para. Po lewej kawałek trawnika był wolny. Gromadka dzieci grała tam w piłkę.

Cora zdjęła koszulkę i zsunęła spódnicę, pod spodem miała kostium kąpielowy. Poszukała w torbie okularów przeciwsłonecznych, włożyła je i usiadła na leżaku.

Gereon także już siedział.

– Posmarować cię kremem? – spytał.

– Zrobiłam to w domu.

– Na plecach trudno wszędzie dosięgnąć samemu.

– Przecież nie siedzę plecami do słońca.

Gereon wzruszył ramionami, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Popatrzyła na wodę. Przyciągała ją niczym magnes. Dla wytrawnej pływaczki nie będzie to proste. Ale jeśli wcześniej zrobi okrażenie, porządnie się przy tym męcząc... Podniosła się znowu, zdjęła okulary i powiedziała:

– Idę do wody.

Nie musiała mu tego mówić. Nawet nie otworzył oczu.

Przeszła przez trawnik i wąskie pasmo piasku, zaczęła brodzić w przybrzeżnej płytcźnie. Woda była chłodna i rześka. Gdy zanurkowała, a toń zamknęła się ponad jej głową, przeszedł ją przyjemny dreszcz.

Popłynęła aż do linii oddzielającej plażę strzeżoną od reszty jeziora, a potem przez

chwile wzdłuż niej. Natychmiast ogarnęła ją pokusa, by zrobić to od razu – przekroczyć granicę i wypłynąć dalej. Nie było to zabronione. Na drugim brzegu także znajdowało się kilka koców, a na nich siedzieli grupkami ludzie, którzy nie chcieli płacić za wstęp i którym nie przeszkadzało leżenie na kamieniach i pośród zarośli. Jednak ratownik na drewnianej wieżyczce ustawionej na publicznej plaży miał w zasięgu wzroku także tamten brzeg. Tyle że nie mógł widzieć wszystkiego naraz i w razie potrzeby nie dotarłby wystarczająco szybko na miejsce. Założenie było takie, że ktoś krzyknie o pomoc lub przynajmniej zamacha ramionami. A jeśli w zamieszaniu gdzieś po prostu zniknie czyjaś głowa...

Podobno utopił się tu kiedyś jakiś mężczyzna, jego ciała nigdy nie znaleziono. Nie wiedziała, czy to prawda. Jeśli tak, to mężczyzna nadal musiał leżeć na dnie. Mogłaby z nim zamieszkać wśród ryb i wodorostów. W tym wodnym świecie z pewnością było pięknie, nie istniały melodie ani czarne sny, tylko lekki szmer i tajemnicze zielenie lub brązy. Człowiek w jeziorze nie słyszał perkusji. Tylko uderzenia własnego serca. Żadnej gitary ani pisków organów. Jedynie szum własnej krwi w uszach.

Po prawie godzinie popłynęła z powrotem, choć przyszło jej to z trudem. W wodzie straciła już jednak większość sił. Czuła także potrzebę pobawienia się jeszcze chwilę z dzieckiem, może wytłumaczenia mu, dlaczego musi odejść. Mały tego nie rozumiał. Chciała także dyskretnie pożegnać się z Gereonem.

Gdy dotarła do swojego koca, starszej pary już nie było. Stały tam tylko dwa puste leżaki. Miejsce po lewej stronie zajął ktoś inny. Zniknęły dzieci z piłką. Leżał tam teraz jasnozielony koc, tak blisko jej leżaka, że dotykał go rogiem. Pośrodku stał duży przenośny radiomagnetofon, z którego płynęła muzyka, wypełniając popołudnie.

Wokół magnetofonu ułożyły się cztery osoby, wszystkie w tym samym wieku co ona i Gereon. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety. Dwie pary! Kobieta i mężczyzna siedzieli wyprostowani z podciągniętymi nogami i tylko rozmawiali. Obie twarze zwrócone profilem. Twarze drugiej dwójki początkowo w ogóle nie dało się dostrzec. Leżeli oni wyciągnięci na kocu, mężczyzna na górze.

U kobiety widać było tylko włosy, bardzo jasny blond, niemal białe i bardzo długie – sięgały jej bioder. Mężczyzna miał włosy ciemne i poskręcane na karku. Jego muskularne nogi leżały między rozłożonymi udami kobiety. Rękami obejmował jej głowę. Całował ją.

Ten widok natychmiast ścisnął Corze serce. Oddychała z trudem, poczuła, że nogi ma jak z waty. W głowie miała pustkę. Tylko po to, by znowu ją napęłnić, schyliła się pod parasol i chwyciła ręcznik. Aby zagłuszyć przyspieszającą tętno melodię, pogładziła dziecko po główce, zamieniła z nim parę słów, wyciągnęła z torby czerwoną plastikową rybkę i wcisnęła mu ją do rączki.

Potem obróciła leżak tak, że grupa z magnetofonem znalazła się za jej plecami. Mimo to wciąż miała ich przed oczami. Stopniowo jednak obraz zblakł, a ona się uspokoiła. Nie obchodziło jej, co robiła para z tyłu. Było to normalne i nieszkodliwe, muzyka nawet nie przeszkadzała. Ktoś śpiewał coś po angielsku.

Oprócz muzyki słyszała wysoki głos kobiety i poważny mężczyzny. Musiał to być ten wyprostowany. Gdy tak rozmawiali, odnosiło się wrażenie, że nie zna swojej

rozmówcy zbytnie długo. Nazywał ją Alice. Imię to przypomniało jej o książce, którą miała jako dziecko. Przez jeden dzień! *Alicja w Krainie Czarów*. Nie przeczytała jej. Nie zdążyła przez te kilka godzin. Ojciec opowiedział jej, o czym była. Ale jego opowieści nie miały wartości większej niż jego obietnica:

– Pewnego dnia będzie lepiej.

Mężczyzna za leżakiem opowiadał, że chce się usamodzielnić. Dostał dobrą ofertę otworzenia wspólnej praktyki, tłumaczył Alice. Pozostającej dwójki leżącej na kocu nie było słyhać.

Gereon zerknął żonie przez ramię i się uśmiechnął. Odruchowo spojrzała do tyłu. Ciemnowłosa mężczyzna podniósł się. Wciąż zwrócony plecami do Cory klęczał obok jasnowłosej kobiety, zdjął górę jej bikini i wylewał olejek do opalania między jej piersi. Wyraźnie było widać mokry ślad. Właśnie zabierał się do rozsmarowywania. Kobieta prężyla się pod jego dotykiem. Najwyraźniej sprawiała jej to przyjemność. Potem ona także usiadła.

– Teraz ty – powiedziała. – Ale najpierw włączymy prawdziwą muzykę. Przy tym rzępoleniu można zasnąć.

Obok nóg jasnowłosej kobiety leżała kolorowa torba. Sięgnęła do niej i wyjęła kasetę. Ciemnowłosa mężczyzna zaprotestował:

– Nie, Ute, nie tę. To nie *fair*. Skąd ją masz? Oddawaj!

Złapał kobietę za ramię. Pozwoliła mu się przewrócić na plecy, on opadł na nią. Szamotali się i prawie sturlali z koca.

Gereon wciąż się uśmiechał.

Mężczyzna leżał teraz na plecach, kobieta usiadła na nim okrakiem, uniosła dłoń z kasetą ponad głowę, śmiała się i dyszała:

– Wygrałam, wygrałam. Nie psuj nam zabawy, skarbie. Ta muzyka jest świetna.

Pochyliła się do magnetofonu. Jej długie blond włosy dotknęły nóg mężczyzny, gdy wkładała kasetę i włączała przycisk. Potem nastawiła głośniej.

Słowa „Nie psuj nam zabawy” i „skarbie” uderzyły Corę i poruszyły coś w jej wnętrzu. Gdy zabrzmiały pierwsze takty melodii, jasnowłosa kobieta dała się przewrócić mężczyźnie i objęła dłońmi jego twarz. Pocałowała go i przesuwiała biodrami po jego podbrzuszu.

Gereon przybrał swój niespokojny wyraz twarzy.

– Posmarować cię kremem? – spytał.

– Nie!

Nie chciała być taka ostra. Ale to, co robiła ta kobieta, i reakcja Gereona wywołały w niej wściekłość. Gwałtownie wstała. Nadszedł czas, by pożegnać się z dzieckiem. Chciała to zrobić w spokoju, a nie z leżącą w pobliżu kobietą, która nazbyt wyraźnie unaoczniła jej to, w czym ona sama zawiodła.

– Mogliby przynajmniej ściszyć muzykę – powiedziała. – Głośna muzyka jest tu zabroniona.

Gereon skrzywił się.

– Najchętniej zabroniłabyś ludziom oddychać. Nie wściekaj się tak. Mnie podoba się muzyka i reszta też. Ona ma przynajmniej w sobie trochę ognia.

Zignorowała jego słowa, podniosła dziecko i wolną ręką sięgnęła po czerwoną rybkę. Dobrze i kojąco było czuć ciepłe, mocne ciało, pieluszkę pod białymi spodenkami, pulchną rączkę na plecach i widzieć dziecięcą twarzyczkę tak blisko swojej.

Postawiła synka na płyciźnie przy brzegu. Zatrząsał się. Woda była dla niego zimna po tak długim czasie spędzonym na słońcu. Po kilku sekundach przysiadł i spojrzał na nią. Podała mu czerwoną rybkę, a on ją zanurzył w wodzie.

To było śliczne, ciche dziecko. Nie mówiło dużo, choć jak na swój wiek miało dość bogate słownictwo i umiało formułować krótkie zdania. „Chcę jeść”. „Tata musi pracować”. „Babcia robi budyń”. „To jest łóżko mamy”.

Pewnego niedzielnego ranka, wkrótce po przeprowadzce do własnego domu, gdy mały skończył właśnie rok, Cora zabrała go ze sobą do łóżka. Zasnął w jej ramionach. To było głębokie i ciepłe uczucie tak go trzymać.

Gdy stała teraz wyprostowana obok niego, spoglądała na jego wąskie białe plecki, małą piąstkę, która kołysała w wodzie czerwoną rybkę, na pochyloną główkę o niemal białych włosach, na delikatną szyję, to uczucie nadeszło znowu. Jeśli nie było wystarczająco wielu powodów, zrobiłaby to tylko dla niego. Żeby dorastał wolny i bez obciążeń. Kucnęła obok niego i pocałowała go w ramię. Pachniał mleczkiem do opalania, czysto i świeżo. Gereon posmarował go, gdy pływała.

Przez pół godziny stała z dzieckiem w płytkiej wodzie, zapomniała o obu parach na zielonym kocu, o wszystkim, co mogło zakłócić pożegnanie. Trawnik powoli opustoszał, dochodziła szósta, a ona uświadomiła sobie, że już najwyższy czas. Gdyby nie miała ze sobą dziecka, wypłynęłaby, nie myśląc nawet przez chwilę o Gereonie. Nie mogła jednak zostawić na brzegu bezradnego malca całkiem samego. Poszedłby za nią.

Wzięła go znowu na ręce, przez kostium poczuła teraz na brzuchu chłodne nóżki i mokre spodenki, a na szyi mocne, pulchne ramionka. Ścisnął czerwoną rybkę za płetwę.

Gdy podeszła do ich parasola, spostrzegła, że na zielonym kocu nic się nie zmieniło. Muzyka rozbrzmiewała tak głośno jak przedtem. Jedna para spokojnie siedziała i rozmawiała. Druga znowu leżała.

Nie przejmowała się tym, włożyła dziecku świeżą pieluchę i suche majtki. Chciała już odejść, została jednak znowu zatrzymana.

– Chcę jeść – powiedziało dziecko.

Kilka minut nie robiło różnicy. Była całkowicie skoncentrowana na ostatnich chwilach z synem.

– Co chcesz? Jogurt, banana, keks czy jabłko?

Przechylił główkę, jakby poważnie zastanawiał się nad jej pytaniem.

– Jabłko – odpowiedział.

Jeszcze raz usiadła na leżaku, wyjęła z torby jabłko i mały nóż do obierania.

Pod jej nieobecność Gereon przesunął leżak tak, że nie siedziała już tyłem do koca, lecz bokiem, a jemu łatwiej było spoglądać przez jej ramię. Siedział z wyciągniętymi nogami i rękami założonymi na brzuchu, udawał, że patrzy na wodę, ale naprawdę zerkał na piersi jasnowłosej wywłoki. Na pewno znajdzie sobie taką, jak jej już nie będzie.

Powinna się zdenerwować na samą myśl, ale nic takiego nie nastąpiło. Nawet się nie zasmuciła. Ta jej część, która zdolna była do odczuwania, już umarła, odeszła w ciągu

ostatnich sześciu miesięcy, a ona nawet tego nie zauważyła. Myślała tylko o tym, jak sobie wszystko ułatwić.

Nie walczyć z wodą. Tam gdzie zaczynała się odgradzająca linia, mały kawałek ładu porośnięty chaszczami wcinął się w jezioro. W tym miejscu natychmiast zniknęłaby ludziom z oczu. A potem popłynąć na środek jeziora. Od razu zanurkować. To odbierało siły.

Z magnetofonu huczała solówka na perkusji. Choć nie zwróciła na to uwagi, pot wystąpił jej na czoło. Mocno trzymała jabłko w dłoni, czuła dreszcze na karku, mięśnie jej ramion się napięły. Po plecach przeszły jej ciarki i poczuła się tak, jakby leżała na zimnej podłodze. I coś, co przypominało bardzo gruby kciuk, wcisnęło się jej do ust. Tak jak na Boże Narodzenie, gdy Gereon chciał, żeby było wyjątkowo pięknie.

Przełknęła głośno ślinę, wzięła nożyk i podzieliła jabłko na ćwiartki, trzy położyła sobie na ściśniętych kolanach.

Za nią znajomy już głos Alice powiedział:

– Naprawdę jest w tym ogień.

Siedzący mężczyzna odparł:

– Dziś nikt by się tego po nim nie spodziewał. Minęło już pięć lat. To były dla Frankiego dzikie dni. Wszystko nie trwało dłużej niż kilka tygodni. Nie lubi, kiedy mu się o tym przypomina. Ale sądzę, że Ute ma rację. Muzyka jest świetna, nie musi się jej wstydzić. Było ich troje przyjaciół, niestety, nigdy nie wyszli z piwnicy. Frankie siedział przy perkusji.

„Frankie” – krótko zabrzmiało w jej głowie. Przyjaciele, piwnica, perkusja, wszystko utkwilo głęboko.

– Też przy tym byłeś? – spytała Alice.

– Nie – brzmiała odpowiedź – wtedy go jeszcze nie znałem.

Gereon przeciągnął się na leżaku i spojrzał na jabłko w jej dłoni.

– Na pewno nie zje wszystkiego. Możesz mi dać resztę.

– Resztę zjem sama – powiedziała. – A potem popływam. Weź sobie drugie. Mamy jeszcze jedno.

Na koniec kawałek jabłka! Golden delicious, już jako dziecko uwielbiała tę odmianę. Na samą myśl ciekła jej ślinka.

Blondynka na kocu podniosła się. Cora widziała to kątem oka.

– Poczekaście – powiedziała kobieta i włączyła przycisk magnetofonu. – Przewinę trochę. To, co leciało do tej pory, to nic w porównaniu z *Song of Tiger*. Nie słyszeliście do tej pory nic lepszego.

Ciemnowłosa mężczyzna przeturlał się i znowu złapał kobietę za ramię. Cora po raz pierwszy zobaczyła jego twarz, ale nie mówiła jej nic. Jego głos tak samo jak dotąd wpadał jednym uchem, a wypadał drugim, gdy na nowo i tym razem silniej zaprotestował:

– Nie, Ute, już wystarczy. To nie. Nie rób mi tego. – Wydawał się mówić poważnie.

Ale Ute zaśmiała się i odtrąciła jego rękę.

Cora pomyślała o domu. Teściowa na pewno sprawdziła już każdy kąt i nie znalazła niczego, do czego mogłaby się przyczepić. Wszystko było nienagannie czyste. Księgowość także była w porządku. Nikt nie mógłby jej zarzucić, że była flejtuchem.

Oczyściła ćwiartkę jabłka z pestek i obrała jak najcieniej skórkę. Podała kawałek dziecku i wzięła następny dla siebie. W tym momencie muzyka rozbrzmiała ponownie, jeszcze głośniejszą niż wcześniej. Nie chciała się przyglądać, ale mimo to zerknęła kątem oka w tamtą stronę i ujrzała, jak blondynka pozwala przewrócić się na ziemię. Ręce trzymała na barkach mężczyzny i pociągnęła go za sobą. Cora zobaczyła, jak zanurzył dłoń w jej jasnych włosach. Jak je pociągnął i ułożył głowę kobiety w pozycji, która była dla niego wygodna. Potem pocałował ją. A perkusja...

Kawałki jabłka spadły na trawę, gdy skoczyła na nogi. Gereon wzdrygnął się, gdy zaczęła krzyczeć.

– Przestańcie, świnie! Przestańcie! Zostawcie ją! Zostawcie!

Przy pierwszym zdaniu padła przy mężczyźnie na kolana, przy ostatnim zdążyła już raz wbić nożyk w jego ciało.

Pierwszy cios trafił go w kark. Krzyknął, przetoczył się i złapał ją za przegub. Przez sekundę lub dwie trzymał ją w mocnym uścisku. Spojrzał wtedy na nią. A potem puścił i spojrzał jeszcze raz. Wymamrotał coś. Nie zrozumiała. Muzyka była za głośna.

To było to! To była melodia z jej głowy, melodia, od której zaczęło się szaleństwo. Rozbrzmiewała ponad wydeptanym trawnikiem, głąskała przerażone twarze i zeszywniałe ciała.

Drugi cios trafił z boku w szyję. Mężczyzna otworzył szeroko oczy, ale nie wydał już z siebie żadnego dźwięku, sięgnął tylko ręką do szyi i spojrzał jej głęboko w oczy. Krew trysnęła mu pomiędzy palców czerwona jak plastikowa rybka. Jasnowłosa kobieta krzyknęła i próbowała przeczołgać się między jego nogami.

Cora uderzyła jeszcze raz i jeszcze raz. Cios w gardło. Cios w ramię, cios w policzek. Nóż był mały, ale spiczasty i bardzo ostry. A muzyka brzmiała tak głośno. Melodia wypełniała jej całą głowę.

Mężczyzna, który wcześniej siedział i rozmawiał z Alice, krzyknął coś. Brzmiało to jak: „Przestań!”.

Oczywiście! O to przecież chodziło. Przestańcie! Przestańcie, świnie! Siedzący mężczyzna wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją schwycić za ramię. Ale tego nie zrobił. Nikt niczego nie zrobił. Było tak, jakby wszyscy w tym momencie zamarli. Alice przyciskała obie dłonie do ust. Blondynka na zmianę jęczała i krzyczała. Małe dziewczynki w bikini z falbankami tuliły się do matki. Dziadek opuścił gazetę i wyprostował się. Babcia przycisnęła niemowlę do piersi. Ojciec próbował wstać.

Wreszcie Gereon zerwał się z leżaka i w następnej chwili znalazł się nad żoną. Uderzył ją pięścią w plecy, chciał chwycić rękę z nożem, gdy ponownie uniosła ramię. Wrzasnął:

– Cora! Dość tego, do cholery! Oszalałaś?

Nie, nie, w głowie miała absolutną jasność. Wszystko było dobrze. Wszystko było w porządku. Musiało tak być. Wiedziała to na pewno. Mężczyzna także to wiedział, można to było wyczytać w jego oczach.

– Oto moja krew przelana za twoje grzechy.

Gdy Gereon rzucił się na nią, siedzący mężczyzna i ojciec małych dziewczynek przyszli mu z pomocą. Chwycili ją za ramiona, a Gereon wyrwał jej nóż z rąk, złapał za

włosy, odchylił głowę do tyłu i kilkakrotnie uderzył pięścią w twarz.

Gereon krwawił z dwóch lub trzech ran na ramieniu. Jego także trafiła, choć niechcący. Drugi mężczyzna krzyknął na Gereona, żeby przestał. Ten w końcu się opanował. Trzymał ją jednak w żelaznym chwycie za kark i przyciskał jej twarz do zakrwawionej piersi ofiary.

Było cicho. Wszędzie wokół również panowała niemal zupełna cisza. Tylko kilka rytmów, ostatnia solówka na perkusji tuż przed końcem taśmy. Potem kliknięcie. Przycisk magnetofonu podskoczył, skończyło się.

Poczuła uchwyt Gereona, bolące miejsca na twarzy, gdzie trafiła jego pięść, krew na policzku i jej smak na ustach. Usłyszała szmer głosów naokoło. Jasnowłosa kobieta jęczała.

Wyciągnęła rękę, by położyć ją kobiecie na nodze.

– Nie bój się – powiedziała. – On cię już nie będzie bił. Chodź. Odejdź stąd. Zniknijmy. Nie powinnyśmy były przychodzić. Możesz wstać sama czy mam ci pomóc? Jej dziecko na kocu zaczęło płakać.

Rozdział 2

Jako dziecko niewiele płakałam, tylko raz. A i wtedy nie płakałam naprawdę, tylko krzyczałam ze strachu. W ciągu ostatnich lat nie myślałam o tym. Ale pamiętam to dokładnie. Jestem w ciemnej sypialni. W oknie wiszą ciężkie brązowe zasłony. Poruszają się. Okno musi być otwarte. W pokoju jest zimno. Marzną.

Stoję obok dużego łóżka. Połowa jest porządnie zasłana, a druga, bliżej okna, w nieładzie. Biję od niej stęchły, kwaśny zapach jak od długo niezmienianej bielizny.

Nie podoba mi się w tym pokoju. Zimno, smród wielomiesięcznego potu, szmatławy bieżnik na gołych deskach. Tam, skąd przyszłam, na podłodze leży gruby dywan, jest przyjemnie ciepły. Ciągnę rękę, która mnie trzyma. Chcę iść.

Po porządnej stronie łóżka siedzi kobieta. Ma na sobie szlafrok i trzyma na ręku niemowlę. Jest owinięte w kocyk, każą mi na nie spojrzeć. To moja siostra Magdalena. Powiedzieli mi, że mam teraz siostrę i że idiemy ją zobaczyć. Ale patrzę tylko na kobietę w szlafroku.

Jest mi zupełnie obca. To moja matka, której długo nie widziałam. Pół roku. Dla małego dziecka to dużo. Pamięć nie sięga tak daleko. A teraz mam zostać u tej kobiety, która spogląda tylko na zawiniątko w kocu.

Jej twarz budzi we mnie lęk. Jest surowa, szara, o gorzkim wyrazie. W końcu patrzy na mnie. Głos odpowiada jej wyglądowi. Mówi:

– Pan nie wybaczył nam win. – Potem odwija kocyk i widzę drobną, siną twarzyczkę. Kobieta mówi dalej: – Wystawił nas na próbę. Musimy ją przejść. Zrobimy, czego od nas oczekuje.

Nie sędzę, bym wtedy zapamiętała jej słowa. Później często mi je powtarzano, dlatego pamiętam je tak dobrze.

Chcę uciec. Dziwny głos kobiety, drobna, sina twarz w kocyku, nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Pociągam znowu za rękę, która mnie trzyma, i zaczynam krzyczeć. Ktoś mnie podnosi i przemawia do mnie uspokajająco. Moja mama! Jestem przekonana, że kobieta biorąca mnie na ręce to moja prawdziwa matka. Mocno do niej przywieram i oddycham z ulgą, gdy zanosi mnie z powrotem do ciepła. Byłam jeszcze bardzo mała, miałam osiemnaście miesięcy. Łatwo to obliczyć.

Gdy urodziła się Magdalena – tak jak ja w szpitalu w Buchholz – miałam rok. Obchodziłyśmy urodziny w tym samym miesiącu. Ja 9, Magdalena 16 maja. Siostra przyszła na świat sina. Zaraz po porodzie zabrano ją do wielkiej kliniki w Eppendorfie i przeprowadzono operację serca. Lekarze odkryli wtedy, że Magdalena cierpi także na inne schorzenia. Oczywiście próbowali jej pomóc, ale nie wszystko dało się doprowadzić do porządku.

Na początku mówili, że dziewczynka pożyje kilka dni, najwyżej kilka tygodni. Lekarze nie chcieli, by matka zabrała ją do domu. Ale ona nie chciała opuścić Magdaleny, została więc w Eppendorfie. Minęło pół roku i moja siostra wciąż żyła, ale lekarze nie mogli jej tam trzymać wiecznie. Wysłali ją do domu, żeby tam umarła.

W ciągu tych sześciu miesięcy mieszkałam u rodziny sąsiadów o nazwisku Adigar.

Jako małe dziecko święcie wierzyłam, że to moja prawdziwa rodzina. I że moja prawdziwa mama, Grit Adigar, zostawiła mnie w domu obok, bo nie chciała mieć ze mną nic do czynienia. Nie od razu, najpierw zabrała mnie z powrotem ze sobą. Niestety, nie na długo.

Nie pamiętam żadnych szczegółów z tego okresu. Często pragnęłam przypomnieć sobie coś z tygodni i miesięcy spędzonych z Grit i jej córkami, Kerstin i Melanie.

Grit była jeszcze bardzo młoda, musiała dopiero co skończyć dwadzieścia lat, jako siedemnastolatka urodziła pierwsze dziecko, a drugie, gdy miała dziewiętnaście lat. Jej mąż rzadko pojawiał się w domu. Był kilka lat starszy, pływał po morzu i zarabiał bardzo dobrze. Grit zawsze miała dość pieniędzy i dość czasu dla swoich córek. Była wesołą, nieskomplikowaną osobą, sama prawie jeszcze dzieckiem.

Często widziałam, jak nagle chwytala jedną z córek, przewracała się z nią na podłogę i łaskotała tak, że dziewczynka skręcała się w jej rękach ze śmiechu, krzyczała, piszczala i miała ubaw po pachy. Dzisiaj nadal sądzę, że gdy się mną opiekowała, robiła tak także ze mną. Że bawiłam się z Kerstin i Melanie. Że Grit wieczorami sadzała mnie sobie na kolanach i tuliła tak jak własne dzieci. Że po południu karmiła mnie ciasteczkami albo opowiadała wesołe historyjki. I że mówiła do mnie: „Jesteś dobrą dziewczynką”.

Ale sześć miesięcy minęło. Tych parę tygodni, które spędziłam jeszcze u Grit po tym, jak matka wróciła z Magdaleną z kliniki, także. Pozostało tylko silne uczucie odsunięcia, odrzucenia, wypędzenia z raju. Bo tam mogły być jedynie czyste anioły, wypełniające wolę Boga od początku do końca, niepodważające Jego praw, niesprzeciwiające się Mu i spoglądające na jabłko na drzewie wiadomości dobrego i złego bez pragnienia, żeby je zerwać.

Ja tego nie potrafiłam. Łatwo ulegałam pokusom, byłam słabym, grzesznym człowiekiem, który nie umiał kontrolować zbudzonych w sobie pragnień, który chciał mieć wszystko, co wpadło mu w oczy. Wierzyłam, że Grit Adigar nie chciała mieszkać z kimś takim pod jednym dachem.

Dlatego musiałam nazywać matką kobietę, której nie mogłam ścierpieć, a ojcem mężczyznę mieszkającego z nami pod jednym dachem. Z tym że jego bardzo lubiłam. On także był grzesznikiem. Matka często go tak nazywała.

Ja nosiłam swoje grzechy w sobie, u ojca były na wierzchu. Często je widziałam, gdy siedziałam w wannie, a on musiał się załatwić. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że ta rzecz była jego grzechem. Być może dlatego, że sama takiej nie miałam, podobnie jak Kerstin i Melanie Adigar. A skoro siebie uważałam za całkiem normalną, to u ojca czegoś musiało być za dużo. Współczułam mu z tego powodu. Często miałam wrażenie, że chciałby się pozbyć swojej ułomności.

Spaliśmy w jednym pokoju. Pewnej nocy obudziłam się, bo był bardzo niespokojny. Myślę, że miałam trzy lata, dokładnie nie pamiętam. Bardzo lgnęłam do ojca. Kupował mi nowe buty, gdy stare zaczynały cisnąć. Wieczorem kładł mnie do łóżka, zostawał, póki nie zasnęłam, i opowiadał o dawnych czasach. O zupełnie dawnych, gdy Buchholz było tylko malusieńką i bardzo biedną wioską. Ledwie kilka zagród, jałowa ziemia, a zwierzęta tak chude, że po zimie nie miały sił wyjść na pastwisko. Musiano je

tam siłą zaciągać. I o tym, jak zbudowano kolej. I jak wszystko stało się lepsze.

Lubiłam takie historie. Kryły w sobie nadzieję, niemal obietnicę. Jeśli z malutkiej biednej wioski powstało piękne miasteczko, to wszystko inne także mogło się zmienić na lepsze.

Owego wieczoru ojciec opowiedział mi o dżumie. Gdy się później przebudziłam, sapał mocno, pomyślałam więc o zarazie – bałam się, że zachorował. Ale potem zobaczyłam, że trzyma w ręku swój grzech. Dla mnie wyglądało to tak, jakby chciał go oderwać. Nie udało mu się.

Pomyślałam, że jak będziemy ciągnąć we dwoje, na pewno damy radę. Tak mu powiedziałam i spytałam, czy mam pomóc. Odparł, że nie potrzeba, wstał z łóżka i po ciemku poszedł do łazienki. A ja uznałam, że chce go obciąć. W łazience leżały duże nożyczki.

Następnej soboty zobaczyłam jednak, że ciągle go nosi. No cóż, ja też bałabym się obciąć coś tak trwale przyrośniętego. Z całego serca życzyłam mu, żeby to odpadło samo, zgniło lub zaropiało, tak jak mnie zaropiał palec od drzazgi.

Gdy to powiedziałam, ojciec uśmiechnął się, schował wszystko z powrotem do spodni, podszedł do wanny i umył mnie.

– Tak – powiedział – miejmy nadzieję, że odpadnie. Możemy się o to modlić.

Nie pamiętam, czy to zrobiliśmy. Zakładałam, że tak. Ciągle modliliśmy się o rzeczy, których nam brakowało lub których nie chcieliśmy mieć – jak ochota na lemoniadę malinową. Często dręczyło mnie to pragnienie.

Pamiętam jeszcze, jak raz – musiałam mieć cztery lata – byłam z matką w kuchni. Nadal nie wierzyłam, że naprawdę jest moją mamą. Wszyscy tak mówili, ale ja wiedziałam już, co to kłamstwo. I zawsze myślałam, że wszyscy kłamią.

Chciało mi się pić, matka dała mi szklankę wody. To była kranówka. Nie lubiłam jej. Nie miała smaku. Matka zabrała szklankę i powiedziała:

– To znaczy, że tak naprawdę nie chce ci się pić.

Chciało mi się, więc powiedziałam, że wołałabym lemoniadę malinową. Taka była u Grit. Matka nie lubiła, gdy chodziłam do sąsiadów. Ale nie miała czasu, by mnie pilnować. A ja korzystałam z każdej okazji, by się wymknąć do swojej prawdziwej rodziny.

Tego dnia także bawiłam się u sąsiadki. Potem Grit szła kogoś odwiedzić. Miała mnóstwo przyjaciół i znajomych. Zapraszali ją, bo jej mąż często na długo wyjeżdżał. Grit zawołała córki do domu, by je umyć i przebrać. Spytałam, czy też mogę jechać, i usłyszałam w odpowiedzi, że „moja mama” na to nie pozwala. Musiałam iść do domu.

Wciąż dokładnie to pamiętam. Było wczesne popołudnie pod koniec lipca lub na początku sierpnia. Na dworze panował upał. Okno w kuchni było otwarte, słońce oświetlało wszystko, całą tę pustkę i ubóstwo, zupełnie niemające przyczyn finansowych.

Ojciec pracował w Hamburgu w biurze portowym. Czasem mi o tym opowiadał. Już w wieku czterech lat wiedziałam, że dobrze zarabiał. Mogliśmy prowadzić lepsze życie. Dawniej moi rodzice nie mogli sobie pozwolić na takie wypady. Potem jednak często bywali w Hamburgu – potańczyć, zjeść i tak dalej.

Odkąd jednak pojawiła się Magdalena, ojciec wydawał dużo pieniędzy na siebie.

Również klinika sporo kosztowała. Lekarze w Eppendorfie dziwili się, że Magdalena wciąż żyje. Często przebywała w szpitalu, czasami na dłuższy okres z powodu operacji, czasami na kilka dni na badaniach. Matka zawsze jej towarzyszyła. A za pokój i jedzenie matki ojciec musiał płacić. Gdy wracały, mówiło się znowu: jeszcze kilka tygodni, najwyżej kilka miesięcy.

Żyliśmy pod jednym dachem ze śmiercią. A matka walczyła o każdy dzień. Pilnowała Magdaleny jak oka w głowie, nawet w nocy. Dlatego ojciec spał w moim pokoju. Na piętrze mieliśmy tylko dwie sypialnie i dużą łazienkę. Kiedy kupowali dom, myśleli, że nie będą mieć dzieci, a drugi pokój przeznaczą dla gości.

Gdy poprosiłam o lemoniadę, matka stała przy kuchence. Była elektryczna. Mieliśmy też lodówkę. Reszta wyposażenia kuchni składała się jednak ze starych, krzywych drewnianych mebli, które rodzice kupili po ślubie. Wszystko w domu było stare, matka też.

Tamtego dnia miała czterdzieści cztery lata, była wysoką kobietą o wychudłej twarzy. Wyglądała na znacznie starszą, niż była w rzeczywistości. Brakowało jej czasu dla siebie. Kosmyki siwych włosów zwisały jej do ramion. Gdy urosły zbyt długie, podcinała je.

Miała na sobie kolorowy fartuch i mieszała w garnku. Szklankę odstawiła do zlewu. Obróciła się do mnie i spytała:

– Lemoniada malinowa? – Miała łagodny głos i zawsze mówiła tak cicho, że trzeba było dokładnie się przysłuchiwać. Potrząsnęła głową, jakby zupełnie nie rozumiała, skąd mógł mi przyjść do głowy tak absurdalny pomysł. Potem mówiła dalej, jak zwykle spokojnie i powoli: – Czy wiesz, co podali naszemu Zbawicielowi, gdy umierając, powiedział, że odczuwa pragnienie? Przyłożyli mu do ust gąbkę zanurzoną w occie. Miseczka wody byłaby dla Niego wielkim szczęściem i złagodziłaby cierpienia. Ale On się nie skarżył i na pewno nie prosił o lemoniadę malinową. Jaka stąd płynie nauka?

Nie mogła to być pierwsza tego rodzaju rozmowa, którą prowadziłam z matką lub ona ze mną. Odpowiedź znałam na pamięć.

– Że nasz Zbawiciel był zawsze zadowolony.

A ja zawsze byłam niezadowolona. Byłam trudnym dzieckiem, przekornym, porywczym, samolubnym. Chciałam mieć wszystko – wszystko tylko dla siebie. Gdy nic nie stało mi na przeszkodzie, po prostu to sobie brałam. Matka wytłumaczyła mi, dlaczego moja siostra tak chorowała. Magdalena wyszła z brzucha matki. A tuż przed nią w brzuchu byłam ja. I zabrałam dla siebie wszystkie siły, które miała matka, a które starczyłyby przynajmniej dla trójki dzieci. Dla Magdaleny nic nie zostało.

Nie przejmowałam się, gdy matka opowiadała podobne rzeczy. Niekoniecznie chciałam być złym człowiekiem, ale jeśli chodziło o siostrę, bycie dobrym nie wydawało się takie ważne. Nie lubiłam Magdaleny. Dla mnie stanowiła rzecz, jak kawał drewna. Nie umiała chodzić ani mówić. Nie potrafiła nawet naprawdę płakać. Gdy coś jej robiłam, piszczała. Większość czasu leżała w łóżku, a niekiedy w fotelu w kuchni, ale to musiał być wyjątkowo dobry dzień.

Oczywiście nie wolno mi było mówić tego, co myślałam, tylko wprost przeciwnie. Potrafiłam to bardzo dobrze robić. Mówiłam jedynie to, co ludzie chcieli usłyszeć. Matka

była zadowolona z mojej odpowiedzi.

– Czy nie sądzisz, że powinnaś brać przykład z naszego Zbawiciela? – spytała. Pokiwałam z zapalem głową. A matka powiedziała:

– Idź więc i proś Go o łaskę i siłę.

Nadal chciało mi się pić. Wiedziałam jednak, że dopóki się nie pomodłę, nie dostanę od niej wody, poszłam więc do salonu.

Był tak samo nędznie i staromodnie wyposażony jak kuchnia. Wytarta kanapa, niski stół na cienkich, krzywych nogach i dwa fotele. Ale nikt, kto wkraczał do tego pomieszczenia, nie patrzył na zniszczone meble.

Wzrok zawsze przyciągał najpierw ołtarz stojący w rogu przy oknie. Właściwie była to zwykła szafka, od której ojciec odpiłował górną część. Przed nią znajdowała się twarda drewniana ławka, na której można było tylko klęczeć. Na szafce leżał biały obrus haftowany w świece, a na nim stał wazon z kwiatami. Najczęściej z różami.

Były bardzo drogie, ale matka kupowała je nawet wtedy, gdy nie starczało jej pieniędzy na dom. Składanie ofiary Zbawicielowi powinno wypełniać serce radością, mawiała. Mojego serca nigdy nie wypełniała radość. Gościło w nim jedynie podejrzenie, że zostałam porzucona. Moja prawdziwa mama, Grit Adigar, musiała już dawno temu zrozumieć, że jestem złym człowiekiem. Nie chciała, by Kerstin i Melanie cierpiały z tego powodu i w końcu zachorowały tak samo jak Magdalena. Dlatego Grit oddała mnie tej kobiecie, która dobrze wiedziała, jak złego człowieka zmienić w dobrego.

Ale jeśli pokażę wszystkim, że jestem dobrym dzieckiem, jeśli będę się pilnie modlić i przestanę grzeszyć, a w każdym razie nie tak, by ktoś zauważył, wkrótce wrócę do swojej prawdziwej rodziny – tak myślałam.

Nie lubiłam zastanawiać się nad tym, czy wszyscy naprawdę byli przekonani, że mogą zapewnić Magdalenie kolejne dni życia. Mimo najlepszych chęci nie wiedziałam, jak miałabym tego dokonać. A więc było jasne, że nigdy już nie zobaczę domu, że będę musiała na zawsze zostać u tej dziwnej kobiety i naszego Zbawiciela.

Stał na szafce, między wazonem a czterema świecznikami z wysokimi, białymi świecami. Właściwie tak naprawdę nie stał, tylko był przyczepiony małutkimi gwoździkami do trzydziestocentymetrowego drewnianego krzyża. A plecy miał dodatkowo przyklejone do drewna. Pewnego razu, gdy matki nie było w pobliżu, zdjęłam Go z szafki, bo chciałam coś sprawdzić.

Chciałam się przekonać, czy otworzy oczy. Matka twierdziła, że umie On zajrzeć głęboko w ludzkie serca i zobaczyć wszystkie grzechy i pokusy. Ale nie otworzył ich, chociaż potrząsałam Nim, poruszałam koroną cierniową na Jego umęczonej głowie i pukałam w brzuch. Dźwięk był taki jak przy pukaniu w stół.

Nie sądzę, żebym miała z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie czułam przed Nim respektu, tylko przed matką, która zmuszała mnie, bym trzy razy dziennie lub częściej klękała i prosiła Go o łaskę, siłę czy miłosierdzie. Miał oczyścić moje serce. Nie chciałam czystego serca. Wystarczało mi, że jest zdrowe. Miał mi dać siłę, bym potrafiła sobie odmawiać różnych rzeczy. Takiej siły też nie chciałam.

Ciągle wszystkiego sobie odmawiać – cukierków, lemoniady malinowej i innych pyszności. Ciasta, którym regularnie częstowała nas Grit Adigar. Piekła je co sobotę –

grubo posypane cukrem. W poniedziałki przychodziła z talerzem, na którym leżały trzy lub cztery kawałki. Były już trochę wyschnięte, ale to w niczym nie przeszkadzało. Matka zawsze odmawiała. A mnie ciekła ślinka na sam widok tego talerza.

Gdy patrzyłam zbyt długo, matka mówiła:

– Znowu patrzysz zbyt pożądliwie.

Potem odsyłała mnie do salonu, a ja klękałam przed szafką w rogu, przed krzyżem, na którym Zbawiciel przelał krew za nasze grzechy.

To był irytujący moment klęczeć obok zmarłego, widzieć jego krew i przerażenie innych. Kobieta o jasnobłond włosach nie pozwalała się dotknąć, nie dała sobie pomóc wstać ani odprowadzić. Zaczęła bić Corę obiema pięściami, gdy tylko zbliżyła się do jej nogi. Siedzący mężczyzna powiedział, żeby zostawiła Ute w spokoju. Zrobiła to. Ute jej nie obchodziła.

Przeprosiła Gereona za rany na ramieniu. Znowu uderzył ją pięścią w twarz. Drugi mężczyzna, który dawno już nie siedział, klęczał naprzeciwko niej i sprawdzał stan zmarłego. Ponieważ jednak ta chwila zawisała w czasie, mężczyzna nadal pozostawał w pozycji siedzącej. Krzyknął do Gereona:

– Niech pan z tym skończy, do cholery! Niech pan wreszcie przestanie!

Gereon krzyknął:

– Oszalałaś? Czemu to zrobiłaś?

Nie wiedziała i właściwie się tego wstydziła.

Chętnie zostałaaby ze zmarłym sam na sam, tylko na kilka minut, by przyjrzeć się mu w spokoju, by napawać się uczuciami, które wywoływał jego widok – zadowoleniem, bezgraniczną ulgą i dumą. Jak gdyby wreszcie wykonała nieprzyjemną, długo odkładaną robotę. Chciała niemal powiedzieć: „Zrobione!”. Nie wymówiła tego jednak, siedziała tylko i czuła się wspaniale.

Jej stan nie uległ zmianie po przybyciu pierwszych policjantów. Było ich czterech, umundurowanych. Jeden chciał wiedzieć, czy mały nożyk należy do niej. Gdy potwierdziła, spytał, czy zabiła tego mężczyznę.

– Tak, oczywiście – odparła. – To ja.

Policjant wyjaśnił, że muszą ją aresztować, że nie musi zeznawać, ma prawo do adwokata i tak dalej.

Podniosła się.

– Dziękuję bardzo – powiedziała. – Nie potrzebuję adwokata. Wszystko jest w porządku.

Tak było. Wszystko było w najlepszym porządku. Nigdy jeszcze nie czuła czegoś tak wspaniałego, takiej radości i wewnętrznego spokoju.

Jeden z policjantów poprosił Gereona, by wyjął z torby jej bieliznę i dowód tożsamości. Nie pozwolił, aby sama sięgnęła do środka. Mogła tylko wziąć swoją spódnicę i bluzkę. O ręczniku nie pomyślała.

Gereon zaczął grzebać w torbie i znów krzyknął:

– Całkiem oszalałaś. Mnie też zraniłaś.

Odpowiedziała mu spokojnie, w sposób opanowany. Gereon podał funkcjonariuszowi jej bieliznę. Policjantowi nie pozostało nic innego, jak tylko ją wziąć i

z obojętnym wyrazem twarzy podać dalej.

Pozwolili jej się umyć. Dwaj mundurowi towarzyszyli jej do toalety dla personelu znajdującej się w niskim budynku przy wejściu. Umywalka była brudna, lustro powyżej zamazane i popryskane wodą. Mimo to wyraźnie widziała swoją twarz. Dotknęła prawej skroni. Skóra w tym miejscu pękła. Powieka mocno spuchła. Mogła patrzeć tylko przez małą szparkę. To jej nie przeszkadzało.

Koniuszkiem języka przesunęła po górnej wardze, polizała krew i pomyślała o drewnianej figurze w salonie, o czerwonej farbie na dłoniach i stopach, o ranie w boku, z której spływało wiele cienkich strużek. Już w wieku czterech lat wiedziała, że to tylko farba. Ale krew mężczyzny, krew na jej twarzy, na jej ciele była prawdziwa. I to było zbawienie.

Wszystko było czerwone. Kostium kąpielowy, jej ramiona, dłonie, nawet włosy się umazały. Chętnie by to tak zostawiła. Ale nie chciała denerwować policjantów. Odkręciła kurek, umyła dłonie i ramiona, wsadziła głowę pod wąski strumień i patrzyła, jak krew spływa do umywalki. Zmieszana z wodą była jasna, prawie jak lemoniada malinowa. A wtedy nie piła prawdziwej lemoniady, tylko syrop rozcieńczony wodą.

Po jakimś czasie matka skapitulowała i pozwoliła zaspokajać niektóre pragnienia córki. Szklanka słodkiego napoju dziennie. Dokładnie rzecz biorąc, dwie, jedna dla niej, druga dla Magdaleny. Znów ujrzała siebie stojącą przy starym kuchennym stole, którego blat miał całe mnóstwo wyrw i szczelin. Zobaczyła siebie, jak uważnym spojrzeniem śledzi matkę, gdy ta nalewała syrop do dwóch szklanek, i zapobiegliwie pilnuje, by w obu znalazła się równa ilość. I zobaczyła, jak szybko sięga po szklankę, w której była może jedna dziesiąta milimetra więcej. I jak biegnie z nią do kranu, zanim matka zauważy drobną różnicę i odeśle ją do salonu.

Od lat o tym nie myślała, a teraz nagle ten obraz stanął jej przed oczami, jakby zdarzyło się to wczoraj. Ojciec próbujący oderwać grzech od ciała, opowiadający stare historie z Buchholz, zawsze dziejące się dawno temu, jakby nie istniało dziś ani jutro. Matka w kolorowym fartuchu, ze zlepionymi włosami i krzyżem. I Magdalena, sina, porcelanowa twarzyczka, którą wciąż obecna śmierć naznaczyła intensywnością i doskonałością. Pokutująca Magdalena, zawiniątko pozbawione sił, cierpiące za grzechy innych.

Wszystko minęło. Zbawiciel ofiarował swoją krew, wziął na siebie ludzkie grzechy i swoją śmiercią otworzył drogę do nieba. Zobaczyła przed sobą Jego twarz, Jego spojrzenie, zrozumienie w Jego oczach, akceptację i wybaczenie. I prośbę: „Ojcze, przebacz jej, bo nie wie, co czyni”. Nikt nie wie wszystkiego!

Namoczyła kostium kąpielowy, użyła go jak gąbki, by umyć piersi i brzuch. Starła wodę rękoma. Co prawda, obok umywalki na haczyku wisiał ręcznik, ale był tak brudny, jakby nie zmieniano go od tygodni. Potem się ubrała. Bielizna i koszula przylepiły się jej do ciała, zwilgotniały i zaczęły prześwitywać. Wahala się przez chwilę, potem spojrzała w dół. Piersi rysowały się pod cienkim materiałem. Nie mogła tak wyjść. Przed drzwiami czekali policjanci, mężczyźni! Wyglądałaby prowokująco, gdyby tak do nich wyszła. Matka dostałaby zawału, czułaby się zmuszona zapalić świece przed domowym ołtarzem, kazałaby jej uklęknąć...

Nie rozumiała, dlaczego nagle wszystko stało się tak rzeczywiste. I tak ważne! Spróbowała się od tego uwolnić, ale się nie udało. Płomienie świec nadal tańczyły jej przed oczami. Zamrugła mocno, by obraz zniknął. Gdy to nie pomogło, otworzyła drzwi i spytała jednego z policjantów:

– Czy macie dla mnie jakąś kurtkę?

Obaj mieli na sobie tylko koszule od mundurów. Wymienili szybkie spojrzenia. Młodszy z zakłopotaniem opuścił głowę. Drugiemu, który mógł mieć trochę powyżej czterdziestki, udało się spojrzeć jej w oczy, a nie na prześwitujące przez wilgotny materiał piersi. Zdawał się rozumieć, o co chodzi.

– Nie potrzeba pani kurtki – powiedział łagodnym, ojcowskim tonem. – Tam, z tyłu, siedzą tacy, którzy mają na sobie mniej niż pani. Skończyła pani już? Możemy iść? Skinęła tylko głową.

Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, zapytał:

– Kto panią uderzył?

– Mąż – wyjaśniła. – Ale nie chciał mi zrobić nic złego. Był bardzo zdenerwowany i stracił panowanie nad sobą.

Policjant zmarszczył czoło, jakby jej odpowiedź go zdziwiła. Złapał ją za łokieć, ale gdy się wzdrygnęła, natychmiast zabrał rękę.

– Chodźmy – powiedział.

Płomienie świec wreszcie zgasły.

Podczas gdy myślała się w toalecie, uprzątnięto większość terenu. Wszyscy, którzy nie byli naocznymi świadkami, zniknęli. Tylko daleko z tyłu, gdzie leżał zielony koc z martwym mężczyzną, znajdowała się jeszcze grupa osób.

Było tuż po siódmej. Na tarasie przylegającym do niskiego budynku stało około dwudziestu ludzi. Wszyscy patrzyli na nią, gdy się zbliżała. Bardzo przykro było oglądać ich przestraszone, pytające miny.

Trójka z zielonego koca znajdowała się nieco dalej. Siedzący mężczyzna próbował pocieszyć kobiety. Ute odtrąciła jego rękę. Bez przerwy jęczała. Stał przy nich młody mężczyzna w dresie. Zadawał pytania i notował odpowiedzi. Dwóch sanitariuszy weszło na taras. Zabrali Ute. Alice podążyła za nią.

To było jak w filmie. Wszędzie coś się poruszało i działo, ona tylko patrzyła. Starszy policjant zaprowadził ją, wskazał krzesło i zadbał, by sanitariusz obejrzał jej twarz, przede wszystkim opuchnięte oko. Zachowywał się bardzo przyjaźnie i został przy niej, gdy jego młodszy kolega poszedł do mężczyzny w dresie i zamienił z nim kilka słów.

Gereon także nadal był na miejscu, trzymał dziecko na kolanach i spoglądał na bandaż na ramieniu. Człowiek w dresie podszedł do niego i coś powiedział. Gereon gwałtownie potrząsnął głową. Potem wstał i zbliżył się do siedzącego mężczyzny. Na nią nawet nie spojrział. Nie obejrzał się też, gdy wkrótce potem w eskorcie obu policjantów poszła w stronę drucianej siatki.

Tuż przy wejściu stały dwa samochody policyjne, a kolejny pojazd w cieniu drzew. Przyszło jej do głowy, że Gereon zaparkował znacznie dalej, w ostrym słońcu. Zatrzymała się i zwróciła do starszego policjanta. Wydawał się dojrzały i bardziej doświadczony od kolegi.

– Czy mogę wiedzieć, jak pan się nazywa?

– Berrenrath – odparł automatycznie.

Podziękowała skinieniem głowy i zwróciła się do niego:

– Proszę posłuchać, panie Berrenrath. Musi pan wrócić i porozmawiać z moim mężem. Proszę mu powiedzieć, że ma porządnie przewietrzyć samochód i zamknąć szyby, zanim wyjedzie. Sam o tym nie pomyśli, znam go. Nigdy nie myśli o takich rzeczach. A mały ma wrażliwe uszy, bardzo dużo już chorował. Przy gorączce łatwo dostaje dreszczy.

Berrenrath tylko skinął głową, otworzył tylne drzwi policyjnego auta i wskazał ręką, że może wsiadać. Młodszy obszedł wóz, usiadł za kierownicą, obrócił się do niej i nie spuszczał z oczu. Wyglądało to niemal tak, jakby się jej bał.

Chętnie by go uspokoiła, ale nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć. Skończyło się! Nie zrozumiałaby tego. Ona także nie rozumiała. Czowała tylko, jakby krwią mężczyzny wypisała sobie na czole: KONIEC!

Berrenrath faktycznie poszedł przekazać jej wiadomość Gereonowi. Nie trwało długo. Gdy usiadł obok niej, powiedział:

– Mąż zwróci na to uwagę.

Poczuła się uwolniona od wszystkiego, lekka, nieco samotna i ogłuszona triumfem – jakby wypłynęła hen, daleko i zanurkowała. To było bardzo przyjemne uczucie. Niestety, ograniczało się do żołądka i okolic serca. Do mózgu powoli zakradało się coś, co kazało jej spojrzeć na wydarzenia z innej perspektywy, oczami ludzi, którzy przyjechali nad jezioro, by miło spędzić popołudnie.

Przypomniała sobie swoje dziecko, jak siedziało na kocu i płakało. Biedny maluch musiał to oglądać. Pocieszała się myślą, że był zbyt mały, by wszystko zapamiętać. Zapomni, co widział. Zapomni o niej. Dorośnie pod opieką Gereona i teściów. Teściowa była dla niego bardzo dobra. Stary, ten gruboskórny bałwan, także obchodził się z wnukiem jak z jajkiem.

Jazda nie trwała długo, ona zaś była tak pogrążona w myślach, że nic z niej nie zapamiętała. Gdy samochód się zatrzymał, a Berrenrath wysiadł i kazał jej zrobić to samo, na moment oprzytomniała i zaraz ponownie zatopiła się w wizji przyszłości, by nie musieć zajmować się teraźniejszością.

Dożywocie! To było dla niej jasne. Popelniła przecież morderstwo. To także wiedziała. Kara musiała nastąpić. Ale kto przeżył krzyż, ten nie złęknie się krat. Wizja celi nie miała w sobie nic groźnego. Regularne posiłki i praca w kuchni lub pralni, może w biurze, jeśliby się dobrze sprawowała i pokazała wszystkim, co potrafi.

Nie mogło się to za bardzo różnić od trzech lat z Gereonem. Nie sprawiało jej różnicy, czy na ręce patrzyli jej teściowie, czy kilka strażniczek. Odpadały tylko weekendy. Nigdy więcej papierosa, którego pety dogasające w popielniczce dawały sygnał do rozpoczęcia całego tego szaleństwa.

Gdy wynurzyła się następnym razem, siedziała w pomieszczeniu o jasnych ścianach. Kilka krzeseł stało bezładnie dookoła, na środku zaś dwa biurka, na których między maszyną do pisania a telefonem leżały w nieładzie różne papiery. Przeszkadzało jej to. Chętnie by posprzątała i zastanawiała się, czy powinna prosić policjantów

o pozwolenie.

Młodszy stał obok drzwi, Berrenrath przy dużym oknie, na którym marniały w doniczkach dwie roślinki. Przez szybę wpadało jeszcze tyle słońca, by razić w oczy. A ona zapomniała okularów. Na prawo od doniczek leżało kilka teczek. Akta Cory Bender, przeszło jej przez myśl. Musiały być dość chude. Wszystko było przecież jasne. Oczywiście musieli jej zadać kilka pytań i...

Ktoś koniecznie powinien się zatroszczyć o te rośliny. Budziły litość. Musiały stać na ostrym słońcu całe popołudnie, na liściach pojawiły się brązowe plamy. Ziemia zapewne wyschła na wiór.

– Niech pan posłucha, panie Berrenrath – powiedziała. – Trzeba zabrać rośliny z okna. Nie wytrzymują takiego słońca. To tak, jakby stać pod soczewką. Pewnie potrzebują też wody. Mogę sprawdzić?

Berrenrath zdawał się zdumiony, ale po kilku sekundach skinął z wahaniem głową.

Przy ścianie obok drzwi stała szafka z umywalką. Na suszarce pozostawiono stary ekspres do kawy, w pojemniku zebrał się okropny brązowy osad. Najwyraźniej nigdy dobrze go nie wymyło. Obok urządzenia stał używany kubek. Starannie go wypłukała, potem chwyciła dzbanek i też chciała go wyczyścić.

– Proszę to zostawić i usiąść – powiedział Berrenrath.

– Niech pan posłucha – zaprotestowała. – Pozwolił mi pan podlać kwiaty. A kubek był brudny. Co szkodzi, jeśli trochę posprzątam?

Berrenrath westchnął i wzruszył ramionami.

– Jeśli o mnie chodzi, może się pani zająć kwiatami. Ale sprzątanie to nie pani obowiązek.

– Nie, to nie – odparła. – Chciałam dobrze.

Napełniła kubek wodą i podeszła do okna. Ziemia rzeczywiście była sucha jak wiór. Najpierw postawiła kubek na parapecie, zaniósła obie doniczki na biurko, wyrównała niezauważalnie dwa krzesła, a papiery ułożyła w równy stos tak, że zwolniło się nieco miejsca, a wszystko wyglądało trochę porządniej. Potem przyniosła kubek i podlała kwiaty.

Policjanci z niedowierzaniem patrzyli, jak po raz drugi napełnia kubek wodą.

– Bardzo tego potrzebowały – powiedziała, ponownie siadając na krześle.

Przez całą minutę było cicho. Cora starała się powstrzymać natłok myśli i przygotować się na to, co miało nastąpić. Przesłuchanie! Jak to się odbywa, wiedziała z filmów. W zasadzie chodziło tylko o przyznanie się do winy. To było dla policji najważniejsze. W jej przypadku przesłuchanie stawało się więc zbyteczne, przyznała się już, musieli tylko przenieść jej zeznania na papier i dać je jej do podpisania. Dziwne, że dotąd nikt o tym nie pomyślał. Ponownie zwróciła się do Berrenratha.

– Na co właściwie czekamy?

– Na odpowiednich urzędników – odparł.

– Pan nie jest odpowiedni?

– Nie.

Uśmiechnęła się do niego. Miał to być uroczy uśmiech, ale z pobitą twarzą wyszedł krzywo.

– Proszę posłuchać, przecież to bez sensu. Policjant to policjant. Wolałabym, żebyśmy to załatwili. Proszę napisać, co powiedziałam. Ja się podpiszę i będzie pan mógł iść do domu.

– Poczekajmy lepiej na odpowiednich urzędników – powiedział Berrenrath. – Za chwilę powinni tu być.

Oczywiście nie przyszli. Na filmach często widziała, jak przetrzymywali podejrzanego, aż zmiękł i przestał stawiać opór policjantom. Nie rozumiała tylko, dlaczego z nią też tak postępowali. Po pierwsze, nie była podejrzana, lecz jednoznacznie winna. Po drugie, nie zamierzała sprawiać im problemów.

Czekanie zdenerwowało ją. Znowu zaczęła myśleć o Gereonie. Że na tarasie zachował się tak, jakby była zupełnie obcą osobą, która nic go nie obchodzi. Ale mogła go zrozumieć. Musiał przeżyć straszny szok. Wystarczyło wczuć się w jego sytuację. Wcale nie chciał jechać nad jezioro. Było zbyt gorąco, powiedział tak przy obiedzie, gdy zaproponowała wycieczkę. Nie za bardzo lubił pływać. A później sprawiła, że cały jego świat w kilka sekund legł w gruzach. Nic dziwnego, że na końcu natarł na nią tak gwałtownie. Ciekawe, czy jest już w domu. Co powiedział rodzicom? Musieli się zdziwić, gdy wrócił tylko z dzieckiem.

Przed oczami miała całą scenę. Pytające twarze. „A gdzie Cora?” – głos teściowej. Stary nie mówił dużo, jeśli chodziło o sprawy rodzinne. A Gereon, blady, z bandażem na jednym ramieniu i z dzieckiem na drugim, prosi najpierw, by ktoś pomógł mu wypakować bagaże. Matka wychodzi z nim przed dom. Gdy stary już ich nie słyszy, Gereon mówi: „Zabiła człowieka”.

A później będą siedzieli razem w salonie. Gereon opowie wszystko po kolei, chociaż nie ma za dużo do opowiadania. Jego matka będzie ubolewać, co powiedzą sąsiedzi, gdy poznają prawdę. Ojciec spyta tylko, jaki to będzie mieć wpływ na firmę i kto się teraz zajmie księgowością.

Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie otworzyły się drzwi. Wizja Gereona z rodzicami prysła. Mężczyzna w dresie, na którego zwróciła uwagę nad jeziorem, wkroczył do pokoju. Przedstawił się jej. Natychmiast zapomniała jego nazwisko. Spróbowała go ocenić. Miała nadzieję, że nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań.

A on właśnie to zrobił! Usiadł przy maszynie do pisania i poprosił, by podała swoje nazwisko, a także nazwisko panięńskie. Jak gdyby miał wątpliwości co do jej tożsamości. Spytał, ile ma lat, od kiedy jest mężatką, czy pracuje. Wszystkie te rzeczy nie miały nic wspólnego ze sprawą. Potem zażądał jeszcze informacji o teściach, rodzicach i rodzeństwie.

Aż do teściów odpowiadała mu niechętnie, ale zgodnie z prawdą. Potem odparła:

– Rodzice nie żyją, a rodzeństwa nigdy nie miałam!

Spojrzał na rośliny na biurku, spytał, czy lubi kwiaty, a zaraz potem, czy coś ją boli, czy potrzebuje lekarza lub chce się napić kawy. Rzuciła szybkie spojrzenie na starą maszynę i zaprzeczyła.

Skupienie się i zachowanie spokoju przychodziło jej z trudem. Wbrew jej oczekiwaniom zapowiadało się, że cała sprawa się przeciągnie. Mężczyzna w dresie wyjaśnił, jakie ciążą na niej zarzuty, jak gdyby tego nie wiedziała. Wymienił kilka

paragrafów, poinformował ją o jej prawach, powtarzając to, co Berrenrath powiedział już nad jeziorem. Że nie musi składać zeznań i tak dalej.

W tym miejscu przerwała mu.

– Dziękuję, wytłumaczyłam już panu Berrenrathowi, że to nie jest konieczne. Nie potrzebuję adwokata. Najlepiej niech pan pisze. Możemy zaraz zacząć.

Nie mogli. Mężczyzna w dresie powiedział, że muszą poczekać na szefa. Ale podobno był już w budynku.

Znowu minął ponad kwadrans. Bolało ją, że nic już nie może zrobić, tylko siedzieć na krześle i patrzeć na jasno pomalowane ściany. Nie była przyzwyczajona do bezczynności, wtedy popadało się w niepotrzebne rozmyślania. Tak jak po południu w supermarkecie, gdy pomyślała, że znalazła rozwiązanie.

Właściwie to było szaleństwo. Zdecydować się na śmierć i nie wahać się ani chwili. A potem nagle rzucić się na jakiegoś mężczyznę. Tylko dlatego, że jasnowłosa kobieta – chwilowo nie pamiętała jej imienia – puściła tę piosenkę. Powinna była raczej spytać, skąd ją wzięła. I czy ktoś mógłby jej wytłumaczyć, jak melodia trafiła do jej głowy.

Nikt się nie odzywał. Jedyne dźwięki wydawał kapiący kran. Nie zakręciła go dość mocno, gdy po raz drugi napełniała kubek. Mężczyźni się tym nie przejmowali. Berrenrath obserwował drzwi. Jego młodszy kolega stał z rękoma splecionymi za plecami. Mężczyzna w dresie przeglądał notatki, które zrobił na tarasie nad jeziorem.

Co też opowiedzieli mu świadkowie? Że rzuciła się na mężczyznę jak oszalała! Tak to musiało wyglądać. Nagle pojęła, czemu poświęcali jej aż tyle czasu. Bo nie rozumieli, bo tak jak Gereon chcieli wiedzieć dlaczego.

Na tę myśl jej serce zmieniło się w bryłę ołowiu. Umysł wypełniły szaroczerwone wyziewy. Poczula, że dłonie jej wilgotnieją i zaczynają się trząść. Ani śladu po początkowej uldze, po radości i triumfie. Potrzebowała rozsądnego wytłumaczenia.

Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, zaczęła liczyć w duchu – osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia – mając nadzieję, że to ją trochę uspokoi. Mężczyzna, który wszedł, mógł mieć pięćdziesiąt lat. Sprawiał wrażenie życzliwego, krótko powitał wszystkich, dwóm policjantom skinął głową. Berrenrath odpowiedział tym samym gestem, a potem w dziwny sposób wskazał w jej kierunku. Mężczyzna w dresie podniósł się i razem z Berrenrathem wyszli z przybyszem za drzwi.

Znowu czekanie, zastanawianie się, o czym mówią ci trzej za drzwiami i co oznaczało owo dziwne kiwanie głowami. Gdyby chociaż młodszy policjant coś powiedział. Nie mogła znieść ciszy, bo panowała ona tylko na zewnątrz. Było tak jak prawie zawsze w sobotni wieczór. W jej głowie cisza nie istniała. Zamiast niej rozbrzmiewała melodia. Kapiący kran przypominał perkusję. Po piosence zawsze przychodził sen. A teraz nie spała! Jeśli mężczyźni wkrótce nie wrócą...

Trwało to jeszcze dziesięć minut. Sześćset sekund, a każda sekunda oznaczała nową myśl. Każda myśl drażyła jej mózg. Najbardziej niepokoiły ją te uczucia, które zostały wywołane przez dokonane morderstwo. Normalnego człowieka, gdyby zrobił coś takiego, wypełniałoby przerażenie, wątpliwości i wyrzuty sumienia. A ona czuła się dobrze. To nie było normalne.

Wreszcie wrócili. Mężczyzna w dresie usiadł znowu przy maszynie, a Berrenrath

ponownie stanął przy oknie. Szef zasiadł naprzeciw niej. Uśmiechnął się przyjacielsko i się przedstawił. Niewiele z tego zrozumiała, tak samo jak z reszty jego wypowiedzi. Wszystko w jej wnętrzu było napięte. Krótkie, zwięzłe odpowiedzi. I rozsądne uzasadnienie, aby zapobiec wszelkim podejrzeniom, że zwariowała.

Berrenrath trzymał coś w dłoni – jej portfel. Nie miała pojęcia, skąd go wytrzasnął. Nie zwróciła na to uwagi. Cała procedura powtórzyła się od początku. Nazwisko, nazwisko panińskie, data urodzenia, miejsce urodzenia, stan cywilny, zawód, rodzice, rodzeństwo.

– Czy to jakiś quiz? – wypaliła. – Późno pan zaczął, dostałam już punkty za odpowiedzi. A może chce pan tylko sprawdzić, czy jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach? Bez obaw, wszystko w porządku. Widzę, że te same pytania zadaje mi się już po raz trzeci. Zaproponuję coś panu. Niech pan dla odmiany zapyta kolegę. On już to wszystko spisał. Poza tym ten tam ma moje dokumenty.

Było jej przykro, że tak nazwała Berrenratha – „ten tam”. Nie zasłużył na to. Do tej pory zachowywał się naprawdę bardzo miło. Z pewnością lepiej byłoby też pokazać, że jest uprzejma i skłonna do współpracy. Chęci jej nie brakowało, musieli się tylko trochę pospieszyć. Jeśli nadal będą to ciągnąć w takim tempie, długo nie wytrzyma.

Nikt nie zareagował na jej bezczelność. Tylko młody policjant na chwilę zmarszczył czoło. Berrenrath podszedł z jej portfelem do biurka i podał go mężczyźnie w dresie. Uświadomiła sobie, że nie zapamiętała jego nazwiska, nazwiska szefa też nie. Spróbowała sobie przypomnieć, ale wszystkie wysiłki prowadziły do twarzy zmarłego. A nie chciała powiedzieć: „Przepraszam, nie byłam całkiem przytomna i nie usłyszałam pana nazwiska”. Natychmiast uznaliby ją za wariatkę.

Obaj umundurowani policjanci opuścili pokój. Wolałaby, żeby Berrenrath został. Był taki wyrozumiały. Nie chciała jednak o to prosić. Nie powinna pokazywać, że potrzebuje wsparcia. Mężczyzna w dresie otworzył portfel, wyjął jej dowód i podał szefowi. Potem spojrział na prawo jazdy, zdumiał się i podniósł wzrok.

Chodziło o zdjęcie, była tego pewna. Zdjęcie chorej, szarej twarzy, wyglądającej tak, jakby należała do starej kobiety. Przez chwilę obawiała się, że ją o to zagadnie. Milczał, a ona szybko poprawiła włosy na czole, żeby nie zwrócił uwagi na bliznę. W tym czasie szef studiował dane w dowodzie, po czym podniósł głowę i spojrział na nią.

– Cora Bender – powiedział. – Cora brzmi jak zdrobnienie. Czy to pani pełne imię?

Miał miły, ciepły i głęboki głos, który z pewnością na wielu ludzi działał uspokajająco. W jej przypadku tak się nie stało. Nie potrafiła opanować rąk. Drzenie się nasiliło. Położyła prawą dłoń na lewej, przyciskając ją mocno do kolan.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – Nie chciałam być nieuprzejma, ale sądzę, że jest już późno. Dlatego możemy sobie darować pogaduszki.

Szef uśmiechnął się.

– Mamy dużo czasu. A moim zdaniem pogaduszki rozluźniają. Jak się pani czuje, pani Bender?

– Dziękuję, bardzo dobrze.

– Jest pani ranna – powiedział, wskazując na jej twarz. – Najpierw sprowadzimy do pani lekarza.

– Tylko żadnych konowałów! – odparła opryskliwie. – Sanitariusz już mnie obejrzał, nie jest tak źle, jak wygląda. Przeżyłam już gorsze rzeczy.

– Jakie? – spytał szef.

– A co to pana obchodzi? – odparła.

– No dobrze, pani Bender – odpowiedział spokojnie, ale bardzo zdecydowanie. – Jeśli tak pani chce, możemy inaczej. Proszę mi powiedzieć, jeśli panią zaboli lub cokolwiek będzie pani przeszkadzać. Może pani także wypić kawę lub coś zjeść, ale proszę dać znać wcześniej.

Zdenerwowała go. Skrępowana wzruszyła ramionami i omiotła go oczami, a przynajmniej lewym okiem, które nie było opuchnięte.

– Niech pan posłucha. Przykro mi, jeśli podniosłam głos. Nie chcę robić problemów. Jestem tylko trochę zdenerwowana i chciałabym mieć to za sobą. Dlaczego muszę trzy razy mówić, jak się nazywa mój mąż? To przecież nie ma nic do rzeczy. Proszę przyjąć moje zeznanie, podpiszę je, a potem możemy wypić kawę.

Szef krótko skinął głową, a mężczyzna w dresie postawił na biurku małą czarną skrzynkę. Wzdrygnęła się, gdy się zorientowała, że to magnetofon. Mężczyzna wcisnął guzik. Nim zdążyła się opanować, przyciskała już dłonie do uszu.

W tej chwili paliło ją w głowie. Wiedzieli! Ktoś opowiedział im o piosence. A teraz chcą, żeby jeszcze raz jej posłuchała. Bóg jeden wie, jakie to przyniesie skutki. Może znowu rzuci się i najbliższą doniczką rozbije któremuś z nich głowę.

Ale muzyki nie było słyhać, nie było słyhać niczego. Obaj mężczyźni patrzyli na nią nieufnie.

– Coś nie w porządku, pani Bender? – spytał szef.

Uśmiechnęła się wymuszenie, opuściła ręce i zapewniła pospiesznie:

– Nie, wszystko w porządku. Poczulałam po prostu nieprzyjemny ucisk w uszach. Od wody, jak sądzę. Nurkowałam i... Ale już minął. Naprawdę, słyszę pana bardzo dobrze.

W końcu zaczął. Nie tracił zbyt dużo czasu na paragrafy, sformułował to najkrócej, jak się dało.

– Pani Bender, dziś krótko po osiemnastej nad Otto-Maigler-See zabiła pani człowieka. W pobliżu było wiele osób, które widziały zdarzenie i mogą złożyć zeznanie. Część z nich umieszczono już w protokole i zostały podpisane. Zabezpieczono narzędzie zbrodni. Do tego momentu sytuacja jest jasna. Mimo to chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Ma pani prawo odmówić zeznań. Ma pani prawo do adwokata...

Zanim zdążył dokończyć, uniosła dłoń i przerwała mu. Tym razem starała się mówić łagodnym tonem. Czarna skrzynka służyła do nagrywania, do tej pory zdążyła się już zorientować. W ten sposób zapisywano każde jej słowo, by później je odtworzyć. Każdy mógł usłyszeć, co powiedziała. I każdy mógł wyciągać na tej podstawie wnioski.

– Wiem to wszystko – powiedziała. – Powtarzałam już dwa razy. Nie potrzebuję adwokata. Przyznaję się do winy. Podpiszę też, że nie naciskaliście mnie ani nie robiliście ze mną nic innego, że wielokrotnie informowaliście mnie o moich prawach i tak dalej. W porządku?

– W porządku – powtórzył szef. – Jeśli tak pani chce. – Siedział pochylony do

przodu i nie spuszczał jej z oczu.

Odetchnęła głęboko i zastanowiła się, jakich słów ma użyć, by już pierwsze zdanie potwierdziło, że absolutnie wszystko jest z nią w porządku nie tylko fizycznie, ale także – i przede wszystkim – psychicznie. Opanowała drżenie rąk. Musiała tylko wystarczająco mocno przyciskać jedną dłoń do drugiej, wtedy nie rzucało się to w oczy. Poza tym nie patrzyli na jej dłonie, tylko na twarz. Po dwóch sekundach powiedziała pewnym głosem:

– Krótco po osiemnastej nad Otto-Maigler-See zabiłam mężczyznę. Użyłam do tego małego noża, którym obierałam jabłko dla mojego synka.

Szef wyczarował na stole przezroczystą torebkę, w której leżał zakrwawiony nóż.

– Czy to ten?

Najpierw tylko skinęła głową, potem pomyślała, że to się nie nagra na taśmę, powiedziała więc krótko:

– Tak.

– Czy zabrała pani nóż nad jezioro, żeby obrać nim jabłko? – spytał.

– Tak, oczywiście. Poza jabłkami nie mieliśmy ze sobą nic, do czego byłby potrzebny.

– Ale zamiast tego zabiła nim pani mężczyznę – powiedział szef. – Czy wiedziała pani, co się stanie, jeśli wbije pani nóż w człowieka?

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc. Potem pojęła sens pytania i zaczęła się śmiać.

– Niech pan posłucha, nawet jeśli jestem nieco nerwowa, nie musi pan ze mną rozmawiać jak z upośledzoną umysłowo. Oczywiście wiedziałam, co się stanie, jak wbiję ten nóż w człowieka. Zranię go, zabiję. Uderzyłam go tak, że rany musiały spowodować śmierć. I wiedziałam o tym, robiąc to. Czy wyczerpująco odpowiedziałam na pańskie pytanie?

Szef nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Spytał tylko:

– Jeśli zadała pani te ciosy świadomie, pani Bender, to czy przypomina sobie pani, gdzie trafił pierwszy?

Wciąż się uśmiechała. Czy sobie przypomina? Nie zapomni tego nigdy w życiu – wszystko inne może, ale to nie!

– W kark – powiedziała. – Potem się przekręcił. Celowałam w szyję. To mały nóż. Pomyślałam, że jak uderzę w klatkę piersiową, to pewnie nie dosięgnę serca. Ale na szyi znajdują się tętnica i krtań. W nie celowałam. I cel osiągnęłam. Krwawił tak bardzo, że na pewno trafiłam go w tętnicę. W inne miejsca też. W twarz. A raz nóż się ześliznął i zranił go w ramię.

Szef skinął głową.

– Z jakiego powodu zabiła pani tego mężczyznę? Bo chyba dobrze zrozumiałem, że chciała go pani zabić.

– Tak, chciałam – powiedziała zdecydowanie.

I w tym momencie zrozumiała, że chciała to zrobić już od dłuższego czasu. Zabić tego mężczyznę, nie innego, lecz właśnie tego.

Rozdział 3

Nie miało już żadnego znaczenia, dlaczego pojechała nad jezioro. Stało się inaczej, i dobrze. W czasie jazdy tego nie planowała, a gdyby powiedziała kobiecie przy wejściu, że przyjechała zabić człowieka, tamta uznałaby ją za wariatkę. Ale skoro tak się stało, to musiało tak być. Ta myśl ją uspokoiła.

Obaj mężczyźni z kolei wydawali się zszokowani jej krótkim stwierdzeniem. Widziała to po ich minach, nie miała jednak czasu zastanowić się, czy mogła swoje wypowiedzi sformułować mniej ostro. Teraz szedł cios za ciosem. Szef zadawał pytania, mężczyzna w dresie tylko siedział i nie spuszczał jej z oczu.

– Znała pani tego mężczyznę?

– Nie.

– Nigdy go pani wcześniej nie widziała?

– Nie.

– Naprawdę nie wie pani, kim był?

– Nie.

To była prawda, a prawda zawsze była dobra i właściwa. Szef zdawał się jednak zagubiony. Rzucił zirytowane spojrzenie mężczyźnie w dresie. Ten wzruszył ramionami, szef pokręcił głową i ponownie zwrócił się do niej.

– A dlaczego chciała go pani zabić?

– Zdenerwowała mnie muzyka. – Nie było to do końca prawdziwe stwierdzenie, ale najbliższe prawdy.

– Muzyka? – powtórzył szef tonem nic nierozumiejącego człowieka, który wyraźnie wyczuła.

Pospiesznie wyjaśniała, byle nie musieć wspominać o piosence:

– Tak, mieli ze sobą duży magnetofon. Grał bardzo głośno. Potem kobieta nastawiła go jeszcze głośniejsze. To mnie rozgniewało.

Szef chrząknął.

– Dlaczego nie poprosiła pani kobiety, żeby ściszyła muzykę? I dlaczego zaatakowała pani mężczyznę, skoro to ona podgłośniła magnetofon?

To było decydujące pytanie. Tylko że nie miała na nie odpowiedzi.

– Prosiłam ją – tłumaczyła. A ponieważ nie do końca odpowiadało to faktom, z miejsca się poprawiła. – To znaczy nie bezpośrednio, ale skarżyłam się. Ona się tym nie przejęła. Możliwe, że nie mówiłam dość głośno. Nie chciałam krzyknąć. Ja... właściwie chciałam iść do wody. Chciałam... ja... – To go nie powinno obchodzić i nie miało nic wspólnego ze sprawą. Przestała się jąkać i powiedziała energicznie: – Proszę posłuchać, on na niej leżał! Nie dostałabym się do niej. Poza tym nie chciałam jej skrzywdzić, naprawdę. To jego chciałam zabić. Zrobiłam to. Nie ma potrzeby o tym dyskutować. Niczemu nie zaprzeczam. Tyle wystarczy do waszych akt.

– Nie – powiedział szef, kręcąc głową. – To nie wystarczy, pani Bender.

– Gdyby pan tam wtedy był – odparła – wiedziałby pan, że zdecydowanie wystarczy. Musiałby pan widzieć, jak ten facet się na nią rzucił. W takiej sytuacji nie

można tak po prostu patrzeć. Trzeba coś zrobić.

Szef spojrział na nią. Dość ostrym tonem odparł:

– Nie mówimy tu o jakimś facecie, pani Bender, który rzucił się na kobietę! Mówimy o mężczyźnie, na którego pani się rzuciła. A ja chciałbym wiedzieć dlaczego, do cholery. Nazywał się Georg Frankenberg. I proszę mi teraz nie opowiadać...

Nie zrozumiała reszty. Jakby zatkało jej uszy. Bez ostrzeżenia przed jej oczami pojawił się obraz więziennej celi. Dozorczyni zamknęła za nią drzwi. Co dziwne, miała twarz matki, a w jednej dłoni zamiast klucza trzymała zapaloną świecę, w drugiej zaś drewniany krzyż. Figura na krzyżu była do niego tylko przyklejona.

Zbawiciel!

Nazywał się Georg Frankenberg? Nieważne, jak się nazywał. Mimo to pozwoliła jego nazwisku przebrzmieć jak echo na tle twarzy matki, świecy i krzyża i czekała, czy pojawi się między nimi jakiś związek. Miała uczucie, że szef byłby zadowolony i zostawi ją w spokoju, gdyby powiedziała: „Ach, teraz sobie przypominam, jednak go znałam”.

Ale echo przebrzmiało i nic po sobie nie zostawiło. Najwyraźniej widać to było po jej twarzy. W głosie szefa brzmiało czyste niedowierzenie.

– Jego nazwisko naprawdę pani nic nie mówi?

– Nie.

Westchnął, podrapał się po szyi i rzucił mężczyźnie w dresie szybkie, niepewne spojrzenie. Ten nadal milczał i patrzył na rośliny.

Wydawały się już w nieco lepszym stanie. Może było to tylko wrażenie, ale niemal widziała, jak uspione liście ciągnęły z mokrej ziemi nowe siły. Woda to eliksir życia. Ojciec dawniej często opowiadał o twardej warstwie gleby na pastwiskach, którą najpierw należało skruszyć, żeby woda nie uciekała z niej w czasie deszczu.

Ale tu nie chodziło o glebę, a głos szefa wymazał wizerunek ojca.

– Chce nam pani powiedzieć, że był to zupełnie obcy człowiek. Mężczyzna, którego nigdy wcześniej pani nie widziała. I tylko dlatego, że słuchał z przyjaciółmi głośniejszej muzyki, napadła pani na niego jak jakaś wariatka.

– Niech pan tak nie mówi – krzyknęła do niego. – Nie zwariowałam. Jestem zupełnie normalna.

Mężczyzna w dresie cicho chrząknął i uniósł nad biurko swój notes. Pochylił się do przodu i szepnął coś do szefa. Potem wskazał jakiś fragment tekstu na stronie.

Szef skinął głową i podniósł głowę.

– Nie zdenerwowała pani muzyka, tylko to, co oni robili, prawda? Powiedziała pani przecież, że on rzucił się na tę kobietę. Ale tak nie było. Georg Frankenberg nie robił nic poza wymienianiem czułości ze swoją żoną. A inicjatywa wyraźnie pochodziła od żony. Rzuciła się pani na niego ze słowami: „Przestańcie, świnię”. Miała pani na myśli ich oboje, prawda?

Ze wszystkich tych słów utkwiły jej tylko dwa, uwięzły w gardle. Z wielkim trudem udało się jej je wypluć.

– Jego żona?

Szef skinął głową.

– Georg Frankenberg był żonaty od trzech tygodni. Przedwczoraj wrócili z podróży

poślubnej. To był początkowy okres małżeństwa, a oboje bardzo się kochali. W takiej sytuacji okazywanie uczuć jest czymś normalnym. I nawet jeśli robi się to publicznie, w dzisiejszych czasach nikt nie czuje się tym urażony. Tylko pani się zdenerwowała. Dlaczego, pani Bender? Skąd przyszło pani do głowy, że Georg Frankenberg może bić swoją żonę?

Georg Frankenberg? Coś się nie zgadzało. Coś nie było tak, jak się tego instynktownie spodziewała. Takie samo irytujące uczucie jak zaraz po zajściu, gdy jasnowłosa kobieta odepchnęła jej dłoń. Jego żona! To zupełnie zbiło ją z tropu.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – To nic nie da, jeśli będzie mi pan opowiadać takie rzeczy i zadawać głupie pytania. Nic już nie powiem. Oszczędzimy mnóstwo czasu, jeśli przyjmie pan moje oświadczenie. Zabiłam go. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Więcej nie chce pani powiedzieć – odparł szef. – Ale my mamy już kilka zeznań. Jeden ze świadków stwierdził, że po morderstwie chciała pani przytulić panią Frankenberg. Mówiła pani do niej. Przypomina sobie pani, co powiedziała?

Teraz był zły. Ale jej to nie obchodziło. Georg Frankenberg! I jego żona! Skoro szef tak powiedział, najwyraźniej tak było. Dlaczego policjant miałby kłamać? Nic z tego nie miał. A Gereon nawet na nią nie spojrzał.

Pewnie siedział teraz wygodnie przed telewizorem i oglądał film. To było jego życie, praca i filmy. Ale bardziej prawdopodobne, że został z rodzicami w salonie. A wszyscy byli na nią wściekli. Stary powiedział:

„Łajdaczka. Wiedziałem to od chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyła nasz próg. Powinniśmy wtedy odesłać ją tam, skąd przyszła”.

A matka Gereona:

„Musisz się z nią rozwieść, chociażby ze względu na ludzi. Żeby nie myśleli, że chcemy mieć z taką do czynienia”.

Gereon skinie głową. Przytakiwał wszystkiemu, co mówili rodzice. I robił, co kazali, chyba że ktoś wytłumaczył mu, że to bez sensu.

Nie było już nikogo, kto mógłby mu cokolwiek wytłumaczyć. Ale z pewnością szybko znajdzie sobie inną. Był przystojnym, młodym, zdrowym mężczyzną. Miał dom. Zarabiał nieźle, zatroszczyła się o to. Pewnego dnia przejmie rodzinną firmę, będzie swoim szefem. Miał kobiecie dużo do zaoferowania, nie tylko finansowo.

Nie pił. Nie był agresywny, unikał konfliktów. Był czuły, tak, był. Mogłaby spać z nim jeszcze przez długie lata, gdyby w Wigilię nie spróbował pocałować jej w ten sposób. Prawdopodobnie uszczęśliwiłoby to każdą inną kobietę.

Należało mu życzyć takiej, która umiałaby go kochać tak, jak na to zasługiwał. Która lubiłaby leżeć z nim w łóżku. Która nie mogłaby się doczekać chwili, gdy zsunąłby się po niej tak, jak to robił z nią. Bolesne było wyobrażać to sobie, ale życzyła mu z całego serca, aby wkrótce znalazł podobną kobietę. W pewnym sensie był drobnomieszczaninem, ale całkiem normalnym. A ona... ona też była normalna. Zupełnie normalna! Od dziecka. Grit Adigar jej to powiedziała.

To było najgorsze, co musiałam zrozumieć jako dziecko: u nas nikt nie był normalny. Nie wiem dokładnie, od kiedy miałam poczucie, że do nich przynależę, i świadomość, że nic nigdy nie zmieni się dla mnie na lepsze. Nie wiem także, czy był

jakiś szczególny powód, czy też proces dochodzenia do tej wiedzy zachodził stopniowo. W pewnym momencie przyjąłem po prostu, że ta okropna kobieta jest moją prawdziwą matką. Gdybym miała się z nią pokazać na ulicy, wyparłabym się jej jak Piotr Zbawiciela. Ale ten fakt nie zmieniłby rzeczywistości, nie zmieniłby niczego w moim nędznym życiu.

Ojciec starał się sprawić, by było nieco znośniejsze. Ale co mógł zrobić? Nastąpił dzień, w którym poszłam do szkoły. Ojciec kupił mi w Hamburgu tornister i niebieską sukienkę. Była ładna, miała mały biały guziczek na piersiach, biały kołnierzyk i pasek.

Następnego dnia musiałam ją – bo próżność jest grzechem – spalić przed ołtarzem w salonie. W blaszanym kuble. Matka stała obok z dzbankiem wody, żeby dom nie zajął się ogniem.

Gdy wieczorem opowiedziałam o wszystkim ojcu, pokręcił głową. Wy tłumaczył, że matka jest katoliczką i stąd bierze się jej surowość. A później, gdy leżeliśmy w łóżkach, opowiedział mi o pierwszej szkole w Buchholz.

Zbudowano ją w 1654 roku, mówił. Były w niej tylko dwa pomieszczenia. W szkolnej izbie mieszkała rodzina nauczyciela. A ludzie nie posyłali dzieci do szkoły, bo potrzebowali ich do pracy przy domu. I sami nie umieli czytać ani pisać, więc nie uważali tego za potrzebne. Ale dzisiaj każdy wie, jakie to ważne, żeby umieć czytać i pisać, tłumaczył ojciec. Że dzięki szkole każdy może sam decydować o swojej przyszłości.

W ten sposób mówił mi: „Rób dla siebie, co możesz, Cora. Ja, niestety, nie mogę ci pomóc”.

Powiedział, że to nieważne, co się nosi, liczy się tylko to, co jest w głowie. Kiedyś dzieci chodziły w łachmanach i bez butów. No cóż, buty miałam. A pierwszego dnia szkoły nie musiałam włożyć szmat. Mimo to wydawało mi się, że wśród wszystkich wystrojonych dziewczynek wyglądam, jakbym wyszła ze śmietnika.

Z nowym tornistrem na plecach tak jak inni, ale w przypominającej worek sukience, którą matka za karę wyciągnęła z szafy, mimo że była dla mnie za ciasna. Pachniałam kulkami na mole i przyszłam z pustymi rękoma. Pozostałe dzieci trzymały w dłoniach rożki ze słodyczami.

Na szczęście matka nie miała czasu mnie odprowadzić. Mimo to wszyscy wiedzieli. Nie do wiary, jak szybko coś takiego się rozchodzi.

Już od pierwszego dnia w szkole nie należałam do społeczności, bo miałam chorą siostrę. Tak, wciąż żyła. Lekarze co parę miesięcy na nowo się dziwili, ale Magdaleny to nie obchodziło. Często myślałam, że w ten sposób się na mnie mści. Zabrałam wszystkie siły z brzucha matki, dlatego ona nadal żyła, a u nas często brakowało na jedzenie.

Nie miałam przyjaciółek. Nawet Kerstin i Melanie Adigar nie chciały się ze mną zadawać na podwórku szkolnym. Bały się, że inne dzieci je także wyśmieją. Na długiej przerwie stałam z boku, każdego dnia, każdego tygodnia i miesiąca. Inni bawili się i krzyczeli. Ja musiałam zagłębiać się w swoje wnętrze, prosić Zbawiciela o przebaczenie i siłę dla mnie oraz o łaskę dla Magdaleny, aby przeżyła następny dzień.

Odkąd poszłam do szkoły, jej stan się pogorszył. Często przywlekałam stamtąd kaszel, katar albo zapalenie gardła. Regularnie się зараżała, chociaż nie podchodziłam do niej blisko. Ale gdy tylko kichnęłam, Magdalenę trafiało to niczym uderzenie młota.

Matka przypisywała liczne choroby temu, że nie miałam już tyle czasu na modlitwę. Przedpołudnie odpadało. Musiałam więc spełniać swój obowiązek przynajmniej na długiej przerwie. Tak robiłam. Świadomość, że Magdalena naprawdę jest moją siostrą, zupełnie mnie sparaliżowała. Oznaczało to, że dopóki żyła, byłam tak samo naznaczona i napiętnowana jak ona.

Nie życzyłam jej śmierci – naprawdę nie. Ale chciałam mieć przyjaciółki, z którymi bawiłabym się na szkolnym podwórzu i które odwiedzałyby mnie po południu. Chciałam w soboty chodzić na spacer i siedzieć z rodzicami w lodziarni. Z matką, która miałaby czas, żeby się przedtem umyć, uczesać i włożyć ładną sukienkę. Nawet nie żądałam, żeby polakierowała paznokcie lub pomalowała usta jak Grit Adigar.

Chciałam mieć ojca, który umiałby się śmiać. Który nie opowiadałby tylko o przeszłości, o rzeczach, które dawno umarły i wyszły z mody. Który nie musiałby w nocy wykradać się do łazienki i walczyć ze swoim grzechem. Który kiedyś wspominałby o jutrze lub o przyszłej sobocie. I raz, tylko raz powiedziałby: „Możemy zwiedzić katedrę w Hamburgu! Zjeść watę cukrową i przejechać się na wielkiej karuzeli”.

Chciałam chodzić z matką na zakupy. Chciałam, żeby w sklepie pytała mnie, czy wolę tabliczkę czekolady, czy torebkę chipsów. Nie chciałam ciągle słyszeć, że jestem złym i chciwym człowiekiem.

Dzieckiem, które wyciągnęło z jej brzucha wszystkie siły tylko dla siebie. Do diabła! Nie zrobiłam tego specjalnie. Nie mogłam wiedzieć, że po mnie przyjdzie ktoś jeszcze, kto także będzie ich potrzebował.

Czasami próbowałam uświadomić matce, że przesadzała. Zaczynałam takie rozmowy bardzo delikatnie. Jednak była to przegrana sprawa. Gdy tłumaczyłam jej, że dostrzegam swoje zło i walczę z nim, spoglądała tylko, jakby chciała powiedzieć: „Najwyższy czas”.

Gdy mówiłam, że dzieci w szkole się ze mnie śmieją, odpowiadała:

– Ze Zbawiciela także drwili. Nawet wtedy, gdy umierał na Krzyżu. A On wyciągnął ramiona do nieba i mówił: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. Jaka płynie z tego nauka?

Tak bardzo nienawidziłam tego zdania!

Nie należało choćby w najmniejszym stopniu uświadamiać matce, czego naprawdę się uczyłam. Czytać, pisać, liczyć i kłamać. Podlizywać się nauczycielce, żeby reagowała, gdy inni zbyt głośno się ze mnie śmiali i wytykali palcami. Przede wszystkim nauczyłam się nienawidzić siostry.

Naprawdę nienawidziłam wtedy Magdaleny tak głęboko, jak tylko dziecko potrafi. Gdy patrzyłam na nią leżącą w kuchni, słuchałam jej pisków i pojękiwań, zawsze miałam nadzieję, że boli ją wszystko, co tylko może boleć.

Zmieniło się to dopiero tego majowego dnia, rok po moim pójściu do szkoły. Dla mnie był to zupełnie normalny dzień. Nikt nie powiedział rano nic szczególnego z wyjątkiem nauczycielki, która uścisnęła mi na przerwie rękę i się uśmiechnęła.

– Ty więc też masz już siedem lat, Coro.

Po południu o zwykłej porze wróciłam do domu. Matka otworzyła drzwi i od razu wysłała mnie do salonu. Nie było posiłku, żadnego garnka na kuchni ani chleba na stole.

Chleb leżał na górze w kuchennej szafce za zamkniętymi drzwiczkami. Klucz matka nosiła zawsze przy sobie zgodnie z zasadą: nie wódz nas na pokuszenie!

Matka znowu poszła na górę zając się Magdaleną. Na początku kwietnia przyniosłam ze szkoły katar, którym ją zaraziłam i z którego nie mogła się wyleczyć. Często krwawiła z nosa, choć go nie czyściła ani go nie uszkadzała. Gdy matka myła jej zęby, także spluwała krwią. Nieustannie wymiotowała, choć mało jadła. Wszędzie na ciele miała sine i czerwone plamy. Wypadały jej włosy. Bez przerwy cierpiała na biegunkę. Matka nie odważyła się pojechać z nią do Eppendorfu ze strachu, że Magdalena jeszcze raz będzie operowana. Każdego dnia, gdy siedzieliśmy przy stole, mówiła:

– Módlmy się o jutro.

Późnym popołudniem wrócił ojciec. Wciąż jeszcze klęczałam z burczącym żołądkiem pod bukietem świeżych róż. Były tak długie, że przewyższały krzyż. Z powodu tych kwiatów w sobotę jedliśmy tylko zupę z zielonej fasoli bez odrobiny kiełbasy. Ojciec przeszedł przez kuchnię i zawołał mnie cicho. Podeszłam do niego i zobaczyłam, że trzyma coś w ręku.

Tabliczka czekolady! Już gdy ją zobaczyłam, podskoczył mi żołądek. Ojciec pocałował mnie i szepnął:

– To prezent na twoje urodziny.

Od innych dzieci w klasie wiedziałam, co to urodziny. A gdy córki Grit je obchodziły, w domu obok odbywało się wielkie święto z ciastem, chipsami i lodami. Do tej pory nigdy jednak nie mówiono mi, że ja też mogę mieć urodziny.

Ojciec wyjaśnił, że każdy człowiek ma taki dzień i prawie wszyscy obchodzą go uroczyście. Że zapraszają przyjaciół, jedzą ciasto i dostają prezenty. Gdy to mówił, nie spuszczał z oczu drzwi prowadzących na korytarz. Słyszeliśmy matkę hałasującą na górze. Przed chwilą próbowała nakarmić Magdalenę paroma łyżkami rosółu. Po trzeciej łyżce siostra zwymiotowała. Matka musiała na nowo pościelić łóżko. Potem zaniósła Magdalenę do łazienki, by ją umyć.

Następnie matka zeszła do kuchni. Nie słyszeliśmy jej na schodach. Właśnie wsadziłam sobie do ust pierwszy kawałek czekolady. Podeszła do drzwi. Po dwóch krokach zamarła. Jej spojrzenie powędrowało kilka razy od moich ust do ręki, po czym zwróciła się do ojca.

– Jak możesz robić coś takiego? – zapytała. – Podczas gdy jedna nie trzyma w żołądku najmniejszego kęsa, ty karmisz drugą słodyczami.

Ojciec spuścił głowę i wymruczał:

– Ma przecież urodziny, Elsbeth. Inne dzieci dostają mnóstwo prezentów, przychodzi rodzina i każdy coś przynosi. Popatrz tylko, jak jest u sąsiadów. Grit sprasza całą ulicę. A tu...

Nie dokończył. Matka nie podniosła głosu, nigdy tego nie robiła.

– Tu – przerwała mu łagodnie – liczy się tylko dzień narodzenia Zbawiciela. I do Niego się teraz zwrócimy, by prosić o siłę, która pozwoli nam oprzeć się licznym pokusom. Jeśli wszyscy nie będziemy mieć czystych serc, jak ma się nad nami zmiłować? – Potem wyciągnęła rękę i zwracając się do mnie, zażądała: – Daj mi to i zapal świecę.

A potem we trójkę prawie przez godzinę klęczeliśmy na ławce. Następnie matka posłała mnie do łóżka. Zapytała, czy jestem gotowa zrezygnować z kolacji. Nie mogłam po prostu powiedzieć, że tak. Musiałam naprawdę chcieć ponieść ofiarę.

Byłam okropnie głodna, ale skinęłam głową i położyłam się do łóżka, nie myjąc zębów. Czułam się źle, bolał mnie brzuch i pragnęłam poważnie zachorować. Albo umrzeć, na przykład z głodu.

Nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami, gdy ojciec wszedł do pokoju. Musiało być koło dziewiątej. Zawsze kładł się koło dziewiątej, gdy wcześniej wrócił z pracy, nawet w lecie, choć na dworze było jeszcze jasno. Co miał robić? Inni ludzie oglądali wieczorem film w telewizji. Albo słuchali audycji radiowej, czytali gazety lub książki.

U nas tego nie było. Poza Bibliami matki. Miała ich wiele. Stary Testament, Nowy Testament, Biblia dla dzieci. W środku były obrazki oraz same piękne historie o cudach, które uczynił Zbawiciel.

Matka często czytała je Magdalenie. Potem pokazywała jej obrazki i mówiła, że pewnego dnia będzie jako czysty anioł siedzieć na małej ławce przed tronem Ojca i radować się wraz z innymi aniołami. W tamtych tygodniach jednak nie czytała. Magdalena była zbyt słaba, by jej słuchać. Matka co prawda próbowała, ale gdy zaczynała czytać lub opowiadać, Magdalena odwracała głowę. Gdy ojciec zamknął za sobą drzwi, usłyszałam, jak mruczy:

– Niech szybko będzie po wszystkim. Wtedy ten cały cyrk się skończy albo sam przetrzęcę jej kark. – Klasnął w dłonie, nie zauważył, że nie śpię.

Nazywał się Rudolf Grovian. Niektórzy specjalnie przekręcali jego nazwisko na Grobian, czyli grubianin, wtedy brzmiało bardziej brutalnie. Nie nadużywał jednak przemocy, wręcz przeciwnie: wiedział, że w prywatnym życiu powinien od czasu do czasu zareagować mocniej. Miał pięćdziesiąt dwa lata, od dwudziestu siedmiu był żonaty, a od dwudziestu pięciu ojcem.

Jego córka zawsze była krnąbrnym stworzeniem, stawiającym bezczelne żądania i wodzącym rodziców za nos. To jego wina. Nie powinien pozostawić całego wychowania żonie. Mechthild była zbyt ustępliwa i łatwowierna. Nie potrafiła wyznaczyć wyraźnych granic, każde nowe szaleństwo brała za dobrą monetę. Gdy wcześniej czasem coś mówił, odpowiadała:

– Rudi, zostaw ją, jest jeszcze mała.

Później urosła i nie pozwalała już sobie nic powiedzieć, a już na pewno nie jemu. A Mechthild dodawała zwykle:

– Nie unos się tak, Rudi, pomyśl o swojej wątrobie. Dziewczęta w tym wieku takie już są.

Od trzech lat córka była mężatką i teraz wodziła za nos swego pracowitego, miłego młodego męża. Przed dwoma laty urodziła syna. A Rudolf Grovian miał nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy, dostrzeże spoczywającą na niej odpowiedzialność i ograniczy swoje zachcianki.

Właśnie w sobotę z przykrością zrozumiał, że na niektóre nadzieje nie opłacało się tracić czasu. Popołudnie spędził, świętując urodziny szwagierki. Oczywiście córka, zięć

i wnuk także zostali zaproszeni. Córka pojawiła się z dzieckiem, jej mąż nie przyszedł.

Rudolf Grovian wyłapał kilka zdań z rozmowy żony i córki, które wywołały u niego jak najgorsze podejrzenia.

„Adwokat” – to słowo usłyszał kilkakrotnie. A nie był tak naiwny, by dać sobie wmówić, że chodziło o stłuczkę samochodową lub problemy z opłacaniem czynszu.

Postanowił tego wieczoru poważnie porozmawiać z córką, chociaż wiedział, że będzie to bezcelowe i tylko pogorszy stan jego wątroby. Ale zanim do tego doszło, został wezwany. W jego zawodzie ciągle się tak zdarzało.

Rudolf Grovian był naczelnym komisarzem w urzędzie policyjnym w Erftkreis, kierownikiem pierwszego komisariatu. Wygląd i inne cechy sprawiały, że mógłby być ojcem Cory Bender. Ale był szefem, a wskutek jego pytań nie otwierała się, lecz jeszcze bardziej zamykała. Powoli, ale wciąż coraz silniej uciekała w sam środek szaleństwa, choć bała się go bardziej niż śmierci.

Była to nieprzyjemna konfrontacja dla obu stron. Policjant, w życiu prywatnym często zdenerwowany, a czasem dręczony poczuciem winy ojciec, i kobieta, która żyła w przekonaniu, że ojcowie nie potrafią pomóc i że gdy próbują, tylko pogarszają sytuację.

Możliwe, że tej soboty Rudolf Grovian był nieco bardziej podenerwowany niż zwykle. Mimo to wykonywał swą pracę tak, jak miał w zwyczaju – zachowując neutralność i dystans.

Gdy dowiedział się o zajściu nad Otto-Maigler-See, pojechał na komisariat i zagnał wszystkich dostępnych kolegów do przesłuchań, nawet tych, którzy zwykle nie zajmowali się tak poważnymi przestępstwami.

Mimo końca tygodnia wszystko szło sprawnie. Cała gromadka została rozdzielona po sąsiednich pomieszczeniach. Rozmawiał z każdym, by wyrobić sobie wstępny pogląd. Ludzie ze wszystkich sił starali się wspomnieć każdy najdrobniejszy szczegół.

Wszystko odnosiło się jednak bezpośrednio do zajścia. Nie było żadnej wskazówki na temat przyczyn katastrofy. W takich wypadkach, co wiedział z doświadczenia, przyczyna leżała albo w przeszłości, albo w charakterze sprawcy. Ale żeby kobieta ze ślepą wściekłością rzuciła się na zupełnie obcego mężczyznę – z takim przypadkiem Rudolf Grovian nie miał jeszcze nigdy do czynienia ani o podobnym nie słyszał.

Kobiety topiły swoje dzieci, odcinały mężom we śnie głowy, truły lub dusiły wymagające opieki matki, gdy te nie umiały już zapanować nad podstawowymi czynnościami fizjologicznymi, kobiety dokonywały zbrodni na bliskich. Tymczasem nic, co Rudolf Grovian usłyszał między siódmą a dziewiątą w sobotni wieczór, nie pasowało do zwykłego schematu.

Najważniejsze zeznanie otrzymał od przyjaciela i kolegi z pracy Geoga Frankenberga, Winfrieda Meilhofera. Meilhofer, tak jak ofiara, był lekarzem w uniwersyteckiej klinice w Kolonii. Trzeźwo myślący człowiek, który mimo szoku wypowiedział tylko jedno zdanie niedotyczące faktów. Że kobieta spadła na nich jak grom z jasnego nieba.

– Byłem sparaliżowany – powiedział Meilhofer – po prostu nie mogłem zareagować. Poza tym wyglądało na to, że Frankie sam sobie poradzi z tą kobietą. Po pierwszym ciosie, który z pewnością nie mógł być śmiertelny, złapał ją za przegub.

Potwierdził to ojciec rodziny.

– Nie rozumiem. Taki wielki, silny chłop. Przecież ją schwycił! A potem znowu puścił. Dokładnie widziałem. Nawet się nie wyrywała. Bez trudu by ją przytrzymał. Ale on bez sprzeciwu pozwolił się zabić. A jak na nią wtedy patrzył! Wydało mi się, że ją zna i dokładnie wie, dlaczego ona to robi.

Na przypuszczenie, że Georg Frankenberg znał lub rozpoznał Corę Bender, Winfried Meilhofer wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem, być może. Gdy przyszliśmy, był tam tylko mężczyzna z dzieckiem. Kobieta przyszła później, pewnie z jeziora. Zwróciłem na nią uwagę, bo tak dziwnie przypatrywała się Frankiemu i Ute. Miałem wrażenie, że się przestraszyła. Nie sądzę, żeby Frankie ją zauważył. Chciałem zwrócić mu na nią uwagę, ale potem usiadła i zostawiła nas w spokoju. Ja też już o niej nie myślałem. A gdy to się stało... Frankie popatrzył na nią i coś powiedział. Nie rozumiałem co. Przykro mi, panie Grovian, że nie mogę więcej pomóc. Znałem Frankiego dopiero od dwóch lat jako spokojnego, rozważnego człowieka. Nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby dać jakiejś kobiecie powód do takiego szaleństwa. „On cię już nie będzie bił” – powiedziała do Ute. Frankie nie był facetem, który dopuszczałby się przemocy wobec kobiet. Wręcz przeciwnie, były dla niego niemal święte.

Winfried Meilhofer powiedział, że kiedyś Frankie wspomniał krótko, iż na początku studiów poznał dziewczynę i zakochał się w niej po uszy. Potem zginęła w wypadku.

Meilhofer powiedział:

– Nie przyznał się do tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że był przy jej śmierci. I nie otrząsnął się po tym. Nie sądzę, żeby później miał jeszcze jakiś romans. Dopóki przed sześcioma miesiącami nie poznał Ute, liczyła się dla niego tylko praca. Nie wybaczył sobie, że raz nie umiał pomóc.

Winfried Meilhofer przypomniał sobie zdarzenie dobrze oddające nastawienie Frankiego do kobiet i pracy. Stracili pacjentkę, młodą kobietę – zator płuc po rutynowym zabiegu. Stało się to niecały rok wcześniej. Takie rzeczy się zdarzają. Trzeba się z nimi pogodzić. Frankie tego nie potrafił. Był jak oszalały, przy próbie reanimacji złamał zmarłej dwa żebra. Potem upił się i nie chciał pójść do domu.

Winfried Meilhofer wolał nie zostawiać go samego. Poszli razem do baru. W tle brzmiała muzyka. Frankie wspominał zmarłą pacjentkę, mówił, że nie rozumie, jak taka młoda kobieta mogła tak niespodziewanie umrzeć mu na rękach. Potem znienacka zaczął opowiadać o muzyce. O dzikim okresie swojego życia, o perkusji. Że namówił go do tego przyjaciel. Że popełnił duży błąd i że lepiej by było, gdyby skoncentrował się na studiach.

Dopiero po paru godzinach pozwolił Winfriedowi odprowadzić się do mieszkania. Zrobił uwagę o dziewczynie, którą kochał i musiał oddać śmierci. Potem pokazał Meilhoferowi kasetę, tę samą, którą Ute puściła nad jeziorem. Frankie także ją odsłuchał, siedział na podłodze i pięściami wybijał w powietrzu rytm.

– Muszę tego słuchać co wieczór – powiedział. – Gdy to robię, jest ze mną. Czuję ją. A gdy ją czuję, mogę zasnąć.

Wyjątkowy człowiek ten Georg Frankenberg, bardzo poważny, bardzo

odpowiedzialny, ze skłonnością do stanów depresyjnych i fatalnym upodobaniem do szybkich samochodów. Ktoś mógłby zacząć podejrzewać, że niezbyt zależało mu na życiu. Winfried Meilhofer coraz częściej obawiał się, że po weekendzie już go nie zobaczy. Dopiero Ute wyrwała go z melancholii.

Po zebraniu informacji o ofierze Rudolf Grovian miał nadzieję dowiedzieć się od Gereona Bendersa czegoś na temat historii sprawcy. Ze względu na małe dziecko zaproponowano mężowi Cory Bendersa, że policjanci pojedą z nim do domu. Mieli udać się za nim i tam porozmawiać.

Gereon Bender ostro zaprotestował. Nie chciał być wyjątkiem w kręgu świadków. Pojechać do domu w towarzystwie policji – niemożliwe! Skoro wszyscy przyszli na komisariat, on też tak chciał. Dziecko nie było problemem. Mały zachowywał się bardzo dzielnie, siedział na kolanach ojca, gryzł herbatnik i tylko raz chciał do mamy. „Do mamy” – powiedział.

Cienki dziecięcy głosik jeszcze kilka dni później tkwił w głowie Rudolfa Groviana niczym cierni. A Gereon Bender wyjaśnił z naciskiem:

– Nie wiem, dlaczego nagle zwariowała. W ogóle nic nie wiem. Nigdy nic nie mówiła, tylko raz coś o dawnym wypadku. Ale nie mieliśmy żadnych problemów. Czasami kłóciła się trochę z moim ojcem, bo nie dawała mu sobie nic powiedzieć. Robiła, co chciała. I zawsze powtarzała, że jest ze mną bardzo szczęśliwa.

– To ostatnie najwyraźniej nie do końca odpowiadało prawdzie.

Berrenrath, kolega z policji, który jako jeden z pierwszych dotarł na miejsce zbrodni, zauważył coś osobliwego. Gdy odprowadzano Corę Bendersa od zwłok Georga Frankenberga, jej mąż krzyczał na nią i mocno jej wymyślał. Zachowała spokój, obróciła się do niego i powiedziała:

– Przykro mi, Gereonie, nie powinnam była za ciebie wychodzić. Wiedziałam, co za sobą ciągnę. Teraz jesteś wolny. Tak czy owak, i tak byłbyś od dzisiaj wolny. Chciałam pójść popływać.

Znacząca uwaga, stwierdził Rudolf Grovian. Wyciągnął na jej podstawie własne wnioski i zebrał kilka dowodów potwierdzających jego pogląd: dwie niezależne wskazówki dotyczące „wypadku” z przeszłości i dwie wypowiedzi, które – nawet jeśli opierały się tylko na osobistych wrażeniach – potwierdzały podejrzenie, że ofiara i sprawcy nie spotkali się po raz pierwszy nad Otto-Maigler-See.

Początkowo Rudolf Grovian nie brał pod uwagę, że reakcja Georga Frankenberga na atak wynikała tylko z szoku i przerażenia. Przyjął inne, choć zbliżone założenia.

Gdy krótko po dziewiątej stanął przed Corą Bendersą, zobaczył trzęsącą się istotę z twarzą pobitą do krwi, kupkę nieszczęścia z jednym okiem opuchniętym, podczas gdy w drugim widoczne było ogromne przerażenie. Berrenrath zwrócił na to uwagę:

– Ledwo daje radę, proszę pana. Koniecznie chce mieć to już za sobą. Posprzątała. Gdybym ją zostawił samą, pewnie wyczyściłaby panu biuro do połysku. – Na ogół Berrenrath właściwie oceniał ludzi.

Rudolf Grovian liczył się z tym, że po chwili Cora zacznie – płacząc i prosząc o wyrozumiałość – opowiadać mu tragiczną historię dawnej miłości i wielkiej pomyłki lub coś podobnego, co mogłoby zostać uznane za motywację jej czynu.

Już po kilku minutach jednak z trudem zachowywał spokój i przyjazny ton. Chwilami był bliski, by uderzyć pięścią w stół i wyjaśnić temu biedactwu, że nie ma dymu bez ognia. „Czy wyczerpująco odpowiedziałam na pańskie pytanie?” – Nigdy nie spotkał się jeszcze z taką bezczelnością.

Siedziała naprzeciw niego jak kamień. Nie widział, jak bije jej serce. Szaroczerwone opary wypełniające jej umysł nie wydostawały się przez uszy. Nie odpowiedziała jeszcze na jego ostatnie pytanie. Najwyraźniej chciała zrealizować swoją pogroźkę.

– Nic już nie powiem.

Czekał, aż również jej twarz przybierze kamienny wyraz. Stało się jednak inaczej.

Pobite oblicze rozluźniło się nagle. Wzrok skierował się do wewnątrz, dłonie na kolanach przestały zaciskać się z żelazną siłą i leżały bezwładnie. Przez kilka minut wydawała się po prostu miłą i ładną dziewczyną w dżinsowej spódnicy, białym podkoszulku i sandałach wsuniętych na bose stopy. Młoda kobieta z sąsiedztwa, której bez zastanowienia każdy powierzyłby na kilka godzin własne dzieci. Siła napędowa w firmie teścia, zmęczona i wyczerpana po ciężkim dniu.

Spoglądał na nią niezdecydowanie i dwa razy zawołał po imieniu. Nie zareagowała. Przez chwilę miał nieprzyjemne uczucie, jakby zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Ślady uderzeń na jej twarzy niepokoiły go. Nie budziło wątpliwości, że – wbrew wielokrotnym zapewnieniom – coś było z nią nie w porządku. Odnosił to jednak bardziej do jej stanu fizycznego niż psychicznego. Nie dostrzegał, że znalazła się na skraju szaleństwa. Ale liczne uderzenia pięścią w głowę...

Winfried Meilhofer powiedział:

– Myślałem, że ją zabije. – Nie można było wykluczyć wewnętrznych obrażeń, które ujawniły się dopiero po kilku godzinach. To częste po bójkach. Jeśli przesłuchiwana teraz mu się załamie...

Nie powinien się opierać na jej słowach. Potrzebowała lekarza. Być może także takiego, który bliżej zbadałby sprawę podejrzaną przez niego próby samobójczej.

Zazwyczaj nie unikał brania na siebie odpowiedzialności, ale teraz nagle zapragnął, by zjawił się prokurator i zdecydował, co dalej. Kontynuować? A może posłać do sędziego? Lub lepiej do najbliższego szpitala, gdzie zrobiliby jej prześwietlenie głowy, żeby później nie zarzucono mu zaniedbania obowiązków?

Prokurator zajmował się właśnie inną sprawą. W barze w Kolonii złapali mężczyznę podejrzanego o to, że przed paroma tygodniami roztrzaskał głowę swojej dziewczynie. Przez telefon Rudolf Grovian został szybko spławiony.

– Jestem w środku przesłuchania. Przyjdę jutro rano i przeczytam akta. Jak pan skończy z tą kobietą, proszę ją odesłać do sędziego w Brühl. Do tej pory wszystko jest przecież jasne, prawda?

Nic nie było jasne, dopóki upierała się, że nie знаła ofiary. Ale sędziemu wystarczyły zeznania świadków. O resztę mógł się martwić psycholog sądowy. Na pewno zostanie powołany. Niech ten łamie sobie nad nią głowę.

Jakaś część Rudolfa Groviana uważała, że powinien jak najprędzej się jej pozbyć. Miała w sobie coś, co wywoływało w nim wściekłość i – nawet jeśli nigdy by się do tego

nie przyznał – wprawiało w zakłopotanie. Im dłużej milczał, tym wyraźniej czuł ową pierwszą lekką wątpliwość. A co, jeżeli mówiła prawdę?

Nonsens! Nie zdarzało się, żeby porządna mężatka i matka z błahego powodu mordowała zupełnie obcego człowieka.

Bawiła się obrączką. Pod paznokciami widać było jeszcze ślady krwi. Skubała palce. Jej dłonie znów zaczęły się trząść. Uniosła głowę i popatrzyła mu w twarz. Spojrzenie jak u dziecka, bezradne i zagubione.

– Pytał pan o coś?

– Tak, pytałem – powiedział. – Ale najwidoczniej nie może się już pani skoncentrować. Myślę, że skończymy na dzisiaj, pani Bender. Jutro porozmawiamy dalej.

To było najlepsze rozwiązanie. Być może po nocy spędzonej w celi bardziej się otworzy. Być może zacznie także na nowo rozważać swój pierwotny zamiar. Pójść popływać! Istniały przecież inne metody. Musi poinstruować kolegów, żeby ani na chwilę nie zostawiali jej bez nadzoru. Gdyby zrobiła cokolwiek, co wskazywałoby na zamiary samobójcze, sprawa byłaby dla niego załatwiona. Tak jak wtedy, gdy córka oznajmiła, że chce wyjść za mąż. Odetchnął i pomyślał, że wreszcie będzie miał spokój.

– Nie, nie – odparła pospiesznie. – Czuję się dobrze. Po prostu czasami człowiek myśli o tylu rzeczach. – Drżenie rąk nasiliło się i pojawiło się również na ramionach. – Przepraszam, jeśli nie byłam całkiem przytomna. Myślałam o mężu. Bardzo go to wzburzyło. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był taki wściekły.

Brzmiało to tak, jakby rozbiła jego samochód. Wyraźnie opuszczały ją siły. Popatrzyła na swoje dłonie i wydawała się całkowicie skoncentrowana na tym, by nie stracić nad nimi kontroli. A on zastanowił się, co by się stało, gdyby ją straciła. Potok łez? Wreszcie słowa prawdy? Czy też powtórka sceny nad jeziorem?

Wątpliwości pojawiły się znowu, i tym razem jeszcze większe. Co z nią było, do cholery? Młoda kobieta, która nagle stanęła oko w oko z niemiłym wspomnieniem z przeszłości, czy jedna z tych ukrytych bomb, które przez lata odgrywiają przed otoczeniem normalne i nieszkodliwe osoby, by potem wybuchnąć bez wyraźnego powodu? Czy zaatakowałyby i jego?

Był bliżej niż Werner Hoß, mężczyzna w dresie, który siedział za biurkiem jak posąg. Odbywał służbę w pogotowiu i zazwyczaj nie zachowywał się z takim dystansem. Ale zwykle także się z nim zgadzał. Tym razem nie.

Gdy stali w trójkę przed drzwiami, a Berrenrath wygłosił swoją opinię na temat trzymania się resztkami sił i krótko opisał Rudolfowi Grovianowi, co – sądząc po zeznaniach świadków – jego zdaniem się zdarzyło, Hoß potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale to musiałyby być cholerny zbieg okoliczności. Nieszczęśliwa w małżeństwie kobieta postanawia się zabić i właśnie wtedy natyka się na kogoś, z kim kiedyś coś ją łączyło. Wyobrażam sobie raczej, że coś w niej pękło, gdy musiała patrzeć na zachowanie Frankenbergów.

Jej głos, teraz cichy i przestraszony, wyrwał Rudolfa Groviana z zamyślenia.

– Czy mogę jednak prosić o kawę?

Kusiło go, by odmówić. Kawa dopiero wtedy, gdy wszyscy będziemy zadowoleni. No dalej, dziewczyno! Opowiedz nam, co się dzieje w twojej głowie. Nie możesz się

zachowywać tak, jakbyś zabiła osę, która chciała się dobrać do twoich lodów. Myślałaś o tym, żeby się utopić, prawda? Ale potem jakiś mężczyzna w to uwierzył. Był młody, chciał ratować ludziom życie. A ty go zabiłaś jak wściekłego psa. Dlaczego?

– Chciałaby pani też coś zjeść? – zapytał.

– Nie, bardzo dziękuję – odparła szybko. – Tylko kawę proszę. Boli mnie głowa. To nic takiego. To znaczy, jestem w pełni sił. Nie będę jutro twierdzić, że czułam się tak źle, że nie wiedziałam już, co robię i mówię.

Jej słowa nie odpowiadały prawdzie. Czuła się jak w windzie jeżdżącej w górę i w dół. Od Gereona do ojca, od ojca do matki, od matki do Magdaleny, od Magdaleny do winy. Nie chciała kawy, tylko przerwy na odpoczynek, żeby ocenić, jak wysoka była góra, która tak nagle przed nią wyrosła.

Zbyt wiele rzeczy naraz. Wspomnienia i nowe odczucia. Nic nie zostało ze spokoju, radości i bezmiernej ulgi, które czuła w pierwszych chwilach. Nie skończyło się, dziura nie została zatkana, a ona wciąż w niej tkwiła. Miała wrażenie, że otaczają ją czarne ściany, które nieustannie się do niej zbliżają.

– Od kiedy boli panią głowa?

Rudolf Grovian podniósł się z mieszaniną rezygnacji i ponownie budzącej się ambicji zawodowej. To była kwestia intuicji i doświadczenia. Kontynuować! Jej głos, jej postawa, nagła uległość, znał to, doświadczył ich już setki razy. Najpierw byli bezczelni, potem dostrzegali beznadziejność swojej sytuacji i próbowali za pomocą nieszkodliwej prośby sprawdzić, ile punktów sympatii zdobyli do tej pory.

Podszedł do ekspresu do kawy, wziął dzbanek i przytrzymał go pod kranem. Za sobą słyszał jej drżący oddech.

– Od kilku minut. Ale to naprawdę nic wielkiego.

– Nad jeziorem więc nic panią jeszcze nie bolało?

– Nie.

– Powinniśmy mimo wszystko wezwać lekarza, by obejrzał pani obrażenia – zaproponował.

– Nie! – zaprotestowała niczym uparte dziecko, które nie chce włożyć ciepłego szalika. – Nie chcę lekarza. A skoro nie chcę, nie ma pan prawa go wzywać. Nie może mnie badać lekarz, jeśli nie wyrażę na to zgody. To by było naruszenie nietykalności.

No proszę, pomyślał, naruszenie nietykalności. Głośno zapytał:

– Ma pani coś przeciwko lekarzom?

Kątem oka zobaczył, że uniosła i z powrotem opuściła ramiona. Po kilku chwilach odparła:

– Coś przeciwko to za dużo powiedziane. Moim zdaniem są nic niewarci. Opowiadają ludziom bzdury. I trzeba im wierzyć, bo nie jest się w stanie udowodnić, że jest inaczej.

– Czy wie pani, kim z zawodu był Georg Frankenberg?

Zawahała się, zanim odpowiedziała. Nie uszło to jego uwagi.

– Skąd miałabym wiedzieć, skoro go nie znałam?

To była prawda, czysta prawda. Obcy człowiek. Ale jego żona miała przecież nagranie!

– Przewinę trochę...

A w jej głowie coś przewinęło się wstecz. Szef policjantów nie dał jej czasu, by zastanowić się nad tym, jak, kiedy i w jakich okolicznościach piosenka z taśmy trafiła do jej umysłu. Choć ważne było, żeby to wiedzieć.

– Często boli panią głowa? – spytał.

– Nie. Tylko wtedy, gdy źle spałam.

– Chce pani aspirynę? Chyba mamy tu jakąś. – Nie powinien jej niczego podawać, nawet tak nieszkodliwego jak aspiryna. Później mogłaby twierdzić, że to ograniczyło jej wolną wolę. Zapytał tylko, by dla odmiany usłyszeć choć raz „Tak”.

Lecz ona odparła:

– Nie. To miło z pana strony, ale aspiryna mi nie pomoże. Moja teściowa ma pewne tabletki, czasami biorę jedną. Można je dostać tylko na receptę. To bardzo silny środek.

– A więc muszą to być silne bóle – stwierdził, nasypując kawy. Nałożył filtr, wcisnął przycisk w ekspresie i obrócił się do niej.

– Czasami tak, ale teraz nie. Naprawdę. – Potrząsnęła głową – Dam radę. Proszę posłuchać, czy mógłby pan wyłączyć ekspres i najpierw umyć dzbanek? Jest bardzo brudny, widzi pan ten osad na dnie? Musi go pan usunąć, samo płukanie wodą nie pomoże.

Wyraz obrzydzenia na jej twarzy był dobrze widoczny. Porządna dziewczyna, pomyślał Rudolf Grovian w przyływie sarkazmu, który nie odpowiadał jego nastrojowi.

– Założę się – powiedział cicho – że pani za każdym razem dokładnie płucze dzbanek.

– Oczywiście.

– I że pani dom łśni czystością.

– Nie mam dużo czasu na prowadzenie domu. Ale staram się utrzymywać wszystko w porządku.

– Swoje życie też? – spytał.

Choć czuła się tak źle, że ledwo mogła jasno myśleć, sądziła, że wie, do czego on zmierza. Jej ręce automatycznie zacisnęły się na bliznach w zgięciach łokci. Gdy się broniła, jej głos brzmiał ochryple:

– Co pan ma na myśli?

– To, co powiedziałem. Nie lubi pani mówić o przeszłości. Mąż z pewnością nie był pierwszym mężczyzną w pani życiu. Czy była z nim pani szczęśliwa, pani Bender?

Skinęła tylko głową.

– A dlaczego przed paroma godzinami powiedziała mu pani, że nigdy nie powinna za niego wychodzić?

Wzruszyła ramionami, uniosła dłoń do ust i zaczęła gryźć paznokcie kciuka.

– Okropnie panią potraktował – powiedział Rudolf Grovian, wskazując na jej twarz. – Często panią bił?

– Nie! – Zachrypnięcie zniknęło, nie musiała nawet odchrząknąć. Odzyskała energię: – Gereon nigdy mnie nie bił. Dziś był pierwszy raz. To zrozumiałe. Proszę postawić się w jego sytuacji! Co by pan zrobił, gdyby pana żona nagle rzuciła się z nożem na obcego człowieka i go zamordowała? Pan także próbowałby odebrać jej nóż. A gdyby nie chciała go oddać, uderzyłby ją pan. To zupełnie normalne.

Rudolf Grovian czubkami palców zmył osad z dna dzbanka, wstawił go ponownie pod filtr i jeszcze raz nacisnął guzik, tłumacząc jednocześnie:

– Nie mogę się postawić w sytuacji pani męża, pani Bender. Moja żona nie zrobiłaby czegoś tak szalonego.

Jej reakcja była gwałtowniejsza, niż oczekiwał. Tupnęła nogą i wykrzyknęła:

– Nie jestem wariatką!

Pierwsze tego rodzaju wybuchy z jej strony nie uszły jego uwagi. Kolejny sprowokował go do pójscia tym tropem.

– Ludzie będą jednak tak myśleć, pani Bender, jeżeli nie wytłumaczy pani swojego zachowania. Żaden normalny człowiek nie zabija obcej osoby tylko dlatego, że zdenerwowała go muzyka. Rozmawiałem długo z pani mężem i...

Wykrztusiła coś, czego nie zrozumiał, i przerwała mu. Ostro zażądała:

– Niech pan zostawi mojego męża w spokoju! Nie ma z tym nic wspólnego. – Kontynuowała nieco spokojniej: – Gereon to miły człowiek. Pracowity i uczciwy. Nie pije. Nie jest agresywny. – Opuściła głowę. Jej głos stracił na stanowczości. – Nigdy nie zmusiłby żony, by zrobiła coś wbrew sobie. Nigdy mnie nie zmuszał. Wczoraj zapytał nawet, czy mam ochotę. Mogłam powiedzieć „nie”. Ale ja...

Rudolf Grovian poczuł się nieco niezręcznie i niezbyt dobrze to rozumiał. Cora Bender jak dzikie zwierzę rzuciła się na bezbronnego mężczyznę. Cora Bender z małym nożykiem, przepelniona wściekłością. Cora Bender nie okazywała śladu żalu ani współczucia dla ofiary. Ale gdy tak siedziała na krześle, trzęsącymi się ustami opisując swego męża, to ona była ofiarą.

Potem znów się uśmiechnęła, pewna siebie i dominująca, i powiedziała jakby nigdy nic:

– Proszę posłuchać – czym ponownie go rozgniewała. – Nie chcę z panem rozmawiać o mężu. Wystarczy, że złożył zeznanie. Tak przecież było. I będzie musiał jeszcze raz powtórzyć je przed sądem. Ale na tym koniec. Resztę możemy załatwić tu między sobą. Nie zgadzam się, żeby osoby postronne zostały wciągnięte w tę sprawę.

Ostrzej niż zamierzał, odparł:

– Mnóstwo osób postronnych zostanie w nią wciągniętych, pani Bender. Powiem pani teraz, jaka jest sytuacja. Nie może lub nie chce pani wyjaśnić nam, dlaczego nagle straciła nad sobą kontrolę.

Otworzyła usta, szybko mówił więc dalej:

– Proszę mi znowu nie przerywać. Powiedziałem tylko „straciła kontrolę”. Nie twierdzą, że jest pani wariatką. Nikt też tak do tej pory nie mówił. Ale zrobiła pani coś nie do pojęcia. A naszym zadaniem jest się dowiedzieć dlaczego. Do tego zobowiązuje nas prawo, czy się pani to podoba, czy nie. Będziemy musieli porozmawiać z wieloma osobami. Ze wszystkimi pani bliskimi. Z teściami i rodzicami. Każdego spytamy...

Nie skończył. Wydawało się, że chce się zerwać z krzesła, objęła siedzenie obiema rękami, jakby tylko w ten sposób mogła utrzymać równowagę. Z rodzicami! To słowo huczało jej w głowie.

Ofuknęła go jak kotka.

– Ostrzegam pana! Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju. Może pan

rozmawiać z teściami. Opowiedzą panu, co pan chce usłyszeć. Że umiem tylko wyciągać rękę, że nie mam wstydu. Ladacznica, tak od początku mówiła o mnie teściowa, że jestem ladaczną. Potrafi być wstrętna. Zawsze mi dokuczała.

Rudolf Grovian nie domyślił się po jej wypowiedzi, że rodzice nie żyją. Było tyle do omówienia, nie starczyło czasu na drugorzędne sprawy. Zobaczył, jak Werner Hoß daje mu znak. Miał wrażenie, że Hoß chce przerwać rozmowę. A tego nie planował. Kto kończy, kiedy właśnie się zaczęło? Bo zaczęło się. Lodowiec się roztopiał, słyszał niemal trzask łamiącego się lodu. Szybko zrozumiał, że trafił w czuły punkt: rodzice, ojciec. W miarę jak mówiła dalej, spostrzegł, że było to więcej niż tylko jeden punkt.

Hoß nabazgrał coś na kartce. „Rodzice nie żyją” – przeczytał Rudolf Grovian i pomyślał: no proszę. Nie miał czasu na dłuższe rozważania. Już po dwóch zdaniach jej głos stracił siłę, drżał jak papierowy stateczek w rynsztoku.

– Nie straciłam dziecka. To był nagły poród. Lekarze powiedzieli, że może się zdarzyć każdej kobiecie. Że nie ma nic wspólnego z tym, czy spała z jednym, czy z setką mężczyzn. Nie spałam z setką mężczyzn. Już jako dziecko wyobrażałam sobie, że pewnego dnia te ich rzeczy muszą odpaść.

Palce lewej dłoni zaplotła na prawej i ścisnęła ją, jakby chciała ją sobie złamać. Rudolf Grovian obserwował Corę z mieszaniną fascynacji i triumfu. Spuszczając wzrok na podłogę, mówiła dalej:

– Ale z Gereonem było pięknie. Nigdy mnie nie zmuszał. Zawsze był dla mnie dobry. Nie powinnam była za niego wychodzić, bo ja... bo ja... Miałam przecież ten sen. Ale od dłuższego czasu nie wracał. A ja... Ja chciałam tylko... – Przerwała, uniosła głowę i spojrzała mu w twarz. W jej głosie wyraźnie przebijała panika: – Chciałam tylko normalnego życia z miłym młodym mężczyzną. Chciałam mieć to, co inni. Rozumie pan?

Pokiwał głową. Któż by nie zrozumiał? I który ojciec nie pragnąłby, żeby jego córka dążyła do tego samego – zadowolenia i szczęścia u boku miłego, porządnego mężczyzny?

To była chwila, w której Rudolf Grovian zmienił nastawienie. Nie zauważył tej zmiany, jeszcze kilka dni później uważał się za zdystansowanego, zaangażowanego policjanta, który poznał nieszczęścia sprawcy i mógł mu współczuć. Współczucie nie było zakazane, dopóki człowiek nie tracił celu z oczu. Nie stało się tak ani na chwilę. Cel jego pracy stanowiło odkrycie i końcowe wyjaśnienie sprawy, grzebanie w najciemniejszych zakamarkach i poszukiwanie dowodów. Nie grało roli, czy te zakamarki znajdowały się w budynku, w lesie, czy w ludzkiej duszy.

Rudolf Grovian nie miał ambicji, by odbierać zajęcie kompetentnym specjalistom. Nie miał także zamiaru za wszelką cenę dowodzić, że jego pierwsze podejrzenie było słuszne. Był tylko człowiekiem, który został sprowokowany, który przeoczył pierwsze sygnały alarmowe wysyłane przez rozchwiany umysł, który poczuł pokusę i jej uległ. Pod koniec chodziło mu tylko o to, by dowieść swojej niewinności.

Cora Bender zamknęła oczy i wyjąkała:

– Tak było na początku. Wszystko było zupełnie normalnie. Jego pieszczoty sprawiały mi przyjemność. Lubiłam się z nim kochać. Ale potem... zaczęło się znowu. Nie z jego winy. Chciał tylko dobrze. Inne to lubią, szaleją za tym. Nie mógł podejrzewać,

co się stanie, gdy mi to zrobi. Sama tego nie wiedziałam, dopóki się nie stało. Powinnam była z nim o tym porozmawiać. Ale co miałabym mu powiedzieć? Że nie jestem lesbijką? Nie o to przecież chodziło – tak sędzę. Nie wiem, ale... Mam na myśli to, że nie tylko kobiety robią to sobie językiem. Mężczyźni także i wszyscy uważają, że to przyjemne. Tylko ja nie. A tamto jeszcze nie odeszło. Myślałam, że najlepiej będzie, jak pójdę popływać. Wyglądałoby to na wypadek. Gereon nie miałby wyrzutów sumienia. Najgorsze, gdy ktoś umiera, to te wyrzuty sumienia. Chciałam mu ich oszczędzić. Gdyby syn mnie nie zatrzymał, nic by się nie stało. Dawno już byłabym daleko, gdy przewinęła taśmę. – Zaczęła bić się pięścią w piersi, oczy miała zamknięte, jej głos zdradzał histerię. – To była moja melodia! To była moja melodia! A ja nie mogę wytrzymać, gdy ją słyszę. Mężczyzna nie chciał jej słuchać. To nie, powiedział, nie rób mi tego. Wiedział, że wpadam w dziurę, gdy ją słyszę. Musiał wiedzieć. Popatrzył na mnie i wybaczył mi. Wyczytałam to w jego oczach. Ojczy, przebacz jej! Nie wie, co czyni. – Jęknęła. – O mój Boże! Ojczy, przebacz mi! Przecież was wszystkich kochałam. Ciebie i matkę i... Tak, ją też. Nie chciałam zabijać. Chciałam tylko żyć, normalnie żyć. – Ponownie otworzyła oczy, wpatrywała się w Groviana i pomachała palcem wskazującym w jego kierunku. – Niech pan zapamięta, to wszystko była moja wina. Gereon nie miał z tym nic wspólnego. Ani mój ojciec. Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju. To stary człowiek. Wystarczająco dużo zrobił. Zabijecie go, jeśli mu to powiecie.

Rozdział 4

Przez te wszystkie lata ojciec na swój sposób bardzo się starał. I nawet jeśli sto razy go zawiodłam, jeśli tysiąc razy dałam mu powód, by mnie odrzucił, to nigdy nie przestał mnie kochać. Zrobił dla mnie coś, czego nie uczyniłby żaden inny ojciec.

Nie chodzi mi o to, co stało się w moje urodziny, gdy leżałam głodna w łóżku, a on przyszedł do pokoju, przeklinając. Chociaż również wtedy coś dla mnie zrobił. Gdy zauważył, że nie śpię, usiadł na moim łóżku i pogładził mnie po głowie.

– Przykro mi – powiedział.

Byłam na niego wściekła. Gdyby nie dał mi głupiej czekolady, dostałabym talerz zupy.

– Zostaw mnie – odparłam i obróciłam się na bok.

Ale nie zostawił. Objął mnie i kołysał.

– Moja biedna dziewczynka – szeptał.

Nie chciałam być biedną dziewczynką. Nie chciałam też żadnych urodzin, tylko wreszcie trochę spokoju.

– Zostaw mnie – powiedziałam raz jeszcze.

– Nie mogę – wyszeptał. – Wystarczy, że jedna cierpi. Nie mogę nic dla niej zrobić, to zadanie dla lekarzy. Ale ty jesteś moim zadaniem. Jeśli wytrzymasz jeszcze pół godziny, wtedy matka na pewno zaśnie i przyniosę ci coś do jedzenia. Musisz być głodna jak wilk.

Siedział na moim łóżku ponad godzinę, trzymał mnie w objęciach i tym razem nie opowiadał o przeszłości. Matka była jeszcze na dole i modliła się po raz ostatni tego dnia. Zdawało mi się, że minęła wieczność, zanim wreszcie usłyszeliśmy jej kroki na schodach. Poszła do toalety, a chwilę później drzwi obok się zamknęły. Ojciec poczekał jeszcze kilka minut, zanim zszedł na dół.

Wrócił z talerzem zupy. Była ledwie letnia, ale to mi nie przeszkadzało. Gdy opróżniłam talerz, postawił go na podłodze, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął coś. Resztę czekolady.

Nie chciałam jej wziąć, naprawdę. Ale ojciec odłamał kawałek, wsunął mi do ust i powiedział:

– Weź. Nie zastanawiaj się, możesz ją jeść. Gdy ja tak mówię, możesz. To nie grzech. Nigdy nie namawiałbym cię do grzechu. Nie musisz się bać, że matka coś zauważy. Sądzi, że czekolada leży już w śmietniku.

Nie umiałam się powstrzymać.

Następnego dnia Magdalena poczuła się źle. A dzień później jej stan jeszcze się pogorszył. Ojciec nalegał, by zabrać ją do kliniki. Matka nie chciała, ale tym razem ojciec postawił na swoim. Wyjechali wcześniej rano.

Nigdy tego nie zapomnę. Matka wróciła po południu – sama, taksówką. Ojciec został z Magdaleną w Eppendorfie, by w spokoju porozmawiać z lekarzami. Byłam obok u Grit Adigar. Ojciec powiedział mi rano, że jeśli w domu nikt mi nie otworzy, mam iść do Grit. Dostałam obiad, a później jeszcze kilka cukierków za dobrze odrobione lekcje.

Tak naprawdę chciałam je zjeść dopiero wtedy, gdy Magdalena wróci do domu. Ale potem pomyślałam, że po czekoladzie nie ma to już znaczenia. Matka przyszła mnie odebrać, a ja miałam jeszcze cukierka w buzi. Oczywiście zauważyła to. Nie zażądała jednak, bym go wypłuła.

Była inna niż zwykle – jak z kamienia, a jej głos brzmiał szorstko. Magdalena musiała umrzeć, tak powiedzieli lekarze. Teraz już musiała. Zbyt często śmiała się śmierci w twarz, jej czas wreszcie ostatecznie upłynął. Nie mogli kontynuować leczenia, to tylko przedłużało jej cierpienie.

Do wszystkich chorób doszła jeszcze jedna. Nie miała nic wspólnego z katarem, który przyniosłam do domu. Nazywała się białaczka. Rak, powiedziała matka, a ja wyobraziłam sobie, że Magdalena ma w brzuchu zwierzę ze szczypcami, które rozszarpuje ją od środka.

Matka przyniosła z piwnicy jedną walizkę dla siebie, a drugą dla Magdaleny. Musiałam iść z nią na górę i stać obok łóżka w jej sypialni, podczas gdy ona pakowała bieliznę do bagaży Magdaleny i mówiła:

– Obejrzyj dokładnie to łóżko. Zostanie tak, jak jest teraz. Przez całe życie będziesz widziała na nim swoją siostrę. Do końca swoich dni będziesz pytać samą siebie: czy było warto? Jak mogłam pozwolić siostrze umrzeć dla równie błahej zachcianki? I to w dodatku tak straszną śmiercią.

Uwierzyłam w to. Naprawdę w to uwierzyłam. I czułam szaleńczy strach. Aż do tego momentu nigdy nie zastanawiałam się, jak ułoży się nasze życie, gdy Magdaleny już nie będzie. Teraz to zrobiłam. Spojrzałam na łóżko, jak tego zażądała matka. Pomyślałam, że chce mnie zamknąć w sypialni, żebym do śmierci patrzyła na puste łóżko.

Matka pojechała taksówką z powrotem do Eppendorfu. Zostałam sama w domu. Nie zamknęła mnie w sypialni. Gdy ojciec wrócił wieczorem, byłam w salonie. Zapaliłam świece i całe popołudnie klęczałam na drewnianej ławce. Obiecałam Zbawicielowi, że nigdy już niczego nie zapragnę. Błagałam Go, by uśmiercił mnie, a siostrę oszczędził. Gdy nie padłam martwa, pomyślałam, że muszę pokazać matce, na jak dużą ofiarę mnie stać. Chciałam spalić sobie ręce tak jak niebieską sukienkę z białym kołnierzykiem, żeby nigdy już nie mogły dotknąć niczego słodkiego. Ale gdy trzymałam je nad płomieniem, a ból się nasilił, cofnęłam dłonie. Zostało tylko kilka bąbli.

Ojciec był przerażony, gdy je zobaczył. Zapytał, co powiedziała matka. Powtórzyłam mu. Najpierw wściekł się i strasznie przeklinał. Głupia krowa! Jest całkiem chora! Takie rzeczy. Potem poszedł do Grit Adigar, by zatelefonować do kliniki i powiedzieć lekarzom, że zmienił zdanie. Że mają leczyć Magdaleny. A jeśli nie zechcą, to złożą na nich doniesienie i przeniesie Magdaleny do innej kliniki.

Gdy wrócił, był bardzo spokojny. Przygotował kolację. Zupę z fasoli ze słoika, bo w domu nie mieliśmy nic innego. Potem postawił na kuchence mniejszy garnek i nalał mleka. Mleko było zawsze. Dla Magdaleny. Ja go nie lubiłam. Łatwo przychodziło mi z niego zrezygnować. Zawsze udawałam jednak, że to z mojej strony wielka ofiara. Jako dziecko byłam fałszywa, zakłamana i do szpiku zepsuta.

Ojciec wyciągnął z kieszeni małą torebkę i uśmiechnął się do mnie.

„Zobaczymy, czy potrafię – powiedział. To był budyń w proszku. Poprosił o niego

Grit. – Muszę jej uświadomić, że może jeść, co chce. Właśnie teraz muszę. Ale co zrobić z Magdaleną? Najlepiej byłoby pozwolić jej umrzeć w spokoju. Leczenie to tortura. Lekarze dokładnie mi to wyjaśnili. Nie przeżyje tego. A potem będę musiał żyć z myślą, że na moje polecenie zamęczyli ją na śmierć. Ale muszę tak zrobić – dla Cory”.

Grit opowiedziała mi to dopiero później, znacznie później. Ale zawsze wiedziałam, że ojciec mnie kocha. I ja też go kochałam. Bardzo.

Zostaliśmy wtedy sami długo, bo aż pół roku. To był piękny okres, najpiękniejszy w moim życiu. Przed wyjściem do pracy ojciec przygotowywał mi na śniadanie jajka, kanapki z szynką i kakao. Zawsze dawał mi duże jabłko albo banana do zjedzenia na przerwie.

Gdy po południu wracałam ze szkoły, szłam do Grit i bawiłam się z Kerstin i Melanie. W domu zawsze były dla mnie miłe. Czasami mówiły nawet, że przykro im z powodu przerw.

Najlepiej było, gdy ojciec późnym popołudniem przyjeżdżał do domu. Mył okna i prał zasłony, a ja ścierałam kurz i zmiatałam kuchnię. Wszystko lśniło czystością. Gdy posprzątałismy, gotował. Codziennie jedliśmy mięso lub kielbasę, a potem deser. Po posiłku siedzieliśmy w kuchni. Ojciec tłumaczył mi, że Magdalena nie będzie bardziej chora ani też nie wyzdrowieje, jeżeli będziemy jeść budyń. Obiecał porozmawiać z matką, by pozwoliła mi być normalnym dzieckiem.

– Wystarczy – powiedział kiedyś – że w tym domu odmawiać sobie będzie ten, kto jest odpowiedzialny za całe to zło. Obiecałem to sobie. Bóg da, żeby mi się udało.

Do salonu szliśmy dopiero przed snem. Ojciec nigdy nie zapalał świec. Klęczeliśmy w ciemnościach przed ołtarzem i modliliśmy się za Magdalenę. Matka zażądała, byśmy to robili. Ale sądzę, że modlilibyśmy się też z własnej woli.

W niektóre niedziele ojciec jechał do kliniki. Nie zabierał mnie ze sobą. Nie wolno mi było zbliżać się do Magdaleny, bo mogłam mieć na sobie jakieś zazwyczaj niegroźne zarazki. Leczenie, na które należał ze względu na mnie, okazało się skuteczne. Magdalena jednak osłabła tak bardzo, że umarłaby nawet od kataru.

Gdy ojciec ją odwiedzał, szłam do sąsiadów. Dostawałam kakao i świeże ciasto posypane cukrem. Byłam szczęśliwa, nieskończenie szczęśliwa. Przede wszystkim wtedy, gdy ojciec wracał z kliniki i gdy mówił:

– Wygląda, jakby spała. Zostały z niej tylko oczy. Lekarze mówią, że ma niepohamowaną wolę życia. Można by sądzić, że pompuje krew do żył tylko dzięki sile woli. Taka mała, słaba istota nie ma nawet tyle siły, by unieść głowę. Trudno to pojąć. Ale wszyscy czepiają się życia.

W grudniu wróciły do domu. Magdalena straciła włosy. Była tak słaba, że nie wolno jej było czekać z załatwianiem potrzeb fizjologicznych. Matka codziennie robiła jej lewatywę, żeby nie musiała napinać mięśni. Magdalena nie lubiła tego zabiegu. Płakała już na sam widok matki zbliżającej się do niej z pojemnikiem i rurką. I płakała naprawdę, choć tego też jej nie było wolno. Zbyt ją wyczerpywało.

Gdy zaczynała płakać, matce puszczały nerwy i odsyłała mnie do salonu. Nie mogłam wejść nawet po to, by odrobić lekcje. Następnego dnia zawsze miałam problem z nauczycielką. Wcześniej dobrze mnie traktowała, teraz jednak zaczęła uważać, że

jestem leniwa i niesumienna. Nie powinnam wykorzystywać choroby siostry jako usprawiedliwienia dla swojego nieróbstwa. Kilka razy dostałam nawet pisemną uwagę w dzienniku.

Grit Adigar poradziła mi, żebym odrabiała lekcje wieczorem, gdy matka wysyłała mnie do łóżka. Leżałam z książkami i zeszytami na podłodze, bo w pokoju nie było stołu. A potem nauczycielka wyśmiewała moje koślawe pismo.

Oczywiście byłam wdzięczna Zbawicielowi za pozostawienie siostry przy życiu. Ale nie tak to sobie wcześniej wyobrażałam. Czasami myślałam, że lepiej byłoby, gdyby matka zamknęła mnie do końca życia w sypialni. Nie miałabym tak wielu problemów.

Co cztery tygodnie Magdalena musiała udawać się do kliniki na zabiegi. Matka jeździła razem z nią. Za każdym razem zostawały dwa lub trzy dni. Za każdym razem pragnęłam, żeby już nie wróciły. Żeby lekarze powiedzieli, że Magdalena na zawsze musi zostać w Eppendorfie. Bo tylko tam może przeżyć. Matka zostałaaby z nią. Nigdy by jej nie opuszczała. Ja byłabym sama z ojcem, a on byłby znowu taki jak przez te pół roku. Nie chciałam nic więcej, jedynie żeby nie był taki smutny.

To było jak koszmar, z którego nie mogła się obudzić, tylko tym razem wyglądał zupełnie inaczej. Nic nie pozostało w ukryciu. Wszystko wymykało się jej z rąk, wylatywało z głowy i wychodziło na zewnątrz. Słyszała samą siebie, jak mówi – o urodzinach, o czekoladzie. O snach za dnia. Tylko ojciec i ja! Zobaczyła swoje roztańczone palce i niczym przez mgłę uważną i przejętą twarz szefa policjantów.

Czasami potakiwał.

A ona nie mogła przestać mówić. Poza tym nie wolno jej było przestać. Musiała przekonać go, żeby zostawił ojca w spokoju. Gereona też. Gereon nie zasłużył na to, żeby obciążać go sprawą, za którą nie był odpowiedzialny. A dla ojca wiadomość o tym oznaczałaby koniec wszystkiego.

Opowiedziała szefowi o ojcu. Niezbyt dużo, jedynie to, jakim był wcześniej ciepłym i troskliwym człowiekiem. Miał szerokie zainteresowania, był chodzącym podręcznikiem do historii i krajoznawstwa. Mówiła też o matce, o krzyżu i różach na domowym ołtarzu, o Zbawicielu z drewna i modlitwach. Nie wspomniała tylko o najważniejszym. O Magdalenie.

Jej ciałem zdawały się wstrząsać gwałtowne dreszcze, umysł także drżał, sprawiał, że głowa automatycznie kiwała się to w przód, to w tył. Ale miała jeszcze dużo samokontroli. Do Magdaleny nie można było dopuścić nikogo i niczego, a zwłaszcza żadnych mężczyzn. Każde wzruszenie, każdy wysiłek mógł dla niej oznaczać śmierć.

Mówiła o sprzecznych uczuciach, o konieczności bycia dobrym człowiekiem i pokusie grzesznego życia. Słodczyce w dzieciństwie, a później młodzi mężczyźni przyciągający ją swoją magiczną siłą. Zwłaszcza jeden. Jeden z tych, którym wystarczyło, że pstryknęli palcami. Wszyscy nazywali go Johnny Guitar.

Grit Adigar powiedziała kiedyś:

– Gdy będziesz dorosła, zrób tak jak ja. Poszukaj sobie miłego mężczyzny, miej z nim dziecko, odejdz z nim i zapomnij o tym cyrku tutaj.

Chętnie odeszłaby z Johnnym. Nieraz zastanawiała się, jak to by było mieć z nim dziecko.

Od Johnny'ego przeszła do Gereona. Opowiedziała o dniu, w którym go spotkała. Tylko dzięki niemu mogła wrócić do normalności. Tego chciała. Koniecznie musiała to zrobić. Być normalną, dorosłą kobietą, która dawno zostawiła za sobą dzieciństwo. A także ten plugawy następny rozdział, który rozpoczął się w maju przed pięcioma laty i skończył pół roku później – w listopadzie, zostawiając tak wyraźne ślady na zgięciach jej łokci i na czole. Nie można było tego ruszać, bo wbijało się w to zbyt wiele brudu.

Jej teściowa często próbowała to robić. Ladacznica!

– Kto wie, co robiła wcześniej!

I stary ze swoimi okropnymi powiedzonkami.

– Nie jesteś taka niewinna. Widać to jak na dłoni. Mnie nie nabierzesz.

A umiała to tak dobrze. Przeszła niezłą szkołę. Gdy chciała, mogła nabrać każdego. Szefa także. Pomogło jej, gdy przypomniała sobie o pierwszym spotkaniu z Gereonem. Cztery lata temu. W grudniu minie pięć. Było to tuż przed Bożym Narodzeniem.

Gereon robił w mieście zakupy, prezenty dla rodziców. Obładowany torbami wszedł do kawiarni przy Herzogstraße, gdzie zarabiała na życie – uczciwie! Pierwszy raz trafił tam przez przypadek. Usiadł przy stoliku i czekał na obsługę. Nie wiedział, że powinien złożyć zamówienie w poprzedniej sali, i był zakłopotany, gdy mu to powiedziała.

– Czy muszę wracać? – Najwyraźniej się zawstydził. Czuł się jak nieobyty wieśniak i zaczerwienił się. – Może mi pani coś przynieść?

– Nie wiem, co pan lubi.

– Wszystko – powiedział i uśmiechnął się. – Coś z kremem i kawę.

– Dzbanek czy filiżankę? – spytała.

– Filiżanka wystarczy – odparł. To było dla niego typowe, nigdy nie stawiał wielkich wymagań.

Poszła do drugiej sali i przyniosła mu kawałek tortu z wiśniami. Podziękował:

– To miło z pani strony. Może pani też ma na coś ochotę? Zapraszam.

– Dziękuję bardzo – powiedziała. – Ale ja tu pracuję.

– Tak, oczywiście.

Znowu się zawstydził, nałożył na łyżeczkę duży kawałek tortu, wsadził go sobie do ust, zaczął jeść i śledził ją spojrzeniem. Za każdym razem, gdy na niego spoglądała, uśmiechał się.

Dwa dni później znowu się pojawił. Tym razem zamówił w pierwszej sali i uśmiechał się do niej jak dobry znajomy. Zanim wyszedł, spytał:

– Co pani robi po pracy? O której pani kończy?

– O wpół do siódmej.

– Czy moglibyśmy wtedy gdzieś razem pójść? Może na piwo?

– Nie piję piwa.

– To na coś innego, wszystko jedno. Nie na długo. Wystarczy pół godziny. Bardzo chciałbym panią poznać.

Był niezręczny, a mimo to bezpośredni. Nie ukrywał, że Cora mu się podoba. Ale w żaden sposób się nie narzucał. Gdy mu odmówiła, odparł, wzruszając ramionami:

– To może innym razem.

Trzy razy prosił o spotkanie, trzy razy odmawiała. Po ostatniej próbie porozmawiała z Margret. O tym, że jest przystojny i naiwny. Że to taki mężczyzna, którego w paru zdaniach można przekonać, że Ziemia jest płaska, a statki, które wypływają zbyt daleko, na końcu spadają w pustkę.

Mówiła o potrzebie zamknięcia za sobą przeszłości i nowego początku w miejscu, gdzie nikt jej nie znał. By żyć jak tysiące innych ludzi. A mogła to zrobić tylko z mężczyzną, który nie miał własnego zdania. Któremu dałoby się powiedzieć, że blizny w zgięciach łokci to ślady po ostrym zapaleniu, co poniekąd było prawdą. I że ślad na czole został po wypadku samochodowym. Margret bardzo dobrze to rozumiała.

Tylko nie powinna opowiadać o tym szefowi. Od razu chciałby wiedzieć, kim była Margret – ją także umieściłby na liście osób, z którymi koniecznie musiał porozmawiać. A wciągnięcie jej w całą sprawę byłoby złym posunięciem.

Margret, młodsza siostra ojca, w porównaniu z matką Cory zawsze sprawiała wrażenie młodej kobiety. Młodej, ładnej, nowoczesnej, z rewolucyjnymi poglądami na życie i wyrozumiałością dla wszystkich ludzkich słabości i błędów.

Gdy Gereon pojawił się w życiu Cory, od roku mieszkała u Margret w Kolonii, w niewielkim mieszkaniu w starym budownictwie. Dwa pokoje, mała kuchnia, kabina prysznicowa tak wąska jak ręcznik. Podczas korzystania z toalety kolanami dotykało się drzwi. Cora spała na kanapie, Margret nie mogła jej zaoferować więcej. Sypialnia była zbyt mała, by wstawić drugie łóżko.

Nie chciała go. Nie zniosłaby drugiego łóżka w pobliżu. Czasami zastanawiała się, co by się z nią stało, gdyby Margret jej nie przygarnęła, kiedy już nie mogła wytrzymać w domu. Odpowiedź była tylko jedna: już by nie żyła. A tak naprawdę chciała żyć.

U Margret wreszcie się tego nauczyła. Ciotka załatwiła jej pracę w kawiarni przy Herzogstraße. A gdy pojawił się Gereon, który się nie poddawał i wciąż prosił o spotkanie, powiedziała:

– Mogłabyś gdzieś z nim wyjść, Coro. Jesteś młoda. To normalne, jeśli zakochasz się w młodym mężczyźnie.

– Nie wiem, czy się w nim zakochałam. Przypomina mi tylko kogoś, w kim kiedyś byłam bardzo zakochana. Wszyscy mówili na niego Johnny. Nigdy nie dowiedziałam się, jak naprawdę miał na imię. Wyglądał jak archanioł z Biblii matki w raju, z którego Bóg wypędził ludzi. Znasz ten fragment? „A wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nadzy”! Tak wyglądał Johnny. Gereon trochę go przypomina. Ale tylko zewnątrz, kolorem włosów i tak dalej. To miły facet, z porządnego środowiska. Opowiadał mi już o swoich rodzicach. A pewnego dnia zapyta mnie...

– Bzdura – powiedziała Margret. – Niech pyta, coś zmyślimy. Sama mówisz, że nie jest zbyt bystry. Nie masz obowiązku opowiadać mu historii swojego życia. Na pewno nie zapyta cię od razu o rodzinę. Młodzi mężczyźni mają co innego w głowie. Gdy spyta, powiesz mu, że nie mogłaś już wytrzymać w domu. Powiedz, że twoja matka ma trochę nie po kolei w głowie, ale tego się nie dziedziczy. To przecież prawda.

– A jeśli będzie chciał seksu? – wymamrotała bardziej do siebie niż do ciotki.

Mimo to Margret rozumiała. Spojrzała na nią uważnie, ze współczuciem i zrozumieniem.

– Sądzisz, że nie potrafisz?

Oczywiście, że potrafiła. Nie w tym problem. Często zastanawiała się, jak dobrze byłoby jej z jakimś miłym młodym mężczyzną. Ale to oznaczałoby oszustwo. Ponieważ nie odpowiadała, Margret oznajmiła swoim charakterystycznym, zdecydowanym tonem:

– Cora, to nic takiego. Jeśli nie będziesz miała ochoty, po prostu powiesz „nie”.

Nie było to jednak takie proste, jak Margret sądziła. Jeśli kobieta chciała zatrzymać przy sobie mężczyznę, nie mogła ciągle odmawiać. A ona chciała. Podobał się jej. Przede wszystkim przypominał jej Johnny’ego. Z wyglądu. Poza tym był bardzo delikatny i czuły. Pierwsze wieczory w jego samochodzie minęły wspaniale.

Dwa razy w tygodniu odbierał ją wieczorem z kawiarni, zawoził w ustronne miejsce i brał w ramiona. Najczęściej było zbyt zimno, by zdjąć kurtkę, nie mówiąc już o czymś więcej. Ale Gereon nie naciskał, do wiosny zadowalał się pocałunkami i przytulaniem. Dopiero potem zechciał czegoś więcej.

Chętnie by to jeszcze odłożyła. Ale obawa utracenia go z powodu odmowy przeważała nad lękiem, że mógłby być rozczarowany. Zresztą nie był. Nie poczuł się oszukany ani zdradzony, powiedział tylko:

– Nie byłaś dziewicą.

Oczywiście, że nie! W wieku dwudziestu jeden lat nie można było być jeszcze dziewicą. Spało się już z jednym czy drugim mężczyzną. Ale tego także nie musiała mówić szefowi.

Znowu miała wszystko pod kontrolą, mogła opowiadać dalej tak, żeby nie wspomnieć o Margret i nie wywołać wrażenia, że w całej historii są dziury. Tylko ostatnie zdanie, słowa Gereona, wyrwało się, zanim zdołała temu zapobiec.

Szef spojrział na nią. Chciał usłyszeć więcej, wyraz jego twarzy nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Pragnął wyjaśnienia przyczyny śmierci mężczyzny. Póki go nie otrzyma, nie da spokoju, będzie obstawał przy rozmowie z Gereonem, a może nawet z ojcem.

Przez kilka minut w pokoju było cicho. Mężczyzna w dresie z powątpiewaniem spoglądał na magnetofon. Szef nakazująco patrzył jej w twarz. Musiała mu coś opowiedzieć, cokolwiek. A jeśli nie uwierzy, że mówi prawdę?! Teraz, kiedy głowę miała jeszcze otwartą i znowu myślała dość trzeźwo.

Stwierdziła, że uwaga Gereona o dziewictwie i to, co powiedziała Grit Adigar o możliwości ucieczki z domu, stanowią dobrą podstawę do dalszej historii. A imię głównego bohatera... Jak to powiedział szef? „Nazywał się Georg Frankenberg”. Być może, tylko że to nazwisko nic jej nie mówiło, a bała się przejeździć. Johnny brzmiało pewniej. I gdyby powiązała swoje dawne marzenia z tym, co opowiadano o Johnnym... Krążyło kilka nieprzyjemnych pogłosek. Wspaniała początek dobrej historii.

– Jeśli... – zaczęła z wahaniem – wytłumaczę panu, dlaczego go zabiłam, czy obieca pan zostawić moją rodzinę w spokoju?

Nie obiecał nic, zapytał tylko:

– A więc może to pani wytłumaczyć, pani Bender?

Skinęła głową. Dłonie znowu trzęsły się jej mimo woli. Położyła jedną na drugiej i przycisnęła mocno do kolan.

– Oczywiście mogę. Miałam tylko nadzieję, że nie będę musiała. I nie chcę, żeby mąż się dowiedział. Nie zrozumiałby. A już jego rodzice na pewno nie. Zamieniliby mu życie w piekło, gdyby się dowiedzieli. Że zadał się z taką jak ja. – Do tego momentu mówiła ze spuszczoną głową. Teraz podniosła ją, spojrzała mu pewnie w oczy i kilka razy głęboko odetchnęła. – Skłamałam, mówiąc, że nie znałam tego mężczyzny. Nie wiedziałam, jak się naprawdę nazywa. Ale on sam...

To było pięć lat temu. W marcu pojawił się w Buchholz po raz pierwszy. Nikt nie wiedział, jak naprawdę się nazywa. Mówił o sobie Johnny Guitar.

Nie miałam wielkiego doświadczenia w kontaktach z mężczyznami. Rzadko wolno mi było wychodzić z domu. Musiałam kłamać, by mieć kilka godzin dla siebie. Najczęściej mówiłam matce, że pod gołym niebem, bezpośrednio pod Boskim okiem wyraźniej dostrzegam swoje żądze i mogę bardziej skoncentrować się na ich zwalczaniu. Takie wypowiedzi jej imponowały. Pozwalała mi wtedy w sobotę wieczorem wychodzić z domu. W Buchholz młodzi ludzie nie mieli zbyt wielu rozrywek. Wokół przyroda, ścieżki rowerowe, kawiarnie i hotele dla tych, którzy szukali wypoczynku, ale żadnej dyskoteki. Niektórzy jeździli do Hamburga. Jednak ja nigdy bym tego nie zrobiła. Chociaż ojciec z pewnością dałby mi samochód. Pozwolił mi też zrobić prawo jazdy. Byliśmy sojusznikami, ojciec i ja. Ale nie chciałam tego wykorzystywać ponad miarę.

Zawsze szłam do miasta. Znajdowało się tam kilka lodziarni, a także lokal, gdzie w sobotę można było potańczyć. Nie miałam przyjaciółek ani przyjaciół. Dziewczyny w moim wieku najczęściej miały już chłopaków, z którymi wołały spędzać czas sam na sam. A mężczyźni – oczywiście poznałam kilku młodych mężczyzn, ale to nie było nic poważnego. Tańczyłam z nimi, raz pozwoliłam się zaprosić na colę. Nic więcej się nie działo. Miałam zahamowania. Gdy zauważali, że nie od razu osiągną cel, tracili zainteresowanie.

Nigdy mi to nie przeszkadzało. Dopóki nie pojawił się Johnny. Tego marcowego wieczoru. Sądzę, że zakochałam się w nim w ciągu kilku pierwszych chwil. Nie był sam, towarzyszył mu jeszcze jeden mężczyzna, niski grubas. Obaj nie pochodzili z okolicy, zauważyłam to, gdy usłyszałam, jak rozmawiają. Rozglądali się wokół. Na mnie nie zwrócili uwagi. Usiedli przy stoliku. Po kilku minutach Johnny wstał i podszedł do jakiejś dziewczyny. Zatańczył z nią kilka razy. Potem opuścili lokal razem z niskim grubasem.

Następnej soboty znowu się pojawili, dziewczyna także. Siedziała w rogu z dwiema koleżankami. Gdy zauważyły Johnny'ego i jego przyjaciela, pochyliły głowy i zaczęły szeptać. Ale dziewczyna nie podeszła do przybyłych. Miałam wrażenie, że nie chce mieć nic do czynienia z Johnnym i grubasem. Johnny także się nią nie interesował. Nie trwało długo, i poprosił do tańca jakąś inną. Wkrótce potem zniknął razem z nią. Niski grubas poszedł za nimi. Następnej soboty już nie zwracali na tę dziewczynę uwagi.

Trwało to przez kilka tygodni. Być może ich zachowanie, a przede wszystkim reakcje dziewcząt powinny skłonić mnie do myślenia. Byłam wtedy naprawdę bardzo naiwna. I bardzo zakochana! Wiele bym dała, by choć raz z nim porozmawiać.

Nie mogłam się doczekać sobotnich wyjść z domu. Nigdy przedtem tak zuchwale nie okłamywałam matki. Wszystko kręciło się wokół Johnny'ego. Wiedziałam, że nie mam u niego szans. Chciałam tylko znaleźć się w jego pobliżu, pytałam więc, jaki jest.

Nikt nie wiedział nic konkretnego. Kilka dziewczyn opowiadało, że zajmuje się muzyką. A te, które wyszły z nim i jego przyjacielem, uśmiechały się krzywo, gdy pytałam. Kilka razy dostałam odpowiedź:

– To był miły wieczór. Ale dla ciebie nie byłby zbyt odpowiedni.

A potem, 16 maja, tydzień po moich urodzinach, zagadnął mnie mały grubas. Niewiele się działo tego wieczoru. Siedzieli już jakiś czas w lokalu, zanim do mnie podszedł. Zatańczyłam z nim, bo myślałam, że potem zaprowadzi mnie do ich stolika. Ale się myliłam! Był natarczywy. Z trudem odpychałam go od siebie. Stał się agresywny i sklął mnie.

Byłam zdenerwowana, więc wyszłam. Już na zewnątrz, na parkingu, usłyszałam, jak Johnny woła za mną. Przeprosił za kolegę. Nie chciał, żebym wzięła mu za złe te wyzwiska. Jego kolega jest zapalczywy i nie ma wiele szczęścia u dziewcząt. Staliśmy przez chwilę i rozmawialiśmy. Ledwo mogłam w to uwierzyć. Zapytał, czy zechciałabym wrócić. Bo jest przecież za wcześnie, by iść do domu. A on już zadba, żeby kolega mnie nie napastował.

Tak to się zaczęło z Johnnym i ze mną. Wydawało mi się, że stał się cud. Podejrzywałam, że przyjeżdżał do Buchholz tylko po to, by poderwać dziewczynę na jeden wieczór. Ale przy mnie tak się nie zachowywał. Gdy wróciliśmy do lokalu, grubas wyszedł. Prawie pół godziny siedzieliśmy sami przy stoliku i rozmawialiśmy. Potem Johnny spytał, czy mam ochotę zatańczyć.

Tego wieczoru nic więcej się nie zdarzyło. Grubas już się nie pojawił. Gdy musiałam iść, Johnny wyszedł ze mną na zewnątrz. Chciał mnie nawet odprowadzić do domu. Niestety, nie było to możliwe. Gdyby matka nas zobaczyła, już nigdy nie wypuściłaby mnie za drzwi. Pożegnaliśmy się na parkingu. Podał mi rękę i spytał:

– Zobaczę cię jeszcze?

Odparłam:

– Być może pojawię się tu w następną sobotę.

Uśmiechnął się.

– Ja też. Najlepiej będzie, jak przyjdę sam. A więc do soboty.

Rzeczywiście przyszedł sam. I był bardzo powściągliwy. Trzy tygodnie minęły, zanim pierwszy raz mnie pocałował. Był delikatny i czuły i bez względu na to, co mówiłam, zawsze wszystko rozumiał. Nawet gdy opowiadałam o matce, nie śmiał się.

– Każdy jest taki, jak sądzi, że powinien być – powiedział.

Oczywiście spytałam go, jak się nazywa. Odparł, że ma na imię Horsti, czyli błazen. Dla mnie brzmiało to głupio, zostałam więc przy Johnnym. Powiedział, że nie może znieść dziewczyn, które od razu pozwalają na wszystko, są dobre tylko po to, by się zabawić. Dodał, że nigdy jeszcze nie spotkał takiej dziewczyny jak ja i że mnie kocha. Wszystko układało się idealnie. Był nawet trochę zazdrosny. Kilka razy nie mógł przyjechać w sobotę do Buchholz. Prosił mnie, żebym została w domu, bo nie chciał, aby ktoś inny wszedł mu w paradę.

Niewiele o nim wiedziałam. Niechętnie opowiadał o sobie, tylko od czasu do czasu i bardzo mało. Że z dwójką przyjaciół założył zespół, że mają próby w piwnicy. Grubas był jednym z nich. Johnny powiedział, że jego kolega świetnie gra na keyboardzie. On

sam grał na perkusji, a trzeci chłopak na gitarze basowej.

W sierpniu zapytał, czy mam ochotę posłuchać ich muzyki. Miałam, ale nie chciałam siedzieć z grubasem w piwnicy, skąd nie mogłabym wyjść, gdyby mnie napastował. Johnny wyśmiał moje obawy.

– Będę przecież z tobą. Nawet krzywo na ciebie nie spojrzę.

Tydzień później raz jeszcze przyprowadził go ze sobą. Grubas zachowywał się przyzwoicie, więc zgodziłam się z nimi pojechać. To był wspaniały wieczór. Grali nową piosenkę, nazywała się *Song of Tiger*. Johnny powiedział, że to teraz moja piosenka. Napisał ją dla mnie.

Po godzinie przestali grać. Dwaj pozostali wyszli i już nie wrócili. Johnny dał mi coś do picia i włączył muzykę. Miał kilka taśm z ich nagraniami. Tańczyliśmy, wypiliśmy jeszcze kilka drinków, usiedliśmy na kanapie. I stało się.

Nie twierdzą, że mnie zgwałcił. Było bardzo pięknie. Chciałam tego. Byłam trochę pijana i bałam się tylko, że zajdę w ciążę. Nigdy jeszcze nie używałam środków antykoncepcyjnych.

Johnny powiedział:

– Nie martw się. Będę uważał.

Zaufałam mu. Ale nie dostałam okresu. Prawie umierałam ze strachu. Johnny dał mi pieniądze. Miałam w aptece kupić test. Powiedział:

– Jeśli wynik będzie pozytywny, pobierzemy się.

Był pozytywny. Gdy mu to powiedziałam... Udawał, że bardzo się cieszy, przytulił mnie i okazywał radość.

– Będę ojcem. Ale rodzice się zdziwią. Jutro im ciebie przedstawię. Wymyśl coś, żeby matka cię wypuściła. I powiedz jej, że wrócisz późno. Spotkamy się o drugiej na parkingu. Gdybym się spóźnił pół godziny, nie idź do domu. Poczekaj na mnie.

Czekałam do siódmej wieczorem. Nie przyszedł. Nigdy go już nie zobaczyłam. Robiłam, co mogłam, by go odnaleźć, ale nie było to wiele. Nie wiedziałam, jak naprawdę się nazywa ani gdzie mieszka.

Pamiętam jedynie, że tamtego wieczoru jechaliśmy autostradą w kierunku Hamburga. Ale siedziałam z nim na tylnym siedzeniu, odwrócił moją uwagę. Nie wiedziałam nawet, czy byliśmy w domu jego rodziców, czy u jednego z kolegów. Tygodniami jeździłam po okolicy w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Sądziłam, że w ten sposób przypomnę sobie jakiś szczegół.

Co wieczór, gdy ojciec wracał z pracy, zostawiał samochód na Buenser Weg, by matka nic nie spostrzegła. Powiedziałam mu, że muszę ćwiczyć jazdę, żeby nie wyszła z wprawy. Rozumiał to.

O ciąży nie mogłam z nim porozmawiać. Nie miałam też nikogo innego. W końcu zrozumiałam, że moje poszukiwania nie mają sensu. Kilka tygodni czekałam, aż Johnny się do mnie odezwie. Znał moje nazwisko i adres. Nie mogłam uwierzyć, że jakiś człowiek mógłby być tak zły. Ale wszystkie dziewczyny, z którymi spotykał się przede mną, mówiły:

– Naprawdę sądziłaś, że traktuje cię poważnie?.

Pod koniec października zauważyłam, że rośnie mi brzuch. Matka zwróciła uwagę

na moje częste złe samopoczucie. Zażądała, żebym się zbadła. Uciekłam z domu autostopem. Potem próbowałam popełnić samobójstwo. Rzuciłam się pod samochód. Straciłam wtedy dziecko. To była dziewczynka, dało się już stwierdzić. Wyszłam z tego bez szwanku, tylko kilka skaleczeń na twarzy i poronienie.

Musiałam wrócić do domu. Matka nie chciała mnie już widzieć. Powiedziała, że próba samobójcza i zabicie przy tym dziecka to najcięższy grzech, jaki człowiek może popełnić, po czym wyrzuciła mnie za drzwi.

Pojechałam do Kolonii i znalazłam tam pracę. Rok później poznałam męża, pobraliśmy się. Nigdy jednak nie poradziłam sobie z przeszłością. Matka miała rację. Jestem morderczynią. Zabiłam niewinne dziecko. Odkąd mój syn przyszedł na świat, zastanawiam się, jakby to było, gdyby miał starszą siostrę, która by go kochała, robiła dla niego wszystko i opiekowała się nim.

Gdy dziś po południu zobaczyłam Johnny'ego z tą kobietą... Najpierw widziałam tylko jego plecy. Pomyślałam, że to nie może być on. Ale potem się wyprostował. Usłyszałam jego głos. A później kobieta puściła piosenkę. Moją piosenkę.

Song of Tiger.

To było... Nie wiem, co to było. Wszystko potoczyło się tak szybko. I jakby automatycznie.

Przy ostatnim zdaniu uniosła głowę, spojrzała szefowi w twarz i poczuła ulgę spływającą po ciele niczym ciepła ciecz. Jego mina złagodniała. Uwierzył w całą historię. Była to zresztą bardzo dobra historia. A ponieważ w pewnym stopniu opierała się na prawdzie, nikt nie mógł jej obalić.

Małe mieszkanko w starej zabudowie w Kolonii, do którego w grudniu przed pięcioma laty Margret Rosch przyjęła swoją bratanicę, znajdowało się przy ruchliwej ulicy. W zimie Margret to nie przeszkadzało. Wystarczało, że rankiem i wieczorem szybko przewietrzyła pomieszczenia. W lecie często bywało tam nieznośnie. Przy otwartych oknach oprócz odgłosów ulicznego ruchu w każdy kąt wdzierał się także smród spalin. Gdy okien nie otwierano, panował skwar. Wracając do domu, miało się uczucie, że wchodzi się do pieca.

Tego sobotniego wieczoru Margret Rosch wróciła krótko po dziewiątej. Popołudnie i wczesny wieczór spędziła z długoletnim przyjacielem. Zawsze tak o nim mówiła. Achim Miek, doktor medycyny z własną praktyką w centrum i od trzydziestu lat jej kochanek.

Margret jak dotąd nie wyszła za mąż, a teraz już się jej to nie opłacało. Po wszystkich latach bycia przyjaciółką i kochanką nie potrafiła już dostrzec wielu korzyści płynących z rezygnacji z niezależności. Mimo że Achim Miek namawiał ją do tego. Od ponad roku był wdowcem.

Margret nigdy na niego nie naciskała, nawet słowem nie wspomniała o rozwodzie. Tylko raz poprosiła go o coś, i to nie bezpośrednio dla siebie, tylko dla brata i bratanicy. Było to pięć lat temu, w sierpniu – odbyło się nielegalnie. Achim Miek musiał jej o tym przypomnieć właśnie tego dnia, co Margret uznała później za zły omen. Należałoby to raczej nazwać szantażem.

Pożegnała się wcześniej, niż planowała, aby uciec przed sprzeczką. Gdy weszła do mieszkania, nie była w najlepszym humorze. Panował zaduch. O tej porze mogła już

otworzyć wszystkie okna. Ruch ustał. Na zewnątrz temperatura wynosiła kilka stopni mniej niż w środku.

Wzięła letni prysznic. Potem przygotowała sobie lekką kolację – niestety, nic nie wyszło ze wspólnego posiłku w restauracji. Przeczytała kilka stron powieści, by stłumić uczucie rozczarowania i dyskomfortu.

O wpół do jedenastej na Programie Pierwszym miał być film, który chciała obejrzeć. Gdy włączyła telewizor, mężczyzna o poczciwym wyglądzie z zaangażowaniem opowiadał właśnie o najlepszym wzorze do naśladowania, jakim jest Zbawiciel.

Margret z miejsca zapomniała o swoich problemach, z wyjątkiem słów przyjaciela: „Nie zapomnij, co dla ciebie zrobiłem”. Jak mogłaby zapomnieć? W związku z całą sprawą ryzykowała wtedy znacznie więcej niż Achim Miek. Poczowała, jak nagle narasta w niej zimna wściekłość, przez ułamek sekundy widziała przed sobą siną, cierpiącą twarz młodej bratanicy, słyszała łagodny głos Elsbeth mrużący słowa modlitwy. Zapach płonących świec zakręcił jej w nosie. Wrażenie było tak rzeczywiste, że musiała kichnąć.

Wysiąkała nos, ponownie sięgnęła po książkę i skoncentrowała się na lekturze, podczas gdy pocziwiec przez kilka kolejnych minut wygłaszał swoje orędzie. Jeśli przeżyło się to co Margret, nie można go było słuchać. A przecież i tak doświadczała tego tylko sporadycznie. Raz na trzy miesiące przez najwyżej dwa dni – i nie od samego początku. Zaczęła regularnie odwiedzać brata dopiero na wyraźną prośbę Wilhelma. Cora miała wtedy dziewięć lat. Gdy Margret wyjeżdżała, modliła się równie gorąco jak Elsbeth w salonie.

– Pilnuj Cory, Wilhelmie. Musisz coś dla niej zrobić, inaczej zupełnie się stoczy.

Wilhelm za każdym razem potakiwał i obiecywał.

– Robię, co mogę.

Czy rzeczywiście to robił i ile naprawdę mógł, tego Margret nie wiedziała. W ogóle nie wiedziała o nim zbyt wiele. Osiemnaście lat różnicy – wypieszczone przez matkę pisklątko i duży brat.

Gdy Margret się urodziła, Wilhelm zgłosił się już na ochotnika do Wehrmachtu. W ciągu kolejnych lat raz przyjechał na urlop do domu, ale tego nie pamiętała. Domem było wtedy Buchholz, małe miasteczko w pobliżu Lüneburger Heide, do którego Wilhelm później wrócił. Na wiosnę 1944 roku Margret opuściła z matką rodzinne strony. Udały się do Nadrenii, gdzie mieszkali krewni matki. Po przeprowadzce często mówiono o starszym bracie. Margret poznała go jednak dopiero, gdy miała dziesięć lat, Wilhelm był już wówczas złamanym człowiekiem.

Nigdy nie mówiono o tym otwarciu. Z nielicznych uwag, które wygłosił w ciągu lat, Margret wywnioskowała, że brał udział w rozstrzeliwaniu cywilnej ludności w Polsce, także kobiet i dzieci. Na wypadek gdyby się opierał, prawdopodobnie także posłaliby mu kulkę lub go powiesili. Wilhelm nie umiał tak o tym myśleć i w żaden sposób z tym się nie pogodził.

Nie wytrzymał długo w Nadrenii u matki i siostry. Ojciec poległ we Francji. A Wilhelm chciał wrócić do Buchholz. Może miał nadzieję, że odnajdzie tam część utraconej młodości.

Zamiast tego znalazł Elsbeth. Prześliczną młodą kobietę z Hamburga, nieziemskie zjawisko z jasnoblond włosami, porcelanową cerą i przeszłością, jaką po wojnie dzieliło wiele kobiet – stosunki z okupantem. Elsbeth zaszła w ciążę, ale nie urodziła dziecka. Pozbyła się go za pomocą drutu do robót ręcznych i sama niemal przy tym nie umarła, co Margret odkryła dopiero wtedy, gdy u Elsbeth nie dało się już niczego uratować. Ale to stanowiło wyjaśnienie. A wyjaśnienia były najważniejsze.

W ciągu tego półtora roku, który spędziła u niej Cora, Margret często o tym wspominała. Niezliczone noce przesiedziały razem, dyskutując o winie i niewinności, wierze i przekonaniach. O rodzicach, długich bezdzietnych latach ich małżeństwa. Jak Wilhelm u boku Elsbeth stopniowo zmienił się z człowieka ponurego w cieszącego się życiem. Jak Elsbeth nauczyła go śmiać się, tańczyć, kochać. Jak zaczął czerpać z życia. O ich podróżach: tydzień w Paryżu, trzy dni w Rzymie, Oktoberfest w Monachium i wizyta na Praterze w Wiedniu.

Raz do roku przyjeżdżali do Nadrenii. Karnawał w Kolonii – tego Elsbeth za nic by nie opuściła. Czasami wypijała wtedy szklaneczkę. A gdy wypija o jedną za dużo, popadała w melancholijny nastrój, opowiadała o miłości, cierpieniu i wielkiej winie, która na niej spoczywała.

Elsbeth zaszła w ciążę, mając prawie czterdzieści lat. Wilhelm dobiegał pięćdziesiątki i był najszcześniejszy na świecie. Gdy urodziła się Cora, zaprosił matkę i siostrę. Musiały koniecznie przyjechać, by podziwiać małą wnuczkę i bratanicę, ten dar niebios. Śliczne dziecko, zdrowe jak rydz, z gęstymi, ciemnymi włosami po Wilhelmie i porządnym apetytem. Kosztowało Elsbeth wiele sił. Leżała na szpitalnym łóżku wyczerpana, niemal wykrwawiona, blada i słaba, ale równie szczęśliwa jak Wilhelm.

– Widziałas ją już, Margret? Idź, siostra ci pokaże. Wszyscy tutaj mówią, że to jedno z najładniejszych dzieci, jakie widzieli. A jaka jest silna. Potrafi nawet sama unieść główkę. Nigdy nie uwierzyłabym, że będę kiedyś trzymać na ręku dziecko – i do tego tak śliczne. Pan mi przebaczył, zesłał mi wielki dar. Dla takiego stworzenia warto dać coś z siebie. Teraz odpocznę.

Ale zanim Elsbeth zdążyła odpocząć, zaszła w ciążę po raz drugi, z Magdaleną. Wybranka śmierci z otwartym przewodem Botalla, połączeniem między aortą i tętnicą płucną, które normalnie zamyka się przy porodzie, a poza tym z wieloma wadami przegrody. Zarówno przedsionki małego serca, jak i obydwie komory były zaatakowane. Do tego doszły kolejne anomalie naczyniowe. Lewa komora serca nie była w pełni wykształcona, aorta brzuszna wykazywała workowate rozszerzenia, aneuryzm. Dotknięty chorobą odcinek był zbyt duży, aby go całkowicie usunąć. A lekarze przypuszczali, że dotyczyło to także innych naczyń.

Margret była pielęgniarką. Nikt nie musiał jej mówić, że malutka blada istotka nie ma szans – mimo sześciu operacji w ciągu pół roku. Jeden z lekarzy powiedział wtedy Wilhelmowi:

– W piersiach pana córki nie bije serce, tylko ser szwajcarski. Wygląda tak, jakby ktoś podziurawił je drutami.

Na nieszczęście Elsbeth również usłyszała te słowa albo zostały jej powtórzone przez nieświadomą pielęgniarkę.

Bez względu na to, co prognozowali lekarze, Magdalena dowiodła, że kłamali. Podjęła walkę nawet z białaczką i wygrała. Elsbeth przypisała to sile modlitwy i stała się jeszcze bardziej żarliwa w wierze, przez co dla każdego normalnego człowieka była nie do zniesienia.

Margret wiedziała, co się dzieje w domu brata, i nie zrobiła nic, zasłaniając się zbyt dużą odległością i obowiązkami wobec starej matki, z którą wtedy mieszkała. W pierwszych latach po narodzinach Magdaleny jej odwiedziny w Buchholz były rzadkością. Szybko zajrzeć, przymknąć oczy i wrócić do domu.

Potem matka zmarła. Wilhelm przyjechał na pogrzeb do Kolonii – sam, Elsbeth nie mogła się ruszać z domu. Wieczorem usiedli razem, Margret i jej brat, który mógłby być jej ojcem. Przez chwilę się ociągał, aż wreszcie przedstawił swoją prośbę. Czy w najbliższych tygodniach nie mogłaby przyjechać z wizytą? I czy nie porozmawiałaby z Elsbeth? Rozmowa kobiety z kobietą – o potrzebach mężczyzny. Mówienie o tym przychodziło mu z trudem. Fakt, że w ogóle się na to zdobył, choć byli sobie tak obcy, dowodził, że nie widział innego wyjścia.

– Myślałem już, żeby od niej odejść. Ale to by było nieodpowiedzialne. A ja nie chcę uciekać przed odpowiedzialnością. Tylko że tak dalej być nie może, nie wytrzymam już dłużej. – Po blisko dwuminutowej przerwie dodał: – Od narodzin Magdaleny śpię w pokoju dzieci. Nie dopuszcza mnie do siebie. Choćbym nie wiem jak ją prosił. Wcześniej często chodziłem do kobiety biorącej za to pieniądze. Nie umiałem sobie inaczej poradzić. Wiem, że to nie w porządku, i jakiś czas temu przestałem.

Od narodzin Magdaleny minęło wówczas osiem lat. Wilhelm miał lat pięćdziesiąt dziewięć, ale wyglądał znacznie młodziej. Był wysokim, silnym mężczyzną. A jak na nią spojrzał, gdy wymamrotał: „Nie chodzi tylko o mnie, także o Corę. Ma teraz dziewięć lat. Będzie starsza i... Boję się o nią” – Margret przeszedł po plecach zimny dreszcz. Chociaż Wilhelm na pewno nie miał na myśli tego, co w pierwszej chwili przyszło jej do głowy.

Dwa tygodnie później wybrała się w odwiedziny i spróbowała porozmawiać z Elsbeth. Jednak wszystkie jej starania okazały się bezskuteczne. Elsbeth wysłuchała jej ze skromną miną i dłońmi złożonymi na kolanach, po czym powiedziała:

– Gdybym miała siłę na następne dziecko, dopuściłabym go do siebie. Mój czas jeszcze nie minął, mogłabym znowu zajść w ciążę. Ale jak dałabym sobie radę? Nie! Wszyscy musimy ponosić ofiary. Wilhelm jest mężczyzną. Niech zniesie to jak mężczyzna.

Wilhelm musiał się z tym pogodzić. Pewnie znowu poszedł do kobiety, która brała pieniądze. Margret nie wiedziała dokładnie. Nigdy już nie rozmawiali na ten temat, tylko jeszcze kilka razy o obawach Wilhelma o Corę, która nagle zaczęła zdradzać objawy zdziwacza.

Nie lubiła się zastanawiać nad tym, czy Wilhelm miał swój udział w szaleństwie, którego dopuszczała się Elsbeth wobec Cory. Własny brat! Nawet gdyby nie miał pojęcia, dokąd się zwrócić ze swoimi potrzebami, na pewno nie dotknąłby dziecka! Nie własnej córki!

Margret nie mogła sobie tego wyobrazić i ze ściśniętym sercem próbowała dociec prawdy. Trafiała na mur nie do przebiccia. Już wtedy dowiedziała się, że jeśli Cora nie

chciała czegoś powiedzieć, nikt nie był w stanie z niej tego wydobyć.

Można było przewidzieć, że kiedyś musi dojść do katastrofy. Tej jednej! Z punktu widzenia Margret stało się to przed pięcioma laty, dokładnie 16 maja – w urodziny Magdaleny. Cora była załamana i na pół roku jakby znikła z powierzchni ziemi.

Margret z drzeniem przypomniała sobie telefon z grudnia tego samego roku. W słuchawce głos bratanicy:

– Mogę do ciebie przyjechać? Tu już nie dam rady żyć. Chyba w ogóle nie mogę żyć.

A potem jak bratanica stanęła w jej drzwiach z pokłutymi rękoma i blizną na czole. I noce aż do marca, gdy Margret wyskakiwała z łóżka i biegła do salonu. Najpierw łapała ją za ręce, żeby Cora nie zrobiła sobie krzywdy. Straszne koszmary, a potem okropny ból głowy i bezwzględne milczenie. Cokolwiek się z nią działo, Cora nie potrafiła o tym mówić, tylko raz wspomniała o wypadku w październiku.

Potrzebowała pomocy, kompetentnego lekarza. Ale nikogo do siebie nie dopuszczała. Margret musiała ją błagać, aż wreszcie Cora dała się zbadać Achimowi Miekowi. Uznał, że bóle głowy są spowodowane urazem czaszki, i dziwił się, że w tak krótkim czasie, od października, rana zdążyła się dobrze zagoić. Jeśli chodzi o koszmary, podejrzewał jakieś traumatyczne przeżycie. A tym powinien się zająć specjalista. Dobry psycholog pewnie mógłby pomóc.

Cora odmówiła. I jakoś dała sobie radę bez cudzej pomocy. Teraz nie trzeba się już było o nią martwić. Dobrze się jej wiodło. Co dwa tygodnie przychodziła w odwiedziny z Gereonem i synkiem, opowiadała o własnym domu i wyczerpującej pracy w biurze.

Margret za każdym razem cieszyła się, że Cora z takim zapałem zagłębiła się w nieznane jej sprawy. W oczach Margret Gereon Bender nie był wymarzoną mężczyzną. Raczej nieudacznikiem. Ale od ślubu z nim Cora mogła się zająć czymś sensownym, nie miała już czasu na rozmyślanie – i żadnych problemów. Podczas odwiedzin zawsze sprawiała wrażenie zrównoważonej. Nazajutrz też mieli się zjawić.

W piątek tuż przed południem Margret rozmawiała z bratanicą przez telefon. W głosie Cory brzmiała wtedy pewna nerwowość. W ostatnim czasie często tak się działo w piątki. Ostatecznie to nic dziwnego po całym tygodniu zamieszania i stresów w biurze.

Tuż przed jedenastą, właśnie gdy zaczął się film, zadzwonił Gereon. Do tej pory nigdy tego nie robił. Już sam ten fakt stanowił zły omen. Drugi tego wieczoru. Gereon złożył krótki raport, z którego Margret zrozumiała tylko jedno słowo: „Policja!”.

W pierwszej chwili pomyślała, że ktoś skrzywdził jej bratanicę. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że to Cora mogła komuś wyrządzić krzywdę. Była na swój sposób buntowniczką, według niektórych sprawiała wrażenie agresywnej. Jednak w głębi serca była łagodna jak baranek. A baranki nie zabijają, nadają się tylko na ofiary.

Gereon już dawno się rozłączył, a Margret nadal trzymała słuchawkę przy uchu przekonana, że na pewno wszystko źle rozumiała. Spróbowała oddzwonić, ale nikt nie odbierał ani w domu bratanicy, ani u jej teściów. Chwilę potrwało, zanim zebrała się w sobie i wykreśliła numer informacji, by dowiedzieć się o namiary do komisariatu okręgu Erf. Potem musiała się napić koniaku.

Tak jak zawsze wahała się pomiędzy „nie chcę wiedzieć” a potrzebą zyskania

pewności, między pragnieniem spokoju i życia bez problemów a świadomością, że nikt nie ujmie się za Corą. Po Gereonie Benderze nie należało się spodziewać niczego. W ostatnim zdaniu jasno wyraził swój stosunek do sprawy.

– Dla mnie jest już skończona.

Margret zaparzyła kawę, wypła dwie filiżanki, by zneutralizować działanie koniaku. Potem wreszcie wybrała numer komisariatu, przedstawiła się i wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni. Nie dowiedziała się jednak niczego. Nie można jej było połączyć z właściwym urzędnikiem. Ta informacja wystarczyła.

Rozdział 5

Rudolf Grovian na jakiś czas wyłączył nagrywanie, gdy Cora, biorąc głęboki oddech, dała mu do zrozumienia, że na razie opowiedziała wystarczająco dużo. Było kilka minut po jedenastej. Wyglądała na zmęczoną, wyczerpaną. Wydawało się, że bardzo jej ulżyło. Znał ten efekt z innych przesłuchań. Kawa dawno była gotowa. Podniósł się, podszedł do zlewu, wziął kubek i umył go dokładnie pod bieżącą wodą, tak by mogła to zobaczyć. Potem strząsnął krople wody. Oczywiście w pobliżu nie było czystej szmatki do wytarcia. Zawsze brakowało tego, czego się właśnie potrzebowało.

– Z mlekiem albo z cukrem, pani Bender?

– Nie, bardzo dziękuję, poproszę czarną. Już zaparzona?

– Siekiera – odparł.

Uśmiechnęła się lekko i skinęła głową. Nalał cały kubek i przyniósł jej do biurka. Zachowywał się wciąż zgodnie z taktyką obowiązującą podczas przesłuchań. Nikt, nawet on sam, nie zauważył, że tym razem coś się jednak zmieniło.

– Chciałaby pani też coś zjeść?

Ponownie usiadł na krześle naprzeciw niej i zastanowił się, gdzie o tej porze mógłby zdobyć coś do jedzenia. Przez chwilę mignął mu przed oczami bogato zastawiony stół u szwagierki. Na wieczór przewidziano steki z grilla. Wraz z zaplanowaną poważną rozmową z córką na pewno okazałyby się za ciężkie na jego wątrobę.

Patrzył, jak Cora obiema dłońmi obejmuje kubek, potem ostrożnie chwyta go za ucho i unosi do ust. Wypiła malutki łyk, po czym wymamrotała:

– Dobra, właśnie taka, jak trzeba. – Potrząsnęła głową i dodała: – Bardzo dziękuję, nie jestem głodna, tylko dość zmęczona.

Trudno było nie zauważyć. Powinien pozwolić jej na przerwę. Miała do tego prawo. Ale zostało jeszcze tylko kilka pytań. Uniknęła podania najdrobniejszego faktu, który pozwoliłby zweryfikować jej wersję. Żadnych nazwisk! Z wyjątkiem Johnny'ego Guitara i głupio brzmiącego Horstiego. Żadnej nazwy lokalu, żadnej marki samochodu, nie mówiąc już o numerze rejestracyjnym. To do niej pasowało – byleby tylko nikogo nie wciągać.

Musiała jednak zrozumieć, że tak się nie da. Potrzebował nieco więcej niż to, co dotychczas opowiedziała. Inaczej prokurator byłby zmuszony popukać się w czoło i wskazać na kilka niedorzeczności. Na przykład na to, że Georg Frankenberg pochodził z Frankfurtu. Tam się urodził i wychował, opuścił dom rodziców dopiero, gdy powołano go do wojska. Później rozpoczął studia na uniwersytecie w Kolonii.

Buchholz w Nordheide! Co mogło zagnać Frankenberga na odległą północ? Trudno było sobie wyobrazić, że tylko poszukiwanie przygód. Rudolf Grovian wyszedł z założenia, że jeden z jego kolegów pochodził z Hamburga lub okolic. Niestety, szef dopuścił się zaniedbania i nie dowiedział się od Meilhofera niczego o dwóch pozostałych członkach zespołu. Wtedy nie mógł jeszcze przypuszczać, że okażą się ważni.

Nie spytał, czy Cora czuje się na siłach, by odpowiedzieć na jeszcze kilka pytań, rzekł tylko:

– Kawa dobrze pani robi.

Była dość mocna, zauważył to, napełniając kubek. Dlatego sam się nie napił. Mocna kawa także szkodziła mu na wątrobę.

Ponownie włączył nagrywanie i zaczął – nieświadom, jaką rozjątrza ranę – od jedyne go konkretnego punktu, który wymieniła.

– Poznała pani zatem Georga Frankenberga przed pięcioma laty, dokładnie 16 maja.

Obdarzyła go nic niemówiącym spojrzeniem zza kubka i skinęła głową. Dokonał w głowie szybkiego rachunku. Frankenberg miał wtedy dwadzieścia dwa lata i prawdopodobnie zaczynał studia. Semestr letni trwał od marca do połowy lipca. Ferie przypadały na sierpień i wrzesień. Pozostawały weekendy. Mówiła tylko o weekendach. I to nie o wszystkich.

Młody mężczyzna z fatalną skłonnością do szybkich samochodów mógł łatwo pokonać kilkaset kilometrów i prawdopodobnie w czasie studiów był zmotoryzowany. Hojni rodzice, wyposażający pociechę we wszystko, co potrzebne, by żyć na odpowiednim poziomie. Ojciec był panem profesorem! Specjalistą w dziedzinie neurologii i chirurgii powypadkowej. Od siedmiu lat prowadził własną klinikę chirurgii plastycznej. Prawdopodobnie oczekiwano, że syn pójdzie w jego ślady.

Ten miał jednak pstro w głowie, chętniej siedział przy perkusji niż w sali wykładowej, co tydzień zabawiał się z inną dziewczyną, a wreszcie zrobił dziecko pannie z nieciekawego domu. Być może Frankie rzeczywiście cieszył się, że zostanie ojcem, a może nie. Rodzice na pewno nie byli uszczęśliwieni. Wszystko pasowało. Rudolf Grovian miał wystarczająco dużą wyobraźnię, by umieć wczuć się w sytuację Georga Frankenberga. Młody mężczyzna zostawił przed laty ciężarną dziewczynę, by uniknąć problemów w domu lub na rozkaz z góry. Prawdopodobnie usłyszał kiedyś, że w październiku rzuciła się pod samochód. Tym samym sprawa stała się dla niego jasna.

To obudziło sumienie Frankiego i nie dawało mu spokoju. Gdy później opowiadał o dziewczynie – tylko raz i nie wprost – stwierdził, że nie żyje, że zginęła w wypadku. Można to było tak ująć. Ale Frankie nigdy jej nie zapomniał. Jak często zastanawiał się, co stałoby się z nią i ich dzieckiem, gdyby się do niej przyznał? A gdy nad jeziorem rzuciła się na niego...

Nie zauważył, że jego głos nieco złagodniał.

– Potrzebujemy przynajmniej nazwisk obu mężczyzn, z którymi zadawał się wtedy Georg Frankenberg, pani Bender.

Ze zmęczenia wzruszyła ramionami.

– Nie znam ich. Obu nazywał po prostu swoimi kolegami.

– Czy rozpoznałaby ich pani?

Westchnęła głęboko.

– Grubego może tak. Tego drugiego raczej nie. Widziałam go przelotnie tylko raz. Gdy przyjechaliśmy, czekał już na dole. Siedział w rogu, a było dość ciemno. Gdy wyszedł razem z grubasem, przestałam się nim interesować.

Mniej więcej tak przypuszczał. Ale łatwo dowie się, z kim Frankenberg chciał wówczas zacząć karierę muzyczną. Następny punkt:

– Jakim samochodem jeździł Georg Frankenberg, gdy go pani poznała?

Popatrzyła w kubek.

– Nie pamiętam. Podróżowaliśmy wtedy samochodem, który chyba nie był jego. Grubas siedział za kierownicą. – Po kilku chwilach dodała z ociąganiem: – To był srebrny golf GTI. Numer rejestracyjny zaczynał się od B. Może BN – nie jestem pewna.

– I pojechaliście do Hamburga?

Skinęła głową.

– Nie pamięta pani więcej szczegółów, pani Bender? Jak długo trwała podróż? Jaką trasą jechaliście?

Wzruszyła ramionami i wymamrotała:

– Przykro mi. Nie zwróciłam uwagi.

– Zatem nie ma pani pojęcia, w jakiej części Hamburga znajdował się dom?

Kiedy potrząsnęła głową, on poczuł narastającą frustrację.

– Może pani przynajmniej go opisać? Czy to był dom wolno stojący? Jak wyglądało jego otoczenie?

Zareagowała wybuchem gniewu.

– Po co to komuś dzisiaj potrzebne? To nic nie da! Niech pan posłucha, przyznałam, że go zabiłam. Wytłumaczyłam panu dlaczego. Poprzestańmy na tym. Po co chce pan to wszystko wiedzieć? Chce pan poszukać tego domu? Powodzenia. Hamburg jest duży. A to był duży dom. – Przerwała, zamrużyła nerwowo, przetarła dłonią oczy, jakby chciała odpędzić niemiły widok. Kontynuowała równie ostro: – To była willa, w zielonej okolicy. Więcej naprawdę nie pamiętam. Byłam bardzo zakochana i zwracałam uwagę tylko na Johnny’ego, a nie na otoczenie czy fasadę budynku. Mogę wam opisać korytarz. Niech pan potem dzwoni po kolei do wszystkich domów i prosi, żeby pozwolili panu obejrzeć korytarz.

– Może tak zrobię – odparł. – Jeśli powie mi pani, jak wyglądał.

– To w ogóle nie był korytarz – wymamrotała. Znowu mocno zamrużyła, odstawiła kubek z kawą, poruszyła ramionami, jakby zdrętwiały jej plecy, przygryzła dolną wargę, zanim wyjaśniła: – To był ogromny hol, cały w bieli. Tylko na podłodze między białymi płytkami umieszczono małe zielone kamyczki. Przy schodach do piwnicy wisiał obraz. Pamiętam, bo Johnny przycisnął mnie do przeciwległej ściany i pocałował. Pozostali zeszli już na dół. Spojrzałam za nimi i zobaczyłam ten obraz. Zdziwiłam się, że ktoś chciał powiesić w domu coś takiego. Niczego nie przedstawiał, tylko kolorowe plamy.

To była taka dobra historia. Aż do tego momentu! Dalsze pytania szefa nie były przyjemne. Jednak miała jeszcze kilka odpowiedzi. Srebrny golf GTI oraz numer rejestracyjny rozpoczynający się od B. Być może BN, a może nie. Chciała powiedzieć BM. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że rejestracja Gereona zaczynała się od BM. Szef na pewno zwęszyłby kłamstwo.

Jeśli chodzi o samochód, nie musiała się długo zastanawiać. To było typowe auto młodych mężczyzn. Gdy poznała Gereona, on także jeździł srebrnym golfem, chociaż niezbyt długo, bo samochód był już stary. Wydawało się jej, że niski, gruby kolega Johnny’ego również posiadał golfa. Dokładnie nie pamiętała. Nie było to ważne. Nigdy nie miała przecież do czynienia z tymi dwoma mężczyznami.

No i dom, jakikolwiek dom w Hamburgu. Wystarczyła odrobina logiki. Oczywiście, że wolno stojący! Skoro w piwnicy odbywały się próby muzyczne, naokoło musiało być trochę przestrzeni, żeby sąsiedzi nie skarżyli się na hałas. A duży, wolno stojący dom w Hamburgu mógł należeć tylko do bogatych ludzi. Bogaci ludzie zaś wieszali na ścianach obrazy. Skąd przyszedł jej do głowy właśnie obraz z kolorowych plam, tego za nic w świecie nie wiedziała. Ale było to tak samo bez znaczenia jak samochód.

Szef przerwał jej myśli.

– Jak to pozostali? – spytał. – Mówiła pani tylko o tym grubym, a trzeci kolega miał być już w piwnicy, gdy przyjechaliście. Kto jeszcze znajdował się na schodach?

Pozostali? Nie uświadamiała sobie, że tak powiedziała. Przycisnęła dłoń do czoła, spróbowała sobie przypomnieć, jakich dokładnie słów użyła, wspominając obraz z kolorowych plam. Nic jej nie przychodziło do głowy, a szef czekał na odpowiedź. Musiała być logiczna. Obraz z kolorowych plam nie był logiczny. Bogaci ludzie woleli tradycyjną sztukę. W jej głosie brzmiała udreka.

– Nie wiem. Dziewczyna. Grubas zabrał ze sobą dziewczynę. – Zadowolona z siebie, skinęła głową. To była świetna odpowiedź. – Właśnie tak! – dodała. – Tak było. Inaczej bym nie pojechała. Nie ufałam mu. Wyleciało mi to z głowy, ale przypomniałam sobie. Była z nami jeszcze dziewczyna. – Uśmiechnęła się do niego, jakby przepraszająco. – Proszę mnie nie pytać, jak miała na imię. Naprawdę nie wiem. Nigdy jej wcześniej nie widziałam. Tego wieczoru zjawiała się po raz pierwszy. Raczej nie pochodziła z Buchholz. Wie pan, dziewczęta z Buchholz zrobiły się ostrożne, jeśli chodzi o Johnny'ego i jego kolegę. Żadna z nich na pewno by z nami nie pojechała. To była obca dziewczyna. Potem wyszła razem z grubasem i tym drugim. Nie wiem, dokąd się udali. Może odjechali.

– To jak wróciła pani do domu?

– Johnny mnie odwiózł. Golfem. Gdy wyszliśmy, stał przed domem.

– Pozostali więc nie mogli odjechać.

Westchnęła i wytłumaczyła zirytowana:

– Powiedziałam przecież, może. Albo byli jeszcze w środku. Nie wiem. Nie chodziłam po domu.

Szef z namysłem pokiwał głową.

– I w drodze powrotnej nie zwróciła pani uwagi na fasadę budynku ani na odległość!

– Nie, byłam dość mocno pijana i zasnęłam w samochodzie.

Ponownie skinął głową i spytał:

– W którym miesiącu ciąży była pani, gdy straciła dziecko?

Musiała się zastanowić. Co mówiła wcześniej? W sierpniu spała z Johnnym! Czy wspomniała o sierpniu? Nie pamiętała, wiedziała tylko, że powiedziała: „Pod koniec października zauważyłam, że rośnie mi brzuch ...”.

Było to trochę naciągane, po trzech miesiącach brzuch nie jest jeszcze tak duży, żeby się rzucał w oczy. Czy szef tego nie wiedział? Żeby tylko nie popełnić teraz błędu. Pokręciła głową.

– Proszę, już kolejny raz. Nie mogę o tym rozmawiać. Nigdy nie mogłam.

Rudolf Grovian nie chciał jej zbyt naciskać. Pozwolił sobie tylko na spokojną uwagę, że jeśli nie będzie współpracować, z konieczności zwróci się do innych.

– Ile lat mają pani rodzice, pani Bender?

Odpowiedziała automatycznie.

– Matka ma sześćdziesiąt pięć, ojciec jest o dziesięć lat starszy.

W tym momencie włączył się Werner Hoß.

– Dlaczego powiedziała mi pani, że rodzice nie żyją?

Przez chwilę zdawała się zirytowana, spojrzała wrogo na Hoßa i wyjaśniła ochryplym głosem:

– Dla mnie nie żyją. A zmarłych należy zostawić w spokoju. Czy jest pan może innego zdania?

– Nie – odparł Hoß. – Ale oni żyją. I gdy widzę, że kłamała pani w jednej sprawie, zaczynam być podejrzliwy także w innych.

W pierwszej chwili Rudolf Grovian miał zamiar zabronić wtrącania się Hoßowi. Potem jednak pozwolił mu mówić, chcąc zobaczyć, co z tego wyniknie.

– Dużo nam pani opowiedziała – stwierdził Hoß. – Kilka rzeczy mnie zdziwiło. Na przykład, że perkusista każe się nazywać Johnny Guitar lub że wysoki, silny mężczyzna mówi o sobie Horsti.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wydawało mi się to dziwne, tylko śmieszne. Ale kto wie, dlaczego ludzie chcą, żeby nazywać ich tak lub inaczej. Pewnie miał swoje powody.

– Być może – ustąpił Hoß. – O jego powodach prawdopodobnie niczego się już nie dowiemy. Zajmijmy się zatem pani powodami. Dlaczego mieliśmy uwierzyć, że pani rodzice nie żyją? Czyżby mogli nam opowiedzieć coś zupełnie innego niż pani?

Coś w rodzaju uśmiechu przemknęło przez jej twarz.

– Moja matka opowie wam pewnie jakąś biblijną historię, to wariatka.

– Ale pani ojciec nie zwariował. – Rudolf Grovian przejął sprawę. – Opowiadała pani przecież, że to miły człowiek. A może to także było kłamstwo?

W milczeniu pokręciła głową.

– To dlaczego się pani denerwuje, gdy mówię, że chcę z nim porozmawiać?

Odetchnęła, drżąc.

– Bo nie chcę, żeby się przejął. Nie wie o Johnnym. Kilka razy mnie pytał, ale nic mu nie powiedziałam. Nie było mu łatwo, gdy wróciłam do domu. Robił sobie wyrzuty. Kiedyś powiedział: „Lepiej by się stało, gdybyśmy oboje odeszli stąd już parę lat temu. Nie doszłoby do tego wszystkiego”. Ale ojciec zawsze był odpowiedzialnym człowiekiem. Nie chciał zostawić matki samej ze Zbawicielem i pokutującą Magdaleną.

To imię nic nie mówiło Rudolfowi Grovianowi. Dostrzegł tylko skurcz na jej twarzy, jakby przeszył ją ból. Chwyciła kubek z kawą i szybko uniosła go do ust. Ale nic nie wypiła, jedynie odstawiła go z powrotem na biurko i poprosiła:

– Mógłby pan dolać trochę wody? Jednak jest dla mnie za mocna, robi mi się po niej niedobrze.

– Mamy tylko zimną wodę.

– Nie szkodzi. Kawa i tak jest zbyt gorąca. – Przerazenie niczym błyskawica przeszło jej umysł. Magdalena! Jeszcze raz się udało. Szef nie zareagował, a ten drugi nie dopytywał, czy w sprawie rodzeństwa także skłamała. Przeciągnęła dłonią po czole, nasunęła włosy na bliznę, ostrożnie pomacała krwawą skorupę nad prawym okiem, potarła ręką kark i poruszyła głową. – Czy mogę wstać i przejść się dookoła? Zesztywniałam od siedzenia.

– Oczywiście – odparł szef.

Podeszła do okna, wyjrzała w ciemność i spytała odwrócona plecami:

– Jak długo to jeszcze potrwa?

– Niedługo, zostało tylko kilka pytań.

Rudolf Grovian zobaczył, że kiwa głową, i usłyszał, jak mamrocze:

– Tak myślałam. – Głośniej i bardzo zdecydowanym tonem oznajmiła: – No dobrze, idźmy dalej. Włączył pan znowu to urządzenie? Nie mam ochoty rano opowiadać wszystkiego od początku.

Odzyskała rezon, była szorstka jak na początku. Wcześniej ocenił jej zachowanie jako agresywne, co teraz wydało mu się przesadą. Nie okazywała już żadnych oznak słabości, wyczerpania ani zagubienia. Tylko to się liczyło. Następne pytanie. Jak nazywał się lokal, w którym poznała Georga Frankenberga *alias* Horstiego lub Johnny’ego Guitara?

Odpowiedź przyszła po lekkim wahaniu.

– Aladyn. Tak go nazywaliśmy z powodu lamp. Właściwie nie miał oficjalnej nazwy. To znaczy, nie miał od poniedziałku do piątku. W tym czasie obsługiwał starszych ludzi. A w soboty nazywał się Aladyn. Zwykle chodziłam właśnie tam, bo można było potańczyć.

W razie potrzeby dałoby się to sprawdzić. A kiedy dokładnie spróbowała odebrać sobie życie? Tym razem usłyszał najpierw długie westchnienie, potem odpowiedź:

– Przecież mówiłam już, że w październiku. Nie pamiętam którego dnia.

A w jakim szpitalu przebywała potem na leczeniu? Odpowiedziała obrócona plecami. Jej głos brzmiał ochryple.

– Nie trafiłam do szpitala. Mężczyzna, który mnie potrafił, był lekarzem. Zabrał mnie do swojego gabinetu. Mówiłam przecież, że nie odniosłam ciężkich obrażeń. Poza tym on wcześniej pił. Bał się, że odbiorą mu prawo jazdy, i był wdzięczny, że nie chciałam wzywać policji. Zostałam u niego kilka tygodni, do połowy listopada.

– Jak nazywał się ten lekarz i gdzie mieszkał?

Odwróciła się i pokręciła mocno głową.

– Nie! Proszę zostawić tę sprawę. Nie opowiem o tym lekarzu, nie mogę. Pomógł mi. Powiedział, że ja... Był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że ja... – Pokręciła głową jeszcze mocniej, jednocześnie zaciskając dłonie. Tarła je i gniotła, biorąc oddech po raz trzeci. – Powiedział, że ja... – Dopiero po przerwie i kilku głośnych oddechach udało się jej skończyć zdanie: – ... muszę wrócić do domu. Ale moja matka...

Na samo wspomnienie skuliła ramiona. Matka stojąca w otwartych drzwiach. Nieufne spojrzenie. Zobaczyła samą siebie. W nowej sukience i nowym płaszczu. Buty, bielizna, na której widok Grit Adigar tak bardzo się dziwiła, czarna koronkowa bielizna

i pończochy, wszystko nowiuteńkie. Opłacone przez mężczyznę, który czuł się w obowiązku jej pomóc. Lekarz! To nie było kłamstwo.

W połowie listopada wsadził ją do pociągu i wysłał do domu, chociaż jeszcze nie wydobrzała. Wręcz przeciwnie, czuła się bardzo źle. Podróż pociągiem pamiętała jak przez mgłę. Nie umiała sobie przypomnieć, gdzie wsiadła, wysiadła ani jak dotarła do domu. Tylko to, jak stała przed drzwiami. Na uginających się nogach, z głową ciężką jak ołów. Pragnęła jedynie położyć się w łóżku i zasnąć. Po prostu zasnąć. Usłyszała własny głos, jego błagalne brzmienie:

– Mamo, to ja, Cora.

I głos matki, chłodny i obojętny:

– Cora umarła.

Tak też się czuła w listopadzie przed pięcioma laty. A teraz znowu. Nie powinna wspominać o matce. I na pewno nie o lekarzu.

Rudolf Grovian dostrzegł, że pocierając i gniotąc dłonie, niemal wyłamała sobie palce. Przypisał to zachowanie wzmiance o matce.

– Już dobrze, pani Bender. Nie musi pani nic powtarzać. Mamy to na taśmie. Ale koniecznie potrzebujemy nazwiska lekarza. Nie chcemy mu zrobić nic złego. Nikt nie będzie mu dziś wypominał, że przed pięcioma laty prowadził samochód pod wpływem alkoholu. Chcielibyśmy tylko, by złożył zeznania. Mógłby potwierdzić pani próbę samobójczą i ciążę.

– Nie! – odparła zgnębiona, zaciskając za plecami dłonie na parapecie. – Jeśli chodzi o mnie, może pan o wszystkim zapomnieć. Tak, niech pan zapomni. Powiedzmy po prostu, że kiedyś łączyło mnie coś z mężczyzną, którego zamordowałam. Porzucił mnie i byłam zła. Gdy go więc dziś spotkałam, zabiłam.

Rudolf Grovian przemówił z dużym naciskiem.

– Pani Bender, tak się nie robi. Nie może pani opowiadać nam czegoś i wycofywać się w każdym punkcie, który pozwoliłby potwierdzić pani historię. Tak jak kolega muszę chyba przyjąć, że nie mówi pani prawdy.

Ponownie obróciła się do okna. To był ostateczny gest, jej głos dodatkowo to podkreślił.

– Powiedziałam, żeby pan o tym zapomniał! Nie dlatego tak się męczyłam, żeby panu opowiedzieć cokolwiek. Proszę nie zapominać, że pan mi groził. Ale teraz musi pan przestać. Dalej nie mogę, nie czuję się dobrze. Mówił pan, że jeśli poczuję się źle, mam o tym poinformować i wtedy przerwiemy.

– Ale nie powiedziałem, że może pani stosować to jako wymówkę.

– To nie wymówka. Naprawdę już nie dam rady. – Jej głos, choć nadal pewny i zdecydowany, brzmiał tym razem słabo i płaczkliwie. Dolna warga zaczęła się trząść jak u dwuletniego dziecka, któremu zaraz poleją się łzy.

Widział to w szybie. Ale nie dał się nabrać na tak tanią sztuczkę. Podobnego tonu używała zawsze jego córka, gdy nie potrafiła w inny sposób postawić na swoim. A ta dolna warga – Mechthild mówiła, że robi nadąsaną minę.

– Jeszcze przez parę minut da pani radę – powiedział. Jego głos brzmiał ostrzej, czemu nie umiał ani nie chciał zapobiec. Mimo wszystkich względów i poświęcanej jej

uwadze powinna poczuć, że na dłuższą metę nie dawał się zbyć odmową i wykrętami. – A więc w grudniu przed pięcioma laty pojechała pani do Kolonii. Czy był jakiś powód, dla którego wybrała pani właśnie Kolonię?

Zakładał, że dowiedziała się jednak czegoś o prawdziwej tożsamości Frankenberga i miejscu jego pobytu. Że wybrała się w podróż, by go odnaleźć.

Odparła cicho:

– Nie! Wsiadłam do pociągu, który jechał właśnie do Kolonii.

Do tej pory jej wierzył. W to jednak na pewno nie mógł.

– Niech się pani jeszcze raz zastanowi, pani Bender. Był jakiś powód. Znamy go już. Ale chcielibyśmy to usłyszeć od pani.

– Nie muszę się zastanawiać. Nie było powodu. Nie znałam nikogo w Kolonii, bo przecież to chciał pan wiedzieć.

Nie rozumiała, dlaczego pytał z takim naciskiem, w duchu stała wciąż przed drzwiami domu, patrzyła matce w twarz, słyszała jej głos. Cora umarła. Nie! Cora żyła, mężczyzna zmarł. A Cora powoli traciła rozum. Czowała to wyraźnie – jakby woda powoli przeciekała jej przez palce. Mogła je zaciskać z całych sił, ale ona nie dawała się zatrzymać.

Nie należało mieszać zmyślonej historii z okruciami prawdy. Kłamstwo miało długie nogi i wyprzedzało oszusta, a prawda była jak uderzenie obuchem w głowę. A potem wszystko zaczynało się plątać. Obraz z kolorowych plam zmyśliła! Była tego pewna. Mimo to widziała go wyraźnie przed sobą, wiszący na ścianie w białym holu, gdzie tylko na podłodze umieszczono małe zielone kamyczki. I twarz... Tak blisko jej własnej, że musiała zamknąć oczy, bo się zamazywała. To niemożliwe. Johnny ją całował – dokładnie tak, jak opowiedziała. Czowała jego wargi na swoich.

To były tylko jej palce, które przyciskała do ust, by nie krzyknąć. Wiedziała, że to tylko jej palce. Ale ta wiedza nie pomagała. Przez jego ramię spoglądała na dwie obrócone postacie na schodach!

Niski, gruby mężczyzna i dziewczyna schodzący na dół. Dziewczyna o jasnych włosach. Miała na sobie granatową satynową bluzkę i białą spódnicę z falbanką. Spódnica była z koronki, prawie prześwitująca.

Skąd wzięły się te szczegóły? Musiała je już gdzieś widzieć. Na filmie! To było rozwiązanie. Tylko na filmie. A w każdym filmie były dialogi. Dziewczyna na schodach zaśmiała się i zawołała przez ramię:

– Idziecie? Na dole możecie robić to dalej. Tam na pewno jest przyjemniej.

W każdym filmie była też muzyka. Z dołu dochodziło bębnienie. Solówka na perkusji. Starła się właśnie przypomnieć sobie tytuł filmu i dalszy ciąg tej sceny, gdy szef spytał o Kolonię.

Nie była już w stanie wymyślić logicznego kłamstwa. Kolonia! Chodziło o Margret. Czy już o niej wiedział? Można by tak sądzić z tego, co mówił. Czy Gereon wspomniał o niej? Możliwe.

Pięć minut przerwy. Więcej nie potrzebowała. Tylko pięć minut, by wymyślić zadowalającą historię o Kolonii. A skoro ignorował jej prośby, musiała przypomnieć mu o obietnicy.

– Czy mogłabym coś zjeść, zanim będziemy kontynuować? Proszę, jestem bardzo głodna. Nad jeziorem nic nie zjadłam. Chciałam wziąć sobie kawałek jabłka. Golden delicious, już jako dziecko bardzo lubiłam tę odmianę.

Mieliśmy ogródek, ale nie przy domu. Musieliśmy chodzić do niego spory kawałek. W rzeczywistości wcale nie był daleko. Wtedy jednak wszystko wydawało mi się bardzo duże, bardzo długie i nieskończenie oddalone. Jak coś, co wciąż, bezustannie posuwało się naprzód. Wyprawa do ogródka trwała dla mnie okropnie długo. Często byłam tak zmęczona, że myślałam, iż nie dam rady pokonać całej drogi. I nie chciałam, ponieważ ogród stanowił wielką pokusę.

Tego roku gdy Magdalena walczyła z rakiem, a ja zaczęłam się zastanawiać, jak by to było, gdyby nigdy już nie wróciła z kliniki, rzadko byliśmy w ogródku. Następnej wiosny mieliśmy w nim jednak wiele do roboty. Prawie codziennie tam chodziliśmy. Moje zadanie polegało na odchwaszczaniu grządek warzywnych. Ojciec pracował łopatą lub grabiami. Matka opiekowała się Magdaleną. To była łagodna wiosna i matka sądziła, że świeże powietrze dobrze jej zrobi.

Wokół naszego ogródka znajdowały się inne, w których rosły owoce – krzaczki truskawek i jabłonie. Nie było płotów, działki oddzielały jedynie bruzdy. Truskawki rosły tak blisko, że wystarczyło się schylić, nie musiałam nawet stawiać stopy w sąsiednim ogródku, naprawdę nie. Czasem zwisały nad bruzdą.

Mogłam zerwać je razem z paroma chwastami i szybko włożyć do buzi, nikt by nie zauważył. Nie odważyłam się. Pamiętałam, co stało się z Magdaleną po tabliczce czekolady, którą dał mi ojciec. Wzięcie czegoś, co do nas nie należało, było jednym z największych grzechów.

Miałam już osiem lat i wiedziałam, że istniały ogromne różnice między grzechami. Nie od matki – dla niej wszystkie grzechy były równie ciężkie. Ale w szkole także rozmawialiśmy o grzechach: tych powszednich, lekkich, które zostawały wybaczone, jeśli człowiek od razu ich pożałował. O ciężkich, za które po śmierci trafiało się do czyśćca. I o grzechach śmiertelnych, przez które na wieki trzeba było pokutować w piekle.

W szkole nigdy nie mówiono, że ktoś musi z tego powodu cierpieć lub umrzeć. Tak twierdziła tylko matka. Ale ja nie miałam pewności, czy matka nie wiedziała lepiej niż nauczycielka. Nauczycielka nie była katoliczką.

To był dla mnie okres niepewności. Nigdy nie wiedziałam, komu i czemu mam wierzyć. Ojciec mówił raz tak, raz siak. Jednego wieczoru klęczał przed krzyżem i przeproszał za swoje żądze. Drugiego stawał się nerwowy, biegał po domu lub zamykał się w łazience. Gdy wracał, spoglądał na Magdalenę i mamrotał:

– Co też ci zrobiłem, wróbelku?

Magdalena zachorowała ciężiej niż przedtem. Co cztery tygodnie trzeba ją było zawozić do Eppendorfu. Ojciec mówił, że podawali jej tam truciznę i naświetlali złymi promieniami. Dzień przed tym, jak matka miała ją zawieźć, Magdalena długo płakała. Cicho i w tajemnicy, bo nie wolno jej było się męczyć. Gdy wracały, czuła się tak źle, że nawet na dwie minuty nie mogła zostawać sama.

Czasami matka posyłała mnie do sypialni, żebym zobaczyła, co robiłam, i na zawsze to sobie zapamiętała. Stawałam obok łóżka i spoglądałam na Magdalenę. A ona

patrzyła na mnie. Chętnie bym ją przeprosiła, ale nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć.

Nastał trudny okres. Zwłaszcza wiosną. To było jak przymus. Nieustannie wyobrażałam sobie, co stałoby się z Magdaleną, gdybym zjadła truskawkę.

Uczucie, że tylko ode mnie zależy, czy umrze, czy będzie żyć... Musiałam ciągle kontrolować, co robię, co mówię i co myślę. Czasem było tego zbyt wiele. Chciałam wtedy zasnąć, śnić o czymś pięknym i żyć dalej we śnie.

Gdy sezon na truskawki dobiegał końca, odetchnęłam z ulgą. Oparłam się pokusie i byłam z siebie dumna. Przede wszystkim dlatego, że pozornie to zadziałało. Magdalena powoli dochodziła do siebie. Zmiany nie były dostrzegalne na co dzień, ale już po miesiącu tak.

Matka zawsze zabierała ją do ogródka w starym wózku. Na wiosnę Magdalena leżała w nim niczym sterta ubrań. Jesienią siedziała prawie wyprostowana. Co prawda, tylko przez parę minut, ale i tak był to duży postęp.

W lecie w ogródku nie mieliśmy dużo do roboty. Nawet późnym popołudniem często było dla Magdaleny zbyt gorąco. Za to jesienią chodziliśmy tam codziennie. Gdy ojciec wracał z pracy, wyruszaliśmy niczym mała procesja. Ojciec z przodu, z narzędziami na lewym ramieniu. W prawej dłoni zawsze niósł wiadro. Matka pchała wózek. Magdalena nosiła czapkę, mimo że jej włosy już nieco odrosły. Były jednak cienkie i niemal zupełnie białe. Musiała chronić głowę przed słońcem.

Szłam za matką i myślałam o żółtych jabłkach. Golden delicious, ojciec powiedział mi, że tak się nazywają i że są bardzo słodkie. Drzewo stało blisko granicy działki i wiele owoców spadało na bruzdę, a niektóre nawet poza nią. Wydawało mi się, że gdybym podniosła te leżące po naszej stronie, to nie byłaby kradzież, a jabłka nie mogły przecież mieć tak zgubnych skutków jak czekolada i cukierki. Grit często mówiła, że to zdrowo jeść owoce. Myślałam, żeby podnieść kilka także dla Magdaleny, aby wyzdrowiała. Nie chciałam jeść ich sama, naprawdę nie.

W drodze na działkę musieliśmy przechodzić przez bardzo ruchliwą ulicę. Gdzieś na poboczu stała wielka stara drewniana skrzynia, w której trzymano piasek do posypywania jezdni zimą. Teraz była pusta. Ojciec mi o tym powiedział. I pewnego dnia miałam ten sen.

We śnie wracaliśmy do domu. Magdalena siedziała w wózku zupełnie wyczerpana, cicho popłakiwała z bólu. Matka zatrzymała się, uklękła na ulicy i zaczęła się modlić. Minęłam je. Ojciec był już przy skrzyni. Dogoniłam go i powoli poszliśmy dalej.

Potem usłyszałam za sobą hałasy, drapanie i warczenie. Obróciłam się i zobaczyłam wyskakującego ze skrzyni czarnego wilka. Nie zwracał uwagi na mnie ani na ojca. Dopadł do matki i siostry, jednym susem znalazł się w wózku i połknął Magdalenę. Matkę zostawił w spokoju.

Potem pobiegł z powrotem do skrzyni, wskoczył do środka i zanim zamknął wieko, popatrzył na mnie. Zaśmiał się jak człowiek, szeroko otwierając paszczę. Na zębach wciąż miał krew Magdaleny. Powinnam się bać, ale nie czułam strachu. Gdy tak się do mnie uśmiechał, wiedziałam, że mnie lubi. Chętnie wzięłabym go do domu jak psa.

Matka klęczała obok pustego wózka, wznosząc ręce do nieba. Ojciec położył mi dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się zadowolony i powiedział:

– To był piekielny pies. Piękne zwierzę, prawda? Widziałaś, jaki miał wspaniały ogon? A te zęby! Wyświadczył nam wielką przysługę. Pozbyliśmy się jej! Na zawsze. Teraz nie musimy już pragnąć uwolnienia od grzechów. Możemy znowu się nimi cieszyć. I tak zrobimy, Coro. Pokazać ci coś ładnego?

To był pojedynek! Po krótkim wtrąceniu się mężczyzna w dresie już się nie odzywał. Siedział jakby wyłączony. Z nieomylnym instynktem ściganego zwierzęcia Cora zrozumiała, że z czymś się nie zgadzał. Nie wiedziała tylko, co mu przeszkadza – jej kłamstwa czy sposób postępowania szefa. To borowanie, wiercenie, naciskanie.

Żądał od niej czegoś, czego nie mogła mu dać. Było prawie tak jak wtedy z matką. Tylko to jedno opanowała, tego nauczyła się od podstaw – kłamać. Ale tym razem wszystko działało się zupełnie inaczej. Niby jakieś szaleństwo. Obraz nie dawał się zatrzeć, przywoływał kolejne wizje. Te przekłete kolorowe plamy. I dwie postacie na schodach. Mężczyzna i dziewczyna.

Zobaczyła plecy dwóch osób na przednich siedzeniach samochodu. Dwaj mężczyźni. Jeden obrócił się i uśmiechnął do niej. Jego spojrzenie kryło w sobie obietnicę. Johnny Guitar!

To było tylko wyobrażenie. Pragnienie. Pragnienia łatwo zmieniają się w umyśle w obrazy i rozciągają niczym wspomnienia. A reszta... Głos dziewczyny, satynowa bluzka, spódnica z falbanką, solówka na perkusji. Wszystkie te szczegóły musiała pewnie kiedyś widzieć i słyszeć. Na filmie! Nie było innej możliwości. Gereon oglądał masę filmów. Prawie co wieczór nowy. To ponad tysiąc w ciągu trzech lat. Gdyby tylko przypomniwała sobie tytuł lub zakończenie...

Szef nie dał jej czasu do namysłu. Wyczarował skądś posiłek. Tylko kilka herbatników i świeżą kawę. Tym razem miał ją zaparzyć ten drugi, żeby nie wyszła za mocna. Jakby przez ścianę słyszała głos szefa. Wciąż Kolonia. Chciał wiedzieć, dlaczego wybrała właśnie to miasto. Brema lub Hamburg leżały przecież bliżej. Skąd wzięła pieniądze na podróż?

– Ukradłam – wymamrotała i spuściła wzrok. – Od matki. Prawie osiemset marek. Zapłaciłam za bilet i starczyło mi na parę tygodni. Od razu znalazłam pracę i małe mieszkanie.

– Gdzie?

Podawała mu adres Margret! W tym zamieszaniu nie przyszło jej do głowy nic innego. Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, co powiedziała. W tym samym momencie stało się dla niej jasne, że nie miało to sensu. Jeśli sprawdzi jej słowa, a zrobi tak na pewno, szybko stwierdzi, gdzie kończy się kłamstwo, a zaczyna prawda.

Serce zaczęło jej bić mocniej, ręce zwilgotniały od potu. Margret znalazła się w dużych opałach. Popelniła ogromny błąd. Powinna była powiedzieć, że uciekła z Johnnym. Nie od razu, dopiero w sierpniu. Sierpień był ważny. Nie wiedziała dlaczego. W tym momencie w ogóle mało wiedziała, bo przez głowę przewijało jej się zbyt wiele rzeczy.

Poddać się! Słyszała już o ludziach, którzy załamywali się podczas przesłuchań, których opór łamano, powtarzając wciąż te same pytania. Ale nie ją! Zebrała w sobie resztki sił. Zawsze istniała jakaś rezerwa. Osiemnaście lat walki z matką ją uodporniło,

nauczyło opowiadać takie historie, by żadne pytanie nie pozostało otwarte. Być może powinna być jej wdzięczna za ten nieustanny trening.

Na pozór wyglądało to jak ostateczna rezygnacja. Na krótko unieść głowę, spojrzeć szefowi w oczy, potem znowu spuścić wzrok. We wnętrzu żelazna samokontrola i napięcie niemal rozszarpujące nerwy. Lewą dłoń zacisnąć na prawej, wytrzeć pot o spódnicę. Od dłuższego czasu znów siedziała na krześle. Ramiona jej opadły. Georg Frankenberg już nie żył, nie mogli go prosić o potwierdzenie.

To był tylko szept.

– I tak się pan dowie. Tak, był powód, dla którego pojechałam właśnie do Kolonii. Nie powiedziałam panu prawdy, bo za bardzo się wstydziłam. Przez jakiś czas włóczyłam się wtedy z Johnnym. Rozumie pan? Tego dnia, gdy pojechalśmy do Hamburga, nie odwiózł mnie do domu. Inni poszli, byliśmy sami w piwnicy. Chciał, żebym z nim została. A ja... spałam z nim, było wspaniale. Pomyślałam, że teraz należymy do siebie. To było w sierpniu. Mówiłam już, że to było w sierpniu?

Szef skinął głową, a ona kłamała dalej o kilku tygodniach, podczas których szwendali się razem, o podróży w sierpniu w kierunku Kolonii, gdzie Johnny chciał odwiedzić znajomego, i jak w czasie jazdy kilkakrotnie bezskutecznie dzwonił, by go uprzedzić o ich wizycie. Raz polecił zadzwonić Corze, numer zapisał na kartce. Kartkę znalazła potem po powrocie do domu. Gdy matka wyrzuciła ją z domu, zadzwoniła pod ten numer. Odebrała młoda kobieta. Spytała o Johnny'ego, ale tamta nie wiedziała, o kogo chodzi, i poradziła jej, żeby zadzwoniła ponownie wieczorem, gdy jej mąż będzie w domu.

Kilka chwil przerwy! Wypiła łyk kawy. Niemal z zapartym tchem czekała, czy przy tym kłamstwie także pojawią się obrazy. Ale nic się nie działo. Ugryzła mały kawałek herbatnika, ledwie mogła go przełknąć. Miał czekoladową polewę, każdy okruch oznaczał wyrok śmierci dla Magdaleny.

Szef obserwował ją uważnie. Znowu popełniła błąd. Przez jakiś czas się włóczyli! W jaki sposób? Jak dotarli do Kolonii, by odwiedzić przyjaciela Johnny'ego, skoro srebrny golf należał do grubasa?

Zanim szef zdążył o to zapytać, szybko opowiadała dalej.

– Wieczorem zadzwoniłam ponownie. Odebrał mężczyzna. Tym razem spytałam o Horstiego. Mężczyzna się zaśmiał. „Nazywa się Georg Frankenberg” – odparł. Jak wpadł na Horstiego, tego sam pewnie nie wie, głupek. Spytał mnie, czego chcę od Georga Frankenberga. Powiedziałam, że się przyjaźniliśmy i że chętnie bym go znowu zobaczyła. A mężczyzna stwierdził, że w takim razie muszę przyjechać do Kolonii.

W tym momencie Rudolf Grovian stał się podejrzliwy i poczuł się zmuszony podać wszystko w wątpliwość. Werner Hoß nie potrzebował wcale tak ostentacyjnie wykrzywiać twarzy. Nazywa się Georg Frankenberg! To były jego własne słowa. Nie wiedział, co sądzić o takim sformułowaniu. Georga Frankenberga wszyscy – oprócz jego rodziców – nazywali Frankie, nawet żona. Odbierało to przyjacielowi z Kolonii wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Spytał jednak:

– Czy ten mężczyzna miał jakieś imię?

Usłyszała w jego głosie niedowierzanie. Ale wpadkę z samochodem widocznie

przeoczył. I nie sądziła już, żeby chodziło właśnie o Margret. Dawno by jej o tym powiedział wprost. Miał na myśli tylko Georga Frankenberga i nazwiska znajomych, którzy mogliby potwierdzić całą historię. Nie mogła wymienić żadnych nazwisk. Nie mogła ich wygadać nawet przez pomyłkę i w zamieszaniu.

– Próbuję sobie przypomnieć. To było śmieszne imię. W tej chwili nie pamiętam. Jestem bardzo zmęczona.

– A numer telefonu?

– Przykro mi, zapomniałam. Nigdy nie miałam pamięci do numerów.

– Adres?

Wzruszyła ramionami, tłumacząc cicho:

– Nie pamiętam. Może jutro sobie przypomnę, jak nazywali się ci ludzie i gdzie mieszkali. Gdy człowiek na siłę stara się sobie coś przypomnieć, nigdy się nie udaje. Czegoś takiego nie da się wymusić, wie pan.

– Tak, wiem – odparł Rudolf Grovian. – A gdy się kłamie jak z nut, wspomnienia i tak niewiele znaczą. Przyjęła pani zatem zaproszenie tego mężczyzny?

Automatycznie skinęła głową. W jej głowie jakby pękła tama. Beładny chaos obrazów i słów wystrzelił z wyrwy i wirował w jej umyśle. Czwooro ludzi na kocu nad jeziorem. Piosenka. Jabłka z supermarketu i z ogrodu. Historia, którą opowiedziała, i film ukazujący, jak młody mężczyzna i dziewczyna schodzą w dół po schodach.

Zakamarki pamięci wypluwały z siebie kolejne kamienie i ciskały je po okolicy. Matka, ojciec, Magdalena, Horsti, Johnny, Margret i Gereon. Dużo imion. Za dużo. Było wśród nich kilka takich, których nigdy nie słyszała. Śmieszne imiona, Böcki, czyli kozioł, i Tiger, czyli tygrys. Jej twarz skurczyła się, jakby Cora miała się zaraz rozpląkać.

– Nie powinnam tego robić. Frankie nie chciał mieć ze mną nic do czynienia.

– Kim jest Frankie? – spytał szef.

Drgnęła.

– Co?

– Kim jest Frankie? – powtórzył Rudolf Grovian, bardzo się starając zachować neutralny ton. Rzucił Wernerowi Hoßowi triumfalne spojrzenie. Na to czekał. Uważał, że znalazł potwierdzenie. – Powiedziała pani, że Frankie nie chciał mieć z panią nic do czynienia. Kim jest Frankie, pani Bender?

Nie uświadamiała sobie, co powiedziała. Zapomniała, że słyszała to imię nad jeziorem.

– Co powiedziałam? Przykro mi. Naprawdę jestem bardzo zmęczona.

Dotknęła dłonią czoła. Jej wzrok przemknął po biurku, dosięgnął Wenera Hoßa i spoczął na nim, jakby mógł on położyć kres jej męczarni. To była tylko męczarnia. Ta pękająca w szwach głowa. Jak szuflada, do której wciśnięto za dużo rzeczy. Teraz wszystko z niej wypływało.

Nie znalazła tylko małego noża, choć właśnie bardzo go potrzebowała. Powinna wcześniej wszystko posortować. A gdyby tak zrobiła, wiedziałaby, że noża nie było w szufladzie. Leżał na stole, na którym krojono cytryny, widoczny dla każdego, kto wchodził. Tyko ona go nie widziała. Leżała zbyt nisko, a stół był zbyt wysoki. A przed wysokim stołem stał mały, gruby mężczyzna. Na wierzch dłoni wysypał sobie biały

proszek, zlizął go, wypił coś i ugryzł cytrynę.

– Niech pan mu powie, żeby przestał – wyjąkała ze spojrzeniem utkwionym w Wernerze Hoßie. – Niech mu pan powie, żeby mnie teraz zostawił w spokoju, bo zwariuję. Widzę same dziwne rzeczy, takie głupie. Będziecie się strasznie śmiać, jak wam o tym opowiem. – Otrząsnęła się jak pies z mokrą sierścią, opuściła głowę i spojrzała na swoje ręce. – Kiedyś przydarzyło mi się coś głupiego – wyjaśniła. – Nie umiem sobie tego przypomnieć i wcale nie chcę. Odcięłam się od tego. Achim powiedział, że wielu ludzi robi tak z przeżyciami, z którymi nie potrafią sobie poradzić. Budują w umyśle mur i zamykają za nim wszystko, co boli. Achim powiedział, że ten mur trzeba zburzyć i przepracować te rzeczy, inaczej nigdy nie będzie się miało spokoju. Ale dla mnie mur okazał się bardzo dobrym rozwiązaniem. – Skinęła w zamyśleniu, ponownie uniosła głowę i spojrzała na Wenera Hoßa. Zwracając się wyłącznie do niego, mówiła dalej: – Człowiek ma w mózgu niesamowicie dużo miejsca. Do myślenia nie potrzeba nawet połowy, ledwie czterdzieści procent, jak mi się wydaje. Ale możliwe, że jest odwrotnie, i potrzeba sześćdziesięciu. Wiedział pan o tym?

Werner Hoß kiwnął głową.

Uśmiechnęła się melancholijnie.

– To wspaniałe, prawda? Jak strych, na który można zanieść wszystkie graty. Działo to aż do Bożego Narodzenia. Wtedy wróciło. Gdy usłyszałam tę melodię, przeskoczyło przez mur jak wilk ze skrzyni. Może miało to coś wspólnego z narodzinami Zbawiciela. Nie wiem. Zupełnie nie wiem, o co chodzi. Budzę się i nic nie ma. Nie ma prawa być. Rozbiło mi to głowę, wie pan. Wciąż to czuję, gdy mam ten sen. – Bolesny uśmiech znikł. Odetchnęła głęboko i z zapalem opowiadała dalej: – W dzieciństwie już raz mi się to zdarzyło. To był jednak inny sen, zawsze mogłam go sobie przypomnieć. I podobał mi się, lubiłam być zwierzęciem.

Rozdział 6

Tamten sen z wilkiem był straszny. Ale również piękny. Spełniało się moje największe pragnienie. Magdalena zniknęła, i to nie z mojej winy. Matka także nie chciała z nami zostać. Leżała przy pustym wózku. A ojciec niósł wiadro pełne jabłek. Pomyślałam, że już wcześniej musiał wiedzieć, co się zdarzy, inaczej zabrałby warzywa i ziemniaki.

Obudziłam się zupełnie lekka, choć szybko zrozumiałam, że to był tylko sen. Ale to właśnie było takie wspaniałe. Wiedziałam, że jednym z najcięższych grzechów było życzyć komuś śmierci. Za to pewnego dnia czekały człowieka niekończące się męki.

Przez cały czas, mówiła matka, setki małych diabłów będą rozżarzonymi do czerwoności szczypcami wyrywać kawałki ciała – maluteńkie kawałeczki, żeby starczyło na całą wieczność.

Matka pokazała mi obrazki, na których działo się tak z innymi ludźmi. Ale skoro wszystko mi się przyśniło, nie mogłam nic na to poradzić, więc na pewno nie zgrzeszyłam.

Gdy wstałam, nadal czułam się lekka. Miałam przecucie, że to będzie wyjątkowy dzień. Początkowo myślałam nawet, że zdarzy się cud. Cudu nie było, ale wszystko potoczyło się zupełnie inaczej niż zwykle.

Po południu matka musiała wyjść na zakupy. Posłała mnie na górę, żebym popatrzyła na Magdalenę. Jak zwykle stanęłam obok łóżka, myśląc, że śpi. Jednak gdy na dole zamknęły się drzwi, otworzyła oczy i spytała:

– Przeczytasz mi coś?

To był pierwszy raz, gdy Magdalena ze mną rozmawiała. Odzywała się rzadko, najwyżej czasem do matki. Niekiedy wydawało mi się, że wcale nie umie mówić. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

– Jesteś głucha czy nie rozumiesz po niemiecku? – spytała.

– Co mam ci powiedzieć? – odparłam.

– Nic, tylko coś mi przeczytaj – zażądała.

Nie wiedziałam, czy matka by się na to zgodziła.

– To chyba zbyt męczące – powiedziałam.

– Dla mnie czy dla ciebie? – spytała Magdalena. – Wiesz, co myślę? Że wcale nie umiesz czytać.

Byłam zbyt zaskoczona, żeby rozmawiać z nią całkiem normalnie jak z dziećmi na podwórku szkolnym, i bez namysłu odpowiedziałam:

– Czy umiem? Umiem nawet lepiej niż matka. Czytam głośno i wyraźnie, nie pod nosem. I umiem także poprawnie akcentować, tak mówi nauczycielka. Inni nie potrafią tego tak jak ja.

– Uwierzę dopiero wtedy, kiedy coś mi przeczytasz – powiedziała. – A może nie chcesz, bo mnie nie znosisz? Przyznaj śmiało. Wiem, że nikt mnie tu nie znosi. Nie obchodzi mnie to. Ja też nikogo nie znoszę. Jak sądzisz, dlaczego do tej pory się nie odzywałam? Bo nie gadam z idiotami. Oszczędzam oddech dla ludzi, którzy potrafią powiedzieć coś rozsądnego.

Wzięłam ze stolika Biblię, otworzyłam na fragmencie, który matka często czytała, o cudzie, jaki uczynił Zbawiciel, gdy pewien człowiek dotknął Jego szaty. Nie wiem, czy miałam wyrzuty sumienia, bo powiedziała, że jej nie znosimy, czy też chciałam udowodnić, jak dobrze umiem czytać. Być może byłam trochę dumna, że ze mną rozmawia.

Bardzo się starałam. Słuchała z zamkniętymi oczami. Następnie zażądała:

– A teraz przeczytaj o Magdalenie, która obmyła Mu stopy i osuszyła je włosami. Tę opowieść lubię najbardziej.

Gdy skończyłam czytać, powiedziała cicho:

– Ja to mam pecha.

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Wy tłumaczyła:

– No bo u nas nie ma na sobie szaty, tylko kawałek szmatki na brzuchu. Myślisz, że mogłybyśmy Go ubrać? Jeśli wyjmiesz Go z szafy i przyniesiesz, możemy spróbować. Weźmiemy chusteczkę, a potem jej dotknę. Później umyję Mu stopy. Osuszę je włosami. To musi pomóc.

– Twoje włosy są za krótkie – powiedziałam.

Magdalena wzruszyła ramionami.

– Muszę się tylko pochylić. Zawsze chciałam to zrobić. Przyniesiesz Go? A może boisz się, że matka przyłapie cię na schodach?

Nie bałam się matki. Nie chciałam tylko, by Magdalena robiła coś, po czym spodziewała się tak wiele.

– On ci nie pomoże – powiedziałam. – Jest z drewna. A Magdalena z Biblii nie chorowała. Była grzesznicą.

– Potrafię grzeszyć – odparła. – Mam ci powiedzieć brzydkie słowo? – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zrobiła to: – Dupek! Przyniesiesz Go teraz?

Zeszłam na dół. Nagle zrobiło mi się jej ogromnie żal. Sądzę, że tego popołudnia po raz pierwszy zrozumiałam, że moja siostra była normalnym dzieckiem. Bardzo chorym dzieckiem, które w każdej chwili mogło umrzeć i któremu nie było dane żyć tak jak mnie. Umiała jednak mówić jak ja, myśleć jak ja i czuć jak ja.

Przyniosłam krzyż do jej łóżka. Najpierw zrobiłyśmy to za pomocą chustki. Wzięłam jedną od ojca, żeby była wystarczająco duża. Zawiązałam chustkę wokół Jego szyi, a Magdalena potarła ją palcami. Potem przyniosłam z łazienki wodę w kubku do mycia zębów i Magdalena umyła Mu stopy. Przytrzymałam krzyż blisko jej głowy, żeby mogła wytrzeć je włosami. Jego stopy nie były całkiem suche. Nogi także się pomoczyły. Był dość mały. Ale Magdalena nie chciała, żebym wytarła Go chusteczką.

– Wtedy może nie zadziałać – stwierdziła.

Zaniosłam Go na dół. Gdy wróciłam, spytałam, gdzie się nauczyła brzydkich wyrazów.

– W klinice – odparła. – Nie uwierzysz, jakie tam znają odzywki. A gdy myślą, że śpisz, mówią je głośno. Lekarze nie, ale inni ludzie. Wielu chorych ludzi zachowuje się naprawdę okropnie. Leżę najczęściej ze starszymi. Wymyślają całemu światu i klną, po prostu nie chcą umrzeć. – Na chwilę zamilkła, potem powoli mówiła dalej: – Chciałabym już nie musieć jeździć do Eppendorfu. Chociaż czasem jest tam miło, nie tak nudno jak

tu. Są gry. Gdy mogę siedzieć w łóżku, siostra przynosi mi jakąś, przyprowadza kilkoro dzieci i ze mną grają. Matka tego nie lubi. Nie ma jednak odwagi, by to skomentować. Pewnego dnia siostra się z nią posprzeczała. Matka powiedziała, że nie mogę grać, bo powinnam odpoczywać. Siostra odparła: „Pewnego dnia będzie mogła odpoczywać tak długo, aż szernieje. Do tego czasu niech bawi się tyle, ile chce”. Wiesz, zmarli czernieją, a potem mają robaki i gniją. – Nie patrzyła na mnie, gdy to mówiła. Palcem kreśliła koła na prześcieradle i opowiadała dalej: – Była tam raz jedna dziewczyna, miała osiemnaście lat. Wytlumaczyła mi to. Też chorowała na białaczkę, ale leczenie jej nie pomogło. Nie znaleźli dla niej dawcy szpiku. Powiedziała, że nie boi się śmierci. Ale ja tak. – Ciągłe kreśliła koła na prześcieradle. Teraz jednak uniosła głowę i spojrzała mi w twarz. – Nie śmierci – powiedziała. – Śmierć to nic takiego. Może jest lepiej, jak się nie żyje i nic już nie boli. Skoro i tak nic nie działa prawidłowo i nie można się nawet samemu załatwić, to musi być lepiej. Tylko... Nie chcę szernieć. Nie chcę mieć robaków i zgnieć. Wyobrażasz sobie, jakie to wstrętne? Powiedziałam matce, że mają mnie spalić. Wielu ludzi tak robi. To nie kosztuje dużo. Ale matka się nie zgodziła. Proch do prochu, odparła. Zbawiciela także nie spalili.

Ponownie zamilkła i na chwilę zamknęła oczy. Myślałam, że wyczerpała ją długa rozmowa. Tak było, ale koniecznie chciała mi powiedzieć coś jeszcze. Nie miała tylko pewności, czy może mi zaufać.

– To, co ci teraz powiem, możesz równie dobrze powtórzyć matce – zaczęła. – Nienawidzę Go! Mam nadzieję, że zgnije tam, gdzie zmoczyły Mu się stopy. Drewno gnije, gdy zmoknie. Dlatego chciałam Go umyć. Tylko dlatego. Nie myśl, że wierzę, że uleczy moje serce. Takie bzdury opowiadają człowiekowi, żeby trzymał gębę na kłódkę i robił to, czego chcą. Ale ja nie mam już ochoty. Powtórzysz matce?

Pokręciłam głową.

– Jesteśmy więc teraz przyjaciółkami? – spytała.

– Jesteśmy siostrami – odparłam. – To więcej niż przyjaciółki.

– Wcale nie – zaprzeczyła. – Przyjaciółki lubią się zawsze, a siostry czasem nie.

– Ja cię lubię – powiedziałam.

Skrzywiła twarz, wyglądało to prawie jak uśmiech, ale tylko prawie. Sądzę, że dokładnie zdawała sobie sprawę z mojego kłamstwa. Ale w tamtej chwili naprawdę ją lubiłam. Powiedziałam jej o tym, a ona spytała:

– Myślisz, że mogłybyśmy się razem bawić?

– Nie wiem. A w co?

– Znasz taką grę: widzę coś, czego ty nie widzisz? Nie trzeba się przy niej wysilać.

Można grać, leżąc w łóżku.

Wytlumaczyła mi zasady i grałyśmy przez jakiś czas. W sypialni nie było wielu rzeczy, które można by widzieć. Szybko się znudziłyśmy. Wszystko wymieniliśmy już po trzy razy, gdy Magdalena zaproponowała:

– Możemy także spróbować gry w życzenia, sama ją wymyśliłam. Jest łatwa. Trzeba tylko mówić, co by się chciało mieć. Ale z rzeczy, które da się kupić. I trzeba wyliczyć, co by się z tym zrobiło. Najlepiej ja zacznę, to zobaczysz, o co chodzi.

Najpierw życzyła sobie telewizora. Widziała go w klinice. Niektórzy ludzie mieli

takie urządzenia w pokojach. Chciała od rana do wieczora oglądać telewizję. Poza tym pragnęła mieć radio i adapter oraz wiele płyt.

– Ale stereo! – powiedziała. – Lubię muzykę, prawdziwą muzykę. Nie taką, gdzie śpiewa tylko jedna osoba.

– Mam spytać ojca, czy kupi radio? Są teraz takie małe, łatwo można je schować. Magdalena pokręciła głową.

– To nic nie da. Nawet jeśli kupi, gdzie miałabym je schować? Zanim się zorientujemy, matka je spali. Poza tym wątpię, żeby kupił radio. Tobie może tak, ale mnie nie. Palcem dla mnie nie ruszy. Chciałby, żeby umarła.

– To nieprawda! – powiedziałam.

– Prawda – zaprzeczyła. – Jak umrę, będzie mógł sypiać z matką. Wszyscy mężczyźni śpią ze swoimi żonami. Lubią to. Słyszałam w klinice. Jakiś mężczyzna pytał lekarza, kiedy jego żona wróci do domu i czy od razu będzie mógł z nią spać. Ona miała zawał serca. Lekarz powiedział, że to jeszcze trochę potrwa. Mężczyzna był bardzo rozczarowany. Ojciec też jest. Dlatego tak się zachowuje, po prostu nie do zniesienia.

Miała sporo racji. Czasami ojciec naprawdę bywał nieznośny. Nie w stosunku do mnie lub do niej, tylko do matki. Krzyczał, gdy wieczorem podawała mu jedzenie. Kiedyś rzucił w jej kierunku talerz z zupą.

– Możesz zanieść to żarcie do salonu. Pan nie ma wielkich wymagań. Ale ja za swoje pieniądze chcę dostawać do jedzenia coś porządnego.

Potem wybiegł i zamknął się w łazience. Gdy później zapukałam do drzwi, bo musiałam się załatwić, zawołał:

– Idź się wysuszać w ogrodzie! Nie mogę teraz otworzyć. Właśnie wrywam sobie ogon. To może jeszcze potrwać. Cholernie mocno się trzyma.

Mimo wszystko lubiłam go. Magdalенę też, zwłaszcza tego popołudnia. Nie chciałam, żeby szerniała ani żeby zjadły ją robaki. Na myśl o tym czułam podobne obrzydzenie co ona. Wciąż pamiętam, że uznałam, iż najlepiej byłoby dla niej, gdyby spełnił się mój sen. Cała naraz połknięta przez wielkiego wilka – stałoby się to szybko i być może nie bolałoby zbyt mocno.

Tamtej nocy sen powrócił. Był trochę inny niż za pierwszym razem. Gdy wilk pożarł Magdalенę, powoli podszedł do mnie. Nie pobiegł z powrotem do skrzyni tak jak poprzednio. Stanął przede mną i spojrzał mi w oczy. Z pyska kapłała mu krew Magdaleny. Przycisnął łeb do mojego brzucha. Pomyślałam, że teraz mnie także zje. Ale wyglądało raczej na to, że chciał się łąsić.

Potem stało się coś dziwnego. Jego pysk zniknął w moim brzuchu. W ogóle nie poczułam bólu. Także wtedy, gdy reszta wilka znalazła się we mnie. Nogi, łapy, całe ciało, a na końcu gruby ogon. Mój brzuch był w całkowitym porządku. Żadnej dziury. Wtedy zrozumiałam.

Kilka tygodni wcześniej na podwórku szkolnym usłyszałam dwie dziewczynki rozmawiające o mężczyźnie, który w nocy zamieniał się w wilka i pożerał ludzi. W ciągu dnia był całkiem normalnym człowiekiem. Bardzo się starał zachowywać wobec innych miło i serdecznie i być pomocny. Wszyscy go lubili. Strasznie cierpiał z tego powodu, że jest zły i co noc zamienia się w bestię. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Po prostu tak

się działo.

Ze mną musiało być podobnie, a ojciec wiedział o tym już od dawna. Stał obok mnie na ulicy, widział wszystko i był bardzo poważny.

– Nie martw się – powiedział. – Ode mnie nikt się nie dowie. Wiedziałem, że kiedyś do tego dojdzie. Pamiętasz, jak w twoje urodziny powiedziałem ci, że musisz być głodna jak wilk? Spodziewałem się, że zmienisz się w dzikie zwierzę i zabijesz ją, zanim odbierze ci życie.

W tym momencie się obudziłam. Czułam się silna i potężna jak bestia, o której opowiadały dziewczynki na podwórku. Po paru chwilach stwierdziłam, że mam mokro w łóżku. Zmoczyłam się i byłam tak zawstydzona, że zaczęłam płakać. Ojciec obudził się, przyszedł do mnie, dotknął prześcieradła i powiedział:

– To nic takiego, Cora. Każdemu może się zdarzyć.

Koszulę nocną i bieliznę także miałam mokrą. Ojciec pomógł mi wszystko zdjąć. Potem pozwolił mi położyć się w jego łóżku, bo w pokoju było bardzo zimno.

Przez pewien czas Rudolf Grovian czuł się oszukany. Nie miał pojęcia, jak ocenić zachowanie Cory Bender. Werner Hoß także zdawał się tego nie wiedzieć i jak zaczarowany wpatrywał się w jej usta.

Ze spuszczonego spojrzeniem i drżącymi ustami plotła o murze w swojej głowie i zwierzęciu w brzuchu, najpierw o raku z ostrymi szczypcami, potem o wilku, który pożerał dzieci, a następnie wdzierał się w nie. Wilk wchodził do brzucha dziecka. Ale to nie bolało. Nie miało prawa boleć, bo dziecko samo było zwierzęciem. To było okropne dziecko. Moczyło łóżko, by spać z ojcem. Zakłuło Zbawiciela, bo nie chciał zgnić. Sześć lub siedem razy ugodziło Go nożem do obierania cytryn! A Zbawiciel patrzył na dziecko. Powiedział:

– Oto moja krew przelana za twoje grzechy.

I wraz z Jego krwią rozmazaną na twarzy dziecko stało się wolne, wyzwolone od przekleństwa, które rzucił archanioł.

Z krwią Zbawiciela na piersiach i brzuchu dziecko zrozumiało, że Johnny nigdy nie był aniołem. Jego kolega nazywał go Böcki, czyli kozioł. Był szatanem. Przez węża przywiódł niewiastę na pokuszenie. A gdy leżała na podłodze, nadszedł Tiger, tygrys. W brzuchu niewiasty nie było już dla niego miejsca. Wepchnął więc swój ogon w jej usta. Gdy go ugryzła, uderzył.

Miał kryształowe łapy, w których paliło się kolorowe światło. Potem nadeszła ciemność, wielkie zapomnienie. Zapomnienie oznaczało śmierć. Śmierć była snem. A sen znajdował się za murem w umyśle. Wszystko było bardzo proste, jeśli się o tym wiedziało.

Teraz wiedziała. Teraz widziała wszystko i dostrzegała związki. Wiedziała nawet, dlaczego było tak straszne, gdy Gereon przedtem palił papierosa. To popielniczka zgasła światło i zaczarowała piosenkę.

Mówiła zbyt cicho, by jej głos nagrał się na taśmie. Siedzący bliżej Rudolf Grovian rozumiał ją mimo to i czuł się paskudnie, bezradny, niepewny, przytłoczony i wściekły. Był przekonany, że odstawia pokaz szaleństwa, by osiągnąć swój cel i mieć wreszcie spokój. Brakowało mu jednak stuprocentowej pewności.

Oto moja krew, pomyślał i: Ojczy, przebacz jej! Miał ochotę zakląć. Zbawiciel i nóż do cytryn. Szatan w postaci kochanka. Religijny obłąd! Jeśli mówiła prawdę o swoim dzieciństwie, należało wziąć pod uwagę to, a także znacznie więcej. Nikt nie mógłby się dziwić, gdyby później stwierdziła, że Anioł Pański rozkazał jej zabijać mężczyzn publicznie całujących swoje żony.

Uniósł dłoń, chcąc dać Hoßowi znak, że przerywa przesłuchanie. Cora jednak otrząsnęła się, wyprostowała na krześle i powiedziała spokojnym, głośniejszym już tonem:

– Przepraszam. Trochę się rozkojarzyłam. Ostatnio mówiliśmy o Frankiem, prawda? Jego imię brzmiało Frankie! Nie wiedziałam, skąd je znam. Ale właśnie sobie przypominałam. Mężczyzna z Kolonii go tak nazywał. – Skinęła głową, jakby samej sobie na potwierdzenie, po czym z nieco większym zapalem ciągnęła dalej: – Teraz przypominam sobie też, jak nazywali się jego znajomi. Nie ci z Kolonii, ich nazwisk naprawdę nie pamiętam, ale dwaj inni, którzy byli razem z nami w piwnicy. Oczywiście nie wiem, jak się nazywali naprawdę. Tylko tyle, że mówili o sobie Böcki, czyli kozioł, i Tiger, czyli tygrys. – Zaśmiała się cicho, zakłopotana wzruszyła ramionami i wyjaśniła: – Brzmi głupio, wiem. Ale tak to usłyszałam. W Kolonii, gdy Frankie i ten mężczyzna o nich rozmawiali.

Rudolf Grovian nie pojmował, co się dzieje, i nie wiedział, co ma o tym myśleć. Znowu była w pełni obecna. Ta ostatnia zmiana niweczyła podejrzenie o udawane szaleństwo. Jaki mogła mieć powód, aby przerwać przedstawienie? A zatem utrata równowagi psychicznej. I to prawdopodobnie już druga tego dnia. Za pierwszym razem dodatkowo zachwiała się jej ręka z nożem.

Nie potrafił jej przerwać, nie wiedział, w co powinien lub może wierzyć. Opanowanym tonem opowiadała o kilku dniach spędzonych w Kolonii. O desperackiej próbie odzyskania Horstiego *alias* Johnny’ego tudzież Georga lub Frankiego. Jak ją odtrącił, chłodno i bez cienia litości. Jak pomogło jej owo znajome młode małżeństwo. Naprawdę mili ludzie, bardzo wyrozumiali, wzruszająco troskliwi. Rano na pewno przypomni sobie ich nazwisko. Dzisiaj kiepsko jej szło z nazwiskami, co było chyba dość zrozumiałe po tak okropnym dniu.

Kilka minut po północy zadzwonił telefon na biurku. Przy pierwszym sygnale wzdrygnęli się wszyscy troje. Ciągle jeszcze mówiła, przerwała w połowie zdania. Werner Hoß z widoczną ulgą podniósł słuchawkę, powiedział krótko:

– Tak.

Słuchał kilka chwil, po czym rzucił Rudolfowi Grovianowi znaczące spojrzenie.

Przerwa przyniosła Corze ulgę. Przyglądała się, jak szef chwyta słuchawkę. Krótka chwila wytchnienia, by uporządkować wszystkie fragmenty. W jej umyśle panował chaos. Mur pękł. W niektórych miejscach widać już było szerokie rysy, a przez nie zaczynało coś prześwitywać. Za murem były biały hol z małymi zielonymi kamykami w podłodze, schody i obraz z plam. Ale stanowiło to ledwie przygrzywkę. Na końcu schodów znajdowało się pomieszczenie, w którym migotało kolorowe światło.

Nie wpadła tam, spojrzała tam jednak i dostrzegła biały proszek na wierzchu dłoni. I zęby wgrzyzające się w cytrynę. Kryształowe łapy. Böckiego i Tigera. To było straszne,

a zarazem komiczne. Dziwne, że szef się nie zaśmiał.

Skulona ze strachu i niepokoju obserwowała jego twarz. Początkowo przemknął przez nią wyraz zdumienia, a potem satysfakcji.

– Niekoniecznie – powiedział. – Wystarczy, jeśli przyjdzie pani rano. O dziesiątej? – Słuchał dalej, nawet się uśmiechnął. – Tak, dobrze, skoro pani nalega. To nie będzie moja pierwsza nieprzespana noc.

Gdy odłożył słuchawkę, skinął znacząco i jakby przepraszająco do mężczyzny w dresie, a potem w jej kierunku. W jego uśmiechu kryło się współczucie. Wskazał na telefon.

– Młode małżeństwo? – spytał. – Przyjaciele Georga Frankenberga? – Westchnął i powiedział przeciągle: – Pani Bender! – Potem kontynuował z ojcowską protekcjonalnością: – Dlaczego nie powiedziała nam pani po prostu, że pani ciotka mieszka w Kolonii? W grudniu przed pięcioma laty uciekła pani do niej. Nie było żadnego młodego małżeństwa. Pani ciotka właśnie dzwoniła, pani Bender.

Potrząsnęła głową. Lepiej, gdyby to zostawiła. Poczowała, jak odrywają się kolejne fragmenty muru i jak potyka się o nie, przewraca i spada kilka stopni niżej. Nie mogła się zatrzymać. Starła się, co prawda, czepiała się Margret i krzyczała:

– Nie! To nieprawda! Moja ciotka nie ma z tym nic wspólnego. Nigdy nie miała ze mną nic wspólnego. Właśnie sobie przypominałam, jak nazywali się ci ludzie, kobieta miała na imię Alice. A mężczyzna... niech pan poczeka, zaraz sobie przypomnę. Nazywał się... Był... Cholera, cholera jasna... gdzie to mi umknęło? Przed chwilą jeszcze wiedziałam. On... On chciał się usamodzielnic, otworzyć własną praktykę, opowiadał mi o tym.

Cholera, pomyślał również Rudolf Grovian. To się do niczego nie nadawało. Winfried Meilhofer i Alice Winger, jezioro! A ona krzyczała dalej:

– Czego miałabym szukać u ciotki? Naprawdę uważa pan, że zadzwoniłam do kobiety, którą ledwo znałam, by prosić ją o pomoc?

– Tak – odparł, w jego głosie słyhać było rozczarowanie i frustrację. – I nie tylko ja tak uważam. Pani ciotka właśnie mi to wyjaśniła. A zatem nasuwa się pytanie, gdzie naprawdę usłyszała pani imiona Frankie, Böcki i Tiger. Nie u mężczyzny w Kolonii. Podśluchała je pani dziś po południu nad jeziorem, mam rację?

Popatrzyła na niego skoncentrowana, marszcząc czoło. Wydawało się, że usilnie zastanawia się nad odpowiedzią. Wszystko stało pod znakiem zapytania, wszystkie kwestie ponownie były otwarte. Jak idiota dał się nabrać na jej sztuczki! I to dlaczego, do cholery? Ponieważ opowiedziała mu dokładnie to, co od początku uznał za jedyne racjonalne wytłumaczenie: wzruszającą historię miłosną z tragicznym zakończeniem. Westchnął i machnął ręką.

– Kończymy na dziś.

– Nie! – odpowiedziała. Widział, że ledwie trzymała się na krześle. Obiema rękami obejmowała oparcie. – Jeszcze raz nie dam rady. Załatwmy to dziś do końca.

– Nie – odparł bardzo zdecydowanie. – Mam dość na dzisiaj. Zadzwonię do kolegów. Przenocuje pani pod ich opieką. Trochę snu dobrze pani zrobi. Powiedziała pani przecież, że jest bardzo zmęczona.

– Tylko tak mówiłam. Wcale nie jestem zmęczona – zapewniła i zapytała szybko: – Czego chciała Margret? Dlaczego dzwoniła?

– Chce z nami porozmawiać – powiedział i uznał, iż już najwyższy czas, by pomówić z kimś z rodziny. – Jest to dla niej tak ważne, że nie chciała czekać do rana. Przyjdzie tu.

– Musi ją pan odesłać z powrotem – zażądała błagalnie. – Z Margret zmarnuje pan tylko czas. Ona nic panu nie powie. Nikt tego nie zrobi oprócz mnie.

Rudolf Grovian uśmiechnął się ponuro.

– Sądzę, że na dziś powiedziała pani wystarczająco dużo. Potrzeba nam trzech dni, żeby to uporządkować. Zobaczmy, czy pani ciotka nam w tym pomoże.

Ponownie pokręciła głową, tym razem nieco energiczniej. I spadła jeszcze kilka stopni w dół.

– Nie zrobi tego! Nigdy niczego jej nie opowiadałam. Nikomu nic nie powiedziałam. Za bardzo się wstydziłam. Nie ma pan prawa zadawać pytań Margret. Mówię panu przecież, że ona nic nie wie. – Poderwała się z krzesła, ale wiele to nie pomogło. Ciało się uniosło, umysł nie. Ześliznął się ostatnie kilka stopni i zanurzył w migające światło. Zamrugła gwałtownie, błagając: – Niech pan zostawi Margret w spokoju, proszę. Nie zrobiła nic złego. Nikt nie zrobił oprócz mnie. Jestem morderczynią, niech mi pan wierzy. Zabiłam niewinne dziecko. To prawda. I Frankiego! Jego oczywiście też. Ale musiałam go zabić, bo on... – Zaczęła się jąkać, chaotycznie i bezradnie gestykulowała rękami, jak gdyby mogła w ten sposób podkreślić prawdziwość swoich słów i zmusić rozmówcę, by poświęcił jej jeszcze kilka minut. – On... On nie wiedział, jak ma to zrobić. Powiedziałam mu, że musi uważać. Nie słuchał mnie. Mówiłam, że musi przestać. Nie zwracał na to uwagi. Wie pan, co zrobił?

Oczywiście Rudolf Grovian tego nie wiedział, ale mógł sobie żywo wyobrazić. Najwyraźniej swoją paplaniną znowu próbowała skierować go na ciężę i poronienie. Jednak dalszy ciąg do tego nie pasował.

– Rzucił się na nią – wydyszała bez tchu, gwałtownie mrugając. – Pocałował. I bił ją. Na zmianę całował i bił. Krzyczał przy tym: „Amen! Amen! Amen!”. To on zwariował, ja nie. Tak długo ją bił, aż umarła. Słyszałam, jak pękają jej żebra. To było straszne, takie potworne. Chciałam jej pomóc, ale mnie przytrzymali. Jeden leżał na mnie, drugi trzymał mi głowę i wsadzał swój interes w usta. Ugryzłam go i...

Światło błysnęło raz jeszcze, zanim zgasło. Nie wiedziała, co było dalej. Szef wpatrywał się w nią. Mężczyzna w dresie zerwał się i dwoma susami znalazł się przy drzwiach. Opuścił pokój. Magnetofon nadal był włączony, nagrał każde jej dotychczasowe słowo, zapisał także następne:

– Niech go pan zawoła z powrotem! – krzyknęła. – Nikt teraz nie może wyjść. Niech mnie pan nie zostawia samej. Proszę! Nie wytrzymam tego. Niech mi pan pomoże! Na miłość boską, niech mi pan pomoże. Niech mnie pan stąd wyciągnie. Nie mogę być w piwnicy. Nic już nie widzę. Niech pan zapali światło. Niech mi pan pomoże!

Wszystko się zamazało. Szef tylko stał bez ruchu. Powinien coś zrobić. Cokolwiek. Wziąć ją za ramię, przytrzymać za rękę, zaprowadzić z powrotem na schody. Albo przynajmniej znowu zapalić światło, żeby sama mogła je znaleźć. Było tak ciemno, tylko

kilka zielonych, niebieskich, czerwonych i żółtych błysków przebiegło jeszcze przez pokój, rozrywając ciemność.

– Puście! – wydyszała. – Zejdź z niej, zostaw ją w spokoju. Przestańcie! Przestańcie, świnię! Puście mnie!

Rudolf Grovian nie potrafił zareagować, był zbyt zszokowany tym, co do niego dotarło. Teraz jej krzyki dotyczyły gwałtu, a te poprzednie – morderstwa. Wymieniła też drugą dziewczynę, na tyle głupią, by przyłączyć się do całej grupy. Najwyraźniej nie zmyśliła tego, choć przez chwilę tak sądził.

Zobaczył, jak jedną ręką wymachuje w okolicach bioder, a drugą przed swoją twarzą, jakby chciała coś odepchnąć. Dusił się. Bez wątpienia właśnie jeszcze raz przeżywała to, co próbowała mu wytłumaczyć.

Zobaczył, jak uniosła rękę, jakby chciała się przed czymś zasłonić. Jak obiema dłońmi złapała się za głowę, krzycząc:

– Nie!

Zachwiała się, zdawało się, że jej wykrzywiona, opuchnięta twarz nagle usnęła. Nie znalazł się przy niej dość szybko. To były tylko dwa kroki, mimo to zanim zbliżył się do niej, aby zapobiec upadkowi, już leżała na podłodze.

Stało się to zbyt nagle. W pierwszej chwili w ogóle nie potrafił zareagować. Potem uderzył się pięścią w udo. Najchętniej walnąłby się też w głowę, kopnął się w tyłek, gdyby tylko mógł. Spełniał się jego koszmar. Nie wezwał pomocy medycznej, mimo obrażeń na jej twarzy, mimo wypowiedzi młodego lekarza: „Myślałem, że pobije ją na śmierć”.

Krwotok w mózgu, przemknęło mu przez myśl. Ukląkł i uniósł jej głowę. Nie zdawał sobie sprawy, że szepcze:

– No dalej, dziewczyno, wstań. Nie rób mi tego. No dalej. Dalej! Przecież dobrze się czułaś.

Na jej czole ukazała się duża czerwona plama. Drżącymi palcami odsunął jej włosy, szukając dalszych obrażeń, choć wiedział, że gołym okiem i tak nie dostrzeże najpoważniejszych.

Zobaczył jednak wgniecenie w czaszce i poszarpaną białą linię tuż przy włosach. Cora oddychała płytko, ale regularnie. Grovian uniósł jej lewą powiekę dokładnie w chwili, gdy Werner Hoß wkroczył do pokoju, a tuż za nim dwóch kolegów, którzy mieli ją zabrać do aresztu na resztę nocy. Hoß natychmiast chwycił za telefon.

– Po prostu nagle odleciała – powiedział bezradnie Rudolf Grovian. – Zbyt późno zareagowałem.

Po dziesięciu minutach przybył wezwany przez Wenera Hoßa lekarz. Dla Rudolfa Groviana były to okropne chwile. Cora, co prawda, doszła do siebie, zanim jeszcze Hoß odłożył słuchawkę, wydawało się jednak, że nie została w niej ani jedna iskra życia. Niczym szmaciana lalka dała się podnieść z ziemi i posadzić na krześle. Ale gdy tylko chciał położyć jej dłoń na ramieniu lub coś powiedzieć, słabo wymachiwała rękoma w jego stronę i jęczała:

– Niech pan sobie idzie. Dlaczego pan nie przestał? Dlaczego mi pan nie pomógł? To wszystko pana wina.

Potem zwróciła się do Berrenratha, prosząc:

– Może go pan wyrzucić? Przez niego wariuję. Zburzył mój mur. Nie wytrzymam tego.

Rudolf Grovian uznał, że musi opuścić pokój, by się uspokoiła. Werner Hoß wyszedł za nim na korytarz, chrząknął kilka razy, zanim spytał:

– Jak to się stało?

– A jak się miało stać? – syknął Rudolf Grovian. – Przecież powiedziała. Nie przestałem i zburzyłem jej mur.

Hoß odczekał parę sekund, po czym spytał:

– I co pan sądzi o jej historii?

– Jeszcze nie wiem. W każdym razie nie wyszała jej z palca. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby ktoś lądował na podłodze podczas opowiadania bujdy.

– Ja też nie – odparł Hoß niespokojnie. – Choć przysięgłbym, że przez cały czas nas okłamywała.

Pojawienie się lekarza uchroniło Rudolfa Groviana od odpowiedzi. We trzech weszli do pokoju. Siedziała na krześle tak jak wcześniej. Berrenrath stał obok i położył jej dłoń na ramieniu. Nie było wiadomo, czy chciał ją w ten sposób pocieszyć, czy wesprzeć.

Jednak najwyraźniej nie potrzebowała już oparcia. Ledwo zauważyła nowo przybyłego, cała jej apatia wyparowała i zaczęła głośno protestować przeciwko obecności konowała. Jej głos brzmiał tępo z powodu oszołomienia i zdezorientowania, ale czuła się dobrze, czuła się świetnie. Nie bolała jej głowa ani nic innego. Na pewno nie potrzebowała zastrzyku.

Lekarz sprawdził jej odruchy i po dłuższym spoglądaniu w źrenice stwierdził zwykle osłabienie. Bardzo łagodnie tłumaczył jej, że zastrzyk mógłby pomóc. Tylko coś dla poprawy krążenia, nieszkodliwy środek wzmacniający, który postawi ją na nogi.

Zaśmiała się histerycznie, skrzyżowała ramiona na piersiach i położyła dłonie na talii.

– Niech pan sobie daruje te gadki. Wiem, czego pan ode mnie chce. Dostać się do moich ramion.

Potem zniemacka wyciągnęła ręce przed siebie.

– Proszę, niech się pan obsłuży. Niech pan poszuka żyły, jeśli pan potrafi. Chce pan pobrać krew? Lepiej niech pan to zrobi, bo inaczej będą same problemy. Kto wie, co łyknęłam dziś rano.

Lekarz poklepał ją przez chwilę po wewnętrznej stronie ramion, a w końcu zdecydował się na wierzch dłoni. Zrobił uwagę o twardej skórze, starych bliznach i powiedział, że jeszcze nigdy nie widział takich śladów.

Rudolf Grovian słyszał to, czuł jednak taką ulgę z powodu jej reakcji, że nie wyciągnął wniosków od razu. Pół godziny później zasiadł naprzeciw jej ciotki.

Dla Margret Rosch była to zacięta walka. Chciała zostać, uparta, mimo że właściwie chodziło o sprawę, o której nie miała ochoty słuchać. Nie dać się zbyć, choć było to kuszące. Próbować do skutku, dopóki wreszcie nie ustanowiono połączenia.

Nalegała, by zobaczyć bratanicę. Rudolf Grovian obiecał jej to później. W tej

chwili Cora Bender leżała w jednym z sąsiednich pomieszczeń. Byli jeszcze przy niej lekarz i Berrenrath, o którego obecność prosiła: „Zakładam, że jeden z panów musi mnie pilnować. Czy byłby pan tak miły i przejął wartę? W całej tej zgrai wygląda pan na porządnego człowieka”.

Werner Hoß ponownie zaparzył kawę. Dwie filiżanki Rudolf Grovian zabrał do biura, do którego zaprowadził Margret Rosch. Zrobiła na nim wrażenie zdezorientowanej i zdenerwowanej, ale mimo to rezolutnej osoby. Atrakcyjna, po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, silna sylwetka. Gęste włosy w kolorze takim samym jak u bratanicy, rudobrazowe. Twarz wskazywała na pokrewieństwo.

Na najważniejsze pytanie, czy u bratanicy występowały kiedyś objawy zaburzeń psychicznych, pomieszania zmysłów lub podobne, Margret Rosch zdecydowanie pokręciła głową. I zanim podała dalsze informacje, sama kilku zażądała.

Nie było powodu ukrywać faktów. W paru krótkich zdaniach Grovian nakreślił obraz sytuacji. Słuchała z niewzruszonym wyrazem twarzy. Gdy skończył, udzieliła pierwszych odpowiedzi.

Imię i nazwisko Georg Frankenberg nic jej nie mówiło. Horsti i Frankie wywołały jedynie wzruszenie ramion. Za to Johnny był jej znany. Cora raz opowiadała o nim i opisała go wtedy jako archanioła z raju, z którego Bóg wygnał ludzi. „A wtedy otworzyły im się obojgu oczy i poznali, że są nadzy”.

Kolega nazywał go Böcki, pomyślał Rudolf Grovian, był szatanem, przez węża przywiódł niewiastę na pokuszenie. A potem nadszedł Tiger. Miał kryształowe łapy.

Oczywiście brzmiało to jak opowieść szaleńca. Jednak na własne oczy widział wgniecenie i bliznę na czole Cory. Wspominała także o popielniczce. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by się domyślić, co stało się w owej piwnicy. A ten, kto by spędzić wieczór w dyskotecie, musiał powoływać się na Boskie oko pod gołym niebem, ten zapewne także gorzkie doświadczenia ubierał w biblijne cytaty.

Ciotka nie wiedziała, czy na Johnny’ego mówiono Guitar, czy też Saxophon, kiedy Cora go poznała, ani co dokładnie się między nimi wydarzyło. Jednak pośrednio potwierdziła cały ten bełkot tak samo jak dobrze zrozumiała fragmenty.

Stało się to przed pięcioma laty. W maju do Margret Rosch zadzwonił brat. Martwił się o córkę, podejrzewał, że wpadła w złe towarzystwo.

– Nie potraktowałam go poważnie – powiedziała Margret Rosch. – W domu, w którym telewizor traktuje się jak narzędzie diabła, każdy młody mężczyzna stanowi złe towarzystwo.

Wy tłumaczyła, że obawy brata okazały się jednak bardziej uzasadnione, niż z początku sądziła. W sierpniu Cora zniknęła i na trzy miesiące zapadła się pod ziemię. Dopiero w listopadzie do Wilhelma zgłosił się pewien lekarz.

Zgodnie z jego słowami Corę odnaleziono kilka tygodni wcześniej gdzieś na poboczu drogi. Była w okropnym stanie i do tej pory nie odzyskała przytomności. Potem powiedziała, że skoczyła pod samochód. Lekarz na podstawie obrażeń podejrzewał jednak, że raczej została wyrzucona z jadącego auta.

Rudolf Grovian poczuł ulgę. Cała reszta opowiedziana przez Margret Rosch także pasowała do całości. Wspomniała o traumie. Cokolwiek przydarzyło się Corze, bratanica

nie umiała o tym mówić. Próbę samobójczą można było zatem włożyć między bajki, ciężę prawdopodobnie też. Spróbował upewnić się co do tego.

– Pani bratanica wielokrotnie powtarzała, że zabiła niewinne dziecko.

Margret Rosch zaśmiała się nerwowo.

– Na pewno nie. Nie miała dziecka.

– Myślę raczej o ciąży – odparł.

– Ma pan na myśli aborcję? – Margret Rosch potrząsnęła głową. – Nie umiem sobie tego wyobrazić. Nie w przypadku Cory.

– Mogło to być poronienie – powiedział. – Jeśli znęcano się nad nią, nie byłoby w tym nic dziwnego. Czy zna pani nazwisko lekarza, który wtedy zajmował się pani bratanicą?

– Nie, nie wiem też, w jakim szpitalu ją leczono.

– Powiedziała, że nie trafiła do szpitala...

Margret Rosch zaśmiała się ponuro i przerwała mu.

– Powiedziała! Niech pan nie pyta Cory. Zupełnie wymazała to ze świadomości.

Wie pan, czym jest trauma?

Pomyślał o murze w umyśle, który naruszył swoimi pytaniami, i krótko skinął głową. A Margret Rosch stwierdziła:

– Dobrze, to niech pan spyta własny rozum. Znam mnóstwo lekarzy, dobrych lekarzy. Żaden z nich nie podniósłby ciężko rannej, nieprzytomnej dziewczyny z pobocza i nie zabrał do domu. To by było nieodpowiedzialne. Nie wiem, dlaczego tak panu powiedziała. Może chciała, żeby ktoś znalazł się przy niej. Ktoś, kto naprawdę by się o nią zatroszczył. W życiu zawsze mogła liczyć wyłącznie na siebie.

Brzmiało to logicznie. Następne pytanie. Nie zapomniał uwagi lekarza i pokłutych ramion.

– Czy pani bratanica miała kiedyś do czynienia z narkotykami?

Minęło parę sekund, zanim Margret Rosch, ociągając się, skinęła głową.

– Z heroiną, ale krótko. Musiało to być w tamtym okresie. Przypuszczam, że Johnny podawał jej narkotyki, żeby była mu uległa. Sama na pewno nic sobie nie wstrzykiwała. Nie wiedziała, jak się to robi. – Margret Rosch westchnęła. – Gdy do mnie przyjechała, była w tragicznym stanie. Twierdziła, że na skutek odwyku, ale nie miało to z nim nic wspólnego. Śniły się jej straszne koszmary. Zawsze tuż przed drugą w nocy. Jak w zegarku. Regularnie podawałam jej resedorm. Równie dobrze mogła brać cukier gronowy. Punktualnie za pięć druga siedziała na kanapie, wymachiwała rękoma i krzyczała wniebogłosy: „Przestańcie! Przestańcie, świnie!”. Nie można jej było dobudzić. Gdy do niej mówiłam, bełkotała coś o piwnicy, robakach, tygrysach i kozłach.

Rudolf Grovian słuchał z zainteresowaniem i czuł, jak kolejne kamienie spadają mu z serca. Böcki i Tiger, nie wymienił tych imion przy jej ciotce. Doprowadzić młodą kobietę pytaniami na skraj szaleństwa to jedno, a doprowadzić ją pytaniami do punktu, w którym wróciły wspomnienia i dostarczyły wreszcie motywu zbrodni, to drugie.

– Wiele razy prosiłam, by poszła do lekarza – ciągnęła ciotka. – Odmawiała, a nie chciałam jej zmuszać. Ale pilnie potrzebowała pomocy. W końcu zaczęłam jej dodawać psychotropy do jedzenia. Po paru miesiącach stan Cory się poprawił. Przesypiała całe

noce i również fizycznie poczuła się lepiej. – Margret Rosch milczała przez kilka chwil, po czym spytała: – Nie dowie się o tym, co panu tu powiedziałam? Jeśli pan jej powtórzy informację o heroinie, Cora zamknie się całkowicie. Mogę zaręczyć. Dla niej najważniejsze jest zachowanie tego w tajemnicy. Najlepiej byłoby, gdyby pan w ogóle o niczym nie wspominał. Nie ma przecież potrzeby, żeby jeszcze raz jej to wypominać. To było dawno temu. Opowiedziała już panu mnóstwo rzeczy, pewnie początek całej historii. Johnny nie od razu zachowywał się jak zwierzę. Może uda mi się nakłonić ją, by opowiedziała panu także zakończenie. Nie wiem, ile i czy w ogóle cokolwiek pamięta. Ale warto spróbować. Pozwoli mi pan z nią porozmawiać?

Skinął głową, ponownie poprosił, by jeszcze z tym poczekała, i powoli posuwał się dalej w rozmowie. Dom rodzinny, dzieciństwo. Chciał tylko potwierdzenia historii o fanatycznie religijnej matce i ojcu, który nie potrafił sprzeciwić się szaleństwu. A być może czegoś jeszcze, związanego z jego ukrytymi podejrzeniami. Wykorzystywanie seksualne?

Ale ledwie zadał pierwsze pytania o dzieciństwo Cory Bender, w jej ciotce zaszła dziwna zmiana. Gotowość do współpracy i zapal z jej strony przekroczyły jego oczekiwania.

– Nie mogę wiele powiedzieć na ten temat. Nie utrzymywałam bliskich kontaktów z rodziną brata. Nie potrafiłam zapobiec szaleństwu szwagierki. Gdy ich odwiedzałam, Cora robiła na mnie wrażenie normalnego dziecka. Szwagierka nie zostawiała jej wiele swobody. Ale Corze udawało się przeciwstawić matce. Inne dziecko załamałoby się pod ciągłym naciskiem, ale Cora... jak mam to ująć? Dorastała na tym. Zawsze była bardzo dojrzała jak na swój wiek, rozsądna i odpowiedzialna. Wcześniej zaczęła wykonywać domowe prace. Nie dlatego, że ją zmuszano, ale ponieważ widziała, że matka nie daje sobie z nimi rady. Można powiedzieć, że przejęła rolę dorosłej.

A co z rolą w sypialni? Wszystkie wyraźne symptomy! Moczenie łóżka w wieku dziewięciu lat. Heroina w wieku dziesięciu! Margret wiedziała, że wykorzystywane dzieci często tak kończyły. Ale Wilhelm zawsze był porządnym facetem, to także wiedziała. Teraz jest starym człowiekiem, wycieńczonym i pustym po nędznym życiu. Czasami dzwoni. „Jak się wiedzie Corze?” Zawsze się cieszy, słysząc, że miewa się dobrze.

Margret Rosch siedziała z Rudolfem Grovianem niemal godzinę. Nie dowiedział się nic o tym, co przelatywało jej wtedy przez głowę, widział jedynie jej wyraźne zmieszanie. Imię Magdalena nie padło ani razu. Wreszcie Margret spytała:

– Kiedy będę mogła wreszcie spotkać się z bratanicą?

Wstał.

– Zobaczę, jak tam u kolegów.

Stali na korytarzu. Chciał tylko sprawdzić, w jakim stanie znajdowała się Cora Bender. Gdy wszedł do pokoju, ponownie siedziała wyprostowana. Berrenrath stał przy oknie i rozmawiał z lekarzem. Ten przybrał taki wyraz twarzy, że Rudolf Grovian mimowolnie pomyślał o uwadze Winfrieda Meilhofera: sąd ostateczny.

Musiałoby to zrobić odpowiednie wrażenie. Policja i brutalne metody przesłuchań. Nieprzytomna młoda kobieta z pobitą twarzą.

– Ciotka chce się z panią widzieć, pani Bender – powiedział.

Popatrzyła na niego, jakby spojrzeniem pragnęła przewiercić mu umysł.

– Ta pani potrzebuje spokoju – zaprotestował lekarz.

– Bzdura – sprzeciwiła się. – Przecież właśnie tłumaczył mi pan, że ten cudowny zastrzyk postawi mnie na nogi. To prawda. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam bardziej przytomna. – Spojrzała na Rudolfa Groviana. – Co panu opowiedziała?

– Przyprawdzą ją – odparł krótko.

Dwie minuty później ponownie wkroczył do pokoju. Margret Rosch tuż za nim. Skinął na Berrenratha i lekarza, by wyszli. Sam został, stanął jednak z boku i obserwował w milczeniu. Margret Rosch zatrzymała się na środku pomieszczenia. Zobaczył panikę na twarzy Cory Bender, usłyszał zachrypnięty, pełen napięcia głos:

– Co mu powiedziałaś?

– Nic – skłamała jej ciotka. – Nie martw się. Przyszłam tylko się z tobą zobaczyć. Niestety, nici z twojej jutrzejszej wizyty. Cieszyłam się na nią. Jak się miewa mały?

Rozmawiała, jakby odwiedzała chorą ze złamaną nogą. Ale nieufności Cory Bender nie dało się tak prędko zmniejszyć.

– Dobrze. Naprawdę nic mu nie powiedziałaś?

– Nie. Co miałabym powiedzieć?

– Nie wiem! W takiej sytuacji opowiada się mnóstwo głupstw. Ja też tak zrobiłam. O Zbawicielu, pokutującej Magdalenie i wszystkich tych bzdurach.

Margret Rosch potrząsnęła głową.

– Nic, ani słowa.

Cora Bender nieco osłabła i zmieniła temat. Nie odważył się ocenić, czy dała się udobruchać, czy też dążyła do własnego celu. Jej słowa wydawały się pełne szczerzej troski, pasowały do jej zachowania nad jeziorem. Berrenrath poinformował go o jej niepokoju o uszy dziecka.

– Gereon dzwonił do ciebie? – zapytała.

Margret Rosch skinęła głową, a Cora pytała dalej:

– Jak się czuje? Mówił coś o swoim ramieniu? Zraniłam go, myślę, że dwa razy. Jeden z sanitariuszy opatrzył go nad jeziorem. To był dość duży opatrunek, na całe przedramię. Mam nadzieję, że będzie mógł z nim pracować. Tyle jest teraz do roboty. Manni Weber nie da sam rady. A o starym można zapomnieć. Wiesz przecież, jaki jest. Dużo gada, ale nie odróżnia obcęgów od śrubokręta.

Ciotka ponownie skinęła, zagryzła wargi i wreszcie skierowała, a przynajmniej zamierzała skierować rozmowę na aktualną sytuację.

– Potrzebujesz czegoś? Mam się postarać o adwokata?

Cora Bender pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby. Ale gdybyś mogła przynieść mi trochę rzeczy. Parę ubrań i kosmetyki. To, co najpotrzebniejsze, sama wiesz.

Margret Rosch nieoczekiwanie odpowiedziała gwałtownym tonem:

– Nie, nie wiem. Co znaczy to, co najpotrzebniejsze, gdy się idzie do więzienia? To nie wczasy. Cora, zrób mi przysługę i powiedz tym ludziom prawdę. Nie martw się o innych. Pomyśl wreszcie o sobie. Powiedz im, co się stało pięć lat temu. Opowiedz,

dłaczego w sierpniu uciekłaś z domu. Oni zrozumieją. Opowiedz im wszystko.

– Już to zrobiłam – odparła.

– Nie wierzę ci – stwierdziła Margret Rosch.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Zostaw więc to! Zostaw mnie w spokoju. Wyobraź sobie, że matka miała rację i naprawdę umarłam. – Przez kilka sekund milczała, po czym poprosiła cicho: – Porozmawiasz z ojcem? I tak musi się dowiedzieć. Wolałabym, żebyś ty mu powiedziała. Ale delikatnie. Powiedz, że mam się dobrze. Nie chcę, żeby się denerwował. I niech tu nie przyjeżdża. Nie chcę tego.

Margret Rosch tylko skinęła głową i rzuciła spojrzenie w stronę drzwi. Rudolf Grovian wyprowadził ją, podziękował za przybycie i okazaną pomoc. Naprawdę był wdzięczny. Johnny i heroina, w okropnym stanie wyrzucona z samochodu, to stanowiło jakiś początek. O złamanych żebrach drugiej dziewczyny nie wspominając.

Spotkanie ciotki z bratanicą także okazało się pouczające i ujawniło mechanizmy wyparcia typowe dla całej rodziny. Porozmawiajmy lepiej o pogodzie.

Było jasne, że Margret Rosch mogła mu opowiedzieć nieco więcej. Przynajmniej parę słów o Zbawicielu, pokutującej Magdalenie i wszystkich tych bzdurach. Dziwne, że Corze Bender najwyraźniej zależało, by upewnić się co do dyskrecji ciotki wyłącznie w tych sprawach. Mimo że sama już dość wyczerpująco o nich opowiedziała.

Poprawił się w myśli. Nie, mówiła tylko o krzyżu. Wyraźnie przypomniał sobie grymas jej twarzy, gdy wspomniała o Zbawicielu w związku z pokutującą Magdaleną. I jak natychmiast zastosowała unik, prosząc o dolanie wody do kawy.

Nie był najlepiej obeznany z Biblią i zastanawiał się, jakie znaczenie może zyskać poboczna postać z Nowego Testamentu, skoro Georg Frankenberg teraz, pięć lat po swoim objawieniu się jako szatan z wężem, okazał się zbawicielem. Ale warto było nad tym rozmyślać.

Trauma! Naruszył ją – nieświadomie i niezamierzenie. Poruszanie tego tematu naprawdę nie należało do jego zadań. Za to odpowiadali lekarze. Nie popełni dwa razy tego samego błędu. Nie pozwoli, by kolejny raz załamała się w jego obecności. Trzeba znać granice. On już swoją osiągnął. Tak sądził.

Rozdział 7

Odwiedziny Margret zawsze budziły we mnie sprzeczne uczucia. Zjawiała się rzadko i nie zostawała na tyle długo, aby faktycznie coś zmienić. Przywoziła tylko promyk nadziei dla ojca, który zabierała z powrotem, wyjeżdżając.

Słabo pamiętam jej pierwsze wizyty. Nie mogło być ich dużo. Najczęściej przyjeżdżała ze stareńką kobietą, moją babką. Za każdym razem przywoziły coś słodkiego. Matka odbierała to i wkładała do szafki z chlebem. Dokąd słodczyce trafiały potem, wiedzieli tylko ona i Zbawiciel. Owe wczesne odwiedziny nie przynosiły korzystnych zmian. Dlatego były dla mnie dość uciążliwe. Babka zawsze pytała, czy jestem grzeczna, czy słucham mamy i taty i czy zawsze robię to, co mi każą. Zawsze potakiwałam i czułam ulgę, gdy wyjeżdżały.

Potem Margret po raz pierwszy zjawiała się sama. Babka zmarła. W czasie odwiedzin Margret rozmawiała ze mną. Pytała, czy lubię się uczyć. Czy mam dobre oceny. Jaki przedmiot najbardziej mi się podoba. Czy dobrze jest spać z ojcem w jednym pokoju. I czy mogłabym narysować jego portret, bo ona nie ma żadnego jego zdjęcia.

Nie umiałam dobrze rysować, namalowałam człowieczka z grabiami i wiadrem. Margret spytała, co oznacza to coś długiego wiszące z jednej strony człowieczka. Wyjaśniłam jej, że to właśnie to.

Resztę czasu spędzała z matką. W każdym razie w ciągu dnia ojciec musiał przecież pracować. Matka była potem taka dziwna. Nie wiem, jak to opisać. Wydawało się, że się boi. Była całkiem rozkojarzona, bez końca wygłaszała mi kazania o prawdziwych grzechach, jakby nie było już wystarczająco dużo innych.

Prawdziwe grzechy, mówiła matka, to żądze cielesne. Nie wiedziałam, o co chodzi. Miałam przecież dopiero dziewięć lat. Myślałam, że ma to coś wspólnego z pieczeniem cielecą, którą musiała przygotować dla Margret. Ojciec tak postanowił. Gościa nie można było dwa dni z rzędu karmić grochówką. Ojciec wziął dwa kawałki pieczeni, ja tylko jeden, najmniejszy, choć Margret namawiała mnie:

– Weź jeszcze kawałek, Cora. A może nie lubisz mięsa?

Oczywiście, że lubiłam mięso. Ale pomyślałam: wezmę jeszcze kawałek, Margret wyjedzie, a ja usłyszę swoje. Tak też się stało.

A potem, tydzień po wyjeździe Margret, nadeszła paczka. To było w zimie, w czasie ferii. Pamiętam dokładnie. Paczka nadeszła rano pocztą, a ponieważ widniało na niej nazwisko ojca, matka nie odważyła się jej otworzyć. Położyła pakunek na szafce kuchennej. Wieczorem ojciec uroczyście przeciął sznurek.

Odwiedziny Margret zmieniły go. Odkąd wyjechała, mówił zdecydowanym tonem o zmianach, które zajdą teraz w domu, o siedmiu chudych latach, po których musi nastąpić siedem tłustych. A jeśli chudych lat było osiem, tłustych także musiało być tyle. Poza tym zestarzał się już na tyle, by ostatecznie zrezygnować z pewnych rzeczy.

Kiedyś powiedział do matki:

– Kto nie chce słuchać, musi płacić. Inaczej zrobią mi się jeszcze odciski na rękach. Grit Adigar, bijąc Kerstin lub Melanie po palcach, zawsze mówiła do nich:

– Kto nie chce słuchać, musi poczuć.

Dziwne stwierdzenie ojca mnie zaniepokoiło. Ludzie w sąsiedztwie mówili, że matka jest wariatką. Mówili to tak głośno, żebym słyszała. Bałam się, że ojciec też zwariuje.

Zrobił wokół paczki wielkie zamieszanie, zachowywał się tak, jakby w środku znajdowało się nowe serce dla Magdaleny. Było tam trochę słodczy, z których część od razu rozdzielił, choć matka stała z boku z kamienną twarzą. Magdalena dostała tubkę czekoladowych cukierków. „Mnóstwo kolorowych smarties”. Znałam je z podwórka szkolnego. Ja też dostałam paczkę i chciałam ją oddać matce. Jednak ojciec mnie powstrzymał.

– To twoje – powiedział. – Zjesz je. Resztę zostawimy na Boże Narodzenie. Nie będziemy wtedy zmuszać matki do kupowania małych słodkich pokus.

Oprócz słodczy Margret zapakowała także inne rzeczy, wszystkie zawinięte w kolorowy papier ze wstążkami, do których były przyklejone małe karteczki z naszymi imionami. Na wierzchu leżała koperta.

To był pierwszy list od Margret, który ojciec mi przeczytał. Nie tylko mnie, Magdalena i matka także były w kuchni. Matka przyniosła z salonu oba fotele i zestawiała je tak, żeby Magdalena mogła się położyć. Tego dnia nie czuła się zbyt dobrze.

Margret życzyła nam wszystkim wesołych świąt, szczęśliwego i przede wszystkim zdrowego nowego roku. Żałowała, że jej odwiedziny nie odniosły zamierzonego skutku. Miała nadzieję, iż matka przypomni sobie o swych obowiązkach i pomyśli o tym, że Zbawiciel nigdy nie wymagał od swoich sług podobnej wstrzeźliwości. Tak twierdzili później inni. Jednak im chodziło tylko o to, by nie musieć rozdzielać nagromadzonego dobra między spadkobierców. Matka powinna mieć także wzgląd na fakt, że ojciec nie śpi w pokoju sam. Nikomu by nie pomogło, gdyby doszło do nieszczęścia. Rozumie bardzo dobrze, że Elsbeth obawia się kolejnej ciąży. Ale w dzisiejszych czasach nie jest ona nieuchronna, są na to odpowiednie środki. Margret była pewna, że Zbawiciel pozwala na nie, ponieważ nikt lepiej od Niego nie zna natury ludzkiej. A ofiarowanie kolejnego jagnięcia byłoby marnotrawstwem, którego nigdy by nie pochwalił.

Ojciec przeczytał to wszystko na głos, po czym zajął się prezentami. Dla Magdaleny lalka. Była z materiału, miała wesołą twarz wyszytą kolorowymi nićmi. Wielkie niebieskie oczy i czerwone wargi, uśmiechnięta buzia z białymi zębami. Włosy z żółtej włóczki zaplecione w grube warkocze. Margret z całego serca życzyła Magdalenie takiej twarzy, jaką miała lalka – wesołej i zdrowej. Magdalena mogła od razu rozpakować prezent. Pomogłam jej w tym.

W tym czasie ojciec rzucił matce małą paczuszkę i powiedział:

– Najlepiej od razu idź do salonu. Pokaż Mu to i spytaj, czy ma coś przeciwko.

Matka nie ruszyła się z miejsca. Paczuszka odbiła się od jej fartucha i spadła na podłogę. Na koniec ojciec podał mi mój prezent. To była książka: *Alicja w Krainie Czarów*.

Przeczytałam tylko tytuł. Tego wieczoru było już zbyt późno na lekturę, a następnego dnia matka zażądała, bym spaliła książkę w blaszanym kubie przed ołtarzem. Nie wydała mi rozkazu. Wygłosiła za to kazanie na temat listu Margret

i brudnych myśli w nim zawartych. Stwierdziła, że muszę jej natychmiast powiedzieć, gdyby ojciec niewłaściwie się zachował.

Pomyślałam, że teraz zupełnie zwariowała. Przecież znałam ojca już długo. Był moim prawdziwym ojcem – dobrze to wiedziałam. Byłam do niego podobna i dawno przestałam wierzyć, że należę do rodziny Adigarów. Przytakiwałam jednak każdemu jej słowu.

Skinęłam także wtedy, gdy spytała, czy tak jak ona uważam, że aby prowadzić dobre życie, w zupełności wystarcza znajomość najważniejszej ze wszystkich ksiąg. Znałam ją już na pamięć. Matka opowiadała mi o wszystkich grzechach ludzkości, dopóki nie zaczęły mi wychodzić uszami. A odkąd sama umiałam czytać, musiałam... Ach, co to mogło dać!

Posłała mnie po kubek, wcisnęła zapalki w rękę, a potem patrzyłyśmy, jak Kraina Czarów zmienia się w kupkę popiołu.

Gdy późnym popołudniem ojciec wrócił do domu i dowiedział się o wszystkim, wpadł w taką wściekłość, jakiej jeszcze u niego nie widziałam. Z rzeczy, które wtedy powiedział, zrozumiałam ledwie połowę. Że nigdy nie przypuszczał, aby dziwka okupanta mogła pewnego dnia zmienić się w chodzący modlitewnik. Kiedyś jej się to przecież podobało. I że dała sobie włożyć nie tylko to, co przewidziała natura, ale także druty. Matka stała obok ze skamieniałą twarzą. W jakiś sposób było mi jej żal.

Potem długo siedzieliśmy przy stole w kuchni, ojciec i ja, podczas gdy matka zmywała naczynia. Ojciec opowiadał mi o Alicji w Krainie Czarów. Tak naprawdę wcale nie znał tej historii. Wymyślił dla mnie zupełnie inną, o dziewczynce, której matka zwariowała i chciała całą rodzinę przywieść do szaleństwa. Że dziewczynce nie podobało się w domu, ale nie mogła uciec, bo była za mała i nie miała pieniędzy. Stworzyła więc własny świat. Wymyśliła ludzi, z którymi rozmawiała, chociaż nie istnieli.

– To znaczy, że była taką samą wariatką jak jej matka – powiedziałam.

Ojciec się uśmiechnął.

– Pewnie tak. Ale jak można nie zwariować przy takiej matce? Skoro nigdy nie słyszy się ani nie widzi nic innego.

Magdalena także była w kuchni. Tak jak poprzedniego wieczoru leżała na fotelach. Miała za sobą ciężki dzień: dwie lewatywy, które nie dały nic oprócz skurczów brzucha. Słuchała uważnie, spoglądając to na matkę, to na ojca. Ona znała historię o Alicji w Krainie Czarów.

Siostra, która w klinice dbała, by Magdalena bawiła się czasem z innymi małymi pacjentami, zabrała ją raz do pokoju, w którym jakaś matka czytała swojemu dziecku książkę. Potem Magdalena opowiedziała mi o tym. Ale nie zdradziła, o czym naprawdę jest *Alicja w Krainie Czarów*. Zresztą nie spytałam, wcale nie chciałam wiedzieć.

Ojciec uśmiechnął się do niej i spytał:

– Jak się dziś miewa nasz wróbelek?

Magdalena nie odpowiedziała. Często rozmawiała ze mną, rzadko z matką. Z nim natomiast nigdy. Matka robiła to za nią.

– Niedobrze. Jak miałyby się zresztą miewać w domu, w którym nikt nie przestrzega przykazań Pana?

– Ty ich przecież gorliwie przestrzegasz – odparł ojciec. Nadal był bardzo zagniewany. – Ale to przykazanie musisz mi najpierw pokazać. Nie pamiętam, bym kiedyś czytał, że Pan zażądał od dziecka spalenia książki. O ile wiem, robili tak inni. Oni także nazywali się panami. Boję się, że za dużo się od nich nauczyłaś. Czasami mieszają ci się metody.

Matka tylko na niego spojrzała. Opuścił głowę i wpatrywał się w stół.

– Ale wracając do twego obecnego Pana – dodał po chwili – czyż nie powiedział: Jeśli nie staniecie się jak dzieci? Sądzę, że tak powiedział. A skoro punkt po punkcie trzymasz się Jego słów, to nie wyszukuj tylko tych, które ci pasują. Dzieci lubią czasami zrobić coś innego, niż tylko się żegnać. Skoro jedno musimy oddać, a wiesz równie dobrze jak ja, że kiedyś będziemy musieli to zrobić, to chcę, żeby drugie było tak zdrowe i wesołe, jak tylko się da. Powinienem posłuchać lekarzy, wtedy już dawno mielibyśmy to za sobą. Mogłabyś odprawiać swoje głupoty na cmentarzu.

Myślałam, że stanie mi serce. Dokładnie wiedziałam, co miał na myśli. Magdalena też. Nie była głupia. Dzięki częstym pobytom w klinice wiedziała bardzo dużo o swojej chorobie i innych rzeczach. Wiedziała więcej niż ja. Nie umiała czytać, liczyć ani pisać. Ale znała słowa, takie jak: elektrokardiogram, przegroda, niewydolność, aneuryzm aorty, patologia i krematorium. Wiedziała też, co znaczą.

Spojrzała na ojca, przycisnęła do siebie lalkę, bawiąc się jej grubymi warkoczami. Wyglądało to tak, jakby chciała mu coś powiedzieć. Poruszyła ustami kilka razy. Nie wydała jednak żadnego dźwięku. Wreszcie zrozumiałam, że układa je w słowo. Dupek!

Nie wiem, czy ojciec je odczytał. Odetchnął głęboko, a potem dodał nieco ciszej:

– Ale skoro raz się na to zdecydowaliśmy, powinniśmy postarać się, by to wszystko było jak najbardziej znośne. Trochę radości, nie tylko cnotliwe nauki. Nic z tego nie ma. Jestem pewien, że Magdalenie także podobałaby się *Alicja w Krainie Czarów*. A Cora na pewno by jej coś przeczytała.

Matka odparła:

– Musi teraz wypoczywać. Miała męczący dzień.

Podniosła Magdalенę z foteli, wzięła ją na ręce i skierowała się w stronę drzwi. Ojciec spoglądał za nimi, kręcąc głową. Potem znowu wpatrywał się w stół.

– To był mój grzech – powiedział cicho. – Nie potrafiłem się powstrzymać i zaczekać. Lepiej by było, gdybym trzymał język za zębami.

Uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Najlepiej chodźmy już spać, co ty na to? Już czas na ciebie, a ja też jestem zmęczony.

Poszliśmy na górę. Matka była z Magdalенą w łazience, umyła ją i wyszczotkowała jej zęby. Ojciec poszedł do sypialni i wyjął z szafy rzeczy, które następnego dnia chciał włożyć do pracy. Ja poszłam do naszego pokoju i włożyłam koszulę nocną. Gdy matka z Magdalенą wyszły z łazienki, poszłam umyć zęby.

Matka położyła Magdalенę do łóżka i ponownie zeszła na dół, by się pomodlić. Ojciec stanął obok umywalki i patrzył bardzo przygnębiony, jak myję twarz i czeszę włosy.

Nie dawałam sobie rady z grzebieniem. Czasami, gdy musiałam długo klęczeć

przed ołtarzem, kręciłam sobie włosy. Ojciec pomógł mi je rozplątać. Potem przytulił moją głowę do piersi i mocno przytrzymał.

– Tak mi przykro – wymamrotał. – Tak strasznie mi przykro.

– Nie martw się z powodu książki – powiedziałam. – Wcale nie lubię czytać. Wolę, jak opowiadasz mi o starych czasach. Już dawno nie opowiadałeś mi o kolei i starej szkole i o tym, jak zbudowano kościół.

– Za dużo ci o tym mówiłem – odparł. – Byle tylko nie wspominać o dzisiaj i o wczoraj.

Przyciskał moją głowę do piersi i gładził ręką po plecach. Potem nagle mnie odtrącił, odwrócił się do umywalki i powiedział:

– Powinna już przyjść wiosna. Człowiek ma wtedy pracę w ogrodzie i brak mu czasu na głupie myśli.

Było bez sensu myśleć, że Margret ją zdradziła. Na ciotkę można było liczyć, sama przecież miała sporo do stracenia. Fakt ten nie zmniejszył jednak strachu, poczucia zagubienia i niepewności.

Gdy Margret wraz z szefem opuściła pokój, przyszedł mężczyzna w dresie. Na kilka minut została z nim sama. Pragnęła, by z nią porozmawiał. Tylko dwa zdania, które przegoniłyby z głowy uczucie martwoty.

Odkąd po utracie przytomności przyszła do siebie, było tam ciasno i ciemno jak w grobie. Albo w piwnicy, w której ktoś zgasił światło. Wiedziała, że zobaczyła i poczuła coś straszego. Ale cokolwiek przedarło się przez mur w jej głowie, z powrotem się wycofało. Pozostało tylko uczucie. I głos ojca rozbrzmiewający w ciemności.

Zobaczyła, jak siedzi na jej łóżku. Przychodził do niej co wieczór podczas tych kilku tygodni, które po powrocie w listopadzie spędziła w domu. Słyszała jego błaganie, jego stary, łamiący się głos.

– Porozmawiaj ze mną, Cora. Nie rób tak jak ona. Musisz ze mną porozmawiać. Powiedz, co się stało. Cokolwiek zrobiłaś, nie osądzę cię i nigdy nie powiem o tym ani słowa, obiecuję ci. Nie mam prawa cię osądzać. Matka też nie. Każdy z nas ma coś na sumieniu. Powiem ci teraz, co ja zrobiłem i co zrobiła matka. Potem kolej na ciebie. Musisz mi powiedzieć, Cora. Jeśli się o tym nie mówi, to zżera człowieka od środka. Co się stało, Cora? Co zrobiłaś?

Tylko dwa lub trzy zdania ze strony mężczyzny w dresie, aby zagłuszyć głos ojca. Ale on jedynie patrzył na nią, w jego wzroku odbijały się współczucie i niepewność. Może czekał, aż ona coś powie. Milczała jednak, więc zajął się magnetofonem. Wyjął kasetę i położył ją obok innych, które uzbierały się w trakcie wieczoru.

Kasety!

„Przewinę trochę – powiedziała kobieta nad jeziorem. I: – Nie słyszeliście do tej pory nic lepszego”.

Zdanie to przeszło jej umysł jak uderzenie prądem i natrafiło gdzieś na echo.

– Nie słyszałam do tej pory nic lepszego – powiedziała Magdalena.

Magdalena leżała na łóżku, trzymając w ręku małej walkman, od którego cienki kabel prowadził do słuchawki w jej uchu. Zaśmiała się cicho, poruszając głową, tylko głową, niczym innym nie mogła poruszać. Zanuciła fragment melodii. *Bohemian*

Rhapsody „Is this the real life?”, i powiedziała:

– Uwielbiam ten kawałek. Ten Freddie Mercury to dopiero ma głos, niesamowity. Chciałabym posłuchać go kiedyś naprawdę głośno. Jak na dyskotecę. Ale potrzebny byłby wielki zestaw stereo. Gdyby stara go zobaczyła, wyłączyłaby nam jeszcze prąd. Znalazłaś główny wyłącznik?

Szef wrócił i spytał:

– Jak się pani czuje, pani Bender?

Ciągle była jeszcze z Magdaleną, odparła więc:

– Niestety, nie. Przyniosę od Grit wiadro. Do mycia wystarczy. – Dopiero wtedy uświadomiła sobie, o co pytał szef, i odpowiedziała szybko: – Dziękuję, świetnie.

Była przekonana, że szef dalej będzie zadawać pytania. Przypomniała sobie, że ostatnio chciał wiedzieć, skąd znała imiona: Frankie, Böcki i Tiger. Z Frankiem było łatwo. Nad jeziorem. To chciała mu powiedzieć.

Skutkowało tylko prawda. Kłamstwa wszystko pogarszały. Matka bez końca tak powtarzała. Matka zawsze miała rację, teraz zostało to ostatecznie dowiedzione. Kto rozgniewał Pana, ten zostawał przez Niego ukarany. Jednemu mieszał język, drugiemu rozum.

Prawda! Czysta prawda! Tylko prawda! Nie znałam tego mężczyzny. Naprawdę go nie znałam, ani jego imienia, ani twarzy! Nie wiem, dlaczego musiałam go zabić. Wiem tylko, że musiałam to zrobić!

Szef jednak nie próbował o nic pytać, wymienił spojrzenie z mężczyzną w dresie i szczególnym tonem powiedział coś o spokoju, którego wszyscy koniecznie teraz potrzebowali. Gdy to usłyszała, poczuła, że ze zmęczenia ma ciało jak z ołowiu. Jednocześnie przestraszyła się, że zostanie sama z tłoczącymi się strzępkami wspomnień, które świdrowały jej duszę. W środku wszystko zastygło i stwardniało. Ledwie wstała z krzesła i nie miała już siły protestować.

Szef dopilnował, by ją odprowadzono. Przyjazny Berrenrath i jego młodszy kolega zajęli się tym. Potem leżała na wąskim łóżku, niemal tak martwa jak Georg Frankenberg, i nie była w stanie zasnąć.

Zastanawiała się, czy Margret zadzwoniła już do ojca. Tak późno w nocy raczej nie! W domu rodziców nie było telefonu. Jeśli ktoś chciał im przekazać pilną wiadomość, musiał dzwonić do sąsiadów i prosić, by zawołali ojca do telefonu. Wyrwać Grit Adigar z łóżka w środku nocy... Grit!

Była taka obolała. Nigdy wcześniej nie odczuwała niczego takiego. A teraz się to w niej zaległo. Tęsknota za przeszłością! Jeszcze raz siedzieć na łóżku Magdaleny i opowiadać jej o świecie. O dyskotecę, dzikiej muzyce, ostrym świetle i młodych mężczyznach. I odpowiadać na pytania. „Jak to jest z tym koksem? To niby ekstra uczucie. Wszystko przeżywa się dużo intensywniej, zwłaszcza seks. Próbowalaś już kiedyś? Jak było? Opowiedz”.

Jeszcze raz klęczeć przed ołtarzem. Jeszcze raz złożyć dłonie. Jeszcze raz błagać Zbawiciela o siłę, by zachować wstrzemięźliwość, i o następny dzień dla Magdaleny. A potem biec do Grit, która regularnie pytała: „No, Cora, wszystkie obowiązki na dziś wypełnione?”.

Wszystkie obowiązki wypełnione! Nie tylko na dziś – na wszystkie czasy.

Zabity mężczyzna – Georg Frankenberg! Wysłuchana piosenka – *Song of Tiger!* Opowiedziana bajka – *Alicja w Krainie Czarów!* Wersja ojca – i stworzyła własny świat. Wymyśliła ludzi, którzy nie istnieli – Böckiego i Tigera.

Najgorzej było czuć, jak rozum zawodzi, jak staje się miękki, coraz bardziej się rozpada. Na końcu można go będzie zetrzeć w palcach. Około piątej rano wreszcie zasnęła.

O tej porze Rudolf Grovian leżał na kanapie w salonie. Ramiona skrzyżował pod głową. Wpatrywał się w ciemny sufit i słyszał jej błaganie:

– Niech pan zapali światło.

Wrócił do domu o trzeciej wzburzony, wyczerpany i nieco zdeprimowany świadomością, że rozpoczął coś, czego zakończenie musi pozostawić innym.

– Niech pan mi pomoże!

Nie mógł jej pomóc. Jedyne, co mógł dla niej zrobić, to udowodnić, że Johnny Guitar i Georg Frankenberg to ta sama osoba.

Werner Hoß wątpił w tej kwestii, a jego argumentów nie dało się tak łatwo odrzucić. Zanim poszli do domu, trzy razy wysłuchali obu najważniejszych taśm. Pierwszej i ostatniej. Hoß głosował za pierwszą.

– To była ta piosenka.

Sądził, że to jest odpowiedź. Nie przekreślała jednak bełkotu na ostatniej taśmie. To były po prostu dwie różne sprawy. Nikt nie mógł przecież wiedzieć, co się dzieje w głowie, którą przez dziewiętnaście lat męczono Biblią, a przed pięcioma laty rozbito kryształową łapą.

Rudolf Grovian położył się do łóżka i tak długo przewracał się z boku na bok, aż Mechthild zażądała:

– Rudi, bądź tak dobry i połóż się na kanapie. Wtedy przynajmniej ja się wyśpię.

Już dawno przestał rozmawiać z nią o swojej pracy. Mechthild miała własne zdanie na temat prawa, przepisów i sprawiedliwości. Dwa popołudnia w tygodniu spędzała w magazynie odzieży Caritasu, rozdzielając ofiarowane płaszcze i spodnie między nieszczęśników i innych potrzebujących. Oczywiście nieodpłatnie! A gdy wcześniej czasami opowiadał jej o tym, że jeden z tych nieudaczników z bronią w ręku wkroczył do oddziału kasy oszczędnościowej, Mechthild zawsze mówiła: „Ach, co za biedak”.

– Marita wróciła do domu? – zapytał, by powiedzieć cokolwiek, mając nadzieję, że Mechthild spyta, czemu późno wrócił i co się stało. W jakiś sposób potrzebował usłyszeć z jej ust: „Ach, co za biedactwo”.

– Tak sędzę – odparła.

– Co ci powiedziała? Rozmawiała przecież z tobą. Słyszałem coś o adwokacie.

– Rudi – padła wymuszona odpowiedź. – Porozmawiajmy o tym spokojnie jutro.

Spójrz na zegarek.

– Jutro nie mam czasu. Chcę wiedzieć teraz.

– Chce się rozwieść – westchnęła Mechthild.

– Co? – Nie warto było nawet zrywać się z posłania. Już wcześniej się tego obawiał. – Z nudów przewraca się jej w głowie – powiedział.

– Rudi – westchnęła ponownie Mechthild. – Ona nie robi tego dla przyjemności, możesz mi wierzyć.

– Wystarczy mi, że ty w to wierzysz – odparł. – Choć ty uwierzysz jej w każdą głupotę.

– Ale ona ma rację – wyjaśniła Mechthild nie do końca zdecydowanym tonem. – Peter za dużo pracuje. Ciągłe jest sama. To żadne życie dla młodej kobiety.

– Jak to? Moim zdaniem to świetne życie. On za dużo pracuje, a ona od razu wyrzuca zarobione przez niego pieniądze przez okno. To lepiej, niż gdyby musiała ze złożonymi rękoma klęczeć przed krzyżem.

– To dopiero porównanie – odparła Mechthild. – Skąd ci przyszło do głowy?

– Tak po prostu. Powiedz mi, czy my w ogóle mamy w domu Biblię?

– No nie, dość tego, Rudi! Już prawie wpół do czwartej. – Mechthild przewróciła się na bok.

– Mamy czy nie? – zapytał.

– Na dole w szafce – powiedziała.

Zszedł na dół, przeszukał pół szafki, aż znalazł zużyty i bardzo cienki egzemplarz. Musiał jeszcze pochodzić ze szkolnych czasów córki. Leżał między jej starymi podręcznikami, brzegi miał pomazane. Położył się na kanapie i przeczytał fragment o wypędzeniu z raju. Chodziło o jabłko, tyle jeszcze pamiętał. Zaczął nawet podejrzewać, że Cora Bender wzięła nad jezioro jabłka tylko dlatego, że chciała tam pływać aż do dnia sądu ostatecznego.

Wygnanie z raju, z firmy rodzinnej teścia i małżeństwa z mężczyzną, który pobił ją do krwi i nic go nie obchodziło, jak potraktowano jego żonę na policji. Gereon Bender ani słowem nie zapytał o jej samopoczucie, nie chciał też wiedzieć, co się z nią stanie, gdy złoży zeznania.

Na wspomnienie o jej synku stracił ochotę, by zajmować się pokutującą Magdaleną. Mimo to przeczytał kilka linijek i poczuł się jeszcze bardziej zbity z tropu. Magdalena była jawnochrześcijańską. Wraz z heroiną i pokłutymi ramionami dawało to połączenie, które wcale mu się nie podobało.

O wpół do szóstej wygrzebał z kuchennych szafek produkty potrzebne do przygotowania solidnego śniadania, a na stole zostawił dla Mechthild kartkę, że postara się wrócić na obiad. Był przekonany, że odprowadzenie Cory Bender do sądu nie potrwa dłużej. A dokładnie tak zamierzał zrobić. Dokładnie tak powinien był zrobić już poprzedniego wieczoru, gdy zaobserwował u niej pierwsze objawy obłądzenia. To niewybaczalne, że sprzeciwił się swojemu wewnętrznemu głosowi.

O szóstej ponownie był w biurze. Po chwili pojawił się Werner Hoß. Zebrali dokumenty dla prokuratury, jeszcze raz przesłuchali taśmy, szczególnie uważnie ostatnią, krótko ją przedyskutowali i nie doszli do porozumienia.

– Czy zabezpieczono taśmę z magnetofonu Frankenberga? – spytał.

Hoß się skrzywił.

– Chce pan przeprowadzić eksperyment?

– Nie – odparł i także się skrzywił. – Będę się trzymał od tego z daleka. Ale jeśli rzeczywiście chodzi o jego własną kompozycję... – Reszty nie wymówił.

Hoß zatroszczył się o to i zdobył kasetę od fachowców zabezpieczających ślady. Słuchali przez chwilę. Tylko muzyka. Rock, dość ostry i dziki. W uszach Rudolfa Groviana brzmiał chaotycznie i cały czas tak samo. Ale jeśli miało to coś wspólnego z muzyką, mogło chodzić tylko o ostatnie nagranie na taśmie. Od Winfrieda Meilhofera wiedzieli, że magnetofon wyłączył się kilka sekund po zdarzeniu.

– Powinniśmy zaryzykować eksperyment – stwierdził Hoß. – Damy jej posłuchać kilku fragmentów. Zobaczymy, czy od razu wskaże właściwy. Ja bym nie potrafił w takim jazgocie.

Rudolf Grovian zdecydowanie pokręcił głową.

– Ale jak się okaże, że jej to puściliśmy, możemy zapomnieć o sprawie.

Tuż po dziewiątej nadeszła kopia wyników obdukcji. Łącznie siedem ran. Ich umiejscowienie zgadzało się z zeznaniami Cory Bender. Jedna na karku, jedna przebiła tętnicę szyjną, jedna trafiła w krtań. Pozostałe były bardziej lub mniej nieszkodliwe. Przyczyna śmierci: aspiracja. Georg Frankenberg udusił się własną krwią, zanim zdążył się wykrwawić.

Niedługo potem zjawił się prokurator. Omówili wszystko jeszcze raz od A do Z.

– Ma pan przyznanie się do winy?

– Mamy zeznanie – odparł Rudolf Grovian.

Wyjaśnił, co o tym wszystkim sądzi, wspomniał także o omdleniu. Nie dało się tego zatuszować. Nie chciał też nic upiększać. Opisał wahania jej samopoczucia: między jasnością umysłu i obłędem, a zakończył słowami Margret Rosch o koszmarach.

– Chciałbym, żeby pan tego posłuchał.

Na jego znak Werner Hoß włączył magnetofon. Głos Cory Bender sprawił, że prokurator zmarszczył czoło. On nie nawiązał do tematu omdlenia. Po jego minie wyraźnie było widać, co o tym sądzi. Coś takiego po prostu nie miało prawa się zdarzyć. Przez chwilę słuchał bełkotu z taśmy, po czym wymruczał:

– Dobry Boże – i zrobił odpowiedni gest na czole. – Czy ona...

Werner Hoß znacząco uniósł ramiona. Rudolf Grovian z naciskiem pokręcił głową. A prokurator zapytał, czy czasem ich nie nabrała.

– Nie! – odparł Rudolf Grovian. Nie mógł sobie darować małego przytyku: – Gdyby pan był przy tym, nie pytałby pan. Tych taśm powinni posłuchać ludzie, którzy potrafią je objaśnić. A gdy mówię „posłuchać”, właśnie to mam na myśli. Pisemny raport nic nie da. Ona ciągnie za sobą niezły bagaż.

Rzucił kilka słów o jej dzieciństwie. Fanatyzm religijny i rzecz, o której myślała, że musi odpaść.

– I jeszcze jedno – mówił. – Jutro się tym zajmujemy. Przyznaję, że niewiele mamy w garści. Tylko kilka zdań. Ale powinniśmy przynajmniej spytać. Może w tamtym okresie zaginęła w Buchholz młoda dziewczyna. Może nawet znaleźli zwłoki z połamanymi żebrami.

Prokurator wzruszył ramionami, przekartkował zeznania świadków i zerknął na wyniki obdukcji. Potem uniósł głowę i stwierdził:

– Niech pan nie zapomina, że jedne zwłoki już mamy. Bez połamanych żeber, ale jak dla mnie to wystarczy. Rzadko się zdarza, by ktoś tak dokładnie pamiętał, gdzie

zadał – a w tym przypadku: gdzie zadała – ciosy.

– Jakie tu ma znaczenie „dokładnie”? – odparł Rudolf Grovian. – Wymieniła miejsca, w których rany mogą być śmiertelne. Jej ciotka jest pielęgniarką. Mieszkała z nią przez półtora roku. Mogła sobie przyswoić trochę wiedzy medycznej.

Prokurator przez kilka sekund patrzył na niego z nieodgadnioną miną.

– Byłby to dziwny temat jak na rozmowy z ciotką – stwierdził. – A ona nie tylko wymieniła te miejsca, panie Grovian. Także w nie trafiła.

Wiedział o tym, nawet jeśli nie widział tego na własne oczy. Wiedział też, że tak dokładne zeznania są bardzo rzadkie, by nie powiedzieć: niespotykane. W przypadku morderstwa w afekcie nikt nie potrafił dokładnie sobie przypomnieć jego przebiegu. Tutaj chodziło o afekt. Nie mogło to być nic innego. A on chciał, by prokurator podzielał jego zdanie.

– Chce pan z nią porozmawiać? – zapytał. – Każę ją przyprowadzić.

Prokurator potrząsnął głową.

– Niech śpi. To musiała być dla niej ciężka noc. Moja też nie była przyjemna. Nie mam teraz ochoty na dalszy ciąg.

Dupek, pomyślał Rudolf Grovian.

Gdy Berrenrath ją obudził, dochodziło południe. Nie wiedziała, że on sam mógłby już od dawna leżeć w domu we własnym łóżku. A gdyby jej o tym powiedział, niespecjalnie by się przejęła. W nocy jego przyjazne nastawienie miało pewną wartość. Teraz był tylko częścią łańcucha, którym została obita i przykuta do przeszłości.

W ustach miała mdły posmak, ale znowu myślała trzeźwo i chłodno, jakby jej umysł zamarzył we śnie. Strach zmienił się w bryłę lodu – a wraz z nim wszystkie pozostałe uczucia.

Poprosiła o szklankę wody. Dostała mineralną. Smaczną, piła małymi łykami. Wkrótce Berrenrath zaprowadził ją z powrotem do biura szefa.

Tam zaproponowano jej śniadanie. Szef już był, ten drugi również, tym razem ubrany w jasne spodnie i koszulę w delikatny wzór. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie przemęczonych. Niepokoił się też, czy aby na pewno czuła się dobrze. Na tacy, którą jej podano, leżał talerz kanapek z wędliną i serem. Nie była głodna. Szef poprosił, by zjadła choć trochę. Zrobiła mu tę przysługę, ugryzła kawałek kanapki z salami i popiła dużą ilością kawy.

Potem spytała go, jak się nazywa.

– Przykro mi. Wczoraj miałam tyle na głowie. Nie zapamiętałam pańskiego nazwiska.

Szef wymienił je, ale w jego przypadku nazwisko nie miało znaczenia. Zepchnął ją na skraj szaleństwa, pokazując jej wyraźnie, jaką władzę ma nad nią i jej umysłem. Po nim nie mógł zjawić się nikt inny, kto byłby wystarczająco silny, by jej to uczynić.

Wyjaśnił, że pojedą teraz do sądu rejonowego w Brühl, by przedstawić ją sędziemu.

– Będzie pan musiał z tym poczekać – odparła, spojrzała na Wenera Hoßa i wyjaśniła z nieporuszoną miną: – Już w nocy wątpił pan w moją historię. I słusznie!

Obaj byli bardzo skoncentrowani, nie spuszczała z niej oczu, podczas gdy spokojnym i opanowanym tonem odwoływała wszystkie kłamstwa o Johnnym Guitarze.

Zakończyła malutkim nowym kłamstwem – w październiku przed pięcioma laty nieostrożnie przechodziła przez ulicę i wpadła pod samochód.

Zobaczyła, jak Werner Hoß potakuje, jego twarz wyrażała satysfakcję. Szef rzucił mu wściekłe spojrzenie i potrząsnął głową. Potem zaczął mówić o Margret, ostrożnie, uważnie, jakby skradał się na palcach. Margret opowiedziała mu o strasliwym maltretowaniu. Sama podsunęła mu kilka wskazówek, jak twierdził.

To był ciężki cios dowiedzieć się, że Margret ją okłamała i jednak mówiła. Wyciągnęła trochę brudów na temat ojca, koniec historii! Okropne traktowanie! I poradziła jej powiedzieć prawdę. Od sierpnia! Od sierpnia prawda nie była dla Margret bezpieczna. Pomyśl teraz o sobie! Margret myślała o sobie.

– Co znaczą te głupstwa? – odparła. – Nie dawałam żadnych wskazówek. A może twierdziłam, że byłam maltretowana?

Szef uśmiechnął się.

– Nie bezpośrednio.

Poprosił ją, by wysłuchała fragmentu nagrania, oczywiście, jeśli tylko czuje się na siłach.

– Proszę bardzo – odparła. – Jestem gotowa.

Włączył magnetofon. Usłyszała swoją jękaninę.

„Tak długo ją bił, aż umarła. Słyszałam, jak pękają jej żebra”.

– Mój Boże – powiedziała – to brzmi okropnie. Jakbym zupełnie zwariowała. Ale pan mi nieźle dołożył. Nie może pan zaprzeczyć. Ten konował, którego pan na mnie nasłał, stwierdził, że znajduję się w dużym napięciu emocjonalnym. Dlatego się załamalam. Proszę go spytać, jeśli mi pan nie wierzy. Albo pana Berrenratha, on także to słyszał. Ale proszę się nie martwić. Nie poskarżę się na pana. Wykonywał pan swoją pracę. Rozumiem to.

Rudolf Grovian skinął głową, rzucił Wernerowi Hoßowi niejasne spojrzenie. Była to prośba o łagodne przesłuchanie lub całkowite milczenie, co stanowiło właściwie to samo. Odetchnął głęboko, spróbował ocenić, w jakim była stanie. Sprawiała wrażenie jasno myślącej. A gdyby chciała, mogłaby mu zaoszczędzić mnóstwa pracy. Musiałaby tylko wymienić imię dziewczyny, którą mały grubas zabrał ze sobą.

Postępował nadzwyczaj ostrożnie, wyjaśnił jej, że rozumie, co skłoniło ją do odwołania zeznań: strach przed ponownym zderzeniem ze strasznymi przeżyciami.

Ironicznie wykrzywiła twarz.

– Nic pan nie rozumie. Nie było żadnej dziewczyny z grubasem. To Johnny wyprowadzał dziewczyny. Grubas za każdym razem podążał za nimi jak pies, któremu wolno tylko powąchać kość.

– A więc Johnny istniał – stwierdził Rudolf Grovian.

– Oczywiście. Ale nie dla mnie. Nie zauważyłby mnie, nawet gdybym na niego wpadła.

Rudolf Grovian przybrał nieco ojcowski, upominający ton.

– Pani Bender, pani ciotka powiedziała...

Nie dała mu skończyć.

– Niech pan mi da spokój z tymi bzdurami! Margret o niczym nie ma pojęcia!

A może przy tym była? Niech pan zapomni o tych bzdurach. Niech pan lepiej posłucha pierwszej taśmy. Tam są prawdziwe odpowiedzi. Wczoraj zobaczyłam Georga Frankenberga po raz pierwszy. I słyszałam, jak ten drugi mężczyzna o nim opowiadał. Dlatego mogłam wymyślić historię o muzyce i piwnicy.

– Nie – sprzeciwił się. – Już kilka lat temu mówiła pani o piwnicy, śniła pani o niej. Pani ciotka była przy tym. A wczorajszej nocy nie załamano się pani dlatego, że za mocno naciskałam. Naciskałam, nie zaprzeczam temu. Ale to nie był powód załamania. Przypomniała sobie pani o piwnicy. Krzyczała, że tego nie wytrzyma. Że mam pani pomóc. Chcę pomóc, pani Bender. Ale musi mi pani wyjść naprzeciw. Pani ciotka powiedziała...

Ściągnęła usta i zaczęła kiwać głową. Wykrzywiła przy tym twarz w uśmiechu, rany nadawały jej bezbronny wygląd.

– Mogłabym opowiedzieć panu takie rzeczy o mojej ciotce, że pan by zdębiał. Pozwoliła sobie na pewną rzecz, to się chyba nazywa kradzież. W najgorszym koszmarze nie przyśni się panu, co ukradła. Margret okłamała pana tak samo jak ja. Może mi pan wierzyć na słowo. Nie stać ją na to, by powiedzieć prawdę. Ale zostawmy to, nie chcę grzebać w cudzych brudach. Mieszkając z nią, miałam kilka złych snów, zgadza się. Nie miały one jednak nic wspólnego z Georgiem Frankenbergiem. Chodziło o zupełnie inne sprawy.

– Wiem – odparł – o kozły, świnie i tygrysy. O robaki i tym podobne. Nie trzeba mieć wielkiej wyobraźni, żeby to odczytać. Według mnie chodzi o gwałt.

Jak to się stało, że zaczął wkładać w jej usta słowa, tego nie potrafiłby wyjaśnić. Dostrzegł spojrzenie niczego nierozumiejącego Wenera Hoßa.

A ona się roześmiała.

– Gwałt? Kto panu podsunął ten pomysł? Margret? – Skinęła głową, ponownie się zaśmiała, krótko i nieprzyjemnie. – Któż by inny! Jakież to denerwujące, że powiedziała o tym tylko panu. Powinna raczej omówić to ze mną, miałabym niezłą historię. Siedziałabym tu teraz jak baranek.

Margret często powtarzała, że poszłam własną drogą, wbrew wszystkiemu. Z jej punktu widzenia mogło to tak wyglądać. Ale to nie była moja droga, tylko próbny odcinek. Grzeszyć świadomie! I patrzeć, co się stanie. Igrać z życiem Magdaleny, jakby śmierć była tylko małą piłką, którą przerzuca się z ręki do ręki. Przez jakiś czas przyprawiało mnie to o dreszcze. Potem weszło mi w krew.

Zacząło się od drobiazgów. Od snu z wilkiem, po którym zmoczyłam łóżko. Nieustannie pragnęłam, by pojawił się znowu. Ponieważ uwalniał mnie przynajmniej w nocy na parę chwil. I pojawiał się. Prawie przez rok, niemal każdej nocy. Albo po południu wymykałam się do Grit i żebrałam o cukierka lub kawałek ciasta, który połykałam w pośpiechu. Za każdym razem, gdy wracałam potem do domu, przyglądałam się Magdalenie. Jej stan nigdy się nie zmieniał. Zatem małe grzechy nie mogły zabijać.

Nie chciałam jej zabić, naprawdę nie. Była dla mnie wielkim obciążeniem. Przez nią prowadziłam życie, którego nie chciałam. Ale po owym popołudniu z chusteczką i mokrymi stopami Zbawiciela często pragnęłam móc zrobić dla niej coś więcej, niż tylko z nią rozmawiać lub czytać jej opowieści biblijne.

Sądzę, że zaczęłam kochać siostrę. A gdy pałaszowałam u Grit słodycze... Pewnie chciałam tylko sobie udowodnić, że mogę grzeszyć, ile wlezie, i nie ma to wpływu na stan Magdaleny. Jeśli któregoś dnia małe diabły miały mi za to wrywać kawałki ciała rozpalonymi szczypcami, to był wyłącznie mój problem.

Pewnego dnia znalazłam na ulicy jedną markę. Miałam już jedenaście lat i chodziłam do gimnazjum. Nigdy wcześniej nie miałam własnych pieniędzy. Dziewczynki z klasy dostawały w niedzielę kieszonkowe od rodziców. W poniedziałek po szkole szły do małego sklepiku i kupowały sobie czekoladki, gumę albo lody na patyku. Mnie wyśmiewały, bo nigdy nie mogłam pójść do sklepu.

Rano, idąc do szkoły, zobaczyłam monetę. Wiedziałam, że choć mogę ją podnieść, powinnam ją oddać. Włożyłam markę do kieszeni. Na dużej przerwie opuściłam podwórko. To było zabronione. Poszłam do sklepu i kupiłam sobie lody. Gdy nauczycielka spytała, gdzie byłam, odpowiedziałam, że musiałam zamówić świece dla matki. Wszystko to razem musiało być równie złe jak grzech śmiertelny.

Po południu ociągałam się z powrotem do domu. Okropnie się bałam. Rano Magdalena nie czuła się dobrze. A ja... Ach, sama nie wiem, choć byłam już duża, choć nie chciałam w to wierzyć i paru ludzi zapewniało mnie, że matka jest niespełna rozumu, to jednak w jakiś sposób nadal w to wszystko wierzyłam.

Coś takiego tkwi mocno w człowieku. Nie ma na to żadnego dowodu – i żadnego zaprzeczenia. Niewiele da się zrobić. Można tylko próbować. Niektórzy sądzą, że jeśli przejdą pod drabiną, będą mieć pecha. Albo że spotka ich nieszczęście, jeśli czarny kot przebiegnie im drogę. I nigdy nie przechodzą pod drabiną. Gdy spotkają czarnego kota, zawracają. Ja jednak chciałam wiedzieć. Wróciłam do domu.

Już dawno przestałam dzwonić, tylko wchodziłam od tyłu przez kuchnię. Zanim dotarłam do drzwi, usłyszałam śpiew matki.

– Wielki Boże, chwalimy Cię. Panie, wysławiamy Twą moc. Kłania Ci się cała ziemia i podziwia Twoje dzieła. Jak było przed wiekami, teraz i zawsze i na wieki wieków. Wysławiają Cię wszystkie stworzenia, cherubiny, serafiny nucą Ci pochwalną pieśń. Wszystkie anioły wołają: święty, święty Boże.

Skoro matka śpiewała tę pieśń, wszystko musiało być w porządku. Tak też było. Weszłam do kuchni, Magdalena siedziała w fotelu, nad nogami miała ustawiony mały stoliczek. Jadła rosół – całkiem sama – i mrugnęła do mnie: mam uważać, co się teraz stanie. Czuła się znacznie lepiej niż rano.

– Tam więc, w górze, będzie mi bardzo nudno – powiedziała. – Cały dzień wołać tylko święty, święty, święty.

Czuła się na tyle dobrze, że mogła trochę podenerwować matkę. Lubiła to robić, bo często sama się na nią złościła. Magdalena nie była łagodnym dzieckiem. Kiedy była całkiem mała, nie mogła wiele zrobić. Gdy podrosła, także nie, mogła tylko mówić. A matka za każdym razem była zdumiona lub zaszokowana, być może dlatego, że ze względu na stan Magdaleny nie mogła jej wyrzucić do salonu, gdy wyśmiewała Zbawiciela lub matczyne poglądy. Błuznierstwo, mówiła matka, a to także był wielki grzech.

– Lepiej przestań śpiewać – krzyknęła Magdalena. – Tracę od tego apetyt. Jeśli

tam, w górze, nie będę mogła wołać nic innego, to chcę przynajmniej posłuchać ciekawszych rzeczy, będąc tu, na dole. Niech Cora opowie mi coś o szkole.

Opowieści o szkole – z czasem w to właśnie przekształciła się nasza zabawa w życzenia – zamiast telewizora. W szkole często coś się działo. Czasem ktoś się bił. Albo któryś ze starszych chłopców został złapany z papierosem. Raz jakaś dziewczyna zamknęła się w toalecie i wzięła tabletki. Nawet przyjechało pogotowie. Magdalena uważała takie historie za ekscytujące.

To było jej życie, niewiele przecież wychodziła – tylko co trzy miesiące jechała z matką do kliniki. Nie mogła pójść na spacer do miasta. A w dziecięcym wózku wstydziła się jechać, na to była już za duża.

Ojciec zaproponował, by kupić wózek inwalidzki. Nie chciała.

– Ten, który trzy razy dziennie szczypie się w ogon, że mnie zrobił, nie musi na mnie wyrzucać ani grosza – powiedziała mi.

Ojciec nie był taki zły, jak uważała. Często jej to powtarzałam. Poza tym zaproponowałam, że będę ją wozic w wózku. Ale matka się nie zgodziła. Magdalenie mogło się coś stać po drodze. Wtedy nie wiedziałabym, jak postąpić.

Chciałam móc coś dla niej zrobić, naprawdę. W wieku jedenastu lat pragnęłam tego niemal codziennie. Ale mogłam jej tylko opowiadać, co się działo w szkole. Gdy nie wydarzyło się nic wyjątkowego, coś zmyślałam. I tak nie zauważała różnicy.

Tamtego dnia mogłam jej opowiedzieć o marce. Nie zdradziłaby mnie. Jednak matka też była w kuchni. Sprzątała ze stołu i zmywała naczynia, wymyśliłam więc inną historię. Gdy skończyłam, Magdalena była już wyczerpana. Matka zabrała ją na górę. Kiedy jednak ojciec późnym popołudniem wrócił z pracy, z powrotem zeszła na dół.

Następnego dnia zrobiłam to znowu – nawet jeszcze gorzej. Zanim poszłam do szkoły, wyjęłam pieniądze z portmonetki matki – dwie marki. Na przerwie opuściłam podwórko szkolne, ale spytałam przedtem nauczycielkę o pozwolenie. Czy mogę pójść dowiedzieć się, czy dostarczono już świece. Nauczycielka powiedziała: „Oczywiście, Cora, tylko biegiem”.

Popędziłam do sklepu, kupiłam sobie lody i tabliczkę czekolady. Lody zjadłam od razu. Czekoladę schowałam w kurtce. Po południu zaniósłam ją do szopki i położyłam w najdalszym kącie pod starymi workami na kartofle.

Podchodząc do kuchennych drzwi, czułam bicie serca. Jednak zanim nacisnęłam klamkę, usłyszałam, jak Magdalena rozmawia. Tak jak poprzedniego dnia siedziała na fotelu, a przed sobą trzymała talerz z ziemniaczaną papką i jajkiem na miękko. Czuła się dobrze. Gdy odpoczęła godzinę, a ja pomodliłam się i odrobiłam lekcje, chciała się koniecznie ze mną pobawić.

Matka posłała mnie do Grit Adigar po chińczyka. Zanim z grą pod pachą wróciłam do kuchni, szybko pobiegłam do szopki, odłamałam kawałek czekolady i położyłam go sobie na języku. Czułam, jak się powoli roztopia. Gdybym go gryzła, matka zwróciłaby na to uwagę.

Magdalena obserwowała mnie, gdy rozstawiałam pionki na planszy. Zauważyła, że mam coś w buzi, ale nic nie powiedziała. Dopiero później, gdy matka wyszła, spytała:

– Co tam masz?

– Czekoladę.

Pomyślała, że dostałam ją od Grit.

– Jak odniesiesz grę, weźmiesz też kawałek dla mnie? Tylko żeby został paperek. Musisz mi włożyć czekoladę pod poduszkę. Zjem ją, jak matka położy mnie do łóżka. Postaram się, żeby nic nie zauważyła.

Matka nie chciała, by Magdalena jadła słodycze, choć nie powoływała się na Zbawiciela jak w moim przypadku, lecz na dentystę. Magdalena miała duży problem z zębami. Były zbyt słabe. Kiedyś w klinice musieli jej wyrwać trzonowiec, w którym zrobiła się dziura. Dali jej zastrzyk. Magdalena ledwo go zniosła. Lekarze powiedzieli matce, że coś podobnego nie może się powtórzyć. Dlatego tak bardzo przejmowała się myciem zębów Magdaleny.

Wiedziałam o tym. Wiedziałam też, że po wyszczotkowaniu zębów nie można jeść nic słodkiego, bo robią się dziury. Mówiąc dokładnie, wiedziałam, że jej zaszkodzi – naprawdę zaszkodzi, jeśli położę jej pod poduszką kawałek czekolady. Mimo to skinęłam głową.

Magdalena chwyciła kostkę i powiedziała:

– To zaczynajmy! I nie przejmuj się mną, Cora. Umiem przegrywać.

„I nie przejmuj się mną, Cora!” Ciągłe słyszę to zdanie. Stało się moim życiowym mottem. Niczym i nikim się nie przejmowałam, okłamywałam nauczycielkę i dzieci w szkole, a nawet ojca. Kradłam, co tylko się dało. Przynajmniej dwa razy w tygodniu zabierałam pieniądze z portmonetki matki. Kupowałam słodycze, chowałam je w szopce i zjadałam, gdy tylko miałam ochotę. Przy nadarżającej się okazji przynosiłam też co nieco dla Magdaleny i kładłam jej pod poduszkę. Gdy moje zapasy się kurczyły, znowu zabierałam pieniądze.

Początkowo bałam się, że ludzie ze sklepiku powiedzą coś matce. Ona też tam kupowała. Właściwie powinni się dziwić, skąd nagle wzięłam tyle pieniędzy. Aby temu zapobiec, powiedziałam kiedyś, że Margret przysłała mi gotówkę w liście i napisała, żebym nic nie mówiła matce, bo inaczej zabierze mi pieniądze i kupi za nie róże i świece. Kobieta w sklepie uśmiechnęła się i powiedziała:

– Nie pisnę twojej matce ani słówka.

Wtedy zrozumiałam, co oznacza posiadanie pieniędzy. Wszyscy nagle byli dla mnie mili, wszyscy, którzy wcześniej się ze mnie wyśmiewali albo mnie ignorowali. Gdy miałam dwanaście lat, kradłam matce przynajmniej trzy marki tygodniowo. Choć wtedy dostawałam już regularnie kieszonkowe od ojca.

Niekiedy dziwiło mnie, że matka nigdy nie odkryła braku pieniędzy. Nie wiem, czy z czasem stała się mniej uważna, czy też przekonałam ją, że jestem najcnotliwszą istotą na ziemi. Być może jednak ją przekonałam. Przyznawałam jej zawsze rację, nieważne, jakie opowiadała bzdury. Pomagałam w domu, z własnej woli zmywałam naczynia, ścierałam kurz lub przynosiłam wysuszone pranie, aby mogła się zajmować Magdalena. Robiłam tak zawsze, gdy dopadały mnie wyrzuty sumienia. A miałam je często, bo zabierałam sobie wszystko i bardzo rzadko mogłam się tym podzielić z siostrą.

Rezygnowałam z kolacji, jeśli po południu opchałam się słodyczami tak, że nie mogłam już przełknąć ani kęsa. Matce mówiłam:

– Dziś poczułam w sobie nawrót pożądlivosti. Muszę uczynić pokutę.

Matka uważała, że taka postawa jest wspaniała.

Wrywałam się także do robienia zakupów. Mówiłam:

– Pozwól mi się tym zająć, mam. Jestem młoda i silna. Mogę dźwigać ciężkie rzeczy. Ty potrzebujesz sił, by opiekować się Magdaleną.

Potem dodawałam jeszcze, że wolę pójść do Aldiego, bo tam wszystko jest tańsze.

– Nie można pozwalać bogacić się handlarzom.

Matka uważała, że jestem dla niej wielką pomocą i że dużo się nauczyłam od Zbawiciela. Czasami mówiła, że jest ze mnie dumna.

Gdy opowiadałam Magdalenie, co udało mi się wmówić matce, twierdziła:

– Trzeba ją nabierać, jak tylko się da. Głupota musi zostać ukarana.

Magdalena sądziła, że chodzę do miasta dłuższą drogą po to, żeby później móc jej opowiedzieć, czy gdzieś wydarzyło się coś ciekawego. Nigdy nie przyznałam się jej, dlaczego naprawdę wolę chodzić do Aldiego. Bo łatwiej tam było kraść, a w pobliżu znajdował się Woolworth.

Niemal połowa rzeczy, które przynosiłam do domu, nie była kupiona. W Aldim kradłam słodycze i trochę produktów, które miałam kupić dla matki. Z Woolwortha zabierałam spinki, szminki i inne drobiazgi, które łatwo dało się schować w kieszeni kurtki, a których sama nie potrzebowałam. Sprzedawałam je potem na podwórku.

Kradłam tak dobrze, że trudno uwierzyć. Wyglądałam miło i niewinnie, nikt mnie o nic nie podejrzewał. Wielu ludzi wiedziało, kim jestem. Kobieta, która zwykle siedziała w Aldim przy kasie, mieszkała przy naszej ulicy. Dla niej byłam tylko biednym dzieckiem. W sklepie Woolwortha jedna ze sprzedawczyń przyjaźniła się z Grit Adigar, więc szło mi równie łatwo.

Nikt nigdy nic nie zauważył. Ci, którym sprzedawałam rzeczy, też nie. Musiałam im tylko powiedzieć:

– Ciotka znowu przysłała mi paczkę. Ale co mam z tym zrobić? Będę mieć z matką krzyż pański, jak tylko zobaczy szminkę.

Wszyscy byli zadowoleni, bo kupowali u mnie za połowę ceny.

Miałam wtedy mnóstwo pieniędzy do dyspozycji. Kieszonkowe od ojca, drobne sumy z portmonetki matki i dochody z podwórka. Niewiele wydawałam. Chomikowałam wszystko, pieniądze i przysmaki. Często udawało mi się nazbierać w szopce tyle słodyczy, że nie byłam w stanie zjeść ich sama. W lecie czekolada topiła się pod starymi workami na kartofle. Zaczęłam więc zabierać część do szkoły i rozdawać innym dzieciom. Zostałam ich najlepszą koleżanką i na przerwie klóciły się, kto ma się ze mną bawić.

A ja bezustannie igrałam z życiem Magdaleny. To było jak z drabiną. Raz człowiek zbiera się na odwagę, przechodzi pod nią i nic się nie dzieje. A potem robi to znowu. W końcu zaczyna mu się wydawać, że nie istnieje żaden pech, który mógłby go prześladować. Ale los nie daje się oszukać jak matka, która ma źle w głowie. I wreszcie uderza, gdy nikt się tego nie spodziewa.

Przez długi czas zdawało się, że nie mam wpływu na stan Magdaleny. Bez względu na to, co robiłam i jak postępowałam, czuła się równie dobrze czy też źle. Zależało, jak

się na to patrzyło. Pokonała białaczkę. Po pięciu latach, twierdzili lekarze, śmiało można było mówić o całkowitym wyleczeniu.

Oczywiście matka przypisywała wszystko naszym modlitwom, ponieważ nawet lekarze przyznawali, że to cud. Ja tymczasem całkiem przestałam się modlić. Klęczałam przed krzyżem i wymyślałam historie dla Magdaleny.

Kiedyś opowiedziałam jej, że znalazłam prawdziwą przyjaciółkę. Miałam już prawie trzynaście lat i spokojnie mogłam sobie jakąś kupić. Uzbierałam w szopce osiemset marek i wiedziałam, że Magdalena myliła się, myśląc, że za pieniądze można było kupić wszystko.

Historię o przyjaciółce uznała za fascynującą. Musiałam jej dokładnie opisać tę dziewczynkę. Chciała znać każdy szczegół. Ile ma wzrostu? Jest gruba czy chuda? Ładna? Czy rozmawiamy też o chłopakach? Czy była już kiedyś zakochana? Czy sądzę, że uda mi się przyprowadzić ją pod dom? Wtedy mogłaby ją zobaczyć.

Pewnego popołudnia siedziałyśmy przy oknie w sypialni. Widać było stamtąd całą ulicę. Magdalena leżała na łóżku, ja czuwałam przy oknie. Gdy pokazała się na ulicy naprawdę ładna dziewczyna, przywołałam Magdalенę do okna. Przytrzymałam ją mocno jedną ręką i zapukałam w szybę. Dziewczyna rozejrzała się i zerknęła w górę. Potrząsnęła głową, pewnie uznała, że jesteśmy głupie.

A ja opowiedziałam Magdalenie, że moja przyjaciółka dobrze wie, iż musi być bardzo ostrożna z powodu matki. Tylko dlatego potrząsnęła głową. Magdalena wierzyła mi we wszystko.

Gdy pewnego dnia spędziłam pół dnia na zakupach, opowiedziałam jej, że przyjaciółka zaprosiła mnie do lodziarni. Zafundowała mi pucharek truskawkowy z bitą śmietaną. A potem opowiedziała o chłopaku, w którym się zakochała. On jednak nic o tym nie wiedział.

Następnego dnia opowiedziałam jej, że napisałyśmy list do tego chłopaka. Przyjaciółka poprosiła mnie, żebym mu go podsunęła. Kłamstwa! Kłamstwa! Kłamstwa! Czasami wydawało mi się, że moje życie to jedno wielkie kłamstwo.

Rozdział 8

Rudolfa Groviana stopniowo ogarniała wściekłość – nie na nią, na siebie. Przez myśl przebiegło mu ostrzeżenie jej ciotki: wtedy Cora zamknie drzwi. Cholera, źle się do tego zabrał. Ale przecież musiał istnieć jakiś sposób, by jeszcze raz wcisnąć palec między zatrzaśnięte drzwi. Próbował przez pewien czas, jednak nie potrafił znaleźć właściwego tonu. Wspominając o Margret, sprawił jedynie, że zamknęły się na kilka dodatkowych kłódek.

Na pytanie, w jaki sposób Margret Rosch go okłamała i co takiego straszego ukradła, że nie przyśniłoby mu się to nawet w najkoszmarniejszym śnie, odparła:

– Niech pan wykonuje swoją pracę sam. Panu za to płacą, nie mnie.

Wrócił do kluczowej kwestii. Czy Johnny był tą samą osobą co Georg Frankenberg? Nie odpowiedziała. Poczul się zmuszony ponownie użyć gróźb, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty.

– Pani Bender, w takim razie będę musiał porozmawiać z pani ojcem.

Uśmiechnęła się.

– Niech pan spróbuje raczej z moją matką, razem z Biblią zjadła wszystkie rozumy. Tylko proszę sobie dobrze zabezpieczyć kolana. – Potem łyknęła nieco kawy, zdecydowanym ruchem odstawiła filiżankę i spojrzała na niego. – To by było na tyle, prawda? Mogę się przebrać, zanim zaprowadzi mnie pan do sędziego? Mam przepocone ubranie. Włożyłam je wczoraj i w dodatku w nim spałam. Chciałabym też umyć zęby.

W tej chwili ogromnie jej współczuł. Zawsze była zdana wyłącznie na siebie. Dlaczego miała mu uwierzyć, gdy zaoferował jej pomoc? No bo jakiej pomocy tak naprawdę mógł jej udzielić? Kilka lat za kratkami. Starając się zachować jak najbardziej neutralny ton, odparł:

– Pani rzeczy jeszcze tu nie ma, pani Bender. Poprosiliśmy wczoraj pani męża, by coś przyniósł. Do tej pory się nie pojawił.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– I się nie pojawi. Mówiłam przecież, że Margret ma to zrobić.

Pół godziny później przyjechała Margret. Do tego czasu jeszcze trzy razy próbował się czegoś dowiedzieć. Kim była druga dziewczyna? Za pierwszym razem starał się mówić spokojnie. Zaproponowała:

– Niech pan spyta moją matkę. Z ojcem też może pan spróbować. Jak mu pan opowie, że zostałam zgwałcona, podczas gdy drugą dziewczynę pobito na śmierć, na pewno się ucieszy.

Za drugim razem odezwał się z większym naciskiem. Spojrzała na Wenera Hoßa i spytała:

– Czy pański szef potrzebuje aparatu słuchowego, czy też po prostu jest uparty? Ma chyba jakiś problem, nie? Dla mnie brzmi jak zacięta płyta.

Za trzecim razem niemal błagał. A ona popatrzyła tylko na ekspres do kawy i zapytała:

– Zabrał go pan z domu? Nie stać pana na nowy ekspres do biura? Nie są przecież

takie drogie. Niektóre gotują wodę. Wtedy kawa smakuje o wiele lepiej. Kupiłam sobie taki. Będzie mi go brakowało. A może będę mogła mieć w celi własny ekspres? Jeśli tak, każe go przywieźć. Gdy mnie pan odwiedzi, poczęstuję pana filiżanką kawy. Bo przecież będzie mnie pan odwiedzał? Urządzimy sobie miłe popołudnie z kawą i niesamowitymi opowieściami. Zobaczmy, kto z nas jest lepszy.

To była dla niego ciężka próba; prawie poczuł ulgę, gdy wreszcie usłyszeli pukanie do drzwi i weszła jej ciotka. Margret Rosch przyniosła małą walizkę. Werner Hoß przejrzał jej zawartość. Niewiele tego było: dwie nocne koszule, przybory do mycia, dwie bluzki, dwie proste spódnice, kilka kompletów bielizny, dwie pary pończoch, kilka butów na niskim obcasie i oprawiona w ramki fotografia dziecka.

Było to ładne zdjęcie zrobione na tarasie. Mały siedział na ziemi z ręką na wielkim zielonym traktorze, patrząc pod światło w stronę aparatu.

Gdy Werner Hoß odłożył fotografię do pozostałych rzeczy, skinęła dłonią. Jej twarz zeszywniała, głos brzmiał twardo i bezosobowo, a spojrzenie, które rzuciła ciotce, było lodowate.

– Zabierz to z powrotem!

Margret Rosch, która w nocy robiła wrażenie bardzo energicznej, wyglądała w tej chwili na bezradną i jakby przestraszoną.

– Dlaczego? Myślałam, że będziesz chciała mieć przy sobie zdjęcie małego. To na pewno dozwolone, prawda? – Przy ostatnim zdaniu rzuciła Grovianowi niepewne spojrzenie.

Skinął głową.

– Nie chcę go – odparła Cora. – Zabierz je z powrotem!

Jej ciotka niczym zawstydzone dziecko zabrała fotografię ze stosu ubrań i włożyła do torebki.

– Przyniosłaś mi tabletki? – spytała Cora.

Margret Rosch skinęła głową, ponownie sięgnęła do torebki i wyjęła opakowanie z lekarstwami. Rudolfowi Grovianowi wydało się, że rozumie już, dlaczego nie udało mu się ponownie włożyć palca między drzwi.

– To zabronione – powiedział.

– Ale są jej potrzebne – zaprotestowała Margret Rosch. – Często mocno boli ją głowa. To skutki ciężkiego urazu czaszki. Przecież wczoraj opowiadała panu o wypadku. – Wyraźnie położyła nacisk na ostatnim słowie.

Wyjął lekarstwa z jej dłoni.

– Wezmę to i wręcę odpowiednim ludziom. Jeśli potrzebuje tego środka, otrzyma go. W przepisanej dawce.

Margret Rosch postąpiła krok naprzód, jakby chciała wziąć bratanicę w ramiona.

– Daj spokój! – powiedziała niemal nonszalancko Cora. – Najlepiej będzie, jak uznasz, że umarłam. Niepotrzebne ci są przecież do tego moje zwłoki, prawda? A jeśli już koniecznie jakieś chcesz mieć, idź do waszej kostnicy, zawsze tam parę leży.

Dla Rudolfa Groviana uwaga ta odzwierciedlała czystą nienawiść. Reakcja ciotki na jej słowa zdawała się potwierdzać jego odczucia. Przełknęła z trudem ślinę, opuściła ramiona i bez słowa pożegnania skierowała się do drzwi. Sekundę później zamknęła je za

sobą. Skinieniem głowy dał Wernerowi Hoßowi znak, aby on także opuścił pokój. Gdy został z nią sam, podjął ostatnią próbę.

– A więc, pani Bender – powiedział – teraz jesteśmy sami. I porozmawiamy ze sobą jak dorośli i rozsądni ludzie. Nad jeziorem się pani nie udało. Z tabletkami też nie wyjdzie. Nie ma nawet co myśleć o innym sposobie. Koniec. Zamykam pani drogę ucieczki. Niech pani lepiej spróbuje popatrzeć wstecz.

Nie zareagowała.

– Ciężki uraz czaszki – stwierdził z namysłem. – Ma pani na czole dość głęboką bliznę. Została uszkodzona nie tylko skóra, ale także kość. Zwróciłem na to uwagę w nocy. Zanim pani zemdląca, mówiła o kryształowej łapie i jakie to było straszne, gdy pani mąż przedtem palił papierosa. Bo właśnie popielniczka to spowodowała. Niech mi więc pani już nie opowiada, że wbiegła pod samochód.

Wydawało mu się, że się uśmiecha.

– Nic już panu nie powiem. Przypuszczam, że kiedy zwierzę się sędziemu, to wszyscy jeszcze zdążymy skorzystać z weekendu. Co na to pańska żona, że pan tu tak przesiaduje? A może nie ma pan żony?

– Mam.

– To dobrze. – Nie tylko się uśmiechała, wręcz wykrzywiła usta w tym uśmiechu. – Niech pan wsadzi żonę do samochodu i po odprowadzeniu mnie wybierze się z nią na miłą wycieczkę. Pogoda jest wspaniała. Niech pan pojedzie nad Otto-Maigler-See. Najlepiej niech pan zabierze też Wenera Hoßa. Pokaże panu ciekawą plamę. Wczoraj zabito tam mężczyźnię. Proszę sobie wyobrazić, że biedaka zamordowano tylko dlatego, że okazywał czułość żonie i słuchał przy tym muzyki. Była tam jedna głupia krowa, której się to nie spodobało i kompletnie ześwirowała.

Spróbował użyć autorytetu.

– Pani Bender, może pani sobie oszczędzić tych gierek. Skąd ma pani tę bliznę?

Stała się napastliwa.

– Może mnie pan pocałować...

Jeszcze jedna próba, by skonfrontować ją z jej własnymi lękami.

– Chyba pani tego nie lubi. Wczoraj pani tak sugerowała, a może źle zrozumiałem?

Spojrzała na niego. Zdrowe oko wyglądało jak dziura w twarzy. Chętnie dowiedziałby się, co jarzyło się w tej dziurze – wściekłość czy panika. Przez kilka chwil sądził, że odnalazł właściwy ton. A ona wskazała na prawą stronę głowy.

– Tu też mam bliznę, jest jeszcze większa. Chce pan zobaczyć? Musi pan unieść włosy. Tylko że już niezbyt widać. Załatali ją.

– Kto spowodował te obrażenia?

Wzruszyła ramionami, krzywy uśmiech ponownie pojawił się na jej pobitej twarzy.

– Przecież już panu mówiłam. Jeśli mi pan nie wierzy, to pańska sprawa. Uderzyłam głową o maskę samochodu. Więcej nie powiem. Byłam na haju, gdy to się stało. Konował przecież panu wszystko wygadał o moich ramionach. A Margret też na pewno opowiedziała, co się ze mną wtedy działo. Ćpałam. – Wyciągnęła lewe ramię i wskazała zgięcie łokcia. – Nie byłam dość ostrożna, nie dbałam o higienę. Zrobiło się poważne zapalenie. Prawdziwe dziury. Widzi pan? Jakie zgrubienia? – Palcem prawej

dłoni pogładziła zabliźnioną tkankę. – Próbowałam wszystkiego, co można było dostać – wyjaśniła. – Haszu, koksu, na koniec heroiny. – Zaśmiała się cicho i dodała: – Ale bez obaw. Niczego pan nie zaniedbał. Od lat jestem czysta. Wczoraj byłam tak samo czysta jak pan. A jak się umyję, znowu będę normalnie pachnieć. Pokaże mi pan teraz, gdzie mogę się przebrać?

Mówiła bardzo nonszalancko, ochryply ton jej głosu zdradzał wrogość. A on nie miał pojęcia, jak się czuje człowiek po traumatycznych przeżyciach. Porównanie z murem uznał za trafne. Udało mu się to, czego nigdy nie osiągnął z własną córką: wytrwać na własnym stanowisku, zachować spokój, opanowanie, wyrozumiałość i cierpliwość. Wyobrażał sobie po prostu, że Cora stoi przed swoim murem, zębami i pazurami broniąc przed nim wszystkiego, co za tym murem ukryte.

– Dlaczego nie powiedziała nam pani już w nocy, że była uzależniona?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Bo myślałam, że to pana nie obchodzi. Minęło kilka lat i to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Mąż o niczym nie wie. Miałam nadzieję, że się nie dowie. To było na długo przed nim.

– W czasach Georga Frankenberga? Czy to on podawał pani narkotyki?

Spojrzała na sufit i powiodła oczami.

– Przeciw komu pan właściwie prowadzi dochodzenie, przeciwko mnie czy jemu? Co chce pan jeszcze przypisać temu biednemu łajdakowi? Chce pan koniecznie uznać go za przestępcę? Nie pasuje do pana światopoglądu to, że kobieta może zabić tylko dlatego, że denerwowała ją głośna muzyka? Powiedzieć panu coś? Właściwie to chciałam zabić kobietę. On miał po prostu pecha, bo leżał na niej, na górze.

Rudolf Grovian się uśmiechnął.

– A dla pani wyglądało to tak, jakby się na nią rzucił. Bała się pani, że może ją uderzyć. Czy przypomniła pani sobie o tym, co się zdarzyło w piwnicy?

Nie od razu odpowiedziała. Dopiero po paru chwilach i głębokim, nerwowym westchnieniu stwierdziła lakonicznie:

– Jeśli koniecznie chce się pan trzymać tej historii, niech pan sam znajdzie odpowiedź. Niech pan po prostu spyta jeszcze paru ludzi. Przecież lubi pan zadawać pytania. Dlaczego mam panu psuć zabawę?

Przy ostatnich słowach chwyciła z biurka bluzkę, spódnicę, komplet bielizny i szczoteczkę do zębów. Tym razem nie spytała o pozwolenie. Po prostu podeszła do drzwi.

Podążył za nią, dołączył do nich Werner Hoß. Na korytarzu spróbował jeszcze raz.

– Pani Bender, bycie tak upartą nic pani nie pomoże. Jeśli Georg Frankenberg...

– Kto tu jest uparty? – przerwała mu. – Na pewno nie ja. Nie lubię tylko tego drażenia. Widzi pan przecież, czym to się kończy. Stosem brudów! Opowiedziałam panu taką piękną historię. Na początku naprawdę romantyczną. A na końcu poruszającą. Martwe dziecko. Martwe dzieci zawsze są poruszające, a nigdy brudne. Prawda jest brudna. Prawda jest pełna larw i robaków, czernieje, a jej smród unosi się do nieba. Nie lubię brudu i smrodu.

– Ja też nie, pani Bender. Ale lubię prawdę. A w tym wypadku szczerłość

w stosunku do nas byłaby dla pani korzystna.

Roześmiała się krótko.

– Niech się pan nie martwi o moją korzyść. Sama się o nią zatroszczę. Robiłam to już jako dziecko. Dość wczesnie zesłam na złą drogę. W pewnym momencie człowiek zupełnie się stacza. Oto pańska prawda. Nikt nie musiał mi nic dawać, na pewno nie dragi. Brałam sobie to, co chciałam mieć.

Podczas gdy – z konieczności przy otwartych drzwiach – myśla się i przebierała, stał – z Wernerem Hoßem jako świadkiem – na korytarzu, słuchając dochodzących z pokoju odgłosów i wciąż na nowo odtwarzając w głowie jej rozmowę z Margret Rosch.

Doszło do tego, że sam zaczął się uważać za schizofrenika, dopatrującego się w nieszkodliwych wypowiedziach ukrytych sygnałów, a w zszokowanej i zatroskanej ciotce wysłanniczki śmierci. Ale bez względu na poczucie schizofreniczności musiał tak czy siak jeszcze raz dokładnie przyjrzeć się zawartości walizki. Ręczył głową, że nie dało się jej wyprowadzić z równowagi dlatego, że ciotka przyniosła jej coś więcej niż tylko tabletki. Być może opakowanie z lekarstwami było tylko wyrafinowanym posunięciem, by odwrócić jego uwagę od żyłki lub czegoś podobnego.

Jej umysł był nadal zamrożony jak twarda bryła, od której nie dało się odłupać ani kawałka, której nikt nie mógł stopić. Niech szef się wścieka, ile chce. Tylko pod żebrami paliło ją boleśnie. Margret nie powinna była przynosić zdjęcia.

To był ciężki cios jeszcze raz zobaczyć dziecko, takie radosne i niewinne. Ostatnie spojrzenie wstecz. Żona Lota zmieniła się za karę w słup soli. Ona tylko zeszywniała w środku, była tak sztywna i zimna jak jej matka wtedy, gdy siedząc na łóżku z Magdaleną na rękę, mówiła o wielkiej winie, której Pan nie wybaczył.

Ale dziadkowie dobrze zajmowali się małym. Nie myślała już o nich jako o teściach. Kiedyś będą mogli mu powiedzieć, że jego matka umarła. Wtedy będzie to prawda. Niech szef zamyka drogę, jak chce. Wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała też czym! A Margret także zdawała się wiedzieć, że w celi nie ma zbyt wielu możliwości i trzeba ograniczyć się do czegoś wyglądającego całkowicie naturalnie i niewinnie. Po śmierci oskarżonej dochodzenie na pewno zostanie przerwane. Dlaczego mieliby dalej grzebać w tym gównie?

W drodze do Brühl milczeli. Werner Hoß prowadził, szef zajął miejsce obok niego. Wydawało się, że wreszcie zrozumiał, iż w jej przypadku ani prośbą, ani groźbą nic nie wskóra, trafi tylko głową w mur, nawet gdyby błagał ją na kolanach.

U sędziego wszystko odbyło się zaskakująco sprawnie. Szef rzeczowym tonem przedstawił ciężące na niej zarzuty. Wysłuchiwała ich z nieporuszoną miną. Sędzia zapytał, czy ma coś do dodania. Odparła, że już wszystko powiedziała i nie chce się powtarzać. Sędzia zarządził, by zatrzymano ją w areszcie. Pouczył ją raz jeszcze o jej prawach i na tym się skończyło. Jakoś przetrwała.

Czekał ją jeszcze mały szok, gdy szef niezwykle dokładnie przeszukał jej walizkę. Pomacał nawet podszewkę, jakby spodziewał się w niej kilku ziarenek piasku. Wreszcie zabrał pończochy.

– Co panu przychodzi do głowy? – zaprotestowała. – Nie ma pan prawa zabierać moich rzeczy.

– Mam mnóstwo praw – odparł. – A na pończochy jest przecież za ciepło. W tej chwili ich pani nie nosi.

Potem zostawił ją samą. Obiad zjadła w celi. Nie był zły. W porównaniu z tym, co wcześniej podawała matka, był wręcz pyszny.

Dotarła tam i już została. Jak gdyby przeszłość stanowiła prawdziwy cel jej życia, a ona musiała jeszcze raz dokładnie przypomnieć sobie, jakim jest złym człowiekiem. A przy tym te wspomnienia, które do tej pory się wyrwały, były jeszcze stosunkowo nieszkodliwe.

W regularnych, bardzo krótkich odstępach czasu słyszała hałas przy drzwiach. Szef faktycznie polecił, by ją obserwowano. Ale jeśli wyobrażał sobie, że może ją zmusić, by obrała drogę ucieczki wstecz, to zdecydowanie się mylił.

Wściekłość na niego utrzymywała ją w gotowości. A w głowie, wciąż zimnej jak lód, pojawiały się niezwykle jasne myśli. Czekala, aż przyjdzie kolejny człowiek, by zadać jej kilka pytań. Nie musiała czekać długo.

W poniedziałek około dziesiątej rano została zaprowadzona na przesłuchanie do prokuratora. Był to młody, wyjątkowo sympatyczny mężczyzna. Miał przed sobą stos papierów, które chciał z nią omówić. Zaznaczył, że jej zeznania w takiej formie nie mają żadnej wartości. Może je zaakceptować dopiero wtedy, gdy poda mu nazwiska obu pozostałych mężczyzn. Nie te głupie ksywki Böcki i Tiger. Potrzebował prawdziwych nazwisk. Oczywiście dziewczyny też. To leży w jej interesie.

Niemal się roześmiała. Jakby ten młodzik wiedział, co leży w jej interesie!

– Czy pan Grovian nie powiedział panu, że wczoraj odwołałam wszystkie te nonsensy?

Prokurator pokręcił głową. Popatrzyła na niego niepewnie, po czym udało się jej powiedzieć z rezygnacją:

– Co więc mam powiedzieć sędziemu, co mi pan radzi?

– Prawdę – odparł prokurator.

Najpierw z przygnębieniem skinęła głową, potem wyjaśniła cicho:

– Ale prawda jest taka żałosna. Byłam strasznie wściekła na tamtą kobietę.

– A co ona takiego zrobiła, że się pani wściekła? – spytał prokurator.

– Właściwie nic – wymamrotała. – Mój mąż uważał, że jest niezła. „Ona ma przynajmniej w sobie trochę ognia”, powiedział. Zawsze się starałam, by był ze mnie zadowolony. A tu przychodzi taka krowa i on już nie może od niej oderwać wzroku. I to nie pierwszy raz. Zawsze się ślinił, gdy byliśmy nad jeziorem. A potem wygłaszał mowę, że jestem pruderyjna i przewrażliwiona. Czasami chciał robić rzeczy, których nie lubiłam. Mogłam sobie wyobrazić, co mnie czeka wieczorem. I nagle poczułam, że mam tego po prostu dość, rozumie pan? Chciałam jednej z tych cholernych, bezwstydných bab zostawić pamiątkę. Ale nie dosięgłam jej. A potem pomyślałam... – Wpatrywała się ponad jego ramieniem w jakiś nieokreślony punkt na przeciwległej ścianie. – Pomyślałam, że to wszystko jedno, czy dosięgnę jej czy jego. Jemu też to sprawiało przyjemność. Wszyscy są tacy sami, świnie.

To wystarczyło prokuratorowi. Spytał jeszcze o zadane rany, a dokładnie mówiąc, wymienił je. Gdy jedynie wzruszyła ramionami, zapytał, skąd się wzięły obrażenia na jej

głowie. Powtórzyła to, co ostatnio powiedziała szefowi. Naszprycowana heroiną, wpadła prosto pod samochód. A litościwy samarytanin nigdy nie istniał, sama wymyśliła tego pijanego kierowcę. Leczone ją w szpitalu w Dülmen.

Mówiąc to, nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, nie wiedziała nawet, czy w Dülmen był szpital. Manni Weber urodził się i dorastał w tym mieście, jego babka wciąż tam mieszkała. Rok temu poprosił o kilka dni bezpłatnego urlopu. Jego babcia przewróciła się i ze złamaną szyjką kości udowej leżała w szpitalu. Gdzie dokładnie, tego Manni Weber nie powiedział.

Prokurator się nie uśmiechnął.

– Sprawdzimy to – powiedział.

Pomyślała, że powinien wreszcie dać jej zeznania do podpisu. Ale nie. Stwierdził, że wszystko trzeba spisać jeszcze raz. I najlepiej poczekać z tym, aż sprawdzą jej informacje. Wtedy będzie mogła złożyć i podpisać zeznanie u sędziego.

Tuż po dwunastej znowu znalazła się w celi. Przez pół popołudnia łamała sobie głowę, jak zakończy ów dramat. Wreszcie wpadła na pomysł z papierowymi chusteczkami. Nie miała ich, ale z pewnością dostanie paczuszkę, jeśli poprosi. Papierowe chusteczki były tak samo niewinne jak przepłynięcie kawałka jeziora. Gdy przyniesiono jej kolację, poprosiła o nie.

– Ma pani katar? – zapytała wartowniczka.

Skinęła głową i pociągnęła nosem. Wartowniczka powiedziała:

– Zaraz przyniosę pani kilka chustek. – Po czym odeszła.

Cora zjadła trochę, czuła się dobrze, nie miała tylko apetytu, ale pod innymi względami wszystko było z nią w porządku. Gdy odsunęła tacę na bok, uklękła na podłodze przed łóżkiem i złożyła dłonie.

To był pierwszy raz od dłuższego czasu i udało się tylko ze względu na brak krzyża. Wcale nie było tak trudno prosić niewidzialnego Zbawiciela o wybaczenie ostatniego grzechu. Jednocześnie ujrzała przed sobą zakrwawioną twarz mężczyzny. Georg Frankenberg! A jego spojrzenie... Wybaczył jej, to było pewne.

Jakaś jej część wciąż była całkowicie przekonana, że zamordowanie go było dobre i słusne. Ta część musiała być szalona. Frankie, pomyślała. Czuły mężczyzna! Żonaty od trzech tygodni. W jej przypadku były to trzy lata. Trójka to magiczna cyfra. Natychmiast to sobie uświadomiła, choć nie od razu wiedziała, co tak szczególnego kryje się w trójce. A gdy wreszcie przyszło jej to do głowy...

Na Golgocie stały trzy krzyże. Obaj mężczyźni ukrzyżowani ze Zbawicielem zasłużyli na śmierć. Jedynie ten pośrodku był bez winy.

Myśl ta uderzyła ją niczym rozpalone żelazo, wbiła się między łopatki, wpełzła na kark i dalej, wdarła się do umysłu i spowodowała, że zamarznięta bryła zaczęła się roztopiać. Jak mogła to choćby na sekundę stracić z oczu? Zbawiciel nie miał żadnych wad, był czysty i niewinny jak żaden inny człowiek. Przez kilka minut drżała niczym w spazmie. Było tak, jakby nagle stanął obok niej ojciec: „Co uczyniłaś, Cora? Co uczyniłaś?”. A nad jego głową unosił się krzyż z niewinnym mężczyzną.

Gdy wreszcie udało się jej wstać z klęczek, podeszła do umywalki. Jakiś czas później zabrano tacę, a ona nadal myła ręce, zapominając o papierowych chusteczkach.

Wartowniczką też o nich nie pamiętała.

Rudolf Grovian spędził w niedzielę kilka godzin nad Otto-Maigler-See. Bynajmniej nie po to, by spełnić zalecenie Cory, nie zabrał też ze sobą żony. Gdy wsiadał do samochodu, Mechthild była już w drodze do Kolonii. Czekala na niego z obiadem, oczywiście miała nadzieję, że będzie jej towarzyszył. Ale myśl o spędzeniu kilku bezużytecznych godzin w mieszkaniu córki, skoro nawet nie widział jeszcze miejsca zbrodni, powstrzymywała go.

Tylko że nie było tam nic do zobaczenia oprócz jeziora i tłumu ludzi. Nie miało też sensu siedzenie w słońcu i wczuwanie się w atmosferę otoczenia. Był zde gustowany, wahał się pomiędzy własnymi poglądami a opinią Wernera Hoßa, że Johnny, Tiger i Böcki nie mieli nic wspólnego z Georgiem Frankenbergiem.

Siedział na wydeptanym trawniku i obserwował półnagich ludzi, młodych i starych, mężczyzn, kobiety i dzieci. Starsza para, trzymając się za ręce, weszła do wody. Mężczyzna musiał się zbliżyć do wieku emerytalnego albo może już go przekroczył. Sam Grovian nie pamiętał, kiedy ostatni raz szedł z Mechthild za rękę. Dawniej często rozmawiali o tym, co chcą robić, gdy córka wyprowadzi się z domu. Czasami wyjazd w nieznane, kilka dni w Schwarzwaldzie lub nad Morzem Północnym, ale do tej pory nic z tego nie wyszło.

Nieco dalej mężczyzna z małym chłopcem grali w piłkę. Chłopiec był niewiele większy od wnuka Groviana. Kopnął niezręcznie piłkę w jego kierunku. Mężczyzna złapał ją i odrzucił. Chłopiec uśmiechnął się, a Grovianowi przyszło na myśl, że jego wnuk wkrótce przestanie się śmiać. A może i nie!

Należało przyjąć, że Marita, jeśli jej małżeństwo rzeczywiście się miało rozpaść, będzie chciała wraz z synkiem zamieszkać w ich domu. Otrzeźwiająca myśl, która na chwilę zepchnęła wszystko na dalszy plan! Zniknąłby domowy spokój. Nie miał nic przeciwko kilku klockom w salonie ani odrobinie dziecięcego śmiechu czy płaczu, ale spokojne wieczory na kanapie musiałyby odejść w przeszłość, gdyby córka wróciła do domu.

Przed oczami stanął mu obraz z przeszłości. Stół w salonie zawalony lakierami do paznokci, szminkami, tuszem do rzęs i innym szajsem, który rozsmarowywała sobie po twarzy. Sto, tysiąc razy żądał, by nakładała swoje barwy wojenne w łazience. Ale nie! Podobno światło było tam złe, a Mechthild powiedziała:

– Zostaw ją wreszcie, Rudi. Czy każdego wieczoru konieczny jest ten sam cyrk?

Niecałą godzinę później siedział w mieszkaniu córki zdecydowany ratować, co tylko się da. Zięcia nie było. A jego próby ratowania sytuacji zostały odrzucone słowami:

– Nie mieszaj się, Rudi, nie masz pojęcia, o co chodzi.

Mechthild trzymała wnuka na kolanach. Spytała właśnie:

– Tak, ale jak ma być...

Nie skończyła. Jak ma być, Marita dokładnie przemyślała. Nie było mowy o powrocie do domu rodziców. Przestronne mieszkanie w porównaniu z pokojem w domu rodziców, możliwości w wielkim mieście wobec małomiasteczkowego zaduchu, nie miała najmniejszej ochoty na zamianę. Strona finansowa nie stanowiła problemu, Peter oczywiście będzie musiał płacić. Trzy tysiące miesięcznie, tak to sobie wyobrażała

Marita.

– Ustala się także mniejsze sumy – powiedział Rudolf Grovian.

– A także większe – odparła jego córka. – A przy swoich zarobkach będzie przynajmniej wiedział, na co haruje.

Potem zapomniała o jego obecności i ponownie rozmawiała wyłącznie z matką. Chodziło o poważne zaniedbanie, o całkowitą niezgodność charakterów, o mężczyznę, który w głowie miał tylko bity i bajty, RAM-y i ROM-y, internet i inne fanaberie, z którym nie dało się rozsądnie porozmawiać, nie mówiąc już o wyjściu wieczorem do dyskoteki.

– Tak to już jest, gdy mężczyzna pracuje i chce coś osiągnąć w zawodzie – powiedziała Mechthild tępo. – Żona wciąż musi gryźć się w język. Za to ma się przynajmniej coś z życia.

Tak, pieluchy, garnki i dla odmiany raz w tygodniu zabawy w grupie z dwulatkami. Rudolf Grovian nie mógł tego dłużej słuchać, mimowolnie nasuwały mu się porównania. Nie było jednak żadnych podobieństw. Cora Bender i jego córka były jak dzień i noc, jak ogień i woda. Żadna nie chciała go słuchać ani nawet wiedzieć, co o tym wszystkim sądzi. Nie mieszaj się, Rudi. Co ma robić mężczyzna, gdy w życiu prywatnym wciąż nakłada się na niego takie ograniczenia? Pozostaje mu tylko rzucić się w wir pracy.

O ósmej rano w poniedziałek zrobił właśnie to. Wieczorem odbył dłuższą naradę z prokuratorem, a do wtorku udało mu się zebrać wystarczająco dużo informacji, by jeszcze raz skonfrontować je z kłamstwami Cory Bender i nieco nadkruszyć ten mur. Nie zważał na środki ostrożności. Rzucił jej wyzwanie, a ona jemu. Była winna, a teraz przyszła kolej na jego ruch.

Wkroczył do celi późnym popołudniem. Zobaczył, że przeraziła się na jego widok, i sam także się przeraził. W ciągu tych dwóch dni zmieniła się w kłębek nerwów, który nie wydawał się zdolny do żadnej reakcji.

Zaczął od szpitala w Dülmen. Kosztowało go to tylko jeden telefon i chwilę oczekiwania przy słuchawce.

Poprzedniego popołudnia osobiście rozmawiał z ojcem Georga Frankenberga. Ute Frankenberg nie była jeszcze w stanie zeznawać i nie dopuszczono go do niej. Ale nie mogła mu dużo powiedzieć, skoro poznała męża zaledwie sześć miesięcy przed ślubem.

– A nie sądzę – dodał z lekkim uśmiechem – żeby rozmawiał z żoną o poprzednich romansach.

W duchu słyszał ponownie głos prokuratora:

– Z całym szacunkiem dla pańskiego zaangażowania, panie Grovian, ale muszę pana koniecznie prosić, by nie prowadził pan dochodzenia tak jednostronnie. Wyjdźmy lepiej z założenia, że ta kobieta naprawdę nie знаła ofiary.

Musiała go znać! W ciągu tych dwóch dni zebrał kilka szczegółów, które za tym przemawiały. Przesadą byłoby nazywać je dowodami. Fakty, to pasowało bardziej. A do nich należały także zwłoki młodej dziewczyny.

Rzeczywiście znaleziono takie – z dwoma złamanymi żebrami! W tamtym okresie w Buchholz nie zgłoszono żadnego zaginięcia. Ale powiedziała przecież, że nigdy wcześniej nie widziała tej dziewczyny w swoim mieście. Jej zaginięcie mogło zostać

zgłoszone wszędzie. W Lüneburgu były tylko dokumenty na temat niezidentyfikowanej zmarłej – w wieku piętnastu, najwyżej dwudziestu lat.

W sierpniu przed pięcioma laty znaleziono jej rozkładające się zwłoki w pobliżu poligonu wojskowego w Lüneburger Heide. Nie udało się ustalić przyczyny śmierci. Brak obrażeń czaszki, krtań i kość gnykowa nietknięte. Złamania żeber mogły według tamtejszych lekarzy sądowych nastąpić później, na przykład za sprawą zwierząt. Często się tak zdarzało.

Zwłoki musiały leżeć w ziemi przynajmniej trzy miesiące. Nagie! Nie znaleziono przy nich ubrania, a także niczego, co mogłoby pomóc w identyfikacji. Umieszczono ogłoszenia w prasie, bez skutku. Tamtejsi koledzy uznali, że musiała to być autostopowiczka. Ale jeśli brać pod uwagę, że Cora Bender i jej chętna do pomocy ciotka prześcigały się w kłamstwach, to było całkiem prawdopodobne, że chodziło o dziewczynę z piwnicy. Nie potrzebował wiele wyobraźni, jedynie trochę intuicji, znajomości natury ludzkiej i dobrej pamięci, by zarejestrować mimochodem rzucone zdania i nadać im w decydującym momencie właściwe znaczenie.

Przy założeniu, że Cora Bender już w maju, a nie dopiero w sierpniu dała się namówić na wyjazd z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą, wszystko zaczynało się układać. Było też dość znaczące, w jaki sposób ona i jej ciotka krążyły wokół tematu sierpnia.

Zamierzał zwrócić się do Federalnego Urzędu Kryminalnego i sprawdzić wszystkie zgłoszenia zaginięcia w tamtym okresie. Gdyby miał nazwisko, byłoby o wiele łatwiej.

W poniedziałek rano usłyszał od Winfrieda Meilhofera dwa nazwiska. Ottmar Denner i Hans Böckel.

– Czy one coś pani mówią, pani Bender?

Pokręciła głową. Nadal się uśmiechał. Wciąż się uśmiechać, być przyjacielskim i rozwiązać zagadkę, dlaczego zarówno ona, jak i jej ciotka wymieniały sierpień jako źródło wszelkiego zła. Ponieważ wiedziały o odnalezieniu zwłok! Mógłby przysiąc, że tak było. Nie chciały, by wiązano je z tym wydarzeniem, obawiały się wszystkich możliwych konsekwencji, gdyby doszukano się związku. Ponieważ! Gdyby! I sto znaków zapytania.

– Ale mnie mówią! – powiedział. – Hans Böckel to Böcki. Ottmara Dennera mogli przezywać Tiger. Powiedziano mi, że Denner był kompozytorem w małym zespole. A kompozytorzy lubią sobie wystawiać pomniki. Piosenka na kasecie nosiła tytuł *Song of Tiger*. Pamięta pani? Nazwała ją pani swoją piosenką. – Prokurator go wyśmiał. Böcki i Tiger, co za nonsens! Tyle wart co szpital w Dülmen. Ale ona tylko ponownie pokręciła głową. Nie dawał się zbić z tropu i mówił dalej: – Co także ciekawe, Ottmar Denner pochodził z Bonn. Razem z Georgiem Frankenbergiem studiował w Kolonii i w czasie studiów nadal mieszkał z rodzicami. W tamtym czasie jeździł srebrnym volkswagenem golfem GTI, numer rejestracyjny zaczynał się oczywiście od BN. Staramy się właśnie zdobyć jego obecny adres. Nie jest to proste. Wydaje się, że wyjechał za granicę. Pomagać w krajach Trzeciego Świata.

Przed zaledwie paroma godzinami rozmawiał z rodzicami Ottmara Dennera. Nie uzyskał żadnych informacji. Twierdzili, że nie wiedzą, gdzie obecnie przebywa syn.

W Ghanie, w Sudanie lub Czadzie. Odmówili także przekazania mu zdjęcia syna. Do czego mu potrzebne? Co zarzucano Ottmarowi Dennerowi? Jego rozmówca okazał się niskim, grubym mężczyzną, energicznym ojcem, który znał prawa swoje i syna.

Rudolf Grovian wyobrażał sobie, że położy przed nią na stole kilka fotografii, pięć, sześć lub siedem. Poprosi, by wskazała niskiego grubasa. Nic z tego! Ale w obecnym stanie rzeczy pewnie na widok zdjęcia też tylko pokręciłaby głową.

O Hansie Böckelu nie dowiedzieli się jeszcze niczego. Rudolf Grovian zakładał, że Böckel był tym, który pochodził z północnych Niemiec. Ale jeśli Hans Böckel był kiedyś w jakiś sposób powiązany z domem w Hamburgu, to nie był w nim zameldowany. Nie mógł być także kolegą Frankenberga ze studiów. Nie istniał odpowiedni wpis w dokumentach na uniwersytecie.

Udało się natomiast otrzymać wyjaśnienia od ojca Georga Frankenberga. Rudolf Grovian nie mógł porozmawiać z matką. Przeżyła szok. A profesorowi Johannesowi Frankenbergowi nazwiska Denner i Böckel nic nie mówiły. Przygoda syna z muzyką była tylko kaprysem, trwała ledwie kilka tygodni. Georg szybko zrozumiał, że jego czas jest zbyt cenny na takie zabawy.

W maju przed pięcioma laty Georg Frankenberg zatrzymał się w domu. Przebywał w prywatnej klinice ojca, w której leczył złamaną rękę. Złamał ją 16 maja, tak wynikało z dokumentów w klinice. Dokładnie tego dnia, gdy Cora Bender – według jej pierwszej wersji, do której tak dobrze pasowały odnalezione zwłoki – poznała go bliżej w lokalu w Buchholz.

Według zeznań ojca Georg Frankenberg wrócił na weekend do domu, przyjechał w piątek wieczorem, w sobotę rano nieszczęśliwie upadł. Ale szczęście w nieszczęściu – złamanie nie okazało się skomplikowane, a dom i prywatną klinikę dzieliło zaledwie kilka metrów. Nie trzeba było nawet wzywać innego lekarza.

Prokuratorowi wystarczyła wypowiedź profesora Johanna Frankenberga, by wycofanie się Cory Bender z zeznań nie budziło w nim wątpliwości. Rudolfowi Grovianowi nie wystarczyło. Data złamania ręki dosłownie go zelektryzowała. Dokumenty można było zmienić, jeśli prowadziło się własną klinikę i wiedziało, że syn wpadł w niezłe tarapaty. Właśnie 16 maja! Inna data nie obudziłaby w nim podejrzeń. Ale...

– Profesor Frankenberg to honorowy człowiek – wyjaśnił jej. – Nie tak łatwo obalić jego zeznania. Możemy tylko mieć nadzieję, że Ottmar Denner i Hans Böckel, jak tylko ich znajdziemy, potwierdzą pani wersję.

Do tej pory jedynie się przysłuchiwała, życząc mu, by poszedł do diabła, i skrycie podziwiając go za upór. Nie zatrzymywał się przed niczym, niczego się nie bał, nawet obciążenia ojca ofiary.

Gdy mówił o srebrnym volkswagenie golfie GTI, narosła w niej panika. Szybko się jednak uspokoiła. To musiał być przypadek, że przyjaciel Johnny'ego jeździł takim samym autem jak kolega Georga Frankenberga. Typowy samochód młodych mężczyzn. Szef spoglądał na nią uważnie i wyczekująco.

– Nikt niczego nie potwierdzi – odparła. – Opowiedziałam panu zmyśloną bajeczkę.

Rudolf Grovian od dwóch dni nie słyszał jej głosu. W jego pamięci był nadal twardy, wrogi, chłodny i obojętny jak przed sędzią. Zachrypnięte, zupełnie pozbawione emocji brzmienie i jej skulona, skierowana do wewnątrz postawa nakazywały ostrożność.

W zamyśleniu pokręcił głową.

– Nie, pani Bender, postacie z bajek nie zostawiają zwłok w pobliżu poligonu wojskowego. Znalazłem dziewczynę, która była z panią w piwnicy. Martwą dziewczynę z dwoma złamanymi żebrami, pani Bender. A pani słyszała, jak pękały.

Zostawił to na koniec, strzał na oślep na wypadek, gdyby nie chciała mówić. Być może tylko mały kapiszon. Jeśli rzeczywiście dopiero w sierpniu, a nie już w maju... wtedy zwłoki nie miały dla niego znaczenia. Ale sądząc po jej reakcji, nie był to wcale kapiszon, raczej raca świetlna. W jednej chwili powróciła do życia. Zobaczył, jak z trudem łapała oddech, zanim wykrztusiła:

– Niech mnie pan zostawi w spokoju z tymi bzdurami! Proszę pomyśleć, ludzie. Przecież nie mogłam nic słyszeć w tym hałasie. Jeśli rzeczywiście zdarzyłoby się tak, jak wcześniej opowiedziałam. Ale nie zdarzyło się. Załóżmy jednak, że tak. Było tam pięć osób i głośna muzyka. Nie wiem, jaki dźwięk wydają łamane żebra. Nie może być jednak tak głośny.

Dłonie zaczęły jej drżeć. Prawą zacisnęła na lewej. Pamiętał to z nocy. Pierwsze sygnały alarmowe. Albo – zgodnie z dotychczasowymi doświadczeniami wołał to tak nazywać – zapowiedź nadchodzącej prawdy, z którą nie chciała się zetknąć. Jego umysł zwiększył czujność, jednocześnie ostrzegawczo unosząc palec: „Przestań, Rudi! Zostaw to lekarzom”. Serce biło mu trochę mocniej.

– Jest pan... – parsknęła ochryple. Najwyraźniej brakowało jej właściwego słowa albo było ono zbyt ordynarne. Zamiast tego spytała: – Uważa pan, że postępuje w porządku? Biega pan tam i z powrotem i dręczy jego ojca. Jak panu nie wstyd? Biedny facet, musi to mocno przeżywać. Ma jeszcze inne dzieci?

Pokręcił głową i obserwował, jak zmienia się wyraz jej twarzy, jak pociera i zaciska dłonie. Głos Cory załamał się, ramiona opadły, głowa też.

– Musimy go więc zostawić w spokoju. Co się stało, to się nie odstanie. Nikomu nie pomoże, że pan dowiedział się o śmierci dziewczyny. Zgadza się, umarła. Ale ja nie miałam z tym nic wspólnego. Mam na sumieniu tylko tego mężczyznę.

Gdy ponownie uniosła głowę i spojrzała mu w twarz, przeszedł go dreszcz. Było coś dziwnego w jej spojrzeniu. Potrzebował kilku sekund, zanim właściwie to ocenił. Udało mu się tylko dlatego, że jej słowa potwierdziły podejrzenia. Obłąd!

– Niewinnego człowieka – powiedziała. – A on nie zmartwychwstanie trzeciego dnia. Szernieje, dopadną go robaki i zgnije. Jeśli koniecznie chce pan dręczyć jego ojca, niech pan mu powie, żeby go spalił. Zrobi to pan? Musi pan to zrobić. I musi mi pan coś obiecać. Jeśli pewnego dnia stanie się to ze mną, nie chcę zostać spalona. Niech pan tego dopilnuje. Chcę mieć anonimowy grób. Może mnie pan pochować nawet przy poligonie wojskowym. Niech mnie pan po prostu pogrzebie obok tej dziewczyny.

Poligon wojskowy, pomyślał. Nie tak by to określił. Ale nie drażył tematu. Ciągle drżał pod jej spojrzeniem. Przecież to niemożliwe! Całkowicie panowała nad swoimi zmysłami, aż do niedzielnego popołudnia była wstrząśnięta, przez jakiś czas przytłoczona

ciężarem swego czynu i całkowicie zdecydowana ponieść konsekwencje, ale nie była wariatką. I żeby w ciągu dwóch dni straciła rozum... Nie, to niemożliwe. Znalazła się tylko na skraj wytrzymałości.

Zmienił temat, zaczął mówić o jej dziecku w nadziei, że obudzi w niej coś na kształt woli walki. Dwuletni chłopiec! Czy nie uważa, że tak małe dziecko potrzebuje matki?

– A komu potrzebna zaraza? – odparła.

– Nikomu – stwierdził. – I nikomu nie są potrzebne robaki ani ogony wilków lub tygrysów w brzuchu. Przykro mi, pani Bender, miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać jak normalni ludzie. Ale jeśli pani nie umie lub nie chce, potrafię to zrozumieć. Pewnie nie jestem odpowiednią osobą, by rozwiązywać pani problemy. Za to odpowiadają specjaliści. W najbliższych dniach zjawi się tu jakiś.

– Co to znaczy? – spytała. I zanim zdążył odpowiedzieć, wybuchła. – Nie chcę mieć nic wspólnego ze specjalistami. Niech mi pan tylko nie przysyła jakiegoś psychiatry. Powiem panu coś: jeśli jakiś się tu zjawi...! – Co by się miało wtedy stać, nie wyjaśniła, przerwała w połowie zdania, wierzchem dłoni otarła czoło i się uśmiechnęła. – Ach, po co się denerwuję! Nie muszę przecież z nikim rozmawiać. Na pewno nie z psychiatrą. Niech pan posłucha: jeśli o mnie chodzi, może pan przysłać tuzin konowałów. Ale niech pan im powie, żeby przynieśli ze sobą karty, by czas się im nie dłużył.

Jej wybuch podziałał na niego uśmierniająco. Pozostał przyjacielski, spytał, czy nie wolałaby porozmawiać z kobietą zamiast z mężczyzną. Pewnie mógłby to załatwić. Nie odpowiedziała.

Chciał się pożegnać i podszedł do drzwi ze słowami:

– Nie mogę zapobiec zaangażowaniu specjalisty z dziedziny psychiatrii. Decyzja należy do prokuratora. Uważam, że to dobre rozwiązanie.

Wtedy lód ostatecznie pękł.

– Uważa pan! – ofuknęła go i stanęła mu na drodze. – Dla pana każdy sposób jest dobry. Najpierw naciska pan na mnie, powołując się na moją rodzinę, a teraz na pieprzonego specjalistę. Wyobraża pan sobie, że on wyciągnie ze mnie więcej? Wiem, co pan chce usłyszeć. Proszę bardzo, dostanie pan to. Oszczędzimy państwu kilka marek. Takim specjalistom przecież się płaci. A na pewno bierze on więcej niż jakiś monter. Niech potem nie mówią, że przysporzyłam niepotrzebnych wydatków.

– Nie musi mi pani nic mówić, pani Bender.

Tupnęła nogą.

– Ale teraz chcę, do cholery. Teraz chcę, a pan mnie wysłucha. Woli pan zapisywać czy zapamięta pan? Ojciec Frankiego pana nie okłamał. Nie poznałam Frankiego w maju, tylko dopiero później. Być może w sierpniu, nie pamiętam dokładnie. Już jakiś czas dawałam sobie w żyłę, ciągle byłam na haju i nie patrzyłam na kalendarz. – Pociągnęła nosem, dotknęła koniuszkami palców oczu. – Ma pan może paczkę chusteczek higienicznych? Już o nie prosiłam, ale zapomnieli. Być może trzeba za nie zapłacić, a ja nie mam przy sobie pieniędzy.

Pogrzebał w kieszeniach, znalazł napoczętą paczkę i wręczył jej. Wyjęła jedną chusteczkę, wytarła pośpiesznie oczy i włożyła ją ostrożnie z powrotem do pozostałych. Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. I przepraszam, że podniosłam głos. Nie chciałam tego. Ach, bzdura, jasne, że chciałam. To zasrane uczucie, gdy nie ma się nawet prawa, by zamieść własne brudy pod dywan. Lepiej od razu pana uprzedzę, że to wielka kupa brudów.

Również się uśmiechnął.

– Z pewnością widziałem już większe.

Wzruszyła ramionami.

– Być może, ale ja nie. – Wyprostowała ramiona. – A więc – mówiła dalej. – prawdopodobnie było to w sierpniu. Najpierw powiedziałam, że w maju, bo się wstydziłam. Już pierwszego wieczoru poszłam z nim do łóżka i uczepliłam się go jak rzep psiego ogona. Miał towar i dość pieniędzy, by mnie regularnie zaopatrywać. Nie musiałam się już o nic troszczyć. W zamian chciał seksu. Było w porządku, robiłam to dobrowolnie. Ale po kilku tygodniach powiedział, że chce, bym spała także z jego kolegami. – Zaśmiała się gorzko. – No i zgodziłam się. Robiłam wszystko, czego ode mnie zażądał. Chciał się przyglądać, razem z tamtą dziewczyną. Naprawdę nie wiem, jak się nazywała. Ale to nieważne. To była taka głupia krowa, którą sobie przywiózł z domu. Nic jej nie zrobił. Na pewno jej nie bił. Chociaż chciałabym, żeby tak było. Był w niej bardzo zakochany i pragnął jej pokazać, jakim jest niezłym facetem i że może ze mną zrobić wszystko.

– To było w sierpniu?

Pokręciła głową.

– Nie, w październiku.

– I gdzie pani z nim była? Bo przecież nie w domu.

Ponownie potrząsnęła głową.

– Byliśmy raz tu, raz tam. W Hamburgu lub Bremie, zwykle spałam na ulicy. Czasami dawał mi pieniądze na pokój. Przyjeżdżał pod koniec tygodnia i się włóczyliśmy. A raz byliśmy w tym ekstradomu. Tego wieczoru, gdy to się zdarzyło.

– Co się dokładnie stało? – Nie wiedział, czy powinien jej wierzyć. Mówiła spokojnym, opanowanym tonem, w którym pobrzmiwała rezygnacja. Brzmiało to dość prawdopodobnie.

– Zaszłam z nim w ciążę. Powiedział, że jeśli zrobię, czego zażąda, postara się o dobrego lekarza, który wszystko załatwi. Trochę płakałam, ale wiedziałam, że to bez sensu. Podałam się więc. – Ponownie się roześmiała, choć przypominało to raczej szloch. Miała rozbiegane spojrzenie, wielokrotnie przeciągnęła dłonią po czole. – Wie pan, jak się wtedy czułam? Leżę na podłodze i pozwalam się brać obu tym typom. A ta zdzira siedzi z nim na kanapie i żąda, żebym zrobiła to jeszcze raz, z dwoma jednocześnie... – Dławiła się i potrzebowała kilku sekund, zanim mogła dalej mówić. – Powiedziała: „Nie psuj nam zabawy, skarbie”. A potem do jednego z tamtych: „Daj jej działkę, to rozluźnia”. – Zadrżała i wreszcie spojrzała mu w twarz. Ton jej głosu znów był twardy i opanowany. – Przytrzymali mnie i naszprycowali towarem. Myślałam, że chcą mnie tym zabić. Broniłam się. Bili mnie i kopali po głowie i brzuchu. A potem nagle zaczęłam krwawić. Przestraszyli się i odczepili ode mnie. Zostawili mnie tak, leżącą na ziemi. Jakoś udało mi się dotrzeć do ulicy. Wbiegłam pod samochód. Miałam tyle szczęścia, że kierowca był lekarzem. Zobaczył, że poroniłam. I że byłam na haju. Ale

teraz naprawdę wystarczy. Zaraz znowu pan zapyta o jego nazwisko. Ale tego nigdy się pan ode mnie nie dowie.

– Dlaczego nie, pani Bender? Przecież on nie popełnił żadnego wykroczenia. A obecnie wygląda na to, że jest jedyną osobą, która mogłaby potwierdzić pani opowieść.

Spojrzała na ścianę gdzieś za nim i wymamrotała:

– Na pewno tego nie zrobi. Będzie twierdzić, że nigdy mnie nie widział.

– Dlaczego miałby tak twierdzić?

– Bo był świnią. Dotykał mnie, kiedy nie wiedziałam jeszcze, o co mu chodzi. Myślałam, że chce mnie tylko zbadać. Kiedyś obudziłam się w nocy i zobaczyłam, że się przy mnie onanizuje. A wcześniej mnie obmacywał. Chce pan wiedzieć więcej? – Grovian zobaczył, jak Cora zaciska dłoń wokół małej paczuszki, jak jej oczy zaczynają błyszczeć. – To był stary, napalony cap – wyrzuciła z siebie. – Gdy wchodził do pokoju, wszystko śmierdziało potem. Powiem panu coś! Jeśli jeszcze raz spojrzę tej świni w twarz albo jeśli podam jego nazwisko, a na pewno będę musiała, to zakłuję go tak samo jak Frankiego. I nikt mi w tym nie przeszkodzi, nawet jeśli w sali sądowej będzie pełno policjantów. A teraz niech mnie pan zostawi w spokoju. – Obróciła się, oparła się ręką o ścianę i skryła twarz. Płakała.

Pierwszy raz widział ją płaczącą. Odruchowo położył jej dłoń na ramieniu, czuł potrzebę, by zrobić lub powiedzieć coś pocieszającego. Strząsnęła jego rękę i wyszłochała:

– Odczep się pan. Nie ma pan pojęcia, co się dzieje, gdy z panem rozmawiam. Wszystko powraca. Wszystko ożywa. Nie wytrzymam tego. Niech pan już idzie. Zniknie. I zostawi mojego ojca w spokoju. To stary człowiek, jest schorowany, jest... Nigdy nic mi nie zrobił. Nie mógł nic poradzić, że w jego wieku wciąż ma swoje potrzeby. To wszystko była moja wina.

Rozdział 9

Wszystko przez słodczyce. Opychając się nimi, nigdy nie myślałam o tym, że muszę się gdzieś odkładać. Gdy skończyłam trzynaście lat, zaczęło to być wyraźnie widoczne. Sporo utylam. Dziecięcy tłuszczyk, mówiła Margret, żartując ze mnie, gdy przyjeżdżała w odwiedziny. Nie chciałam być gruba i próbowałam zrzucić kilogramy. Nie było to jednak takie proste, bo nie potrafiłam przestać kraść.

Zasoby pieniędzy rosły. Czasami siedziałam w szopce i liczyłam je. Wyobrażałam sobie, że pewnego dnia dzięki nim wyjadę bardzo daleko. Pamiętam wciąż, że gdy zbierałam tysiąc dwieście siedemdziesiąt osiem marek, poszłam na dworzec i spytałam, ile kosztuje bilet do Hamburga.

– Nie chcę go teraz kupić – powiedziałam. – Chcę się tylko dowiedzieć.

Mężczyzna w okienku spytał:

– W jedną czy w dwie strony?

– W jedną – odparłam. – Nigdy nie wrócę. Czy może mi pan także powiedzieć, ile kosztuje podróż statkiem?

Zaśmiał się:

– To zależy dokąd. Samolotem jest szybciej. Ale trzeba dopłacić za każdy dodatkowy kilogram.

Dodatkowe kilogramy, myślałam, odchodząc od okienka. Wzięłam osiem marek i poszłam do lodziarni, gdzie pochłonęłam wielki puchar owocowy z bitą śmietaną. Potem udałam się do łazienki i wsadziłam sobie palec w gardło. Od tamtej pory robiłam tak zawsze, gdy zjadłam coś słodkiego.

Magdalena uważała, że koniecznie muszę przestać.

– To choroba – powiedziała. – Kilka osób już na nią zmarło. Lepiej kupuj sobie za te pieniądze inne rzeczy. – Myślała, że chodzi tylko o kieszonkowe, które dostawałam od ojca. – Fajne ciuchy – stwierdziła. – Też możesz je chować w szopce. Będiesz się przebierać po wyjściu z domu i przed powrotem. Jak założysz ekstraubranie, to zobaczysz, że bardziej polubisz samą siebie.

Nie wyobrażałam sobie, żeby ubranie mogło coś zmienić. Byłam za gruba, uważałam, że jestem okropna i ciągle moczyłam się w nocy. Już nie każdej, ale często, chociaż od dawna nie śnił mi się wilk. Po prostu nie budziłam się, kiedy czułam potrzebę pójścia do toalety.

Najczęściej zauważałam, że znowu wszystko jest mokre, gdy ojciec się już tym zajął. Często wstawał, dwa lub trzy razy w nocy. Od razu kierował się w stronę mojego łóżka. I sięgał pod kołdrę.

Czasami dziwiłam się, że okazuje mi tyle cierpliwości, że nigdy nie przeklina, nawet słowem o tym nie wspomni. Moje łóżko śmierdziało, cały nasz pokój śmierdział, bo materac miałam mokry tak często, że nigdy do końca nie zdążył wyschnąć. W lecie wietrzyłam go przy oknie. A potem kupiłam sobie gumowe prześcieradło.

Dorośłam jedynie fizycznie, ale za to porządnie. Urosły mi piersi i włosy pod pachami, na dole też. Gdy ojciec w tym samym czasie co ja kładł się spać, wstydziłam

się. Nie chciałam się przy nim rozbierać. Nie zauważał tego. Szłam do łazienki, by tam się przebrać, ale on siedł za mną, bo chciał mi jeszcze coś opowiedzieć. Co zdarzyło się w pracy lub z samochodem. Z matką nie mógł o takich sprawach rozmawiać, więc omawiał wszystko ze mną. Lubiłam to, ale nie podobało mi się, że przygląda mi się, jak się rozbieram.

Potem dostałam okres. Niewiele wiedziałam o tym, co się ze mną działo. Oczywiście byłam uświadomiona, dzięki szkole. Od strony czysto biologicznej, jak się zachodzi w ciążę. Margret także raz ze mną o tym rozmawiała. Ale głównie zależało jej na tym, bym była przygotowana na pierwsze krwawienie.

Gdy ciotka omawiała to ze mną, wiedziałam już od dawna, co mnie czeka. Matka dokładnie mnie poinstruowała. Że mam się strzec i nie otwierać przed mężczyzną bramy do piekła. Że wkrótce dotknie mnie także przekleństwo Ewy. Rzeczywiście było to przekleństwo.

Gdy zbliżała się miesiączka, miałam okropne skurcze. Już kilka dni wcześniej stawałam się nerwowa, czułam, że nadchodzi, i najchętniej zaszyłabym się w jakimś ciasnym kącie. Ale musiałam chodzić do szkoły. I nie chciałam się zwalniać z gimnastyki, żeby nikt nic nie zauważył.

Spytałam Grit Adigar, co mam zrobić podczas pływania. Co tydzień na zmianę ćwiczyliśmy w sali gimnastycznej albo chodziliśmy na basen. Nie mogłam przecież wchodzić do wody z podpaską. Grit zaproponowała, żebym używała tamponów. Wyjaśniła mi, jak je stosować. Uważałam, że to wstrętne, ale robiłam tak, a potem myłam ręce w gorącej wodzie, dopóki nie spuchły i nie poczerwieniały.

Inne dziewczynki z klasy były tym zachwycone. Uważały się za dorosłe i przechwalały między sobą. Mówiły o tym także w obecności chłopców.

– Mam teraz okres.

Wydawało się, że chłopców to kręci.

Potem pojawiła się gazeta. Zobaczyłam ją u pewnej dziewczynki na podwórku. „Bravo”, czasopismo dla młodzieży. Oczywiście od razu musiałam je mieć. Schowałam pismo w szopce. Czytałam je po południu, gdy Magdalena odpoczywała. Było w nim mnóstwo interesujących mnie artykułów. O muzyce, piosenkarzach i zespołach rockowych, o aktorach i jak się należy malować. A także listy od ludzi, którzy prosili o poradę.

Jeden z nich był od dziewczyny tylko rok starszej ode mnie, która chodziła już z chłopakiem. On miał własny pokój, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Gdy byli sami, dotykał jej i wkładał jej palec pod majtki. Jego członek robił się wtedy sztywny, a jej bielizna mokra. Dziewczyna chciała wiedzieć, czy to normalne. Wstydziła się wilgoci, ale jej chłopakowi się to podobało. Był już nieco starszy. Miał chyba siedemnaście lat.

W odpowiedzi na list napisano, że mokre majtki to normalne zjawisko, że powinno tak być. Dla mężczyzny wilgoć to oznaka seksualnego podniecenia kobiety. Wie wtedy, że jest gotowa do stosunku.

Mój Boże, ale się wstydziłam. Zastanawiałam się, co ojciec o mnie myślał. Czy sądził, że chcę go w ten sposób zachęcić. Zrobiło mi się niedobrze. Nagle wszystko stało się inne, wszystko było na odwrót.

Gdy wieczorem ojciec wrócił do domu, natychmiast wyszłam. Nie byłam w stanie siedzieć razem z nim w kuchni. Już gdy się pokazał, poczułam, jak płonie mi twarz. Zauważył, że coś jest ze mną nie tak. Magdalena też. Po posiłku ojciec jeszcze raz gdzieś pojechał. Matka poszła do salonu. Zabrałam się do zmywania. Magdalena została ze mną w kuchni i zapytała, co się ze mną dzieje.

– Byłaś czerwona jak burak.

Opowiedziałam jej o liście. Najpierw tylko o nim. Pomyślała, że mam chłopaka, i nalegała, bym zdradziła jej więcej. Wszystko, co do tej pory robiliśmy.

– Żaden chłopak mnie jeszcze tak nie dotknął – powiedziałam. – I nikt już mnie tak nie dotknie.

– Co to znaczy „już nikt”? – spytała. – Jednak więc ktoś był! Nie stawiaj się tak, Cora. Dalej, opowiedz mi.

Nie chciałam. Ale nalegała tak długo, aż wreszcie się zdradziłam. Słuchała uważnie, a gdy skończyłam, stwierdziła:

– Pokaż mi dokładnie, jak cię dotykał.

Gdy jej pokazałam, wyśmiała mnie.

– To się nie liczy! Nie masz co się tym przejmować. Sprawdzał tylko, czy się zsikałaś w łóżko. Nie ma w tym nic złego, to przecież twój ojciec. To tak samo, jakby dotykała cię matka lub lekarz. Zastanów się, jak często matka mnie tam maca, gdy mi robi lewatywę albo mnie myje. Musiałaby być lesbijką, gdyby coś w tym było. A co dopiero lekarze, nawet sobie nie wyobrazasz. Jak potrzebują próbki moczu, nie czekają, aż będę musiała iść się załatwić. Wsuwają mi po prostu cewnik. Nie, wierz mi, ojciec nie zrobił nic złego. Molestowanie wygląda zupełnie inaczej.

Wiedziała to od młodej kobiety, z którą kiedyś leżała w klinice w jednym pokoju. Kobieta ta zarabiała na ulicy, ćpała i ostro piła. Jej życie się skończyło. Opowiedziała Magdalenie, że zawdzięcza to swojemu ojcu. Dobrał się do niej, gdy jeszcze chodziła do szkoły. Najpierw palcem, a potem naprawdę.

– Tego ci nie zrobił, prawda? – spytała Magdalena.

Pokręciłam głową.

– Widzisz – stwierdziła. – Naprawdę nie masz się czym martwić. Jak mi nie wierzysz, spytaj Margret.

Nie chciałam. Skoro ojciec nie zrobił nic złego, dlaczego miałabym pytać Margret? To, że coś złego pomyślałam, stanowiło mój problem. Sądziłam też, że ojciec jest starym człowiekiem, o wiele za starym, aby chcieć czegoś takiego. Jakże się myliłam.

To były prawdziwe grzechy, cielesne żądze. Nie chodziło o kawałek cieleciny. Chodziło o starego mężczyznę, który nie umiał kontrolować swojego popędu. Który dał mi się poznać, jak to wyraziła matka, gdy jeszcze nie wiedziałam, że są dwa rodzaje ludzi. A gdy już wiedziałam o tym bardzo dobrze, zrobił to znowu.

W kwietniu, trzy tygodnie przed moimi czternastymi urodzinami, obudziłam się w nocy. Musiałam iść do toalety. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyłam, że nie nasikałam do łóżka. Poszłam po ciemku do łazienki i nie zauważyłam, że ojciec nie leżał w łóżku. W łazience zapaliłam światło i zobaczyłam, jak stoi przed umywalką. Spodnie od pizamy miał spuszczone do ziemi. Slipy także zsunął. Ścisnął w rękę członek

i przesuwiał po nim dłonią. Wiedziałam, co robi. Chłopcy w szkole mówili na to walenie konia.

Uważałam, że to ordynarne wyrażenie. Fakt, że robił to mój ojciec, gdy zdecydowałam się już traktować go jako nieszkodliwego, starszego człowieka, był straszny. Jeszcze straszniejsze okazało się to, że nie potrafiłam oderwać od tego wzroku. A najgorsze, że musiał mnie zauważyć, bo otworzyłam drzwi i zapaliłam światło. Ale nie przerwał. Jego twarz, dźwięki, jakie wydawał – to było odpychające.

Nagle obrócił się do mnie.

– Idź do łóżka! – wykrzyknął. – Co się tu pętasz jak duch?

Odkrzyknęłam:

– Muszę siku!

– To sikaj do łóżka! – wrzasnął. – I tak zawsze to robisz.

Był na tyle głośny, że z pewnością obudził matkę i Magdalenę. Ale to go nie obchodziło. Uważałam, iż to okropne z jego strony krzyczeć tak na cały dom. Nie moja wina, że moczyłam się w łóżku. Zawsze sam mi powtarzał, że nic na to nie mogę poradzić.

– To łzy duszy – mówił.

A potem szedł do łazienki. Może z tego samego powodu co tej nocy.

Pobiegłam z powrotem do pokoju i rzuciłam się na łóżko. Zapomniałam, że musiałam się załatwić. Kilka minut później przyszedł za mną. Usiadł obok i pogładził mnie po głowie. Umył ręce. Poczułam zapach mydła.

Popatrzył na mnie tak, jakby chciał mnie uderzyć. Zamiast tego zaczął płakać i wyjąkał:

– Przykro mi. – Szlochał jak trzylatek, który rozbił sobie kolano. Było to dla mnie chyba jeszcze bardziej odpychające niż ta poprzednia rzecz. Gdy się uspokoił, stwierdził: – Mam nadzieję, że jak będziesz starsza, zrozumiesz. Nie da się walczyć z naturą. Co mam robić? Są kobiety, którym można za to zapłacić. Ale wtedy jest to tylko handel. Gdy jestem sam, mogę sobie przynajmniej wyobrazić, że jest przy mnie kobieta, która mnie kocha. Każdy człowiek, nawet stary, chce być kochany.

– Dawniej bardzo cię kochałam – powiedziałam i najchętniej także bym się rozplakała.

Tak jak się tego obawiałam, hałas zbudził matkę i Magdalenę. Rano przy śniadaniu matka patrzyła na mnie dziwnie, ale nie spytała, co się stało. Gdy po południu wróciłam ze szkoły, siostra chciała się wszystkiego dowiedzieć i naciskała za każdym razem, gdy matka opuszczała kuchnię:

– No powiedz wreszcie! Co zrobił? Włożył ci jednak palec? A może wsadził ci go całego?

Pokręciłam głową. Nie chciałam mówić o tym, co się naprawdę zdarzyło. Nie było to także konieczne. Magdalena mogła sobie wyobrazić, co się stało. Od dawna wiedziała, dlaczego ojciec chodzi w nocy do łazienki.

Często pukał do drzwi obok i wołał do matki, że teraz znowu idzie zrobić tak jak ten facet z Biblii, który tracił swoje nasienie w ziemi. I czy matka ma czyste sumienie, że on ciągle musi grzeszyć w ten sposób.

Magdalena wyśmiewała się z tego.

– Nasz staruszek jest jeszcze całkiem żwawy. Ale z wieloma w jego wieku tak jest. Starzy są często najgorsi, możesz mi wierzyć. Zwłaszcza że nie mogą mieć tego, czego chcą. A teraz powiedz wreszcie. Naprawdę widziałas dokładnie, jak to robił?

Nie potrafiłam o tym mówić. Przez cały dzień czułam w środku zamęt. A co dopiero w nocy! Ojciec przez kilka dni wracał do domu bardzo późno. Najczęściej leżałam już jakiś czas w łóżku, nie mogąc spać. Czasami myślałam, że gdy wreszcie przyjdzie, powinnam mu powiedzieć coś miłego. Że ciągle go kocham. Tak często okłamywałam ojca w innych sprawach, że nic by się nie stało.

Jednak gdy słyszałam jego kroki na schodach, gdy naciskał klamkę, czułam, jak mój brzuch robi się twardy, zimny i ciężki jak kamień, przez który nie można oddychać. Nie potrafiłam nic powiedzieć. Udawałam, że śpię, i czekałam, co zrobi. Czy jeszcze raz wstanie, czy podejdzie do mnie lub pójdzie do łazienki.

Chciałam, żeby znowu mogło być tak jak dawniej, gdy spałam nawet w jego łóżku. Kiedy nie był nikim więcej, tylko moim ojcem. Nagle przestał nim być, został tylko odpychający stary człowiek, który sam się zaspokajał. Chłopcy w szkole mówili, że trzeba przy tym myśleć o nagich kobietach. O czym myślał ojciec, dowiedziałam się trzy tygodnie później.

W niedzielę siedzieliśmy przy obiedzie, gdy nagle powiedział do matki.

– Przeniosę swoją pościel. Zamieniamy się. Tak dalej nie może być.

Matka oczywiście się nie zgodziła. A on krzyknął na nią:

– Czym się jeszcze przejmujesz po tych wszystkich latach?! Chyba nie myślisz sobie, że jeszcze mnie podnieca twój pomarszczony zadek? Nie martw się. Wolę soczysty kawałek ciętka. I nie chcę mieć takiego co noc w swoim zasięgu. Nie chcę poświęcać drugiego baranka. Jeśli będzie tak dalej, za nic nie rękę. I nie zaczynaj mi teraz z Magdaleną. Jak się jej pogorszy, nawet ty nic nie poradzisz, choćbyś spała przy niej i sto razy.

Tego wieczoru jeszcze raz musiał spać w jednym pokoju ze mną. Matka nieco wcześniej niż zwykle poszła z Magdaleną na górę i zamknęła drzwi od wewnątrz. Następnego dnia ojciec zabrał jej klucz i przeniósł swoją pościel.

Magdalena przeprowadziła się do mojego pokoju. Cały tydzień w domu panowała z tego powodu ciężka atmosfera. W końcu matka pojęła, że jej czystość nie jest zagrożona i że ja dobrze sobie dam radę z Magdaleną. Co prawda, w ciągu pierwszych nocy się bałam. Nie byłam przyzwyczajona do jej dziwnego oddechu. Magdalena wyśmiała mnie.

– Zawsze tak oddycham. W ciągu dnia nie zwracasz na to uwagi.

Po kilku tygodniach uznałam, że jest świetnie. Ona także była zadowolona. Zwykle po kolacji zabierałam ją na górę. Wołała, żebym ja jej w tym pomagała, a nie matka. Nosić jej nie mogłam, zresztą matka od dawna też już tego nie robiła. Ale jeśli szło się bardzo powoli, wystarczyło mocno ją podpierać. Mogła nawet wejść po schodach, musiała tylko zatrzymywać się na każdym stopniu.

Podpieierałam ją, gdy szcزتkowała zęby. Wołała robić to sama. Potem musiałam ją myć. Nie wolno jej już było kąpać się w wannie. Dawniej matka wsadzała ją do środka, a później wyjmowała. Gdy urosła, ojciec kupił krzesło z dużą dziurą na siedzeniu i miską pod spodem. To się sprawdzało. Potem trzeba było tylko wytrzeć podłogę.

Na początku byłam dość niezręczna. Szorowałam ją tak samo jak siebie. Jednak w przeciwieństwie do mnie, od ciągłego leżenia miała bardzo wrażliwą skórę. Drapiącą myjką sprawiałam jej ból.

– Zrób to lepiej rękoma – prosiła. – Potem weź gąbkę, żeby spłukać mydło. A ręcznikiem tylko dotykaj. Matka nigdy tego nie rozumiała. Chociaż może myślała, że jak będzie mnie drapać przy myciu, to przynajmniej w ten sposób dołożę się do powszechnej pokuty.

Po myciu smarowałam ją kremem, by nie dostała odleżyn. Potem wkładałam jej koszulę nocną i zabierałam do łóżka. Jeśli w kuchni nie było już nic do zrobienia, zostawałam przy niej. Przed zaśnięciem opowiadałyśmy sobie mnóstwo rzeczy.

Leżąc przy niej w łóżku, za zamkniętymi drzwiami, mogłam inaczej prowadzić rozmowę. A Magdalena była jedyną osobą, z którą dało się pomówić o wszystkim całkiem otwarcie. Nie o kradzieżach, ale o tych rzeczach, o wstręcie do ojca i samej siebie. Że nigdy nie chcę mieć chłopaka.

Chociaż była rok młodsza ode mnie, miała zupełnie inne nastawienie.

– Poczekaj tylko – powiedziała. – Jak zgubisz kilka kilogramów, wstręt do siebie samej minie. Ten drugi też. Też się brzydzę starego mężczyzny. Jak myślisz, dlaczego nie daję się dotykać ojcu? Tego mi tylko brakuje, żeby mnie obmacywał. Na pewno wsadziłby mnie do wanny i wyjął, gdybyś tylko go o to poprosiła. Ale powiem jedno: dziękuję bardzo. Z młodym mężczyzną to zupełnie co innego. Lekarze tacy są. To wielka różnica, jak wyglądają, jakie są w dotyku ich dłonie. Najbardziej lubię studentów. Często pozwalają im zbiorowo się mną zajmować. Dla nich jestem eksponatem, medycznym kuriozum. Połówką serca z nieoperowalnym aneurysmem aorty, które wbrew wszelkim przewidywaniom trzyma się od lat. Kto wie, może ta rzecz w moim brzuchu dawno przejęła rolę pompy. – Zaśmiała się cicho. – Chłopcy stoją i nie wiedzą, jak mają przyłożyć stetoskop. Wiele więcej niestety nie dają im zrobić. Tylko posłuchać, jak brzmi dziurawy balon.

Pragnęła mieć chłopaka później, w wieku piętnastu lub szesnastu lat. Albo lepiej od razu, ponieważ nie sądziła, że dożyje tego wieku.

Gdy szef ją zostawił, potrzebowała prawie godziny, by się uspokoić. Nie rozumiała, jak mogła dać się sprowokować do opowiedzenia mu tej wstrętnej historii, skoro przecież miała już w ręku chusteczki. Spała z dwoma mężczyznami! Zapewne zrobiła to w tym najbrudniejszym rozdziale swojego życia. W każdym razie taki obraz mignął jej przed oczami.

A potem ujrzała przed sobą ojca – ze spuszczonej spodniami i piekielnie wściekłego. Mało brakowało, a wygadałaby się i z tym. Zdażyła temu zapobiec, robiąc z lekarza kozła ofiarnego.

Postąpiła niewybaczalnie. Ten człowiek uratował jej życie, nie żądając niczego w zamian. Dobroduszny, przyjacielski człowiek. Ani razu nie dotknął jej w taki sposób, jak to opisała szefowi. Nie był plugawym staruchem, tylko mężczyzną w białym kitlu, który popełnił mały błąd i lekko pijany usiadł za kierownicą.

Miał najwyżej pięćdziesiąt lat, pociągłą twarz i ciemną, przystrzyżoną brodę. Gdy przychodził do niej, zwykle trzymał w ręku strzykawkę. Dłonie miał wąskie i zadbane.

I ciepły, łagodny głos.

– Jak się pani czuje? Zaraz pani zaśnie.

Zgięcia łokci miała pokryte ropiejącymi ranami. Na wierzchu dłoni tkwił wenflon. Tam robił zastrzyk. I zaraz potem nadchodziła ciemność, koniec okropnego bólu. W głowie był nie do zniesienia. Tłuczenie, wiercenie i kłucie, jakby jej czaszkę rozciągnięto na imadle. A założono jej tylko opatrunek.

Pęknięcie czaszki, powiedział lekarz, gdy wreszcie była w stanie zadawać mu pytania. Oprócz tego, dodał, doznała także innych obrażeń. A te nie mogły powstać na skutek owego małego zderzenia. Nie jechał szybko, od razu zahamował i właściwie tylko musnął ją wlotem chłodnicy, gdy pojawiła się przed maską. Przed trzema tygodniami, kiedy wyskoczyła z ciemności na skraju szosy.

Nieprzytomna przez trzy tygodnie?

– Niech się pani cieszy – odparł. – Najgorsze pani przespała. Odwyk to okropna sprawa. Całe ciało się buntuje, nerwy wariują. A pani nic nie czuła.

Spytał, jak się nazywa. Powiedział, że nie miała przy sobie dokumentów. Spytał również, czy wie, co się z nią stało. Nie wiedziała. Wszystko uciekło. Nie tylko te trzy tygodnie, o których mówił, wymazanych zostało ponad pięć miesięcy.

Ostatnie, co pamiętała, to sobota w drugim tygodniu maja. Urodziny Magdaleny! Butelka szampana! Kupiona – nie ukradziona – w Aldim, aby uczcić ten dzień. Trzy dni ukrywana w szopce. Wydobyta spod starych worków na ziemniaki, gdy matka z ojcem wyszli z domu, by spędzić kolejny wieczór w kręgu nieudaczników, którzy pięli się do nieba, bo nie potrafili samodzielnie ustać na ziemi.

Szampan był ciepły, gdy przyniosła go do domu. Włożyła butelkę do lodówki. Leżała tam prawie do ósmej wieczorem. O ósmej Magdalena chciała wypić łyk na rozpoczęcie kolejnego roku życia. Tylko łyk.

– To mi na pewno nie zaszkodzi – stwierdziła. – Albo nawet pomoże przeżyć ten rok.

Nikt w to nie wierzył, tylko Magdalena. Ona oczywiście całkowicie wierzyła. Ale lekarze w Eppendorfie nie – jak zwykle. W kwietniu Magdalena ponownie pojechała do kliniki. Musiała zostać znacznie dłużej niż przewidywane dwa dni. Nie chciała powiedzieć, z jakiego powodu.

– Opowiadają mi same bzdury. Gdyby miało być, jak mówią, już dawno nic by ze mnie nie zostało. Nie rozumieją, jak to działa. Jeśli o mnie chodzi, mogą sobie włożyć moje serce i aortę brzuszną w tyłek. I moje nerki też. Nie potrzeba mi nic oprócz siły woli. To jest to, Cora! Jeśli człowiek chce żyć, żyje. Od osiemnastu lat jestem tego dowodem. I udowodnię im też, że operacja jest możliwa. Ile pieniędzy już mamy?

Magdalena wiedziała, że urodziła się punktualnie o ósmej.

– Zostaniesz ze mną tak długo?

– Zostanę z tobą cały wieczór. Nie myślisz chyba, że pojedę tam w twoje urodziny.

– Ale ja chcę, żebyś pojechała. Przynajmniej jedna z nas powinna porządnie świętować. Za rok obie się zabawimy. Wydamy takie przyjęcie, że cała ulica będzie się trzęsła. Dzisiaj zrobisz to jeszcze sama. Nie musisz przecież zostawać tak długo jak zwykle. Będę zadowolona, jeśli wrócisz o jedenastej. Wypijemy sobie trochę szampana.

I opowiesz mi, jak było. Spotykasz się z Horstim?

– Nie. Tydzień temu uprzedziłam go, że dziś nie mogę. Powiedział, że nie szkodzi. Ojciec już kilka razy prosił go, żeby zajął się samochodem. Będzie mógł to zrobić.

– To głupota. Ale może i tak przyjdzie. Nie będzie się przecież zajmować samochodem cały wieczór i całą noc. A jak go nie będzie, zabaw się z innym. Trochę urozmaicenia nie zaszkodzi. Obiecuj mi, że spędzisz dwie miłe godzinki z jakimś fajnym facetem. Potem wrócisz, a potem...

To było 16 maja! I nagle nastał październik. Lekarz nie wiedział, co się działo do tego czasu. Uśmiechał się do niej i kazał poruszać palcami u rąk i nóg.

– Z pewnością sobie pani przypomni. Proszę dać głowie trochę czasu na wypoczynek. A jeśli wspomnienia nie wrócą, to znaczy, że dużo pani nie straciła.

– Muszę jechać do domu – powiedziała.

– Jeszcze troszeczkę potrwa, zanim będzie można o tym pomyśleć. – Podniósł jej lewą stopę, ukłuł igłą w piętę. Gdy drgnęła, powiedział: – Bardzo dobrze. – A potem dodał: – Teraz niech pani zaśnie. Potrzeba pani dużo wypoczynku.

Gdy przychodził, nie mówił wiele. Oprócz niego zjawiała się tylko pielęgniarka. Ponura osoba w podobnym do niego wieku, która nie otwierała ust i nie wykonywała ani jednego zbędnego ruchu. Przynosiła jedzenie, poprawiała poduszki, wygładzała prześcieradło i myła ją. Lekarz prowadził z Corą ćwiczenia, by od ciągłego leżenia nie zeszywniała. Kazał jej liczyć i recytować wierszyki szkolne, aby stwierdzić, czy w jej mózgu zaszły zmiany z powodu ran i zażywania heroiny. Wbijał igłę w wenflon na jej dłoni, smarował jątrzące się zgięcia łokci maścią leczniczą i zmieniał worek z moczem leżący pod jej łóżkiem.

A ona myślała o Magdalenie, która jej potrzebowała, i o tym, że jak najszybciej musi wrócić do domu. Magdalena chciała pokazać lekarzom w Eppendorfie, że da radę. Chciała poddać się operacji w Stanach Zjednoczonych, jeśli starczyłoby pieniędzy na przelot i szpital. Na razie nie starczało. Brakowało jeszcze ogromnej kwoty, którą musiała zdobyć. Cora zastanawiała się nad tym, dopóki zastrzyk nie przerwał jej myśli.

W małym pokoiku nie było dni ani nocy. Nie miał on okien, tylko słabą lampkę przy ścianie. Za każdym razem, gdy otwierała oczy, widziała, że się pali. Za każdym razem, gdy przychodził lekarz, próbowała się dowiedzieć więcej. Ale on nie wiedział zbyt wiele.

– Nie sądzę, aby to był wypadek – powiedział kiedyś. – Okoliczności temu przeczą. Naga młoda dziewczyna bez dokumentów, naszprycowana heroiną.

Mówił o poważnych obrażeniach w okolicy genitaliów i innych miejscach, typowych dla określonych praktyk seksualnych, co nasuwało tylko jeden wniosek.

Dla niego obraz rysował się jasno. Uzależniona prostytutka. Łatwy łup dla jakiegoś zbrojnego, sadysty, kogoś, kto lubił tortury. Kto zostawił swoją ofiarę nieprzytomną na skraju szosy, być może sądząc, że ją zabił.

– Powinienem był zawiadomić policję – powiedział. – Ale bałem się stracić prawo jazdy. A potem pomyślałem, że pani musi sama zdecydować, gdy będzie już pani w stanie. Policja sądziłaby po pozorach. Byłoby tak, jakby pani sama przybiła sobie pieczęć na czole. Sądzę, że to niepotrzebne. Widzi pani, nieważne, co się zdarzyło,

nieważne, jak pani żyła, wyszła pani z tego bez trwałych uszkodzeń. A jest pani jeszcze młoda, nie ma pani dwudziestu lat. Może pani zacząć od nowa. Musi pani mieć tylko silną wolę i trzymać się z daleka od tej trucizny. Pani organizm jej już nie potrzebuje, musi pani teraz przekonać tylko swoją duszę. Bez heroiny żyje się lepiej, niech mi pani wierzy. Przede wszystkim żyje się taniej. Żeby się utrzymać, wystarczy wtedy wykonywać szanowany zawód.

– Gdzie właściwie jestem? – spytała.

– W dobrych rękach – odparł i się uśmiechnął. – Proszę mi wybaczyć, jeśli myślę teraz o sobie.

Oczywiście wybaczyła mu. Takiemu dobrodusznemu, wyrozumiałemu i kochanemu człowiekowi trzeba było wybaczyć, jeśli raz jeden myślał o sobie i unikał ryzyka, że później za swoją pomoc zostanie ukarany odebraniem prawa jazdy. Był niemal święty. Tylko jemu zawdzięczała, że odnalazła na nowo drogę do normalnego życia.

A ona zrobiła z niego potwora. Ponieważ nie potrafiła się przyznać, czym naprawdę była: kupką brudu, która coraz głębiej zanurzała się w rynsztoku i w końcu dopuszczała do siebie każdego i pozwalała robić ze sobą wszystko.

A szef nie odpuszczał, wiercił i drążył w starych ranach, dopóki nie zaczęły się otwierać, jedna za drugą. Jeśli porozmawia z ojcem... To była ostatnia rzecz, jaką powiedział, zanim wyszedł. Że następnego ranka musi jechać do Buchholz.

– Bardzo mi przykro, pani Bender. Nie mogę zostawić pani ojca w spokoju. Ale nie będę go denerwował bez powodu, obiecuję to pani. Chcę tylko zapytać...

Ojciec wiedział o perwersyjnych znajomościach. Ojciec wiedział także o innych perwersjach.

Ostatni grzech! Nie grało już roli, czy Zbawiciel jej przebaczy lub czy będzie musiała smażyć się w piekle, jak to często obrazowo przedstawiała matka. Przez całą wieczność setki małych diabłów będą ci rozrywać ciało rozpalonymi do czerwoności obcęgami. Przecież już dawno się do tego zabrały. A przewodził im szef, wskazywał im miejsca, gdzie najlepiej chwycić.

Po kolacji poczekała kilka godzin, aż mogła sądzić, że czujność otoczenia została uśpiona. W nocy nie przychodzili tak często jej sprawdzać. Tuż po dwunastej wzięła chusteczki, porwała jedną z nich na małe kawałki, skręciła je w kulki i zapchała sobie nimi nos.

Początkowo mogła oddychać tylko przez usta. Pozostałe trzy chustki zmięła razem i stanęła w nogach łóżka twarzą do ściany. Potem wypuściła powietrze, wepchnęła chustki do gardła – tak głęboko, jak się dało. I zanim opuściła rękę, z rozmachem uderzyła głową o mur.

Rudolf Grovian wyruszył w drogę w środę o szóstej rano. Gdy wychodził z domu, Mechthild jeszcze spała. Obliczył, że jazda potrwa pięć godzin. Nie uwzględnił jednak robót drogowych w kilku miejscach na autostradzie A1. Pierwszy korek tuż za Kamener Kreuz kosztował go pół godziny, drugi przed zajazdem Dammer Berge prawie całą godzinę. Dopiero około wpół do pierwszej dotarł do celu.

Buchholz w Nordheide. Czyściuteńkie miasto, dużo zieleni, w centrum niewiele budynków zbudowanych jakieś dziesięć–piętnaście lat temu. Dzieciństwo Cory Bender

w tym otoczeniu – pasowało to jak pięść do oka. Owo porównanie przywołało wspomnienie jej pobitej twarzy.

Chwilę jeździł wzdłuż i wszerz po mieście, rozglądając się i zaznajamiając z układem ulic, zanim zatrzymał wóz przed domem jej rodziców. Miły domek, zbudowany prawdopodobnie na początku lat sześćdziesiątych. Czysty i ładny tak jak budynki w sąsiedztwie, zadbane ogródki, wypucowane okna, za nimi bielutkie firanki. Z niedowierzaniem pokręcił głową.

Dokładny adres uzyskał we wtorek wieczorem od Gereona Bendersa. Początkowo chciał o niego poprosić Margret Rosch, a przy okazji zadać jej jeszcze kilka pytań. Jednak ciotka Cory Bender niespodzianie zniknęła. Musiał więc zadowolić się rozmową z mężem i usłyszał, że Gereon Bender jeszcze nigdy nie spotkał teściów.

– Od lat nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. Powinienem się nad tym bardziej zastanowić. Musieli mieć powód. Mnie także od początku okłamywała. Przez wiele miesięcy opowiadała, że Margret jest jej matką. I że ojciec zmarł, zanim skończyła czternaście lat. Dopiero przed ślubem to kłamstwo wyszło na jaw. Powinienem ją bardziej naciskać. Proszę mi powiedzieć, jak to jest. Mnie też przecież zraniła. Chyba mogę ją zaskarżyć z powodu obrażeń ciała. A może to się nie liczy, skoro jest moją żoną?

Gereon Bender powiedział jeszcze więcej. Przyznał, że w ciągu ostatniego pół roku jego małżeństwo nie układało się tak różowo. Jeszcze jedna rzecz, w której czuł się oszukany.

– Zawsze była nieco pruderyjna. Miałem jednak poczucie, że sprawia jej to przyjemność, tylko nie chce tego okazywać. Ale od Bożego Narodzenia... – Radio w sypialni i te niecodzienne pieszczoty, które źle się skończyły. Gereon Bender trochę się wstydział, ale nie pominął szczegółów, użył nawet dokładnej nazwy. Seks oralny. – Niech pan nie myśli, że tego od niej wymagałem. Nigdy tak nie było. Chciałem zrobić jej wyjątkowo dobrze. Za to omal nie złamała mi karku.

Odkąd Rudolf Grovian to usłyszał, wrócił do podejrzeń, które pojawiły się w trakcie przesłuchania. Molestowanie w dzieciństwie. Bardziej to pasowało do narkotyków i odczuwanego wstrętu. Jej ostatni wybuch także pasował. Rzeczywiście szyte grubymi nićmi. Z deszczu pod rynnę. I niech pan zostawi mojego ojca w spokoju! To stary człowiek! O którym powiedziała mężowi, że nie żyje.

Nadal wierzył w sedno jej opowieści, że kiedyś przeżyła scenę, o której mówiła przed omdleniem: „Słyszałam, jak pękają jej żebra”.

Czegoś takiego nikt nie wyssałby z palca. Ale tylko on uważał, że Georg Frankenberg brał udział w tym horrorze.

Nawet Mechthild, która, jeżeli właśnie nie zajmowała się córką, chętnie stawiała po stronie sprawców i znajdowała litanię usprawiedliwień kończących się stwierdzeniem, że ci ludzie powinni być właściwie wypuszczeni na wolność, tym razem zgadzała się z prokuratorem, Wernerem Hoßem, sędzią i prasą.

Niewinny człowiek, w dodatku lekarz, musiał umrzeć z powodu jakiegoś szaleństwa. Lekarze byli dla Mechthild nietykalni, popełniali błędy, ale to im przecież trzeba się było poddawać i patrzeć na nich z zaufaniem, aby nie odczuwać zimnego dreszczu przerażenia, gdy brali do ręki nóż.

Cora Bender unicestwiła jednego z tych godnych zaufania ludzi, o których prasa pisała, że żyli tylko swoją pracą. W oczach Mechthild nie było miejsca na litość. W poniedziałek rano przeczytała o tym w gazecie i z wdzięcznością podjęła wąż, by uniknąć wszelkich dyskusji o zbliżającym się rozwodzie córki.

Nie od razu to zrozumiał. Początkowo szczerze się cieszył, że po długich latach Mechthild znowu zainteresowała się jego pracą i dała mu okazję, by powiedział, co mu leży na sercu. Nie przyniosło to jednak oczekiwanej ulgi.

Mechthild uznawała, co prawda, że dzieciństwo Cory Bender to okoliczność łagodząca. Jednak gdy skończył mówić, odparła:

– Nie chciałabym się znaleźć na twoim miejscu, Rudi. Jak się czujesz ze świadomością, że będziesz musiał wykończyć takie biedne stworzenie?

– Nie zamierzam jej wykończyć – zaprotestował.

Mechthild uśmiechnęła się pobłażliwie.

– Co więc zamierzasz, Rudi? Na oczach setki ludzi zabiła lekarza. Nie można jej przecież za to poklepać po ramieniu.

– Jeśli uda mi się udowodnić...

– Rudi – przerwała mu Mechthild. – Nie oszukuj się. Możesz udowadniać, co chcesz, ale jedyne pytanie, jakie pozostaje, to czy posłać ją do więzienia, czy do szpitala psychiatrycznego.

Wiedział, że miała rację. Ale nie wiedział, czy kiedykolwiek znajdzie dowód na związek między Frankiem i Corą. Przed pięcioma laty między majem a listopadem dla Cory Bender zaważył się świat lub zdarzyło się coś innego, co spowodowało, że zaczęła wymyślać niestworzone kłamstwa, a jej ciotka po dobrowolnym złożeniu wyjaśnień szybko zniknęła. O Georgu Frankenbergu usłyszeli do tej pory same dobre rzeczy. Cichy, zamknięty w sobie człowiek, prawie nieśmiały w stosunku do kobiet.

A Gereon Bender powiedział o Corze:

– Kłamie jak z nut.

Oczywiście, że kłamała, nie mogła postąpić inaczej. Gdy ktoś napierał na jej mur, z konieczności wrzucała wszystko, co jej przychodziło do głowy, do jednego garnka, porządnie mieszała, a potem nakładała pełną chochlę chaosu na następny talerz. Później trzeba było porządkować to, co podała, i przy każdym kawałku zastanawiać się, skąd go wzięła.

Było już wiadomo, że większość faktów dotyczących życia Frankenberga mogła usłyszeć nad jeziorem. Większość, nie wszystkie. Winfried Meilhofer nie wymienił przezwisk Böcki i Tiger, ponieważ nigdy wcześniej ich nie słyszał. Georg Frankenberg rozmawiał z nim zawsze o Hansie Böckelu i Ottmarze Dennerze. Meilhofer nie wspominał także o srebrnym golfie GTI z rejestracją z Bonn.

Samochód i oba przezwiska to było wszystko, co zostało Rudolfowi Grovianowi w rękę, by móc narysować linię od ofiary do sprawcy. A przezwiska mogły być przecież wytworem wyobraźni Cory Bender. Fakt, że dla niego logiczne było powiązanie między słowami „Böckel”, „Kozioł” oraz „*Song of Tiger*”, nie dowodził niczego.

Ale jeśli lubiło się gry logiczne, wyłaniała się interesująca możliwość. Hans to Johnny, Guitar, czyli gitara. Winfried Meilhofer sądził, że przypomina sobie, jak Frankie

wspomniał raz, iż Hans Böckel był gitarzystą w zespole. Georg Frankenberg mógł 16 maja leżeć ze złamaną ręką pod opieką ojca. To Hans Böckel spotkał wtedy Corę i przez niego zetknęła się z heroiną.

Nie liczył, że od jej ojca dowie się czegoś istotnego. Nie zamierzał wywierać na niego nacisku. „Czy targnął się pan na swoją córkę, panie Rosch? Czy to panu zawdzięczamy katastrofę?” O to mogli się później zatroszczyć eksperci. Chciał tylko dostać parę informacji o okresie między majem a listopadem. I nazwę szpitala, w którym leczono jej obrażenia głowy.

Gdy zadzwonił do drzwi, otworzyła mu kobieta wyglądem pasująca do miasta. Zadbana, młoda, tak że mimowolnie musiał przełknąć ślinę. Przez głowę przemknęły mu słowa Cory Bender: „Matka ma sześćdziesiąt pięć lat”. Kobieta na progu mogła co najwyżej niedawno przekroczyć czterdziestkę, była modnie ubrana, z krótką fryzurką i delikatnym makijażem. W ręku trzymała ścierkę, wyglądało, że przerwał jej zmywanie.

Przedstawił się, nie podając powodu wizyty ani swojego zawodu, i zapytał z wahaniem:

– Pani Rosch?

Uśmiechnęła się.

– Niech Bóg broni! Jestem Grit Adigar, sąsiadka.

Malutki kamień spadł mu z serca, ale tylko bardzo malutki.

– Chciałbym porozmawiać z panem Roschem. Wilhelmem Roschem.

– Nie ma go – odparła Grit Adigar.

– Kiedy wróci? – spytał.

Grit Adigar nie odpowiedziała.

– W jakiej sprawie chciałby pan z nim rozmawiać?

I zanim zdążył wyjaśnić, wydawało się, że zrozumiała. Spojrzała ponad jego ramieniem na samochód, który zaparkował przy ulicy, i zamyślona skinęła głową.

– Chodzi o Corę. Jest pan z policji, prawda?

Ponownie nie zdążył odpowiedzieć.

– Margret mówiła, że pewnie ktoś się zjawi – wyjaśniła Grit Adigar. – Niech pan wejdzie. Nie będziemy rozmawiać w drzwiach.

Odeszła od progu. I wtedy wszystko się zmieniło.

Za drzwiami znajdował się wąski, ciemny korytarz, tapety na ścianach musiały liczyć tyle samo lat co dom. Na lewo zobaczył schody, na stopniach leżał wytarty chodnik w paski. Na wprost dostrzegł uchylone drzwi, przez które wpadała wąska smuga światła. Prowadziły do kuchni. Na prawo od niej znajdowały się kolejne drzwi. Gdy podszedł, zauważył, że również były otwarte.

Pokój za nimi musiał być salonem. Okno wychodziło na ulicę. Bielutkich firan nie było stąd widać. Całkowicie zakrywały je ciężkie brązowe zasłony. Pokój był pogrążony w ciemności. W otwartych drzwiach stała druga kobieta.

Wzdrygnął się, gdy nagle postąpiła krok naprzód. Twarz jak u szczura. Siwe włosy sięgające do pasa wyglądały, jakby nie myła ich od tygodni. Tak też pachniały. Postać niczym zbyt obszerny płaszcz otaczał kwaśno-stęchły zapach. Jak na kobietę była wysoka, gdyby stanęła wyprostowana, przewyższałaby go o kilka centymetrów. Pochyliła się

jednak, jakby na plecach spoczywał jej ogromny ciężar. Wzdłuż ciała zwisał wyblakły, niegdyś kolorowy fartuch.

Przechodząc, Grit Adigar złapała kobietę za ramię:

– Tak się nie umawialiśmy, Elsbeth! Najpierw musisz zjeść wszystko z talerza, potem możesz się dalej modlić.

Kobieta nie zareagowała, z lekko pochyloną głową spojrzała na Rudolfa Groviana i spytała:

– Szuka ładaczniczki?

– Nie. Chce rozmawiać z Wilhelmem. Zajmę się tym.

Odpowiedź Grit Adigar wywołała na cienkich ustach żalostnej postaci coś na kształt uśmiechu, któremu towarzyszyło zamyślane skinienie.

– Cierpliwość Pana się wyczerpała i pokarał go. Odebrał mu głos i siły. Rzucił go na łożo, z którego się już nie podniesie.

To była ogromna różnica słyszeć, jak Cora Bender opowiada o matce, pomyśleć o tym przez chwilę, a potem zobaczyć tę matkę przed sobą, usłyszeć jej głos. Mimo letniego ciepła Rudolfa Groviana przeszył dreszcz. Wyobraził sobie, że dziecko musiało przez całe dni słuchać tego namaszczonego tonu, i aż się wzdrygnął.

– Już dobrze, Elsbeth – powiedziała Grit Adigar, mocniej chwytając stęchły tobolek za ramię i popychając go przed sobą do kuchni. – Usiądziesz teraz na krześle i zrobisz, jak nakazuje Pan. On lubi puste talerze. Wyrzucać jedzenie do kosza to by było marnotrawstwo. A wiesz przecież, co o tym sądzi. – Do Rudolfa Groviana powiedziała: – Proszę się nią nie przejmować. Już wcześniej było z nią kiepsko, ale od poniedziałku wszystko się jej pomieszało. A jeśli się pan zastanawia, kogo kochana Elsbeth określa jako ładacznicę, to nie chodzi o Corę. Miała na myśli Margret. Dla Elsbeth ładacznicą jest każda kobieta, która wiąże się z żonatym mężczyzną.

Uznał to wyjaśnienie za niepotrzebne. A gdy ktoś wyjaśniał mu coś niepytany, zawsze nadstawiał uszu i zastanawiał się, do czego się to może przydać.

Usiedli we troje przy starym kuchennym stole. Na szafce z boku stało wiele oprawionych w ramki fotografii. Na każdej z nich Cora Bender: sama, z synkiem, z mężem i z całą rodziną. Zdjęcie ślubne, migawka z połogu, nowy dom. Grit Adigar podążyła za jego spojrzeniem i ponownie wyjaśniła niepytana:

– Margret regularnie przysyłała zdjęcia. To ołtarzyk Wilhelma. Mógł tu siedzieć godzinami i patrzeć na fotografie. Marzył, że kiedyś Cora przyjedzie w odwiedziny. Że będzie mógł przytulić wnuka. Ale ona nigdy by tego nie zrobiła. Sądzę, że wiedział, iż nigdy jej już nie zobaczy.

Rudolf Grovian stwierdził, że to dobry wstęp, by od razu skierować rozmowę na kwestię, o którą wciąż się potykał. Być może prędzej dowie się czegoś od sąsiadki niż od rodziców czy ciotki, która wołała zniknąć po dobrowolnym złożeniu zeznań.

– Czy Wilhelm Rosch napastował swoją córkę?

Grit Adigar wytrzeszczyła oczy z oburzeniem.

– Wilhelm? Co też panu przychodzi do głowy? Tylko policjant może wpaść na taki pomysł. Prędzej sam by się wykastrował. Cora była dla niego wszystkim. Jej odejście stąd niemal go zabiło. A gdy Margret w poniedziałek...

Opowiadała po kolei. Margret Rosch przyjechała tu dwa dni przed nim. Nie wyjechała w celu uniknięcia dalszych pytań, lecz w najlepszej wierze jeszcze w nocy z niedzieli na poniedziałek udała się do Buchholz, aby delikatnie przekazać bratu, co się stało. Takich wiadomości nie dało się jednak przekazać bardzo delikatnie. Wilhelm Rosch miał atak. Jego stan był zły. Margret przebywała z nim w szpitalu.

W poniedziałek wszystko stało się tak szybko, że nie było czasu na wyjaśnienia. Margret Rosch do tej pory tylko raz zadzwoniła do Grit i oznajmiła, że dla Wilhelma nie ma wiele nadziei. I że być może zjawi się ktoś z policji, ponieważ Cora popełniła ogromną głupotę.

– Czy próbowała się zabić? – chciała się dowiedzieć Grit Adigar.

– Nie.

Z ulgą przyłożyła obie dłonie do twarzy i wymruczała:

– Bogu dzięki. Już myślałam, że znowu to zrobiła. Bo Wilhelm tak...

Znowu! W uszach Rudolfa Groviana brzmiało to jak wypowiedź osoby dobrze poinformowanej. Która wiedziała znacznie więcej niż ciotka, nieutrzymująca z rodziną bliższych stosunków. I która mogła pomóc tak samo jak rodzice Cory Bender. A przede wszystkim była gotowa powiedzieć, co wiedziała.

Grit Adigar nie była jednak w pełni gotowa. Najpierw chciała usłyszeć od niego, co właściwie zmagistrowała Cora. Ujęła to w niewinny sposób, a przez jej usta przemknął uśmiech. Szybko jednak zamarł.

Zdecydował się na szczerą, opisał sytuację w kilku krótkich zdaniach. Grit Adigar przełknęła kilka razy ślinę i dopiero po jakimś czasie doszła do siebie.

– Dobry Boże!

Elsbeth Rosch uniosła głowę, którą do tej pory trzymała opuszczoną nad talerzem. Jej łagodny ton przybrał ostre brzmienie.

– Nie używaj imienia...

– Zamknij się, Elsbeth – nakazała krótko Grit Adigar. Oddychała głośno. – Jak się nazywał ten mężczyzna?

– Georg Frankenberg.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

Pokazał jej zdjęcie, ale również pokręciła głową. Nigdy nie widziała też srebrnego golfa z bońską rejestracją.

– A czy mówią coś pani imiona i nazwiska Hans Böckel, Ottmar Denner lub przezwiska Frankie, Böcki i Tiger?

Wzruszyła ramionami.

– Przykro mi, ale nic mi nie mówią.

– A Johnny Guitar?

Grit Adigar uśmiechnęła się lekko.

– O nim słyszałam. Ale powinien pan raczej porozmawiać z moją młodszą córką. Wiem tylko, że Johnny przed kilkoma laty zawrócił w głowach połowie dziewczyn w Buchholz. Moja Melanie nie była wyjątkiem. Zajmował się muzyką. Dla młodych dziewcząt to lepsze niż mechanik samochodowy.

Muzyką, pomyślał, to już coś. Grit Adigar nie wiedziała, na jakim grał

instrumencie. I nie wyobrażała sobie też, żeby Cora i Johnny mieli się zejść.

– Miała przecież stałego chłopaka, Horstiego. – Rudolf Grovian prawie o nim zapomniał. Grit Adigar ponownie się roześmiała, jakby chciała się w ten sposób usprawiedliwić. – Znam tylko jego imię. Dla nas zawsze był Horstim. Cora uważała go za miłość swojego życia. Poznała go w wieku siedemnastu lat. Już po trzech miesiącach oznajmiła, że pewnego dnia pobiorą się i wyjadą z miasta. Całkiem straciła dla niego głowę. Nikt tego nie rozumiał. Niski, chuderlawy facet, wyglądał prawie jak albinos, jasna cera i pszeniczne włosy, brakowało mu tylko różowych oczu. Kilka razy widziałam go przelotnie, gdy się kręcił na ulicy, czekając na Corę. Moja Melanie mogłaby panu powiedzieć więcej. Niestety, jest teraz w Danii, wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Ale często widywała ich razem i podśmiewała się z wielkiej miłości Cory. Nazywała go patykiem.

Wyglądało na to, że walczy na straconej pozycji. Chłopak jak patyk. Następne pytanie.

– Czy zna pani szczegóły tamtej próby samobójczej? Jakie były jej powody?

Grit Adigar skinęła powoli głową, zastrzegła jednak:

– Wiem tylko tyle, ile opowiedziała mi Cora. To nie zdarzyło się tutaj. Powiedziała, że rzuciła się pod samochód. Nie podała powodu. Nie musiała. Był całkiem jasny. Nie pogodziła się ze śmiercią Magdaleny.

Rozdział 10

Gdy padło to imię, Rudolf Grovian poczuł nieprzyjemne klucie z tyłu głowy oraz niepohamowaną wściekłość na Margret Rosch. Zbawiciel i pokutująca Magdalena! Grit Adigar niemal pół godziny opowiadała o sinym zawiniątku, biedzie, blaszanym kubku, oparzeniach na dłoniach, poranionych kolanach, mokrych prześcieradłach i wyschłej duszy.

Samo przysłuchiwanie się temu było udręką. Przez cały czas odnosił wrażenie, jakby w następnej chwili miał coś zrozumieć, dostrzec jakiś związek, z którego istnienia do tej pory nie zdawał sobie sprawy. Którego nie chciał zauważyć, bo miał posmak szaleństwa. Widząc gderającą Elsbeth przy stole, trudno sobie było wyobrazić, żeby pod jej opieką wyrosło choćby na wpół normalne dziecko.

Związek się nie pojawiał. Zrozumiał tylko jedno: dlaczego Cora Bender do tej pory nie wspomniała o siostrze. Ponieważ z jej śmiercią wiązało się brzemie winy, którego w żaden sposób nie dało się wymazać. Winna jeszcze przed narodzeniem. Bo wyciągnęła z łona matki wszystkie siły.

Mógłby własnoręcznie przetrącić kark tej żalostnej postaci. Gdy tak ślęczała nad talerzem, był przekonany, że to na niej ciążyła odpowiedzialność za śmierć Georga Frankenberga, nie bezpośrednio, ale to nie zdejmowało ani grama winy z tych kościstych ramion.

Grit Adigar opisała samodzielne, ciche, zamknięte w sobie dziecko i młodą, zbuntowaną dziewczynę, która z jednej strony we wzruszający sposób dbała o chorą siostrę, a z drugiej – szukała drogi do własnej wolności. Sobotnie wieczory z Horstim w Aladynie.

Oślawiony lokal. Chodziły plotki, że przed laty oferowano tam nie tylko muzykę, tańce i napoje. Łatwo było także dostać narkotyki. Aladyn przestał istnieć dobre cztery lata temu. Teraz była to tylko miła, czysta restauracja, w której można było dobrze zjeść za rozsądną cenę.

– Czy Cora była uzależniona od narkotyków? – spytał.

– Dopóki tu mieszkała, nie – odparła Grit Adigar pewnym tonem. – Była zbyt odpowiedzialna. A później... chce pan usłyszeć szczerą odpowiedź? – Z założenia takiej właśnie chciał. Grit Adigar powiedziała: – Nie sędzę. Zawsze uważałam, że jej ramiona przemawiają raczej przeciwko temu niż za. Musiały to być ropiejące rany. Nie miałam nigdy do czynienia z ćpunami, ale chciałabym zobaczyć takiego, który kłuje się we wrzody. Wolą wtedy dać sobie w nogę czy w coś innego, ciągle się o tym słyszy. Zapytałam ją o to, a ona odparła: „Też w to nie wierzę, Grit, ale nie wierzę w wiele rzeczy, a jednak się zdarzają. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdybym ćpała. Po tym dramacie tutaj”.

Według Grit Adigar dramat ten wydarzył się w sierpniu przed pięcioma laty. Osobiście nie brała w nim udziału, tamtej soboty udała się z wizytą do znajomych i wróciła dopiero późno w nocy. Dlatego podkreśliła, że może opowiedzieć jedynie o swych przypuszczeniach. Były to jednak przypuszczenia, które brzmiały

prawdopodobnie.

W kwietniu lekarze stwierdzili, że Magdalena naprawdę umiera. W połowie maja jej stan się pogorszył. Cora nie opuszczała domu, nie chodziła nawet po zakupy. Wilhelm musiał się tym zajmować. Dzień i noc Cora siedziała przy łóżku siostry.

W tym czasie Grit Adigar widziała kilkakrotnie Horstiego, gdy włóczył się po ulicy, aby znaleźć się przynajmniej w pobliżu Cory lub móc chociaż spojrzeć na miłość swojego życia.

Istniała więc sprzeczność z tym, co Margret Rosch powtórzyła z obu rozmów telefonicznych z bratem. Ale Grit Adigar szybko się z tym uporała.

– Margret musiała źle zrozumieć Wilhelma. Złe towarzystwo! Na pewno tego tak nie ujął. A nawet jeśli, to nie miał na myśli Horstiego, ale raczej Magdaleny. Wilhelm nie umiał się z nią dogadać, ona z nim. Niełatwo było z nią żyć. Kiedy człowiek jest śmiertelnie chory, nie oznacza to, że brak mu własnej woli. Magdalena ją miała, może mi pan wierzyć.

Grit Adigar uśmiechnęła się blado i opowiadała dalej o tamtych miesiącach. Ostatnie chwile Magdaleny przeciągały się. Jak to często bywa ze śmiertelnie chorymi, tuż przed końcem ponownie rozkwitła, zdawała się zdrowieć. W sierpniu Cora zaryzykowała. Wilhelm i Elsbeth pojechali do Hamburga, a ona wyszła wieczorem z wiernym Horstim. Nie było jej zaledwie kilka godzin. Gdy wróciła, siostra nie żyła.

Grit Adigar podniosła się.

– Proszę pójść ze mną, coś panu pokażę.

Wpatrzona w talerz Elsbeth została w kuchni. Grit wyszła na korytarz i wspięła się po wąskich schodach. Na górze znajdowały się tylko trzy pary drzwi. Otworzyła jedne z nich.

Za nimi znajdował się spartańsko urządzony pokój. Dwa łóżka i nocny stolik, nic więcej. Na stoliku stał mały budzik, którego wskazówka stanęła między czwartą a piątą. Obok leżał walkman ze słuchawkami, za nim stos kaset. A przed kasetami fotografia w srebrnych ramkach.

Było to amatorskie zdjęcie. Przedstawiało dwie młode dziewczyny siedzące razem na łóżku. Włosy obu sięgały aż do srebrnych ramek. U jednej były jasnoblonde, u drugiej rudobrzowe.

Rudolf Grovian wziął fotografię do ręki i przyjrzał się jej. Zwrócił uwagę przede wszystkim na otoczoną rudobrzowymi włosami twarz Cory. Nigdy nie widział jej z takim uśmiechem. Wyglądała poważnie, zatroskana i miła. Ramieniem obejmowała siostrę. A Magdalena...

– Bardzo ładne dziewczyny – powiedział.

– Ładne były obie – zgodziła się Grit Adigar. – Ale o Magdalenie to za mało powiedziane. Była prawdziwą pięknoscią, z takich, które doprowadzają mężczyzn do obłędu. Czasami myślałam, że natura wynagrodziła jej wszystkie wewnętrzne braki wyglądem zewnętrznym lub że przez te właśnie braki ocaliła jakiegoś mężczyznę od ruiny. – Westchnęła, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się zażenowana. – Człowiekowi dziwne myśli przychodzą do głowy, gdy przypatruje się takiej osobie z bliska. Podobnie musiała wyglądać Elsbeth jako młoda kobieta. Nic dziwnego, że straciła rozum przy tym

dziecku. Cora bardziej przypomina Wilhelma. Magdalena była żywą kopią matki.

– Zupełnie nie widać po niej choroby – stwierdził.

Grit Adigar ponownie się uśmiechnęła.

– Niesamowite, prawda? Praca serca była do tego stopnia zmieniona, że całe ciało spuchło. W dodatku przestały działać nerki. A wyglądała kwitnąco. Tylko blada cera wskazywała, że coś z nią było nie tak. Zanim pozwoliły mi zrobić zdjęcie, Cora musiała przez pół godziny męczyć się z kosmetykami. Magdalena nie chciała się dać sfotografować. Była bardzo prózna i zgodziła się dopiero wtedy, gdy Cora ją umalowała. To jej jedyne zdjęcie. Zrobiłam je na początku kwietnia, na dwa dni przed jej ostatnim pobytem w Eppendorfie. Wtedy myśleliśmy, że ma się lepiej niż kiedykolwiek. Przytyła. Jej twarz się zaokrągliła, nogi przestały wyglądać jak patyki. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że była to tylko opuchlizna.

Odstawił zdjęcie i się obrócił. Nad drugim łóżkiem umocowano półkę, na której piętrzył się stos książek.

– Książki znaleźliśmy wtedy w szopce – wyjaśniła Grit Adigar. – Później Wilhelm zawiesił półkę nad łóżkiem Cory i ustawił je tutaj.

Były to głównie specjalistyczne książki medyczne. Dwie można było zaliczyć do działu psychologii. Znamienna tematyka, obłęd religijny i samoleczenie siłą woli.

Grit Adigar wspomniała, że Wilhelm znalazł w szopce jeszcze jedną, malutką i cienką książeczkę z samymi liczbami. Ponad trzydzieści tysięcy marek! Wilhelm dziwił się wtedy:

– Jak udało się jej zdobyć taką sumę?

– Odkąd skończyła szesnaście lat, większość kieszonkowego wydawała na książki – powiedziała Grit Adigar. – Wieczorem często widziałam, jak wymyka się z domu. Szła do szopki. Przechowywała tam modne ubrania, szminki i podobne rzeczy, na które Elsbeth nie pozwalała, a które są tak bardzo ważne dla młodej dziewczyny. No i książki. Wychodząc do miasta, przebierała się i lekko malowała. Można by pomyśleć, że idzie się zabawić. Ale najczęściej trzymała pod pachą jakieś tomisko. A z tym nie chodzi się na tańce ani do kina czy lodziarni. Nie włóczyła się. W soboty spotykała się z Horstim, ale trudno mieć do niej o to pretensje. Potrzebowała przecież nieco swobody, kilku godzin w tygodniu tylko dla siebie. Resztę czasu spędzała z siostrą.

Grit Adigar pamiętała, że Cora przeczytała w jakimś czasopiśmie o przeszczepach serca i o ogromnych sukcesach, jakie odnoszono w tej dziedzinie w Stanach Zjednoczonych. Cora często twierdziła, iż pewnego dnia zabierze tam Magdaleny. I nie mogła lub nie chciała pojąć, dlaczego przeszczep serca nic nie da.

– Gdyby chodziło tylko o serce – powiedziała Grit Adigar – w Eppendorfie z radością by się tym zajęli chociażby po to, by pokazać, że potrafią. Nie wiem, co tam się jeszcze nałożyło. Musiałby pan porozmawiać z Margret. Zabrała wtedy dokumenty z kliniki, całą historię choroby. Dopóki Magdalena żyła, nikt tu nie wiedział, jak naprawdę z nią było. Wilhelm niezbyt się tym interesował. Elsbeth była zbyt głupia, żeby zrozumieć, co tłumaczą jej lekarze. A Magdalena nie przyznawała się do niczego i milczała. W kwietniu lekarze chcieli ją zatrzymać w klinice. Upierała się, że woli umrzeć tutaj. Podobno powiedziała, iż w domu ma taką opiekę, jakiej potrzebuje. Ale nam

z niczym się nie zdradziła. A potem Cora wróciła w nocy... Gdy następnego ranka nie schodziła na dół i Wilhelm zajrzał do jej pokoju, okazało się, że Cora zniknęła.

– Kiedy dokładnie się to zdarzyło? – spytał.

– Niech pan poczeka, data będzie na akcie zgonu. Przyniosę go, jest w sypialni.

Pomknęła do drzwi i dwie sekundy później wróciła z dokumentem w dłoni.

– Niewydolność serca i nerek – przeczytał. Podpis lekarza. Nieczytelny, nie próbował go odcyfrować. Jego wzrok padł na datę. 16 maja. Urodziny Magdaleny. Siostra Cory Bender zmarła 16 sierpnia.

Dwa razy szesnaście. Nie trzeba być psychologiem, aby zrozumieć, jakie znaczenie miała ta data dla Cory Bender i dlaczego w pierwszej wersji początek romansu z Johnnym umieściła w maju. Pobożne życzenia. Zgodnie z zasadą: gdyby to się stało w maju, nie w sierpniu... Tym samym mógł zapomnieć o zmarłej z Lüneburger Heide, tak samo jak o stwierdzeniu, że jej ciotka go okłamała.

Od ciotki usłyszał zapewne prawdę, a przynajmniej mu ją zasugerowała. Co też mu opowiedziała! Jego wściekłość na Margret Rosch nie wygasła ani odrobinę. Fakt, że ktoś dobrowolnie zgłaszał się, a nawet narzucał, by podać wszystkie konieczne informacje, a najważniejszą kwestię przemilczał, stanowił niewyobrażalną bezczelność. Utrudnianie śledztwa, a może nawet celowe wprowadzanie w błąd.

To jednak musiał wyjaśnić z Margret Rosch. Sprowadził rozmowę z Grit Adigar na temat, który interesował go najbardziej. Fatalna próba samobójcza i późniejsze leczenie. Niestety, Grit wiedziała bardzo niewiele.

Ktoś do niej zadzwonił – wtedy, w listopadzie, na kilka dni przed powrotem Cory. W pierwszym momencie Grit nie dosłyszała nazwiska. Nie dopytywała się, tylko od razu pobiegła do sąsiadów i zawołała Wilhelma do telefonu. On powinien pamiętać. Rozmawiał z tym mężczyzną dłużej niż ona. Grit Adigar mogła tylko powiedzieć, jak wyglądała Cora, gdy wróciła. A sądząc po tym, lekarz, który się nią zajmował, musiał być partaczem. Nikt choć trochę odpowiedzialny nie odsyła do domu pacjentki w takim stanie, jeśli ma choć trochę poczucia odpowiedzialności.

Cora przyjechała taksówką. Samochód miał rejestrację z Hamburga. Kierowca musiał jej pomóc wysiąść. Ledwie trzymała się na nogach. Taksówkarz nie przejmował się nią i zaraz odjechał.

Grit Adigar pokręciła głową.

– Stała na ulicy i wpatrywała się w dom, jakby widziała go po raz pierwszy. Potem powoli podeszła do drzwi. Zobaczyłam ją z okna, wybiegłam na dwór i zagadnęłam ją. Nie dostrzegła mnie. Elsbeth otworzyła drzwi. No i cóż, Elsbeth w swoim szaleństwie popatrzyła na nią i powiedziała: „Cora umarła. Obie moje córki umarły”. Cora zaczęła krzyczeć. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś tak krzyczał. Jak zwierzę.

Grit Adigar opowiadała dalej, jak Cora opadła na kolana i zaczęła walić głową w schody przed domem. Jak Wilhelm stanął w drzwiach i oboje zanieśli ją na górę. Jak ją rozebrali. Pod sukienką ukazało się całkiem wychudzone ciało. Obite do krwi czoło, a wyżej świeża blizna, owo wgłębienie w kości. Dobrze zaleczone jak na kilka tygodni – w przeciwieństwie do ramion. A gdy ją rozbierali, Cora krzyczała i lamentowała: „Magdalena nie umarła! Lecimy do Ameryki!”.

– Miałam wrażenie – mówiła Grit Adigar – że nic nie pamięta. Że zapomniała o tamtej nocy. Zupełnie zapomniała. Tak się czasem zdarza po dużym szoku.

Grit Adigar najwyraźniej nie brała pod uwagę możliwości, że Cora rzeczywiście dopiero w listopadzie dowiedziała się o śmierci siostry, ponieważ tamtej sierpniowej nocy wcale nie wróciła do domu. Rudolf Grovian rozważał to.

Johnny Guitar, pomyślał, który zawrócił w głowach dziewcząt w Buchholz. Który traktował ją jak powietrze. Aż do tego wieczoru. Trzy miesiące wytrzymała przy łóżku siostry. Potem odważyła się wyjść, szczęśliwa i rozluźniona, ponieważ Magdalenie pozornie się polepszyło. I co za radość – Johnny wreszcie ją zauważa. Horsti zostaje odrzucony z chłodnym uśmiechem, być może tego wieczoru nie ma go w Aladynie. Cora z bijącym sercem wsiada z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą do srebrnego golfa. I z jeszcze jedną dziewczyną, a może nie. Chwilowo nie była to kluczowa kwestia.

Pytanie brzmiało: czy mogła się zdecydować spełnić swoje marzenia, pozostawić chorą siostrę na łasce losu i już nie wrócić? Trudno to było sobie wyobrazić po tym, co opowiedziała Grit Adigar. Nasuwało się kolejne pytanie, do którego dotychczas nie przywiązywał wielkiej wagi. Czy ciężkie obrażenia czaszki mogą się zagoić w ciągu kilku tygodni? To także trudno było sobie wyobrazić.

Jakiś czas potem z domu rodziców Cory Bender udał się do owej restauracji, w której można było zjeść dobrze i za rozsądną cenę. Miał pecha. Od trzeciej do szóstej po południu zamknięte. Pojechał więc do szpitala, w którym Wilhelm Rosch walczył o życie, a Margret Rosch czuwała nad nim i wydawała dyspozycje pielęgniarcom. Z ojcem Cory Bender nie mógł porozmawiać. A jej ciotka z zaciekłym uporem milczała.

Co miała wspólnego dziewczyna zmarła przed pięcioma laty na niewydolność serca i nerek ze sprawą Frankenberga? Zupełnie nic! Ale wystarczyło wymienić imię Magdaleny, by ziemia usuwała się Corze spod nóg. Margret Rosch jako zatroskana ciotka wolała pozostawić tę decyzję bratanicy. Powiedziała do Cory:

– Opowiedz im, dlaczego w sierpniu uciekłeś z domu.

Cora tego nie zrobiła, co mówiło samo za siebie. Poczucie winy, o jakim prosty policjant nie mógł mieć pojęcia.

Określenie „prosty policjant” przełknął bez protestu. Poza tym Margret Rosch nie dała mu czasu na sprostowanie. Dobrze umiała odsunąć uwagę prostego policjanta od swojego zaniedbania i skierować ją na inne tory. W poniedziałek – jeszcze zanim powiedziała cokolwiek o szaleńczym postępku Cory – próbowała dowiedzieć się od Wilhelma nazwy szpitala, w którym leczono jej bratanicę.

Wilhelm nic nie wiedział o szpitalu. Tylko o lekarzu! Ten lekarz podał Wilhelmowi swoje nazwisko i adres w Hamburgu. Jednak list z podziękowaniami wysłany później przez Wilhelma wrócił. Adresat nieznanym!

– Ciekawe, prawda? – spytała Margret Rosch łagodniejszym tonem. – Jaki mógł mieć powód, by podawać fałszywe nazwisko? Co on z nią zrobił? Już sobie wyobrażam! – Wypuściła powietrze i pokręciła głową. – Wie pan, co mnie najbardziej złości, panie Grovian? Że wtedy nie wypytałam Cory, gdy siedziała z tym towarem u mnie w kuchni.

– Z jakim towarem?

Margret Rosch westchnęła i zakłopotana wzruszyła ramionami.

– Z heroiną. Mówiłam panu przecież, że sądziła, iż jest w tak opłakanym stanie z powodu odwyku. Załatwiła sobie coś na dworcu i prosiła mnie, bym zrobiła jej zastrzyk. Zabrałam jej wszystko. Myślałam, że nie umie się z tym obchodzić, bo działki wstrzykiwał jej tamten facet. Teraz jednak sędzę, że gdyby tak było, to przynajmniej musiałyby wiedzieć, jak przygotować strzykawkę. Nie miała o tym pojęcia. Niech pan zrobi test, jeśli mi pan nie wierzy.

Nie wierzył już w ani jedno jej słowo. Ani w rzekomego lekarza z fałszywym nazwiskiem, ani w resztę. Margret Rosch miała dość czasu, by uzgodnić wszystko z Grit Adigar. Miła sąsiadka przygotowała grunt, wzruszająca ciocia zasiała ziarno. Jednak ich zamiary stanowiły dla niego zagadkę. Jako pielęgniarka Margret Rosch nie mogła być tak naiwna, by sądzić, że on podejrzewa, iż obrażenia czaszki u Cory zaleczył student pierwszego roku medycyny.

Nie pozostało mu nic innego, jak skontaktować się ze wszystkimi szpitalami w Hamburgu i okolicach. Nie zapominając o lekarzach prowadzących własną praktykę. Zajęcie dla kogoś, komu nie przeszkadzały uszy opuchnięte od przyciskania słuchawki telefonu.

Brakowało mu podstawowych informacji do odnalezienia Horstiego. Poza tym był głodny. Po rozmowie z Margret Rosch ponownie spróbował szczęścia w restauracji, gdzie oferowali dobre posiłki za rozsądną cenę. Było kilka minut po szóstej, a stek rzeczywiście okazał się duży i przepyszny, przystawki także były bez zarzutu. Powiedział Mechthild, że może wrócić bardzo późno, więc nie musi czekać na niego z obiadem.

Ponad godzinę siedział w przytulnym, wiejskim otoczeniu i próbował sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać to miejsce w czasach Aladyna. Przyjazna kelnerka nie potrafiła mu pomóc, mieszkała w Buchholz dopiero od dwóch lat, nigdy nie słyszała o Johnnym, Böckim, Tigerze ani o Frankiem czy Horstim.

Tuż przed ósmą udał się w długą drogę powrotną. Był nieco mądrzejszy, choć nie posunął się ani kroku dalej. Wręcz przeciwnie! Mimo późnej pory trafił na cztery korki, doliczając do nich roboty drogowe, jazda przeciągnęła się do siedmiu godzin. Dotarł do domu o wpół do czwartej nad ranem.

Mechthild spała, na jego poduszce leżała karteczka, że ma koniecznie zadzwonić do Wernera Hoßa. Ale nawet na niezbędne sprawy było już za późno. Najciszej, jak się dało, położył się obok żony. Oczy go piekły ze zmęczenia, w głowie szumiało, kark i ramiona miał zupełnie zeszywniałe. Nie minęły dwie minuty, a już spał.

Następnego ranka dowiedział się, że Cora Bender próbowała na swój sposób zakończyć dochodzenie. Trafiło go to jak grom z jasnego nieba. Gdyby wręczył jej naładowany pistolet, nie czułby się nawet w połowie tak podle.

Paczka chusteczek! I to niecała! Jak mógł sobie nawet przez chwilę wyobrażać, że ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co działo się w jej głowie?

Przez jakiś czas siedział za biurkiem – tylko siedział i wpatrywał się w ekspres do kawy. Na dnie dzbanka ponownie zebrał się brązowy osad. O wpół do dziesiątej opuścił biuro. W supermarkecie kupił płyn do zmywania i gąbkę. Wyszorował dzbanek, wypolerował także stary ekspres, aż błyszczał jak nowy. Mimo to patrzył na urządzenie jak na powietrze.

Widział tylko dłoń Cory obejmującą niewinną paczuszkę. Usłyszał także jej głos: „Nie ma pan pojęcia, co się dzieje, gdy z panem rozmawiam. Wszystko powraca”.

Teraz miał pojęcie. Wiedział przynajmniej, jakiego ducha przywołał. Pokutującą Magdalенę.

Leżała na łóżku. Ręce i nogi miała przypięte do ramy szerokimi pasami. Głowa ją bolała i huczała od oszołomienia wywołanego przez mocne uderzenie, które sama sobie zadała, i przez zastrzyk – dali jej coś na uspokojenie. Pamiętała jeszcze. Szalała, biła rękoma naokoło, kopała, gryzła, krzyczała, nie dała się poskromić.

Coś z tego zostało, ale wrażenia były zbyt mętne, by się nad tym zastanawiać. Odkąd zabrano ją do tego pokoju, półprzytomna leżała spokojnie na plecach. Czuła więzy na przegubach dłoni i kostkach, a także sztywność członków i szeroki opatrunek na czole, ale nie miało to znaczenia.

Nawet gdy w głowie powoli zaczęło się jej przejaśniać, nie było miejsca na łzy. Serce jej biło, oddychała, mogła nawet myśleć. A mimo to przestała istnieć. O parę minut rozminęła się z wiecznością i znalazła w najgorszym miejscu, jakie istniało. Ostatnia stacja: zakład dla obłąkanych!

W pokoju stały także inne łóżka, ale puste. Spano w nich, zmięta pościel stanowiła dowód, że ci, którzy z niej korzystali, mogli się swobodnie poruszać. Ona nie! Najbardziej zawstydzająca była pielucha. Czuła ją bardzo wyraźnie.

Po jakimś czasie otworzyły się drzwi. Pospieszne dłonie sprawdziły więzy, obojętna twarz spojrzała na nią.

– Jak się pani czuje?

Wcale się nie czuję! Nie chciała się czuć i obróciła głowę na bok. Nie wiadomo skąd pojawiły się dwie, trzy łzy i wsiąkły w poszewkę poduszki, dwie, trzy kolejne spłynęły po nosie i dosięgły zamkniętych ust. Zlizwała je końcem języka.

Chciało się jej pić, jednak prędzej odgryzłaby sobie język, niż poprosiła o łyk wody. Gardło piekło ją z powodu suchości i brutalnego traktowania, nos także. Otarte do krwi, po prostu otarte do krwi.

W pokoju było bardzo widno, wczesne popołudnie. Skrzydło zakratowanego okna uchylono. Z zewnątrz dochodziło ćwierkanie wróbli. Sprężyste, lekkie kroki gumowych podeszew oddaliły się w stronę drzwi. Ponownie została sama – z myślami, wspomnieniami, strachem i poczuciem winy.

Czuła każde uderzenie serca i przy każdym pragnęła, by ta głupia rzecz wreszcie się zatrzymała. Skoncentrowała się na tym. Jeśli człowiek potrafił żyć wyłącznie dzięki sile woli, jak przez osiemnaście lat Magdalena, to czy nie można było także umrzeć tylko poprzez siłę woli? Nie można było. Istniało się nadal.

Później drzwi ponownie się otwały. Na dworze wciąż świeciło słońce. Wszedł ktoś z tacą w ręku. Wieczera. Ale nie ostatnia dla kobiety, która podejmowała decyzje zgodnie z własną wolną wolą. Filiżanka z dziobkiem i chleb z serem pokrojony w małe kostki. Jakaś dłoń chwyciła ją za podbródek, druga przytrzymała jej filiżankę przy wargach. Niechętnym ruchem obróciła głowę na bok. Papka wylała się na poduszkę. Poczowała zapach mięty. Jakiś głos powiedział obojętnym tonem:

– Jeśli nie zechce pani jeść i pić, będzie pani karmiona przymusowo. A więc

otworzy pani usta czy nie?

Nie otworzyła. Pragnienie stało się niemal nie do zniesienia, gardło zupełnie wyschło, język spuchł.

Ktoś, kto przyszedł z tacą, poszedł sobie. Drzwi zostały zamknięte. Ale nie na długo. Otworzyły się ponownie. I tym razem wszedł ON.

Już gdy się nad nią pochylał, wiedziała, kim był. Roztaczała się wokół niego aura autorytetu. Miał go w spojrzeniu i w oddechu. „Mam władzę i wiedzę! Jestem tym, który może cię ocalić od wiecznego potępienia. Zaufaj mi, a poczujesz się lepiej”.

Palila się w niej resztką oporu. I ta resztką pomyślała: pomyłka, kochanieńki. Przyniosłeś ze sobą karty?

Jego głos brzmiał przyjaźnie.

– Nie chce pani jeść?

Nie była pewna, czy ma udzielić odpowiedzi. Któż wiedział, co z niej wyczyta? Nie wypuści jej już z tego pokoju, z tych pieluch, ze swoich szponów.

Potem odważyła się jednak na próbę. Tylko po to, by mu pokazać, że połamie sobie na niej zęby. Uzależniona dziwka, nauczyła się być twarda na ulicy. Wszyscy się tego uczyli. Tylko zaskrzeczała, ochryple gardło nie spełniało jej woli.

– Dziękuję bardzo, nie jestem głodna. Ale gdyby miał pan papierosa, byłabym wdzięczna.

– Przykro mi – odparł. – Nie mam papierosów. Nie palę.

– Co za zbieg okoliczności – wychrypiała. – Mamy ze sobą coś wspólnego. Ja też nie palę. Rzuciłam dziesięć lat temu. Pomyślałam tylko, że paląc papierosa, będę mieć przynajmniej jedną rękę wolną.

– Chciałaby pani mieć wolną rękę?

– W zasadzie nie. Wygodnie mi tak. Tylko mogłabym się podrapać w nos.

Chciała użyć innego słowa, ordynarnego. Dupa! To było brzydkie słowo Magdaleny i nie przeszło jej przez usta.

– Jeśli będzie się pani zachowywać rozsądnie, postaram się, by panią rozwiązano.

– Czyż nie udowodniłam, że jestem rozsądna? – spytała. – Chciałam zaoszczędzić państwu sporej sumy. Powinni przywrócić karę śmierci. Oko za oko, napisano w Biblii. Życie za życie.

Nie skomentował tego.

– To zależy od pani – powiedział spokojnie. – Jeśli będzie pani jeść, pić i przyjmować leki...

Odpowiedź wymagała wysiłku. Ale skoro zaczęła, chciała kontynuować.

– Co ma pan dla mnie dobrego? Trochę resedormu?

To był tylko krótki przeblysłk w umyśle. Zadbana wąska dłoń i szklanka soku pomarańczowego. Zniknęła od razu w ciemności, skąd nieufny głos kobiety spytał:

– Co jej dajesz?

Głos mężczyzny odparł poufale, ale nie łagodnie, tylko trzeźwo:

– Resedorm. Tak będzie najszybciej.

Kobieta odparła zrzędlwym tonem:

– Ale ona nie jest całkiem przytomna. Może w ogóle przełykać?

Mężczyzna odparł lekko poirytowany:

– Właśnie chcę się przekonać. I wolałbym, żebyś była cicho. Nie jestem pewien, czy nas rozumie.

Wciąż było ciemno. Poczowała tylko, że jakaś dłoń wsuwa się pod jej kark, usłyszała głos.

– Proszę mrugnąć, jeśli mnie pani rozumie.

Mrugnęła, ale przed oczami miała tylko mgłę.

– Dobrze – powiedział. – Niech pani spróbuje unieść głowę. Pomogę pani. – Chłodny brzeg szklanki dotknął ust. – A teraz ładnie wypić – powiedział. – Powolutku, proszę spróbować. Jeden łyceczek i jeszcze jeden. Tak, świetnie, daje pani radę. Zaraz może pani znowu zasnąć. Potrzebuje pani dużo snu.

Sen przyszedł natychmiast po soku pomarańczowym. Jakby nakryto jej głowę workiem. To nie był worek! To była popielniczka! Stała na niskim stoliku.

To także stanowiło jedynie przebłysk w umyśle, zielone, czerwone, niebieskie i żółte światło. Nie miało sensu, po prostu nagle się pokazało. Być może dlatego, że szef mówił o popielniczce. Pojawiło się jednak razem z metalicznym posmakiem krwi w ustach i okrzykiem bólu, a raczej piskiem:

– Ta suka mnie ugryzła!

Jakaś dłoń sięgnęła stołu i nagle pojawiła się przed jej twarzą z ciężką popielniczką, którą rzuciła z rozmachem – potem nic. Tylko myśl, niemal uśmiech w głowie.

Nie dręcz się pytaniem, kto rozbił ci czaszkę. Wiesz przecież! To był jeden z ostatnich napaleńców, którzy płacili na swój sposób.

Psychiatra stał wciąż pochylony nad nią, czujnym wzrokiem obserwował małe i mikroskopijne poruszenia.

– Ma pani doświadczenia z resedormem? – spytał.

– Mam wiele doświadczeń – odparła. – Jakie pana najbardziej interesują? – Wyschnięte gardło powodowało, że czuła, jakby ktoś zonglował igłami w jej przełyku. Ale mówiła dalej: – Moje doświadczenia z cnotliwą matką? Moje doświadczenia ze słabym ojcem? A może moje doświadczenia z narkotykami?

– Resedorm to nie narkotyk – wyjaśnił. – Tylko środek nasenny.

– Wiem przecież – wymamrotała.

Mówiąc te słowa, przypomniała sobie. Margret podawała jej resedorm – zgodnie z sugestią swojego przyjaciela Achima Mieka. Lekarz i pielęgniarza...

Nie! Nie, tak nie było. Achim Miek nigdy nie przytrzymał przy jej ustach szklanki, a Margret nigdy nie poila jej sokiem pomarańczowym! Margret podawała dwie tabletki ze szklanką wody. Głos także nie należał do Margret.

Musiała to być owa ponura pielęgniarza. I lekarz o delikatnych dłoniach i z przystrzyżoną brodą! Dziwne, do tej pory nie pamiętała, żeby trzymał szklankę. Jedyne, że robił jej zastrzyki. I to, co mówił! Zboczeniec!

Była zmęczona, tylko zmęczona.

– Wiem wszystko – wymruczała. – I na to właśnie powinien mi pan pozwolić, na sen.

Psychiatra został jeszcze chwilę przy jej łóżku. Przestała zwracać na niego uwagę.

Gdy zamknęła oczy, zobaczyła, że stoi nad wodą. Mały kucał u jej stóp i kołysał czerwoną rybką. Jego wąskie białe plecy, okrągłe gładkie ramiona, wiotka szyjka i jasnoblond włosy sprawiały, że wyglądał jak dziewczynka. Jak Magdalena z czasów, gdy przypominała jeszcze węzełek, który przenoszono z pokoju do pokoju i którego mogła nienawidzić z całą żarliwością niewinnego dziecka.

Dlaczego nie wypłynęła? Nie poszedłby za nią. Dla niego była przecież tylko kobietą, która w soboty i niedziele karmiła go jogurtem i jabłkami zamiast czekoladą i żelkowymi misiami. Nazywał ją mamą, ale nie miało to znaczenia. Być może jego podświadomość wiązała w jakiś sposób słowo „mama” ze smakiem golden delicious i zakrwawionym nożykiem do obierania. Kiedyś babcia powie mu: „Cieszymy się, że odeszła. Była ladacznicą. Czego to się o niej nie dowiedzieliśmy, gdy już jej nie było...”.

Po jakimś czasie usłyszała kroki zbliżające się do drzwi. Niezbyt się nimi przejęła. Psychiatra powrócił niczym demon, którego sama przywołała z piekiel.

„Będę duchy za nos wodził. Dziś poczują moją wolę!”*

Uczeń czarnoksiężnika. W szkole musiała nauczyć się go na pamięć. Był to jeden z tych wierszy, które lekarz kazał jej ciągle powtarzać. Wtedy jeszcze się jej podobał. Teraz już nie. Pojawiło się zbyt wiele duchów.

A ten, który właśnie zamknął za sobą drzwi, nie zostawi jej w spokoju, dopóki nie wydobędzie na powierzchnię najmniejszego skrawka brudu. Kilku zbrojeńców, którzy rozbili uzależnionej dziwce głowę, jak się już z nią zabawili. To była jego praca, za to mu płacili.

Mogła się mu sprzeciwić – i przeciągać w ten sposób wszystko. Ale nie było ucieczki, nie miała prawa do milczenia. Swoje prawa wbiła małym nożykiem w tamtego mężczyznę. A ci na zewnątrz chcieli wiedzieć dlaczego. Sama chętnie by się dowiedziała. Piosenka to nie był rozsądny powód. Nie do pomyślenia, że kiedyś się jej bała.

Po pewnym czasie zasnęła, nie zauważyła kobiet, które weszły do pokoju i zanim położyły się do swoich łóżek, być może stanęły przy jej łóżku, gładziły ją po twarzy lub włosach. Następnego ranka tak się jej wydawało. To musiał być ojciec, który chciał ją jeszcze raz przytulić i przynieść talerz letniej grochówki, bo wiedział, że była głodna jak wilk.

Gdy się obudziła, pozostałe łóżka znów były puste. Czowała się na wpół martwa, przypominała sobie o pogmatwanym śnie, który miała tuż przed obudzeniem, a w którym zatkała sobie nos skrawkami papieru i wepchnęła knebel do gardła. Potem uderzenie w czoło. Nawet nie straciła przytomności. Panika, brak powietrza. Zgrzyt klucza w drzwiach. Piskliwy głos wartowniczeki:

– Na miłość boską! Wiedziałam, że zeświruje.

Cudze palce na gardle. Czerwone kręgi przed oczami. Ostatnia stacja: zakład dla obłąkanych.

Dostała śniadanie, zjadła trochę, gdy rozwiązano jej lewą rękę. Tuż po śniadaniu uwolniono z więzów także prawą dłoń i obie nogi. Kazali jej wstać, umyć się i ubrać. Ciało miała zeszywniałe od leżenia, a umysł ze strachu. Powiedzieli, że o dziewiątej czeka ją spotkanie z szefem.

Wzbraniała się przed nazywaniem go w ten sposób. Szefem nadal był Rudolf

Grovian, straszny człowiek, który nie miał pojęcia, co jej naprawdę zrobił. Ale jego mogła przynajmniej okłamać. W przypadku psychiatry każdą próbę uważała za skazaną na porażkę.

Profesor Burthe wyglądał dokładnie tak, jak jej powiedziano – był niski i wąły. Karzeł, zresztą musiał taki być. Tylko karły potrafią się przebić do czyjegoś umysłu, zakraść się we wszystkie zakamarki, wytropić to, co się kryje za każdym zakrętem. Zachowywał się tak samo przyjaźnie jak wieczorem, emanował opanowaniem i autorytetem. Dobroduszny ojciec wszechrzeczy, który umiał zatopić wzrok głęboko w sercach innych ludzi. Oczy miał szeroko otwarte.

Nie było już w niej oporu ani gniewu. Przez noc zmaląa – z ojcem na brzegu łóżka i jego beznadziejną próbą okazania jej miłości. Sprawił, że stała się małym, przezroczystym człowieczkiem, który zasiadł wygodnie w miękkim fotelu, by ukazać światu swe najskrytsze wnętrze.

Profesor zaczął od pytania, jak się czuje.

– Jak gówno – odparła i odetchnęła głęboko.

Stawy ją bolały, ale nie było tak źle. Ojciec nie powinien był przychodzić. Sama powiedziała przecież, że Margret ma zapobiec jego przyjściu. Zaczęła prawą dłonią masować lewy przegub i nie odrywając wzroku od rąk, czekała na następne pytanie.

Niemal nie mogła znieść jego łagodności. Była fałszywa i zakłamana. Chciał porozmawiać z nią o sensie życia i o ucieczce przed karą.

– Nie uciekałam przed karą – powiedziała. – Nie chciałam tylko wysłuchiwać, czego szef się dowiedział od mojego ojca.

– A czego mógł się dowiedzieć?

Gówno cię to obchodzi, karle, pomyślała. Że ja... Ojciec był raz w naszym pokoju i szperał w nocnym stoliku. Był to prosty stolik z szufladą na górze i drzwiczkami poniżej. W środku Magdalena chowała swoje nagrania. W szufladzie leżały jej lekarstwa. I świeca! Jedna z tych, które matka kupiła na ołtarz. Matka nigdy nie wchodziła do pokoju. Ale ojciec tak. Znalazł świecę. Zobaczył też, że nie używano jej do modlitwy. Knot był jeszcze biały. A na końcu była nieco umazana.

Zobaczyła ojca stojącego w drzwiach, wahającego się między uczuciem wstrętu a rozczarowaniem. Świecę trzymał w dłoni. Wyciągnął rękę.

– Co tu się dzieje? Co z tym robisz?

Usłyszała swoją odpowiedź:

– Nie wiesz co? Przecież znasz się na ludzkiej naturze. Czy nie opowiadałeś mi kiedyś, że jak jest się starszym, to nic nie można na to poradzić? Ja też mam swoją naturę. Ale wolę suchy wariant. Świeca nie wytryskuje i nie śmierdzi. Odłóż ją tam, skąd ją wzięłeś, i wyjdź.

Ojciec upuścił świecę na podłogę i ze zwieszonymi ramionami wymknął się na schody. Płakał tak samo jak tej nocy, gdy siedział na łóżku i próbował wytłumaczyć jej swoją udrękę. Tym razem nic nie tłumaczył, tylko wyjąkał:

– Co z ciebie wyrosło? Jesteś gorsza niż ladacznica.

Z biegiem lat wszystko się odwróciło. Miało to pewnie coś wspólnego z dorastaniem, z pojmowaniem i rozumieniem. Są rzeczy, których się nie chce zrozumieć,

ale trzeba je zrobić. Że ojciec jest mężczyzną. Że jak każdy mężczyzna ma potrzeby. Że staje się zły i niesprawiedliwy, gdy odmawia się mu ich zaspokojenia. W pewien sposób go rozumiałam.

Gdy podrosłam, często myślałam o tym, jak to dobrze być kochanym. Nie tylko sercem, ale i ciałem. Oddanie, namiętność, pocałunki z języczkiem, orgazmy i takie rzeczy. Przyzwyczaiałam się do piersi i miesiączek. Nie miałam już problemu z używaniem tamponów. Czasami zastanawiałam się, czy to ja wsuwam tampon, czy mężczyzna... Wydawało mi się, że różnica nie może być taka duża. A skoro mężczyzna tego potrzebuje!

Rozumiałam jednak także matkę, która nie chciała mieć z tym nic wspólnego. W zasadzie była godną pożałowania istotą. Mam na myśli, że jeśli kobiecie poprzestawiało się w głowie, nie można nic na to poradzić. Ona wierzyła w te wszystkie bzdury. Że wolno to robić tylko wtedy, gdy chce się spłodzić dziecko.

Dopóki nie zaszła w ciążę, nie miała z tym problemu, nawet trzy razy dziennie. Mogła sobie wmawiać, że bardzo się stara oddać przysługę dobremu Bogu. Matka nigdy nie zrozumiała, że dwa tysiące lat to cholernie długo i że w tym czasie naprawdę spłodzono więcej ludzi, niż potrzeba.

A poza tym mogło być przecież tak, jak to napisała w liście Margret. Że Zbawiciel nie miał nic wspólnego z podobnymi zakazami. Że te okropne głupoty zostały wymyślone później przez Jego przedstawicieli na ziemi. A ludzie musieli w nie wierzyć. Co mieli robić, skoro nie umieli czytać ani pisać?

Już widzę, jak to było w Buchholz. Garstka zagród, kiepska ziemia, nieco bydlą – żeby przetrwać zimę, trzeba było w niektórych latach zdejmować słomę z dachów. Ojciec opowiadał mi kiedyś, że gruba świnia ważyła wtedy pięćdziesiąt kilogramów. Wyobraźcie sobie: pięćdziesiąt kilogramów to była gruba świnia. Dziś można się z tego tylko śmiać. A potem zaraza i trzydzieści lat wojny.

Byli biedni, głupi, najczęściej nie wiedzieli, jak wykarmić wszystkie dzieci. Gdy ktoś głosił, że zaspokajanie popędów to grzech, że jest to złe i godne potępienia, patrzyli na swoje dzieci i myśleli: prawda, ma słuszość. Gdy to robimy, pojawiają się kolejne gęby do wykarmienia.

Zwłaszcza kobiety. Przekleństwo Ewy. Nikt im przecież nie podawał żadnych środków, gdy leżały w bólach. Tak miało być. W cierpieniu będziesz rodzić...

Matka, gdy przerosła ją odpowiedzialność i gdy nie wiedziała już, co ma robić, uciekła w tę nędzę i głupotę. Tam już została. Nie musiała dłużej męczyć się z dzieckiem, którego nie chciała – i nie urodziła. Kiedyś także wiedziała, że usunięcie go było złe. Ale dawniej na pewno znalazło się parę osób, które uważały, że porządna Niemka nie powinna wydawać na świat dziecka wroga. Tym osobom uwierzyła.

Matka zawsze potrzebowała kogoś, kto by jej mówił, co jest dobre, a co złe. Za młodu uwierzyła w Führera, nieco później w zwycięzcę, okupanta, ale nigdy w samą siebie. Mnie wierzyła przez jakiś czas, gdy mówiłam to, co chciała słyszeć. Kilkoma cytatami z Biblii można ją było sobie owinąć wokół palca.

Ojciec się o to nie starał. Gdy wracał późno, w dodatku podpity, mówił jej, że świętowali w firmie i nie mógł się wykręcić. Matka wiedziała równie dobrze jak ja, że był

u innej kobiety.

Odkąd przyłapałam go w łazience, często chodził do prostytutek. Potem pił, bo czuł się podle. A wściekłość i pogardę, które odczuwał do siebie, wyładowywał na matce. Gdy wyrzucał ją spod krzyża do kuchni, by jeszcze raz podgrzała mu jedzenie, było mi jej żal. Nie potrafiłam inaczej. Mówiłam:

– Zostaw, mamó, ja to zrobię.

Czasami, widząc ją wracającą do salonu, chciałam się rozplakać. Miałam dopiero czternaście czy piętnaście lat i czułam się bardzo stara. Jak gdybym miała dwoje dzieci, większych i znacznie starszych od siebie. Ale nie zmieniało to faktu, że były dziećmi. Że ponosiłam za nie odpowiedzialność, musiałam się o nie troszczyć i je wychowywać.

Wychowanie matki nie stanowiło problemu. Była grzeczną dziewczynką. Nie miała ani jednej brudnej myśli, tylko brudną bieliznę. Ale ojciec był rozpasany, wymagał jak najsurowszego traktowania. Już w wieku piętnastu lat mówiłam mu:

– Ile cię dziś kosztowała dziwka? Sto? Dwieście? Na ten tydzień potrzebuję trzysta. Wszystko drożeje. A w tym domu są też inni, którzy mają swoje potrzeby.

Ojciec spoglądał na mnie, gdy przygotowywałam mu posiłek. Nigdy nic nie mówił, wyciągał tylko banknoty z portfela i kładł na stole. Wiedziałam, że gardzi mną za wyrażenia, jakich używałam. A on wiedział, że ja pogardzam nim.

Staliśmy się wrogami. Tak jak matka i syn z biegiem czasu odwracają się od siebie. Ponieważ syn robi rzeczy, o których matka sądzi, że powinien z nimi jeszcze poczekać. Ponieważ syn wie, że matka także kiedyś robiła te rzeczy – a w moim przypadku będzie jeszcze robić. Ale z nich obojga to matka jest silniejsza. Dopóki mieszkają pod jednym dachem, ma nad synem wielką władzę. On ją kocha i z całego serca pragnie, by i ona go kochała, by była z niego dumna. Nawet jeśli sto razy wyzywa ją i przeklina, jeśli tysiąc razy wrzeszczy i rzuca jej w twarz swą wściekłość i rozczarowanie. To tylko zwątpienie, samotność i strach przed opuszczeniem przez ostatniego człowieka, który może dać nieco miłości.

Ostatecznie to nie matka, lecz ja pognębiłam ojca. To była moja wina, że przyłączył się do matki. Że na starość dzielił z nią nie tylko łożo, ale i krzyż. Że zapomniał, iż jest mężczyzną. Zupełnie zapomniał, jakby dowód na to wreszcie mu odpadł.

Później często się zastanawiałam, jak mogłam to robić – spać za pieniądze z mężczyznami. Teraz wiem dlaczego. Potrzebowałam gotówki. Potem zaczęłam potrzebować środka, który łagodziłby mój wstręt do samej siebie – a w rezultacie jeszcze więcej pieniędzy. Ale to wyjaśnienie nigdy mi nie wystarczało. A najgorsze, że nie przypominam sobie tamtego okresu.

Wciąż pamiętam, że raz paliliśmy hasz w samochodzie Horstiego. Horsti zrobił skręta i dał mi się zaciągnąć. A potem powiedział, że robię to źle, bo od razu wypuszczam dym. To wszystko, co pamiętam, reszta umknęła. Nie wiem, czy na skutek uzależnienia, czy też raczej obrażeń głowy.

Lekarz stwierdził wtedy, że może chodzić zarówno o jedno, jak i o drugie albo o proces wyparcia. Ponieważ robiłam rzeczy, o których wiedziałam, że nie zrobiłby ich żaden normalny człowiek. A ja przecież chciałam być normalna i nie myśleć o mężczyznach, którym się sprzedawałam. Dlatego zamknęłam ich wszystkich za murem.

Żeby w mojej głowie nie pojawiły się twarze, ciała ani dłonie, które mnie dotykały. Nie chciałam ich widzieć ani czuć. Nie chciałam pamiętać.

Mimo to często zastanawiałam się, czy byli starzy, czy młodzi. Sądzę, że początkowo musieli być głównie starzy. Mężczyźni w wieku ojca, którzy w domu nie dostawali tego, czego pragnęli, i musieli to sobie rekompensować w nocy w łazience lub wieczorem na ulicy. Którzy szukali tylko odrobiny czułości i poczucia, że wciąż jeszcze są mężczyznami. Czasami zastanawiałam się, dlaczego nie zaoferowałam tego swojemu ojcu.

– Możesz przyjść do mnie, jeśli tak ci tego trzeba. Przyznaj szczerze, myślałeś już, by mnie przelecieć. Nie martw się, nie poświęcisz żadnego baranka. Nigdy nie byłam barankiem, tylko wilkiem. Nie wyobrażasz sobie, co wzięłam z Aldiego i Woolwortha. Zabrałam to sobie tak samo jak siłę z brzucha matki. Przez pępowinę wyciągnęłam z niej wszystko. Wysuszyłam matce mózg i wpędziłam ją w szaleństwo. Jestem wilkołakiem, w nocy wyskakuję ze skrzyni i pożeram niewinne dzieci. A starym, bezbronnym mężczyznom oddieram skórę od ciała i wyrywam serce. Jestem uosobieniem zła, córką szatana. A zatem ty, mój ojciec, musisz być szatanem. Chodź w moje objęcia, biedny diable! Gdy byłam mała, tak mnie nazywałeś. Teraz ja nazywam tak ciebie.

Nigdy tego nie powiedziałam, ale na swój sposób próbowałam przeprosić ojca. Być może w każdym, z którym na początku spałam, widziałam jego. Może w jakimś momencie zrozumiałam, że mężczyźni są uzależnieni od swoich potrzeb. Nie wszyscy mieli siłę Zbawiciela, by z tych potrzeb zrezygnować. Ani zrozumieć i wybaczyć – nawet cudzołóżnicy Magdalenie.

* Johann Wolfgang Goethe, *Uczeń czarnoksiężnika*, tłum. Hanna Januszevska (przyp. tłum.).

Rozdział 11

Jej czas się skończył. Profesor poprosił ją, by opowiedziała mu o doświadczeniach z cnotliwą matką i słabym ojcem. Zrobiła tak. Aby mieć wszystko jak najszybciej za sobą, wyciągnęła również brudy. Nie przyszło to łatwo. Udało się jednak, była zadowolona z siebie i przekonana, że profesor w oględny sposób przekaze jej słowa prokuratorowi.

Być może ktoś wpadnie na pomysł, że Frankie to tylko były klient. Całkiem dobre wyjaśnienie! Musiała go zabić, zanim ją rozpoznał i zdradził wszystko jej mężowi.

Na myśl o Gereonie zrobiło się jej na chwilę ciemno przed oczami. Bardzo szybko. Lata spędzone z nim były niczym spinki i szminki kradzione u Woolwortha, a potem sprzedawane lub rozdawane dziewczynkom na podwórku szkolnym. Było i minęło, na wieki wieków. Najpóźniej przed sądem Gereon będzie musiał usłyszeć, komu przysięgał wierność.

Na obiad podano purée ziemniaczane oraz nieokreśloną papkę warzywną, wszystko zupełnie rozgotowane. Mięso pokrojono w drobną kostkę, w większości składało się z tłuszczu i żył, pływało w nieapetycznym brązowym sosie. Na deser był jogurt owocowy.

Na tacy leżała biała plastikowa łyżka. Przypomniła jej o jeziorze i raz jeszcze nią wstrząsnęła. Dlaczego dziecko nie poprosiło o jogurt? Małą plastikową łyżeczką najwyżej podrapałaby Frankiemu twarz.

Zjadła nieco purée. Smakowało mdło. Z kubkiem jogurtu stanęła przed zakratowanym oknem, spojrzała na niebo i zastanowiła się, gdzie jedli obiad ludzie z pozostałych łóżek. Czy uznano ją za tak niebezpieczną, że nie pozwolono jej jeść z innymi? I czy w ogóle istnieli jacyś inni ludzie, czy też używane łóżka miały ją tylko zmylić? A jeśli to był tylko test, by sprawdzić, czy już kompletnie zwariowała? Może profesor przy następnej rozmowie spyta, jak się jej układa z osobami z pokoju?

Rozważała przez chwilę, jakiej odpowiedzi mogła mu udzielić. Potem dokładnie przemyślała sprawę z Frankiem jako klientem. Jeśli profesor sam nie wpadnie na takie rozwiązanie, musi mu je dokładnie pokazać palcem.

Na koniec zastanowiła się, czy Magdalenie ulżyło, gdy dotarła na górę i stwierdziła, że matki jeszcze nie ma. Czy od tamtej pory nieprzerwanie woła „święty, święty, święty” i bardzo się przy tym nudzi. Albo czy siedzi w cichym kącie naprzeciw Zbawiciela. Twarzą w twarz. Kiedyś Magdalena wskazała na obrazek w Biblii i powiedziała:

– Wyobraź Go sobie z porządną fryzurą i ogolonego. Facet nie wyglądałby wcale tak źle.

Frankie także źle nie wyglądał. Miał ładną twarz, męską, ale ładną. Pewnie jej nie uwierzą, gdy powie, że był jej klientem. Taki nie musiał chodzić na dziwki. Taki nie mógł być zbrojcem.

Wciąż widziała go wyraźnie – jeszcze bez krwi. Ta jedna chwila, gdy się podniósł i zaprotestował przeciw piosence. Może dręczyła go tak samo jak ją. Może był wdzięczny, że został wyzwolony od tej udręki. Gdy wtedy na nią spojrzał...

Stała przy oknie, aż minęła druga. Wciąż tak stała i była szczęśliwa, że nie

przywiązali jej z powrotem do łóżka. Tacę zabrano. Zbesztano ją, ponieważ nie tknęła warzyw ani mięsa. Uśmiechnęła się przepaszająco i wskazała na gardło.

– Wciąż boli przy przelknięciu. Ale jogurt zjadłam. A jeśli jutro będzie zupa, na pewno zjem dwie porcje.

Potem znowu została sama.

Dwa razy usłyszała jakiś hałas przy drzwiach. Nie odwróciła się, bo i tak wiedziała, skąd dochodził. Czujne oko. Tuż po drugiej zgrzytnął klucz. Pomyślała o kawie i kawałku suchego ciasta w szpitalu Dürerer, gdzie przebywała przez krótki czas po urodzeniu dziecka. Tam popołudniową kawę podawali zawsze do obiadu – a po południu kolację, ponieważ chcieli mieć wieczór wolny.

Drzwi otwarto, odwróciła się. W tej samej chwili strach wskoczył na nią jak wściekły pies. Szef! Przybrał obojętną, niemal pokerową minę, za którą skrywał wszystko, co musiał usłyszeć od ojca.

Za nieprzeniknionym wyrazem twarzy Rudolf Grovian skrywał wyłącznie własne uczucia. *Mea culpa!* Mechthild była tego samego zdania. Około południa pojechał do domu, nie mógł wytrzymać w biurze, mając przed oczami czyściuteńki ekspres do kawy i krzesło, na którym siedziała Cora. Mechthild nie spodziewała się go, nigdy nie wracał do domu w południe. Nie musiał nic mówić. Sama spytała:

– Co się stało, Rudi?

Gdy wyjaśnił i powiedział, co jego zdaniem musi teraz zrobić, odparła:

– Chyba oszalałeś. Zostaw to biedactwo w spokoju. Nie możesz jej pomóc, a tylko wszystko jeszcze pogorszysz. Tam, gdzie jest, odpowiednio się nią zajmą.

– Odpowiednio się nią zajmą, śmiechu warte! Czy ty masz w ogóle pojęcie, jakie warunki panują w psychiatryku?

– Nie, Rudi – powiedziała Mechthild, rozbijając dla niego kilka jajek na patelni. – I nie chcę tego wiedzieć. Mam już pojęcie, jakie warunki panują u was. Wystarczy mi. Rozumiem, gdy razem z Hoßem rzucasz się na faceta, który na to zasłużył. Ale taka młoda kobieta! Rudi, pomyśl tylko, ile ona przeszła.

Myślał o tym bezustannie. Prawo zobowiązywało go, by nie tylko prowadził postępowanie przeciwko niej, ale także zebrał wszystko, co mogło świadczyć na jej korzyść. Wy tłumaczył to Mechthild. A ona odparła:

– Zrób więc to, Rudi. Zrób to, na miłość boską, i ze wszystkim, co znajdziesz, idź do prokuratora. Ale nie do niej. Na pewno nie z wiadomością, że ojciec leży umierający. Co jeszcze chcesz zrzucić na jej barki?

Ujrzał Corę stojącą przy oknie, kupkę nieszczęścia, której twarz mieniła się kolorami tęczy. Na czole świeży, szeroki bandaż. Pomyślał o przyborach w kieszeni marynarki i o wiadomości, którą miał jej przekazać. W myślach ponownie usłyszał głos Mechthild: „Chyba oszalałeś”.

Zamknięto za nim drzwi.

– Przykro mi – zaczął, licząc się z tym, że zaraz rzuci się na niego z pięściami. Zastanawiał się, jak ma zapobiec wsadzeniu jej w kaftan bezpieczeństwa. Ale ona tylko tak jakby trochę zmalęła, spojrzała na niego mokrymi oczami i przygryzła drżącą wargę jak dziecko, które chciałoby się rozplakać, ale które wie, że to zabronione. – Nie woli pani

usiąść, pani Bender?

Pokręciła głową.

– Atak? – wyszeptwała. – Jak się czuje? Przeżyje?

– Lekarze są dobrej myśli – skłamała. – A Margret nie odstępuje go na krok.

– To dobrze – wymruczała. Potem podeszła do łóżka i jednak usiadła. Dał jej parę chwil, widział, jak wychodzi z szoku, jak odzyskuje nadzieję. Wyprostowała ramiona. Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Nie rozmawiał więc pan z nim?

– Nie.

Uśmiech przemknął po jej twarzy. Nagle wydała się bardzo zadowolona.

– Dobrze! – powiedziała. – Ja też nie chcę z panem rozmawiać. Niech pan wyjdzie!

Nie ruszył się z miejsca. Chociaż pomyślał, że byłoby to najlepsze rozwiązanie. Psychiatria mogła być czystym horrorem dla kogoś, kto jej nie potrzebował, ale profesor Burthe jako specjalista cieszył się wspaniałą opinią. Na pewno odkryje, dlaczego Georg Frankenberg musiał umrzeć. A także – czy, kiedy i w jakich okolicznościach Cora Bender poznała przed laty Frankenberga, jaką rolę odgrywała w tym heroina lub czy zetknęła się z nią już później. To, co zamierzał zrobić, było w zasadzie bezsensowne. Przed sądem nie uznano by tego za dowód. Nie mogło także pomóc w ustaleniu powiązania z Frankenbergiem. Ale żeby samemu upewnić się, czy jej ciotka znowu zastosowała manewr wymijający...

Odetchnął głęboko.

– Rozumiem, że jest pani na mnie zła, pani Bender. Rozumiem też, że nie chce pani ze mną rozmawiać. Ale nie przyszedłem na rozmowę. Chcę tylko prosić, by coś pani dla mnie zrobiła.

Spojrzała na niego pytająco, ze zdziwieniem – nadal zadowolona. Sięgnął do zewnętrznej kieszeni marynarki. Do diabła! Zdobył w końcu cały ten kram. I chce wreszcie wiedzieć. Wyciągnął plastikową torebkę, podszedł do stołu i rozłożył na nim wszystkie rzeczy. Zapakowaną strzykawkę, żaroodporną łyżkę, świeczkę, gumową opaskę i małą torebkę z proszkiem.

Jej wzrok wędrował po przyborach. Twarz wykrzywiła się w zaciętym proteście.

– Co to ma znaczyć? Tak pan lubi Amerykanów? Nie ma nic złego w komorze gazowej i zastrzyku z trucizną, oszczędza zasoby państwa, a nam już wiele nie zostało. Co mam dla pana zrobić? Dać sobie złoty strzał?

– W torebce tyle nie ma – odparł.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– A więc tylko coś na rozweselenie? To miło z pana strony, ale dziękuję. Wie pan, tutaj mnie wystarczająco mocno faszeringują. Ciekawa jestem, czy później równie łatwo odzwyczaję się od tego, co mi podają, jak od dragów.

– Tak łatwo się pani odzwyczaiła od heroiny? – Uśmiechnął się niemal ironicznie. Mała wskazówka, że jej ciotka przynajmniej w tej kwestii trzymała się faktów. – To jest pani wyjątkiem – dodał. – Inni bardzo wtedy cierpią.

– Przespałam to – wyjaśniła zuchwale.

Skinął głową.

– U tego miłego lekarza, jak przypuszczam. Lekarz oczywiście potrafi złagodzić

objawy odwyku. Ale zgodnie z tym, co do tej pory słyszałem, na ogół pozwalają ludziom przechodzić przez prawdziwe piekło, żeby kuracja była skuteczniejsza. No tak, piekło może być różne. Porozmawiamy o tym później.

– Nic nie powiem – odparła z naciskiem. – Ani teraz, ani później.

– W porządku – stwierdził. – Nie musi pani nic mówić. Ani wstrzykiwać sobie tego, co tu leży. Niech mi pani tylko pokaże, że umie się z tym obchodzić.

Zaśmiała się cicho i lekceważąco.

– Ach, o to chodzi. Rozmawiał pan z Margret? I co panu powiedziała? Że nie potrafiłam zrobić zastrzyku? Wie pan, to całkiem inna sprawa, gdy nie ma się dokąd pójść. Gdy człowiek boi się, by go nie wyrzucano, bo i tak sprawia masę kłopotów, a jeśli go jeszcze przyłapią na ćpaniu... Trzeba coś wymyślić.

Ponownie zaśmiała się cicho.

– Co się stanie, jeśli pokażę panu, że umiem się z tym obchodzić? Zostawi mnie pan wreszcie w spokoju?

Gdy skinął głową, wstała z łóżka i podeszła do stołu. Uniosła prawy palec wskazujący, jak gdyby upominała dziecko, by uważało.

– Dobrze, zawrzemy teraz umowę. Pokażę panu. W zamian zostawi pan w spokoju nie tylko mnie, ale także mojego ojca. Niech mi pan poda rękę.

Uściskał jej dłoń, przez chwilę dziwił się jej delikatnym palcom i mocnemu uściskowi. Gdy ją puścił, podał jej zapalniczkę.

Westchnęła, spojrzała na zapakowaną strzykawkę i gumową przepaskę.

– Nie zawiążę jej na ramieniu – powiedziała. – Już wtedy nie lubiłam tego uczucia. Wystarczy, jeśli przygotuję zastrzyk. Zrobiłabym go potem w wierzch dłoni. W ramię i tak bym się nie wbiła. W porządku?

Ponownie skinął.

– No to niech pan pozwoli mi się zastanowić. Minęło już trochę czasu. – Położyła palec na skroni, potem zdecydowała: – Najpierw przykleję świecę do stołu. Jeśli zostanie wosk, pan im to wyjaśni. To był pański pomysł.

– Nie musi pani przyklejać jej do stołu, pani Bender – powiedział jeszcze.

Ona jednak już trzymała zapalniczkę przy knocie, obróciła świecę nad blatem i przytrzymała, by skapał wosk.

– Tak jest pewniej – stwierdziła – jeśli komuś trzęsą się ręce. A najczęściej się trzęsą. Teraz przynajmniej stoi sama. Można się skoncentrować na łyżce i nie wylać ani odrobiny cennej substancji. Tak, co dalej? – Sięgnęła po torebkę, potarła ją palcami i przez plastik spojrzała na biały proszek. – Co to ma być? To nie jest prawdziwy towar! Nie powinien mi pan podawać czegoś takiego. – Wydeła policzek, patrząc na niego z zastanowieniem. – Nie zrobiłby pan tego. Nie jest pan taki głupi. Wie pan dobrze, że wszystko wyśpiewam, ledwo zdąży się pan odwrócić. Co pan włożył do środka? Nie mąkę, jest jaśniejsza.

Gdy nie odpowiedział, wyjaśniła:

– Pytam się ze względu na rozpuszczanie. Nie powinno być grudek, bo nie przejdą przez igłę.

Milczał. Obojętnie wzruszyła ramionami, ostrożnie rozerwała torebkę, najpierw

powąchała zawartość, potem pośliniła palec i wsadziła go do środka. Nie spuszczać Groviana z oczu, powoli włożyła palec do ust i lekko przytknęła do końca języka.

– Cukier puder – stwierdziła. – To nie *fair*. Przecież wie pan, że przepadałam za słodyczami. Ma pan może w kieszeni trochę masła? Zrobię karmelki i więcej zyskamy na tej bzdurze.

Nie zareagował. Nagle poczuł się bardzo głupio i śmiesznie. Posłał do diabła Margret Rosch z jej stwierdzeniami, które służyły tylko wprowadzeniu go w błąd. Ona zaś ponownie wzruszyła ramionami.

– No dobrze. Miejmy to już za sobą.

Wysypała zawartość torebki na łyżkę, podeszła z nią do umywalki, odkręciła wodę i regulowała, dopóki ledwie kapała. Potem przytrzymała łyżkę pod kranem, kiwając głową za każdym razem, gdy kropla wsiąkała w cukier. Wyglądało, jakby je liczyła. Dwa razy ostrożnie zamieszała papkę palcem. Następnie, najwyraźniej zadowolona z uzyskanej konsystencji, zakręciła kran i wróciła do stołu. Uśmiechnęła się do niego, trzymając łyżkę nad płomieniem świecy. Starał się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Tutaj przynajmniej woda jest czysta – powiedziała. – Dawniej czerpaliśmy z małej umywalki w ubikacji. Kto wie, jakie brudy sobie wstrzykiwałam. Nic dziwnego, że moje ręce wyglądają, jakby pogryzły je szczury.

Była niepewna siebie, nie dało się tego nie zauważyć. Jej wzrok skakał raz po raz od łyżki do jego twarzy. W końcu zdjęła łyżkę znad płomienia, uśmiechnęła się do niego i stwierdziła niedbale:

– Sądzę, że już się podgrzało. Nie powinno się zagotować.

Z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Gdy wolną ręką sięgnęła po strzykawkę, przytrzymał jej dłoń.

– Dziękuję, pani Bender, to wystarczy. Może pani przestać.

Nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Nie wiedział też, jakie ma to znaczenie dla sprawy Frankenberga. Jednego był tylko pewien: ciotka miała rację. Cora Bender rzeczywiście nie miała pojęcia, jak się obchodzić z heroiną. Nigdy własnymi rękoma jej sobie nie wstrzykiwała, mogła co najwyżej zobaczyć w telewizji, jak ktoś naciągał strzykawkę.

Rudolf Grovian zdmuchnął świecę, wyjął jej łyżkę z dłoni i zmył cukrową papkę pod kranem. Potem spakował wszystko z powrotem do plastikowej torebki i schował ją do kieszeni.

– A więc – powiedział – pamięta pani jeszcze, jak się umówiliśmy? Pokaże mi pani, że umie się z tym obchodzić, a ja zostawię panią w spokoju. Pokazała mi jednak pani, że nie umie. Mogę zatem zadać kilka pytań.

Była tak zdumiona, że przez kilka sekund tylko się w niego wpatrywała. Wreszcie potrząsnęła głową i ofuknęła go wściekle.

– Czy coś zrobiłam źle? Tak, wiem, powinnam najpierw wyjąć strzykawkę. Ale poradziłabym sobie. Ręką albo zębami. Niech pan posłucha, to zupełnie nie w porządku, co pan tu wyprawia. Przytrzymał mi pan ramię, zanim mogłam wszystko pokazać. A teraz twierdzi pan, że bym sobie nie poradziła.

– Nie o to chodzi, pani Bender.

– A o co?

– Dlaczego chce pani wiedzieć? Nie chce pani przecież mieć już nic wspólnego z heroiną. Nie musi pani wiedzieć.

Do diabła ze strachem i poczuciem winy, jego i jej. W tej chwili czuł się dobrze, a nawet cholernie dobrze. Pierwszy krok zrobiony. Teraz kolej na drugi. Z zaciśniętymi ustami ponownie usiadła na łóżku i demonstracyjnie spoglądała w stronę okna, ale niezbyt się tym przejął. Był pewien, że zmusi ją do mówienia. Do tej pory zawsze udawało mu się rozwiązać jej język i obudzić w niej coś, depcząc okruchy oderwane od muru. Musiał tylko zrobić kilka ostrożnych kroków we właściwym kierunku.

– Nie mogłem, co prawda, porozmawiać z pani ojcem – zaczął. – A z matką nawet nie próbowałem. Pomogła mi jednak pani sąsiadka. – Zrobił krótką pauzę, zanim wymienił nazwisko. – Grit Adigar. Z pewnością pani ją pamięta.

Nie odpowiedziała, nadal wpatrywała się w kierunku okna, przygryzając zębami dolną wargę.

– Opowiedziała mi o Horstim i Johnnym Guitarze – ciągnął, mieszając wyjaśnienia Grit Adigar z własnymi przypuszczeniami. – Johnny był kolegą Georga Frankenberga. A Horsti to niski, szczupły chłopak o jasnej cerze i blond włosach. Przyjaźniła się pani z Horstim od siedemnastego roku życia. Pani sąsiadka opowiedziała również o Magdalenie. O tym, że pani bardzo kochała siostrę i robiła dla niej co tylko mogła. Że jej śmierć mocno panią wstrząsnęła.

Nie spuszczał z niej oczu. Ona jedynie wpatrywała się w okno i przygryzała wargi. Mimo wszystkich kolorów tęczy na twarzy i szerokiego bandaża wyraźnie widać było, że zbladła. Prawie zaczął jej współczuć, ale tylko prawie. Współczucie by jej nie pomogło.

– A więc – powiedział raz jeszcze, jakby musiał w ten sposób coś zaznaczyć. – Chciałbym, żeby zrozumiała pani jedno, pani Bender! Nie jestem pani ojcem. Nie jestem pani matką. Ani sąsiadką czy ciotką. Wyobrażam sobie, że gdy wtedy wróciła pani do domu, zrodziło się wiele pytań i podejrzeń. Mnie jednak nie interesuje Magdalena. Nie chcę wiedzieć, dlaczego właśnie tamtego wieczoru zostawiła pani siostrę samą. To dla mnie zupełnie nieistotne. Rozumie to pani?

Nie zareagowała, zatem kontynuował:

– Chcę się tylko dowiedzieć, co stało się tego wieczoru w Aladynie i co było dalej. Co się stało z Horstim, czy została pani z Johnnym, kiedy i gdzie poznała pani Georga Frankenberga? Czy i kiedy zetknęła się pani z heroiną i kto ją pani podawał? A przede wszystkim chcę poznać nazwisko lekarza, który opatrywał pani obrażenia.

Żadnej reakcji. Jej dłonie spoczywały na kolanach, prawie zupełnie o nich zapomniawszy. Dolną wargę przygryzała już do krwi.

– Niech mnie pani znowu nie okłamuje, pani Bender – powiedział z pewną surowością, jakby przemawiał do dziecka; w pewien sposób tak właśnie ją postrzegał. – Widzi pani, dowiem się wszystkiego. Pewnych rzeczy szybciej, innych nieco wolniej. Ale w końcu dotrę także do nich. Dwóch moich kolegów wisi dziś przy telefonie, każdy ma przy sobie długą listę. Zadzwońią do każdego lekarza i każdego szpitala w Hamburgu i okolicach. Oszczędziłaby nam pani mnóstwo czasu i pieniędzy, gdyby powiedziała mi to dobrowolnie.

Odezwała się tak nagle, że się wzdrygnął. Początkowo był to tylko szept. Jednak już przy pierwszym powtórzeniu brzmiał normalnie. Przy drugim zaczęła krzyżeć:

– Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem! I nie chcę wiedzieć. Kiedy to pan wreszcie zrozumie? W ogóle nie wyjechałam tego wieczoru. Nie zostawiam siostry samej w jej urodziny.

Uniósł dłonie w łagodzącym geście.

– Spokojnie, pani Bender, proszę się uspokoić. Nie mówię o urodzinach pani siostry. Wiem już, że tamtego wieczoru nie wyszła pani z domu. Mówię o nocy w sierpniu, gdy Magdalena umarła.

Potrząsnęła głową jak pies strząsający z sierści krople deszczu, oddech miała urywany. Upłynęła niemal minuta, zanim powoli uniosła rękę i wskazała na drzwi.

– Nic nie powiem. Już tyle razy to panu powtarzałam. A teraz po raz ostatni: proszę wyjść! Niech pan znika. Odwal się pan. Jest pan gorszy niż zaraza. Naprawdę pan sądzi, że jeszcze raz puszcze parę z ust? Musiałabym dostać niezłe baty. Opowiadam panu gównu, a potem nie mogę się pozbyć smrodu. – Wciąż potrząsała głową, jednocześnie kilka razy tupiąc. – Nie! Koniec! Proszę wyjść! Żegnam! Nic tu już nie ma, chyba że w końcu włoży mi pan jeszcze moją siostrę do łóżka. Wynocha! Albo będę krzyżeć i wszyscy się zbiegną. Powiem, że chciał mi pan dać heroinę i że wrzuciłam ją do umywalki. Uwierzą mi. Ma pan to wszystko w kieszeni. I powiem, że chciał się pan ze mną przespać. Niech pan potem udowadnia, że tak nie było. Załatwię pana dokładnie tak samo, jak pan załatwi mnie, jeśli pan natychmiast nie wyjdzie. Będę rozmawiać tylko z tym, kto tu jest szefem. Opowiedziałam mu już wszystko dziś rano.

– Wszystko? – spytał z naciskiem, zupełnie nie zwracając uwagi na jej pogrożki. – Naprawdę opowiedziała mu pani wszystko, pani Bender?

Minęło kilka sekund, podczas których z zaciętą twarzą spoglądała to na niego, to na drzwi, ale nieco się uspokoiła.

– Powiedziała mu wszystko, co powinien wiedzieć.

– A co pani przemilczała?

Ponownie upłynęło kilka sekund. Wielokrotnie przetykała ślinę, szykując się do odpowiedzi.

– Nic ważnego. – Resztę wyjąkała. Wyraźnie trudno jej było powiedzieć choćby słowo na ten temat. – Tylko to, co dla pana... jest bez znaczenia. Że miałam siostrę, która w wieku osiemnastu lat... zmarła na niewydolność serca.

To przekłete wahanie. Rozum wyraźnie wskazywał mu na drzwi, a serce chciało wyciągnąć do niej rękę. Już dobrze, dziewczyno, już wszystko dobrze. To nie twoja wina. Nie jesteś za to odpowiedzialna. Żaden człowiek nie rodzi się winny.

Zamiast tego powiedział:

– Pani siostra była śmiertelnie chora, pani Bender. W kwietniu wróciła z kliniki, aby umrzeć w domu. Tylko że nikomu o tym nie powiedziała.

– To nieprawda. – Mówiła głośno, jakby zabrakło jej powietrza.

– A jednak – oświadczył z naciskiem. – Lekarze to potwierdzą. A jeśli nie wierzy pani lekarzom, niech pani zapyta ciotkę, ona zabrała dokumenty z kliniki. Wszystko w nich zapisano, pani Bender. Pani siostra i tak by umarła, nawet gdyby pani tego

wieczoru została w domu. Nie mogła pani temu zapobiec.

Coś w rodzaju uśmiechu pojawiło się na jej ustach. Zaczęła się śmiać bądź też szlochać. Nie potrafił stwierdzić.

– Niech pan się zamknie! Nie ma pan pojęcia, o czym mówię.

– Niech więc pani mi powie, pani Bender. Proszę mi powiedzieć.

Potrząsnęła głową, poruszała nią tylko tam i z powrotem, z lewej strony na prawo, z prawej na lewo. Tak mocno, że jej broda i nos za każdym razem dotykały ramienia. Nie zrobiła nic więcej.

O Magdalenie nie mogę rozmawiać z nikim. Gdybym to zrobiła, otwarcie i szczerze opowiedziała, jak z nią było, każdy by pomyślał, że nienawidziłam jej tak bardzo, iż mogłam ją zabić. Tak myślał ojciec, tak myślała Margret. Grit sama nie wiedziała, co ma o tym sądzić.

Nie zabiłam Magdaleny. Nie mogłam tego zrobić. Przecież była moją siostrą, kochałam ją. Nie zawsze, przyznaję. Nie od początku. Ale to, że najpierw jej nie lubiłam, było przecież normalne. Każde dziecko na moim miejscu czułoby to samo.

Magdalena ukradła moje dzieciństwo. Mnie zabrała matkę, a ojcu żonę, której tak bardzo potrzebował. Wesołą, cieszącą się życiem kobietę, którą podobno kiedyś była. Margret mi o tym opowiadała. Kobietę, która bawiła się w karnawale, umiała się śmiać i tańczyć i chętnie wypijała szklaneczkę. Która regularnie i z własnej woli kochała się z mężem. Która chciała mieć dziecko. Która, gdy została matką, była bezgranicznie szczęśliwa z powodu narodzin pierwszej córki.

Nigdy nie widziałam, by matka się śmiała. Zamiast tego modliła się i nie była szczęśliwa, tylko szalona. To Magdalena przywiodła ją do szaleństwa. Gdyby nie Magdalena, nie musiałabym ciągle wysłuchiwać, że zabrałam wszystkie siły z brzucha matki. Nie musiałabym przez lata męczyć ust i kolan modlitwą. Nie spałabym w jednym pokoju z ojcem, nigdy nie musiałabym przyglądać się, jak sam się zaspokaja. Nie usłyszałabym, że jestem dla niego jędrnym kawałkiem ciała. Nie czułabym tego wstrętu. Nie moczyłabym się przez lata w nocy. Nie cierpiałabym z powodu miesiączki. Miałabym matkę, która wytłumaczyłaby mi wszystko i pomogła poradzić sobie z własnymi problemami. A być może problemy wcale by się wtedy nie pojawiły.

Ale Magdalenie brakowało matki tak samo jak mnie. Wciąż pamiętam: skończyła właśnie piętnaście lat i opowiadała o tym. Znowu przez dwa dni była w Eppendorfie, gdzie przebadali ją od góry do dołu. Zrobili jej elektrokardiogram, badanie krwi, wszystkie możliwe testy, a na końcu wychodziła wciąż jedna i ta sama liczba. Za każdym razem cholernie mała. Tym razem pięć. Pięć miesięcy! Tyle czasu dawali jej jeszcze lekarze.

Jej serce za bardzo urosło, naprawdę znacznie. Lekarze rozmawiali z nią o tym zupełnie otwarcie. Wcześniej próbowali z matką, ale niewiele dało się zrobić. A w tym czasie ojciec... No cóż, nie interesował się już tym, co się działo w domu.

Wieczorem, gdy wróciła z kliniki, leżałyśmy w łózkach. W pokoju było jeszcze jasno. Magdalena patrzyła na sufit.

– Teraz już mi wszystko jedno, jaki mi wyznaczają termin – powiedziała. – Do tej pory za każdym razem się mylili. Tym razem też się tak okaże. Sama zobaczysz. Jeszcze

zdam się zestarzeć i posiwieć z tą moją pompą, pewnie tylko ty tego dożyjesz. Z przykrością zakładam, że nasza kochana mateczka i ojciec świntuch pożegnają się z doczesnym życiem znacznie wcześniej. – Skrzyżowała ramiona pod głową, ale zaraz znowu je wyprostowała, po czym zakłęła: – Cholerny świat, nie można nawet leżeć, jak się chce. Mimo to minie jeszcze trochę czasu, zanim szernieję. Musisz mi jedno przyrzec, Cora. Nie daj mi zgnić, nie wsadz mnie do ziemi między robaki. Zadbaj, żebym trafiła do ładnego, czystego ognia. Jeśli się nie da inaczej, zaciągnij mnie gdzieś do lasu, polej benzyną i pomyśl, że stoisz z blaszanym wiadrem w salonie. Chcę trafić do piekła, zanim będę musiała w niebie konkurować z matką w śpiewaniu. Na samą myśl, że przybędę do bram niebios, a ona będzie tam czekać, przechodzą mnie ciarki. – Zaśmiała się cicho. – Wyobrażasz sobie, co to będzie, gdy matka zajmie swoje miejsce? Drogi Święty Piotr pójdzie na emeryturę, zapewniam cię. Matka zostanie kierowniczką przy wejściu i będzie decydować, kogo wpuścić, a kogo nie. Po pewnym czasie na pewno przestaną wpuszczać kogokolwiek. Ale wtedy, jeśli będzie się nudzić, usiądzie sobie z Piotrem. Pogadają o dawnych czasach. Założę się, że matka wie na ten temat więcej niż on. Nie ma tylko pojęcia, co jest potrzebne tu, na dole. – Przez kilka minut milczała, patrzyła w sufit, jakby mogła zobaczyć już matkę w niebie. Potem powoli mówiła dalej: – Teraz jestem już zadowolona, że nie wie. Kiedy przez trzy dni znowu nie ma czasu, by się umyć, cieszę się nawet, że się do mnie nie zbliża. Wcześniej często chciałam, żeby zamiast prawić swoje kazania, choć raz mnie objęła. Zwłaszcza wtedy gdy tak mnie dopadło. Nie masz pojęcia, jak okropnie się czułam. Przez wymioty mało nie wyzionęłam ducha. Myślałam, że przy następnych pęknie ten cały aneuryzm. A kto trzymał miskę? Kto mi wycierał pot z czoła i odgarniał włosy? Młoda pielęgniarka. Matka, która była przy mnie tylko po to, by dodawać mi siłę, odwagi i diabeł wie czego jeszcze, klęczała, tylko jej zawadzając. Czasami pragnęłam, żeby pielęgniarka ją kopnęła. Tak bardzo potrzebowałam wtedy matki, Cora, a jej nie było. Zawsze w pobliżu, ale nigdy naprawdę przy mnie. Ale komu to mówię. Przy tobie także jej nie było. – Powoli poruszyła głowę na poduszce, obróciła ją na bok i spojrzała na mnie. – Czy ty też pragnęłaś kiedyś, żeby cię objęła?

– Raczej nie – odparłam.

Magdalena westchnęła.

– No tak, ty miałaś ojca. A teraz masz chłopaka. Opowiedz mi coś o nim.

Opowiadałam więc o chłopaku, który nie istniał. Był bardzo fajny, dwa lata starszy ode mnie i już po szkole. Jeździł skuterem, a wieczorem spotykaliśmy się nad jeziorem. Miał bogatych i bardzo nowoczesnych rodziców. Mieszkali we wspaniałym domu, jednym z tych, które stały w lesie przy drodze do Dibbersen, a przejeżdżając obok, widziało się tylko ich dachy. Był bardzo elegancki i bogato urządzone. A jego rodzice nie mieli oczywiście nic przeciwko temu, żeby mnie przyprowadzał. Wręcz przeciwnie, lubili mnie i zawsze cieszyli się na mój widok. Zamieniali ze mną parę słów, ale nie zatrzymywali nas zbyt długo, bo wiedzieli, że chcemy być sami. Szliśmy na piętro do jego pokoju, słuchaliśmy muzyki, kładliśmy się na łóżko, całowaliśmy się i głaskali.

Opowiadałam jej o tym co wieczór. Po kolacji zabierałam ją na górę, pomagałam się rozebrać, podtrzymywałam ją przy szczotkowaniu zębów, myłam ją, kremowałam, prowadziłam do łóżka, mówiąc przy tym:

– Już się nie mogę doczekać spotkania z nim.

Nazwałam go Thomas. W szkole był chłopak o takim imieniu, uważałam, że jest bardzo miły. Nie taki wstrętny i ordynarny jak pozostali. Niewiele o nim wiedziałam. Chodził do gimnazjum, widywałam go tylko na przerwach. Zwykle siedział w kącie na podłodze i czytał książkę. Nie interesował się dziewczynami – ani one nim. Nosił okulary.

Mój Thomas oczywiście nie. Magdalena uznałaby to za wadę. Dla niej chłopcy musieli być wysocy i silni, przystojni, czuli i namiętni. Thomas był już drugim chłopakiem, którego wymyśliłam.

Gdy Magdalena leżała w łóżku, schodziłam na dół i mówiłam do matki:

– Muszę teraz pod Boskim okiem oddać się kontemplacji.

Nie mogłam zostawać w domu, bo Magdalena szybko dostrzegłaby oszustwo.

Szłam do miasta. W centrum zawsze coś się działo. Sporo budowano. Oglądałam place budowy i wyobrażałam sobie, że pewnego dnia nas zamurują. Że po prostu otoczą nasz dom murem i odizolują nas jak zadżumionych, o których ojciec mi wcześniej opowiadał. Czasami wyobrażałam sobie też, że spotykam Thomasa. Tego prawdziwego, z okularami i książką. Że siadamy gdzieś razem i czytamy.

Ja także miałam książki – kupione. Musiałam je sama zamawiać, a były dość drogie. Ale pieniędzy mi nie brakowało. Z trzystu marek na dom, których co tydzień żądałam od ojca, nie wydawałam nawet jednej trzeciej, a mimo to żyliśmy dostatniej niż przedtem. Nie sprzedawałam już spinek na podwórku. Szminki i różne przybory do makijażu tak, ale przede wszystkim perfumy i inne rzeczy, które przynosiły duże zyski, a które łatwo było schować. Raz nawet walkman.

Załatwiłam jeden także dla Magdaleny. Zawsze miała go przy sobie w łóżku. Nie było obaw, że matka to odkryje. Nie przychodziła już do naszego pokoju. Krążyła tylko między swoim łóżkiem a domowym ołtarzem, a wszystkie przyziemne obowiązki złożyła na moje barki.

Zanim wyszłam do szkoły, przygotowywałam śniadanie i zajmowałam się Magdalena. Gdy wracałam, gotowałam obiad. Robiłam zakupy, pranie i utrzymywałam dom w czystości. Każdą wolną chwilę spędzałam z Magdalena, dopóki wieczorem się nie położyła, a wtedy ja wychodziłam na obchód.

Dziewczyna z mojej klasy regularnie nagrywała mi na kasety najnowsze przeboje. Czasami dawałam jej za to w prezencie jakiś drobiazg. Inaczej Magdalena nie miałaby z walkmana żadnego pożytku. Kochała muzykę. W ciągu tych trzech godzin, gdy mnie nie było, słuchała kaset, jedną po drugiej, dopóki nie wróciłam.

Zanim weszłam do domu, robiłam jeszcze krótki wypad do szopki. Pod workami na kartofle nie leżały już słodycze, ale mnóstwo innych rzeczy, w tym papierosy i mała zapalniczka. Zapalałam papierosa i zaciągałam się kilka razy. Potem ostrożnie go gasiłam i wkładałam z powrotem do paczki. W ten sposób jeden papieros starczał mi na kilka dni.

Nie lubiłam palić. Robiło mi się od tego niedobrze, często kaszlałam. Ale Magdalena uważała, że to eleganckie. I poznawała po zapachu, czy paliłam. Kilka miesięcy później, gdy przestałam chodzić z Thomasem, rzuciłam palenie. Opowiedziałam jej, że mój nowy chłopak nie znosi papierosów i nie cierpi, jak dziewczyna pali. Że według niego równie dobrze można całować popielniczkę. A ja nie chcę ryzykować, bo świetnie

wygląda, a robi mi się wilgotno w majtkach, gdy tylko dotknie mojej nogi. Magdalena to rozumiała.

Siostrze powiedziałam, że ten nowy chłopak – nie pamiętam już, jak go nazwałam, tyle było tych imion – jest ode mnie trzy lata starszy. I że to z nim po raz pierwszy uprawiałam seks. A Magdalena poprosiła, żebym jej pokazała, jak to jest.

Naprawdę robiłam dla niej wszystko, co się dało. Czasami mówiła:

– Gdy będę już na tyle duża, by sama decydować, każę się jeszcze raz zoperować. Znajdę lekarza, który to zrobi.

Chciałyśmy polecieć razem do Stanów Zjednoczonych, do jednego z dużych centrów kardiologicznych. Wciąż obliczałyśmy, ile pieniędzy uzbieramy do jej osiemnastych urodzin, jeśli co tydzień będziemy odkładać sto marek. Powiedziałam jej, że tyle mogę zaoszczędzić na prowadzeniu domu. Nie chciałam zdradzić, że właściwie było to dwa razy więcej, bo mogłaby zacząć podejrzewać, że kradnę jak sroka.

Według niej sto marek tygodniowo nie mogło wystarczyć. Powiedziałam, że na dworcu znalazłam portfel z tysiącem marek w środku. I że będę mieć teraz oczy otwarte, bo wielu ludzi dość niedbale obchodzi się ze swoimi rzeczami i nie zauważa, że coś gubi.

Magdalena się zaśmiała.

– Jesteś kochana – powiedziała. – Ale głupiutka. Musiałabyś obrabować bank, żeby zebrać takie pieniądze. Nie można liczyć tylko na to, że ktoś coś zgubi...

Mało brakowało, a powiedziałabym jej, iż nie znalazłam tych pieniędzy, a w szopce miałam znacznie więcej niż tysiąc marek. Przeczytałam jednak w gazecie, ile kosztuje operacja w Stanach Zjednoczonych i że trzeba zapłacić samemu. Takiej sumy nie uzbierałabym jeszcze przez długi czas. Nie wiedziałam też, jak mam ją zdobyć.

Gdybym mogła pracować po szkole, nie byłoby problemu. Ale musiałam się przecież zajmować domem i Magdaleną. Matka, nawet jeśli chciała, nie dawała sobie z tym rady. Bardzo często wszystko się jej mieszało i myliła na przykład garnek do zupy z czajnikiem. Ojciec kupił nowoczesną pralkę, ale w ogóle sobie z nią nie radziła. Trzymała się od niej z daleka. Myślę, że się jej bała. Uważała pralkę za dzieło szatana i zakręcała nam wodę. Mieliśmy czterdzieści dni pościć na pustyni. Potrafiłam jej wybić z głowy takie pomysły. Trzeba było tylko ciągle uważać, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

Magdalena także sądziła, że będzie lepiej, jeśli zostanę w domu.

– Pracować? – powiedziała. – A gdzie chcesz pracować? W twoim wieku możesz co najwyżej iść na praktykę. To trzy lata, przez które nie zarobisz prawie nic. Jeśli naprawdę chcesz zebrać pieniądze na moją operację, musimy wymyślić coś innego. Mam już pewien pomysł. Jest takie zajęcie, za które najmłodsze dziewczyny są najlepiej opłacane. Ale nie wiem, co ty na to.

Rozdział 12

Z powodu przeniesienia Cory Bender z aresztu śledczego do szpitala dla nerwowo chorych urzędnicy sądowi musieli natychmiast przydzielić jej adwokata. Rodzina do tej pory nie podjęła żadnych kroków w tym kierunku.

Wydawało się, że mąż i teściowie Cory zapomnieli o jej istnieniu. Ciotka, z zawodu pielęgniarka, przebywała w północnych Niemczech i czuwała przy umierającym starcu, któremu nikt już nie mógł pomóc. Po matce nie należało się niczego spodziewać.

Na liście adwokatów, którym Sąd Krajowy w Kolonii mógł zlecić obronę z urzędu, znajdował się również doktor Eberhard Brauning – bardzo ceniony za dobrą współpracę z władzami. Przyjaciele, w tym kilku sędziów, nazywali go Hardy. Miał trzydzieści osiem lat i był kawalerem. W jego życiu naprawdę liczyła się tylko jedna kobieta – matka, z którą nadal mieszkał.

Helene Brauning przez lata pracowała na tym samym polu co profesor Burthe. Często występowała przed sądem jako biegła psycholog i tylko dwa razy nie udało się jej zapobiec skazaniu oskarżonego na karę więzienia. Helene Brauning specjalizowała się – nie tylko w sądzie – w przypadkach poważnych zaburzeń. Dwa lata temu wycofała się z życia zawodowego. Na dłuższą metę zbyt przygnębiające stało się dla niej to, że nie mogła naprawdę pomóc, jedynie się sprzeciwiać.

Dla Eberharda Brauninga psychiatria i psychologia stanowiły broń obosieczną. Od wczesnej młodości fascynowali go przestępcy z zaburzeniami psychicznymi, jednakże tylko teoretycznie. W rzeczywistości byli dla niego przerażający. Na szczęście w prawniczej codzienności należeli oni raczej do wyjątków.

Kiedy mąż pod wpływem alkoholu lub z zazdrości mordował żonę, adwokat potrafił sobie z tym poradzić. Kiedy pracownik o nieposzlakowanej opinii po suto zakrapianym przyjęciu firmowym zgwałcił koleżankę, potrafił go bronić, nawet jeśli wewnętrznie taki czyn go brzydził.

Eberhard Brauning potrzebował wytłumaczalnych odruchów i zrozumiałych motywów. Potrzebował szczerzej rozmowy, niekoniecznie żalu. Gdy go widział, cieszył się, choć równie dobrze radził sobie z kłamstwami.

Tego wszystkiego nie mógł się jednak spodziewać po istotach, którym Helene poświęciła ponad połowę życia. Zamieszkiwały one niedostępny mu świat. Ich zachowanie stanowiło dobry temat wieczornej dyskusji, jednak w pracy Eberhard Brauning wolał przypadki, w których zarówno sytuacja, jak i umysł klienta były jasne.

Sędziemu śledczemu wydawało się, że sprawa Frankenberga należy do takich przypadków. Młoda kobieta na oczach kilkunastu osób zamordowała byłego kochanka, początkowo w trakcie przesłuchania wypierała się znajomości z nim, ale dzięki perswazji przesłuchujących wreszcie się przyznała i wyjawiała swoje motywacje, po czym próbowała popełnić samobójstwo.

Dokumenty z prokuratury były niemal kompletne. Brakowało tylko orzeczenia biegłego psychologa. Mogło to jednak jeszcze trochę potrwać. Profesor Burthe miał bardzo napięty grafik. Brakowało także podpisanego zeznania, ponieważ młoda kobieta

odwołała pierwsze oświadczenie i od tego czasu z uporem zaprzeczała, jakoby знаła ofiarę. Nietrudno się domyślić dlaczego. A Eberhard Brauning był odpowiednią osobą, by przekonać ją, że kara więzienia to lepsze niż inne środki.

Cora Bender znajdowała się obecnie na zamkniętym oddziale psychiatrycznym, co Eberhard Brauning potraktował jako naturalną konsekwencję jej próby samobójczej. Chusteczki higieniczne! Żeby wpaść na taki pomysł. Uznał to za wyjątkowo wyrafinowane posunięcie, opierając się na osobistej opinii sędziego śledczego, który opisał Corę jako kobietę arogancką. Rozumiał jednak, że sędzia nie chciał ryzykować.

Eberhard Brauning poprosił o pozwolenie na przejrzenie akt i po pięciu dniach od śmierci Frankenberga otrzymał kopie wszystkich zgromadzonych dokumentów. Było to w czwartek. Wczesnym wieczorem rozpoczął od przeczytania sporządzonych tuż po zajściu zeznań świadków i późniejszych uzupełnień nieodnoszących się bezpośrednio do wydarzeń.

Zachowanie ofiary wydało mu się równie jednoznaczne jak ojcu rodziny, którego wypowiedź znalazła się w protokole. Do kwestionariusza z danymi osobowymi Cory Bender dołączono późniejszą notatkę. Siostra, Magdalena Rosch, zmarła przed pięcioma laty na niewydolność serca i nerek. Zignorował tę informację.

Gdy czytał zapisy nagranych rozmów, przez chwilę ogarnął go niepokój. Cora Bender musiała w pewnym momencie wpaść w stan, który bardzo łagodnie można było określić jako roztrzęsienie, albo też odegrała niezłe przedstawienie przed przesłuchującymi ją policjantami. Przychylał się do drugiej możliwości, choć chętnie wysłuchałby opinii matki na ten temat. Niestety, gdy odłożył akta, Helene już się położyła. Dawno minęła północ. Następnego ranka przy śniadaniu zabrakło czasu na szczegółową rozmowę. Wspomnił tylko, że pracuje nad nową, niezwykle ciekawą sprawą. Kolejna osoba, która wyobraża sobie, że szpital psychiatryczny to sanatorium.

Tuż po przybyciu do kancelarii ustalił termin rozmowy z klientką. Był zdecydowany wyjaśnić jej, że składając obszernie zeznanie, może liczyć na łagodniejszych sędziów. W piątek wczesnym popołudniem, punktualnie o trzeciej, otworzono przed nim drzwi i ujrzał ją po raz pierwszy.

Stała przy oknie, miała na sobie skromną spódnicę i bluzkę o prostym kroju, poplamione i zmięte. Nie nosiła rajstop. Na gołe stopy wsunęła buty na niskim obcasie. Jej włosy najwyraźniej od kilku dni nie miały kontaktu z wodą ani szamponem. A jej twarz, gdy powoli odwróciła się do drzwi w jego stronę...

Eberhard Brauning bezwiednie wstrzymał oddech i po raz pierwszy zwątpił w swoją ocenę. To otępienie! Jej oczy przypominały szklane guziki na głowie pluszowego misia, ukochanej zabawki z dzieciństwa. Były to dość duże guziki. Gdy trzymał je pod światło, widział w nich swoje odbicie. Tylko on, pokój, otoczenie. Miś nigdy nie zdradził żadnego szczegółu swego wewnętrznego, szmacianego życia.

Skulił ramiona, przesyty nieprzyjemnym dreszczem. Poczuł, że aktówka w jego dłoni podwoiła swój ciężar. Powoli wypuścił powietrze, przełknął ślinę i starając się mówić spokojnie i bardzo wyraźnie, rzekł:

– Dzień dobry, pani Bender. Nazywam się Eberhard Brauning, jestem pani adwokatem. – Nie wspomniął o tytule doktora, zdawało się to nie na miejscu wobec tych

szklanych oczu na zielonkawożółtym obliczu.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, nie dając nic po sobie poznać.

– Mój adwokat – wymamrotała. Jej głos był pozbawiony emocji.

– Zostałem powołany przez sąd do reprezentowania pani interesów lub mówiąc prościej, do pani obrony. Wie pani, jakie zarzuty na pani ciążyą?

Gdy tak stała, mógłby przysiąc, że nie wiedziała. Nie odpowiedziała na pytanie.

– Gorąco tu – stwierdziła, odwracając się znowu do zakratowanego okna. – A niebo się chmurzy. To nie jest dobra pogoda na pływanie. Powinnam za pierwszym razem zostać w wodzie. Dawno już bym o wszystkim zapomniała i żyłabym teraz spokojnie z tym mężczyzną na dole. – Jej piersi zafalowały, gdy drząc na całym ciele, wciągnęła powietrze. – Rozmawialiśmy o tym dziś rano, profesor i ja. Że chciałam mieszkać z mężczyzną z jeziora. W piątki mówiłabym mu: „Mylisz się, kochany, dziś jest już poniedziałek”. Ale dzisiaj jest piątek, prawda? Spytałam rano profesora. Powiedział, że piątek. – Przez kilka chwil milczała, potem ponownie odwróciła głowę i przyglądała mu się krytycznym wzrokiem przez ramię. – A może mnie okłamał? Największą przysługę wyświadczy mi pan, mówiąc, że mnie okłamał. Utrapienie z tymi konowalami. Gdy człowiek myśli, że mówią prawdę, to się mylą. A gdy uważa, że muszą się mylić, mówią prawdę. Jeden taki powiedział mi kiedyś, że jestem uzależnioną dziwką, zadającą się tylko z perwersyjnymi typami. – Uniosła ramiona, ale zaraz opadły. – Ten się, niestety, nie mylił. Zboczeńcy po prostu lepiej płacą. A ja musiałam łączyć masę pieniędzy przed dniem X. Wszystko zależało ode mnie. Ona zażądała, żebym to zrobiła. Chciała, bym swoim ciałem zapłaciła za jej serce. – Przelotny, bolesny uśmiech na ułamek sekundy przywrócił jej twarzy normalny wygląd. I już go nie było. – Zrobiłabym dla niej wszystko – tłumaczyła. – Wyrwałabym sobie serce i oddała jej, gdybym tylko mogła. Wiedziała o tym. Sporo wiedziała o wykolejeńcach. Wiedziała też, że ja jestem wykolejona i właściwie nie ma to już znaczenia.

Eberhard Brauning nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko się przyglądać i wychwytywać niektóre słowa. Serce, siostra.

Zatopiona w myślach pokiwała głową.

– Ale tego nie mogłam dla niej zrobić. Miałam dopiero szesnaście lat. Nigdy jeszcze nie spałam z mężczyzną. Płakałam całą noc, błagając, by wymyśliła coś innego. I wie pan, co powiedziała? „Nie musisz się przecież z nimi pieprzyć, głupia. Normalny stosunek nie jest opłacalny. Tylko na sadomaso zarobisz prawdziwą kasę. Wystarczy, że tym starym dziadygom porządnie coś obijesz. Daj im baty. Uszczyp ich w jądra, wbij im igły w członek, oni tego chcą”. Ale ja nie potrafiłabym torturować starych mężczyzn. Nie mogłam nawet o tym myśleć! – Przyłożyła dłoń do ust. Poważne potakiwanie zamieniło się w równie poważne kręcenie głową. – Powiedziała, że mam przy tym po prostu myśleć o ojcu. Jak się na mnie napalił. Podobno gdy jej pokazałam, jak mi sprawdzał majtki, skłamałam, by nie wpadła w histerię. Dlatego wtedy stwierdziła, że to nic takiego. Ale żeby sprawdzić, czy się zsikałam, nie musiał mi wsadzać ręki między nogi. Wystarczyłoby spojrzenie na prześcieradło. Gdy to powiedziała, wiedziałam, że jest bestią. Ale każdy próbuje przecież na swój sposób. Chciała tylko żyć.

Eberhard Brauning zdołał skinąć głową i odpowiedzieć:

– Wszyscy chcemy.

Również skinęła.

– Lepiej by było, gdybym tak zrobiła. Wielu naprawdę tego chce. Wyświadcza się im przysługę, poniżając ich i torturując. W ten sposób mogłabym się jej pozbyć legalnie. Jakoś przecież musiałam. Sama by nie umarła, ale po operacji mogłaby żyć samodzielnie. Już by mnie nie potrzebowała. Dlaczego tego nie zrobiłam, gdy jeszcze był czas? Dlaczego udało mi się dopiero po jej śmierci? Sądzi pan, że to z powodu wyrzutów sumienia? Chciałam upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? Przeprosić ojca, a jednocześnie móc powiedzieć: Hej, ty tam, w górze, spójrz na dół. Zobacz, robię to. Robię to dla ciebie. – Spojrzała Brauningowi w twarz, a głęboko w jej szklanych oczach zapaliła się iskra. Nie płonęło w nich jednak życie, a jedynie udręka, niczym iskra z ognia piekielnego. – Zrobiłam to – powiedziała, wzdychając ciężko. – Nie tak, jak mi proponowała. Nie potrafiłam ukłuć mężczyzny igłą. Odwrotnie, podstawiałam własną skórę. Ale i na to nie było mnie stać. Żeby wytrzymać te świństwa, ćpałam. Brzmi logicznie, prawda? Uważam, że nawet bardzo. Ale szef mi nie wierzy. A pan?

Eberhard Brauning poczuł nagłą potrzebę załomotania w drzwi, aby go uwolniono. Od spojrzenia tych oczu, które płonęły coraz mocniej, od tego pokoju, a najlepiej od tej klientki. Zobaczył przed sobą notatkę. Niewydolność serca i nerek! Z pewnością to była pomyłka – nie jedyna w tej sprawie. A on miał się nią zająć.

Nie zapukał do drzwi, zaczął tylko pogwizdywać w duchu. Wesołą, popularną piosenkę. Nie wiedział, skąd mu przyszła do głowy. Ale gwizdanie w duchu uspokajało go już w dzieciństwie.

Stojące w pokoju łóżka były porządnie zasłane. Tylko po pościeli poznał, że ich używano. Była równie poplamiona i zmięta jak ubranie Cory Bender.

Cora od ponad minuty milczała. Zauważył to dopiero wówczas, gdy podążyła za jego spojrzeniem i z uśmiechem oraz wyraźną kpina stwierdziła:

– Wygląda, jakbym nie była tu sama, prawda? Niech te łóżka pana nie zwiodą. To tylko manewr, aby mnie wprowadzić w błąd. Do tej pory poza personelem, profesorem i szefem jeszcze nikogo nie widziałam. Sądzę, że chcę sprawdzić, czy mam jeszcze wszystkie klepki w głowie, czy też zacznę rozmawiać z nieistniejącymi ludźmi.

Ta zmiana całkowicie go zaskoczyła. Jej głos, nawet spojrzenie należały nagle do osoby, która sobie żartowała. Zrobiono jej psikusa i nie zorientowano się, że ona już dawno przejrzała całą grę. Mogła się wyśmiewać z głupoty innych.

Lakonicznie wzduszyła ramionami i zastrzegła:

– Ale być może chodzi o to, że za dużo śpię. Ledwo się położę, a dwie sekundy później już odpływam. Potem mogą obok mnie nawet strzelać z armaty, i tak się nie obudzę. Rano zawsze muszą mną potrząsać. Profesor uważa to za zły znak, że tak dużo i chętnie śpię. Pewnie też przeczytał kiedyś, iż sen to młodszy brat śmierci. – Zaśmiała się rozbawiona. – Bzdura, nigdy nie miałam nic wspólnego z młodszym bratem. Przez lata spałam w pokoju ze starszym i nawet cieszyłam się, gdy ojciec przeniósł się obok, a starszy brat do mnie. Czasami człowiek postępuje tak beznadziejnie głupio, że powinno to być zabronione.

Eberhard Brauning zdążył już odetchnąć z ulgą i starał się przypomnieć sobie

początek przemowy, którą dla niej przygotował. Nagle jednak Cora mrugnęła, a gdy mówiła dalej, jej ton stał się równie opanowany i obojętny jak na początku.

– Przepraszam. Pewnie nie wie pan nawet, o czym opowiadam. Czasem ja sama nie wiem. Nie zawsze myślę jasno. Ci tutaj ciągle faszerują mnie jakimś gównem. Profesor twierdzi, że to tylko leki antydepresyjne. Stek kłamstw, mówię panu. – Jej ramiona rozluźniły się, głos także. – Ale ja się przez to przegryzę – stwierdziła. – Zawsze tak robiłam. Dawniej często powtarzałam, że gdy ktoś mnie kopie w tyłek, robię dwa kroki do przodu. Taka jest zasada zachowania pędu, a może jest pan innego zdania? – Mówiła już bardzo przytomnie, w następnym zdaniu jej głos stał się ironiczny i ostry. – Niech pan nie robi takiej wystraszonej miny. Nie zwariowałam. Tylko udaję. Tutaj opłaca się być wariatką. Szybko się zorientowałam. Można wygadywać głupoty i na każde kłopotliwe pytanie serwować jakieś gówno. Wtedy się cieszą. Potrzebują tego dla potwierdzenia, w końcu dostają za to pieniądze. Ale my możemy porozmawiać rozsądnie. Nie musi pan nikomu zdradzać, że jeszcze to potrafię. Zakładam, że jako mojego adwokata obowiązuje pana tajemnica. Tylko że ja nie potrzebuję adwokata. Przykro mi, ale przyszedł pan na próżno.

Eberhard Brauning czuł się jak pod prysznicem, na przemian chłodnym i gorącym. Nie wiedział, co ma sądzić o jej przemowie ani jak na nią zareagować.

– Zostałem powołany przez sąd jako pani obrońca – powtórzył.

Współczująco wzruszyła ramionami, na jej zielonkawożółtej twarzy odbijało się poczucie wyższości.

– A skąd sąd wie, że chcę mieć obrońcę? Nic pan na mnie nie zarobi, dobry człowieku. Niech pan powie sędziemu, że pana wyrzuciłam. Albo że po rozmowie ze mną zmienił pan zdanie.

– To niemożliwe, pani Bender – odparł. – Potrzebuje pani adwokata i...

– Bzdura – przerwała mu lekceważąco. – Nie potrzebuję nikogo. Najlepiej radzę sobie sama. A nigdy nie jestem zupełnie sama. Zna pan *Ucznia czarnoksiężnika*?

Gdy zakłopotany skinął głową, wyjaśniła:

– Nie ja przywołałam duchy. Zrobił to szef. Ta świnią przyzywała z piekła jednego po drugim. A teraz jeszcze przyznał mi Magdalenę. Wiedziała, że tak się stanie, gdy go do niej dopuszczę. Dlatego trzymałam go z daleka. Ale on porozmawiał z Grit. Nie wiem, jak się jej pozbyć. Inni także mnie nie opuszczają. Johnny, Böcki i Tiger. Nie wiem, skąd się wzięli. Do cholery, nie mam pojęcia, gdzie ich wsadzić, żeby nie zdeptali mojego umysłu. – Klasnęła w dłonie, odetchnęła głęboko i ponownie się uśmiechnęła. Nie z wyższością, jedynie ze skargą. – Jestem tu dobrze traktowana, proszę mi wierzyć. Nie marzyłam o skończeniu w wariatkowie. Ale nie zawsze ma się wybór. W porównaniu z więzieniem to niewielka różnica. Może jest nawet lepiej, w każdym razie nie kłócę się z innymi kobietami. Grzecznie łykam tabletki, zjadam wszystko z talerza i opowiadam profesorowi, co tylko chce usłyszeć. Ale na tym poprzestańmy. Wykluczone, żeby pojawił się teraz jeszcze jeden, który będzie mnie denerwował pytaniami, aby mnie potem bronić przed sądem. Sama to potrafię.

Eberhardowi Brauningowi szło tak samo jak na początku Rudolfowi Grovianowi. Nie dostrzegał, na jak niezwykle wąskiej krawędzi balansuje jej umysł. Czuł narastającą

wściekłość, starał się jednak zachować spokój i przytoczyć rzeczowe argumenty.

– Nie może pani. Przed ławą przysięgłych nie można reprezentować samego siebie. Nawet ja bym tego nie mógł, gdyby oskarżono mnie o zbrodnię. Wyrok nie byłby prawomocny i w każdej chwili można by było wnieść apelację, o ile sędziny nie miałyby doradcy prawnego.

Zrobił krótką przerwę, czekając na jej odpowiedź. Milczała, podeszedł do stołu, postawił na nim aktówkę, ale nie otworzył jej od razu, tylko przysunął jedno z krzeseł, mówiąc:

– To są fakty. Nie ma znaczenia, czy nam się podobają czy nie. Zostałem zobowiązany jako adwokat i nie mogłem odmówić. Teraz pewnie bym mógł. Wy tłumaczyłbym sędziemu, że pani Bender nie współpracuje i w tych okolicznościach nie mogę jej reprezentować. Wtedy sędzia zwolniłby mnie z tego obowiązku i wyznaczył pani innego adwokata. Oczywiście jego także mogłaby pani odrzucić, tak samo trzeciego i czwartego. Nie wiem, jak długo sędzia pozwalałby pani na taką zabawę, zanim straciłby cierpliwość. Ale niech pani zrozumie, że ma tylko jedno wyjście: ja albo ktoś inny.

Nie wiedział, dlaczego jej to tłumaczył. O wiele łatwiej byłoby wygłosić tę mowę sędziemu. W tej chwili nie myślał jednak, dlaczego miałby pożałować swych słów. Czuł, że się z niego nabija, przysięgłby, że próbuje z nim tej samej gierki co z przesłuchującymi.

Johnny, Böcki i Tiger! Nie da się nabrać! Dobrze grała swoją rolę, była niemal świetna. Ale on – od kiedy pamiętał – mieszkał z Helene. A jeśli się czegoś od niej nauczył, to tego, że gdy ktoś wyśmiewa się z głupców grzecznie połykających kolejne bajeczki, to dokładnie wie, co robi.

Zafascynowany śledził wyraz jej twarzy, drwinę wykrzywającą wargi i rozpalającą w szklanych oczach iskierki życia. Bez dwóch zdań, świetnie się bawiła jego kosztem. Był przekonany, że gdyby Helene mu towarzyszyła, potwierdziłaby ten osąd. Cora Bender wyobrażała sobie, iż może wodzić za nos cały świat.

– Siedzimy więc w tym razem, prawda? – stwierdziła, po czym także podeszła do stołu i usadowiła się na jednym z krzeseł. – I co teraz zrobimy? Naprawdę mi przykro, że spotyka to właśnie pana. Ale skoro tak się sprawy mają, lepiej pana zatrzymam. Inaczej przyślą mi w końcu jakiegoś dziada. Przy panu mam przynajmniej na co popatrzeć. Ułatwię panu wszystko, żeby ta sprawa nie była dla pana udręką. Jestem winna. Nie ma co tego roztrząsać. Nie zaprzeczam, otwarcie się przyznaję, nie zamierzam jednak składać żadnych wyjaśnień. Wystarczy?

Eberhard Brauning wreszcie usiadł, otworzył teczkę, wyjął z niej stos dokumentów i położył je na stole.

– Wystarczy, żeby wydać wyrok – powiedział i położył dłoń na aktach. – Ale to nie wygląda dla pani dobrze.

Wykrzywiła twarz w uśmiechu.

– Przyzwyczaiłam się. Nigdy nic nie wyglądało dla mnie dobrze. Niech pan to schowa, wiem, co jest w środku. Ciosy zadane z wielką precyzją! I inne rzeczy. Bóg wie, do czego szef jeszcze się dokopie. A gdy pan profesor ze mną skończy, na pewno chętnie sporządzi śliczny raport dla prokuratora. Być może wyświadczy panu przysługę i wspomni o paru okolicznościach łagodzących. – Z głębokim westchnieniem dodała: –

Zobaczmy. Gdy już pan wszystko zbierze, proszę obmyślić strategię. Potem przyjdzie pan znowu i omówimy ją na spokojnie. Może do tego momentu trochę zmądrzeję. W tej chwili oboje tylko marnujemy czas. – Rzuciła tęskne spojrzenie w stronę okna, jej głos stał się ciężki i melancholijny.

Eberhard Brauning na krótką chwilę ponownie uwierzył, że chciała jedynie pokazać, na co ją stać.

– Muszę trochę uważać na to, co mówię – oświadczyła. – Miał pan kiedyś poczucie, że musi przytrzymywać swój rozum obiema rękami? To dość męczące, może mi pan wierzyć. Już prawie boję się myśleć. Czasami aż trzy razy spoglądam na kraty, zanim przekonam się, że nie jestem w domu. Wszystko wydaje się takie rzeczywiste, jakbym znajdowała się w samym środku własnego domu. Zabieram Magdalenę do łóżka, podtrzymuję w łazience, słyszę ją za plecami w kuchni. Nie wiem, czemu tak się dzieje. Dlaczego muszę przeżywać wszystko jeszcze raz? Zostawiłam to przecież daleko za sobą i mocno zamknęłam drzwi. Szef się przez nie przecisnął. Nie powinien był mi grozić. Od tego się zaczęło. – Ze zdumieniem pokręciła głową i poprawiła się. – Nie, zaczęło się już nad jeziorem. Ale tam spróbowałam tylko lemoniady malinowej i ujrzałam mały krzyż. Teraz czuję smak jego krwi i widzę trzy duże krzyże. Nie ma znaczenia, w którą stronę patrzę, pojawiają się wszędzie. A na środkowym wisi człowiek bez winy.

Nie miał ochoty przerywać tego monologu. Ale przed nim nie odstawiało się takich przedstawień. Najwyższy czas, by jej to uświadomić.

– Kto pani groził i czym? – spytał.

Nadal patrzyła przez okno. Jej twarz przybrała ten sam obojętny wyraz jak na początku.

– Szef – wymruczała i dodała nieco głośniejsz: – Nazywa się Rudolf Grovian. Uparty z niego osioł, mówię panu. Powiedział mi, że znalazł dziewczynę z połamanymi żebrami. – Jej spojrzenie skierowało się na niego, a oczy ponownie przypominały szklane kulki. – Okropne, prawda? – Skinęła ciężko głową. – Ale nic się na to nie poradzi. On wykonuje tylko swoją pracę. Wiem, że nie mam prawa się na niego skarżyć. Wcale nie chcę. Ale teraz zgromadził już tyle, że mógłby wreszcie dać spokój. A on tego nie robi. Nie przestanie, dopóki mnie nie załatwi. Rozpadam się tutaj.

Jej głos spowodował, że przeszedł go zimny dreszcz. Ostatnie zdanie wypowiedziała ochryłym szeptem. Uderzyła się pięścią w pierś. Przez chwilę zaciskała powieki jakby z bólu, potem zebrała się w sobie.

– Mogłabym mu skrócić kark. Ale na swój sposób go lubię. Zbawiciel zawsze powtarzał: Miłujcie swych nieprzyjaciół. Szef był moim pierwszym nieprzyjacielem. Na początku wydawałam się sobie taka silna. Tamten mężczyzna leżał zakrwawiony i martwy, a ja czułam się wspaniale. Jak Goliat. Byłam Goliatem. Bardzo dużym, więc dostrzegłam nóż na wysokim stole i sięgnęłam po niego. Potem jednak przyszedł ten mały Dawid i powiedział, że musi porozmawiać z moim ojcem. Straciłam panowanie nad sobą i zaczęłam kłamać. Co najdziwniejsze, im więcej zmyślałam, tym więcej widziałam. Obraz z płam, zielone kamyki na podłodze, a na schodach grubego i dziewczynę. Teraz widzę trzy krzyże. Wiem, że zabiłam niewinnego człowieka. I boję się. Strasznie się boję gniewu jego ojca.

Eberhard Brauning nie potrafił się przełamać i tak pokierować rozmową, jak to sobie zaplanował. Pragnął, by Helene była przy nim, oceniła sytuację, a potem powiedziała mu, co ma robić.

Cora Bender zacisnęła usta i ukryła twarz w dłoniach. Wyszepiała przy tym:

– Czasami w nocy, gdy wydaje mi się, że śpię, przychodzi do mojego łóżka. Nie widzę go, tylko czuję. Pochyliła się nade mną i mówi: „Mój syn nie jest winny tej katastrofy. Zrobił, co mógł”. Za każdym razem, gdy to powtarza, chcę wykrzyknąć: „Kłamiesz!”, ale nie potrafię. Nie mogę otworzyć ust, bo przecież śpię.

Minęły wieki, zanim opuściła dłonie. Jej twarz wyglądała dokładnie tak, jak w dzieciństwie wyobrażał sobie twarze chorych psychicznie.

– Niech się pan nie martwi – wymamrotała wyczerpana. – Wiem, jak to wszystko brzmi. Ale wiem też, komu to mogę powiedzieć, a komu nie. Profesorowi nie wspominam słowem o Zbawicielu ani pokutującej Magdalenie. Na początku naprawdę nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Ale potem umyła Mu stopy i wszystko się zmieniło. Zna pan dobrze Biblię?

Pytaniu towarzyszyło trzeźwe i krytyczne spojrzenie. Jak gdyby specjalistka chciała wytłumaczyć coś laikowi. Znowu bezwiednie skulił ramiona.

– Trochę – odparł.

– Jeśli miałby pan jakieś pytania – ciągnęła – proszę się zwracać tylko do mnie. Znam każde słowo, a nawet fragmenty, które nigdy nie zostały napisane. Myjąc Mu stopy, chciała tylko mi się przypodobać. Naprawdę pragnęła Go zniszczyć i się jej udało. Ja to zrobiłam. Nie wiem dlaczego. Naprawdę nie wiem. Sama melodia nie mogła być przyczyną. – Czubkami palców zaczęła wybijać rytm na blacie stołu. – To była jego piosenka. Miałam ją w głowie. Jak się tam dostała? Musiałam go przecież znać, nie uważa pan? To dlaczego nic nie pamiętam? Myśli pan, że rzeczywiście był jednym z klientów? O nich całkiem zapomniałam. Wszystko, co wydarzyło się po jej śmierci, zniknęło. Schowałam to tak głęboko, że już nie mogę się tam dostać. Przetrzęsłam cały swój umysł i nic nie znalazłam. Może ukryłam to tutaj. – Popukała palcem w miejsce na czole zasłonięte włosami. – Ale tu mogę grzebać do końca życia i nic nie znajdę. Przypomniałam sobie, że właśnie tutaj najpierw uderzył. A potem jeszcze raz z boku. Zrobiło się ciemno. Pewnie myśleli, że umarłam. Wyrzucili mnie na ulicę. Sądzi pan, że powinnam o tym opowiedzieć profesorowi tak samo jak szefowi? Mogłoby to być korzystne, nie istniałaby wtedy sprzeczność. Nie należy wikłać się w sprzeczności, bo od razu mają cię na widelcu.

– A co opowiedziała pani szefowi? – spytał z ociąganiem Eberhard Brauning.

– No o tych dwóch mężczyznach, gdy Frankie siedział na kanapie. Nie ma pan tego w aktach?

Potrząsnął głową.

– Dziwne – stwierdziła. – Nie sądziłam, że jest niestaranny. – Zaczęła się denerwować. – Powiedziałam, że to byli koledzy Frankiego, a dziewczyna chciała, żebym dopuściła ich obu naraz. Obstawę przy tym i chcę oświadczyć także, że Frankie był moim sutenerem.

– A był? – spytał Eberhard Brauning.

– Oczywiście, że nie – odparła. Brzmiało to niemal gniewnie. – Ale nikt nie udowodni nic innego. Już się nad tym zastanawiałam, lecz teraz... – Przerwała i uśmiechnęła się przepraszająco. – No tak, czasami gdy zaczynam myśleć, wszystko mi się miesza. Ale proszę się nie martwić, poradzę sobie. – Oparła się na krzesło i skinęła głową zamyślona. – Teraz omówiliśmy już wszystko. Przynajmniej się to panu opłaciło i zaoszczędziło ponownego przychodzenia tu. Postaram się nad tym zastanowić. Może lepiej by było, gdyby pan już poszedł.

Eberhard Brauning też tak uważał. Rozumiał teraz nieco więcej – nie ją i jej motywy, ale przesłuchujących urzędników. Naprawdę najpierw musiał omówić wszystko z Helene.

Było to ciągle potykanie się o odłamki, zbieranie sił i dalsze błądzenie po gruzowisku, które niegdyś było podzielonym przez mur umysłem. Po wizycie szefa sytuacja pogorszyła się do tego stopnia, że Cora sama zaczęła się gubić. Czasem odnajdywała częśćkę siebie, ale zwykle pochodzącą z zupełnie innego okresu.

Gdy pojawił się adwokat, w zamieszaniu ukazały się te części Cory, które po narodzinach jej dziecka spowodowały, że sprzeciwiła się staremu i wywalczyła dla siebie kącik biurowy, pensję, a w końcu nawet dom. Zniknęły jednak, zanim jeszcze obrońca wstał od stołu.

Ona zaś ponownie znalazła się na łóżku Magdaleny i obok Frankiego nad jeziorem. Położyła twarz w jego krwi, by w następnej chwili usłyszeć śmiech Johnny'ego na przednim siedzeniu samochodu, mając jednocześnie świadomość, że to się nie mogło zdarzyć. Te wizje były tak samo nierzeczywiste jak Bóg Ojciec pochylający się nad nią w nocy, kiedy myślał, że śpi, i przekonujący o niewinności Syna.

Koniecznie potrzebowała kogoś, kto pomógłby jej usunąć z drogi największe odłamki. Musiał to być ktoś wyjątkowy. Ktoś, kto dużo rozumiał i potrafił uwierzyć w duchy oraz pragnienia stające się obrazami. Gdy nic innego nie pomagało, trzeba było wierzyć. Jednak nikt wyjątkowy się nie pojawił, więc sama próbowała zaprowadzić porządek.

Pozostałe łóżka nie miały służyć wprowadzeniu jej w błąd, co zrozumiała wkrótce po rozmowie z adwokatem. Dokładnie ile dni później, nie umiała powiedzieć. Wszystkie były bardzo podobne, ale to jej nie przeszkadzało. Nie miała nic wspólnego z tamtymi kobietami. W przeciwieństwie do niej cieszyły się do pewnego stopnia wolnością. Ona mogła wychodzić tylko na kolejne spotkania z profesorem. Strach przed nim wkrótce minął. Dobrze sobie radziła i szybko się orientowała, co chciał usłyszeć. W końcu opowiedziała nawet o Magdalenie, ponieważ przypuszczała, że i tak dowiedział się o niej od szefa.

Śmierć Magdaleny nastąpiła z winy Frankiego. Tak ostatecznie ustaliła z adwokatem. Doktor Burthe nie od razu jej uwierzył, ponieważ ojciec Frankiego jako profesor niby był jego kolegą. Ładny chłopak z dobrego domu, powiedział, nie musiał przecież zostawać sutenerem.

Sama też tak kiedyś myślała. Ale co ona myślała, już się nie liczyło. Ważne było tylko, by myśli zbijały się niczym zalęknione stado owiec i nie rozbiegały nagle. Niestety, zwykle robiły to, gdy czuły zbliżające się wilki. Ale nie w rozmowie o Frankiem jako

sutenerze. Trzymała wtedy stadko żelazną ręką, a wilki z daleka.

Dlaczego nie, powiedziała sobie. Frankie uważał, że fajnie mieć zabawkę tańczącą tak, jak się jej zagra. Oczywiście nigdy nie rozmawiał o tym z ojcem. Nikt nie wiedział. Ale tak było! Zatrzymał ją tego sierpniowego wieczoru. Zażądał, by przespała się z dwoma mężczyznami jednocześnie.

Dużo od niej żądał, za dużo. Gdy umarła Magdalena, a ona tak bardzo go potrzebowała, stała się dla niego uciążliwa. Poszukał sobie nowej dziewczyny. Ponieważ nie chciała odejść, kazał kolegom zostawić jej po sobie pamiątkę. Pozwolił, by ją pobili, i przyglądał się wszystkiemu. Jego nowa dziewczyna również.

Gdyby adwokat to słyszał, byłby z niej dumny. Choć profesor był biegłym specjalistą, można go było okłamać równie łatwo jak matkę. W ciągu trzech spotkań przekonała go do wersji z sutenerem, zagłębiła się w szczegóły, tu i tam nieco ubarwiła opowieść, zaprezentowała wszystkie okropności, jakie tylko dało się wymyślić. Małe diablęta z rozpalonymi do czerwoności obcęgami stanowiły dobrą podstawę historii o zboczonych klientach.

Gdy profesor usłyszał wystarczająco dużo, kazał ją odprowadzić do pokoju. Jako wariatka mogła odpłynąć i sobie na to pozwoliła. Gdy nikogo nie było w pobliżu, nie miało znaczenia, gdzie przebywała i czy w ogóle była jeszcze obecna. Pojawiało się dość dużo innych postaci. Matka i ojciec, Magdalena i Johnny, Böcki i Tiger, Frankie i lekarz, a oprócz nich lęk, wstyd i wina.

Od czasu do czasu przychodzili do niej ludzie ze szpitalnego personelu. Ponieważ jednak zawsze wchodzili drzwiami, dokładnie wiedziała, jak się ma wobec nich zachować. Rozmawiała wtedy normalnie, ograniczając się do zwyczajnych uwag, by nie popełnić żadnego błędu. Mówiła na przykład: „Co dzisiaj gotują w kuchni? Znowu dochodzą zapachy!”. Potem spoglądała na papkę na talerzu i dodawała: „Chciałabym mieć lepszy apetyt. Ale nigdy nie jadłam dużo”.

Czasami pytała: „Czy sądzi pani, że mogłabym kiedyś dostać naprawdę mocną kawę? Ciągle jestem taka zmęczona. Kawa na pewno dobrze by mi zrobiła”.

Wcale nie była aż tak zmęczona, ponieważ łykała przepisane leki tylko wieczorem. Po nich z miejsca zasypiała i nie musiała się męczyć z innymi kobietami. Któraś mogłaby spytać, dlaczego tu trafiła. Jednak porcję tych lekarstw, która rano leżała na tacy, po cichu wyrzucała. Zwykły personel był niedbały, a ona sama bardzo przekonująca.

Bez leków lepiej kontrolowała sytuację, mogła prosić ojca o wybaczenie, matce opowiadać o Boskim oku na wolnym powietrzu, Magdalenie o namiętnych chłopakach i podróży do Ameryki. Tylko z Frankiem i tamtymi mężczyznami nie zamieniła ani słowa. Gdy Frankie spoglądał na nią pełnym przebaczenia wzrokiem, ścisnęło ją w gardle. Musiał wiedzieć, że urodził się jako baranek ofiarny, by swoją krwią zmazać jej grzechy. Jak inaczej można było wytłumaczyć to spojrzenie?

Być może ostatecznie kazania matki miały trochę sensu. Skoro przed dwoma tysiącami lat wstąpił do nieba, kto lub co miałoby Mu przeszkodzić powrócić teraz, by raz jeszcze zbawić? By na kilka chwil dać jej poczucie absolutnej wolności? Może przyszedł nad jezioro z tą blondynką tylko po to, by pokazać jej, że Magdalena była bestią. Może chciał, by walczyła o wolność nie zewnętrzną, lecz wewnętrzną, o poczucie, że

została przez niego zbawiona.

Chętnie omówiłaby to ze swoim adwokatem. Ale jego na razie nie miała okazji zobaczyć. Tylko szef przyszedł raz jeszcze, by pomówić z nią o jakichś drobiazgach. Pokręciła głową, poprzestał na tym. Nie zjawił się jako policjant, tylko jako zwykły odwiedzający.

I tak jak zwyczajny gość przyniósł jej coś. Czasopismo, szampon i owoce. Trzy jabłka. Golden delicious. Bez noża. Był nieco zakłopotany, gdy kładł torbę na stole.

– Mam nadzieję, że lubi je pani nawet niepokrojone – powiedział.

Przez swoje zakłopotanie wydał się jej ludzki i nieszkodliwy. Pierwsze zadane pytania dopełniły wrażenia. Zapytał, czy ktoś już ją odwiedził.

– Mój adwokat raz się pojawił.

Czy ktoś jeszcze?

Kto? Wiedziała, o kogo mu chodziło. Gereon! Ale ten rozdział był już zamknięty. Jakby wszystkie spędzone z nim lata po prostu wymyśliła. Rodzina, praca, dziecko, dom, piękne życie. Wymarzone. W jej wizjach zawsze kończyło się ono tragicznie i nigdy nie miało dalszego ciągu.

Szef opowiedział jej, że znowu rozmawiał z Margret. Raz jeszcze pokonał długą drogę do Buchholz, by dowiedzieć się o stan jej ojca. Sądził, że może ją to zainteresuje. Oczywiście interesowało i wzruszyła się niemal do łez, ponieważ wróg zdobył się na tak wielkoduszny i ludzki gest.

Margret nadal czuwała przy ojcu. Szef przekazał od niej pozdrowienia i wielkie zaniepokojenie z powodu przeniesienia Cory z aresztu śledczego do szpitala psychiatrycznego. Powtórzył słowo w słowo, co powiedziała: „Na miłość boską, niech ją pan stamtąd wydostanie, zanim naprawdę postrada zmysły. Ma pan pojęcie, jaka to dla niej krzywda?”.

Szef rozmawiał z nią otwarcie i szczerze. Przyznał, że niestety nie ma na to wpływu. Wszystko zależało od niej samej i jej współpracy z doktorem Burthem. Czy opowiedziała już profesorowi o Magdalenie?

– Tak, oczywiście – zapewniła.

Rudolf Grovian pokręcił głową. Jej uśmiech mówił wszystko, równie dobrze mogłaby stwierdzić: „Nieźle go wyprowadziłam w pole”. Przybierał ojcowski, lekko ganiący ton.

– Pani Bender, musi mu pani powiedzieć prawdę, żeby wyrobił sobie opinię. Kłamiąc, sama sobie pani szkodzi. Od jego orzeczenia zależy pani przyszłość.

Zaśmiała się cicho.

– Nie chcę żadnej przyszłości. Mam przeszłość, która wystarczy na sto lat. Niech pan przekaże Margret pozdrowienia ode mnie. Myli się, tu jest jak na wakacjach. Nie opalam się, ale poza tym wszystko się zgadza. Obsługa nie gorsza niż w tanim hotelu. Wszyscy są mili, nikt nie zrzędzi ani nie oczekuje napiwków. Widzi pan, przez cały dzień mam właściwie pokój jednoosobowy. Powiem panu coś: gdy to się rozniesie, będzie pan miał pełne ręce roboty. Pewnego dnia będzie się pan cieszył, jeśli pozwolą panu dotrzymywać mi towarzystwa. Zupełny spokój, gwarantuję panu. Od czasu do czasu ciekawa rozmowa z wykształconym człowiekiem. Poza tym można się oddawać własnym

myślom.

– A jakim myślom się pani oddaje, pani Bender?

Wzruszyła ramionami.

– Ach, różnym. Najchętniej wyobrażam sobie, że zabiłam nie Frankiego, tylko jego żonę. Bo jedynie próbowałam odebrać jej nóż. Szczerze mówiąc, wolałabym, żeby te małe diabły później zatroszczyły się o moje grzechy. Nie jestem Piłatem.

Rudolf Grovian skinął głową. W domu przeżył kłótnię, pierwszą prawdziwą kłótnię od dziesięciu, dwunastu czy piętnastu lat. Gdy Mechthild zaczęła krzyczeć, nie pamiętał nawet, ile czasu minęło od ostatniego razu. Zrobiła mu piekielną awanturę, kiedy przy śniadaniu zapytał mimochodem, czy może zabrać z łazienki zapasową butelkę szamponu i jakąś gazetę lub coś innego do czytania.

Mechthild popatrzyła na niego z nieufnością i zdumieniem.

– Zamierzasz umyć Hoßowi głowę i coś mu poczytać? A może planujesz co innego? Rudi, nie chcesz chyba...

Oczywiście, że chciał, musiał. Podczas drugiej wizyty w Buchholz dowiedział się wielu rzeczy, znacznie więcej, niż ośmielał się przypuszczać. Ale ciągle było to niewystarczające, by ustalić wszystkie zależności. Brakowało kilku elementów. A ona miała te okruchy w głowie. Próbował uświadomić to Mechthild.

Od tego się zaczęło, a zakończyło na:

– Jedź, jedź sobie do niej, skoro nie możesz wytrzymać. Jak wyjdiesz, zadzwonię zaraz, żeby i ciebie tam zatrzymali.

Potem Mechthild wybiegła do salonu, chwyciła jabłka z miski z owocami i rzuciła mu je na stół.

– Masz, je też zabierz. Będiesz mógł zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Mechthild wychodziła z błędnych założeń. To, co chciał zrekonstruować, nie miało nic wspólnego z jabłkami, tylko z cytrynami.

Zaczął z nią rozmawiać, niewinnie i zupełnie szczerze. Że jej ojcu naprawdę się polepszyło. Lekarze uważali, że kryzys minął. Margret chciała mu znaleźć dobry dom opieki. Myślała też, by w kolejnym tygodniu wrócić do Kolonii. Następnie spytał Corę, czy w ogóle powinna z nim rozmawiać. Prywatna wizyta czy nie, być może adwokat doradził jej milczenie.

W odpowiedzi znowu się roześmiała.

– Nie, wyglądał raczej, jakby sam potrzebował rady. Wie pan, w jakiś sposób przypominał mi Horstiego. Nie żeby był chuderlawy, ale równie łatwo go onieśmielić i zrobić na nim wrażenie.

Rudolf Grovian miał ochotę jeszcze chwilę pogawędzić o jej adwokacie. Eberhard Brauning, usłyszał to imię i nazwisko od prokuratora, nic mu jednak nie mówiło. Chętnie dowiedziałby się, czy zaliczał się do ostrych zawodników. Było kilku takich wśród obrońców z urzędu i robili oni dla klientów wszystko, co tylko było w ich mocy.

Mechthild uważała, że Cora Bender potrzebuje takiego ostrego zawodnika przede wszystkim po to, by postarał się, aby pewien policjant trzymał łapy z dala od jego klientki, ponieważ ten policjant sam był bliski postradania zmysłów. Stanowiło to pewnie jedyną dobrą stroną domowej kłótni – Mechthild troszczyła się o niego.

– Wykańczasz się, Rudi. Jeszcze się w coś wpakujesz. Zobacz tylko, jak wyglądasz! Mój Boże, nie masz już dwudziestu pięciu lat, musisz się wysypiać.

Ostatniej nocy niezbyt mu się to udało. Tyle kłębiących się myśli! Z chęcią oddałby kilka z nich. Na przykład adwokatowi. Zrozumiałe, że odmawia policjantowi dostępu do swoich ostatecznych rezerw. Od pierwszej chwili był dla niej napastnikiem. Co innego obrońca, dzielny człowiek, od początku mówiący: jestem po twojej stronie.

Jej ostatnie stwierdzenie raczej nie dowodziło dzielności i siły przekonywania. Horsti stanowił drugi interesujący go temat. Podjął wątek, wdzięczny, że nie musi sobie łamać głowy, by ją na niego naprowadzić.

Nie pojechał do Buchholz ponownie po to, by porozmawiać z Margret ani by dowiedzieć się o stan ojca Cory. Nie było się czego dowiadywać. Wilhelm Rosch nie żył. Margret szukała domu starców dla swojej szwagierki. Nie można było opieką nad nią na stałe obarczać sąsiadów. Nie miał serca powiedzieć Corze o śmierci ojca. Profesor Burthe nie musiał mu o tym przypominać.

– Pani Bender może nie mieć sił, by przyjąć taką wiadomość. – Oczywiście, że nie! Horsti został zaakceptowany jako bezpieczny temat.

Nie miał problemu z odnalezieniem jej chłopaka, musiał tylko trochę popytać. Pomogła mu Melanie, córka Grit Adigar, która wróciła z Danii. Przypomniała sobie, że Horsti miał na nazwisko Cremer i mieszkał w Asendorfie, małej miejscowości w pobliżu Buchholz. Melanie wiedziała też więcej.

Siedzieli we troje w jasnym, nowoczesnie urządzonej salonie, podczas gdy Melanie Adigar wysilała pamięć.

Raz widziała Corę razem z Johnnym Guitarem w Aladynie. W urodziny Magdaleny. W tym momencie Grit Adigar próbowała jeszcze przerwać córce.

– Musiałaś się pomylić. Tego dnia na pewno nie wychodziła z domu.

Melanie odparła tonem pełnym wyrzutu:

– Mamo, wiem przecież, co widziałam. Też się zdziwiłam. Ale nawet z nią rozmawiałam. Była sama i... – I pojawiła się odrobina zazdrości. Johnny Guitar, adonis o blond włosach, fascynujący mężczyzna. – Melanie także by się mu nie oparła. Chociaż trzeba było na niego uważać! Zawsze ciągał ze sobą tego niskiego grubasa.

Melanie widziała kiedyś, jak pewna dziewczyna wróciła do Aladyna po spotkaniu z tymi dwoma. Zapłakana! Poszła z kilkoma koleżankami do łazienki. Melanie z ciekawości udała się za nimi i pośród kolejnych szlochów wyłapała kilka zdań:

– Co za świnia! Nic nie zrobił. Pozwolił tamtemu na wszystko. Zaskarżę go.

Inny głos doradził:

– Lepiej trzymaj gębę na kłódkę. Ostrzegaliśmy cię, pojechałaś z własnej woli.

Wszystkie trzymały gębę na kłódkę. Mimo to sytuacja Johnny'ego się pogorszyła, nie szło mu tak dobrze. Zmiana rewiru była tylko kwestią czasu. Wątpliwe, by wieści o tym, jaki był niebezpieczny, dotarły do Cory. Ona zawsze przebywała w towarzystwie Horstiego.

Ale nie tego wieczoru. Johnny szybko wykorzystał okazję. Cora była taka zakochana, naprawdę straciła głowę. Tańczyli i rozmawiali. Melanie obserwowała ich zdecydowana ostrzec Corę, zanim da się namówić Johnny'emu na wycieczkę. Ale zdarzył

się kolejny cud. Tego wieczoru niski grubas też miał szczęście. Melanie zobaczyła go tańczącego niemal bez przerwy z tą samą dziewczyną. Nową w Aladynie, nieco krępa, ale całkiem ładną blondynką. Pasowała do niego.

– Wyszliśmy o wpół do jedenastej – powiedziała Melanie Adigar. – Wciąż z nią tańczył. A Cora z Johnnym. Nie chciałam jej psuć wieczoru. Pomyślałam, że skoro są we czwórkę, nie może się zdarzyć nic złego. To był ostatni raz, kiedy ją widziałam. Johnny i jego kolega też już się potem nie pojawili.

Horst Cremer potwierdził i uzupełnił te informacje. Ostatni raz spotkał się z Corą w majowy weekend. Powiedziała mu, że może się z nim zobaczyć dopiero za dwa tygodnie. Nie podała żadnego szczególnego powodu, na pewno nie wspomniała ani słowem, że jej siostra czuje się gorzej niż zwykle. Ale o siostrze mówiła bardzo rzadko.

16 maja Horst Cremer został w domu. 23 maja na próżno czekał w Aladynie na Corę. Przez dwa wieczory włóczył się w pobliżu jej domu w nadziei, że ją zobaczy i uzyska wyjaśnienie. Także na próżno. Nie odważył się zadzwonić do drzwi. Był zbyt nieśmiały, a ona opowiedziała mu straszne historie o swym surowym ojcu.

W ostatnią sobotę maja Horst Cremer raz jeszcze spróbował szczęścia w Aladynie. Cora się nie pojawiła. Popytał trochę i dowiedział się, że 16 maja bezwstydnie go zdradziła. Nie tylko Melanie Adigar była świadkiem romansu z Johnnym Guitarem. Kilka osób twierdziło, że widziało, jak Cora późno w nocy wsiadała do samochodu razem z Johnnym i jego niskim, grubym kolegą – oraz jeszcze jedną dziewczyną, której nikt nie znał!

Na tę wiadomość Rudolf Grovian od razu pomyślał o znalezionych zwłokach. Skoro byli we czwórkę, nie mogło się zdarzyć nic złego – akurat.

Nie dało się stwierdzić, jaki to był samochód. Melanie Adigar nie pamiętała dokładnie.

– Nie zawsze przyjeżdżali tym samym autem. Raz chyba srebrnym golfem. Musiał jednak należeć do grubasa. Johnny lubił drogie samochody. Porsche albo jaguary. Raz widziałam, jak wysiada z auta. Nie mam pojęcia, jaki to był typ. Zielonkawy, pamiętam jeszcze, z wielkim spoilerem, oldtimer, prawdziwy szpanerski wóz. Pomyślałam, że facet ma bogatego tatusia. Albo wypożyczalnię samochodów w domu.

Horst Cremer także nie wiedział nic o samochodzie. Nie powiedziano mu, jakiej był marki. Po prostu, że wsiadła z Johnnym do auta. Horsti swój pierwszy zawód sercowy zapił. Do połowy lipca wahał się między rozczarowaniem a nadzieją na powrót Cory. Johnny był znany z tego, że przyjeżdżał do Buchholz na łowy.

Horsti spędzał każdy weekend w Aladynie i co wieczór czekał pod jej domem. W sobotę pod koniec lipca poszedł na całość. Nie zatrzymał się na rogu ulicy. Zadzwonił do drzwi.

Rudolfowi Grovianowi powiedział:

– Otworzyła stara wiedźma, kudłata zmora. Spytałem o Corę, a ona odparła: „W tym domu nie ma już Cory. Moja córka zniknęła”. Myślałem, że się przesłyszałem.

Rudolf Grovian też tak pomyślał. Zniknęła! Już pod koniec lipca? Skoro ciotka i sąsiadka były przekonane, że Cora do 16 sierpnia siedziała przy łóżku umierającej siostry!

Chociaż nagle zarówno Grit Adigar, jak i Margret Rosch przestały być tego takie pewne. Po wypowiedzi córki Grit Adigar się wycofała. Od maja do sierpnia nie przychodziła tutaj. Teraz wydaje się jej to dziwne. Jakby Wilhelmowi nagle przestało się podobać, że wpadała bez uprzedzenia. Nie zastanawiała się nad tym, gdy odprawiał ją w kuchni. Wierzyła mu, gdy z zatroskaną miną wskazywał na sufit i mruczał:

– Cora się stamtąd nie rusza. – Dlaczego Wilhelm miałby kłamać?

Margret też zadawała sobie to pytanie. Jeśli Cora, jak przypuszczał Rudolf Grovian, zniknęła już 16 maja, dlaczego Wilhelm 17 maja powiedział jej przez telefon jedynie o złym towarzystwie?

Wilhelma nie mogli już spytać. Rudolf Grovian spróbował szczęścia z Elsbeth Rosch. W cztery oczy! Margret, która po śmierci brata zamieszkała w domu, niechętnie opuściła kuchnię. Usłyszał, że Magdalena, której uroda rozkwitła na nowo, siedzi u stóp Pana, a każda ułomność i grzeszna myśl zostały usunięte z jej starego ciała.

Nie miało to najmniejszego sensu. W pierwszym momencie pomyślał, że Elsbeth nie pamięta już starszej córki. Potem jednak opowiedziała mu o szatańskim stworzeniu, które okpiło ich wszystkich. Że udawała się do świątyń grzechu, zamiast oddawać się rozmyślaniom. Że doprowadziła do swojej zguby, ponieważ była zaślepiona żądzami ciała. Elsbeth nie wiedziała, kiedy dokładnie szatański pomiot odwrócił się plecami do rodzinnego domu.

Mógł zapomnieć o tych bzdurach. Dwie pozostałe rozmowy dawały znacznie więcej. Niestety, przed sądem nie miałyby żadnej wartości. Horst Cremer mógł powtórzyć tylko zasłyszane plotki. Nie pamiętał nawet, kto go wtedy poinformował o zdradzie Cory. A Melanie Adigar nie wiedziała, czy Cora owej majowej nocy opuściła lokal sama, czy w towarzystwie Johnny'ego, niskiego grubasa i nieznaney dziewczyny.

Zdawało się, że Corę ucieszyło, iż porozmawiał z jej byłym chłopakiem. Głos miała pełen melancholii.

– Jak się czuje? Co robi? Ożenił się?

Słuchała uważnie, chciała wiedzieć, czy Horsti o nią wypytywał. Potem sama opowiadała. O wieczorach w Aladynie. Czasami tańczyli, czasami stali w rogu. Horsti uwielbiał Udo Lindenberg. Nie te ostre piosenki, tylko łagodne. *In den dunklen, tiefen Gängen der Vergangenheit* – „W ciemnych, głębokich uliczkach przeszłości”. Teraz ona błędziła w ciemnych uliczkach. Od czasu do czasu przepływała przez nią zimna fala wspomnień.

W tej chwili fala była letnia. Zaśmiała się cicho.

– Był kochanym facetem. Często miałam wyrzuty sumienia, bo wykorzystywałam go tylko po to, żeby inni trzymali się ode mnie z daleka. Chciałam poczekać na tego właściwego. Wyrachowane, prawda?

Rudolf Grovian tylko wzruszył ramionami, pozwolił jej mówić i wyteżał umysł, zastanawiając się, jak ominąć niebezpieczną rafę Magdaleny, a jednocześnie zahaczyć o 16 maja. Tylko pobyt w Aladynie i krótka scena na parkingu, o innych sprawach nie zamierzał z nią rozmawiać. Na pewno nie chciał znowu przegnać jej za mur tak jak w ostatniej rozmowie, gdy dobry kwadrans przyglądał się, jak kręci głową, zanim zrozumiał, że zupełnie się wyłączyła.

Chciał jedynie dowiedzieć się, jak potoczyła się historia z Johnnym. Bo musiała mieć dalszy ciąg. Istniała tylko jedna możliwość: Johnny to Hans Böckel. Böckel załatwiał dziewczyny, zabawiał się z nimi i dbał, by koledzy też nic nie stracili. A jeśli z Corą stało się to samo co z tamtą małą, której szloch pod słuchała w toalecie Melanie Adigar, cała historia nabierała sensu.

Ukochany wydaje ją na pastwę dwóch mężczyzn. Nawet jeżeli grubas tego wieczoru miał ze sobą dziewczynę, pozostawał jeszcze Georg Frankenberg. I nawet jeżeli Frankie był poważnym i wstrzemięźliwym młodym mężczyzną – mógł się przecież zapomnieć. Pozostawało udowodnić, że Georg Frankenberg nie złamał ręki 16 maja, lecz dopiero później.

Aby dotrzeć do źródeł wypadku, nie potrzebował wiele wyobraźni, tylko kilku bezsennych nocy, podczas których odtwarzał sobie scenę powrotu do domu zupełnie zdruzgotanego młodego mężczyzny. Jak opowiada ojcu o jednej lub dwóch martwych dziewczynach. Boi się. Ojciec uspokaja go, zadaje kilka pytań i dowiaduje się, że nikt nie widział syna z tymi osobami. I zdarzyło się to daleko stąd. A więc nie martw się, chłopcze. Wszystko załatwimy. Nie będzie bolało. Dam ci przedtem zastrzyk.

Rudolf Grovian myślami był we Frankfurcie, w Aladynie i paru innych miejscach, tylko nie przy niej. Zdawało się, że nie traci nic ważnego. Słyszał, jak dalej opowiada o Horstim, a ten naprawdę nie miał dla niego znaczenia.

Westchnęła.

– Mam nadzieję, że jest szczęśliwy w małżeństwie. Naprawdę mu tego życzę. Zasłużył sobie. Zawsze się starał mnie zadowolić. Na urodziny podarował mi kasetę. Sam ją nagrał. Queen. Miałyśmy już ich piosenki, ale jego kopia była o wiele lepsza. Bez szumów. *We Are the Champions* i *Bohemian Rhapsody*. Magdalena za tym szalała. W tamtym tygodniu słuchała tylko tego. Uważała, że Freddie Mercury ma wspaniały głos. A teraz on także nie żyje. Mój Boże, dlaczego wszyscy nie żyją? – Przerażona wytrzeszczyła oczy i na chwilę przyłożyła dłoń do ust. – Ale jego nie, prawda? Jego na pewno nie... Był chory. To znaczy, czytałam kiedyś, że był bardzo chory.

Rudolf Grovian nie usłyszał początku. Sądził, że nadal mówi o Horście Cremerze. Zobaczył jej przestach i pośpiesznie zapewnił:

– Nie, niech się pani nie martwi, pani Bender. Jest zdrowy jak rydz i bardzo szczęśliwy. Jego żona spodziewa się dziecka. Świetnie mu się powodzi. Rozmawiałem z nim. Otworzył mały warsztat samochodowy.

– Kłamie pan – stwierdziła, zagryzła wargi i pokręciła głową.

W tym momencie w jej głowie pojawił się obraz.

Zapomniała o szefie, patrzyła tylko na mały budzik na nocnym stoliku. Widać go było wyraźnie. Wskazówki pokazywały kilka minut po jedenastej.

Magdalena nie usłyszała jej kroków na schodach, ponieważ miała na uszach słuchawki walkmana, a muzykę nastawiła najgłośniejszą, jak się dało. Wyprostowała się zaskoczona, ale jednocześnie zadowolona.

– Jesteś superpunktualna. Na dyskotecę nic się nie działo?

Podeszła do łóżka, usiadła, uniosła dłoń, odgarnęła długi kosmyk włosów z twarzy Magdaleny i pocałowała ją w policzek.

– Nie, zupełnie nic. Nie miałam ochoty dłużej tam siedzieć. Wolałam być z tobą.

Z małych słuchawek w ręce Magdaleny dobiegał zniekształcony głos Freddiego Mercury'ego. *Bohemian Rhapsody*. „Is this the real life?” Nie, to nie prawdziwe życie, tylko zlepek kłamstw. „Od lat chodzę dla ciebie pod latarnię. Wkrótce uzbieramy pieniądze”. Nie uzbieramy! Bo kradzieże nie załatwią sprawy tak szybko. „Zerwałam z chłopakiem. Stał się uciążliwy przez te głupie pytania. Ale mam już nowego, nazywa się Horst. Fajny facet”. Bzdura! Patykowaty chłopak, z którego się wszyscy śmieją. „Wolałam być z tobą”. Wcale nie!

Chętnie bym została. Johnny był na miejscu. Nigdy jeszcze ci o nim nie opowiadałam. Teraz też nie powiem. Johnny należy tylko do mnie. Wyobraź sobie mężczyznę, młodego, silnego i tak pięknego jak na obrazku. Wygląda jak archanioł z Biblii matki. A ja go dziś dotykałam, jego ramion, jego twarzy. Objęłam go w pasie, a ręce położyłam mu na plecach.

Jej dłoń nadal spoczywała na głowie Magdaleny. Pogłaskała jej gładki policzek. Palcem obrysowała usta.

– Musisz jeszcze do toalety, zanim się położymy?

Magdalena pokręciła głową. Cora podniosła się z łóżka.

– Przyniosę resztę szampana.

Butelka wciąż była niemal pełna. O ósmej wypily tylko po małym łyku. Magdalena powiedziała, że szampan jej nie smakuje. Ona sama też nie miała większej ochoty, zwłaszcza że siostra nalegała, by pojechała do Aladyna. Teraz była wdzięczna za jej upór.

Gdy wróciła z butelką i dwoma kieliszkami, Magdalena siedziała wyprostowana, opierając się na poduszkach. Uśmiechnęła się i spojrzała na nią krytycznym wzrokiem.

– Jesteś taka dziwna. Coś ci jest?

– Nie. Co miałoby mi być?

Tęsknota. Tak długo pragnęłam, by ze mną porozmawiał. Na więcej nie liczyłam. A teraz nawet mnie przytulił. Tańczyliśmy. Chciałam, żeby ze mną wyszedł i się ze mną kochał. Był podniecony, zauważyłam to w tańcu. Gdy musiałam wyjść, czułam się taka rozdarta. W przyszłym tygodniu pewnie mnie nawet nie rozpozna. Powinam z nim zostać. Taka szansa zdarza się tylko raz. Dla mnie nadeszła właśnie teraz – nie było przy nim żadnej innej, nudził się. Wiem o tym. Zaprzepaściłam tę szansę, ale przecież obiecałam ci, że nie zostanę długo.

Czasem cię nienawidzę! A teraz nienawidzę cię inaczej niż na początku, inaczej niż gdy byłam dzieckiem. Nienawidzę cię jak oszukana kobieta. Gdybyś nie istniała, byłabym wolna. Nie musiałabym od dwóch lat wystawać w Aladynie z tym łażącym za mną wszędzie Horstim. Wszyscy się z niego wyśmiewali. Znowu stałam się obiektem żartów. Cora już się nie modli na podwórku. Teraz jest ze swoją tyczką w Aladynie. Nie ma czasu na prawdziwego mężczyznę. Bo siostra zżera jej życie.

Dzisiaj mogłam wszystkim pokazać. Wszystkim, którzy się liczą. Melanie była tam ze swoją paczką. Nie znasz Melanie osobiście. Nikogo nie znasz osobiście, tylko siebie. Rozmawiałyśmy chwilę. Melanie spytała o Horstiego.

– Gdzie zostawiłaś swojego tyczkowego faceta?

– Jest w domu, podwiązuje pomidory – powiedziałam.

Chciałam skończyć drinka i jechać do domu, ale dokładnie w tym momencie weszli do środka. Johnny z kolegą.

Być może powinnam ci jednak o nim opowiedzieć. Wszystko, każdy szczegół. Żebyś zobaczyła, że nie daję ci się zniszczyć, że potrafię czuć zupełnie normalnie. Chcesz posłuchać? O tym, jak weszli, usiedli przy stoliku i rozejrzeli się dookoła. Jak rozmawiali ze sobą. Mogłam sobie wyobrazić o czym. Że nic się nie dzieje, że muszą jechać gdzie indziej.

Ale potem grubas dostrzegł dziewczynę. Zawsze jakąś dostrzegał. Tylko do tej pory nie odnosił sukcesów. Nie wiem, ile razy już przyglądałam się, jak go splaniano. Pomyślałam, że dziś też tak będzie. Wstał od stolika i podszedł do niej. Zagadnął. A ona rzeczywiście poszła z nim na parkiet.

Johnny siedział sam przy stoliku. Widziałam, że się nudzi. Dzisiaj to ty masz pecha, pomyślałam. Popatrzył na mnie. I uśmiechnął się. Nie wiem, czy odwzajemniłam uśmiech. W tym momencie miałam uczucie, jakby moja twarz znieruchomiała, a serce niemal się roztopiło.

Potem wstał. I podszedł do mnie. Wiesz, co powiedział?

– Zostawiłaś swojego strażnika w domu, żeby inni biedni faceci też mieli szansę?

Nie mogłam w to uwierzyć. Pytał, czy chcę z nim zatańczyć. Jeszcze jak! W tańcu opowiedział mi, że do tej pory nie miał odwagi mnie zagadnąć, bo cały czas byłam z Horstim. Trzymał mnie tak mocno, że kilka razy pomyślałam o świcy. Nie była tak gruba jak to, co czułam.

Usta Johnny'ego znalazły się na moim czole, czekałam, aż mnie pocałuje. Jednak on spytał tylko, czy miałabym ochotę jechać gdzie indziej z nim i jego kolegą. Z samym Johnnym pojechałabym od razu. Musiałabyś poczekać na mnie trochę dłużej. Ale razem z kolegą! Jakaś znajoma powiedziała mi kiedyś: Możesz ich mieć tylko obu naraz. Wyobrażam sobie, co miała na myśli. Nie sądziłam, żeby dziewczyna tańcząca z grubym też chciała jechać. Przecież dopiero go poznała. Może tańczyła z nim tylko dlatego, że myślała, iż w ten sposób łatwiej zbliży się do Johnny'ego.

Odpowiedziałam:

– Miałabym ochotę, ale nie dam rady. Nie mogę zostać za długo. Moja siostra jest sama w domu.

Zdziwił się.

– Ile ma lat?

– Dzisiaj kończy osiemnaście – odparłam.

Zaśmiał się.

– To dlaczego jest w domu? Czemu nie przyszła z tobą?

– Nie czuła się najlepiej.

Koniecznie chciał, żebym nie szła do domu i z nimi pojechała. A nawet tylko z nim. Popatrzył na grubasa z dziewczyną i stwierdził:

– Tiger jest zajęty. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli zostawimy go na trochę samego.

Rozśmieszyło mnie, że nazywa go Tiger. Przypominał bardziej małego, różowego prosiaka.

Johnny spytał:

– Nie możesz zadzwonić, wyciągnąć swoich rodziców z przyjęcia i powiedzieć, że dzisiaj oni muszą siedzieć z małą?

A ja powiedziałam:

– Nie mamy już rodziców.

Nie mamy. Nigdy nie miałyśmy. Zawsze byliśmy zdane tylko na siebie. A ponieważ jestem starsza i silniejsza, muszę się o ciebie troszczyć. Poszłam więc, choć prawie umierałam. Czułam się, jakbym wrywała sobie serce. Johnny obiecał, że jeśli zostanę, zdradzi mi swoje prawdziwe imię. Błagał mnie. Jeszcze pół godziny, jeszcze jeden taniec. Wyszedł ze mną na parking. I zanim wsiadłam do samochodu, wreszcie mnie pocałował. Było inaczej niż z Horstim. Pił whisky z colą. Może o to chodziło. Słodko aż do kolan. Mogłabym stać tak z nim godzinami, a minęło ledwie kilka sekund.

Puścił mnie i powiedział:

– Zaśpiewaj siostrze kołysankę i wróć, dobrze? Czekam na ciebie.

Gdy odjeżdżałam, stał i machał mi na pożegnanie. Pomyślałam, że naprawdę mogłabym wrócić, gdybyś już spała. Zaśpiewaj siostrze kołysankę...

Rozdział 13

Tylko chwila nieuwagi i zaraz to się stało. Ledwie wymówiła imię Magdaleny, odleciała. Rudolf Grovian obserwował, jak podchodzi do łóżka i siada – z boku – z twarzą zwróconą do poduszki. Dłonią pogładziła zmiętą poszewkę. Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że już z nim nie rozmawiała.

Miał nadzieję usłyszeć kilka słów, choćby niewyraźnych, na których podstawie mógłby wywnioskować, co właśnie przeżywała. Nie wyświadczyła mu tej przysługi. A kiedy chciał coś wyczytać z jej twarzy... Zobaczył na niej obrzydzenie i sprzeciw, wielokrotnie głośno przełykała ślinę. Sprawiała wrażenie, że się dusi i walczy o powietrze.

Mijały minuty. Nie odważył się do niej przemówić. Bóg wie, w jakim momencie mógł jej przeszkodzić. Potem niespodzianie powróciła. Oczy miała szeroko otwarte ze strachu. Przeciągnęła ręką po czole.

– Pojechałam do domu – oznajmiła wyraźnie.

Odetchnął z ulgą i szybko jej przytaknął:

– Oczywiście, pani Bender.

– Nie zawiodłam Magdaleny.

Tylko nie wspominać o Magdalenie! Po doświadczeniach z poprzedniej rozmowy wolał pozostawić jej siostrę profesorowi Burthemu.

– Oczywiście, że nie, pani Bender. Ale nie rozmawiamy o Magdalenie, tylko o Horstim. Wypytywał o panią, gdy nie pokazała się już pani w Aladynie.

Spojrzała na niego, wydawała się zakłopotana i zbita z tropu. Nie wiedział, czy jeszcze za nim nadażala, powoli mówił jednak dalej.

– To działo się w czerwcu. Musiała pani być wtedy jeszcze w domu. A może już pani wyjechała? – Oczywiście, że wyjechała! Gotów był się o to założyć. Zniknęła już w maju, a nie dopiero w sierpniu. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu jej ojciec opowiadał... a może to inni uznali, że lepiej będzie posadzić ją przy łóżku Magdaleny, nim nabiorą pewności. Mijanie się o pół metra z prawdą – do tej pory zdążył już opanować tę gierkę równie dobrze co ona, jej ciotka i sąsiadka. Nie zauważyła tego. – Horst rozmawiał także z pani ojcem. Dowiedział się, że nie chce już go pani znać. I że jest pani teraz z Johnnym. To się działo w czerwcu.

Nie wiedział, jakiej się spodziewać reakcji. Jakiegokolwiek. Zareagowała. Opuściła głowę i wymruczała:

– Nie, pojechałam do domu.

Coś w jej głosie go zaniepokoiło. Stał się jeszcze ostrożniejszy.

– Na pewno tak. Ale była pani kiedyś z Johnnym?

– Tak.

– Pamięta pani, kiedy to było?

– Tak. Teraz sobie przypominam. W urodziny Magdaleny. Ale pojechałam do domu.

Nie pojechałaś, pomyślał, po czym powiedział:

– Oczywiście, pani Bender. Nie wątpię w to. Przypomina pani sobie tamten wieczór?

– Dokładnie. Właśnie sobie przypomniałam. Pojechałam do domu tuż przed jedenastą.

Niczego nie osiągnął. Spróbował inaczej.

– A dlaczego wróciła pani do domu?

– Obiecałam Magdalenie. Bałam się, że Tiger pojedzie z nami. Tamta dziewczyna na pewno by odmówiła. Przecież dopiero go poznała!

Dziewczyna! Niemal zagwizdał. Dobrze, byle tak dalej, opowiedz mi o tym, tylko powoli, ostrożnie.

– Jaka dziewczyna, pani Bender?

– Nie wiem.

No dobrze, najwyraźniej nikt tego nie wiedział. Nic dziwnego, że w owym czasie w Buchholz nie zgłoszono żadnego zaginięcia. Bóg jeden wie, skąd się ta biedaczka wzięła. Wracamy do głównej kwestii.

– Frankie też tam był?

Spojrzała na swoje dłonie, wyprostowała palce, potarła paznokcie. Wyraz jej twarzy nasuwał mu porównanie z upartym dzieckiem.

– Nie wie pani tego?

– Ależ wiem. Nie było go. Nigdy go nie widziałam.

Odetchnął głęboko i postanowił przypuścić frontalny atak.

– Nie, pani Bender. Widziała go pani. Raz, w piwnicy. To stało się tamtej nocy. Ale po jedenastej. Wiem dokładnie. Skoro pojechała pani do domu, musiała pani później wrócić do Aladyna. Rozumiem to. Na pani miejscu też bym tak zrobił. Była pani zakochana w Johnnym i chciała z nim zostać. To całkiem normalne. Każda dziewczyna by tak postąpiła, pani Bender. A pani była przecież normalną dziewczyną, prawda? Nie zwariowała pani. Tylko wariatka zostawiłaby Johnny’ego i zaszyła się w domu... – Omal nie dodał: „... przy łóżku chorej siostry”. Zdołał się jednak powstrzymać i z uczuciem ulgi mówił dalej: – Tej nocy razem z Johnnym, niskim grubasem i jakąś dziewczyną wsiadła pani do samochodu i odjechała, mam na to świadków. Frankie musiał być mężczyzną, który już czekał w piwnicy, gdy przybyła pani z innymi na miejsce.

– Nie pamiętam. – Brzmiało to, jakby chciała się rozplakać. Skubała paznokcie. – Naprawdę nie pamiętam. Wiem tylko, że o jedenastej pojechałam do domu. A potem przyszedł październik. Nie wiem, jak to się stało. – Splotła palce, tarła je, gniotła i obracała, jakby nie miała się czego chwycić oprócz własnych dłoni. W jej głosie wyczuwało się panikę. Spojrzenie wyrażało błaganie o zrozumienie i danie wiary jej słowom. – Nie zawiodłam siostry. Robiłam dla niej wszystko. Wszystko tylko dla niej. Oprócz zarabiania. Chciałam przeżyć to z mężczyzną, którego kochałam. A Johnny... Myślałam o tym, tańcząc. Że tego chcę... z nim. Nawet gdyby miało to być tylko raz. Wszystko jedno. Przeżyłabym coś, czego nikt by mi nie odebrał. „Zaśpiewaj siostrze kołysankę” – powiedział. Czekam na ciebie. Pomyślałam, że kiedy się zmęczy i zaśnie, może uda mi się... – Otworzyła oczy i zapewniła: – Ale byłam ostrożna. Zawsze taka byłam. Musi mi pan uwierzyć. Kochałam ją. Nigdy nie zrobiłam nic, by jej zaszkodzić.

Zawsze uważałam. Wiedziałam, na co zwracać uwagę. Gdy wstrzymywała oddech, natychmiast przestawałam. Gdy stawał się zbyt szybki, zwalniałam. Kładłam dłoń na jej piersi i sprawdzałam, jak bije serce. Nigdy się na niej nie położyłam, nigdy. Zwykle robiłam to tylko palcami. Bardzo rzadko świecą, naprawdę. A językiem... to było dla mnie zbyt... namawiała mnie do tego. Raz spróbowałam, ale czułam za duży wstręt i strach. Nie mogłam wtedy uważać na jej oddech. – Przygryzła dolną wargę i bezradnie wzruszyła ramionami. Jej głos stał się ciężki od wstrzymywanych łez. – Wiedziałam, że tak nie można. Nie powinnam tego robić. To było wbrew naturze. Przez to zniszczono Sodomę i Gomorę. Nie chciałam, ale ona powiedziała, że jest to zabronione tylko między ojcami i braćmi, nie między siostrami. A przecież w ogóle nie korzystała z życia. Bardzo chciała móc kiedyś naprawdę przespać się z mężczyzną, ale nigdy by... Miała tylko mnie. I miała też uczucia. – Jej głos załamał się, między kolejnymi falami szlochu poprosiła: – Nie powie pan o tym profesorowi. Obiecuję pan?

– Oczywiście, pani Bender, obiecuję. – Wymówił to, zanim naprawdę dotarło do niego, z czego mu się zwierzyła. Zrozumienie jej słów przychodziło powoli. Mówiła już dalej, gdy uświadomił sobie, jak ma interpretować owo: „Kochałam ją”. Dosłownie!

– Zawsze powtarzała, że orgazm to niesamowite uczucie. Nie wiedziałam, jak to jest. Tego wieczoru chciałam się dowiedzieć. Ale musiałam jechać do domu. Zauważyła to i nie popuściła. „Jesteś taka dziwna – powiedziała. – Coś ci jest”. A potem dodała, że mam sama wypić szampana. Jej nie smakuje i ma po nim zawroty głowy.

Szloch ucichł. Płakała bez łez, ze spojrzeniem wbitym w dłonie, w rozedrgane palce. Pragnął ją przytulić lub przynajmniej powiedzieć coś pocieszającego. Równocześnie jednak nie chciał jej rozpraszać, pozwolił więc, aby brnęła dalej.

– Zostałam z nią. Zrobiłam wszystko, czego chciała. Polakierowałam jej paznokcie. Słuchałyśmy muzyki. Nie wiem, co się potem stało. Słyszę tylko, jak mówi: zatańcz dla mnie!

Jej palce splecione jak supły spoczywały na kolanach. Słyszał, jak trzaskają stawy, i próbował uporządkować to, co mu właśnie powiedziała. Urwany film! To uparte zaprzeczanie było jak potwierdzenie. Słusznie podejrzewał. Cory nie było w domu, gdy umarła siostra. Usłyszała o tym dopiero w listopadzie...

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Wyrzucała z siebie zdania, tracąc oddech.

– Zatańcz dla mnie! Żyj dla mnie. Wypal dla mnie papierosa. Sprzedawaj się dla mnie. Znajdź klientów, którzy najlepiej płacą. A żebyś miała coś dla siebie, idź na dyskotekę. Znajdź sobie chłopaka, prześpij się z nim. Potem opowiedz mi, jak było. Opisałam jej lampy w Aladynie, jak błyskają, gdy muzyka robi się głośniejsza. Czerwone i zielone, żółte i niebieskie.

Orgia światła, zdążył jeszcze pomyśleć. Wykrzyknęła:

– Takie samo światło jak w piwnicy. Nie mogę tam zejść. Proszę, niech mnie pan trzyma. Niech mi pan pomoże. Nie zniosę tego. Niech pan coś zrobi. Niech pan coś wreszcie zrobi. Nie chcę do piwnicy. – Wymachiwała dookoła rękoma, wiosłowała w powietrzu, jak gdyby szukała oparcia.

Powinien zawołać profesora Burthego. Taka myśl przyszła mu do głowy, ale natychmiast ją odrzucił. Profesor był zajęтым człowiekiem. Wątpliwe, by miał czas

zwiedzić z nią piwnicę. Prawdopodobnie uznałby zastrzyk uspokajający za lepsze wyjście.

Rudolf Grovian był pewien, że potrafi kontrolować sytuację. Usiadł obok Cory na łóżku, chwycił za ręce, przytrzymał je, ścisnął i postarał się mówić uspokajającym tonem, choć serce podeszło mu do gardła. Zupełnie straciła nad sobą panowanie. Miała rozbiegane spojrzenie. Piersi i ramiona drżały jej w niespokojnym oddechu.

– Spokojnie, pani Bender, spokojnie. Jestem przy pani. Trzymam panią. Czuje pani moje dłonie? Nic złego się nie stanie. Zejdziemy teraz razem na dół i się rozejrzemy. Potem zabiorę panią z powrotem na górę. Obiecuję.

Brzmiało to szaleńczo. Ale co innego mógł powiedzieć? Objęła jego ręce swoimi. Drżały nie tylko jej dłonie, ale także i ramiona. Zacisnęła powieki.

– Proszę mi powiedzieć, co pani widzi. Co się dzieje w piwnicy? Kto jest na dole?

Opisała mu pokój zanurzony w migającym świetle. Na lewej ścianie barek, na półkach mnóstwo butelek, z tyłu lustro. W przeciwnym rogu na podeście instrumenty i wzmacniacz. *Song of Tiger*. Tańczyła do niej. Tańczyła sama na środku pokoju. Na prawo, pod ścianą, stała kanapa, przed nią niski stolik, a na nim popielniczka.

Song of Tiger! Dzika melodia, dziki taniec. Potem Frankie odrzucił pałeczki, podszedł do kanapy i usiadł obok dziewczyny. Johnny puścił taśmę i piosenka ponownie rozbrzmiała w piwnicy. Tiger stanął przy barku. Znowu miał pecha, ale nie wydawał się tym zmartwiony.

Wciąż tańczyła. Już nie sama. Johnny trzymał ją w ramionach i całował. Było jak we śnie. Także wtedy, gdy wsunął ręce pod jej spódnicę. Jego ruchy sprawiały jej przyjemność. Tym razem to nie dla Magdaleny, tylko dla siebie. Nie można cały czas żyć za dwie osoby.

Po jakimś czasie leżeli na podłodze. Johnny ją rozebrał. Wszystko było dobrze. Frankie siedział na kanapie i nie przejmował się nią. Rozmawiał z dziewczyną. Tiger przy barku pociął cytrynę na kawałki i wysypał sobie biały proszek na wierzch dłoni. Oblizał, wychylił przezroczysty płyn z małego kieliszka i ugryzł cytrynę. Zrobił to trzy razy. Potem sięgnął do kieszeni i powiedział:

– Przyniosłem coś. Trochę koksu. Teraz będzie miło.

Rudolf Grovian słuchał, mocno trzymając i ściskając ręce Cory. Miał nadzieję, że to czuje. Ciągle leżała na podłodze. Frankie i dziewczyna przyglądali się, jak Johnny się z nią kocha. Tiger podszedł powoli. Też chciał coś dostać.

– Posuń się trochę, Böcki – powiedział.

Johnny nie zrobił nic, by go odpędzić. A dziewczyna powiedziała:

– Daj jej kreskę, to rozluźnia.

Jeszcze kilka wyraźnych zdań.

– Co robisz? Nie chcę. Żadnego koksu! Zabierz to. – Potem wydała z siebie stłumiony bełkot, ledwie niewyraźny pomruk. Nagle odwróciła głowę w bok. Jej głos brzmiał ostro, brakowało jej tchu. – Co robisz? Natychmiast przestań! Zwariowałeś? Zostaw ją, do cholery. Masz ją natychmiast zostawić. – Dreszcz przebiegł całe jej ciało. Krzyknęła. – Nie! Przestań. Zostaw! – Krzyk przeszedł w pojękiwanie. Znowu gwałtownie poruszyła głowę w jego stronę. Otworzyła szeroko oczy. Spojrzenie utkwiała

w samym środku jego twarzy, jednak mógłby przysiąc, że go nie widziała.

– Nie bij! Przestańcie, zabijcie ją! Przestańcie, świnie! Zostawcie! Puszczajcie!

Znał już te słowa zbyt dobrze. Wyobrażał sobie coś podobnego, ale nie był przygotowany na to, co nastąpiło. Z zadziwiającą siłą wyrwała się z jego uścisku i podskoczyła. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył zareagować. Prawą dłoń zwinęła w pięść i uderzyła go w szyję. Wyrzuciła z siebie:

– Kark ci skręcę, świnio. Rozpruję szyję. Przebiję ci gardło.

Dokładnie wyliczyła punkty opisane w raporcie z sekcji. Za każdym razem uderzała. Raz, drugi, trzeci, zanim złapał ją za nadgarstek. Ledwo chwycił jej prawą rękę, zadała mu cios lewą. Trwało kilka sekund, aż udało mu się nad nią zapanować i odzyskał równowagę.

Przytrzymał Corę na wyciągnięcie ramion przed sobą, potrząsał nią i krzyczał:

– Pani Bender! Niech pani przestanie.

Przez dwie sekundy stała przed nim i spoglądała na niego nieobecny wzrokiem. Wymruczała coś, czego nie zrozumiał. Potem zemdląca.

Profesor Burthe nie starał się nawet ukryć gniewu. Żeby policjant po raz drugi doprowadził do omdlenia osobę z poważnymi zaburzeniami psychicznymi, chociaż go ostrzegano! Można było tylko pokręcić głową i spytać: „Co pan sobie myśli? Czy nie dałem panu wyraźnie do zrozumienia, że z panią Bender nie może postępować pan jak ze zwykłym przestępcą? To ostatnia rozmowa, jaką pan z nią przeprowadził! Nie rozumie pan, że próba samobójcza pani Bender była tylko skutkiem pańskich metod śledczych?”.

Rudolf Grovian nie zdobył się na usprawiedliwienie. Ustalili już, że nie wspomniał ani słowem o śmierci jej ojca. Corę Bender, wciąż nieprzytomną, pospiesznie odwieziono na jakieś badania. Zrobiliby wszystko, by wymazać te ostatnie pół godziny. Sam nie rozumiał, jak mógł się dać wciągnąć w taką głupotę.

– Zabiorę panią z powrotem na górę.

Błąd! Nie było to takie proste. Starał się. Przez dłuższy czas klepał ją po policzkach, wołał po imieniu, spryskiwał twarz zimną wodą, zanim się w końcu poddał i zostawił ją lekarzom. Przez cały czas zastanawiał się, co by się stało, gdyby miała w ręku nóż...

Było mu trochę niedobrze. Ale czuł także zadowolenie. Jej wyliczenie: kark, szyja, gardło. Zabiła z premedytacją? Nie, na pewno nie! Gdyby przypadkiem nie obierała jabłka dla syna, rzuciłaby się na Georga Frankenberga z pięściami i zrobiłaby to, co uniemożliwiono jej cztery lata temu – w sytuacji, w której każde uderzenie stanowiłoby jedynie obronę konieczną.

Chętnie porozmawiałby o tym z profesorem Burthem. Nie dano mu jednak dojść do słowa. Przez jakiś czas zasypywały go fachowe terminy. Na pierwszy plan wysuwa się świat snów, idei i zasad.

Brzmiało to bardzo poważnie, ale w ogóle go nie interesowało. W głowie miał jedynie interpretację laika, lecz znacznie poważniejszą. Po pięciu latach nie zadziałała w obronie koniecznej, tylko nastąpiło zabójstwo. Chyba że ktoś udowodniłby, że w czasie zbrodni Cora Bender nie znajdowała się nad Otto-Maigler-See, ale w tej przeklętej piwnicy. On nie mógł tego dowieść. To zadanie należało do profesora.

Pozwolił mu prawić kazanie, i nawet się przy tym nie skrzywił. Profesor Burthe

uspokoił się i zapytał, co Cora Bender powiedziała tuż przed omdleniem. Rudolf Grovian opisał scenę w piwnicy i poprzedzającą ją rozmowę. Przemilczał fakt, że go zaatakowała, rzucił jednak jedno czy dwa zdania na temat obrony koniecznej. A w dodatku ona nie chciała przecież bronić siebie, tylko tamtej drugiej dziewczyny.

Gdy skończył, profesor Burthe skinął krótko. Nie na zgodę. Wręcz przeciwnie! Oczywiście Burthe znał scenę z piwnicy, nawet w dwóch wersjach. Tej nagranej na taśmie, ze złamanymi żebrami. I tej z sutenerem na kanapie.

Musiała istnieć trzecia wersja, do której Cora Bender nikogo nie dopuszczała. Trzecia wersja dotycząca tego, co rzeczywiście się wydarzyło, tak uważał Burthe. Być może w takiej formie powracało jedynie jej własne pożądanie. Wówczas scena w piwnicy nie miałaby znaczenia i stanowiła tylko niewielki fragment czarnego rozdziału z życia Cory Bender. Ona sama zaś z całej siły broniła tego rozdziału przed każdą ingerencją, nawet kosztem własnego zdrowia psychicznego. Jak gdyby Rudolf Grovian już tego nie wiedział.

Profesor Burthe szczegółowo objaśnił różnicę między prawdą a kłamstwem oraz jak radzi sobie z nimi Cora Bender. W stresie początkowo trzyma się prawdy. Gdy dostosuje się do sytuacji, a presja znika, zaczyna szukać dla siebie korzyści. Osiąga je tylko dzięki kłamstwu. To wywołuje jednak kolejny nacisk. Przez emocje, jakie wtedy okazuje, laikowi może się wydawać, że właśnie zdradza mu największą tajemnicę.

Tak stało się na przesłuchaniu. Z profesorem próbowała tej samej gierki. Ale on był specjalistą, nie mogła go wodzić za nos. Nikt nie zaprzeczał, że Cora Bender przed laty miała złe przejścia z jakimś mężczyzną lub z wieloma. Nikt nie podważał faktu, że została wtedy wykorzystana. Ze swoimi autodestrukcyjnymi skłonnościami musiała działać na pewien typ mężczyzn jak wyzwanie.

W tym miejscu Rudolf Grovian sprzeciwił się po raz pierwszy.

– Jeśli chce pan przez to powiedzieć, że się prostytuowała, to nie ma pan racji. Siostra tego od niej oczekiwała lub, o ile dobrze zrozumiałem, wręcz żądała. Ale ona nie potrafiła.

Jego rozmówca się uśmiechnął. Był to znaczący uśmiech.

– Potrafiła, panie Grovian. Po śmierci Magdaleny wybrała najgorszy rodzaj kary, jaki mogła sobie wyobrazić. Zboczeni klienci. Opisała mi niektóre praktyki. Do wielu rzeczy jestem przyzwyczajony, ale trudno mi było tego słuchać. Panie Grovian, sam pan wie, że żadna kobieta nie przyznaje się do takiego zajęcia, jeśli go faktycznie nie wykonywała. To była potrzeba pokuty połączona z podświadomym pragnieniem kazirodczego stosunku z ojcem.

– Bzdura – zaprotestował Rudolf Grovian, słysząc, jak słabo to brzmi, jakby pomimo sprzeciwu dał się częściowo przekonać Burthemu. Tak nie było. Mowę odebrał mu błędny osąd profesora, a zarazem pewność, z jaką przemawiał. Jakby stał wtedy obok i wszystko widział.

Profesor faktycznie to zrobił, oczywiście w przenośni. Podkreślił, że przedstawia Rudolfowi Grovianowi zdarzenia, o których Cora Bender była głęboko przekonana, iż miały miejsce. Jako wykwalifikowany i uważny obserwator Burthe był w stanie wyłowić okruchy prawdy z wielkiego steku kłamstw.

– Obawiam się – stwierdził sucho Rudolf Grovian – że w tej sprawie wyłowił pan kilka łgarstw. Nie wiem, dlaczego opowiedziała panu takie bzdury. Ale w ogóle nie zgadza się to z datami. Ona...

Chciał wytłumaczyć, czego się dowiedział. Że po urodzinach Magdaleny natychmiast nastąpiły wydarzenia w piwnicy, a potem był już październik. Profesor przerwał mu skinieniem ręki. Nie chodziło o daty. Ani o prostytutkę. Nie miał powodu tak się unosić.

Chodziło tylko o śmierć Georga Frankenberga, o motyw Cory Bender i jej zdolność oceny sytuacji. Nie miała jej. Cora Bender nie była zdolna do popełnienia przestępstwa. Nie można jej było pociągać do odpowiedzialności za ten czyn. Nad jeziorem ani przez chwilę nie chodziło o mężczyznę i jego zachowanie. To kobieta wywołała wszystko.

W tym momencie Rudolf Grovian przypomniał sobie jej słowa:

– Mężczyzna miał pecha, bo leżał na górze. – Pokręcił jednak głową. – Nie wiem, skąd to panu przyszło do głowy. Popełnia pan duży błąd, tak po prostu odrzucając wersję z piwnicą. Widziałem jej reakcję już dwa razy! A ja także jestem wykwalifikowanym i uważnym obserwatorem. Pani Bender została zgwałcona w piwnicy przez dwóch mężczyzn i nieomal zabita. Zmarła wtedy inna dziewczyna, sprawcą prawdopodobnie był Georg Frankenberg. Dlatego musiał umrzeć.

Tymczasem profesor Burthe, już całkiem spokojny, rozsiadł się w fotelu, zmierzył Rudolfa Groviana uważnym spojrzeniem i spytał:

– Skąd ta pewność? Na podstawie wypowiedzi pani Bender? A może ma pan dowody?

Nie, do cholery. Miał tylko kilka słów. Parę tu, parę tam. Horst Cremer, Melanie Adigar i Johnny Guitar! Nie było nawet pewne, że Johnny Guitar i Hans Böckel to ta sama osoba. A Böckel stanowił do tej pory jedyny ślad prowadzący do Frankenberga. Nie mógł przecież przedstawić przed sądem jako dowodu piosenki *Song of Tiger*.

– Przykro panu – stwierdził profesor Burthe, gdy Rudolf Grovian nie odpowiadał. Brzmiało to niczym wyrok i zawisło w pokoju jak niezaprzeczalny fakt. – Chciałby pan jej pomóc i stara się znaleźć racjonalne wytłumaczenie. Ma pan córkę, prawda? Ile ma lat?

Gdy policjant ponownie nie odpowiedział, Burthe sam skinął głową na potwierdzenie i mówił dalej tym wyrozumiałym tonem doprowadzającym Rudolfa Groviana do białej gorączki:

– Przesłuchałem nie tylko ostatnią taśmę i rozumiem pańskie zaangażowanie. Młoda kobieta, taka biedna i załamana, chciała przecież tylko normalnie żyć. Zniszczona przez okoliczności, na które nie miała wpływu, błagająca o wyrozumiałość. Jest zupełnie bezradna. Krzyczy o pomoc i mdleje. Był pan z nią sam, gdy to się stało, prawda? Okrzyk Cory Bender skierowany został do pana. W tym momencie reprezentował pan jej ojca. Tak też się pan czuł. A przed paroma minutami scena się powtórzyła. Ojciec, panie Grovian, chce wierzyć. Niech się pan nad tym zastanowi. I nad tym, jak oceniłby pan jej zachowanie, gdyby towarzyszył panu jakiś kolega!

Rudolf Grovian musiał zacisnąć zęby, dlatego jego głos był przytłumiony:

– Nie przyszedłem tu, żeby mnie pan diagnozował. Próbowałem jedynie sprawdzić

kilka nowych informacji.

Burthe skinął poważnie głową.

– A pani Bender je potwierdziła?

– W pewnym sensie tak.

Profesor ponownie skinął głową zamyślony. Nie spytał, co to za nowe informacje.

– Ona wszystko potwierdzi, panie Grovian. Wszystko, co tworzy związek między nią a Georgiem Frankenbergiem. Sama stara się o racjonalne wyjaśnienie. Jego śmierć przyniosła jej wyzwolenie i teraz szuka przyczyny. Gwałtownie próbuje włączyć go w swoje życie i dostarczyć racjonalnych powodów jego działania. Aby to osiągnąć, ustawia go nawet w roli sutenera.

Rudolf Grovian chciał coś powiedzieć, ale ponownie został uciszony skinieniem ręki.

– Próbuję to panu wytłumaczyć. I mam nadzieję, że wreszcie zrozumie pan, gdzie kończy się pańska praca i zaangażowanie, a gdzie zaczynają moje. Zapomnijmy o Georgu Frankenbergu i piwnicy. Trauma pani Bender nie nazywa się piwnica, tylko Magdalena.

Dla profesora Burthego wszystko było proste. Georg Frankenberg stał się według niego przypadkową ofiarą. To, do czego doszło, mogło się przytrafić każdemu mężczyźnie towarzyszącemu kobiecie podobnej do siostry Cory Bender. Cora nie mogłaby zabić osoby, która zniszczyła jej życie. W udreće, a była ona ogromna, rzuciła się na męża. Poprzez jego śmierć osiągnęła jednocześnie dwie rzeczy. Spełniła największe pragnienie Magdaleny, posłała jej do nieba przystojnego mężczyznę. A reprezentująca Magdaleny żona Frankenberga odepchnęła jej dłoń, sygnalizując w ten sposób, że nie potrzebuje już pomocy. Cora Bender była wolna. W tym momencie czuła się tak wolna, że nie przerażała jej nawet kara dożywocia. Z jej punktu widzenia zasłużyła na nią.

Rudolf Grovian z nieporuszoną miną słuchał tego wyliczenia. Życie jak z kodeksu karnego. Kłamstwa, oszustwa, kradzieże, ćpanie. I dla ukoronowania tego wszystkiego morderstwo. Nie! Nie Georga Frankenberga. O nim powinien zapomnieć. Ofiarą była Magdalena!

Czy Cora Bender zamordowała siostrę z premedytacją, ponieważ postrzegala ją jako niszczycielkę nie tylko własnego ja, ale także ubóstwianego ojca, czy może stało się to przez pomyłkę w narkotykowym odurzeniu – tego profesor Burthe nie wiedział. Jednak złamane żebra należały do Magdaleny.

Rudolf Grovian przypomniał sobie słowa: „Zawsze kładłam dłoń na jej piersi...”.

Miał dość. Konował, pomyślał, nie zauważając, że przejął jej sposób myślenia. Słuchając podobnych rzeczy przez pół godziny, można znowu uwierzyć w Świętego Mikołaja.

Ale nie on! On zbierał fakty.

– Coś panu zaproponuję – powiedział, wstając. – Niech się pan zajmie swoją pracą, a ja swoją. Jeśli tak pan napisze w orzeczeniu, w trzech zdaniach udowodnię, że to nieprawda.

Lepiej, by te trzy zdania profesor usłyszał od razu. Rudolf Grovian wyliczył więc fakty. Punkt pierwszy: gdy umarła jej siostra, Cora od trzech miesięcy przebywała poza domem. Leżała z rozbitą czaszką w jakiejś klinice, z której wyszła dopiero w listopadzie.

Punkt drugi: prostytutka po śmierci siostry jako pokuta połączona z podświadomym pragnieniem kazirodczego związku z ojcem. Ładnie sformułowane. On sam nie potrafiłby tego tak ująć. Niestety, nie wiadomo, kiedy mogłoby do tego dojść, bo nikt się nie prostytuuje z rozbitą czaszką. Pomijając fakt, że nie istniało w niej takie podświadome pragnienie, a ojca nie ubóstwiała.

– Powinien pan sprawdzić w Biblii, panie Burthe. Wszystko tam napisano. Na swój sposób Cora mimowolnie próbowała powiedzieć prawdę. Magdalena była ladacznicą. – Pokręcił głową i się uśmiechnął. – Magdalena przygotowała grunt, a w piwnicy dokonała się reszta. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan zrobi eksperyment z błyskającymi światłami. Albo puści jej piosenkę. *Song of Tiger*. Zakładam się, że to ona była przyczyną, a nie pani Frankenberg. Cora sama przyznała, iż chodziło o piosenkę. Przeprowadzając taki eksperyment, niech pan lepiej dla bezpieczeństwa zawoła pielęgniarza. Jest tu paru silnych mężczyzn. – Powoli podszedł do drzwi i wyciągnął ostatniego asa. Punkt trzeci: – A przy okazji niech pan spyta panią Bender, ile kropli wody czerpie ćpun z umywalki w toalecie, by nadać kokainie odpowiednią konsystencję.

Profesor Burthe zmarszczył czoło.

– Co mam...

Rudolf Grovian trzymał już rękę na klamce.

– Dobrze mnie pan zrozumiał. Proszę jej pokazać zestaw do wstrzykiwania narkotyków. I niech pan zbada skórę pani Bender, centymetr po centymetrze. Jeśli znajdzie pan choćby jedną bliznę dowodzącą dawnych praktyk sadomasochistycznych, odejdę ze służby. Ale nie będę tego musiał robić. – Otworzył drzwi, postąpił krok na szeroki korytarz i powiedział: – Niech pan pomyśli o piosence, profesorze. Niestety, nie odważyłem się jej puścić. Przy następnej okazji to nadrobię. Skoro przez moje metody dochodzeniowe pani Bender trafiła tutaj, wydostanę ją w ten sam sposób. Obiecuję, panie Burthe.

Gdy opuszczał szpital, był wściekły jak rzadko kiedy, a przy tym bezradny. Nie miał nawet matury, swoją pozycję zawodową zawdzięczał ciężkiej pracy. Jak miał przeciwstawić się profesorowi, gdyby doszło do walki? Nie mógł uzyskać orzeczenia od innego biegłego.

Pojechał z powrotem do Hürth i sprawdził w książce telefonicznej nazwisko Eberhard Brauning. Znalazł je w dwóch miejscach, numer kancelarii i prywatny. Wykręcił ten pierwszy. Niestety, pan doktor Brauning był nieosiągalny. Miła pani mogła umówić go na wizytę najwcześniej jutro rano. Przy odrobinie nacisku udało mu się jednak porozmawiać osobiście z panem doktorem.

Eberhard Brauning zdziwił się, słysząc, kto i w jakiej sprawie chce z nim rozmawiać. W odpowiedzi wyrwało mu się:

– O Boże, szef. – Cichy śmiech i powrót do rzeczowości. – W najbliższych dniach sam poprosiłbym pana o rozmowę. Jest kilka niejasnych kwestii...

Rudolf Grovian nie dał zbić się z tropu.

– Kilka? – Roześmiał się, choć wcale nie było mu do śmiechu. Potem mówił dalej energicznym i zdecydowanym tonem: – Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby poświęcił mi pan nieco czasu. Rozumiem, że jest pan zajęty, ja też nie narzekam na brak roboty.

W najbliższych dniach mam jej mnóstwo, a sprawa jest pilna.

I to jak pilna. Burthe przemawiał, jakby jego praca zbliżała się do końca. Gdyby ta przekłeta opinia znalazła się najpierw u prokuratora... Wyjaśnienia Burthego brzęczały mu w głowie jak rój pszczół. „To, do czego doszło, mogło się przytrafić każdemu mężczyźnie towarzyszącemu kobiecie...”

Nic się nie zgadzało. On sam w każdym razie nie znajdował się w towarzystwie żadnej kobiety, gdy Cora go zaatakowała. A o to właśnie chodziło. Wciąż słyszał, jak wylicza ciosy. Kark, szyja, gardło. Nie zauważył, że jego rozmówca zwleka z odpowiedzią. Dopiero przeciągłe „Taaak” w słuchawce wyrwało go z zamyślenia.

– Sprawdzam właśnie kalendarz... – Nie dowiedział się, co Eberhard Brauning ma tam zapisane, usłyszał za to: – Może być dzisiejszy wieczór? Ma pan mój adres prywatny?

– Tak.

– Dobrze. O ósmej. Pasuje panu?

– Nie dałoby się trochę wcześniej? – Nie minęła jeszcze czwarta, a on nie wiedział, jak spędzić popołudnie. Ta sprawa nie da mu spokoju. – Może o szóstej? Nie przeszkodzę panu w kolacji?

Uzgodnili, że spotkają się o siódmej.

Gdy skończył rozmowę, zaparzył kawę. Pijąc pierwszą filiżankę, ponownie przesłuchał fragmenty nagrań.

„Chciałam tylko żyć normalnie! Rozumie pan?” I: „Gereon nie powinien tego ze mną robić”.

Seks oralny, pomyślał, marzenie Magdaleny. Dlatego wybuchła, gdy mąż tego spróbował. Powoli wszystko się wyjaśniało.

Przy drugiej filiżance zanotował opis piwnicy, jak go zapamiętał. Na swoją pamięć mógł liczyć. Rekonstrukcja była idealna. Niemal widział to wszystko. Butelki na półkach, za nimi lustro. Z przodu niski, gruby mężczyzna sypiący sobie na wierzch dłoni biały proszek, zlizujący go i gryzący cytrynę. Tequila, pomyślał. Tequila, koks i posuń się trochę, Böcki. W takiej formie powracało jedynie jej własne pożądanie! Co za bzdura! Jednak wciąż miał zeznania Margret Rosch o koszmarach z okresu, gdy wszystko było jeszcze świeże.

Zastanowił się, czy jest już przytomna i czy sama odnalazła drogę powrotną. Oraz czy znowu go przeklina za to, co jej zrobił, ponieważ mimo obietnic zostawił ją w piwnicy.

Zjawił się Werner Hoß z najnowszymi wieściami i wyrwał go z ponurych myśli. Wciąż nieznanne było miejsce pobytu Ottmara Dennera, a Hans Böckel nadal pozostawał tylko imieniem i nazwiskiem. W szpitalach w Hamburgu do tej pory nie mieli szczęścia, ale Ute Frankenberg została zwolniona z kliniki.

Cudownie! Koniecznie musiał z nią porozmawiać. Być może Frankie opowiedział jej kiedyś, gdzie grał z kolegami. Grovian zabrał taśmy z przesłuchania i ruszył w drogę do Kolonii.

Przybył na miejsce punktualnie co do minuty. Eberhard Brauning mieszkał w czteropiętrowym, starym budynku, bardzo zadbanym, ze świeżo pomalowaną, ozdobną fasadą. Nie przyglądał się. Gdy zadzwonił, drzwi otworzyły się automatycznie.

Za nimi znajdował się ciemny, przyjemnie chłodny korytarz. Podłogę wyłożono czarno-białymi płytkami. Usłyszał głos Cory: „Podłoga była biała z małymi zielonymi kamykami”. Musiało się przecież jakoś dać odnaleźć tamto miejsce.

Zrezygnował z windy i poszedł schodami. Mieszkanie Eberharda Brauninga znajdowało się na drugim piętrze. Duże, stare pomieszczenia, wysokie okna, a wewnątrz starannie dobrane antyki, pomiędzy którymi stało kilka dość dużych roślin. Wszystkie drzwi na korytarz były otwarte, całość zaś pogrążona w łagodnym świetle wczesnego wieczoru.

Adwokat Cory Bender przywitał go w drzwiach. Nie sprawiał wrażenia nieśmiałego, raczej napiętego. Poprowadził go przez szeroki korytarz do salonu, mówiąc przy tym:

– Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu, aby moja matka uczestniczyła w rozmowie.

A to wstyd, pomyślał Rudolf Grovian, i odparł:

– Nie.

Zobaczył ją od razu, gdy wkroczył do pokoju. Wytworna starsza dama, po sześćdziesiątce, czujne spojrzenie, srebrnosiwe włosy, starannie i surowo zaczesane wokół głowy. Pewnie chodziła do fryzjera dwa razy w tygodniu. Ciekawe, czy Cora Bender skorzystała z szamponu.

Przywitał się uprzejmie i odwzajemnił mocny uścisk dłoni damy. Spojrzał na jej prawą rękę, gdzie widniał rubin w ciężkiej złotej oprawie, wielkości paznokcia. W myślach widział tylko brudne włosy. Dlaczego ich do tej pory nie umyła? Czy już zupełnie się poddała? Zboczeni klienci! Musiała wiedzieć, że twierdząc tak, ostatecznie zamyka sobie drogę powrotu. Jej mąż nie był człowiekiem, który mógłby się z tym pogodzić.

Usiadł w fotelu z prążkowanym wezgłowiem, obok niego na niskim stoliku z ozdobnymi nogami oraz intarsjowanym polerowanym blatem stała delikatna porcelanowa filiżanka. Kawa miała idealny kolor i nie zawierała kofeiny. Nie wiedział, od czego zacząć.

Robin Hood, pomyślał w przyływie ironii, mściciel pokrzywdzonych, obrońca wdów i sierot. I ubezwłasnowolnionych! No dalej, Robin, wyjaśnij chłopakowi, czego potrzebuje jego klientka. Rozsądnego biegłego, który nie przybije jej takiego stempla na czoło. Potrzebuje kobiety, z którą mogłaby porozmawiać. Nie zwierzy się starszemu mężczyźnie. Pewnie widzi wtedy przed sobą ojca. Jednak kobieta... Potem ujrzał Elsbeth przy kuchennym stole i pokręcił głową. Kolejna bzdura.

Rzucił wytwornej starszej damie lekki uśmiech, skierował wzrok na Eberharda Brauninga i zaczął:

– Odwiedziłem dziś panią Bender. Powiedziała, że już z panem rozmawiała. Był pan u niej?

Gdy Eberhard Brauning skinął z ociąganiem głową, spytał:

– Uznał pan rozmowę z nią za wyczerpującą?

– Oczywiście, że nie. Ale nie zebrałem jeszcze wszystkich dokumentów. Czekam na opinię psychologa.

– Mogę panu powiedzieć, co tam napiszą. Nie odpowiada za własne czyny! Georg Frankenberg stanowił przypadkową ofiarę. Każdego mogło to spotkać.

Eberhard Brauning spojrział na niego, lekko marszcząc czoło.

Grovian na próżno czekał na odpowiedź. Spytał więc:

– Jakie wrażenie zrobiła na panu pani Bender?

Wytworna starsza dama nie spuszczała go z oczu. Wyraźnie to czuł. Zauważył też spojrzenie, jakie rzuciła teraz synowi, i jej uśmiech. Nie wiedział, co o nim sądzić. Wyglądało to, jakby dobrze się bawiła. Eberhard Brauning jeszcze nie odpowiedział.

Rudolf Grovian wykrzywił twarz w uśmiechu.

– No, śmiało, panie Brauning. Na pewno nie po raz pierwszy przeprowadza pan taką rozmowę. Jakie wrażenie zrobiła na panu pani Bender? Opowiedziała panu masę nonsensów, mam rację? Może coś z Biblii, o Zbawicielu i pokutującej Magdalenie?

Eberhard Brauning był z natury nieufnym i nadmiernie ostrożnym człowiekiem. Rzeczywiście nie po raz pierwszy prowadził taką rozmowę. Zwykle kończyło się na tym, że policjant próbował przemówić mu do sumienia. Konieczna jest kara pozbawienia wolności. Nie powinna być zbyt krótka.

– Niech pan się zastanowi, co się na to składa.

Typowa wypowiedź. A w przypadku Cory Bender składało się bardzo dużo rzeczy.

Nonsensy, które mu opowiedziała, pamiętał dokładnie. W ciągu ostatnich dni drobiazgowo omówił je z Helene. Zresztą nie tylko nonsensy, ale także dobrze zrozumiałe wypowiedzi o siostrze. „Musiałam się jej jakoś pozbyć”.

Helene była tego samego zdania co on. Przeczytała dokumenty z dochodzenia i powiedziała:

– Hardy, siedząc tu, nie potrafię ocenić, w jakim stanie psychicznym znajduje się ta kobieta. Nie powiem ci też, czy знаła swoją ofiarę. Nie można zupełnie wykluczyć, że był tylko dawnym klientem. Właśnie młodych mężczyzn z dobrych domów często ciągnie w takie środowisko. Ale policji trudno będzie ustalić związek. Zresztą nawet jeśli się to uda, dla ciebie będzie to raczej niekorzystne. Nie chcę ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę. Wiem, że uważasz psychiatryk za niezadowolające wyjście. Może jednak jeszcze przemyślisz swoje nastawienie. W tym wypadku byłoby to najlepsze rozwiązanie. Wiele więcej nie uda ci się dla tej kobiety zrobić. Namów ją, by porozmawiała z Burthem o krzyżach i pojawieniu się Boga Ojca przy jej łóżku. To brzmi bardziej intrygująco niż krótkie śpięcie u byłej prostytutki.

Helene miała rację!

– Proszę pana – zaczął, uśmiechając się wyrozumiale, i kontynuował powoli i z namysłem: – nie sądzę, by pani Bender opowiedziała mi masę nonsensów. Wyobrażam sobie, że wolałby pan ją widzieć skazaną. Jednak... – Chciał powiedzieć jeszcze więcej.

Rudolf Grovian przerwał mu jednym słowem. Brzmiało bardzo zdecydowanie.

– Nie! – Po krótkiej pauzie wyjaśnił: – Najchętniej widziałbym ją na tarasie jej domu, przy łóżeczku synka, gotującą w kuchni. Nawet w tej norze, którą nazywała swoim biurem. Czowała się tam dobrze. Była dorosła, zapracowana i zadowolona. Widział pan kiedyś ten kąt? Powinien pan to zrobić! Nie ma nawet okna. W domu Benderów traktowano ją jak wyrobnika. A mimo to była wolna. Znalazła swoje niebo. Człowiek

zaczyna się więc zastanawiać, jak wyglądało jej piekło.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Słowa same spłynęły mu z ust. Taka była prawda. Po raz pierwszy przyznał przed samym sobą, że pan biegły psycholog nie we wszystkim się mylił. Opinia o nim się zgadzała. Do diabła z tym! Dziewiętnaście lat przy Elsbeth to wystarczająco surowa kara. W przypadku dożywocia można po piętnastu latach liczyć na ulaskawienie. Patrząc z tej perspektywy, Cora Bender odsiedziałyby o cztery lata za dużo. Niech choć raz łaska przeważy nad prawem.

– Co pan wie o dzieciństwie i młodości Cory Bender, panie Brauning? Czy wie pan tylko tyle, co napisano w aktach? A może rozmawiała z panem na ten temat?

Nie zrobiła tego, więc ją zastąpił. W kwadrans streścił całą jej niedolę, a przy ostatnich słowach wyciągnął z kieszeni kasetę.

– A potem stało się to! – powiedział. – Jestem całkowicie przekonany, że się stało. Dokładnie tak, jak opisała. Nie potrafię tego jednak udowodnić, panie Brauning. Nie potrafię!

Odczuwany w pierwszych chwilach niepokój mogła zwalczyć tylko szczypta ironii. Wskazał ścianę po lewej stronie fotela.

– Ma pan piękny zestaw odtwarzaczy. Magnetofon i wszystko, czego potrzeba. Dam panu teraz możliwość, jakiej odmówiła panu pani Bender: uczestniczenia w przesłuchaniu. Dużo pan stracił. Trzeba to usłyszeć. Na papierze traci swą moc. Niech pan je włączy. Przewinąłem kasetę we właściwe miejsce.

Przez duże głośniki dźwięk rozchodził się, jakby Cora siedziała tuż obok wytwornej starszej damy na kanapie. Stamtąd słyhać było głos. Szlochy, błagania, jąkanie – i po raz kolejny: „Niech mi pan pomoże!”.

Zorientował się, że Eberhard Brauning kilkakrotnie przełyka głośno ślinę. Jemu samemu tak zaschło w gardle, że musiał wypić łyk kawy. Głos Cory Bender umilkł po kilku chwilach.

– Dziś znowu doprowadziłem ją do tego punktu – powiedział cicho Grovian. – Rzuciła się na mnie. Dokładnie tak, jak zaatakowała Frankenberga. Gdyby miała nóż, już bym tu nie siedział.

Eberhard Brauning nie odpowiedział, spoglądał na magnetofon, spodziewając się usłyszeć coś jeszcze. Panowała jednak cisza. Helene także pogrzyła się w milczeniu, nie dała mu nawet znaku oczami. Poczul się zmuszony przyznać:

– Nie do końca rozumiem, czego pan ode mnie oczekuje.

Rudolfa Groviana ponownie ogarnęła wściekłość. Niemal spytał: „A co zwykle robi pan jako obrońca z urzędu? Występuje jako drewniana kukła dla ozdoby?”. Opanował się jednak i powiedział:

– Proszę się postarać o innego biegłego – zażądał.

Ku jego zaskoczeniu w tym momencie wtrąciła się wytworna starsza dama:

– Pan Burthe cieszy się bardzo dobrą opinią.

– Być może – odparł. – Ale gdy Cora Bender zaczyna zmyślać, nawet najlepsza opinia nie pomoże. Podrzuciła mu parę grubych kłamstw, a on je łyknął. O prostytutce i zboczonych klientach. – Kontynuując, obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy Eberharda Brauninga. Chłopak raczej nie dorobiłby się fortuny, grając w pokera. – Panu

także nagadała tych głupstw? – W odpowiedzi uzyskał tylko jedno znaczne skrzywienie. – Niech pan posłucha! – powiedział i prawie się przy tym zaśmiał. – Niech pan posłucha! – Zobaczył Corę, jej rozbiegane palce, wściekłe spojrzenie. Niech pan zostawi mojego ojca w spokoju! Nie roześmiał się jednak, lecz mówił dalej zdecydowanym tonem: – Niech pan posłucha! Muszę się dowiedzieć, co panu opowiedziała. Każde słowo, nawet jeśli pan uważa, że to bzdura. Ona daje mnóstwo wskazówek. Należy je tylko prawidłowo odczytać.

Eberhard Brauning podszedł do magnetofonu, wyjął kasetę, wręczył ją mu i powiedział:

– Potrzebuję kopii wszystkich kaset. Również tej odtwarzanej nad jeziorem.

– Opowiedziała panu o piosence?

Eberhard Brauning nie odpowiedział, ponownie przyjął zasadniczą postawę i zmarszczył z niezadowoleniem czoło.

– Proszę pana, chyba nie oczekuje pan, że zdradzę szczegóły rozmowy z panią Bender stronie przeciwnej.

– Do cholery! Nie jestem przeciwną stroną. Mam paść na kolana, żeby pan zaczął mówić? Jestem tu co prawda w roli śledczego, ale Cora Bender nie ma we mnie wroga.

– Pani Bender jest innego zdania. – Jako że Helene mu nie pomagała, siedziała tylko i się uśmiechała, Eberhard Brauning zdecydował po cichu, że nie zaszkodzi przedstawić kilku wynurzeń Cory Bender.

Zaczął od Dawida i Goliata, opowiedział o krzyżach i mężczyźnie bez winy, po czym przeszedł do Boga Ojca, który czasami pojawiał się nocą przy jej łóżku, pochylał się i przekonywał o niewinności swego Syna.

Rudolf Grovian słuchał uważnie, szybko zrozumiał jednak, że to strata czasu.

– Tak – stwierdził przeciągle, wstając z prążkowanego fotela i rzucając wytwornej starszej damie przelotny uśmiech. – Każdy z nas ulega czasem pokusie, by pójść po linii najmniejszego oporu. W takim przypadku jak ten wszyscy tak robimy. Nikt nie osądza biedaczki. Po prostu ją zamykamy. I nikt nie musi się zastanawiać, dlaczego to zrobiła. Kiedyś też popierałem podobne rozwiązania. Potem jednak postanowiłem gruntownie zbadać całą sprawę. Teraz tkwię w niej po uszy. Obawiam się tylko, że dalej mnie nie dopuszczą. Burthe był przekonany, że pani Bender trafiła do szpitala z powodu moich metod dochodzeniowych. Dla dobrego adwokata to smakowity kąsek.

W tym momencie Eberhard Brauning przypomniał sobie o swoich obowiązkach, jakby nagle walnął głową w mur. Obrońca z urzędu! Czuł się dość nieswojo. Oczywiście musiał to jeszcze spokojnie omówić z Helene i zastanowić się, jakie ma w ogóle możliwości. Ale raczej nie należało zostawiać całej sprawy prokuratorowi. Skoro policjant przemawia za tą kobietą, jej szanse nie powinny być aż tak marne.

Odchrząknął lekko.

– Tak między nami, panie Grovian, czy z opinią innego biegłego mogę mieć nadzieję na uniewinnienie?

– Nie – odparł spokojnie Rudolf Grovian. – Nie może pan. Ale kilka lat więzienia to lepsze niż kara śmierci. A obawiam się, że w tym kierunku zmierza Cora Bender. Nie potrzebuje już sędziego. Sama wydała wyrok. W tej chwili dostarcza tylko dowodów.

Możliwe, że przy następnej próbie będzie miała więcej szczęścia. Sądzę, że w więzieniu z tego zrezygnuje. Tam są zamknięci zwykli złoczyńcy. Żeby się znaleźć pomiędzy nimi, panie Brauning, musi tylko przyznać, że nad jeziorem rozpoznała Georga Frankenberga i chciała się na nim zemścić.

– Zemścić za co? – spytał Eberhard Brauning.

A Rudolf Grovian wyjaśnił. To, co proponował, było w najwyższym stopniu nielegalne. Mogło go słono kosztować. W tej chwili jednak tym się nie przejmował.

Dochodziła dziewiąta, gdy się pożegnał. W ciągu ostatniej godziny u państwa Brauningów kilkakrotnie dziwił się, że starsza dama jest tak zainteresowana sprawą, aż wreszcie Eberhard Brauning wyjaśnił, jaki wykonywała zawód. Niezłe połączenie, uznał i zastanowił się, czy Cora Bender była gotowa, by zaakceptować Helene Brauning.

Na kolejną wizytę było już dość późno. Jednak do tej pory Ute Frankenberg traktowano z wielką wyrozumiałością. Nikt nie męczył jej pytaniami, on zaś chciał uzyskać tylko dwie, trzy odpowiedzi.

Dziesięć po dziewiątej zaparkował auto w pobliżu mieszkania Frankenbergów. Znajdowało się w nowoczesnym apartamentowcu. Drzwi otworzył Winfried Meilhofer. W salonie siedziała młoda kobieta. Nie znał jej osobiście. Podobnie jak żona Frankenberga w ostatnią sobotę nie była w stanie zeznawać. Do tej pory Werner Hoß zdążył ją już jednak wypytać.

Znał jej imię. Alice Winger, przyjaciółka Ute Frankenberg, której flirt z Meilhoferem został niespodzianie przerwany przez Corę Bender. Najwyraźniej oboje zbliżyli się do siebie od tamtego czasu. Ich zachowanie wskazywało na zażyłe stosunki.

– Przepraszam, że przeszkadzam o tak późnej porze – zaczął. – Jest to jednak sprawa niecierpiąca zwłoki. Nie chciałem, by pani Frankenberg musiała z tego powodu przyjeżdżać do Hürth. Może odpowiedzieć na pytania tutaj.

Nie od razu mógł ją zobaczyć.

– Ute się położyła – oznajmiła Alice Winger. – Na jakie pytania?

Nic ważnego. Na początek: gdzie i kiedy poznała męża? Alice Winger mogła mu odpowiedzieć.

– W grudniu. W Muzeum Ludwiga. Byłam przy tym.

Następnie: czy mąż kiedykolwiek wymienił przy niej imię Cora? Alice Winger się wycofała.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

Niestety, w trakcie dochodzenia zetknął się jeszcze z kilkoma innymi imionami.

– Wolalbym pomówić z panią Frankenberg osobiście. To czysta formalność.

– Przyrowadzę ją.

Alice Winger podniosła się i opuściła pokój. Nie było jej kilka minut. Winfried Meilhofer wykorzystał ten czas, by spytać:

– Jakież postępy w śledztwie?

Skinął głową. W pewnym sensie dobrze było wiedzieć, że właśnie ten mężczyzna, który siedział wtedy tuż obok, zakładał, iż jeszcze prowadzone jest śledztwo.

– Nie mogę zapomnieć tego widoku – powiedział Winfried Meilhofer. – Jak siedzi i przygląda się Frankiemu. Była szczęśliwa. Może nie powinienem tego mówić, ale

współczułem jej. Dziwne, jak człowiek reaguje. Powinienem być przerażony. Byłem. Jednak bardziej reakcją Frankiego, jej męża i swoją. Nigdy nie przypuszczałem, że zdarzy się sytuacja, która tak mnie sparaliżuje. Powinienem być jej przeszkodzić. Nie powstrzymałbym pierwszego ciosu. Ale drugi. I...

Przerwała mu Alice Winger. Wróciła i powiedziała:

– Zaraz przyjdzie. Proszę być dla niej delikatnym. Wszystko jest ciągle żywe. Byli tacy szczęśliwi.

– Tak, oczywiście.

Niemal się wstydził. To była druga strona. Dla niej powinien się angażować. Porządni obywatele, których życie w ułamku sekundy rozpadło się z powodu jakiegoś szaleństwa.

Minęło kilka minut, zanim Ute Frankenberg pojawiła się w drzwiach. W pierwszej chwili zauważył tylko różowy szlafrok, pluszowy, długi do kostek. Owinęła się nim, jakby marzła. Ponad kołnierzem okrągła, poszarzała twarz, niewyspana, mokra od łez, nos i oczy zaczerwienione. Gładko zaczesane jasnoblonde włosy, spięte na karku spinką. Więcej nie dostrzegł.

Powtórzył pierwsze pytanie, na które odpowiedziała już Alice Winger. Ute Frankenberg potwierdziła jej wypowiedź cichym, ledwie zrozumiałym głosem. Poruszył temat dawnych kolegów męża. Wiedziała tylko tyle, ile opowiedział jej Frankie. Nie lubił o tym mówić. Raz, gdy zagadnęła go o piosenkę, której słuchał każdego wieczoru i bez której podobno nie mógł zasnąć, pokazał jej kilka starych zdjęć i wyjaśnił, że była to największa głupota w jego życiu.

Nigdy nie słyszała imienia Cora. Ale on nie uganiał się za spódniczkami w przeciwieństwie do dwóch pozostałych kolegów. Powiedział, że ich zachowanie często go odstręczało. Dziewczyny i koks. Koks i dziewczyny. A raz stwierdził, że zawsze na nią czekał. Ute była kobietą jego marzeń, której potrzebował, by wyzdrowieć.

Ute Frankenberg przemawiała jak pod wpływem silnych środków uspokajających. Nie mógł zrobić nic poza potakiwaniem, chociaż gdy usłyszał o fotografiach, przeszedł go prąd. Delikatnie, pomyślał. Proszę być dla niej delikatnym. Oczywiście!

– Czy ma pani jeszcze te stare fotografie?

– Frankie chciał je wyrzucić. Mnie było szkoda. Mam je... – Z trudem podniosła się z kanapy, podeszła do szafy, pochyliła, wysunęła szufladę i wyjęła album. – Być może są tutaj.

Nie było. Musiała pójść do sypialni, leżał tam jeszcze jeden album, nie czuła się jednak na siłach, aby go przynieść. Zajął się tym Alice Winger. Ute Frankenberg ponownie usiadła na kanapie z albumem na kolanach i oczami utkwionymi w zdjęciu wielkości pocztówki. Frankie! Czubkiem palca pogładziła papier, rozplakała się i nie mogła przewrócić kartki.

Rudolf Grovian starał się być cierpliwy. Alice Winger wzięła album, przeszukała go i wyjęła jedną fotografię.

– Czy o to panu chodziło?

Tak, o to! Odetchnął z ulgą. Nie musiał kłamać, manipulować ani robić żadnej z rzeczy, które zaproponował przed godziną adwokatowi:

– Jeśli wszystkie szwy pękną, zrobimy z Frankiego miłego, ale zepsutego aniołka z dobrego domu, który – może pod wpływem alkoholu i kokainy – dopuścił, by jego koledzy w sierpniu pięć lat temu rzucili się na jego dziewczynę. Nie ma na to dowodu, ale nie ma także dowodów przeciwko, o ile tylko będziemy się trzymać 16 sierpnia, wtedy jego ramię już się zagoiło. Wykorzystajmy te kłamstewka. Przyprowadzę panu kobietę, która pod przysięgą zezna, że widziała, jak wieczorem 16 sierpnia Cora Bender wsiada do samochodu Georga Frankenberga. Jestem pewien, że sąsiadka zrobi to dla niej, jeśli zagwarantujemy, iż nie poniesie żadnych konsekwencji. Pan natomiast wbije teraz pani Bender do głowy, że w czasie rozprawy nie może ani słowem wspomnieć o Zbawicielu i pokutującej Magdalenie ani też o sutenerach lub prostytutce. Potrzebujemy ładnej historii miłosnej z dramatycznym zakończeniem.

To było to! Zdjęcie, co prawda, źle oświetlone, ale przy odrobinie dobrej woli, mając w głowie jej opis, mógł co nieco rozpoznać. Instrumenty na podeście w rogu. Nawet dwóch mężczyzn. Ten za perkusją musiał być Frankiem. Uniósł ramiona. Jego twarz była jedynie rozmazaną plamą. Drugi był wyraźniejszy. Stał za keyboardem. Grubasek o blond włosach i rozmarzonym obliczu. Niezbyt wysoki i dość postawny.

– Kto to?

Ute Frankenberg pochyliła się w stronę jego wyciągniętej dłoni.

– Zapewne Ottmar Denner.

Tiger, pomyślał.

– Czy pani mąż wymienił kiedyś przywilej Ottmara Dennera? Tiger?

– Nie, nigdy.

– Innych przywilejów także nie? Böckel lub Johnny Guitar?

– Nie.

Szkoda! Piekielna szkoda!

– Na tym zdjęciu widać tylko dwóch mężczyzn. Gdzie jest trzeci, Hans Böckel?

No gdzie? Trzyma aparat!

– Bueckler – poprawiła go mechanicznie. – Nie Böckel. Nazywał się Bueckler.

Pisane przez „ue”.

Winfried Meilhofer wymamrotał przeprosiny.

– Musiałem źle usłyszeć nazwisko.

– Hans Bueckler też musi być na jakimś zdjęciu – wymruczała Ute Frankenberg niby sama do siebie. Ponownie wzięła album, przewróciła stronę, pokręciła głową. Kolejna kartka. – Tutaj – powiedziała, wyjęła fotografię spod folii i podała mu. Jednocześnie wolną dłonią przeciągnęła po karku i wykonała gwałtowny ruch głową.

Rudolf Grovian w tym samym momencie dostrzegł dwie rzeczy. Mężczyznę na fotografii. Opis Johnny’ego Guitara dostarczony przez Melanie Adigar pasował do niego jak ulał. Adonis o blond włosach. Jakby pozował greckim rzeźbiarzom do posągów bogów. I włosy Ute Frankenberg, które opadły na jej plecy. Nadal przytrzymywane spinką, długie, sięgały jej niemal bioder.

Poczuł, jak serce niemal wyskakuje mu z piersi, gdyż w tej samej sekundzie zobaczył samego siebie stojącego przed starym nocnym stolikiem ze zdjęciem oprawionym w srebrną ramkę w dłoni. Magdalena, pomyślał. To kobieta wywołała

wszystko.

Cholera! Ten karzeł, biegły psycholog, miał rację! Ale to nie mogła być prawda! Trzymał w ręku dowód. Ponownie skoncentrował się na zdjęciu. Hans Bueckler stał przy barku w piwnicy z kieliszkiem w dłoni.

– Czy wie pani, gdzie zrobiono te zdjęcia?

Skinęła głową.

– W ich piwnicy.

– Gdzie się ona znajduje?

– Nie wiem. Czy to ważne?

– Bardzo ważne.

– Naprawdę nie wiem. Może w domu rodziców Dennera albo u Hansa Buecklera. Tak, chyba tam. Nie wiem, gdzie mieszkał. Gdzieś w północnych Niemczech. Jego ojciec zajmował się muzyką. Chyba był agentem, nie jestem pewna.

– Muszę zabrać te fotografie. A także inne zdjęcia piwnicy, jeśli istnieją. Może jest nawet fotografia domu?

Nie było, ale znalazły się jeszcze dwie fotografie z piwnicy. Nawet ostre. Na jednej widniały kanapa i mały stolik przed nią. Siedział przy nim Frankie. Kolejna ukazywała go stojącego wraz z Dennerem obok czerwonego sportowego auta.

– Czy wie pani, do kogo należał ten wóz?

Kiwnęła i wpatrzyła się w fotografię. Nie mogła odpowiedzieć. Wyręczył ją Winfried Meilhofer.

– Do Frankiego. Miał go wciąż, gdy go poznałem.

Żegnając się, poczuł ulgę. Niewielką. Nie miał w garści zbyt dużo. W zasadzie tylko nadzieję, że trzyma w kieszeni zdjęcie Johnny'ego. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że powinien raczej zabrać fotografię Ute Frankenberg. I to ją pokazać Corze Bender, a następnie spytać ją: „Kto to jest, pani Bender?”.

W duchu zobaczył, jak się uśmiecha, tak szerokim, zatroskanym i delikatnym uśmiechem jak na zdjęciu w jej pokoju. I usłyszał zasmuconą odpowiedź:

„To Magdalena”.

Rozdział 14

Wciąż miała wilgotne włosy. Umyła je po śniadaniu, a Margret zapomniała zapakować suszarkę. Było popołudnie, tyle wiedziała. Zdawała sobie sprawę właściwie jedynie z tego, że miała wilgotne włosy. Czuła ich chłód na karku. Gdy do pokoju wpadał powiew wiatru, czuła także zimno na głowie. Poza tym nie czuła nic.

Raz zaswędziała ją prawa noga, poniżej kolana, na łydce – jakby usiadł tam jakiś owad. Od tamtej pory upłynęło już trochę czasu. Długo się zastanawiała, czy ma tego miejsca dotknąć, podrapać je lub strącić owada. Mógł to być komar. Skoncentrowała się na tym punkcie swojego ciała i próbowała stwierdzić, czy potrafi w ten sposób rozpoznać owada lub spowodować, że odleci. Nie spojrzała jednak ani nie dotknęła nogi. W końcu swędzenie ustało. Przed trzydziestoma minutami. Była tego pewna, liczyła każdą sekundę.

Odkąd wróciła od profesora, zajmowała się wyłącznie liczeniem. Doszła grubo powyżej dziesięciu tysięcy, gdy przerwało jej swędzenie i musiała zacząć od nowa. Osiemnaście! Tyle lat skończyła wtedy Magdalena. Dziewiętnaście – tyle miała ona. Dwadzieścia – powoli się otrząsnęła. Dwadzieścia jeden – wmówiła sobie, że może prowadzić życie jak tysiące innych kobiet, u boku mężczyzny zbyt głupiego, aby mogło to spowodować jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Ale myliła się. Dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery... koniec.

Profesor powiedział:

– Widzę, że umyła pani włosy.

W tamtym momencie były jeszcze mokre, nie wilgotne. Profesorowi się podobały. Spytał, jak często myła je wcześniej. Na pewno codziennie! Czy to naturalne loki, czy trwała. I jakiego użyła szamponu, pachniał tak przyjemnie i świeżo.

– To bardzo dobry szampon – odparła. – Szef mi go przyniósł. Gdzie on jest? Czy go zabiłam?

Pamiętała, że rzuciła się na niego – w jakiś sposób udało się jej chwycić mały nóż, który leżał na barku. W momencie gdy go ugodziła, nie był szefem, tylko kimś robiącym coś, czego nie powinien. Potem raz jeszcze, przez króciutką chwilę, ujrzała jego twarz. Poznała, kto to, ale nie mogła stwierdzić, czy krwawi i czy w ogóle żyje. Od razu zrobiło się ciemno.

Później białe łóżko i pochylająca się nad nią wąska, zatroskana twarz. Brakowało starannie przystrzyżonej brody. Pozbył się jej, taka była jej pierwsza myśl. Ogolił się, gdy spała. Czekala, aż poda jej sok pomarańczowy lub zacznie poruszać jej nogami i ramionami, każe recytować wierszyki szkolne, wstrzyknie coś w wenflon na jej dłoni, sprawdzi opatrunek na głowie albo ukłuje w piętę.

Strach, ten szalony strach, że wszystko zaczęło się od nowa, że musi to przeżyć jeszcze raz. Powrót do domu. Obojętny głos matki w otwartych drzwiach.

– Cora umarła. Obie moje córki umarły.

Ojciec przy jej łóżku.

– Co uczyniłaś, Cora?

Grit z przestraszoną, zatroskaną twarzą, która nie wie, czy może mówić, czy też ma milczeć. Powolne posuwanie się naprzód. Każde zdanie jak uderzenie młotem.

– Nie musisz się niczym martwić. Margret się wszystkim zajęła. Na świadectwie zgonu napisano niewydolność serca i nerek. Margret przywiozła dokumenty z Eppendorfu i załatwiła zwłoki, chyba jakiejś ćpunka. Jej przyjaciel pomógł i wystawił świadectwo zgonu. – Grit pokręciła głową, wzruszając ramionami, i mówiła dalej: – To była młoda kobieta. Margret przywiozła ją samochodem. Straszne, ale potrzebowaliśmy zwłok na pogrzeb. Kazaliśmy je skremować. Magdalena tak chciała. Margret powiedziała, że sprawa załatwiona. Gdyby ktoś zadawał głupie pytania, nie znajdzie już na nie odpowiedzi.

Niemal zabił ją okropny lęk, że będzie musiała to wszystko usłyszeć raz jeszcze. Zakrzyknęła, chwyciła rękę sprawdzającą puls na jej przegubie i przyłgnęła do niej.

– Nie chcę do domu. Niech mnie pan nie odsyła, proszę. Niech mi pan pozwoli tu zostać. Mogę pomagać w gospodarstwie. Zrobię wszystko, co pan zechce. Tylko niech mnie pan nie odsyła. Moja siostra nie żyje. Zabiłam Magdaleny.

Nie pamiętała, jak długo tak krzyczała, błagała i ścisnęła ową rękę. Trwało wieki, nim zrozumiała swą pomyłkę. Nie ogolił się. Wcale nie miał brody. To był biegły sądowy. A ona mu powiedziała. Nawet gdyby następnego dnia cały czas udawał, że nic nie słyszał. Nawet gdyby sto razy spytał, jakim szamponem umyła głowę. Osiągnął swój cel. Wyciągnął z niej wszystko.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia siedem.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia osiem.

Zakurzone kości Magdaleny wśród zeschniętej trawy.

Cztery tysiące trzysta dwadzieścia dziewięć.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści.

Niezidentyfikowane zwłoki! Szkielet znaleziony w pobliżu poligonu wojskowego w Lüneburger Heide.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści jeden! Nie myśleć o niczym. Nie wolno jej myśleć, wcale tego nie chce.

Grit kontynuowała:

– Gdy twój ojciec w niedzielę rano stanął przed moimi drzwiami i powiedział: „Dziewczynki zniknęły”, początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Potem pomyślałam, że pewnie zawiozłaś Magdaleny do Eppendorfu. Zadzwoniliśmy tam. Nic. Po południu znaleźliśmy samochód na parkingu przed Aladynem. Nie umieliśmy tego wyjaśnić i nie wiedzieliśmy, co robić. Poradziłam twojemu ojcu, żeby poszedł na policję. Nie chciał. Miałam prawie wrażenie, że posądza cię... – Grit wydała przeciągłe westchnienie. – Nigdy nie zrozumieć, jak wpadł na taki pomysł. Wiedział przecież, że dałabyś się dla niej poświęcić. No tak, potem rozpowiedzieliśmy w sąsiedztwie, że Magdalena umiera, a ty nie odstępujesz od jej łóżka. Szczęście, że w ten weekend Melanie nocowała u znajomych. Pewnie nie umiałaby utrzymać języka za zębami. – Potem Grit opowiedziała o sierpniu: – Nadal sądzę, że Margret źle zrobiła. Wyrzucam sobie, że w ogóle powiedziałam cokolwiek, gdy przeczytałam w gazecie o znalezieniu zwłok. Najpierw nie chciałam o tym rozmawiać z twoim ojcem. Pomyślałam, że to go tylko

niepotrzebnie zdenerwuje. Tak się stało. Od razu zadzwonił do Margret. I wiesz, co powiedział? „Znaleźliśmy Magdalene”. Zaprotestowałam: „Wilhelm, to nieprawda! Wcale nie. Znalezione zwłoki, jakieś zwłoki, których nikt nie potrafi zidentyfikować. To nie mogła być Magdalena. Przy niej znalezione by ubranie, przynajmniej nocną koszulę. Zawsze ją przecież nosiła”. Spojrzał na mnie dziwnie i pokręcił głową. A potem Margret powiedziała: „Nie ma znaczenia, czyje to zwłoki. Musimy coś zrobić. Już zbyt długo zwlekaliśmy”. W zasadzie miała rację. Nie mogliśmy przecież bez końca opowiadać, że siedzisz przy jej łóżku. Zresztą nie sądziliśmy, że nadal żyje.

Cztery tysiące trzysta trzydzieści dwa. I tak dalej, bez końca – mając przed oczami obraz gnijących kości w błocie. Słyszac głos Magdaleny: „Chcę przejść przez piekło”. Ale porzuconych zwłok nie spalono. Rozłożyły się, zgniły, wślizgnęły się w nie robaki.

Przy ośmiu tysiącach siedmuset czterdziestu trzech usłyszała klucz w drzwiach. Nie przerwała liczenia, sądziła, że chcą ją po raz drugi zaprowadzić do profesora.

Przedpołudniowe posiedzenie okazało się dla niego dość wyczerpujące. Chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiała z szefem. Podstępny pies! Jakby się nie orientował. Nie była tak głupia, by na podstawie jego pytań nie wywnioskować, ile już wiedział.

Spytał, czy chce jeszcze raz porozmawiać z nim o piwnicy. I o tym, że sutenerzy zwykle nie są wierzący. Na pewno często pozwalają bić dziewczyny, sami też to robią, ale nie wykrzykują przy tym: „Amen! Amen! Amen!”. Ona zaś na pewno często musiała to powtarzać w modlitwie. I pragnęła normalnego życia. Z młodym mężczyzną.

Powiedział, że zdaje sobie sprawę, jak wielkim obciążeniem była dla niej Magdalena. Potem chciał z nią pomówić o muzyce. Zwłaszcza o piosenkach, których Magdalena lubiła słuchać. Spytał, czy przypomina sobie ich tytuły.

Nie chciał jednak zdradzić, gdzie jest szef. Ani słowa, czy wciąż żyje. Sama więc także przestała mu odpowiadać. Potem włączył muzykę. Usłyszała perkusję, gitarę i wysokie piski organów. *Song of Tiger!*

A ten świętoszkowaty pies spytał, jak się czuje. O czym teraz myśli. No o czym? Osiemnaście! Dziewiętnaście! Dwadzieścia! Dwadzieścia jeden! Musiała zagryźć zęby, aż chrupnęła szczęka. Ale działało. Dwadzieścia dwa! Dwadzieścia trzy! Dwadzieścia cztery!

Zaniepokoił się. Nie okazał tego, ale wyczuła jego zdenerwowanie i liczyła dalej, wciąż dalej.

Osiem tysięcy siedemset czterdzieści cztery. Drzwi się otworzyły. Wszedł pielęgniarz. Ten, który poprzedniego wieczoru dwa razy do niej zaglądał. Odgarniał jej włosy z czoła i pytał:

– Jak się panienka czuje? Już dobrze?

Nazywał się Mario, był miły, zawsze przyjazny i w dobrym humorze, ciemnowłosy tak jak dawniej ojciec. I bardzo silny, naprawdę potężny. Mógł chwycić dorosłego mężczyznę pod ramię i bez trudu przenieść, choćby ten się wrywał i walił go po plecach pięściami.

Widziała to raz, wracając od profesora do swojego pokoju. Pomyślała, że pewnie ojciec też taki kiedyś był. Wysoki i silny jak Mario. W młodości tak samo przystojny.

Wyobraziła sobie chwilę, gdy matka się w nim zakochała i po raz pierwszy pozwoliła mu się pocałować. Gdy pierwszy raz z nim spała. Że jej się to podobało. I jak doczekali się pierwszego dziecka. Matka była szczęśliwa z powodu ciąży i życia u boku takiego męża. Cora wyobraziła sobie, że jest na jej miejscu z Mariem w roli ojca.

Wczoraj wieczorem też o tym fantazjowała, choć była jeszcze tak odurzona lekami, że ledwo mogła myśleć. Pragnęła tylko, by Mario wziął ją na ręce i zaniósł daleko, daleko. Z powrotem do piwnicy. Położył ją tam na podłodze, a sam stanął pośrodku jak Herkules. I chwycił każdego z tych, którzy się znajdowali w środku, wyniósł na dwór i zabił. Wszystkich! A gdy już by ich zabił, wróciłby, wziął ją na ręce i powiedział: „Wszystko minęło, panienko. Masz to już za sobą”. A potem pozwoliliby jej zasnąć – na wieki.

Grzechem było mieć takie pragnienia. Całe życie to grzech. Śmierć także. Zabiła swoją siostrę. Gdy zobaczyła ją przed sobą martwą, w panice wybiegła z domu. Wróciła do Aladyna, tam czekał na nią Johnny. Pomógł jej zabrać zwłoki do Lüneburger Heide. Położyli Magdalenę gdzieś, gdzie nie można jej było zbyt szybko znaleźć. W pobliżu poligonu wojskowego, nikt tam nie chodził, nawet żołnierze. Tam Magdalena mogła się zmienić w cuchnące paskudztwo.

Musiało tak się stać, nie pamiętała tych wydarzeń dokładnie, ale Grit przypuszczała, iż rozegrały się w podobny sposób. Zakładała jednak, że gdy Cora wróciła wówczas do domu, Magdalena nie żyła. Myliła się. Profesor już wiedział. Gdy przestawała liczyć, musiała się zastanawiać – dlaczego nie spaliłam zwłok? Obiecałam jej przecież. Czyż nie mieliśmy benzyny? W samochodzie ojca zawsze był pełen kanister. Ale jego wóz stał przed Aladynem. Nie mogłam go użyć. A więc ktoś musiał mi pomóc. Nie zostałam z nią sama. Gdybym była tylko ja, rozpalilibym ogień. Musiał być ze mną ktoś, kto nie chciał jechać samochodem ojca, ale w swoim samochodzie nie miał kanistra benzyny. Albo uznał ogień za zbyt niebezpieczny. Bał się, że ktoś go zobaczy. Johnny?! Nie istniała inna możliwość.

Mario mrugnął na nią prawym okiem jak zaklinacz. Zobaczyła, że trzyma w ręku tacę. Stał na niej mały dzbanek z grubej białej porcelany i dwie filiżanki na podstawkach. Zaniósł tacę na stół, odstawił i przyłożył palec do ust.

– Niech to zostanie między nami – powiedział. – Sam zaparzyłem. To naprawdę dobra kawa.

Zagryzła wargi i zamruła przez łzy.

– No – rzekł Mario. – Lepiej nie płakać. Nie chce pani chyba lurowatej kawy. Filiżanka dla pani, a druga dla pani gościa.

– Szef przyszedł? Żyje jeszcze?

– Oczywiście, że żyje. – Mario uśmiechnął się szeroko.

Ale tak prędko już się tu nie pokaże. Profesor porządnie zmył mu głowę.

Wyobraziła sobie, jak szef biega wokół z mokrymi włosami, a Mario dodał:

– Przyszedł pani adwokat. Teraz niech pani usiądzie przy stole i wypije z nim kawę. – Obejrzał się w stronę drzwi i zawołał: – Proszę wejść. Ma się dobrze. – Jeszcze raz mrugnął do niej, uniósł kciuk, jakby mógł ją tym gestem podnieść z łóżka. – Zostanę tu, dobrze? Będę pilnował, żeby nic się nie stało.

Stanął przy drzwiach i splótł ręce na plecach niczym wartownik.

Zsunęła się z posłania jak dziecko o zbyt krótkich nóżkach. Wszedł adwokat. Przypomniała sobie, że już go widziała i rozmawiała z nim dość długo. Jednak...

– Przykro mi, zapomniałam, jak się pan nazywa.

– Nie szkodzi – odparł. – Ja też muszę wszystko sobie zapisywać. Inaczej połowa wylatuje mi z głowy. Brauning.

Uśmiechnął się do niej, wymieniając swoje nazwisko, w przeciwieństwie do Maria był jednak skrępowany. Wiedziała, że nie czuje się pewnie w jej pobliżu.

– Czy pan się mnie boi?

– Nie – odpowiedział. – Dlaczego miałbym się pani bać?

Nie wiedziała dlaczego, ale tak było.

– Nic panu nie zrobię – zapewniła. – Nie zrobię już nic żadnemu człowiekowi. Gdyby Frankie powiedział mi, że jest człowiekiem, też nic bym mu nie zrobiła, tak sądzę. Ale nie powiedział. Chciał, żeby to się stało. Ostatnio zapomniałam pana o tym poinformować.

– Już dobrze, pani Bender – rzekł adwokat. – Możemy na ten temat porozmawiać później.

– Nie – odparła. – Ja już nie rozmawiam. Tylko liczę. Wtedy nic się nie może stać.

Podobnie jak przy pierwszej wizycie Eberhard Brauning miał ze sobą aktówkę. Postawił ją obok stołu i usiadł na jednym z krzeseł w taki sposób, że widział drzwi i stojącego przy nich pielęgniarsza. Silny facet! Ramiona jak u zapaśnika. Ten widok nieco go uspokoił.

– Jest parę kwestii, w których musi mi pani pomóc – powiedział.

Helene dobrze go poinstruowała. Wyjaśnienia Rudolfa Groviana, jego opowiadanie się po stronie Cory Bender, a zwłaszcza gotowość, by zaryzykować dla niej własne życie, zrobiły na niej wrażenie.

– Ten Grovian wie, jak przedstawić sprawę, aby nią zainteresować. Co oczywiście nie znaczy, że pochwalam jego pomysły. Na miłość boską, Hardy, mogę ci tylko poradzić, żebyś zachował dystans. Może żadne manipulacje nie okażą się konieczne. Wiesz, Hardy, Burthe naprawdę cieszy się dobrą opinią, nie da się o nim powiedzieć złego słowa. Tyle że zbyt szybko zagłębia się we freudowskie teorie. A w tak skomplikowanej sprawie to nie wystarczy. Grovian może mieć całkowitą rację. Nie należy lekceważyć opinii laika, a on zebrał wiele dowodów. Fakt, że potrafi się z nią obchodzić. Zmusza ją do mówienia. Tobie też się udało, Hardy. To tylko kwestia autorytetu. Ale sam podejmiesz decyzję. Nie chcę cię do niczego namawiać. Rozmawiając z nią, pamiętaj tylko o jednym. Zachowuj się naturalnie. Odwołaj się do jej chęci niesienia pomocy i poczucia odpowiedzialności. – Helene łatwo było mówić.

– Mogę pana poczęstować kawą? – Nie spytała nawet, w czym mu ma pomóc.

– Tak, bardzo proszę – odparł.

– Nie przeszkadza panu, że stoję? Cały dzień siedziałam. Godzinę u profesora Burthego, a potem na łóżku.

Helene powiedziała:

– Trzymaj się tematu. Nie pozwól, by zaczęła mówić o czymś innym. Gdy tego spróbuje, a na pewno to zrobi, natychmiast zawróć ją do punktu wyjścia. I nie daj się

sprowokować, Hardy. Jeśli dojdzie do siebie, będzie cię prowokować. Wyobraź sobie dziecko zdane tylko na własne siły. Kiedy nagle pojawia się ktoś, kto twierdzi, że je lubi i chce mu pomóc, dziecko musi wystawić go na próbę. Będzie cię drażnić, aż się wściekniesz. Pokaż jej, gdzie leży granica. Bądź spokojny, ale zdecydowany, Hardy. To z dzieckiem masz sobie dać radę.

– Wolałbym, żeby pani usiadła – odparł. Mając w głowie instrukcje i przepowiednie Helene, był przygotowany na wszystko. Na złośliwy uśmiech, sprzeciw, znudzoną lub obojętną minę. Ale nie na to.

Wysunęła krzesło i usiadła. Grzecznie złączyła nogi, obciągnęła spódnicę na kolanach i się uśmiechnęła.

– Wciąż nie wiem, czy to był komar, czy tylko mój odruch. Musiałabym spojrzeć. Głupio, że tego nie zrobiłam. Jeśli komar, na pewno wciąż tu jest. I w nocy wróci. Powinnam go zabić. Zabić! Po prostu zabić! To tylko cholerny komar, który chciał mnie ugryźć. A wszystko, co gryzie, trzeba zabić.

Eberhard Brauning nie potrafił ocenić, czy Cora myśli jasno, czy jej zachowanie potwierdza opinię Rudolfa Groviana i stanowi wyraz pragnienia śmierci, czy też tylko opowiada mu bzdury. Trzymał się zaleceń Helene.

– Nie przyszedłem, by rozmawiać z panią o komarach. Przyniosłem kilka fotografii i chciałbym, aby spojrzała pani na tych mężczyzn... – Nie skończył.

– Nie chcę oglądać żadnych mężczyzn.

Koniec kropka! Jej mina wyraźnie wskazywała, że jest skłonna postawić nawet nie kropkę, ale wykrzyknik.

Tylko dziecko, pomyślał, niekochane dziecko. Powtarzał to sobie jak mantrę.

– To bardzo ważne. Obejrzy pani zdjęcia i powie mi, czy zna tych mężczyzn.

– Nie! – Dla podkreślenia swojego sprzeciwu potrząsnęła energicznie głową. – Na pewno jest tam też fotografia Frankiego. Nie chcę jej oglądać. Nie muszę odświeżać sobie pamięci. Widzę go tak dokładnie, że mogłabym go narysować. – Nagle jej głos się załamał. Wydała z siebie głuchy szloch. – Widzę go zalanego krwią i nie. Widzę go przy perkusji i na krzyżu. Zawsze wisi pośrodku. Był Zbawicielem. Nie! Proszę, niech pan tak na mnie nie patrzy. Nie zwariowałam. Wyczytałam to w pana oczach. Ale nie jestem Piłatem. Nie mogę umyć rąk.

To nie ma sensu, pomyślał Eberhard Brauning. Jeśli dotrwamy do rozprawy – jeden taki wybuch i koniec.

Zakryła twarz dłońmi i stłumionym głosem mówiła dalej:

– Nie chciał umierać. Prosił swego ojca: Niech mnie ominie ten kielich. Miał taką piękną żonę. Dlaczego nie pozwoli mi pan umrzeć? Nie chcę musieć o niczym myśleć! Już nie dam rady. Teraz mogę zacząć od nowa. Osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden...

Eberhard Brauning oddychał głęboko i regularnie, wdech i wydech, wdech i wydech. Posyłał do diabła Helene i jej świeżo rozbudzoną ambicję zawodową. A tuż za nią Rudolfa Groviana, który zaraził ją swoimi ambicjami.

Pielęgniarski stał w drzwiach i nie poruszał się, jakby nic nie widział ani nie słyszał. Nie był tu w roli jego ochroniarza ani jej stróża, tylko z polecenia prokuratora, który

chętnie sam by się tym zajął. Profesor Burthe wybił mu jednak ten pomysł z głowy, a także ostro sprzeciwił się dopuszczaniu do Cory Bender funkcjonariuszy policji kryminalnej. Padło więc na niego jako adwokata. Potrzebowali jeszcze bezstronnego świadka. Najlepiej takiego, na którego obecność reagowała pozytywnie. Inaczej, stwierdził profesor, żadna próba nie będzie miała sensu. Chwilowo nikt nie potrafił zmusić Cory Bender do powiedzenia choćby jednego słowa.

W teczce miał dwadzieścia zdjęć. Nie wiedział, kogo przedstawiają. Rudolf Grovian przyniósł je do kancelarii tuż po dwunastej. Policyjne laboratorium musiało popracować na nocną zmianę. Dwadzieścia męskich głów, wszyscy w podobnym wieku. Same twarze. Na każdym zdjęciu tło było tak zamazane, że nie dało się nic rozpoznać.

Wypił łyk kawy i odstawił filiżankę. Doszła do czterdziestu pięciu, gdy wreszcie się przemógł i jej przerwał.

– Niech pani przestanie. Teraz obejrzy pani fotografie. Nie wiem, czy wśród nich znajduje się zdjęcie Frankiego. Jeśli je pani zobaczy, proszę mi o tym powiedzieć, wtedy je zabiorę. Nie musi pani się mu przyglądać. Tylko pozostałym. Proszę mi powiedzieć, jeśli kogoś pani rozpozna. I podać jego nazwisko, o ile je pani zna.

Rzeczywiście przerwała liczenie. Nie spodziewał się tego i uznał to za osobisty sukces. Gdy sięgnął do teczki, pielęgniarz podszedł i stanął obok.

Mając go w pobliżu, Eberhard Brauning poczuł się nieco lepiej. Nie dlatego, że się bał. Ale na wszelki wypadek. Skoro rzuciła się nawet na Groviana... Wyjął kopertę i położył ją na stole. Była duża i brązowa. Skinął zachęcająco w stronę Cory i wyjął zdjęcia.

Spojrzała na nie jak na rój jadowitych gadów.

– Skąd pan je ma? – spytała.

– Pan Grovian przywiózł je dziś w południe.

W jej oczach błysnęła ciekawość.

– Jak on się czuje?

– Dobrze. Kazał panią pozdrowić.

– Jest na mnie zły?

– Nie, dlaczego miałby być?

Pochyliła się do niego ponad stołem i wyszeptała:

– Rzuciłam się na niego i zraniłam go.

– Nie, pani Bender. – Pokręcił energicznie głową. – Nie zrobiła pani tego. Uderzyła go pani. Ale on to rozumie. Zdenerwował panią, straciła pani panowanie nad sobą. Naprawdę nie ma pani tego za złe. Chce, żeby obejrzała pani zdjęcia. Sporo się nabiegał, by je zdobyć. Powiedział mi, że jedno przedstawia nawet jego zięcia.

Oparła się ponownie na krzesło, zacisnęła usta i zaplotła ręce na piersi.

– No dobrze. Obejrzę je.

Podsunał jej fotografie. Pochyliła się, spojrzała na pierwszą, potrząsnęła głową i odłożyła na bok. Drugą, trzecią, czwartą, za każdym razem kręciła głową.

– Który to jego zięć? – spytała przy piątym.

– Nie wiem. Nie wolno mi tego wiedzieć.

– Szkoda – wymruczała. Przy szóstym zdjęciu zmieszała się, zmarszczyła czoło,

przyłożyła palec do ust i zaczęła gryźć paznokcie. – Czy to on? Raz go widziałam. Ale nie wiem gdzie. Ani jak się nazywa. Co z nim zrobić?

– Odłożyć na bok – powiedział.

Spojrzała na siódme i ósme zdjęcie. Przy dziewiątym zacisnęła powieki i zażądała ostro:

– To niech pan zaraz zabierze! To Frankie.

Wziął zdjęcie i wsunął pomiędzy te, które już odłożyła. Potrzebowała kilku minut, zanim mogła kontynuować. Pielęgniarka położyła jej uspokajająco dłoń na ramieniu. Spojrzała na niego i z zaciśniętymi ustami skinęła głową. Potem zajęła się dziesiątym, jedenastym i dwunastym zdjęciem.

Przy trzynastym powiedziała:

– Tej świni nie chcę znać. I nie chcę wiedzieć, jak się nazywa. – Energicznym ruchem przesunęła zdjęcie w jego stronę.

– Ale ja muszę to wiedzieć – wytłumaczył.

– Tiger – odparła krótko i spojrzała uważnie na czternastą fotografię. Przy piętnastej przez jej twarz przebiegł uśmiech.

– Mój Boże, ale ten ma duży nos.

– Zna go pani?

– Nie. Ale niech pan tylko spojrzysz na ten nos.

Szło lepiej, niż oczekiwał. Był z siebie dumny i nie spodziewał się już dramatycznych wypadków. Jednak przy osiemnastym zdjęciu sytuacja stała się krytyczna.

Eberhard Brauning nie od razu to dostrzegł. Pielęgniarka zorientował się jednak, że coś jest nie tak. Znowu położył dłoń na jej ramieniu. Wtedy Eberhard zobaczył, jak wpatruje się w fotografię.

– Zna pani tego mężczyznę? – spytał.

Nie zareagowała. Nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy. Żal? Tęsknota? Smutek? A może nienawiść?

Znienacka uderzyła pięścią w stół. Obydwie filizanki podskoczyły. Z jednej wylało się na stół trochę kawy. Brzęk zagłuszył jej krzyk:

– Co ze mną zrobiłeś? Zrobiłam to tylko dla ciebie! Nie chciałam, żeby umarła. Miała tylko spać. Powiedziałeś, że mam ją uspić i wrócić do ciebie! Czy wróciłam? Musisz to przecież wiedzieć!

Eberhard Brauning nie potrafił się zdobyć na powtórzenie pytania. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł rozlaną kawę, żeby fotografie się nie zamazały.

Włączył się pielęgniarka, pochylił się nad nią i stwierdził uspokajająco:

– Hej, panienko, bez nerwów. To tylko zdjęcie. On nic nie robi. Ja przecież pilnuję. Niech pani powie, kto to jest, a zaraz dam znać przy wejściu. Gdyby się pojawił, nie wpuszczą go do środka.

Zaszlochała.

– On wszędzie wejdzie. To szatan. Widział pan kiedyś obraz Lucyfera, Mario? Przedstawiają go zawsze z długim ogonem, kopytami i rogami. Wygląda jak kozioł trzymający widły. Ale to nieprawda, był przecież jednym z aniołów. I w takiej postaci ukazuje się ludziom. Wszystkie dziewczyny za nim szaleją, wszystkie chcą go mieć.

Żadna nie słucha, jak ją ostrzegają. Ja też nie. Jego kolega nazywał go Böcki. Powinam się domyślić, co to znaczy. Człowiek ma wolną wolę i może wybierać między dobrem a złem. Ja wybrałam zło.

Eberhard Brauning nie odważył się odebrać jej fotografii. Pielęgniarski zrobił to za niego.

– Böcki – powiedział. – Odłóżmy go więc do Tigera. Tam chyba jego miejsce.

Zgodziła się.

Pielęgniarski kontynuował zadawanie pytań:

– A ten? Też do nich należy?

Jeszcze raz spojrzała na pierwsze odłożone zdjęcie i wzruszyła ramionami.

– Wydaje mi się, że widziałam go u szefa. Dlatego pomyślałam, że to jego zięć. Ale to niemożliwe. Chyba że on także pracuje w policji.

– Zapytamy szefa, gdy przyjdzie następnym razem – odparł pielęgniarski. Potem zwrócił się do Eberharda Brauninga. – To już wszystko czy jeszcze mnie pan potrzebuje?

Eberhard wsunął zdjęcia do koperty. Nie mógł zaznaczyć tych przedstawiających Böckiego i Tigera. Cora powinna zidentyfikować Hansa Buecklera i Ottmara Dennera przed sędzią, jeśli tylko uda się odnaleźć obu mężczyzn. Pokręcił głową.

– Nie. Myślę, że może nas pan teraz zostawić. – Nie zabrzmiało to bardzo optymistycznie.

Pielęgniarski opuścił pokój. Eberhard dopił resztę kawy z filiżanki. Była już zimna. Ona do tej pory nawet nie zamoczyła ust.

Spojrzała tęsknie w stronę okna.

– Skończyliśmy?

– Nie całkiem. – Nie wiedział, jak ma się do tego zabrać.

Rudolf Grovian powiedział: „Jeśli zidentyfikuje tych mężczyzn, to będzie dla nas krok naprzód. Będziemy jeszcze potrzebować nazwy kliniki, by udowodnić, że to nie było tylko jej własne powracające pożądanie! W Hamburgu nie mieliśmy szczęścia. Oczywiście wypytałismy wszystkich lekarzy. Ale o lekarzu możemy równie dobrze zapomnieć. A to, że ciotka Cory jest innego zdania...”. Lekki uśmiech i uwaga o neurologii.

Do tego czasu gruntownie ją już przebadano. Zrobiono zdjęcia rentgenowskie czaszki. Raport neurologa znajdował się u prokuratora. Było bardzo mało prawdopodobne, by te obrażenia leczono w specjalistycznym gabinecie lekarskim.

Rentgen ukazał prawdziwą pajęczą sieć. Każda linia nazywała się w fachowy sposób. Kość czołowa, kość ciemieniowa, kość skroniowa, złamanie wieloodłamowe, złamanie spiralne. Podejrzewano krwotok wewnętrzny i kilka innych rzeczy.

Oczywiście po pięciu latach niemożliwe było postawienie dokładnej diagnozy. Jednak już sam fakt, że te obrażenia nie spowodowały trwałego uszczerbku na jej zdrowiu, dowodził fachowej opieki medycznej, a z tym wiązała się odpowiednia aparatura. Kliniki nie dało się ominąć. Eberhard Brauning udał zajętego, położył teczkę na kolanach i zaczął w niej szperać, ale niczego nie wyjął. Helene wygłosiła długą mowę na temat starań Cory Bender, by okłamać policję w tej i kilku innych sprawach.

Helene powiedziała:

– Wyjaśnij jej, że nie ma nic do stracenia. Uzależniona dziwka jest wszystkim znana. Skuś ją teorią Groviana o nieprawdziwym uzależnieniu. Jeśli uda ci się także postawić dziwkę pod znakiem zapytania, to wygrałeś, Hardy. Zaoferujesz jej wtedy to, czego tak rozpaczliwie poszukuje: normalne, przyzwoite życie.

Spróbował, nie robiąc sobie większych nadziei. Przynajmniej go słuchała. Czasami wyraz jej twarzy zdawał się potwierdzać słowa Helene. Gdy umilkł, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przeprasząco.

– To miłe, co pan mówi. Chciałabym, żeby miał pan rację. – Odetchnęła głęboko i spojrzała gdzieś ponad nim. – Co właściwie dzieje się z człowiekiem, który sądzi, że popełniono przestępstwo, i stara się zrobić wszystko, by je ukryć?

– Nic się nie dzieje, jeśli nikt się nie dowie. Ale musimy teraz porozmawiać o klinice, pani Bender.

– Nie – przerwała mu i zaczęła polerować prawym kciukiem paznokcie lewej ręki. – Zrobimy to później. Muszę pana o coś spytać. Jest pan przecież moim adwokatem. Nie ma pan prawa tego rozpowiadać. Załóżmy, że pochowano ciało, które gdzieś znaleziono. Nikt nie wie, jak ten człowiek się nazywał. Zakopano w ziemi kilka pozostałych po nim kości. Tamten człowiek wolał jednak być spalony. Załóżmy, że o tym wiem. Czy mogę iść i powiedzieć: „Chcę spełnić ostatnią wolę tego biedaka. Chcę go spalić”? Mogę to zrobić?

– Jeśli go pani знаła, może pani.

– Musiałabym powiedzieć, jak się nazywał, prawda? – Pani Bender nadal polerowała paznokcie, nie patrząc na niego.

Nie wiedział, do czego zmierza, ale zebrał resztki cierpliwości:

– Tak, musiałaby pani.

– A jeśli nie wolno mi tego zrobić?

– Wtedy, niestety, niczego pani nie załatwi.

Wreszcie uniosła wzrok, a jej mina wyrażała niezachwianą pewność.

– Ale ja muszę! Inaczej zwariuję. Niech pan coś wymyśli. Na pewno jest jakiś sposób. Jeśli panu coś przyjdzie do głowy, to może i mnie.

Odetchnął głęboko.

– Proszę pani, czy nie moglibyśmy o tym porozmawiać kiedy indziej? To bardzo skomplikowana sprawa. Muszę najpierw sprawdzić, czy istnieje jakiś sposób. Obiecuję, że to zrobię. Ale teraz muszę się dowiedzieć, w jakiej klinice panią leczono. Jeśli pani nie wie, proszę powiedzieć, w jakim mieście. Proszę mi dać jakikolwiek punkt zaczepienia, żebym mógł wykazać, iż nie była pani uzależnioną prostytutką. Nie narkotyzowała się pani. Pan Grovian już to udowodnił. A on nie może sobie wyobrazić, że zadawała się pani ze zbroczonymi klientami.

Miał nadzieję, że wspominając o Grovianie, ponownie obudzi w niej chęć współpracy. Na próżno, nie zareagowała, spojrzała tylko na niego wyczekująco i obojętnie. Zapomniał o uwagach Helene. Do diabła z instrukcjami opartymi na psychologii. Był adwokatem i jako adwokat miał inne argumenty.

– Czy naprawdę chce tu pani siedzieć do końca życia i liczyć, żeby nie musieć myśleć? Czy nie lepiej byłoby raz dobrze się zastanowić i uwolnić od tego głowę? Niech

mi pani uwierzy w jedno. Kilka lat więzienia, a obiecuję pani, że nie będzie to więcej niż kilka lat, szybko minie. W więzieniu nikt nie wariuje. Ale tu – popukał w stół – tu można oszaleć, nawet jeśli jeszcze jest się zdrowym. Chce pani tego?

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego i zagryzła wargę.

– Nie wierzę, że pani tego chce – stwierdził zdecydowanie. Odzyskał rezon, ton jego głosu stawał coraz bardziej przekonujący. – Zabiła pani człowieka, pani Bender, tylko człowieka, nie Zbawiciela. Nie chcę już słyszeć tego słowa z pani ust. Dowiemy się, dlaczego to pani zrobiła. Udowodnimy, że istniał powód zrozumiały dla każdego normalnego człowieka. Za parę lat będzie pani naprawdę wolna. Proszę o tym pomyśleć. Ma pani dwadzieścia cztery lata. Może pani jeszcze raz...

Jej spojrzenie się nie zmieniło. Na twarzy zagościł tylko wyraz lekkiego zdziwienia, nic więcej.

– Wiedział, ile mam lat – powiedziała, przerywając mu.

– Aha – stwierdził, nie mając pojęcia, o kim mówi ani jak przywołać ją z powrotem do tematu. Miała skupiony wyraz twarzy.

– Skąd to wiedział, skoro nie miałam przy sobie dokumentów? Naga na ulicy, powiedział, z ciężkimi obrażeniami, nafaszerowana heroiną i bez dokumentów. A potem powiedział: nie ma pani jeszcze dwudziestu lat. Ocenił na oko? Z mojej twarzy nie mógł tego wyczytać. Wyglądałam okropnie. Proszę obejrzeć moje prawo jazdy. Muszę wyrobić sobie nowe. Miałam stare zdjęcia, ale nie chcieli ich przyjąć w urzędzie. Nie chcieli uwierzyć, że są moje. Bo wyglądałam tak staro. Nie mógł tego wiedzieć. – Przez kilka sekund milczała, przeciągnęła palcami po czole i westchnęła. – Naprawdę nie znam jego nazwiska – powiedziała w końcu. – Nie zdradził go. Raz spytałam, gdzie jestem. Tego też mi nie powiedział. Nie pamiętam, jak znalazłam się w pociągu. Konduktor powiedział, że muszę teraz wysiąść. Miałam karteczkę, na której napisano, dokąd jadę. I pieniądze. Ktoś musiał je dać taksówkarzowi. Grit powiedziała, że przyjechałam taksówką.

Ponownie westchnęła i z żalem wzruszyła ramionami.

– Jeśli obieca mi pan, że pomoże spalić moją siostrę tak, aby Margret i Achim nie zostali ukarani za dokumenty i tę obcą kobietę, opiszę panu lekarza. Więcej nic nie mogę zrobić. Obiecuje pan?

Obiecał i już pół godziny później mówił przez telefon:

– Nie wiem, co o tym sądzić, panie Grovian. Trzyma się swojej wersji. Tylko lekarz i pielęgniarka, ale przychodziła rzadko. Powiedziała, że leżała w małej klitce. Bez okna, miejsca tyle co na łóżko i kilka przyrządów medycznych. Dla mnie brzmiało to jak jakiś schowek. – Potem przekazał opis mężczyzny. W słuchawce przez chwilę panowała cisza. – Proszę pana? – spytał, nie wiedząc, czy ktoś jeszcze jest przy telefonie.

– Tak, jestem – usłyszał. – Tylko... – Ponownie kilka sekund ciszy. – Mój Boże – powiedział Rudolf Grovian oszołomiony – to absolutnie wykluczone. To przecież... ile to kilometrów? Przynajmniej siedemset. To niemożliwe.

Już ponad pół godziny siedziała obok niego w samochodzie. Na początku podróży Rudolf Grovian próbował przygotować ją do konfrontacji. Wyjaśnił jej, dokąd jadą i w jakim celu – w porozumieniu z prokuratorem, sędzią śledczym, profesorem Burthem i Eberhardem Brauningiem. Powtórzył każde słowo przynajmniej trzykrotnie.

W zwykłych okolicznościach nie przedstawiałoby to najmniejszej wartości. Jednak okoliczności były zupełnie niezwykle. Nawet profesor Burthe tak uważał – i przekonał zarówno sędziego, jak i prokuratora, że tylko za pomocą bata można ją skłonić, by wskazała palcem. „To on leczył moje obrażenia głowy”.

Rudolf Grovian nie potrzebował bata, był szefem. Słuchała go i nawet raz skinęła, gdy zapytał, czy wszystko zrozumiała i czy, skoro poświęcił na to tyle czasu i pracy, pomoże mu odnaleźć lekarza.

Specjalista od neurologii i chirurgii pourazowej. Prowadzący własną klinikę. Profesor Johannes Frankenberg!

Nie powinien wymieniać jego nazwiska. Nietrudno było wczuć się w jej tok rozumowania. Skoro Frankiego uznała za Zbawiciela, Johannes Frankenberg z konieczności został Panem Bogiem. To w tej postaci, gdy nie odzyskała jeszcze w pełni przytomności, musiał często stawać przy jej łóżku.

Wszechwładny, który – dosłownie – dokonał na niej cudu i poskładał jej roztrzaskaną czaszkę w dobrze funkcjonującą głowę. Jak często pochylał się nad nią, oświetlając lampą nieruchome powieki i mówiąc: „Mój syn nie jest winny tej katastrofy”? Być może czuł się zobowiązany przekonać ją o tym, zanim Cora uda się w drogę do wieczności. Nie miał pewności, że zdoła ją uratować.

Helene Brauning powiedziała:

– W przypadku pacjentów nieprzytomnych i w śpiączce nigdy nie wiadomo, co dokładnie do nich dociera.

Cora Bender oznajmiła:

– Naprawdę chętnie wyświadczę panu przysługę. Ale nie wiem, czy potrafię. Co mam mu powiedzieć? Mój Boże, nie rozumie pan. Był dla mnie taki dobry. A ja zabiłam jego jedynego syna. Frankie nic mi przecież nie zrobił.

To było przed dwoma dniami. Profesor Burthe nie był zachwycony jego wizytą w klinice. Najpierw przeprowadzili długą rozmowę w cztery oczy, biegły sądowy i policjant bez matyry.

Fakty na stół, chociaż dało się je podsumować w ledwie kilku słowach. Dokładny opis osoby. Mógł to udowodnić. Nawet profesor Burthe musiał przyznać, że nie mógł on być wyłącznie wytworem wyobraźni Cory. Pozwolił mu krótko z nią porozmawiać.

Wciąż pamiętał, jak drgnęła, gdy wszedł. Jak spojrzała na jego szyję i zaczęła drżeć. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy po raz drugi przedstawił jej powód swoich odwiedzin.

– W najbliższych dniach chciałbym się z panią wybrać na wycieczkę. Tylko my dwoje. Pojedziemy do Frankfurtu.

Dwa dni temu zrozumiała. A gdy odebrał ją ponad pół godziny temu... Patrzyła przed siebie na jezdnię. Spróbował raz jeszcze.

– A więc, jak już mówiłem, nie musi pani rozmawiać z panem Frankenbergiem. Wystarczy, że na niego spojrzysz. Potem wyjdziemy i powie mi pani, czy...

Wreszcie zareagowała, rzuciła mu udręczone spojrzenie.

– Nie moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? Zrobię to. Spojrzę na niego, gdy dojedziemy. Ale zanim będziemy na miejscu, nie musimy przecież...

Mówiła powoli. Był niemal pewien, że w klinice podali jej leki, zanim mu ją

przekazali. Miał tylko nadzieję, że nie zaśnie. A rozmowa stanowiła dobrą metodę na rozbudzenie. Nie musiała dotyczyć Frankenberga.

– O czym chciałaby pani porozmawiać?

– Nie wiem. Czuję się, jakbym miała wodę w mózgu, całe wiadro.

– Znam na to dobry sposób.

Mieli czas. Na miejscu powinni być dopiero o pierwszej po południu. O tej godzinie Johannes Frankenberg mógł im poświęcić kilka minut. Rudolf Grovian zapowiedział wizytę, nie wspomniał jednak, że przybędzie w towarzystwie. Nie było jeszcze dziesiątej. Przerwa na kawę na pewno dobrze jej zrobi.

Nieco później stanął przed przydrożną restauracją. Usiadł z Corą przy stoliku pod oknem. Sypała cukier do filiżanki, dopóki nie przytrzymał jej ręki.

– Tylko niech pani nie miesza, inaczej nie będzie mogła pani wypić. Zwykle pani nie słodzi, prawda?

Pokręciła głową i wyjrzała przez okno. Z profilu jej twarz wydawała się jeszcze bledsza.

– Chciałabym pana o coś zapytać.

– Proszę – zachęcił.

Odetchnęła głęboko, wypila łyk kawy.

– Ta dziewczyna – zaczęła niepewnie. – Opowiedział mi pan o martwej dziewczynie, którą znaleziono na poligonie wojskowym. Czy wie pan, co zrobiono z jej ciałem?

– Pochowano – odparł.

– Tak myślałam. Wie pan gdzie?

– Nie. Ale mogę się dowiedzieć, jeśli to panią interesuje.

– Bardzo mnie interesuje. Jeśli się pan dowie i mnie poinformuje, będę panu bardzo wdzięczna.

Skinął głową. W tej chwili przychodziły mu do głowy rozmaite przyczyny. Oprócz tej, która naprawdę nią powodowała. Eberhard Brauning, co prawda, nie zrozumiał, o jakich dokumentach i jakiej obcej kobiecie mówiła, ale oczywiście dotrzymał słowa. Rudolf Grovian wciąż zakładał, że Magdalena Rosch zmarła 16 sierpnia – na niewydolność serca i nerek.

Ponownie sięgnęła po filiżankę i chciała ją podnieść do ust. Jednak ręka drżała jej tak mocno, że kawa wylała się na stół. Z brzękiem odstawiła filiżankę na spodek.

– Nie potrafię. To zresztą niemożliwe. Proszę tylko pomyśleć. Nie pojechalibyśmy wtedy tak daleko. Tylko do Hamburga, nie do Frankfurtu. Widziałam tablice na autostradzie. Musimy zawrócić. To był bardzo miły człowiek. A jeśli naprawdę znalazł mnie na ulicy? Mogłam przecież pobiec całkiem daleko. Miałam dużo czasu.

– Nie sądzę, by mogła pani wtedy biegać, pani Bender – powiedział.

– Ach, cały pan – stwierdziła udręczona. – Wierzy pan tylko w kłamstwa. Nikt nie powiedział panu prawdy, zapewniam pana. – Skierowała twarz do okna i przez chwilę wyglądała w milczeniu. Potem, ciągle odwrócona, spytała: – Co się ze mną stanie, jeśli przyznam się do jeszcze jednego morderstwa? Razem do dwóch. Co za to dostanę?

– Za samo przyznanie się nie dostanie pani nic – wyjaśnił. – Musiałaby pani

wskazać drugie zwłoki.

Wpatrzyła się w swoją filiżankę i uniosła ją do ust. Ręka wciąż mocno jej drżała, ale upiła łyk, nie wylewając kawy. Gdy odstawiła filiżankę, powiedziała:

– Ma pan przecież zwłoki tej dziewczyny z Heide. – Lekki uśmiech przemknął przez jej twarz, gdy oznajmiła: – Zabiłam tę dziewczynę. To ja. – Gdy nie zareagował, dodała: – Przyznaję się. Chcę, żeby tak to pan potraktował.

Skinął głową.

– Potrzebuję więcej szczegółów.

– Wiem. Okłamałam pana co do urodzin Magdaleny. Gdy spała, wróciłam do Aladyna. Johnny’ego już nie było, tylko ta dziewczyna, która tańczyła z Tigerem. Powiedziała mi, że tamci pojechali gdzie indziej. Johnny stwierdził, że nie opłaca się czekać na głupią krowę. Szalałam z wściekłości. Ale zachowywałam się miło. Spytałam tę dziewczynę, czy chce się ze mną przejechać. Zabrałam ją na odludzie, tam pobiłam i skopałam. Obiema nogami skoczyłam jej na klatkę piersiową i złamałam żebra. Gdy już nie żyła, rozebrałam ją, żeby wyglądało to na zbrodnię dokonaną przez mężczyzn. Rzeczy wyrzuciłam gdzieś po drodze. Najlepiej wróćmy, żeby mógł pan sporządzić protokół.

– Nie wrócimy, proszę pani – stwierdził stanowczo. – Protokół mogę sporządzić później. Po pięciu latach godzina lub dwie nie robią różnicy.

Jej wargi zadrżały jak w noc przesłuchania, gdy wciąż sądził, że odgrywa przed nim przedstawienie.

– Ale ja nie chcę. Naprawdę nie mogę. Spyta mnie, dlaczego to zrobiłam. A mój adwokat zabronił mi opowiadać o Zbawicielu. Powie, że powinien dać mi wtedy szczenią. Lepiej by było, gdyby tak zrobił. A zamiast tego uratował mi życie.

Chwycił ponad stołem jej dłonie, ścisnął mocno, aż wreszcie spojrzała na niego.

– Niech mnie pani teraz uważnie posłucha. Pan Frankenberg uratował pani życie, to wielce chwalebne. Jednak zanim je uratował, ktoś musiał narazić je na niebezpieczeństwo. A on nie chciał, żeby ten ktoś trafił do więzienia. Nie zrobił tego dla obcej osoby. Niech pani o tym pomyśli. Tylko o tym. Rozumie mnie pani?

Gdy skinęła głową, puścił jej dłonie.

– Ale za tą zmarłą dziewczynę muszę iść do więzienia?

– Tak, oczywiście – odparł.

– I to nie tylko na kilka lat?

– Nie, to było perfidne morderstwo. Dostanie pani dożywocie.

Zapłacił za kawę, chwycił ją za ramię i poprowadził do samochodu. Wydawało się, że jej ulżyło. Podczas jazdy opowiadała mu o życiu z Gereonem. Trzy lata w mydlanej bańce. Takie bańki łatwo pękają. Ale mały czuł się u dziadków dobrze, była tego pewna.

Przybyli na miejsce prawie o godzinę za wcześnie. Zatrzymał się na parkingu przed kliniką. Był to ładny dwupiętrowy budynek ze śnieżnobiałym tynkiem. Miał nadzieję, że coś się jej przypomni. Nic. Prokurator stwierdził:

– Jeśli rzeczywiście tak się to rozegrało, prawdopodobnie była oszołomiona, zanim zabrano ją na dworzec. Niestety, nie da się tego udowodnić, nawet jeśli rozpozna profesora Frankenberga. Musiałby się przyznać, a na to nie ma co liczyć.

Przez kilka minut wyglądała przez okno samochodu, kuląc się w fotelu. Potem

zażądała, żeby spisał jej zeznania o perfidnym zamordowaniu dziewczyny. Tak dla pewności. Nie dało się przewidzieć, co się jeszcze wydarzy. Może nie będzie się czuła dobrze. Dlatego wolałaby mieć to już za sobą.

Zgodził się, nabazgrał kilka zdań w notesie i dał jej do podpisu. Oparła się o siedzenie.

– Mamy jeszcze czas?

– Prawie godzinę.

– Możemy nieco rozprostować nogi?

Parking był otoczony zielenią, wokół dwupiętrowego budynku rosły stare drzewa.

– Wygląda tak spokojnie – powiedziała.

Wypuścił ją i zamknął samochód. Potem ruszył obok niej wzdłuż zarośli do kliniki. Dom był położony z tyłu. Nie było go jeszcze widać. Ze swej pierwszej wizyty pamiętał jednak, że został urządzony w podobnym stylu.

Nie odczuwał potrzeby rozprostowania nóg. Powoli poprowadził ją w stronę budynku, pragnąc tylko mieć to już za sobą. Ciągle coś opowiadała. Przypominała mu dziecko, które śpiewając i pogwizdując, schodzi do ciemnej piwnicy. Dobrze wiedział, jak się czuła – od stóp do głów przepełniona winą.

Próbował ignorować własne odczucia. Nie mógł jej pomóc. Ani on, ani Brauning, ani prokurator czy sędziowie. Choćby wymyślali tysiące powodów śmierci Georga Frankenberga, nikt nie był w stanie odebrać jej brzemia Magdaleny. Burthe mógł spróbować wytłumaczyć jej, że zdarzył się wypadek i że to łagodna śmierć dla cierpiącego stworzenia.

Zrozumiał swoją pomyłkę i to, co naprawdę chciała mu wytłumaczyć. Śmierć Magdaleny! Uświadomił sobie nawet, czyj szkielet znaleziono przed pięcioma laty w Heide. Ale że skoczyła obiema nogami na jej klatkę to bzdura. Na myśl o Johnnym i z miłości do niego trochę za mocno oparła się na klatce piersiowej siostry. Nic więcej nie mogło się stać.

A ojciec, który kochał ją ponad wszystko, milczał. Jej szalona matka nic nie rozumiała. Sąsiadki nie wpuszczono do domu. Zwłoki leżały pewnie kilka miesięcy w pokoju na górze, aż wreszcie Margret się tym zajęła; zabrała je do Lüneburger Heide i załatwiła akt zgonu. To było takie proste.

Do domu Frankenbergów wchodziło się po trzech schodkach. Wyprzedził Corę o krok i nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły. Młoda kobieta, miła i ładna, w białym fartuchu, spojrzała na niego pytająco i rzuciła sceptyczne spojrzenie w kierunku jego towarzyszki.

– Pan w jakiej sprawie?

Pokazał jej odznakę.

– Jesteśmy umówieni z profesorem Frankenbergiem na pierwszą. Niestety, przyjechaliśmy trochę za wcześnie.

Nie szkodzi. Mogli poczekać w salonie. Wszedł pierwszy i minął korytarz. Podążyła za nim przestraszona i zgarbiona, jakby na środku pokoju czekał na nią kat. Stała tam jednak tylko kanapa przysunięta do ściany, a obok olbrzymia palma, której liście rozpościerały się jak parasol. Nad kanapą wisiał modernistyczny obraz w prostych

ramach. Podczas pierwszej wizyty Rudolfa Groviana zaprowadzono do innego pomieszczenia, więc dopiero teraz zobaczył barwne plamy.

Cora ruszyła szybko do przodu i przystanęła przed kanapą. Jej twarz wyrażała zdziwienie i zmieszanie. Opuściła głowę i spojrzała na podłogę, a potem ponownie na ścianę obok kanapy.

– To się nie zgadza – zaprotestowała z zapartym tchem. – Zamurowali schody. – Wskazała bezradnie przez pokój. – Wszystko przebudowali. – Pokazała palcem na przeciwległą ścianę. – Tam staliśmy. Johnny i ja. Źle się czułam, bo Magdalena... – Urwała w połowie zdania, otrząsnęła się i głośno przełknęła ślinę. Potem, jękając się, mówiła dalej.

Rozdział 15

Nigdy nie nienawidziłam jej bardziej niż w tej chwili, gdy wyciągnęła się na łóżku. Wiedziałam, że tym razem moje palce i świeca nie wystarczą. Potem chciała zwykle jeszcze trochę pogadać i się poprzytulać. Jeśli miałam ją porządnie zmęczyć, musiałam językiem... Zrobiło mi się niedobrze, gdy o tym pomyślałam.

W tym momencie pojęłam, że wszystko jest na odwrót. To nie ja żyłam dla niej. Ona żyła moim życiem. Wcześniej ojciec nazywał ją wróbelkiem. I jak wróbel wybierała z mojego paskudnego życia dobre ziarna. Zostawiała mi resztki. Obrzydliwe!

Być może to szampan wszystko mi pomieszał, a może Johnny, którego zostawiłam. Miałam poczucie, że spalam się wewnątrz, gdy musiałam ją całować i pieścić. Dokładnie to samo robiłby ze mną Johnny, gdybym z nim została.

Zaczęłam opowiadać. Całą prawdę. Do tej pory żadnych mężczyzn oprócz tyczkowatego Horstiego. Żadnego gorącego seksu z ostrymi facetami. Tylko kilka letnich pocałunków smakujących piwem. Jeden czy drugi, który złapał mnie za kolano.

Leżała cicho i słuchała. Gdy zaczęłam płakać, objęła mnie. Poczułam jej dłonie na plecach. Wysunęła mi koszulkę ze spódnicy, wsunęła pod nią ręce i pogłaskała mnie. Usłyszałam jej szept:

– Już dobrze. Wszystko dobrze, skarbie. Przykro mi. Jestem dla ciebie strasznym ciężarem. Wiem. Ale już niedługo. Już niedługo, skarbie, obiecuję ci.

Przesunęła ręce do przodu i położyła mi na piersiach. Nie chciałam, żeby mnie tak dotykała. Chciałam dłoni Johnny'ego, jego szeptu, jego pocałunków, jego ciała.

Nie pamiętam, czy jej to powiedziałam. Musiałam to zrobić, bo nagle odsunęła się ode mnie i stwierdziła:

– Dostaniesz go, skarbie. Przyprowadź go. I nie chcę nawet wiedzieć, jak było. – Wyprostowała się i dodała: – Wiesz, co teraz zrobimy? Pojedziemy do Johnny'ego.

Zawsze mówiła „my”, gdy miała na myśli mnie. Musiałam pomyśleć o pielęgniarce, o której mi kiedyś opowiedziała. Jak bardzo tęskniła wtedy za objęciami matki. I że nie miała nikogo. Tylko mnie.

Było mi przykro, że naopowiadałam jej takich okropnych rzeczy. Nie mogła przecież nic na to poradzić. Ale ja też nie mogłam nic poradzić na to, że się zakochałam. Miałam dziewiętnaście lat! To normalne, że w tym wieku człowiek się zakochuje. Nie mogłam przecież do końca życia być skazana na zmyślonych mężczyzn i pokazywanie siostrze, jak to jest, gdy się z nimi kocham. W tej chwili chciałam to wiedzieć.

Chciałam potem wrócić do domu i powiedzieć ojcu: „Wiem teraz, za czym tęskniłeś przez te wszystkie lata. Wybacz mi, tato! Wybacz mi te wszystkie okropne rzeczy, które ci powiedziałam i które myślałam o tobie. Wybacz mi wstręt. Chyba czułam go sama przed sobą. Ale teraz to minęło. Teraz jestem kobietą, prawdziwą kobietą. Spałam z mężczyzną. I było przepięknie”.

Chciałam tylko żyć. Normalnie żyć. Z mężczyzną, którego kochałam i który kochał mnie. Z zadowolonym ojcem, czekającym na pogodną starość.

Nie musiałby już dłużej opowiadać o czarnych latach w Buchholz, żeby zapomnieć

o małych dzieciach, które rozstrzeliwał w Polsce. Gdyby był sam, na pewno by tego nie zrobił. Chciałam, żeby zrozumiał, że ponosi za to taką samą winę jak ja za dziurawe serce Magdaleny. Chciałam, żeby zapomniał.

Powinien myśleć tylko o dzieciach, które pewnego dnia posadzę mu na kolanach, by opowiedział im stare historie o kolei żelaznej. Pragnęłam, żeby był ze mnie dumny. Żeby nie dostrzegał w swoich córkach jedynie kary niebios i nie żałował, że kiedyś nie umiał się powstrzymać i odczekać stosownego czasu, bo wtedy Magdalena nigdy by się nie urodziła.

Uśmiechnęła się do mnie. Trochę kręciło mi się w głowie od szampana oraz od wszystkich tych myśli i uczuć. Czulałam taki ciężar na sercu, taki żal. Powiedziała „my”. Oznaczało to, że mam wrócić do Aladyna, a ją zostawić samą z jej żalem, jej myślami i uczuciami.

– Nie da rady – odparłam. – Masz przecież urodziny.

– I właśnie dlatego da radę – sprzeciwiła się łagodnie. – Musi. Pomożesz mi wstać i...

Dopiero wtedy zrozumiałam, co naprawdę miała na myśli.

– Zwariowałaś – powiedziałam.

W tym tygodniu prawie nie wstawała z łóżka. Nie schodziła na dół nawet na posiłki. Do łazienki też szła rzadko, tylko trzy razy, żeby się załatwić. Myłam ją w łóżku, przytrzymywałam jej miskę, gdy szcztokowała zęby. Nie powinna wstawać nawet z moją pomocą. To niemożliwe.

Magdalena postanowiła inaczej. Potrafiła być bardzo energiczna, gdy chciała coś osiągnąć.

– Nie rób cyrku, Cora. Jak mówię, że dam radę, to dam. Odpoczywałam cały tydzień, czuję się świetnie. Wiesz, że znowu trochę utylam? Spójrz na moje nogi. Jak nie będę uważać, zrobię się gruba. Naprawdę dobrze się czuję. Nie mówię tego ot tak. Nie proponowałabym ci, gdybym wiedziała, że to niemożliwe. – Nieufnie zmrużyła oczy. – A może mi tego zabronisz? Tam, na zewnątrz, to twój rewir, prawda? Ja mam grzecznie leżeć w łóżku.

– To nieprawda.

– Ale tak wygląda. A może masz pietra? Niepotrzebnie. Wiem, na co mogę sobie pozwolić. – Zaśmiała się cicho. – Jeszcze czas. Nie musimy się spieszyć. Jeśli twój Johnny mówił serio, poczeka nawet do dwunastej. Teraz pomożesz mi się ubrać, zrobisz mi makijaż, a na końcu pomalujesz paznokcie. Wyschną w czasie jazdy.

– Nie da rady – powtórzyłam.

A Magdalena znowu zaprotestowała:

– Da, i to jak. Jeśli chcemy lecieć do Ameryki, musi się udać. To taka sama sytuacja. Pomożesz mi tylko na schodach. W samochodzie mogę siedzieć. Na dyskotecę też. Tych kilka kroków przez parking nie będzie problemem. Usiądę w kącie i popatrzę, jak tańczysz z Johnnym. – Zauważyła, że tego nie chciałam, i powiedziała: – Nie! Nie będę patrzeć. To twój wieczór. Po prostu usiądę z jego kolegą. Powiedziałaś przecież, że z kimś przyszedł. Jaki on jest, ten jego kumpel?

– Całkiem miły – skłamałam. – Wesoly facet. Przezywają go Tiger. – Do tej pory

nie wspomniałam, że właśnie tego wieczoru po raz pierwszy miał szansę u jakiejś dziewczyny. Teraz też wolałam to przemilczeć.

– Brzmi nieźle. – Magdalena uśmiechnęła się ironicznie. – Ma paski i długi ogon? Zaśmiałyśmy się obie.

– Nie wiem – powiedziałam. – Nigdy nie widziałam go bez koszuli i spodni. Ciągle się śmiała.

– Mogę sprawdzić, gdy znikniesz z Johnnym. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Zobaczysz, będzie fantastycznie. Wiem, że ci się spodoba.

Ciągle nie chciałam się zgodzić. Ale z Ameryką miała rację. Pomyślałam, że to mógłby być test, a ja cały czas znajdowałabym się w pobliżu.

Chciała włożyć moją granatową satynową bluzkę i białą spódnicę z falbanką. Spódnica była prawie przezroczysta, jej nogi przeświecały przez koronkę. Naprawdę przytyła, uda miała szczupłe, ale nie chude.

Gdy pomagałam się jej ubrać, stwierdziła:

– Jakoś przetrwam do twojego powrotu. Baw się dobrze, skarbie. Ja też będę. Na dyskotece. Wiesz, od jak dawna tego pragnęłam? Nigdy nie przypuszczałam, że jeszcze w tym roku dam radę. Boże, to dopiero będą urodziny!

Chciała, bym polakierowała jej paznokcie na ciemnoczerwono, wtedy nikt nie zauważy, że są sine. W samochodzie spytała jeszcze, ile naprawdę mamy pieniędzy.

– Tylko trzydzieści tysięcy – odpowiedziałam. – Nie dziewięćdziesiąt. Przykro mi. Wzruszyła ramionami.

– Trzydzieści to też ładna sumka. Jak ją uzbierałaś?

Tym razem to ja wzruszyłam ramionami.

– Zaoszczędziłam. Zawsze kupowałam najtańsze rzeczy.

Rzuciła mi dziwne spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Jechałam powoli i ostrożnie. Z powodu szampana bałam się wypadku. I o nią. Strasznie się bałam.

– Zapomnij wreszcie o tym – stwierdziła. – Nie po raz pierwszy jadę samochodem. Podróż do kliniki jest jeszcze bardziej męcząca. To o wiele dalej, a do tej pory jakoś przeżyłam. – Ponownie się zaśmiała.

A potem naprawdę zapomniałam. Już gdy wysiadłyśmy na parkingu. Nie był tak zatłoczony jak zwykle. Zobaczyłam srebrnego golfa i serce mi załomotało. Kilka metrów do wejścia nie stanowiło problemu. Objęłam Magdaleny w talii, ruszyłyśmy bardzo powoli. W drzwiach przystanąła.

– Zaczekaj – powiedziała. – Pozwól mi się tym chwilę nacieszyć.

Było nieco wietrznie, nie słyszałam jej oddechu.

– Nie możesz już? – spytałam.

– Jasne, że mogę. Chcę się tylko rozejrzeć. Puść mnie. Inaczej tamci w środku pomyślą, że targasz ze sobą szmacianą lalkę.

Puściłam ją, trzymałam jednak ręce blisko, by móc ją w każdej chwili podeprzeć. Postąpiła krok naprzód, potem drugi, nie przytrzymała się nawet ściany. Potem odwróciła się i zaśmiała:

– Widzisz, wszystko w porządku.

Gdy ujrzałam uśmiechniętego Johnny'ego, ze mną także było już wszystko

w porządku. Siedzieli we dwóch przy stoliku i rozmawiali. Obca dziewczyna zniknęła. Johnny nie był zdziwiony, że wróciłam. Ani że przyprowadziłam Magdalenę...

Zrobiło mi się nieprzyjemnie, gdy utkwiał w niej wzrok i uśmiechnął się inaczej niż do mnie. Podobała mu się. Każdemu by się spodobała. Dzięki moim staraniom wyglądała świetnie.

Ona także zauważyła, że Johnny się zastanawia.

– Żeby nie było nieporozumień – powiedziała. – Przyszłam tu tylko po to, by obejrzeć sobie Tigera. Powiedziano mi, że jeden się tu kręci. Mogę usiąść?

Tiger wyszczerzył zęby w uśmiechu, przytaknął z zapalem i przesunął się kawałek. Magdalena obiema rękami przytrzymała się blatu.

– Trochę mi się nogi uginają – stwierdziła. – Cały dzień leżałam w łóżku. Nie powinno się tak robić. To źle wpływa na krążenie.

Usiadła obok niego, a ja obok Johnny'ego. Zrozumiał, że nie ma u niej szans, objął mnie ramieniem i przyciągnął blisko.

– Z kołysanką nie wyszło, co? – spytał.

Magdalena usłyszała to i się uśmiechnęła.

– Na kołysanki jestem już trochę za stara!

Zrobiło mi się przykro. Nie pamiętałam, że jej to powiedziałam. Johnny chciał tańczyć. Leciąca stara piosenka Beach Boys. Wziął mnie w ramiona i stwierdził:

– Wcale nie jesteście do siebie podobne. To naprawdę twoja siostra?

– Nie – odparłam. – Moja siostra leży w domu i śpi. Naprawdę jest chora. To Magdalena. Spotkałam ją na parkingu. Chciała was nabrać.

– Ach tak – powiedział tylko Johnny.

Nie pamiętam już, jak długo tańczyliśmy. Wydawało mi się, że krótko. Musiało jednak minąć ponad pół godziny. Gdy wróciliśmy do stolika, Magdalena stwierdziła, że muzyka jest kiepska.

– Nie puszczają tu Queen?

A na to Tiger:

– Co tam Queen. Chcesz posłuchać naprawdę niezłego zespołu? Na żywo?

– Masz jakiś w kieszeni? – spytała.

– I w koszuli, i w butach – odparł. – Ale tylko część. Gram na keyboardzie. – Wskazał na Johnny'ego. – Gitara basowa. Perkusję zostawiliśmy w piwnicy. Frankie nie miał ochoty. Nigdy nie ma. Zawsze się boi, że jego starzy nagle się pojawią. – I dodał natychmiast: – Ludzie, co wy na to, żebyśmy zrobili mu niespodziankę? Tu nic się nie dzieje. Pojedziemy i urządzimy własną imprezę. Postaramy się oderwać Frankiego od książek.

Magdalena ochoczo się zgodziła. Pomyślałam o szampanie, nie chciałam jechać zbyt daleko. Johnny stwierdził, że możemy się zabrać ich samochodem. Potem odwiozą nas na parking.

Wychodząc, Magdalena wspierała się na Tigerze. Nie rzucało się to w oczy. Była od niego wyższa i położyła mu rękę na ramieniu, jakby znała go od lat, co jemu się podobało. Usiadłyśmy obie na tylnym siedzeniu. Johnny z przodu.

Strasznie się bałam o Magdalenę. Uważałam, że postępujemy źle, że za dużo

ryzykujemy. Ale przez Johnny'ego było to także ekscytujące i piękne. W czasie jazdy obrócił się do mnie. Nic nie powiedział, tylko wpatrywał się, jakbyśmy byli sami – w pokoju lub jakimś innym miejscu.

Nie zwracałam uwagi na to, którędy jedziemy. Nie wiem też, jak wyglądał dom. Pamiętam tylko, że gdy golf się zatrzymał, obaj wysiedli. Każdy podniósł siedzenie po swojej stronie i wyciągnął rękę. Johnny od razu wziął mnie w ramiona. Tiger pomógł Magdalenie.

Był dla niej bardzo miły, naprawdę kochany i troskliwy. Kiedy siedzieli sami przy stoliku, skłamała mu, że leżała w łóżku z powodu nieżytu żołądka. Odparł, że dobrze się nią zajmie. Studiował medycynę, Frankie też. A Frankie to prymus. Na pewno kiedyś zostanie profesorem jak jego stary. Zdążyła mi o tym powiedzieć, zanim... Chyba w samochodzie. Już nie pamiętam.

Dotarli do drzwi przed nami. Nie zwróciłam uwagi, czy Tiger miał klucz, czy też musiał zadzwonić. Gdy przyszłyśmy, od dawna byli już w środku. Zamknęłam oczy, bo Johnny objął mnie i pocałował, popychając do tyłu. Raz wymruczał:

– Uwaga, schodek.

Podniósł mnie i postawił dopiero w korytarzu – w tej ogromnej białej hali.

Przycisnął mnie do ściany i dalej całował. Ponad jego ramieniem zobaczyłam obraz, a obok schody. Tiger i Magdalena już na nich stali. Schodziła sama, tylko jedną ręką przytrzymywała się poręczy. Cholera, pomyślałam, nie da rady. Nie mogę jej puścić samej. Dlaczego nie pozwoli, by jej pomógł?

Chyba znam powód. Musiała zobaczyć Frankiego, zaraz gdy weszła do domu. Może to on otworzył drzwi. Oczywiście był o niebo lepszy niż ten różowy prosiak.

Odwróciła się na schodach i zawołała:

– Idziecie? Na dole możecie robić to dalej. Tam na pewno jest przyjemniej.

Usłyszałam perkusję. A Johnny powiedział:

– Ma rację. Chodźmy na dół.

Gdy zeszliśmy do piwnicy, Magdalena siedziała już na kanapie. Nie spuszczała wzroku z kąta, gdzie stały instrumenty. Frankie siedział przy perkusji, pogrywał trochę i także nie odrywał od niej oczu.

Tiger stał przy barze i kroił cytrynę na kawałki.

– Najpierw łyk wody ognistej – usłyszałam. Spojrzał na Magdalenę. – Chcesz też kieliszek?

Pokręciła głową.

– Lemoniadę, jeśli jest. Alkohol nie. Znowu zrobi mi się niedobrze.

Potem zagrali dla nas – bardziej dla Magdaleny niż dla mnie. To ona była gwiazdą. Sądzę, że pragnął jej każdy z nich, jednak ona widziała tylko Frankiego. Poprosiła, bym zatańczyła. Zrobiłam to.

Johnny cały czas się do mnie uśmiechał. Zrobiło mi się gorąco. I bardzo ciepło tam, na dole. Magdalena wyglądała świetnie w migoczącym kolorowym świetle. Granatowa bluzka pasowała do jej jasnych włosów. Jej szczupłe nogi pod prawie przezroczystą koronką... Nie było widać, że ma bladą skórę. Wyglądała na opaloną – jakby właśnie zeszła ze słońca.

Potem Frankie odrzucił pałeczki, wstał i podszedł do kanapy. Usiadł obok Magdaleny. Tiger ponownie stanął przy barku i wypił kilka kieliszków. Johnny włączył magnetofon. Znowu zabrzmiała ich piosenka. Zbliżył się do mnie, tańczyliśmy. Choć melodia była dość ostra, trzymał mnie w ramionach i powoli rozbierał.

Poczułam jego dłonie na plecach, jego usta na szyi. Po jakimś czasie znaleźliśmy się na podłodze. Było pięknie, ale nie potrafiłam się tym naprawdę cieszyć. Nie potrafiłam się skoncentrować, ciągle zerkałam na bok.

Frankie położył ramię na oparciu kanapy. Wyglądało to tak, jakby obejmował Magdaleny. Rozmawiali, przy tej głośnej muzyce nie słyszałam o czym. Zobaczyłam tylko, jak na siebie patrzą – ona na niego, on na nią. Wreszcie ją pocałował. Pomyślałam, że to mu wolno. Nie zaszkodzi jej. Był bardzo czuły i delikatny, dobrze widziałam. Ale gdy zdjął jej bluzkę...

Oczywiście zwrócił uwagę na blizny. Powiódł po nich palcem, lekko i delikatnie. Spytał, skąd się wzięły. Nastąpiła krótka przerwa na kasecie, rozumiałam więc każde słowo. Usłyszałam też odpowiedź Magdaleny.

– To moja drabina do nieba – odpowiedziała.

Potem przez chwilę nie zwracałam uwagi ani na nich, ani na Tigera, który stał przy barku i pewnie wciągał pierwszą działkę koksu. Potem podszedł i przyglądał się nam z góry. Czułam się nieswojo, wołałabym być z Johnnym sama. Nie chciałam tego jednak proponować. Nie mogłam przecież zostawić Magdaleny z dwoma mężczyznami.

Tiger trzymał w ręku małe lustro i słomkę. Johnny wyprostował się i wziął trochę. Tiger krzyknął w stronę kanapy:

– Co z tobą, Frankie?

Frankie nie chciał, całował Magdaleny.

Potem Tiger ukląkł obok mojej głowy. Pogładził mnie po piersiach. Pomyślałam, że Johnny go przegoni, ale nic nie zrobił. Powiedziałam:

– Przestań. Zostaw. Zabierz ręce. Nie chcę tego – i podobne rzeczy.

Magdalena się zainteresowała i krzyknęła:

– Nie bądź taka. To nic złego. – A do Tigera: – Daj jej działkę. To rozluźnia. Jest trochę skrzepowana.

Przytrzymał mi lustro. Nie chciałam. Magdalena powiedziała:

– Nie psuj nam zabawy, skarbie. Mówiłam ci już setki razy, że to niesamowite uczucie. Teraz weź trochę, zrelaksuj się i daj się uwieść.

Nie chciałam nic brać z tego przeklętego lusterka. Chciałam tylko Johnny'ego. Wsadził mi palec do ust i zanurzył go w proszku. Potem potarł mnie na dole.

– Zabierz to – zażądałam.

– Właśnie zamierzam – odparł i ześliznął się po mnie. Poczułam, jak mnie tam całuje. To było... To było szaleństwo.

Magdalena nie przejmowała się mną. Frankie nie dał jej czasu na przyglądanie się. Ułożył ją sobie na kolanach, obejmował, całował i pieścił. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Sądzę, że była bardzo szczęśliwa.

Ja też. Tiger nie robił nic więcej, przez jakiś czas klęczał tylko obok mojej głowy i się przyglądał. Potem rozpiął spodnie. W tym momencie było mi już wszystko jedno.

Nie czułam wstrętu. Nie różniło się to zbyt od ssania kciuka. Pomyślałam o matce. Co by powiedziała, gdyby mnie tak zobaczyła? Na podłodze, jednocześnie z dwoma mężczyznami.

To było złe. Wszystko nie tak. Ale jednocześnie cudowne. Miałam ogień w brzuchu, szampana w głowie, kokainę we krwi i Johnny'ego wszędzie.

W pewnej chwili spojrzałam znowu na kanapę. Niewiele dostrzegłam. Noga Tigera zasłaniała mi widok. Zobaczyłam tylko plecy. Nagie plecy, szerokie i ciemne w migającym, kolorowym świetle. W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co oznaczają. Magdalena nie leżała już na jego kolanach. Leżała pod nim. Bluzka i biała spódnica wisały na oparciu kanapy.

Wszystko stało się bardzo szybko, obserwowałam to jednak jakby w zwolnionym tempie. Frankie kochał się z nią, początkowo powoli. Potem przyspieszył. Znowu ją całował. Nagle przestał i się uniósł.

Ukląkł między jej nogami i uderzył pięścią w jej piersi. Krzyczał:

– Amen! – Potem rzucił się na nią, pocałował, zatykając jej nos, uniósł się i bił ją obiema pięściami naraz. Krzyczał: – Amen! Dalej, no już! Amen, amen, amen! – Przy każdym słowie uderzał ją w piersi.

Jej głowa kiwała się na kanapie tam i z powrotem. Prawa noga zwisała nad podłogą. Lewa leżała jeszcze na oparciu. Potem także się zsunęła.

Nastąpiła krótka pauza między utworami na kasecie. Może pół sekundy, gdy uderzył raz jeszcze. Usłyszałam trzask lub chrupnięcie. Wiedziałam, że to żebra. Nie mogłam jednak do niej podejść. W ogóle nie mogłam nic zrobić, tylko myśleć. Pomyślałam o nożu na barku i gdzie muszę go wbić, żeby on jej nie zabił.

Johnny leżał na mnie i swoim ciężarem przyciskał mnie do podłogi. Tiger przytrzymał moją głowę obiema rękami. Nie mogłam nawet krzyknąć z jego członkiem w ustach. Muzyka znowu zabrzmiała, a Frankie zawołał poprzez hałas:

– Pomóżcie mi! Pomóżcie! Musi zacząć oddychać! Nie oddycha. – W oczach miał obłęd.

Johnny zrozumiał wreszcie, że coś nie gra, i odkrzyknął.

– Zwariowałeś? Co tam robisz, idioto? – Nie zamierzał jednak mnie puścić. Patrzył tylko na kanapę.

Frankie już mu nie odpowiedział, tylko jak opętany bił obiema pięściami Magdaleny.

A potem Tiger krzyknął:

– Ta suka mnie ugryzła!

Sięgnął po popielniczkę. Zobaczyłam, jak się do mnie zbliża. Odbijało się w niej światło. Muzyka wciąż rozbrzmiewała. *Song of Tiger!* Potem zrobiło się ciemno i cicho.

W drodze powrotnej cicho popłakiwała. Czasami potrząsała głową, wtedy płacz cichł na dwie sekundy. Rudolf Grovian zostawił ją w spokoju. Stojąc przed obrazem, mówiła jak w transie, sztywna, wyprostowana, z zamkniętymi oczami, obie dłonie zaciśnięte w pięści. Jak zamarznięta, pomyślał. Teraz powoli tajała. Miejmy nadzieję, że zaczynała też rozumieć.

Nie miał wątpliwości. Magdalena tak chciała. Magdalena wiedziała, że to koniec.

Żadnej szansy, by pobudzić jej krew przez dializę. Serce by nie wytrzymało. Zastanowił się, co by się stało, gdyby Cora sprzeciwiła się życzeniu siostry. Nie ma mowy! Zostajemy w domu! Wtedy pewnie Magdalena szukałaby śmierci w jej ramionach – i znalazłaby ją! Nie zmieniłoby to w żadnym stopniu rzekomej winy Cory.

Uświadomienie jej tego nie należało do jego obowiązków. A o tym, co usłyszeli od Johanna Frankenberga, musieli zdecydować sędziowie.

– Mój syn nie był winny tej katastrofy.

Z pewnością był. Przypomniawszy sobie, co Grit Adigar powiedziała o pięknie i przeczności natury. Niestety, natura nie zważała na pragnienia Magdaleny i pozwoliła, by pewien mężczyzna został doprowadzony do ruiny. Rudolf Grovian nie potrafił na to spojrzeć inaczej. Gdyby nadarzyła się okazja, powiedziałby biednemu stworzeniu, co sądzi na ten temat i na parę innych. Dla niego Magdalena postąpiła jak ci nieodpowiedzialni idioci, którzy znajdowali kawałek autostrady, by zakończyć na niej swoje życie, a przy tym kilku niewinnych osób.

Georg Frankenberg był poważnym młodym człowiekiem, który najwyżej w weekendy poświęcał się swojemu hobby. A ponieważ matka i ojciec niezbyt chętnie na to patrzyli, oddawał się swojej pasji potajemnie, w domu babki, bez wiedzy rodziców.

Dom znajdował się w dzielnicy Hamburg-Wedel. Urodziła się w nim pani Frankenberg, obecnie od miesięcy stał pusty. Przeznaczono go na sprzedaż, ale nie zgłosił się jeszcze nikt skłonny zapłacić żadaną cenę. Georg często jeździł tam w weekendy, by sprzątać. Tak twierdził! Jego matka już od dłuższego czasu podejrzewała jednak, że nie chodzi wyłącznie o obowiązki.

Miał kolegę, tego niskiego grubasa z Bonn, Ottmara Dennera. Matka Georga go nie lubiła. Georg dwa razy zabrał go do Frankfurtu. W spojrzeniu Ottmara Dennera kryły się przebiegłość i pożądlivość. A tamtej soboty w maju...

Pani Frankenberg wielokrotnie dzwoniła do mieszkania syna w Kolonii, bezskutecznie. Tuż po południu spróbowała połączyć się z Hamburgiem. I kto podszedł do telefonu? Ottmar Denner!

Od razu zaczął nawijać:

– No wreszcie, Böcki! Już myślałem, że znowu jesteś uziemiony. Ponad godzinę czekam, aż zadzwonisz. Teraz się pospiesz. I weź ze sobą butelkę. Frankie znowu zapomniał. Koks załatwimy wieczorem. To będzie ostra noc, bracie. Hej, Böcki, czemu nie odpowiadasz?

Pani Frankenberg bez słowa odłożyła słuchawkę i uparła się, by natychmiast jechać do Hamburga.

– Wiedziałałam, że dzieje się coś złego. Ale to już zaszło za daleko. Musisz poważnie porozmawiać z Georgiem – powiedziała do męża.

Przyjechali po drugiej w nocy. Drzwi stały otworem. Z Georgiem nie dało się już porozmawiać. Siedział na podłodze w piwnicy, trzymał na kolanach zakrwawioną głowę dziewczyny i wciąż powtarzał:

– Musi oddychać. Nagle przestała oddychać.

Johannes Frankenberg nie zrozumiał, o co chodzi synowi. Dziewczyna na jego kolanach była ciężko ranna i nieprzytomna, ale na pewno żyła. Nadal! To, że w piwnicy

musiał być ktoś jeszcze, pani Frankenberg stwierdziła dopiero później, gdy zauważyła stos ubrań. Dopiero po trzech dniach Georg wyjaśnił, że tuż przed przyjazdem rodziców Hans Bueckler i Ottmar Denner wynieśli z domu zwłoki dziewczyny.

Denner i Bueckler chcieli także zabrać Corę. Georg im nie pozwolił. I wciąż zapewniał:

– Nie zabiłem Magdaleny. Nagle przestała oddychać.

Niewydolność serca, pomyślał Rudolf Grovian, albo aneuryzm pękł od wysiłku. W każdym razie była to naturalna śmierć – a dla Magdaleny może nawet piękna. Frankie dał jej, czego chciała, i zrobił, co potrafił.

Opis Cory przypominał próbę reanimacji. Rudolf Grovian pomyślał o młodej pacjentce, o której wspomniał Winfried Meilhofer. Frankie złamał jej dwa żebra, ponieważ nie umiał pogodzić się z tym, że umarła. Być może ponownie zobaczył przed sobą Magdalenę.

Zbawiciel, pomyślał. Tym właśnie był. Magdalenę wybawił od bólu, Corę od brzemienia. Nie mógł jej tylko wybawić od poczucia winy. Wręcz przeciwnie! Przez niego stała się winna w oczach prawa.

Wciąż płakała. Po ponad godzinie zwróciła się wreszcie w jego stronę i spytała:

– Jak można o czymś takim zapomnieć?

Wzruszył ramionami.

– O tym musi pani porozmawiać z profesorem Burthem. Proszę go spytać. Na pewno to pani wyjaśni.

– Ale pytam pana. Jak można o czymś takim zapomnieć?

– To się zdarza wielu ludziom – odparł po chwili. – Często się słyszy o takich historiach po wypadkach. Niektórzy przypominają sobie tylko, że wjechali na skrzyżowanie. Nie wiedzą, co się stało później.

– Na skrzyżowanie – wymruczała. – Albo tuż po jedenastej do domu. – Znowu pokręciła głową. Przez kilka minut milczała. Gdy odezwała się znowu, w jej głosie pobrzmiwała gorycz. – Pięć lat! – Urwała, z trudem zaczerpnęła powietrza, a potem powtórzyła: – Pięć lat myślałam, że zabiłam siostrę. Wszyscy tak myśleli. Ojciec, Margret i Grit. Nie, ona nie. Zawsze powtarzała: „Nie wierzę w to”. Ale mówiła też: „Nie sądzę, żebyś ćpała”. Jednak wystarczyło, że spojrzałam na swoje ramiona, i musiałam uwierzyć. – Nieoczekiwanie machnęła lewym ramieniem w bok. Łokciem uderzyła w kierownicę.

– Ostrożnie, proszę pani! – zakrzyknął.

Ręce zwilgotniały mu od potu. Licznik wskazywał sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Po lewej stronie znajdowała się bariera przedzielająca autostradę, po prawej kolumna ciężarówek.

Zignorowała go, nie cofnęła ręki.

– Dlaczego to zrobił?

Powoli zredukował prędkość. Nie mógł tego zrobić gwałtownie, w przeciwnym razie uderzyłby w niego wóz z tyłu. Ujął jej dłoń i położył jej na kolanie.

– Proszę wziąć rękę. Chyba że chce pani nas oboje zabić.

– Dlaczego to zrobił? – powtórzyła.

– Przecież pani wie.

– Nie! – wyrzuciła. – Nie wiem. Żeby odsunąć Frankiego od sprawy, nie musiał mi tak paskudzić ramion. Wystarczyłoby, gdyby mi powiedział, że wpadłam pod jego samochód. Że tylko to się stało. A on opowiada mi o obrażeniach na genitaliach. Nie mogłam takich mieć. Johnny nie zrobił mi krzywdy. Dlaczego to powiedział? Mój Boże, nadal to słyszę. Okoliczności i rodzaj obrażeń prowadzą tylko do jednego wniosku! Dlaczego to powiedział?

Straciła panowanie nad sobą. Wolałby, żeby się uspokoiła. Nie mógł zjechać na pobocze. Między ciężarówkami nie było miejsca.

– Przecież pani wie.

– Tak, wiem. Ale chcę usłyszeć, czy pan też wie. Niech mi pan powie! No już! Niech pan wreszcie powie! Muszę to usłyszeć od kogoś innego. Samo myślenie o tym mi nie pomaga.

Nie miał na to ochoty. Trzymał już swoje uczucia na dystans i znów był tylko policjantem. Zadowolonym policjantem, który wykonał dobrą robotę. Nie chciał już wbijać jej niczego do głowy ani odsyłać do Burthego z wyrobioną wcześniej opinią.

Mimo to powiedział:

– Nie chciał, żeby poszła pani na policję. Nie mógł liczyć na to, że amnezja się utrzyma. Gdyby kiedykolwiek przypomniała sobie pani, co się zdarzyło w piwnicy, kto by pani uwierzył? Minęło niemal sześć miesięcy. O tym, że cały ten czas przeleżała pani w jego domu, wiedzieli tylko on, żona i syn. A teraz niech się pani uspokoi. Gdy wrócimy, porozmawia pani o wszystkim z profesorem Burthem. Ja też z nim pomówię. I z adwokatem, i sędzią. Wy tłumaczę wszystkim, czego się dowiedzieliśmy od pana Frankenberga.

A dowiedzieli się wiele. Zaczynając od doraźnego opatrzenia ran w piwnicy. Potem wielogodzinna jazda w środku nocy. Frankie na tylnym siedzeniu. Z jej głową na kolanach, palce przyłożone do szyi, co kilka sekund meldujący gorączkowo:

– Puls wciąż wyczuwalny.

Jak duże istniało ryzyko, że nie przeżyje podróży, to musieli ocenić fachowcy. I co by się z nią stało, gdyby maleńki płomyk nadziei zgasł po drodze...

Być może na to liczyli. Nie Frankie, ale jego rodzice. W tym wypadku Johannes Frankenberg nie musiałby łamać synowi ręki. Kolejne niezidentyfikowane zwłoki gdzieś przy szosie, nagie i bez dokumentów. Taka sama biedna istota jak ta z Lüneburger Heide. Czy rzeczywiście chodziło o zwłoki Magdaleny, to musieli powiedzieć Ottmar Denner i Hans Bueckler. Jeśli się odnajdą.

– Nie powinnam była jej zabierać – przerwała jego rozmyślenia. – Wiedziałam, że nie powinnam była. Dobrze wiedziałam. Może było mi wszystko jedno, czy umrze. Pragnęłam tylko Johnny’ego. Wszystko przez to! Matka zawsze mówiła, że cielesne żądze przynoszą samo zło.

– Pani Bender – upomniał. – Pani matka jest szalona. Zawsze była.

– Nie – wymamrotała. – Nie zawsze. Margret mi kiedyś opowiadała... – Urwała i spytała: – Co się stanie z Margret? – Nie dała mu czasu na odpowiedź. Mówiła nerwowo i pośpiesznie: – Niech pan posłucha. Czy nie dałoby się zrobić w ten sposób?

Powiedziałam przecież Johnny'emu, że moja siostra leży w domu chora. Spotkałam tamtą dziewczynę na parkingu. Tak może zostać. Nikt nie udowodni, że było inaczej.

– Proszę pani, niech mi pani teraz wyświadczy przysługę i weźmie do serca to, co pani radziła Margret. Proszę pomyśleć o sobie. Nie tylko ja usłyszałem pani wypowiedź. Poza tym pan Frankenberg wie od syna, że dziewczyna miała na imię Magdalena. A pani sama powiedziała mu wtedy, że musi wracać do domu do chorej siostry.

– Oczywiście, ale to nie dowodzi, że wciąż w nim była – odparła. – Frankie nie mógł wiedzieć. Tamta dziewczyna powiedziała mu, że nazywa się Magdalena i jest moją siostrą. To była tylko zabawa. Tak z nią ustaliłam na parkingu. Lekarze w Eppendorfie potwierdzą, że nie mogła być moją siostrą. Magdalena była zbyt chora, by wychodzić z domu. Wszystko się zgadza. Musi pan tylko chcieć.

Pokręcił głową.

– Nie zgadza się, pani Bender. Nie może pani trzymać Margret z dala od całej sprawy.

– Ale ona to zrobiła dla mnie. Nie można jej z tego powodu wsadzać do więzienia. Nie aresztuje pan Margret, niech mi pan obieca!

Mógł jej to obiecać z czystym sumieniem. Nie odpowiadał za Margret. Musieli się nią zająć koledzy z północnych Niemiec. Nasuwało się pytanie, jakie zarzuty jej postawić. Organizowanie pogrzebów nie było karalne. Kremacja. Teraz sobie przypomniał.

O tym mówiła Grit Adigar. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Najpierw ogień. Potem morze. Pochówek w wąskim gronie. Tylko Margret wiedziała, co się znajdowało w urnie. Popiół! Grit Adigar widziała, jak wsypuje go do Morza Północnego.

Zastanawiał się, kogo lub co posłały do krematorium i czy, jak to zwykle bywało, lekarz sądowy sprawdził po raz ostatni trumnę. Potem niczym piorun trafiły go jej słowa o kradzieży. Do cholery! Teraz jednak nie dało się niczego udowodnić, skoro przed pięcioma laty nikt nie zwrócił uwagi na brakujące zwłoki.

Wbrew własnej woli musiał się uśmiechnąć. Przy odrobinie sprytu i fantazji... Margret Rosch z pewnością miała jedno i drugie. Ma rację, pomyślał. To nie tylko mogło, ale musiało się zgadzać. Z historią choroby Magdaleny. Z wypowiedzią Grit Adigar. Z Hansem Buecklerem. No i Achim Miek, który wystawił akt zgonu, prędzej ugryzie się w język, niż przyzna, że stał wtedy przed pustym łóżkiem i musiał dopiero załatwić zwłoki dla swojej kochanki.

Stała przy oknie, wpatrując się w ponury dzień. Na dworze było zimno i mokro. Przed południem padało. Nastął już luty. Ostatni dzień za kratkami. Wiedziała o tym, tylko nie mogła jeszcze uwierzyć.

Eberhard Brauning powiedział podczas ubiegłej wizyty:

– Odbiorę panią wczesnym popołudniem. Niestety, nie mogę podać pani dokładnej godziny.

Nie chodziło o kilka minut. Miała dużo czasu, o wiele za dużo. Inni go nie mieli. Profesor poświęcił jej ledwie kwadrans – tuż po obiedzie. Dostała ziemniaczaną papkę, groszek i udko kurczaka z gumowatą skórą i małą ilością mięsa przy kości. Po jedzeniu przyszedł Mario i zabrał ją do profesora, który chciał jej jeszcze coś wytłumaczyć i życzyć wszystkiego dobrego na przyszłość. Poparł wniosek o zwolnienie Cory na terapię otwartą.

Teraz się już nią nie przejmował.

Nikt się nią nie przejmował. Sędzia też nie. Nie było rozprawy przeciwko Corze Bender przed Sądem Krajowym w Kolonii. Nie było oskarżenia o morderstwo lub przynajmniej o spowodowanie śmierci. Ani wyroku: dożywocie! W ten sposób może by to jakoś naprawiono. Ale nikogo nie obchodziło, co ona o tym sądzi.

Dotarła tylko do biura sędziego śledczego. Na podstawie oświadczenia biegłego psychologa adwokat złożył wniosek o niewszczywanie postępowania.

– Nie odpowiada za swoje czyny!

Nie było co liczyć na skazanie.

Wysłuchano jednak wszystkich. Rudolfa Groviana i Johannesesa Frankenberga. Nawet Hansa Buecklera! Odnaleźli go w Kiel. Nie zobaczyła go – tak było lepiej.

Hans Bueckler zeznał pod przysięgą, że tamtej majowej nocy przed pięciu laty razem z Ottmarem Dennerem pośpiesznie opuścili dom w Hamburg-Wedel po tym, jak stwierdzili, że Georg Frankenberg zabił dziewczynę. Kim była, tego Hans Bueckler nie wiedział. Pamiętał tylko, że on i Denner poznali w jakimś lokalu dwie dziewczyny, które podały się za siostry, ale nimi nie były. Hans Bueckler nie wiedział, co się stało ze zwłokami i z drugą z nich. Nie dało się podważyć jego zeznań.

Opinia biegłego psychologa przedstawiała dokładnie wydarzenia w piwnicy, a jeszcze dokładniej czarną duszę Cory Bender. Urodziła się winna. Dziewiętnaście lat trzymana w więzieniu. Na koniec przestępcą został ojciec. Nie, nie jej, o jej ojcu w ogóle nie było mowy. Ojciec Frankiego był sprawcą całego zła. Tego jednak nie napisano w opinii. Tak twierdził tylko obrońca z urzędu.

Eberhard Brauning był wspaniały. Ze wsparciem Helene przygotował przemowę końcową i przedstawił ją sędziemu śledczemu, jakby stał przed Sądem Krajowym. Nie mógł jednak dotrzymać swojego przyrzeczenia. Nie zasądzono kary więzienia, tylko powrót do wariatkowa, aż profesor uzna, że Cora Bender dojrzała do tego, by znowu odpowiadać za siebie.

Poszło szybciej, niż się spodziewała. Pewnego dnia w lutym. Stała przy oknie. Za nią na łóżku leżała mała walizka, którą Margret przyniosła przed wiekami, a w każdym razie w innym życiu, do biura szefa.

Pomyślała o małym mieszkanku Margret. Miejsce na kanapie, więcej ciotka nie mogła jej zaoferować, łazienka tak ciasna, że siedząc na sedesie, dotykało się kolanami drzwi. Nowy początek tam, gdzie już kiedyś zaczęła żyć. Rano będzie wychodzić, wieczorem wracać. Tak jakby po prostu szła do pracy. Tyle że tym razem nie uda się do kawiarni na Herzogstraße, tylko do kliniki dziennego pobytu.

Profesor był przekonany, że Corze udało się dlatego, że Margret stanowiła dla niej wzór kobiety o rewolucyjnych poglądach. Był także pewien, iż doprowadził ją do punktu, który osiągnęła pięć lat temu. Nie do końca się to zgadzało. Szef ją tu doprowadził. Nie zaprzeczyła jednak profesorowi, by go nie zranić i nie spowodować, że zmieni zdanie na temat jej postępów.

Eberhard Brauning powiedział:

– Możemy być bardzo zadowoleni, proszę pani.

Nie była zadowolona. Wciąż widziała twarz Frankiego. Jak na nią spojrział, gdy

puścił jej dłoń. I jak tuż wcześniej puścił dłoń żony, krzyząc:

– Nie, Ute, wystarczy. Przestań. Nie rób mi tego!

Ute nic mu nie zrobiła.

W jednej z rozmów profesor powiedział, że Frankie szukał śmierci. Długo się nad tym zastanawiała. Nie doszła do żadnego wniosku. Wiadomo było tylko, że Frankie kochał śmierć – jeden raz. A potem znalazł sobie kobietę, która dokładnie przypominała tamtą.

Eberhard Brauning przyszedł tuż przed czwartą. Chciał wziąć jej walizkę. Odmówiła, pożegnała się z Mariem i podążyła za adwokatem na zewnątrz.

Gdy usiadł obok niej w samochodzie, powiedział:

– Wczoraj rozmawiałem z pani mężem. Przykro mi, ale nic nie wskórałem.

Wzruszyła ramionami i utkwiała wzrok w jakimś punkcie przed sobą. Gereon chciał się rozwieść, nie spodziewała się niczego innego. Choć ostatnio miała nadzieję... Do momentu nad jeziorem nie zrobiła przecież nic złego.

– Nie szkodzi – powiedziała. – Liczyłam, że się jeszcze zastanowi. Ale skoro nie chce, to trudno. Pewnie tak jest lepiej. Koniec to koniec, prawda?

Eberhard Brauning skinął głową i skoncentrował się na jeździe. Spytała:

– Muszę przy tym być? Na pewno może to pan załatwić beze mnie. Niech pan po prostu powie, że cały dzień jestem w tej klinice. Że wolno mi wychodzić tylko wieczorem. I niech pan przekaże Gereonowi, że chcę dostać kuchnię i moje osobiste rzeczy. I żebym od czasu do czasu mogła widywać dziecko. Nie musi to być często ani długo. Raz w miesiącu na godzinę lub dwie, tyle mi wystarczy. Dopóki mieszkam u Margret, Gereon może z nim wpadać wieczorami. Chcę tylko widzieć, że mały ma się dobrze. – Nie oczekiwała odpowiedzi. Nie patrzyła też, czy skinął głową. Po chwili milczenia spytała: – Jak długo może potrwać ta terapia? Rok, dwa lata?

– Trudno powiedzieć, proszę pani. To zależy od wielu czynników. Oczywiście przede wszystkim od pani.

– Tak sądziłam. Zawsze przede wszystkim ode mnie. – Zaśmiała się cicho. – Postaram się. Nie mogę wiecznie mieszkać u Margret. A nie opłaca mi się szukać własnego mieszkania. Muszę jak najszybciej wrócić do domu. Słyszał pan coś nowego o moim ojcu?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Rudolf Grovian obiecał wyjaśnić jej, że ojciec nie żyje.

„Zrobię to. I tak jestem dla niej kozłem ofiarnym”.

Niedługo po wizycie we Frankfurcie powiedział jej wszystko. Eberhard Brauning był tego pewien.

Patrzyła przed siebie na jezdnię.

– Przypuszczałam – powiedziała – że Gereon nie odwoła rozwodu. Najlepiej jak pójdę tam, gdzie mnie potrzebują. Zajmę się ojcem. Tak postanowiłam. Mycie, czesanie, karmienie, to, co trzeba zrobić przy starym mężczyźnie przykutym do łóżka. Zabiorę też matkę. Muszą mi ją przecież oddać, prawda? Nie jest niebezpieczna, nikomu nic nie robi. I postaram się, żeby Magdalena trafiła do ognia. Nie wiem jeszcze jak. Ale jakoś mi się uda. Nawet jeśli będę ją musiała odkopać po nocy. Jakoś mi się uda. – Milczała przez

kilka chwil, a potem uśmiechnęła się, rzuciła mu szybkie spojrzenie i powiedziała: – Niech się pan nie boi! Tak tylko mówię. Szef powiedział, że to bezczeszczenie zwłok czy też naruszanie spokoju zmarłych. I nie zapomniałam, gdzie jest mój ojciec. Obawiam się, że nigdy już niczego nie zapomnę. To tylko teoretyczne rozważania. Lubię sobie wyobrazać, jak siedzę na jego łóżku i rozmawiam z nim. Chciałabym mu to wszystko wyjaśnić. – Potem jej ramiona naprężyły się, głos stał się twardy. – Niech pan pomyśli. Własna kuchnia. Każę ją od razu przewieźć do Buchholz. I moje osobiste rzeczy. Nie chcę pieniędzy. Mam ich wystarczająco dużo. Dom też. I samochód. Wszystko już stare, ale ciągle jeszcze jest. A ktoś musi zadbać, żeby zupełnie nie niszczało. Wyobraża pan sobie, jak wygląda ogródek przed domem? Ojciec zawsze był z niego taki dumny. Ogródek i firanki. Nie dbał o to, jak wyglądało wewnątrz. Ale firanki musiały być czyste. Pan Grovian powiedział, że podczas jego wizyty wszystko było w porządku. Jednak minęło już dużo czasu. – Westchnęła. – Słyszał pan coś o panu Grovianie?

Eberhard Brauning pokręcił głową. Jeszcze raz wzruszyła ramionami. Koniec to koniec. Następował szybko.

Tylko wspomnienia nie mijały. Odchodziły dopiero z ostatnim grzechem. Zobaczmy. Jeśli nie da się wytrzymać... klinika dziennego pobytu. I noce w mieszkaniu Margret. Margret często pracowała na nocną zmianę. A w małej szafce obok łóżka zawsze trzymała mnóstwo leków.